

Włodzisław
Intymia

DZIEŁA
KLEMENTYNY Z TAŃSKICH HOFMANOWÉJ.

DZIEŁA
KLEMENTYNY Z TAŃSKICH
HOFMANOWEJ.

WYDANIE NOWE

pod redakcją

NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ

z dodaniem

ŻYCIORYSU I OBJAŚNIENÍ.

TOM VI.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

90-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 79
Tel. 26-68-63

WARSZAWA.

NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ KSIĘGARZY:

GEBETHNER I WOLFF.

MAURZYCJUSZ ORGELBRAND.

MICHAŁ GLÜCKSBURG.

G. SENNEWALD.

EDWARD WENDE.

<http://rcin.org.pl>

1875.

Z KSIĄŻEK
J. KRZYŻANOWSKIEGO

Дозволено Цензурою.
Варшава, 10 Апрелья 1875 г.

1687/6

Warszawa. — Druk J. Ungera. — Nowolipki Nr. 2406 (3).

<http://rcin.org.pl>



ŻYCIORYSY

PORZĄDKIEM CHRONOLOGICZNYM UŁOŻONE.

JAN GDAŃSZCZANIN *).

(ur. 1485 r., um. 1548).

Nie wiem czemu przypisać mam to uczucie, czy wrodzonej skłonności, czy nadanemu wychowaniem sposobowi myślenia; ale słodka przejmuję mnie radość, kiedy czytając życie którego ze znakomitych ludzi naszych, dowiem się, że z niskiego stanu, z ubogich pochodził rodziców, i jedynie cnotą i pracą doszedł do zaszczytów i sławy. Takim sposobem zdobyte imię a nawet majątek, szanowne są w oczach moich, i tém szanowniejsze, że drugich do dobrego nęca. Téj radości doznałam przebiegając życie Jana Gdańszczanina, biskupa warmińskiego, jednego z mężów, który największego blasku przydał panowaniu Zygmunta I-go.

Trudno urodzić się dalej od sławy i zaszczytów, trudno zgromadzić ich więcej. Rodzina Jana była z chełmińskiej ziemi, która w początku drugiej połowy XV-go

*) Mało sławnych ludzi pod tylu nazwiskami jest znanych: Gdańszczanin, Dantiscus, Dantyszek, Flachs binder, Linodesmon, von Hoffen, a Curiis; te kolejno są mu dawane. (1).

wieku, tak okropnych klęsk doznała. Tam się odprawiało główne widowisko owęj srogięj Prusaków z Krzyżakami walki; tam pożar wojny i towarzyszące jęj niedole, kraj tak ludny i żyzny w pustynią zmieniły. Obywatele potracili majątki, opuścili domy, a między tułającemi się był dziad Jana, z żoną i z synem. Przywiedziony do największego ubóstwa, przybył tak do Gdańska; w tém mieście handlowném osiadł, a tam chcąc uniknąć nędzy, która tylko próżniaków dogania, wziął się ochoczo do pracy, przybrał skromne powroźnika rzemiosło, które niewiadomo czy dawnięj posiadał, czyli tęż nabył wtedy. Syna jedynaka wychowawszy także do pracy, wykierował na piwowara, i ożenił stosownie, a ten w roku 1485 został ojcem pełnego sławy Jana.

Jan, jak to zwykle bywa w dzieciach, które w późniejszym wieku mają się odznaczyć rozumem i cnotą, od najpierwszych lat swoich zdatność i ochotę do nauk okazał; poznali się na tych przymiotach i ocenili je rodzice, a przygotowawszy syna ile można było w domu, za pierwszą sposobnością oddali go do akademii krakowskiej (2). W tęż światła świątynicy nie uszły także oka nauczycieli zdolności młodzieńca, ani tęż gorliwość jego. Jakaż może być większa pociecha dla tych dobroczynnych mężów, którzy jako prawdziwie umysłowego świata słońca, życie trawią na udzielaniu światła drugim; jakaż miłsza zachodów ich nagroda, nad widok zdatności i ochoty ucznia? wtedy wzmaga się w nich samych chęć i zdolność, a pewni iż powstanie z ich pracy plon obfity, sieją z uwagą i z przychylnością. Często jeden uczeń zdatny i pilny, przykrości przez dzieięciu nieuków sprawione nagrodzi. O! jakaż chluba być tym uczniem! Był nim Jan, którego od miejsca urodzenia i od rzemiosła dziada, raz Gdańszczaninem, drugi raz *Flachsbinder* (powroźnik) zwano (3). W lat kilka z największą chlubą wszystkie stopnie otrzymał, a lubo prawie

urodzony poetą, (tak wielką miał do wiersza zdatność), nie zaniedbał przeto żadnych nauk, bo znał, że poecie niedość na geniuszu i łatwych rymach, potrzeba mu jeszcze wiadomości i smaku. Ukończywszy nauki, stosownie do pobożnego owych wieków zwyczaju, a razem w celu oświecenia się, Palestynę, Syryą, Arabią, Grecyą, Rod, Krete, Korcyrę i brzegi Epiru dokładnie zwiedził, i w tych krajinach tylą wspomnieniami bogatych i tak poetycznych, nie mało zapewne dla umysłu swego nowych wyobrażeń i pomysłów zdobył. Za powrotem też jego do kraju, stało się wnet głośne imię Jana Gdańszczanina między uczonymi; a ponieważ w tym błogim dla nauk wieku, światło i chęć rozkrzewiania go, w parze z możliwością chodziły, wnet do najpierwszych panów, do Tomickiego kanclerza i biskupa krakowskiego a nawet i do króla doszła sława jego (4).

Zygmunt I-szy zasiadł wtedy od lat kilku na szczęśliwej Polski tronie; mało było królów, którzyby równie jak on na ludziach poznać się umieli, mało też jest panowań, któreby równie jak jego, tylą ludźmi się szczyciło. Poznał zaraz w młodym Gdańszczaninie umysł niepospolity, cnotę rzadką, wiadomości wielkie; dał mu naprzód urząd sędziego, a potem wezwał na sekretarza. Zdaje się, że w tym czasie Jan Gdańszczanin, bądź słuchając wyższego powołania, bądź też idąc za popędem wieku który w duchownym stanie liczne gromadził zaszczyty, przybrał odzież kapłańską: dostał najprzód probostwo gołębskie, a później biskupstwo chełmińskie. W sukni duchownej, wówczas pierwsze miejsce przed wszystkiemi trzymającą, w godności biskupa i w urzędzie sekretarza nadwornego króla, towarzyszył mu na zjazd walny do Wiednia w roku 1515 (5). Złożył ten zjazd Maksymiljan I-szy, cesarz niemiecki, nie zdoławszy przez wojnę z Północą zaszkodzić skutecznie kwitnącej i już zazdroszczoną Polsce, chciał doświadczyć drogi układów. Zaprosił więc do Wiednia Zygmunta i Władę-

sława króla węgierskiego, pod pozorem stawienia oporu wzmagającej się sile mistrzów krzyżackich, i zawsze grożącej chrześcijaństwu, Turków potędze. Nie sprawił zapewne ten zjazd żadnych zbawiennych skutków na politycznym świecie, ale wykrył wielkie Gdańszczanina zdolności, i w całej uczonej Europie imię jego rozślawił. Nad wszystkich będących na dworze cesarza uczonych, większą umiejętność w rozlicznych językach okazał, a gdy wiersz napisał na zjazd ten królów, Maksymilian ogłosił go publicznie poetą wieńczonym, uroczyście włożył mu sam laur na głowę, wręczył pierścień złoty, nadał herb, i między szlachtę niemiecką policzył, które to szlachectwo Zygmunt przywilejem swoim potwierdził (6).

Tak pozyskawszy szacunek obcych monarchów i uczonych, Gdańszczanin użytym był przez króla swego do różnych poselstw i wszystkie odbył z chlubą dla siebie, z pożytkiem dla kraju. Był kolejno posyłany do Klemensa VII-go papieża, do cesarza Maksymiliana i sławnego jego następcy Karola V-go, do Ferdynanda króla czeskiego i do wielu innych. Wszyscy ci monarchowie zaszczytili go swoją przyjaźnią, ale najwięcej pokochał Karol V-ty; towarzystwo uczonego biskupa tak mu było miłe, tak przyjemne, że zapomniał w rozmowach z nim o trudach dwóch koron, iż po zwycięstwie nad Franciszkiem I-szym królem francuzkim, pod Pawią, roku 1525 wszystkim innym posłom cudzoziemskim, nawet znacznój części swego dworu, w Niemczech pozostać kazał, samego Gdańszczanina przy sobie zatrzymał, i przybywszy do Madrytu, między szlachtę hiszpańską go policzył, we cztery lata zaś potém, medal na cześć jego bić kazał. W Hiszpanii-to zaprzyjaźnił się sławny nasz rodak z Kortezem (7), z owym świata nowego zwycięzcą; bo jako czynić zwykli wszyscy ludzie wyższego umysłu, w każdym kraju gdzie gościł, szukał związku z mężami, którzy byli kraju tego chlubą, z którymi już był jakby

spokrewniony chwałą i zaszczytem; bo jest braterstwo umysłu i sławy, jak jest braterstwo krwi, uczucia i broni. Wśród ważnych polityki i rokowań zachodów, wpośród zabaw dworskich i chwil poświęcanych znakomitym związkom, nie zanedbywał ulubionęj sobie od młodzieńczego wieku poezyi, i ciągle jęj miłośników bawił i zadziwiał. Około roku 1535 wrócił do ojczyzny, mile od nięj przyjęty, bo jęj wiele pożytku i chwały przysporzył (8). Wkrótce po tym powrocie, w nagrodę prac dla Rzplitej tak gorliwie podjętych, za zgodą powszechną, wstąpił na biskupstwo warmińskie. Szczęśliwa była ta katedra do naczelników nie urodzeniem ale zasługami znakomitych; i zapewne niemało jęj przydał Jan Gdańszczanin blasku (9). Na tęj godności równie jak na wszystkich innych, które piastował, okazał się światłym, czynnym, gorliwym. Jedenaście lat które na nięj spędził, zeszył mu chlubnie, użytecznie i mile. W związkach przyjaźni, z tęp wszystkiem co Polska miała wtedy wielkiego z Kopernikiem, Hozyuszem (10), i innymi, lubił jeszcze otaczać się tą ubogą młodzieżą, w której upatrywał iskry światła dla ojczyzny, na te lata, kiedy przyświecające jęj w tęp chwili słońca wygasnąć miały. Tak postępując pamiętnym był zapewne na wypadki własnego życia; bo jeśli wszyscy możni obowiązani są nieść spółbraciom pomoc i opiekę, zdaje się, że dwakroć większy jest ten obowiązek w tych, których początek był ubogi; rozkosz mieć nawet powinni w oddawaniu drugim tego, co sami dostali.

Jednym z tych, którymi najbliżej opiekował się Gdańszczanin, był Eustachy Knobelsdorf, który z chlubą wiele urzędów duchownych sprawiał, i piękną łacińską wslawił się poezyą. Wywdzięczył mu się najtkliwszą miłością; mianowany kanonikiem warmińskim, domownikiem był biskupa, a gdy przyszła na sławnego męża ta kolej, która żadnego z ludzi nie mija, skonał na jego rękach, i żalu z doznanej straty takiego opiekuna nie łatwo zapomnieć zdołał. Jana

Gdańszczanina śmierć przypadła roku 1548, miał lat 63. Powierzchowność jego miała być bardzo poważna i znacząca; twarz ściągła, oczy bystre, ale spojrzenie miłe; w towarzystwie niezmiernie był ujmujący i zabawny: lubił żarty i wesołych. Piękną maluje duszę ten szczegół o nim, iż nie wstydził się bynajmniej niskiego rodu; owszem w największym będąc znaczeniu, podpisywał się *Linodesmon*, co w greckim języku znaczy: powroźnik, i przekładał ten przydomek, nad nadany mu *von Hoffen* albo *a Curiis* od długiego na dworach pobytu. W pierwszej młodości sprzyjał zdaniom Lutra, ale potem ich zaniechał; prawda, że do końca życia utrzymywał listowne związki z najznakomitszymi owego wieku różnowiercami, jako to: z Jerzym Sabinem, z Erazmem z Roterdamu, ale były to tylko naukowe i przyjacielskie stosunki; również w młodych latach nie była obcą miłość sercu jego: w znalezionych w Heilsbergu licznych jego korespondencyach, natrafił uczony Czacki na uplecioną kosę włosów kochanki (11). Pod obraz swój, w Guttstatskiej kolegiacie w Warmii umieszczony, zrobił sam cztery wiersze łacińskie, których treść taka: „W pięćdziesiątym piątym roku i drugim miesiącu wieku mego takim byłem, jakim mnie ów wizerunek wyobraża. Ile mi jeszcze życia pozostaje, daj Chrystusie, przepędzić według Twych świętych przykazań.“

Na krótki czas przed śmiercią, jakby przecuciem, napisał sobie nagrobek także wierszem łacińskim, który tak przełożył sławny Ignacy Krasicki, w lat dwieście osiemnaście obrany po nim biskupem warmińskim: „Już lat sześćdziesiąt trzy nastąpiło, jak mi Bóg żyć daje: czuję ten czas klimakteryczny, który wielom zgon przynosi: jeżeli więc i mnie ogarnie, czém byłem kreślę. Długo mnie trzymały dwory królów; wysyłany byłem do postronnych, następnie pasterzem dwóch owczarni. Teraz ziemia kryje zwłoki; niech duch mój szczęśliwego losu który zawsze trwa,

używa. Tego mi życz, przechodniu, abys i ty od następnych podobne życzenia uzyskał.“

(12). *Spis dzieł poetycznych Jana Gdańszczanina, po łacinie napisanych i wielce chwalebnych* *):

Pieśń weselna na ślub Zygmunta I-go i Barbary hrabianki Spiżskiej.

O nieszczęściach naszego wieku.

Do młodziana Konstantego Alleópaga, wiersz zachęcający.

Rozmaite Epigramata.

Elegia miłosna.

Jonasz prorok, o upadku Gdańska.

O różnicy między cnotą i honorem, sen.

Księga hymnów pobożnych na wzór Prudencjusza.

O Żydach.

Żywot własny, który wierszem dla pótomności zostawił.

*) Spisując dzieła tych Polaków, którzy tylko po łacinie pisali, i czytając ich pochwały, jestem zawsze w położeniu ślepego, któremu o kolorach mówią. Powinienby jaki biegły łacinnik ulitować się nad pięć niewieścią i nad dziećmi, i wydać w polskim języku wybór dzieł łacińskich przez rodaków napisanych. Może doczekam tej pociechy, od którego z młodocianych czytelników *Rozrywek*; znam kilku chłopczyków, którzy pilnie po łacinie się uczą, i nad nabyciem języka ojczystego pracują. Kto wie czy w jednym z nich, ów pożądaný tłumacz nie rośnie? (13).

OBJAŚNIENIA.

1). *Objaśnienie przypisku.* Według Bartoszewicza, rodzina Jana, w ziemi chełmińskiej zamieszkała, z niemieckiego szła rodu i nosiła nazwisko *Hoeffenów*. Dziad Jana zubożawszy bardzo, przesiedlił się do Gdańska, gdzie od rzemiosła swego *Flachsbinden* (Powroźnik) zwać się zaczął; przeszło to miano na syna Szymona, choć ten był piwowarem, a wnuk przetłómaczył je dla siebie po grecku *Linodesmon* i w pierwszej młodości tak przetłómaczonego najczęściej używał; później zaniechał i zwykle podpisywał się *Dantiscus*, z kąd go też wszyscy powszechnie *Dantyszkim* zwali. Przywilej cesarza Maksymiljana, obdarzający go szlachectwem niemieckim, wydany jest na imię Jana von Hoeffen, z przydomkiem a *Curius*, co znaczy niby „mąż dworu.“ Bartoszewicz z pewnem rozżaleniem robi uwagę, że Dantyszek miał łacińskie, greckie i niemieckie przezwiska a żadnego polskiego. Gdańszczaninem późniejsi dopiero pisarze nazywać go zaczęli w dziejach i literaturze.

2). „Oddali go do akademii krakowskiej“... miał wtenczas lat dwanaście. W siedemnastym roku życia swego, za króla Aleksandra gdy ogłoszono wyprawę przeciw Wołochom, przerwał nauki i do żołnierki się zaciągnął; po skończonej wojnie, z większą jeszcze niż w pierwszej gorliwością do ksiąg opuszczonych wrócił.

3). „Którego Flachsbinden zwano“... Zjednał sobie szczególniej serce profesora akademii Pawła z Krosna, ten mu już nawet wstęp do dworu ułatwił, gdy chęć podróży, może też trochę tęsknotą za ojcowskim domem podniecona, do Gdańska go przyciągnęła, a ztamtąd przez Danią, Niemcy, Włochy, w coraz dalsze kraje, tak że i do Ziemi S-tój się dostał i o Arabią zaczął.

4). „Do Tomickiego i do króla sława jego doszła“... Tomicki nie tylko urząd sędziowski przy dworze Zygmunta I-go Dantyszkowi wyjednał, ale jeszcze większą oddał mu przysługę, bo go zaczął w sprawach dyplomatycznych używać; a te mu później do zaszczytów drogę urotowały. Dworak był z niego nader zręczny, każdemu przypodobać się umiał; ale trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, że domowi Jagiellonów zawsze wiernie służył i za interesem Polski gorliwie obstawał; najpierw dał tego dowód na genciatach (zjazdach) pruskich 1572 roku, za co i w rodzinnym Gdańsku wiele niechęci na siebie ściągnął. Około tego czasu właśnie wyświęcił się na księdza i dostał probostwo w Gołębiu, niedaleko Krakowa; będąc zarazem sekretarzem królewskim, z probostwa swego dochody jedynie pobierał, a króla nie odstępując, towa-

rzyszył mu to na wyprawę, którą bitwa pod Orszą rozstrzygnęła, to wreszcie na zjazd monarchów do Presburga i Wiednia 1515 r.

5). „w godności biskupa... towarzyszył mu na zjazd walny do Wiednia“... Biskupem jeszcze wtedy nie był Dantyszek, dopiero w ciągu swego pobytu za granicą został kanonikiem warmińskim.

5). „To szlachectwo Zygmunt przywilejem swoim potwierdził...“ Cesarz Maksymilian nie za same tylko wiersze wynagrodził Dantyszka, ale głównie za to, że posłany do Wenecyi, prędko i szczęśliwie przeprowadził układy pokojowe między Rzpltą a Cesarstwem. Zygmunt zоставił go przy Maksymilianie w charakterze umocowanego do spraw koronnych załatwiania. Od tego czasu Dantyszek dwanaście lat bez przerwy na obcych dworach spędził i do kraju nie wracał. Były to lata najpiękniejszej jego, lecz zawsze jeszcze niedoświadczonej młodości, Ulubieniec cesarski, pojechawszy z Karolem V-tym do Hiszpanii, wcale nie budujące wiódł życie, ale też później, w poezjach swoich przynajmniej, gorzko grzechów młodości żałuje: mimo dworskich ponęt jednak nie zaniedbywał z Polski przesyłanych mu zleceń. Po śmierci matki Bony, która zarazem była ciotką Karola V-go (Izabella Aragońska), ten ostatni zajął księstwo Baru, jakoby prawem lennem sobie należne. Zygmunt I-y wysłał do Hiszpanii Stanisława Borka z dopomnieniem się o dziedzictwo swjej żony, lecz choć Borek był wysłany, właściwie jednak, sprawę tę Dantyszek prowadził; znalazło się sto listów z czasu tych układów, przez Bonę do Dantyszka pisywanych w owym interesie. Kanonik warmiński pomyślnie go załatwił i wyjednał przeniesienie praw na oboje królestwo polskie i ich dzieci; zjednał tem sobie przychylność Bony i pewno mu to pomogło, że później nominacją na biskupstwo chełmińskie otrzymał. Otrzymawszy je, wszelako dwa lata jeszcze na dworze cesarskim bawił, gorliwie broniąc sprawy wcielenia do Polski Prus Zachodnich, które Niemcy jako lenność cesarstwa niemieckiego uważać chcieli.

7). „Zaprzyjaźnił się z Kortezem“... Istnieje jeszcze list korteza z Hiszpanji (Haiti) do Dantyszka pisany. Sławny zdobywca Meksyku pisze w nim o jakimś długu niezapłaconym i wesoło pędzone życie wspomina.

8). „Pożytku i chwały przysporzył“... Interes polityczny Polski bardzo dobrze rozumiał i bronił go przeciwko panom pruskim z własną narodowością zadzierającym. Utrzymywali oni, że nie są obowiązani na sejmy koronne jeździć, bo ich kraj nie jest prowincją, ale oddzielnem państwem federacyjnie z Polską połączonem. Wynikły ztąd nieporozumienia ze Stanisławem Kostką, a jeszcze większe z prymasem Drzewieckim; współziomkowie Gdańszczanie oburzyli się na niego, Dantyszek przecież słusznie za jednością ziem Rzpltej obstawał.

9). „Niemato jój przydał Jan Gdańszczanin blasku.“ Biskupem warmińskim został mianowany r. 1537. Karol V-ty nie zapomniał wtedy dawnego ulubieńca i ofiarował się na godność kardynalską go przedstawić; lecz Dantyszek nie przyjął tego zaszczytu, bo wiedział że w Polsce nie lubiono, gdy wyżsi dostojnicy polskiego kościoła o purpurę rzymską się starali.

10). „Kopernikiem, Hozyuszem“... Właściwie mówiąc, Dantyszek był opiekunem i dobroczyńcą Hozyusza, który mu się za to wywdzięczał drukując jego wiersze, a mianowicie wiersz do Knobelsdorfa (Alleopagiem przezwanego).

11). „Uplecioną kosę kochanki“... Były to najpewniej włosy opuszczonej przez niego w Valladolid Izabelli del Gada.

12). „Spis dzieł pożytecznych“... Dantyszek wcale nie był poetą w prawdziwem tego wyrazu znaczeniu; brakło mu wyższego natchnienia i głębszej tkliwości; ale biegłym był w prozody, pisał gładko i jasno, a w satyrze celował. Dowodem tego jest *Prorok Jonaś*, w którym gromi pychę, zbytki, religijne nowinki Gdańszczan i przepowiada upadek tego bogatego miasta. Pismo to jest bardzo rzadkie, bo Gdańszczanie obrażeni wykupywali je i niszczyli. Znany także bardzo w swoim czasie był łaciński epigramat ułożony przez Dantyszka, kiedy się raz na Zygmunta i Bonę pogniewał; niektóre wyrażenia tego wierszyka w przysłowie prawie ojcom naszym przeszły: Syrokomla go przetłómaczył:

„Kto dziecku, kto starcowi, kto niewieście służy,
 „Rzadko kiedy nagrodę dla siebie wywróży.
 „Nie służ dziecku, bo w samęj wypieszczone wiośnie,
 „Zapomni twoich usług, gdy w lata urośnie;
 „Zasię starca wiek krotki, we chciwości więdnie,
 „Tylko prózne nadzieje dawa nieoględnie;
 „A potężna niewiasta za gorliwe chęci,
 „Lada czém rozdrażniona, ma zemstę w pamięci.
 „Nie idź w starca, niewiasty, i dziecka rozkazy,
 „A jeśliś niezawisły, szczęśliwyś sto razy!...“

13). „Wyrażone w przypisku życzenie autorki Rozrywek spełnionem zostało, bo najpiękniejsze utwory łacińskie poetów naszych, wdzięcznym i gładkim wierszem przetłómaczył ulubiony Władysław Syrokomla (Ludwik Kondratowicz).

JAN TARNOWSKI *).

Wielki hetman (ur. 1488 r., um. 1561 r.)

Mąż prawy i światły, tę w późniejszych wiekach odbiera nagrodę, że imię jego każdy czci i szanuje; słusznie więc i sprawiedliwie będzie tu wspomnieć o Janie Tarnowskim, tyle w dziejach polskich znanym. Urodził się z Jana Amor i Barbary z Rożnowa, wnuczki Czarnego Zawiszy, w roku 1488. Utraciwszy w młodocianym wieku rodziców, lecz dziedzicząc po nich, prócz znacznego majątku, poszanowanie wiary, miłość ojczyzny i chwały, oddał się pracy i naukom; spędził młodość pod okiem Fryderyka kardynała królewicza i Mateusza z Drzewicy, biskupa przemyskiego; okazując wczesnie niepospolitą łatwość do nauk i pamięć rzadką, poleconym został królowi Olbrachtowi i ten wnet szczególnym go zaszczycił szacunkiem i nad innych dworzan przełożył. Po śmierci Olbrachta, na dworze dwóch jego następców, Aleksandra i Zygmunta czas pędząc, ćwiczył się ciągle w naukach i w sztuce wojennej. Doszedłszy do pewnych lat, powodowany szlachetną ciekawością nabywania światła, przedsięwziął Jan Tarnowski daleką podróż w obce kraje; zwiedził Syryą, Palestynę, brzegi Afryki i Portugalią. Ówczesny król portugalski, Emmanuel, dowództwo wojska swego w bitwie przeciw Maurom jemu porucił; znaczne przysługi, jakie panu temu w tej wojnie oddał, zjednały mu szacunek jego i rozstając się z młodym rycerzem, obdarował go hojnie. Wracając do ojczyzny, w przejeździe przez Rzym zaszczyconym został od Leona X papieża, listem, pisany za nim do

*) Artykuł ten udzielonym został łaskawie wydawnictwu Rozrywki.
Dzieła Hofmanowej Tom VI.



króla Zygmunta, a Karol V cesarz, nadał mu tytuł hrabiego *).

Poczynająca się wojna przeciw Północy gotowała Tarnowskiemu w ojczyźnie pole chwały, a nabyte wiadomości i doświadczenie w obcej ziemi miały pójść na użytek własny. Gdy wojska koronne i litewskie, pod rozkazami księcia Konstantego Ostrogskiego będące, rozpoczynały bitwę pod Orszą, Jan Tarnowski, wybrany przez najcelniejszą młodzież, hufcem jej dowodził; w szyszaku i zbroi, po hiszpańsku ubrany, wyzwał do bitwy pojedynczej któregośkolwiek z rycerzy nieprzyjacielskich. Obrażony książę Ostrogski, iż poważał się bez jego pozwolenia do boju wychodzić, strofował Tarnowskiego, mówiąc, że: karność wojska polskiego równa z wojskowością luzytańską, że północnych przeciwników za Maurów bierze — i oskarżył go przed królem. Stał Tarnowski przed Zygmuntem i tłumaczył się: że nawykły do wojennych trudów, już nieraz podobne staczał walki. Odniesione zwycięstwo, wieńcząc popęd młodzieńca, sławę broni polskiej zwiększyło, a imię Tarnowskiego już wtedy z imieniem dziada, ojca i stryjów zrównało (1).

Chcąc Zygmunt dać pomoc Ludwikowi królowi węgierskiemu, przeciw Turkom, wysłał Tarnowskiego z wojskiem. Sława, jaką pozyskał między Niemcami, Czechami, Węgrami, a nawet u Karola V, wyjednała mu naczelne dowództwo. Zaszczytnie odpowiadawszy trzech narodów zaufaniu, powrócił do kraju, gdzie Zygmunt dał mu buławę koronną; a gdy jeden z hołdowników Polski, Piotr wojewoda wołoski, zbuntowawszy się, wkroczył w kilkadziesiąt tysięcy na Pokucie, król porucił Tarnowskiemu odpór na czele tylko pię-

*) Dziad jego także Jan, wojewoda krakowski, był jednym z dowódców wojska pod Grünwaldem i walczył szczęśliwie z Węgrami; obadwa zaś stryjowie, wstawieni walecznymi czyni, poległ z Władysławem królem w bitwie pod Warną. Ojciec wojował pomyślnie z Wołochami i Bohdana hospodara Kazimierzowi królowi polskiemu do hołdu doprowadził.

ciu tysięcy; po kilku mniej znacznych bitwach zwyciężyła ta garstka Polaków liczne go nieprzyjaciela pod Obertynem (2); zmuszony cofnąć się z placu bitwy, zostawił pięćdziesiąt armat, tabory i wiele jeńców różnego stopnia. Orzechowski, który opisał pięknym piórem żywot Jana Tarnowskiego, tak o wjeździe jego do Krakowa po tej sławnej wyprawie wspomina: „Senat, duchowieństwo, lud, gromadził się razem przed bramy stolicy, aby oddać hołd zwycięzcy, przed którym prowadzono odebrane i wzięte Wołochom działa, chorągwie polskie, stracone za Jana Olbrachta, i mnóstwo brańców. Przybywszy do miasta, w świątyni na Wawelu składał Tarnowski dzięki Stwórcy za odniesione zwycięztwo i tam sztandar wołoski u grobu św. Stanisława zawiesił.“ Król, oczekujący przybycia hetmana, powstał z tronu, aby go powitać na ganku zamkowym. Z uszanowaniem należnym panującemu, odebrał Tarnowski tę oznakę łaski królewskiej, ale oraz prosił Zygmunta, aby drugi raz sił tak małych nie wystawiał naprzeciw liczniejszemu nieprzyjacielowi; polecił przytem względem królewskim wojsko, którego odwadze więcej niżeli własnej biegłości przypisywał zwycięztwo.

Burzliwi Wołosi, zbici lecz niezwyceżeni, drugi raz powstałi przeciw Polakom. Hetman koronny wkroczył powtórnie na Wołoszczyznę, zajął Chocim i zmusił przeleknionego gospodarza do wykonania przysięgi wierności królowi polskiemu; wówczas na zjeździe piotrkowskim uchwałyły stany nagrodę za usługi krajowi oddane, po dwa grosze z łanu Tarnowskiemu; przyjął ten dar spółobywateli, lecz podzielił się nim z wojskiem, które do tej należało wyprawy.

Iwan Bazylewicz wydał Polsce wojnę: zagrożona Litwa napadem żądała pomocy z Korony, prosząc króla, aby naczelné dowództwo Tarnowskiemu poruczył. Znane imię rycerza przestraszyło nieprzyjaciela, cofnął się wśród kraju, a goniący za nim hetman zajął Homel, Radgoszcz, podszedł pod twierdzę Starodub i po pięcioletnim obłężeniu, podsadziwszy

miny, a razem szturm przypuściwszy, zdobył. Wspominany wyżej Orzechowski podaje nam, że gdy Rzplta ogołoconą została z obrony i funduszków na żołd żołnierstwa, przez zerwanie sejmu pod Lwowem, Tatarzy Ruś najechali, ogniem i mieczem kraj pustoszyli, i mimo odporu przez Przetwica, Herburta i dwóch braci Sieniawskich, coraz dalej się posuwali, zamek Peremirkę wzięli, księcia wiśniowieckiego w kajdany okuli. Dowiedziawszy się o tém Tarnowski, zgromadził włością z dóbr własnych, z starostwa swego sandomierskiego i okolicy, a opatrzywszy w ryszstunek wojenny, wyruszył do Tarnopola na Podole, tam na głowę Tatarów poraził i rozproszył.

Po tych i tym podobnych usługach, oddanych krajowi, otoczony czią i chwałą, wzniecił Tarnowski zazdrość Knity wojewody krakowskiego, i Gamrata arcybiskupa gnieźnieńskiego. Ci posiadając zaufanie Bony, trudniąc się przy podszłym wieku Zygmunta rządami królestwa, chcieli Tarnowskiego poniżyć. Obrażony chciał już dobra swoje w Polsce sprzedać i do Czech się wynieść; lecz śmierć Gamrata zmieniła postać rzeczy.

Łączył Tarnowski do odwagi i znajomości sztuki wojskowej niepospolity charakter duszy; szanujący wiarę, kochający wolność i panującego, nienawidził rozpusty. Rokosz gdański swoim staraniem wczesnie utłumił; na zjeździe lwowskim ako kasztelan krakowski (na które-to krzesło r. 1532 był wyniesiony), dostrzegłszy knowanych podstępów przez Bonę i jej zauszniaków, żywo, lubo napróżno, stawał w obronie tronu przeciw domowym rozterkom (3). Podobnie, połączwszy się z Maciejowskim biskupem krakowskim, obstawał za Zygmuntem Augustem przeciw wymaganiom posłów ziemskich, aby Barbarę od łoża i tronu oddalić (4).

Surowy w obozie, waleczny w bitwie, skromny w zwycięstwie, słodki w domowym pożyciu, był powszechnie kochanym. Współcześni jemu pisarze wypowiedzieć nie mogą,

jakięj przyjemności było jego towarzystwo, jaki dar tłómaczenia się.

Nie przeminęło nwagi i pieczołowitości Tarnowskiego wychowanie syna, którego mu powiła żona, Zofia z Szydłowskich; otoczył go najświetniejszymi ludźmi w kraju, dla których dom jego zawsze był otwartym, a gdy już dorastał syn ten, wysłał go na dwór cesarza Ferdynanda, by tam nabrał obyczajów dworu i świata, oznaczywszy mu sto tysięcy złotych dochodu rocznego, co stosownie do dzisiejszój monety czyni 450,000 złotych.

Nie rozrzutny lecz hojny, umiał Tarnowski przyzwoicie majątku używać; oddalonemu z tronu węgierskiego przez Ferdynanda cesarza, Janowi hrabi na Spiżu, przytułek w domu swoim ofiarował, przyjął go z gościnnością właściwą narodowi polskiemu, z wspaniałością należną tak wielkiemu panu. Zamek swój w Tarnowie ze wszelkimi domowemi porządkami ustąpił, dostarczając nietylko co do wygod życia, lecz co do przyjemności i okazałości potrzebném było. Monarcha ten, wróciwszy na tron węgierski, wdzięczny wspaniałego przyjęcia, przysłał w podarunku Tarnowskiemu puklerz i buławę złotą, czterdzieści tysięcy czerwonych złotych wartości mające.

Pozostały czas od usług krajowych poświęcał Tarnowski naukom, znaczny swój księgozbiór wzbogacił rzadkimi rękopismami; pisał sam historią swego wieku, ale to dzieło ciekawe zginęło. Wojując przeciwko Turkom, Tatarom, skuteczne o sposobie ich wojowania rady zostawił; własnym zaś kosztem wydał w Tarnowie dzieło: *Consilium rationis Bellice*, w którém, prócz wielu innych środków, doradza użycia kul rozpalonych, a jednakże ten wynalazek późniejszemu przypisują czasowi. Bohatér, polityk, prawodawca, zostawił zbiór prawa ziemskiego, po jego zgonie dopiero wydany, pod tytułem: *Ustawa prawa ziemskiego o obronie koronnój, a o sprawie i powinności urzędników wojennych* (5).

W roku 1561 zszedł z tego świata Tarnowski w 73

roku życia, powszechnie żalowany. Paweł Jovius, Orzechowski, Warszawicki, Starowolski, piszący życie jego, smutny obraz całego kraju nam wystawiają po zgonie tego znakomitego męża; zabawy ustały, naród żałobą okryty, brat bratu tę bolesną powtarzał wiadomość; dziewice do ślubu idące, wieńce z kwiatów na czarne przepaski zamieniwszy, dnie wesela odłożyły; wszyscy razem w pogrążeniu wołali: „Któż teraz Tatarów wstrzyma? Któż potężném swém ramieniem naród zastawi?“ Wspaniały obrzęd żałobny stał się nową oznaką poszanowania dla zmarłego; kilku z panujących w Europie, dzieląc z Polakami żal ten sprawiedliwy, przysłali posłów swoich na ten smutny lecz pamiętny obchód, który Orzechowski wymownie opisał.

OBJAŚNIENIA.

(1) „Cesarz nadał mu tytuł hrabiego“.... Tarnowski należał do tych dumnych oligarchów, którym równość szlachecka solą w oku była. Za jego czasów *pan* i *senator* czyli radzca królewski nie były to dwa jednoznaczne wyrażenia. Panowie chcieli być czémś lepszym, bo przyszli do wielkiej zamożności, a w senacie zasiadała i mniej można szlachta, skoro tylko zdolnością zasłużyła sobie na to; było to coś nakształt tego, co dzisiaj jeszcze widzimy w Anglii, gdzie można stanąć na czele ministerstwa, przewodniczyć arystokratycznemu stronnictwu, a nie być przecież w szeregi arystokracji zaliczonym. Senat był u nas jak parlament punktem zejścia się *panów* i *szlachty*. Szlachta była zazdrosna; panowie byli dumni i na wszelki sposób wyróżnić się od niej pragnęli. Ze starych dokumentów wyraz *comes*, znaczący wysokiego urzędnika, tłómaczyli sobie na *grabiego*. Przez kanclerzy w listach łacińskich z poleceniami do dworów zagranicznych, dla większej powagi nazwani *comites*, gdy powrócivszy, wysokie zaraz obejmowali urzędy, sądzili się być rzeczywiście ludźmi „lepszego urodzenia“ — często téż na mocy świadectw ze służby zagranicznój, albo w skutek dyplomaty z nadaniem tego tytułu (o co nie było trudno na dworze Karola V-go), pisali się hrabia. Takim hrabią z przywileju cesarskiego pisał się Łukasz Górka, takim Stanisław Ostro-róg, takim i Tarnowski. Tytuł ów jednak nie dawał w ojczystym kraju

żadnego przywileju, szlachta go nienawidziła i nie uznawała; służył jedynie w stosunku z obcymi lub zadawała miłość własną tytułowanych. Tarnowski go używał, bo z natury był pysznym, a z przekonania wielkim stronnikiem władzy monarchicznej, ograniczonej wpływem i powagą możniejszych rodzin. W zgodzie króla ze starożytnymi domami i w ich wspólnem działaniu przeciw burzliwej szlachcie upatrywał szczęście kraju. Były to zagraniczne wyobrażenia, lecz je prawdziwie miejscowemi popierał cnotami, mężstwem, hojnością, krzewieniem oświaty, a nieraz nawet choć tak się nad szlachtę wynosił, prawdziwie szlachecka krew w nim zawrzała. Gorliwy katolik, żadnych religijnych nowości nie cierpiał w sprawie o wiarę Mikołajowi Oleśnickiemu wytoczoną, przeciw niemu surowo powstawał, jednak gdy szło o sądy biskupie, wtenczas z ogółem narodu trzymał, a jak Prymas odezwał się, że jeśli władzy sądowniczej go pozbawią, to mu przyjdzie być woźnym a nie biskupem w Rzpltej: — „Łatwiej WMOści być woźnym — przerwał mu hetman — niż mnie niewolnikiem.“

(2) „Zwyciężyła ta garstka Polaków... pod Obertynem“... Na pięć tysięcy Tarnowskiego gospodar Piotr niespodzianie 22,000 Wołochów przywiódł. Kiedy się o blizkim pochodzie tych tłumów dowiedziano, byli tacy, którzy radzili działa i powózki zostawić a coprędzej na drugą stronę Dniestru się cofać; Tarnowski powiedział wtedy, że: „za hańbę poczytywałby sobie, gdyby miał sprzęty sobie powierzone na łup nieprzyjaciółom oddawać, a kto gotów umrzeć, ten o zwycięztwie nigdy rozpaczać nie powinien.“ — Przed samą bitwą, gdy powydawał rozkazy i wszystko, jak się należało rozporządził, sam padł krzyżem na ziemię i długo z rzewliwym płaczem o wsparcie łaski Bożej się modlił. Później któryś z panów dworskich słysząc, jak o tej modlitwie hetmana mówiono, zażartował sobie, iż go nie dziwi takie gorące nabożeństwo, bo pan krakowski (tak zwykle nazywano kasztelanów krakowskich) w gorącym też strachu być musiał. — Natychmiast inny pan skarcił niewczesny koncept, odpowiadając, że właśnie „najlepszy jest hetman, co przed bitwą za wszystkich się boi, bo ten i w czasie bitwy za wszystkich ma odwagę.“

(3) „Stawał w obronie tronu przeciw domowym rozterkom.“ Nie od rzeczy tu będzie przypomnieć młodym czytelnikom, że tak zwaną *kokoszą wojnę* głównie nadużycia Bony i jej zauszniczków wywołały. Szlachta dopominała się uchylenia wielu rzeczywiście popełnianych nadużyć, ale dopominała się namiętnie, gwałtownie, na niewłaściwej drodze, a przede-wszystkiem dopominała się nie w porę. Żądano zamknięcia *metryki*; skarżono się na *cia* niesłusznie stanowione, na złe wychowanie królewicza, skupowanie ogromnych majątności ziemskich przez królowę i wpływy cudzoziemców. Otóż co do *metryki*, trzeba wiedzieć, że tak zwano księgi

kanclerskie, w których dla wiecznego dowodu zapisywano nadania królewskie, tytuły posiadłości czasowo lub dożywotnie komu przyznane, wydane przywileje itp. Zdarzało się, że niejedyn gród, zamek i wieś niejedna, choć były tylko z królewskich wypuszczonymi dzierżawami, skutkiem niepilności lub łaski urzędników królewskich przechodziły na syna, na wnuka, i stawały się dziedzictwem szlacheckim. Za Jagiełły i jego marnotrawnych potomków natworzyło się bez zezwolenia króla mnóstwo takich ukradkowych dziedzictw. Pod panowaniem Aleksandra i Olbrachta zamieniały się ciągle dobra królewskie na dobra szlacheckie. Zygmunt przewidywał, że nakoniec wszystkie posiadłości, przeznaczone na utrzymanie wojska, rządu i dworu, stałyby się prywatną szlachty własnością; kazał przeto dobra pospisywać, nadania na nie pozgromadzać, tytuły ich posiadania sprawdzić i uporządkować i te w księgach kanclerskich czyli *metryce* zapisać. Rzecz była nader słuszna, ale jój wykonanie przy chciwości Bony i niesumienności urzędników okazało się nader uciążliwe. Pod pozorem metryki a przy latwo — w tym czasie wojen, pożog i słownej dobrej wiary — zdarzającym się braku piśmiennych dowodów, można było nawet ze sprawiedliwie dzierżonej majątności szlachcica w krzywdzący sposób wyrzucić. Istotnie los taki spotkał Stanisława Odrowąża, Lityńskich, Kazanowskich i innych. Wyraz metryka stał się postrachem szlachty i dlatego dopominała się jój zamknięcia. Co zaś do ceł, to pobieranie jój od szlachty i jój knieci jeszcze za króla Ludwika były zniesione; nie zważano wszelako dość ściśle na tę ustawę i trzymano się obyczajowi, znaczne zyski królowi i możnym urzędnikom przynoszącego. Królowie sprzedawali cła lub zastawiali je księżom, szlachcie, mieszczanom, żydom, a w skarbie były pustki, bo to wszystko po drodze w nieprawych rękach topniało; prócz tego bez pytania się szlachty wprowadzano cła nowe, pozakładano wiele komor, a ich pisarze rozmaitych zdzierstw się dopuszczali. Niejaki Taszycki, wymowny rzecznik skarg ogólnych — „Szlachta już milczy, mówił, iż te cła bez jój wiedzy powstały; zostawi je królowi do śmierci, ale musi przy nich dopominać się pewnej miary, a nadewszystko usunięcia kradzieży.“

Żalono się niemniej na sposób odbywania pospolitego ruszenia, że stoi pod bronią ubóstwo, a panowie bogaci biorą uwolnienia. Żądano, aby żaden pan niezgodnych z sobą urzędów nie posiadał, aby królowa rządów zaprzestała i dobra wykupione pozbywać była zmuszoną; aby dla królewicza dobre wychowanie obmyślono, aby cudzoziemcy opactw, ni zamków, ni miasteczek trzymać nie mogli; aby Kortezanów, t. j. duchownych, którzy sobie na dworze papieżkim dostojenstwa wyrabiali, prawem zgrożono; aby rozmiar i opis dróg sporządzić kazano: lecz były też i bardzo smutnie czas ten cechujące pretensye, np. aby mie-

szczanom dóbr szlacheckich dziedzicznych nabywać wzbroniono, aby im odjęto prawo sądenia na więzienie szlachcica, popełniając ego w mieście jakie przekroczenie i. t. p. Otóż przy pierwszym zaraz wystąpieniu szlachty, za miastem rozłożonej i obradującej, zjechali do nich senatorskiego koła panowie i Tarnowski, już wtedy kasztelanem krakowskim będący, głos zabrał, a choć to było trzeba z przeszło stotysięcznym tłumem się rozprawić, z powagą jednak i surowo do niego przemawiał w tej treści głównie, że nie zgromadzenie sejmowe tu jest. lecz wojsko, nie obrady, lecz pospolite ruszenie, o bitwach zatem nie o uchwałach myśleć należy. Długo się o tem rozwodził i choć mu często przerywano, wysłuchano go jednak do końca. Piotr Kmita, ów pierwszy niesnasek podżegacz, mniemał, że mu jeszcze lepiej się powiedzie; lecz skoro tylko w obronie panów odzywać się zaczął, hałas wielki na niego powstał; gdy zaś jednocześnie i niebo się zachmurzyło i nagle deszcz ulewny lunął, zrobiło się okropne zamieszanie: senatorów szturchano, końmi najeżdżano tak, że co tchu do miasta uciekać musieli. Później już, skoro szło o jakie ważniejsze przedstawienie, o zawiązanie lepszego z rokoszaniem porozumienia, król zawsze Tarnowskiego wysyłał, bo to był jedyny z panów, któremu szlachta żadnej nikczemności zarzucić nie mogła, którego wielkie czyny i powaga uszanowanie w niej wzbudzały. Miał wtenczas Tarnowski sposobność w charakterze rozjemcy między królem a narodem wystąpić i ogromną władzę posiadać, a na dobro kraju jej użyć, lecz tego nie próbował nawet; duma usuwała go od szlachty, intrygi Bony ciągle wpływ jego na dworze podwracały; ze szlachtą nie chciał, z Zygmuntem nie mógł nic przedsiębrać; zamknął się więc niejako w ciasnych posłannika granicach i ciągle w załatwieniu główniejszych punktów szlachtę do przyszłego sejmu odsyłał; ponieważ zaś na sejmach mało co do skutku przychodziło, szlachta się domagała bezzwłocznego zadośćuczynienia swym żądaniom. Zgoda wreszcie okazała się niepodobną i znowu Tarnowski całą tę 150,000 wynoszącą rzeszę do domów rozpuścił, a ta cała gromada i zbrojna rzesza wcale się tem nie obrażała. Sam Taszycki nawet w jej imieniu czułe podziękowanie królowi i Tarnowskiemu złożył. Ostatecznie zatem skrzywdzonym sprawiedliwości nie wymierzono, burzycieli nie ukarano, władza monarsza się nie podniosła, a polityczna moralność szlachty znacznie się zniżyła.

(4) „Aby Barbarę od tronu i od łoża oddalić“... Skuteczniej daleko niż pod Lwowem, zastąpił Tarnowski powagą swoją Zygmunta Augusta na sejmie piotrkowskim 1548 r. Prawda, że też lepszej i prostszej niż pierwój sprawy bronił. Posłowie i senatorowie, przeciwni małżeństwu z Barbarą, zakroili na to, aby króla we wszelkiej władzy zawie-

ić. Wyciągnęli tedy na obrady warunki, pod jakimi Zygmunt Stary wyjeżdżał dla syna koronę, a w jakich między innymi było powiedziane, że Litwa, Prusy, księstwo Oświęcimskie i Zatorskie z Polską zupełnie zjednoczone będą; żądali więc, aby król był zupełnie bezczynny, póki temu warunkowi nie stanie się zadość. Tarnowski głęboko się tem oburzył i pytał: „jakimby sposobem król bez władzy za króla mógł być uważany? a z kądże dowód, że król może owym warunkom zadość uczynić? Może on do celu dążyć, ale za skutek ręczyć nie może. Przecież Litwini, Prusacy, Oświęcimianie i Zatorzanie także są ludźmi ze zdaniem, z wolą i prawami. Król ich Polakom darować nie jest mocen. Wojną i groźbami nie da się kojarzyć braterstwo, lecz tylko dobrocią i wpływem. Gdyby król sprzeciwiał się połączeniu, toby była rzecz inna — temi wreszcie słowy zakończył: „Za tym ja królem w każdym razie pójdę, któremu Bóg w rękę dał berło i prawo, aby za jego rządem całość i spokojność kraju w swojej stanęła porze; ja, Najjaśniejszy Królu, znam się być senatorem twoim; w żadnej ci sprawie przy zarządzie Rzpltej mnie brakować nie będzie; w sądzie twoim udział wezmę i tu i wszędzie się stawię. Ciebie za głowę powszechnej rady i wojny uznaję i myślę, że wszyscy toż samo uczynić powinni, którzy sobie życzą Rzpltą zachować.“ Głównie szło wtedy o sądy, które, jako będące jeszcze w rękę królów, Zygmunt August miał po raz pierwszy sprawować w Koronie. Żeby mu tego przywileju monarszego zaprzeczyć niejako, panowie z dworami swemi porozjeżdżali się na wszystkie strony, a za nimi i drobna szlachta pociągnęła; lecz Tarnowski został przy królu w Piotrkowie wraz z kanclerzem Maciejowskim, pomagał mu nieliczne sprawy rozpatrywać i godność jego majestatu utrzymał.

(5) „Ustawy prawa ziemskiego o obronie koronnej“... Niezbyt dawno odnaleziono jeszcze jedno dzieło Tarnowskiego: „*O gotowości wojennej*“, a przytem wspomnieć się godzi, że w tych różnych pismach nieraz upomina, aby ludu biednego w przechodzie wojsk i różnych przygodach oszczędzać — Tarnowski bowiem należał do zbyt szczupłej, choć zawsze liczniejszej, niż zwykle sądzą, gromadki zacnych i rozumnych obywateli, którzy się troskliwie ludem wiejskim opiekowali. Były to rzeczywiście błogosławione jeszcze dla tego ludu czasy: oświaty i dobrobytu więcej zażywał, niż gdziekolwiek w ówczesnej Europie, niż może dzisiaj przy uwłaszczeniu i swobodzie zażywa. Szkołki wiejskie w każdej niemal parafii się spotykały wiele ich bardzo Erazm Ciołek biskup plocki w dyecezyi swojej pozakładał był niedawno, a taki hetman i senator i możny pan, jak Tarnowski, zwykł mawiać nieraz, że: „skoro wieśniak dopełni swój powinności, pan go nie może inaczej uważać, jedno jako sąsiada.“

JÓZEF STRUŚ.

(ur. 1510 r., um. 1568).

Nie było nigdy zamiarem moim, dzieci lube, przedstawiać wam jedynie w tém piśmie, sławnych bohaterów, panów dawnych i możnych, poetów, pisarzy; nie na nich się ograniczają przykłady cnoty, pożytku i chwały: czerpać je można i z życia innych ludzi. I ja chciałabym, ile słabych możliwości starczy przebieść tu kolejną wszystkie powołania i stany, każdy w oczach waszych w rzetelném świetle wystawić, a okazując jak w każdym można być ludzkości użytecznym, piękne imię pozyskać, zachęcić was, abyście każdy wysoko ceniły, wczesnie kierowały do którego z nich, użyzione wam zdolności; i aby nie jeden syn majątniejszych nawet rodziców, raczej obrał sobie zawczasu niepodległe choć mniej może w oczach gminu szlachetne powołanie, niżli czekał na spadek po ojcu lub oglądał się na stopnie i urzędy; albo też z literatury, nie zawsze pewnego oczekiwał zaszczytu i chleba.

Do przekonania was o piękności, użytku i chlubie powołania, o którym dziś mam wspomnieć, nie będę potrzebowała wysileń żadnych. Pełny ludzkości cel jego, już dostatecznie za niem mówi. Uznana jest powszechnie ta prawda, że po cnotcie nie masz droższego skarbu nad zdrowie, po występku największa niedola, osób ukochanych i własne choroby; jakże więc łatwo nazwać piękném, użyteczném i chlubném powołanie lekarzy, powołanie którego sprawą całą jest nieść ulgę i pociechę mieszkańcom téj ziemi cierpień i boleści; którego celem jedynym, zachowanie lub wrócenie ludziom zdrowia. Bezwątpienia, lekarz biegły, czuły i cnotliwy, dobroczyńcą jest spółbraci, ma przed

sobą jedno z najpiękniejszych przeznaczeń. Ileż on codziennie cierpień umniejszyć i złagodzić może, to nauką, to tkliwością swoją! Przeznaczony na nieustanne z nieszczęśliwymi obcowanie, zdaje się być rozdawcą nadziei, pociechy! Któryż kiedy pan możny, najślawniejszy pisarz lub artysta, tak niecierpliwie jest wyglądanym, z taką przyjmowany radością, jak biegły lekarz, w domu gdzie droga osoba niebezpiecznie chora; wszystkie oczy w niego wlepione, cała w nim położona nadzieja, każdy jak wyroczni go słuca, każdemu się zdaje, że wybawienie przyniósł z sobą. A gdy dzięki prędkiemu i światłemu ratunkowi, pilnym staraniom, niezłomnej troskliwości, wróci choremu zdrowie, jakież słowa i czyny wyrazić mogą dostatecznie, wdzięczność ku temu, którego Opatrzność narzędziem swoich dobrodziejstw obrała? Nie dziwię się wcale, że starożytni w biegłych lekarzach, ludzi nadzwyczajnych i w związku z niebem będących widzieli; że wielobóstwo wyznając, ubóstwili niektórych; jak snadnie ta myśl przyjść mogła dzieciom, którym ukochaną matkę wrócono; rodzicom, którzy już oplakanego jedynaka, na nowo pełnym życia i zdrowia ujrzeli...

Śmiało powiedzieć to można: mało powołań równa się w piękności i użytku z powołaniem lekarzy; ale mało też jest takich, którychby prawdziwie godne wypełnienie, tylu wymagało przymiotów, równie trudnym było. Niezmierna i gruntowna nauka, dokładna znajomość, nie tylko ciała ale i duszy człowieka, wielka, często przykra praca, ludzkość niezłomna, czułość, którą nie ostudzić nie powinno, a która przecież umiarkowaną być musi; słowem jednym, światło, cnoty, uczucie, wiadomość i ćwiczenie: oto są konieczne przymioty lekarza. Nic więc dziwnego, że to powołanie tyle wymagając, nie wiele zachęca, i że mało kto ze skłonności je obiera. Ale im trudniejsza walka, tym zwycięstwo chlubniejsze; im mozolniejsza dla dobra bliźnich praca, tym ich wdzięczność żywsza: sam Bóg czcic kaze biegłego leka-

rza. „Nauka lekarska podwyższa głowę człowieka... przed zacnemi chwalonym on będzie, przez niego Bóg dostępuje chwały z cudów swoich, bo on odkrył i używa lekarstw, które na uśmierzenie i uleczenie boleści ludzkich stworzone były.“ *). Jeśliby więc, które z was, dzieci drogie, czuło w sobie zdatność i siły do tego powołania, nie zrażajcie się jego trudnościami; niech was zagrzewa do ich zwalczania miłość ludzkości, a nawet chęć sławy. Zaiste, rodzaj ludzki do udoskonalenia sposobny i ciągle się doskonalący, jako siebie, tak i żadnej nauki nie widzi jeszcze na zupełnej doskonałości szczycie; ale zdaniem najświetlejszych zwolenników lekarskiej nauki, ona prawie najdalej od tego szczytu stoi; tak obszerna i rozległa w gałęziach swoich, tak mało ogólnym mogąca podlegać zasadom, że niemal każdy wiek, jeśli nie człowiek każdy, osobnych wymaga, jeszcze kryje w swém łonie tysiące zbawczych tajemnic. Ileżto chorób i kalectw, które dotąd są nieuleczone, a które bezwątpienia muszą mieć swoje lekarstwa!... Postęp codzienny tej nauki, tyle nowych i dobroczynnych odkryć, to zdanie silnie potwierdzają, i winnyby zagrzewać młode serca do poświęcenia się temu powołaniu. O! jakieżto musi być szczęście, jaka chwała, wynaleźć środek pewny ulżenia cierpieniom ludzkości, zgładzenia choć jednej nędzy!... Przykład tylu światłych i cnotliwych mężów, którzy tę zaszczytną drogę przeszli, chlubną zostawiwszy pamięć, przykład tych, którzy w oczach naszych nią idą, zachęcać powinien. Od najdawniejszych bowiem wieków, szczyci się ludzkość biegłymi i cnotliwymi lekarzami, szczyci się i Polska niemałą ich liczbą **); wiadomość o jednym z najda-

*) Ekklez: R. VIII.

***) Niech tu wolno będzie wnuczce unieść się godną wybaczenia dumą, i oddać hołd pamiętce cnotliwego dziada. Jan Baptysta Czern-

wniejszych, z różnych pisarzy *) czerpaną tu umieszczę. Sława, jaką sobie pozyskał, łatwo zachętą do naśladowania być może.

Długo Polska żywiła się rozumem obcój, szczególnieij włoskiej ziemi; zwłaszcza lekarzy miała wielu z tój krainy, ale wypłaciła jój się sowicie w osobie Józefa Strusia. Urodził on się w Poznaniu r. 1510, w początkach panowania Zygmunta I-go; musiał mieć starannych i dobrych rodziców, musiał téż i z dzieciństwa wielką okazywać zdatność, bo wcześniej opatrzony został nauczycielem. Tomasz Bedeman także Poznańczyk, pierwszy uczył go łaciny, i wpajał w niego początki nauk; potém oddany został do akademii krakowskiej, tylą uczonymi natenczas sławnój: tam pod Jerzym Libanem ćwiczył się w języku greckim, pod Walen-

piński, Dr. medycyny, urodził się 1721 roku, umarł 1786. Z lekarzy Polaków, zesłego wieku, był jednym z najbieglejszych i najwięcej sławy mających; są żyjące osoby, któreby tę prawdę potwierdzić mogły. Pobożność jego i cnoty, może jeszcze przewyższały wziętość i naukę; znaczną część dochodów poświęcał na dobre uczynki, i zdawało się, że zastosował zupełnie do siebie to zdanie Pisma Św.: „Bywa czasem i w rękę lekarza szczęście, bo i on prosi Pana, żeby dał choremu jego zdrowie ku żywotowi!“ Skoro miał bowiem niebezpiecznego pacjenta, natychmiast śpiewana Msza, w Farnym kościele zakupioną była, a do modlitw porannych i wieczornych dziełek i domowych, osobna dołączona prośba.... Ale wezwawszy na pomoc Niebo, nie zaniedbywał przytem żadnych ludzkich sposobów, nie szczędził pracy. Prawie każdego z chorych swych utrzymywał dziennik, zapisywał troskliwie oznaki i postęp choroby i środki jakich przeciw niej używa. Z licznych ksiąg takowych, które po nim zostały, mam szczęście mieć jedną w rękę, uważam ją za drogą pamiątkę. — Dwaj jego synowie Paweł i Jan, przy coraz udoskonalonych naukach, oddawszy się także lekarskiemu powołaniu, byliby zapewne przeszli ojca, gdyby śmierć zawczesna nie była prac ich i życia przetrwała. — Paweł zostawił pism kilka.

*) Obacz dzieła Bentkowskiego, Sołtykowicza, Juszyńskiego, rozprawę Arnolda o sztuce lekarskiej w Polsce.

tym Morawskim w filozofii i matematyce, a pod Cypryanem z Łowicza w naukach lekarskich. Ten szczególnie go pokochał, a upatrując w nim niepospolite zdolności, opiekował się nim i w domy znakomitych panów wprowadzał. Józef Struś młody, skromny, uczony, przytem i dobry poeta, (bo wiele wierszy pięknie z greckiego na łaciński język przełożył), podobał się wszędzie. Zyskał szczególnie względy Jana Chojeńskiego sekretarza koronnego, i za jego staraniem i pomocą wybrał się do Włoch, w roku 1532. Tam, osiadłszy w Padwie, gdzie najzawołani byli uczeni, umyślił umocnić się w języku greckim, i doskonalić się w sztuce lekarskiej; pracował nieustannie, dnie i noce trawił na zgłębianiu dzieł Galena i Hippokratesa, znakomitych w starożytności lekarzy; ale téż doszedł do czego żądał, do nauki i sławy: w dwudziestym szóstym roku za wolą Senatu weneckiego, professorem publicznym lekarskiej sztuki w akademii padewskiej obrany został, i tam dzieła Galena, zarzucone przez wieków dwanaście, z wielkim dla ludzkości pożytkiem wykładał, zwłaszcza naukę o pulsie, która w jego doświadczeniach stała mu się przewodniczką. Ze wszech stron liczni uczniowie zbiegali się na słuchanie tych nowych i tak pożytecznych nauk, i słuchali ich z uwielbieniem.

Wśród téj między cudzoziemcami sławy, nie zapomniał jednak Józef Struś ani o ojczyźnie, ani o rodakach; z bawiącymi wówczas w Padwie polskimi uczonymi, prawie jedynie przestawał, zwłaszcza z Stanisławem Hozyuszem, z Marcinem Kromerem, z Klemensem Janickim, z Stanisławem Orzechowskim, z Janem Starzechowskim; o zdrowiu ich miał troskliwą pieczę: Starzechowskiego z ciężkiej bardzo choroby do zupełnego zdrowia przywrócił; do Janickiego zaś, ciężki miał żal, bo zagrożony suchotami z których w młodym wieku umarł, lekceważył jego porady, i nie chciał iść za niemi. Lat kilka bawił Józef Struś zagranicą, coraz większój uży-

wając sławy; ale któż do lubej ojczyzny nie rad powraca? Za pierwszém więc wezwaniem niedawno panującego Zygmunta Augusta, pośpieszył do Polski; wzywał go król dla poratowania zdrowia ukochanej od siebie siostry, Izabelli królowej węgierskiej, która z koroną, ten droższy jeszcze klejnot utraciła; mianowany jej lekarzem, gdy pomyślniejsze dla tej królewskiej wdowy i jej syna nastąpiły losy, odprowadził ją do Węgier. Tam spotkał go zaszczyt wielki: Soliman drugi, sułtan turecki zachorował ciężko, cała mądrość wschodnich lekarzy, (lubo to wśród nich zawiązała się sztuka lekarska) pomódz mu nie mogła; posłyszawszy o Józefie Strusiu, przysłał do niego wielkie ofiarując dary, jeśli do Stambułu przyjechać zechce, i zdrowie przywrócić mu potrafi: pojechał Struś, wyleczył Sułtana, a suto obdarzony, już nie do Węgier ale do ojczyzny, do miasta rodzinnego powrócił. Syt chwały, chciał zakosztować słodczy domowego szczęścia, i wszedł w związki małżeńskie z panią przystojną, skromną, dobrze wychowaną, Polikseną Karśnicką, córką majątnego obywatela Poznania. Wzywał go natenczas koniecznie do siebie na lekarza nadwornego Filip II-gi król hiszpański, niezmiernie naznaczając mu nagrody: odmówił wszystkiego Józef Struś. Zygmunt August mianował go był lekarzem swoim, i szacował go wysoko; żył w ojczyźnie wpośród swoich, uwielbiany i ceniony, domowego szczęścia używał: czegoż mógł więcej żądać? Sława jego za granicą nie ustawała; dzieła Galena które w akademii padewskiej wykładał, dokładnie przetłómaczył i wydał w języku łacińskim; kiedy jedno i najznakomitsze z tych dzieł *Nauka o Pulsie* (Sphygmica) wyszła z druku w Bazylei, w dniu jednym ośmset egzemplarzy rozerwano. Dzieła się to w 1555 roku, i w tym samym czasie następujące zdarzenie utwierdziło skutkiem, ważność nauki o pulsie, i jak dobrym jest przewodnikiem w rozpoznaniu chorób ludzkich. Józef Struś wzywany od najpierwszych panów

w Litwie i w Koronie, przywołanym został do zacnego rodu panienki, która młoda, urodziwa i skromna, jedynaczka u majątnego rodzica, od jakiegoś czasu bez żadnych napozór przyczyn, nikła, i już zgasnąć miała, z wielkim ojca i domowych żalem. Struś wybadawszy ją pilnie, poznał wnet, że w duszy tkwiła przyczyna téj nadzwyczajnej ciała słabości; ale trudniejszym było odkrycie jéj, ile że poznańków żadnych, jakiegobądź tajemnicy, przed najbliższemi sobie nie dawała. Biegły i doświadczony lekarz umyślił użyć i tu wznowionéj przez siebie nauki, i za pomocą pulsu dojść przyczyny choroby; wiedział on dobrze, że kto w sercu chorego czytać umie, już napół słabość jego uleczył: wdawszy się sam na sam w poufałą rozmowę z młodą panią, a ciągle trzymając jéj rękę, wymieniał z kolei wszystkie namiętności, które gwałtownością swoją, pokonawszy duszę człowieka i pasmo życia jego przeciąć są zdolne. Na wymowny obraz gniewu, nie uderzył nic mocniej słaby puls łagodnej choć żywój z natury chorój; ani go téż poruszył bynajmniej, cały wylany jad zazdrości, ani wszystkie przedstawione nienawiści, zemsty i innych namiętności jędze; ale na lekkie o miłości wspomnienie, puls młodej panienki uderzył silnie i prędko pod palcami lekarza, i poznał tajemną przyczynę choroby. Udając jednak jakoby się nie domyślał niczego, prowadził dalej obojętną rozmowę; zwolna bicie pulsu chorój wróciło do dawnego stanu, a on wtedy jakby z niechcenia mówić zaczął o różnych osobach, o których sądził, że jéj serce zająć mogły; długo wymieniał to bogatych, to znakomitych panów, może nawet i nie przepomniął znanego z zalotności i z szczęścia do niewiast, panującego króla: puls zawsze był jednostajny; nareszcie więcej z natchnienia jak z namysłu, nazwał ubożuchnego lecz poczciwego szlachcica, który jako sierota w domu jéj ojca z dzieciństwa był chowany: tu znowu puls młodej panienki uderzył silnie i prędko, a lekarz poznał kto był

przedmiotem miłości. Zalety młodzieńca, poufałość w jakiej z nim od kolebki żyła, wiek prawie równy, wzbudziły w jej duszy żywą namiętność; ale różnica niezmierna majątku, wzbudzała słuszną obawę gniewu dumnego ojca, a panienka wstydem przejęta, wołała umierać jak wyznać niestosowne uczucie swoje... Lekarz błogosławiąc wznowioną przez siebie metodzie leczenia, ulitował się nad chorą, odkrył stan jej serca ojcu; i wątpić nie można, że ten szczęście i życie jedynaczki, przeniósł nad majątek i urząd zięcia, lubo o tém żaden ówczesny nie wspomina pisarz *).

Po tém zdarzeniu, żył tylko Józef Struś lat trzynastu; umarł w tém mieście, gdzie się rodził roku 1568, a wieku swego 58, na cztery lata przed Zygmuntem Augustem, który go mocno i słuszenie wraz z całą Polską żałował. Pisał wiele o sztuce swojej, niektóre z dzieł i tłumaczeń jego doszły do naszych czasów i są w zamożniejszych bibliotekach. Tym sposobem lekarz przedłuża życie, sławę i wpływ swój zbawienny, staje się dobroczyńcą nie tylko czasu i kraju w których żyje, ale i najodleglejszych wieków i ludów. Z dzieł i tłumaczeń Józefa Strusia, pisanych w języku łacińskim, w którym niezmiernie był biegły, sławniejsze są; jużto naprzód:

Nauka o pulsie, Galena, i cztery innych ksiąg jego.

Nad Hippokratesa dziełem *Kommentarze*.

Astrologia Lucjana Samosateńskiego, objaśniona.

O Antydotach z Nikolinów de Sabc i t. d.

Pisał także, jak było wspomniane wyżej i piękne wiersze łacińskie; znane są następujące:

*) To zdarzenie które pozwoliłam sobie nieco rozszerzyć, pod zdatnem piórem naprzykład *Odludków i Poety* autora, mogłoby snadnie podać treść komedyi więcj zajmującej, jak jest *Stratonika* w repertorium francuzkiego teatru.

Elegia o znakomitości sztuki lekarskiej, do Cypryana z Łowicza, mistrza jego w tej nauce.

Elegia do Jana Latańskiego, biskupa poznańskiego.

Do młodzieży, zachęcając ją do uczenia się wymowy; i inne tak tłómaczone z greckiego jak własne. Należy tu jeszcze dodać, że Józef Struś, tyle był troskliwy o posunięcie lekarskiej sztuki, tyle gorliwy w staraniach około chorych, że po kilka razy narażał się na morowe powietrze, ażeby ulgę przynieść zarażonym, nauczyć siebie i drugih czemby zapobiedz tej straszliwej pladze. Pokój niech będzie duszy jego, cześć i wdzięczność dla chlubnego imienia, a niech nadewszystko przykład jego wzrastających rodaków do naśladowania go zachęci.

WIADOMOŚĆ O ŻYCIU I PISMACH

KSIEDZA PIOTRA SKARGI.

(ur. 1536 r., um. 1612.)

Kiedy o mężu jakim pięknego dowiemy się czynu, poznać go radzi jesteśmy; jeżeli żyje, widzieć go chcemy, jeżeli już uległ prawom śmierci, szukamy skwapliwie wiadomości o nim, szukamy go w dziełach jego, jeśli piśmienne zostawił pamiątki. Tego doznałam zwiedziwszy *Bractwo miłosierdzia* w Krakowie, a pełna szczeręj chęci poznania zbliska życia i pism Skargi, starałam się uczynić jęj zadość jak tylko mogłam najrychlejš; owocem zachodów moich dziele się z wami, dzieci lube, nie wątpię, że wam miłym będzie. Nie wiele on mnie kosztował trudów, już dawnemi i tera-

źniejszemi czasy, znakomity ten człowiek i pisarz zwrócił uczonych uwagę, i już o Skardze pisano *); mnie więc zostało tylko dziś, jak zwykle, korzystać z badań i uwag bieglejszych od siebie, a z obfitego ich żniwa skromny dla was upleść wieniec.

Piotr Skarga pochodził z rodziny szlacheckiej, w Mazowszu osiadłej; właściwe jój nazwisko było Pawęczcy, ale dziad Piotra, ciężkich krzywd doznając, gdy się często przed Januszem, ostatnim z książąt mazowieckich skarżył, że od niego raz usłyszał słowa: „Wszystko się uskarżasz, miły Pawęczki, moglibyśmy cię Skargą nazwać.“ Słowa panów ust wiele powtarza; został Pawęczkiemu Skargi przydomek; a wnuk jego za właściwe nazwisko przyjął go chętnie, sądząc stosowném dla człowieka, imię, które u świata nędzę i frasunek znaczy. Ojcu Piotra Skargi było Michał; matka Anna z Świątkowskich, powiła go 1536 roku, na 12 lat przed śmiercią wielkiego Zygmunta; początkowe nauki brał w Grodku mazowieckim **), dziecinne i młodzieńcze lata strawił w pięknych i pobożnych obyczajach. W siedmnastym roku oddany do akademii krakowskiej, jako do nauk krynicy, napił się w niej prawdą, mądrością i cnotą; słuchał z uwagą mistrzów i przejmował się ich słowami; łączył się węzłem przyjaźni z celującą postępowaniem młodzieżą, nauk jednych, przykładu drugich używając z korzyścią i z serca rozkoszając. Po dwóch leciech, zgodnym głosem nauczycieli, odebrał jawne świadectwo postępu w naukach, i w niedłu-

*) Obacz kazanie *Fabiana Birkowskiego* na pogrzebie Skargi, miane 28 września 1612, *Życia sławnych Polaków* Tom I, k. III, r. 1788; *Herbarz Niesieckiego* Tom III, k. 715; *Bentkowskiego Historię literatury polskiej, Krótki rys życia Skargi* przez Piekarskiego, starszego Bractwa miłosierdzia 1814 r., a nadewszystko rozprawę księdza Aloizego Osieńskiego, *O życiu i pismach Piotra Skargi*, 1812 r. w Krzemieńcu wydaną.

***) Grójec, o sześć mil na południe Warszawy leżący.

gim czasie doktorem filozofii został. Szerzyć się zaczęła i za murami akademii dobra sława jego imienia, gdyż chętnie każdy wspomina o młodym, który wcześniej do cnoty i pracy się biorąc, chlubę i pożytek ojczyźnie rokuje. Jędrzej Tęczyński wojewoda krakowski, oceniając rzadkie Skargi przymioty, porucił mu dozór nad synem jedynym, owym Janem z Tęczyna, którego życie świetne tak krótkim być miało; z nim pojechał do Wiednia, a chociaż młody *) , wzbudzał w uczniu szacunek i uszanowanie, bo cnota ma czasem większą od lat powagę. Ztamtąd wróciwszy, zachęcony od Tarła, lwowskiego arcybiskupa, przychylił się do stanu duchownego, i 1563 r. poddyakonem został. Obok innych zalet, istniała w nim szczególnie iskra prawdziwej wymowy; dar ten drogi, nie wielu osób przywiliej, godzien jest troskliwego pielęgnowania: wymowę pannaować nad drugimi można, zagrzewać do cnoty, chęć pięknych czynów obudzać; możeż więc szlachetniejsza władza spoczywać w umyśle człowieka? Arcybiskup Tarło dostrzegłszy tego daru w Skardze, zapragnął jak najspieszniej ozdobić i wzmocnić takim mówcą kościół katolicki, i rozwalniając dla niego przyjęte ustawy, udzielił mu w krótkim czasie święceń kapłańskich, i kaznodziei godności. Wielkiem jest i jednem z najważniejszych to powołanie; z ust człowieka poświęconego opowiadaniu słowa Boga, lud chrześcijański prawdy, światła, nauki, wymowy żąda, a z życia jego potwierdzenia tych świętych przepisów wymaga. Rzadko się zdarzy, aby kto podobnie jak Skarga do tak chlubnego zawodu był usposobiony, ażeby spełnił go dokładnie. Obda-

*) Wiadomo każdemu, że Jan z Tęczyna, wojewoda bełzki, wysłany w poselstwie do Szwecyi, zyskał tam serce Cecylii królowny; a gdy powtórnie płynął do tego kraju chcąc ją zaślubić, napadnięty od Duńczyków, w niewolę wzięty został i w niej umarł, r. 1562. Jan Kochanowski i Julian Niemcewicz uwiecznili tę przygodę w pismach swoich.

rzony od natury płynną wymową, zdrowym rozsądkiem, pracą rozkrzewił te dary, nauką siły i wzrostu im dodał, karmił je wczytując się w Pismo Święte, i w pełne męskiej wymowy dzieła Ojców Kościoła i starożytnych pisarzy; język ojczysty poznał z gruntu, i zupełnie nową przyodziął go pięknnością i mocą, a wykonanie nauk które głosił wziął na siebie, i to, co usta opowiadały, stwierdzał czyn każdy.

Zaraz po wyświęceniu się na kapłana, otrzymał za staraniem wdzięcznego Tęczyńskiego probostwo rohatyńskie i kanonię lwowską; brzmiała stolica Rusi Czerwonęj pochwałami cnót i wymowy młodego kaznodziei, rozlegał się ich odgłos po całej krainie, i zdarzyło się razu jednego, iż wezwanym został przez znakomitą niewiastę do upamiętania jej małżonka i całego domu, aby wiary ojców nie odstępował. Tą niewiastą była żona Jana z Tarnowa, kasztelana wojnickiego; na jej wezwanie pojechał Skarga do Gorliczyna, gdzie hrabia z dworem przemieszkiwał; wymową tyle sprawił, iż spełził wnet w tym domu zapał do odmian i nowości; a gdy potem w lat kilka kończył swe życie Tarnowski, chciał koniecznie na rękach Skargi umierać, i kiedy już bliskim był zgonu, powiedział do niego te słowa Dawida: „Wchodzę w dolinę śmierci, lecz nie boję się złego, albowiem ty przy mnie.“ Pięć lat podobnie zeszło Skardze, lecz wnet złożył probostwo i kanonię, opuścił Lwów, szersze dla gorliwości swojej upatrując pole.

Zajmował wtenczas uczoną Europę i wszystkich ludzi myślących, w roku 1534 przez Ignacego Lojole ustanowiony w celu obrony wiary i jej rozszerzenia, zakon Jezuitów. Szczególny duch jedności panował w tém zgromadzeniu, tam miłość własna, chęć dobra osobistego, znikwały zupełnie przed sławą i pożytkiem ogółu; każdy Jezuita zapominał czém był, czém być mógł, a myślał jedynie o wywyższeniu zakonu. Takim duchem tchnące zgromadzenie, wnet zajaśnieć musiało; w przeciągu lat trzydziestu rozszerzył się téż ten

zakon niepojęcie, i zagarnął ludzi uczonych i zdatnych ze wszystkich Europy krain; w r. 1566, Hozyusz kardynał sprowadził go był do Polski, i pierwsze kolegium zbudował w Braunsbergu, a głośna wszędzie Jezuitów sława, opieka papieżów, wielkie wstępujących przykłady, wzbudzały w młodzieży chęć należenia do nich. Tą chęcią przejął się Skarga, a pobudzony jeszcze przykładem Wysockiego Szymona przyjaciela swego, z nim razem, w r. 1568, puścił się w podróż do Rzymu, chcąc tam suknię przywdziać zakonną. Na początku téj drogi piękny dał przykład uraz przebaczenia; wstąpił bowiem do Mieleckiego wojewody podolskiego, a zastawszy wraz z małżonką napojonych Lutra i Kalwina nauką, chciał ich nawrócić słowy swojemi; ta gorliwość zapaliła wielkim gniewem wojewodę: wyjeżdżać mu kazał z swego domu natychmiast, a sługom zalecił, ażeby śmiałego księdza z pierwszego mostu w rzekę zrzucili. Nie wykonali słudzy rozkazów pana, pewni późniejszej pochwały; jakoż nazajutrz, gdy z zaciętego gniewu ochłonał, wyprawił jak najspieszniej jednego z swych dworzan za Skargą z przeprosinami, i ze stem czerwonych złotych na drogę. Dogonił dworzaniin Skargę w Jarosławiu; ten odpisał: iż przeprosiny rad przyjmuje, zapomnienie urazy oświadcza, lecz złoto odsyła, bo przebaczenie się nie sprzedaje.

W Rzymie przyjęty był jak najmiliej, poprzedziła go już sława; Franciszek Borgiasz generał zakonu, obłókł go sam w szatę jezuicką jako i Wysockiego, w pięć miesięcy po ich przybyciu. Dwa lata pilnych nauk i ostrego doświadczenia spędził Skarga w stolicy chrześcijaństwa; ale mimo pochlebnych nadziei, któremi go we Włoszech zatrzymać chciano, mimo względów Piusa V papieża, miłość ojczystego kraju, z której jednej wyzuć się nie chciał, przyciągnęła go do rychłego do Polski powrotu. Stał na rodzinnej ziemi w r. 1571, na rok przed śmiercią Zygmunta Augusta. Przeznaczony od zakonu swego, aby słowo Boże po kraju

roznosił, kazał naprzód w Pułtusku, potem w Wilnie, w Inflantach, i na różnych miejscach, przez lat dwanaście, wszędzie dając wymowy, gorliwości i cnoty dowody. Stefan Batory, prawdziwej zasługi czciciel, jego uczynił pierwszym rektorem założonej przez siebie w Wilnie akademii, i dla tego ona obok wizerunku Protasiewicza, obraz Skargi dotąd chowa. Wielką sobie uczyniwszy w Litwie i na Rusi sławę, tak ustną jako i w dziełach okazywaną wymową, piórem równie jak usty nauczał, oświecał; urządziwszy kolegia w Jarosławiu, w Dorpacie i Połocku przybył do Krakowa w początkach 1584 r., i tam po krótkim pobycie, zjednawszy sobie we wszystkich stanach miłość i dobre imię, uczynił ów piękny zakład, który go w rzędzie dobroczyńców ludzkości stawia. „Gdyby nie miał Skarga innych praw do nieśmiertelnej pamięci (mówi wiarogodny pisarz), samo zaprowadzenie przezeń *Bractwa miłosierdzia*, i chwalebne ustanowienie banku pobożnego na wsparcie biędnych, uwiecznić imię jego powinno.“ Zakład ten dopełnił też miary sławy jego, i w roku 1588 wezwanym został na kaznodzieję nie dawno siedzącego na tronie Zygmunta III, i był nim przez ćwierć wieku.

Nie trzeba silić się zbyt, ażeby pojąć jak wielką jest godność królewskiego kaznodziei; on niemal sam jeden napomnienia i prawdę publicznie tym niesie, których tak często obłuda i pochlebstwo otacza; on już nie jedną tylko rodzinę, nie jedną wieś lub miasto, ale kraj i naród cały winien mieć na oku, znać dokładnie potrzeby i wady obudwóch, ażeby im zawsze trafną i stosowną nieść pomoc i naukę. Godność ta wszędzie znakomita i trudna, kto wie czy w Polsce jeszcze trudniejszą niż gdzieindziej nie była; kto wie czy u nas możni nie więcej od króla obrażali się prawdą, a było ich zawsze tylu, a mówić do nich otwarcie powinnością jest wyznawcy Boga prawdy. Skarga i temu powołaniu zadosyć uczynił; nie skaziło ust jego pochlebstwo,

nie miał na osoby względu: przestróg, napomnień nawet nie szczędził, pamiętał zawsze, jakiego Mistrza naukę głosi, pamiętał i na to, że kapłan Boski, że sługa całego rodzaju ludzkiego, był pierwój obywatelem téj ziemi, członkiem tego towarzystwa, które dzisiaj nauk jego z uczczeniem i pokorą słucha. W kazaniach téż jego dziejopis i polityk nie mało światła znajdują, są w nich zbawienne nauki. Jest wspomnienie o każdym ważniejszém zdarzeniu w Rzeczypospolitéj, nagana błędu każdego, ubolewania nad stratami, które pożytek dla kraju z godziwością łączą; onto tak znał smutny już wtedy i upadkiem grozący stan kraju, że kazania jego, zwłaszcza sejmowe, prorockim duchem natchnione się zdają. Ale głos jego, chociaż tak wymowny, był niestety! po większój części *głosem wołającego na puszczy*, i nie wielu przekonał. Zwolennik jednak Chrystusa zawsze prawdę głosił, lubo jak Mistrz jego ściągał nią na siebie zniewagę i obelgi. Tak raz, gdy na rozrzutność i zbytki sług Kościoła z ogniem powstawał, synowiec tego, od którego ukrócenie tych nadużyć zależało, zaczaiwszy się na wracającego do domu kapłana, dał mu policzek. Na tę obelgę Skarga, Zbawiciela odpowiedział słowy: *Jeżelim źle mówił, daj świadectwo o złem*, a gdy król, dowiedziawszy się o zniewadze kaznodziei swemu uczynionój, hardego młodzieńca na śmierć skazał, niepomny urazy Skarga życie mu wyprosił.

Chociaż Zygmunt tak wysoko cenił kaznodzieję swego, chociaż do ważnych spraw od niego był wybierany, jako to w r. 1606 do upamiętania Zebrzydowskiego; chociaż najwięcej dla tego, że imię Piotra nosił, piękny kościół krakowski oddał opiece apostoła tegoż imienia, przecież nie nadużywał Skarga łask monarchy, i nigdy ani dla krewnych, ani dla zauszników swoich, darów nie żądał: jeśli co kiedy wyjednał, to dla zakonu swego, bo nie odstąpił w niczem od pierwotnego ducha tego zgromadzenia, i dla ubogich, dla których można bez wymówki zebrać względów pań-

skich *). Przechowały nam dzieje pamięć jednego woźnicy **), któremu ze skarbu dochód dożywotni wyprosił, a jak mówi Birkowski: „ludziom prostym i ubogim zawsze ucho łaskawe i poradę dawał, a gdy wielcy panowie o przyczynę jego do króla prosili, dziwnie się frasował i jako mógł wymawiał.“ Sam też dla siebie mało potrzebował; chociaż był królewskim kaznodzieją, zakonnikiem być nie przestał, a u dworu zamożnego, ubóstwu, na które przysiągł, wiernym być potrafił. Kto tylko wszedł do komórki jego, dziwił się, że tak ubogie było łóżko, ławaterz, ławki, że stoliki nieprzybrane widział. Niektórzy mówili mu: „Nie takie mieć powinien kaznodzieja królewski mieszkanie.“ „Ale takie ubogi zakonnik,“ odpowiadał im z pokorą. Nigdy też nie zwał się inaczej tylko *ksiądz Piotr Skarga Jezuita*, tytułu kaznodziei na rzeczach jego, pismach nikt nie widział, ani się też inaczej zwać pozwalał; szlachectwem nawet się nie szczycił, lubo żył w czasach, kiedy wielu herby więcej nad mądrość i cnotę ceniło. Posłuszeństwa zakonnego tak strzegł, że nigdy nic ważnego nie przedsięwziął bez wiedzy i pozwolenia starszego z zakonu; z przychodów i wydatków swoich co rok rachunek mu czynił, chociaż od króla miał opatrywane potrzeby swoje. Chwili jednej na próżnowaniu nie spędził; wiele czasu poświęcał modlitwie, nad kazania-
mi swemi bardzo pracował, poprawiając je, a nawet przepisując po razy kilka; przed napisaniem każdego modlił się gorąco, a nawet srogie umartwienia ciała zadawał, skoro ważne jakie przedsiębrał dzieło (bo do późnych lat pisał), jakby tęp uskromieniem ciała, ducha chciał podnieść,

*) Szpital Ś. Łazarza, dotąd w Warszawie istniejący, najwięcej Skardze byt swój winien; wsnął on go wyjednanemi u króla i panów jałmużnami.

***) Obacz n. 18 Rozrywek, K. 292, drugie wydanie.

jakby się czuł niegodnym szczęścia być użytecznym *). Czytywał wiele, a kiedy utrudzony umysł długą pracą potrzebował roztargnienia nie chcąc nigdy próżnować, szukał go w ręcznej robocie; kleił teki, oprowiał książki, robił kałamarzyki, ulepił świece, a nawet czasem szył koszule dla siebie i dla spółbraci.

Tak mało mając potrzeb, gusta tak skromne, nie dziw że gdy w lata zachodzić począł, żądał usilnie od króla uwolnienia z godności kaznodziei, od starszego powołania do ciszy zakonnój; oba z trudnością chęciom jego zadosyć uczynili: pierwszy czuł, jak mu był taki przyjaciel duchowny potrzebny, lubo go nie słuchał we wszystkiem; drugi wiedział, że z każdym rokiem publicznego życia Skarga rosła chwała zakonu. Jednak starcowi znękanemu wiekiem, skołatanemu ciężką pracą, trudno było bronić dłużej wytchnienia; otrzymał więc Skarga żądane pozwolenie. W sam dzień Wielkanocy ukazał się po raz ostatni w Warszawie na kazalnicy w kościele katedralnym św. Jana, tam skończywszy naukę, która każdemu śpiewem łabędziowym się zdała, tkliwym głosem żegnać zaczął króla, dwór jego, i wszystkich obecnych; własne łkania mowę mu przerywały: dokończyły ją wymownie łzy słuchaczy.

Przyjechawszy do Krakowa, zamknął się Skarga w izdebce zakonnój, a wnet czując zbliżający się kres ostatni, nie mając siły być użytecznym, bo już mówić nawet nie mógł, tylko z wielkim bólem i ciężkiem oddechnieniem, oddał się cały modlitwie i pobożnemu czytaniu. Przy takowem zatrudnieniu zastawał go każdy który go odwiedzał; tak

*) Została się po Skardze książeczka, w którój zapisane było, wiele przed niektórymi pismami, cierpienia ciała swemu zadawał. Takowa jakby danina Bogu, za to, że mu dobrze czynić bliżnim pozwalał, jakże nas zawstydzac powinna, nas, którzy, kiedy co użytecznego dla drugich czynimy, jeszcze od nich pochwał i nagród żądamy.

raz gdy wchodził do niego prowincyał Jezuitów, zobaczył go dumającego nad listem Pawła Apostoła, do Żydów. „Zesłeś mnie Ojce, powiedział wchodzącemu, na słodkiem czytaniu słów świętych; lubo cierpię, rozważając je, zdaje mi się, żem nic jeszcze dla Boga nie ucierpiał, na żadną nie zasłużył nagrodę, bo jakież tu widzę słowa: „Przez cierpliwość bieżmy w zawodzie... patrząc na Mistrza naszego, który krzyż podjął, i dopiero usiadł na prawicy Boga.“

Trzy miesiące podobnie spędził, budując słodyczą, pobożnością swoją zakon cały; tak umierał jak drugich umierać nauczał: opatrzony wszelką pomocą jakiej wiara używa, wsparty nadzieją, która cnotliwych nigdy nie opuszcza, czekał spokojnie chwili ostatecznej, patrzył na nią, mówił o niej bez trwogi. Nareszcie dnia 26 września 1612 roku wstał na chwilę z łóżka, w którym od jakiegoś czasu odpoczywał często; właśnie w dniu poprzednim przyjął był Sakramenta, przeszedł się po izdebce z pomocą otaczających go, mówił do nich, żegnał się z niemi, potem się położył, i natychmiast bez bólu, bez jęków, oddał ducha Bogu. Nie skonał, ale zgasł jak ta lampa której już niestanie żywiołu, usnął jak sprawiedliwy usypia. Śmierć jego, chociaż spodziewana, żal wielki wzbudziła w zakonie i w Polsce całej; na pogrzebie, na dniu 28 września w kościele św. Piotra odbytym, wtórowały łzy i pochwały pięknemu Birkowskiego kazaniu; złożono ciało jego w grobach tegoż kościoła; ale dopiero w lat 83 doczekało się cynowej trumny, i następującego w języku łacińskim napisu: „Ta trumna zawiera w sobie Złotoustego, przewielebnego sługę Boga, Piotra Skargę, ze zgromadzenia Jezusowego. Na wieczną oznakę żalu zostanie to dzieło, iż okazalszy grobowiec nie obejmuje zwłok męża, który dwory królewskie cnotami, świat chrześcijański pobożnością, książnicę nauką, swoje zgromadzenie zaszczytem, a niebo zbawionemi duszami napełnił.

Lecz on apostolskiego ubóstwa będąc wielkim czcicielem, nie byłby nawet na taki pomnik zezwolił, jaki tu Stanisław Bielecki, ze zgromadzenia Jezusowego, kosztem JO. księżnej Katarzyny z Sobieskich Radziwiłłowej, na uczczenie wielkich cnót jego, poświęcił r. 1695.“

Tak cnotliwe, bogobojne, użyteczne życie, śmierć tak piękna, pomnik ludzkości w *Bractwie miłosierdzia* zostawiony, zdaje się iż byłyby dostatecznymi powodami do uwiecznienia chwały Skargi. Nie, ma on do niej jeszcze inne prawa: jako był w wieku swoim jednym z pierwszych mówców, tak, że go nawet różnowiercy dusz tyranem (Psychotyrannus) zwali; tak dotąd w pierwszym jest rzędzie pisarzy naszych, i tego miejsca nikt mu nie zaprzeczył. Dziwi się nie jeden uczony obfitości dzieł jego, dziwi się więcej jeszcze mocy i piękności języka, a każdy Polak przejęty czułą ku niemu wdzięcznością, iż w ojczystej pisał mowie. Wielu ganiło mu wręcz ten obyczaj, mówiąc: że gdyby po łacinie pisał, europejską mógłby mieć sławę, zwłaszcza, że w tym języku bardzo był biegły; tym on tak odpowiadał: „Język łaciński już jest stary i od wielu wieków dojrzały; nasz zaś młody, ukształcenia potrzebuje: wreszcie Polak jestem, dla Polaków tylko żyję, myślę i piszę!“ O! jakżeby te ostatnie słowa godne były złotymi literami być wyrte, jak przytomne być powinny każdemu Polakowi i Polce. Skarga, pisząc po polsku, zasłużył jednak na wieczną sławę, i może nie mamy pisarza, któryby więcej pochwał uzyskał. Z tych niech mi wolno będzie powtórzyć niektóre:

„Nie rychło, (wyrzekł *Birkowski*) takiego kaznodzieję Polska nasza obaczy, który serca ludzkie trzymał w rękę swych i obracał niemi kiedy chciał, przez dziwną a jemu tylko daną wymowę. Płynęły złote słowa z ust jego; a jako Grecya wspomina swego Jana, Włochy Piotra, tak Polska może wspominać przez długie czasy Piotra Złotoustego, dla wdzięcznej, słodkiej, złotej prawie wymowy jego.“

„Wielkiego tego męża (nakreślił *Krasicki* w przypisach własnoręcznych do *Niesieckiego*) najodleglejsza potomność słać powinna; dzieła jego znakomite, a oprócz tych zaszczytów, kto tylko po polsku mówić chce lub pisać, niechaj się w niego wczytuje.“

„Do Skargi przystosować można (powiedział w swojej rozprawie *Aloizy Osinśki*), co niegdyś o *Plutarchu* mówiono; gdyby poprzedników jego zaginęły prace, w nim jednym pozostałyby piękności i wzory mowy ojczystej.“ „Chceszli zostać (mówi *Woronicz*) dobrym kaznodzieją? czytaj Skargę; filozofem? czytaj Skargę; teologiem? czytaj Skargę; dziejopisem? czytaj Skargę; politykiem? czytaj Skargę; chrześciani-
nem? czytaj Skargę. Skarga jest wszystkiem dla wszystkich.“ *Bentkowski* niemniej go zaleca, *Brodziński* prawdziwym mówcą, kaznodzieją narodowym go zowie, i przypisuje mu tę zaletę, iż tak przyswoił językowi naszemu Pisma Świętego tok i wymowę, iż zdawać się może, czytając go, że język polski pierwotnym był Biblii językiem.“ Cóż dodać po tych pochwałach: oto spis dzieł Skargi, najdokładniejszy jaki otrzymać mogłam, i niektóre z nich wyjątki.

SPIS DZIEŁ SKARGI.

1. Kazania na niedziele i święta całego roku, w Krakowie u *Piotrkowczyka*, 1595.
2. Kazania o siedmiu Sakramentach, do których są przydane kazania przygodne, 1600.
3. Kazania przygodne i inne prace drobniejsze, nieraz przedrukowane.
4. Kazania sejmowe, jako i z różnych okoliczności miane.

5. Roczne dzieje kościelne od N. C., wybrane z Baroniusza, 1603.
6. Żywoty Świętych Starego i Nowego zakonu, na każdy dzień roku, kilkakroć za życia Skargi i po śmierci wydane.
7. O jedności Kościoła Bożego, wydane naprzód 1577 r. z przypisem do księcia Konstantego Ostrogskiego, powtórnie 1590.
8. Upominanie do Ewangelików i do wszystkich niekatolików, w Poznaniu, 1592.
9. Proces na konfederacyę.
10. Dyskurs na konfederacyę.
11. Synod Brzeski.
12. Zawstydzenie Aryanów w Krakowie, 1608.
13. Wtóre zawstydzenie Aryanów przeciw Jaroszowi Moskorzowskiemu.
14. Messyas nowych Aryanów, według Alkoranu, w Krakowie, 1612.
15. Próba zakonu zgromadzenia Jezusowego.
16. Żołnierskie nabożeństwo, w Krakowie, 1608.
17. Na treny i lament Teofila Ortologa, przestroga do Rusi, w Krakowie, 1606.
18. O czterech końcach żywota człowieka, w Krakowie, 1606.
19. Ordynacya Bractwa miłosierdzia w Krakowie, 1584.
20. Bractwo św. Łazarza i powinności onego.
21. Pobudka na modlitwy 40-godzinne.
22. Siedm filarów, na których stoi katolicka nauka o N. Sakramencie; dzieło, które z razu po łacinie napisał, a później na polski język przełożył 1582.
Nakoniec dwa pisma łacińskie o N. Sakramencie przeciw różnowiercom, jedno w 1576, drugie w 1582 r.

KAZANIE

MIANE NA POGRZEBIE KRÓLOWEJ POLSKIEJ

ANNY JAGIELLONKI,

dnia 12 Listopada 1596 roku w Krakowie.

Omylna przyjaźń i próżną jest piękność.
 Niewiasta bojąca się Pana, ta wychwalaną
 będzie. *(Przypowieści Salomona Roz. 31).*

Godzi się po śmierci człowieka pobożnego chwalić, przykład cnót jego ludziom zostawić, pamiątką wieczną dobroć jego uczcić i żałować a płakać śmierci jego. Przed śmiercią nie chwal nikogo *) dla odmiany i niedotrwania, któremu ludzka słabość podległa; lecz po dokonaniu pracy i drogi żywota tego i po skończeniu roboty chwalmy dobre robotniki, aby wspomnianie ich było ku błogosławieństwu, nam do zbudowania, onym do zapłaty. Nie będziemy chwalić tej białejgłowy królewskiej z urody i wdzięczności, bo to lekkie i wspólne ze złemi dary; ale jako mędrzec karze, z bojaźni Bożej i z cnót, które z niej rosną, sławić ją winni jesteśmy. Pierwój jednak włożyć to chcę do serc waszych, dla zbaWiennój przy pogrzebie nauki, jako śmierć wielkich ludzi, płci obojój, większe w nas uzalenie nad ludzką nędzą wzbudza; jaśniej w niej na słabość szczęścia świeckiego patrzymy, znaczniejszy jest i głośniejszy ich upadek, większa w nich bojaźń mocy Boskiej, straszliwszy do sądu Bożego przystęp, większa szkoda i żalność, gdy wielkiego i królewskiego stanu ludzie umierają.

*) Ekkleziast.

Okrom samego w ciele żywota, nie wiele ubogiemu śmierć odejmuje. Mało miał, niewiele traci i nie jest wielkie nad jego śmiercią uzalenie. Lecz człowiek stanu szczęścia wielkiego, z bogatego staje się ubożuchny nędznik; póki żył, tysiącami szafował, skrzynie złota i srebra napełniał; swojem to być mienił i w tém się kochał i przygód żadnych się nie bał; a gdy zasnął, nic nie znalazł w ręku swoich! ze wszystkiego złupiony i odarty, jako pojmaniec najnędzniejszy został. Śmierć wszystko wydarła i porzucić kazała.

Z onego rozkosznika w potrawach, w szatach, pościeli, jedwabiach, w woniach drogich, staje się brzydki i sprośny trup; z onego podniosłego i gromadnego, wielkim dworem ludzi ubranych i zacnych obtoczonego, staje się u grobu i w ziemi odbieżany, wzgardzony i osierociały. Z onego możnego, przed którym wszyscy drżeli, staje się pośmiewisko i wzgarda; jako straszydło u prosa, po którym ptacy depczą, co najprzód przystąpić do niego nie śmieli. Z onego, który do siebie wszystko garnał, zbierał, brał, zamykał, ścisnął, stała się rozbita puszka, w którą młot śmierci uderzył i z niej wszystko wysypał.

O! dziwna a straszliwa odmiano... Tak gdy Amaza, wielki Dawida króla hetman, zabity na drodze z wyciekłemi trzewy leżał, żołnierze mijający mówili: Onże to tak wielki pan, co chciał być na miejscu Joabowem? patrz, na co przyszedł! Gdy Jezabelę, przed którą ziemia drżała, z okna zrzucano i zdeptaną kopytami końskimi psy jadły, lud mówił: Onaż to Izabel? Srogie i ciężkie odmiany w śmierci panów wielkich, smutne uzalenie nad nędzą ludzką pobudzają, czego na ubogich i niskich ludkach nie znać.

Na wielkich panach, gdy umierają, łatwiej doznawamy słabości wszystkiego ludzkiego szczęścia i niepodobnej naprawy i trwałości jego. Gdy ubogi umarł, mówiwy: Nędza go i niedostatek umorzył; nie miał co jeść, grubemi potrawami się zepsował i robotą zerwał; nie miał się czém leczyć,

ani barwiera, ani doktora mieć nie mógł, ani lekarstw potrzebnych. A panu wielkiemu z Indyi lekarstwa przywożono, ze Włoch doktory miał, co najkosztowniejszych i najzdrowszych potraw używał, a przecie nic nie pomogło, odjąć się śmierci nie mógł.

Gdy ubogiego kmiotka zabija i wszystko po nim zginie, nie dziwujemy się i ludzkiej niepotężności nie znamy, bo mały odjąć się nie mógł i jako robak zdeptany jest. Ale gdy pan i król wielki, który takie wojska i tak straszną moc i dostatek wojenny i domowy miał, upadnie i poleże i wszystko się po nim rozproszy, dopiero mówimy: „Nic na świecie nie masz mocnego ani trwałego, odmiana i nędza najwyższe szczęście tego świata rozbija!.. Żarty z ciebie każde szczęście czyni, trochę się ukaże, a wnet odbieży i zdradzi!“ Gdy kto ubogi umrze, wstrząsienia, wzruszenia i odmian żadnych po nim nie masz, jakoby liść z dębu cichuchno zleciał, jako o jego narodzeniu, tak też o śmierci ledwie kto wiedział i nie masz po nim rozruchów, ani swarów, ani niepokojów, ani odmian. Lecz gdy pan wielki umarł, jako dąb mocny, ogromny głos i trzask, lecąc na ziemię, uczynił. Wszyscy się przełękli, drudzy w niepokoję i w swary wielkie po nim wpadli, drudzy szkodę i zgubę swoją śmiercią jego odnieśli i jest z śmierci panów i królów większy przestrach i nauka dzielniejsza. Przestrach jest, bo jeśli lew tak poległ, a cóż szczeniátko? jeśli się dąb tak mocny obalił, a cóż z małą wierzbiną będzie? Nauka jest, iż szczęścia świata tego nie takie są, jako się widzieć dadzą, ale są, jako je Apostoł nazwał malowanie, rzeczy saméj w sobie niemające.

Na pańskich śmierciach straszliwa jest moc Boska. Panowie są jako morze, które się wiatry podnosi i burzy, i straszliwi są, wszystkim zatopieniem grożąc. Lecz im Bóg mówi: „ucichnij! poty wylewaj, tu stój!“ *), gdy im koniec

*) Job 31.

żywota zamierza i moc ich króci. Niewielka siła trzcinę zła-
mać i ubogiego umorzyć, to moc jest najwyższa i straszliwa,
której się wszyscy bać mamy.

Nakoniec większa jest szkoda i żalność z pańskiej śmier-
ci, niśli z ubogiego, bo panowie i królowie dobrzy, wielkie
pożytki ludziom czynią, rządem, sprawiedliwością, obroną,
pokojem i czujnym o poddanych swoich obmyślanem. Gdy
król Saul zabity jest na wojnie, kazał Dawid białogłowom
płakać, mówiąc: „Córki izraelskie, płaczcie nad Saulem, który
was odziewał jedwabiem w rozkoszach, który dawał ubiory
złote strojom waszym.“ Pewnie ręką swą Saul niewiastom
poddanym nie dawał ubiorów, ale je dawał obroną i poko-
jem, za którym się bogactwa i dobre mienia rozmnażają pod
pany, którzy miłują lud swój. — Jako był on Machabeusz
i bracia jego miłośnicy narodu swego, dla którego radzi
zdrowie kładli; gdy w bitwie poległ, płakał lud mówiąc:
„Polegli mocarze, którzy wybawili lud izraelski.“ Nad Abne-
rem, gdy umarł, Dawid płakać téż kazał... bo wiele wszyst-
kim na jednym królu albo hetmanie dobrym zależy. Gdy
dobry pan umrze, słusznie, jako jest u proroka, mówić i ża-
łować mamy: „Upadła korona z głowy naszej, biada nam,
żeśmy zgrzeszyli!“ Acz téż z drugiej strony wielka jest lu-
dziom ochłoda i radość, gdy zły pan i niepożyteczny albo
tyran umiera. Bo inaczej światby nigdy pokoju nie miał,
gdyby śmierć nie pomagała. A kto go ukróci? a kto złego
naprawi, a kto tak jadowitego lwa i wilka, który się ludzką
krwią karmi uskromni? sama śmierć, która w tej mierze jest
bardzo pożyteczna, iż złym nie da na wieki grzeszyć i szkodom
i niepokojom ludzkim zabiega, gdy tyrany i niesprawiedliwe
morzy i zabija.

Nie o takich nam teraz rzecz, ale o tej wielkiej królo-
wój Annie Jagiellonce, której żalność ten pogrzeb czynim,
która nietyło szkody żadnej królestwu temu i ludziom swoim
nie uczyniła, ale osobliwą miłośnicą narodu swego będąc,

wielce im pożyteczna była; pokój, dobra ich rozmnażała i z wielkich trudności wrywała, iż zejścia jój bez żałości i serdecznego bólu i wylania łez naszych wspominać nie możemy. Nietylo wszystkim pożyteczna i Rzpltej i poddanym swym jako matką była, ale tę cnotę przełożonych dobrych z przodków swoich wzięła i ona rodzaj ich jako ostatni potomek zamknęła... Prawnuczka jest Jagiełły ta Anna królowa, który litewskie szerokie państwa z koroną tą złączył, poznawszy Boga prawego, cały naród litewski Mu uzyskał... córką jest Zygmunta. On między wszystkimi braty swemi w panowaniu najślawniejszy i najszczęśliwszy był; wielki obrońca wiary, nabożeństwem Bogu miły, zwycięzcy wielkimi sławny, nieprzyjaciołom koronnym straszliwy, domowym swym wdzięczny, miłośnik wielki ludu swojego, mądry, sprawiedliwy, cnót chrześcijańskich pilny... Między czterema córkami Zygmuntowemi, sama Anna w koronie dla wielu niebezpieczności, które Bóg przez nią oddał, została.

Młodość jój i wychowanie przystojne królewskiej dostojności i chrześcijańskiej było. Od starszych swoich wiary katolickiej i nabożeństwa przyuczysz się, dziwnie je rozmnażała i statecznie w nich trwała... Na modlitwie w kościołach wiele godzin nad zwyczaj i siłę niewieścią trawiła... między pospółstwem nieznojoma, jako uboga jedna w kościele zostawała, zwłaszcza w Warszawie u Bernardynów. W postach była bardzo surowa, zwłaszcza gdy do św. Sakramentów przystępować miała, albo gdy w potrzebach pospolitych jakie modlitwy nakazane były, albo gdy mąż jój Stefan na wojnie przemieszkiwał. Środy nigdy jedzeniem mięsa aż do śmierci i z czeladką swoją nie przestąpiła. W ceremoniach i w służbie kościelnej tak była umiętna i ćwiczona, iż sama kapłanom, zwłaszcza warszawskim, za biskupa i wizytatora stała i na nią się w pilności służby Bożej oglądać musieli. Miłowała stan panieński i w nim miała wolę zostać aż do śmierci, by jój była miłość ku Rzpltej i ojczyźnie, uspokojenie króle-

stwa tego nie odradziło. Po wszystkim wiek swój żadnej nigdy przymówki, ani podejrzania ze strony skromności nie miała i była zawdy wszelakiej nieuczciwości nieprzyjacielem; swoim nie przypuściła i dlatego wiele prześladowania i frasunków od wyższego stanu białychgłów cierpiała. Żywot wszystkim jęj pełny był frasunków i utrapienia, na którym królom i wielkim stanom nie schodzi. Drudzy mniemają, że to największe szczęście na świecie królem być albo krolową... a wysokie drzewa więćej wiatrom mocnym podległy, częstsze na nie troski i bojaźni; na wyniosłe wieże częściej gromy biją. Bardziej ich każda krzywda i nędza boli, bardziej ich każdy przypadek stroszcze. Z młodości patrzyła na śmierć ojca swego Zygmunta Wielkiego, patrzyła na smutny odjazd matki swojej Bony z Polski, po której z siostrą Katarzyną zostając i oną się ciesząc i tę pociechę, żegnając ją do Szwecyi, utraciła i sama w sieroctwie wielkiem została, które acz król August opatrował, jednak srogie przypadki przymieszane były, w których oczu swoich od łez nie osuszała. Przypadła ciężka pokusa wszystkiemu królestwu, a jęj najbardziej jako ostatnie osierocenie; śmierć brata jęj króla Augusta bez zostawienia potomka krwi królewskiej. Sama tylo we płci swęj z domu królewskiego zostając, oczy wszystkich ludzi na się obracała. Przychodziły na nią takie czasy, iż w niedostatku niemałym zostawać musiała, niewiedząc czém i kuchnię opatrzyć. Raz nie została jedno przy jednym kubeczku srebrnym, na który aż do śmierci, *sierotką* go zowiąc, rada patrzyła.

Na wielkie zawieszenia w królestwie podczas *bezkrólewia* i rozdwojenia ludzi patrząc, gdy jedni tego, drudzy owego niezgodnie i z niebezpieczeństwem ojczyzny obierali, jako była wielka miłośnica ojczyzny swęj, na modlitwach i postach prawie omdlewała, kapłany i inne, które mogła, nabożne do wołania ku Bogu pobudzając. A gdy jęj więksha część stanów koronnych dała znać, iż pokój i zatrzymanie ojczyzny inaczej stać nie może, jedno żeby wojewodę siedmio-

grodzkiego Stefana za małżonka wzięła; długo się rozmyślając, uczyniła nareszcie miłości ku ojczyźnie zadosyć i na męża takiego przyzwoliła. Z czém się często i przed ludźmi nie tylo przed Bogiem oświadczała, iż to z samego szczerego ku ludu swemu baczenia i chęci uczyniła. Co się nam wszystkim i koronie szczęśliwie powiodło, bo za takiem małżeństwem pokój i jedność królestwu się wróciła i cokolwiek dobrego i sławnego i tój Rzpltej pożytecznego Stefan, król wielki, dzielny i mądry, małżonek jój uczynił, to się słusznie ma przeczytać jój ku ojczyźnie miłości.

Lat jedenaście z Stefanem wojennym przeżywszy i z jego się rycerskich niebezpieczeństw frasując, a zwycięztw gestych i mądrego królestwa sprawowania pociechę mając, wielkiego smutku z śmierci jego zażyła i nowe się trwogi dla *bezkrólewia* otworzyły. W których ona znowu, do zgody lud przywieść chcąc, życzyła siostrzeńcowi swemu Zygmuntowi, dzisiejszemu panu naszemu, jako własnemu synowi, królestwa. Do czego za jakim staraniem i czuciem i pilnością za kłopoty wielkimi i nakłady przyszła, wy lepiej wszyscy pamiętacie... Jakie miała przesładowania i bojaźni od przeciwników w tój elekcji, wiecie... Wojny one i oblężenie Krakowa jako ją suszyły? U Piotrkowa z jaką się trwogą i bojaźnią do Warszawy wracała? Jednak po wielkich troskach pocieszył ją Bóg, iż ośm lat patrzyła na królowanie jakoby syna swego, iż oglądała jego potomstwo, wnuczki swoje, córeczkę i syna króla JM. na rękę swoich piastując... Lecz po tój pociesze nastąpił niedługo kłopot nieodbyty, to jest ostatnia niemoc i śmierć bliska.

Gdy w lecie roku przeszłego od chrztu synaczka króla JM. Władysława do Krakowa przyśpiała, po owym chrzcie źle się mieć poczęła; i zaraz odnawiała w Krakowie testament, aż się wybrawszy znowu do Warszawy i kilka miesięcy charlejąc, na końcu miesiąca Sierpnia roku tego, czując się słabą, rzekła do spowiednika: „Już rychło wpadnę w nie-

moc, z której nie wstanę.“ I na początku Września nastąpiła na nią wielka choroba, w której po kilku dniach do tegoż spowiednika rzekła: „Już się żadnej pociechy na zdrowiu nie spodziewam.“ A on jej powiedział: „Jeśli tak, rzućmy się do Boga, który lepszymi i wiecznymi nagrodzi.“ I przyjęła św. Sakramenta, Ostatnie Pomazanie przy bytności żalosego syna swego króla JM., który z nią zaraz bolał. Jest się czem budować obmyślanu jej w onych królewskich dostatkach o śmierci i o gotowaniu się do niej? Słyszałem z ust jej, gdy powiadała, jako wszystkie potrzeby do pogrzebu pod swoim łóżkiem chowała i z sobą woziła, a testament zawdy porządnie spisany miała. Grób sobie przed kilkanaście lat w Krakowie zgotowała i na nim się zawdy tam będąc modliła, na swój obraz i kamień grobowy patrząc, o końcu swoim myśląc. I przecież Bóg jej dał bardzo szczęśliwe zejście. W niemocy kończąc żywot swój, na każdą godzinę słuchała rozmów i upominania naszego duchownego, na pytania nabożnie nam odpowiadając, z ochotą końca pragnęła i mówiła: „Śmierci się nie boję, ale się sądu Boskiego boję.“ A gdyśmy jej jako kapłani dobrą myśl czynili, iż sędziego łaskawego mieć będzie, który dla niej umarł, ręce podnosząc, Bogu dziękowała i pociechę brała. Czeladkę swoją, którą dziwnie miłowała, płci obojej, przeproszała, dziękowała, królowi JM. wszystkich zalecała. Samego króla JM. upominała, aby pobożnie panował, cnót przodków swoich, królów polskich naśladowcą będąc, lud swój i tę ojczyznę miłował, a oddając mu ręką swą testament i klucze do pozostałych rzeczy, hojnie łyż z oczu królewskich wytoczyła. Królowej też JM. młodej, która jej pilnie w niemocy służyła, i wnuczętom swoim upominki żegnalne z wielką miłością oddawała, i tak pięknie i cicho do ojców swoich odeszła. Król JM. sam palcami swemi, jako Józef Jakóbowi ojcu swemu, oczy jej zamknął.

Była białogłowa wielkiej prostoty i uprzejmości serdecznej; chytrości, oszukania, szkody żadnemu nigdy ani ży-

czyła, ani czyniła. Niewinność chrześcijańską wyrażając i nieprzyjaciołom nigdy źle nie oddawała. W łaskawości królewskiej, w politowaniu i miłosierdziu, zwłaszcza nad wdowami, sierotami i kmiotkami i wszystkimi uciśnionymi, serca i wnętrzości otwierała, pomagając i u królów i czem mogła. Na jałmużny ręce otwierała; kościołom, zakonom, szpitalom i akademii dobrze czyniąc. Dom swój królewski i panną będąc i wdową, porządnie sprawowała, powagę królewską i uczciwość temu stanu przystojną we wszystkiem zachowując. Dwór swój dostatkiem opatrowała, naznaczone zapłaty zawdy oddając i opatrzaniem je dożywotnem dzielając. Umarłym też miłosierdzie wielkie pokazywała i z gospody ich i pogrzebów uczciwość opatrowała. Matce z wielkim nakładem w Barze grób i kaplicę sprawiła. Ojca swego kaplicę dochody rozmnożyła, brata ciało z Knyszyna wielkim swym kosztem do Krakowa wprowadziła i kosztowny grób postawiła. Mężowi ozdobną kaplicę i grób w katedrze zgotowała. Pragnęła, aby siostry Katarzyny, królowej szwedzkiej, matki pana naszego, ciało do Polski przywieziono, lecz do tego nie przyszło; ozdobnie jednak jój pogrzebu ceremonią w Krakowie odprawiła.

Tak się królestwu wszystkiemu, stanom jego, domownikom i poddanym wszystkim zachowała, iż słusznie nad śmiercią jój płakać i onój żałować wszyscy winni jesteśmy. Żałujcie kapłani Boży i wszystek stan duchowny, iżeśmy obrońcę wiary i stanu naszego życzliwą dobrodziejkę stracili. Żałuj królestwo wszystko! ostatniego potomka królów twoich pogrzebasz, którzy cię na rękę jako mamki i piastunki nosili i sławę twoją i pokój i pożytki rozmnożyli i za dobre twoje umierać chcieli; w których krwi i następowaniu jednego po drugim nadzieja twoja dobra zostawała. Jagiellonów szczątek i ostatek już poległ! ozdoba twoja i korona głowy twojej z ciebie spadła! królewska córka, królewska żona, królewska w siostrzeńcu matka, tobie odeszła! która cię w przygodach i w zachwianiu podźwigała i podejmowa-

ła! Żałuj miłościwy królu drugiejj matki swojejj, jedna cię urodziła człowiekiem, druga królem; jedna cię wychowała, druga cię ozdobiła i wyniosła i w prawej macierzyńskięj miłości z tą, co urodziła, zrównała! Płaczcie tęż domownicy, nie pani, gospodyni, ale matki swojejj, która was jako dzieci swe miłowała, o wasze krzywdy się zastawiała, was pilnie opatrowała, i nikogoż na testamencie aż do najmniejszego kuchcika nie zapomniała! Córki polskie i białęgłowy wszystkich stanów płaczcie! Utraciłyście matkę, która złote szaty strojom waszym dawała. Miałyście płci swojejj wielką ozdobę i pociechę; córki wasze wychowywała i wyposażała; wszelkięj radości przyczyną wam była! O! jakiemież łzami tę utratę swojąj ugasiecie! Płaczcie sieroty, wdowy i ukrzywdzone niewiasty, miałyście gotową ucieczkę i pomoc w trwogach i doległościach waszych! Płaczcie klasztory i szpitale, odeszła wam dobrodziejka, do którejj oczy wasze obrócone były, która was odziewała, broniła, karmiła! Płaczmy wszyscy, iżęśmy utracili królową i matkę naszą, do którejjśmy mówić one słowa mogli: „Tyś była chlubą narodu naszego; tyś uweselała poddane twoje, tyś była ozdobą ludu twego“*). Tyś była przykładem życia królewskiego i chrześciańskięgo; z ciebieśmy mieli nietylko pomoc i uweselenie, ale i zbudowanie. Tyś cnotami swemi zamknęła Jagiellońską krew i domowi twemu takiś piękny koniec i zamknięcie zejściem swoim dała, cnoty i miłość ku poddanym wyrażając.

Płać ci Boże, te zasługi w królestwie onęm któregoś pragnęła, gdyś słabość i niestatek tego królestwa widziała i doznawała. Tam cię niech przyjmie Chrystus, któremuś służyła, i któregoś nie widząc miłowała. Tam zasiądź z dobrymi i Bogu miłymi królami naszymi, którzy tu nam słuając, odpłaty tam czekali. Wybaw cię Panie od sądu swego, od zatrzymania podziemnego, a przyprowadź cię do światłości swęj, do wiecznego odpoczywania i radości bez końca.

*) Judith.

KAZANIE PRZYGDODNE

na pogrzeb Anny z Rakuz, królowej Polskiej,
żony Zygmunta III *).

Miane dnia 16 Października 1599 roku, w Krakowie.

Żony królewskie mają w sobie radość, ochłodę i uweselenie państwa wszystkiego, gdy dom królewski budują, to jest gdy potomstwo mają; i dla nich nieszczęsne bezkrólestwia oddalają się; w których jakieście się trwogi i przymierzania do wiecznej zguby napili, pomnieć jeszcze po onęj gorzkości możecie. Tęj was Bóg przez szczęśliwe małżonki królewskie uchowywa; i dla tego, nietylo na królewską głowę ale i na żony jego, koronę swoje kładliście z oném błogosławieństwem: „Uczyń Panie, tę białogłową, która w dom królewski wstępuje jako Rachel i Lią, które zbudowały dom Izraelowi! Niechaj będzie przykładem cnót wszystkich w Polsce, niech sobie wielkiej sławy u Polaków dostanie. Niech dom królewski będzie błogosławiony z potomstwa, które mu Bóg z tej niewiasty da.“ Z takąście radością i nadzieją na jej głowę koronę swoją przez kapłana kładli, o rozmnożeniu domu królewskiego, o cnotach jej któremi zbudować i uweselić Polskę miała, otuchę sobie wielką czyniąc. Na czémeście się nie omylili, bo z wiel-

*) Chociaż przeciwne były stany ożenieniu się króla z tą księżniczką, przecież cnotami swemi umiała pozyskać wszystkie serca, a wczesna jej śmierć powszechny żal wzbudziła. Umarła nie mając jeszcze lat 24, rodząc niezwywego syna dnia 10 Lutego 1598 r. w Warszawie. Była córką Karola arcy-księcia austriackiego.

kiem dosyćuczynieniem waszém, tę koronę nosiła, i nadzieję waszą wypełniła. Izali nie zbudowała domu królewskiego, izali nie zostawiła wam królewicza Władysława wdzięcznej urody i pełnego dobra pospolitego nadzieje, gdy dobre ku temu wychowanie przystąpi. Do tego mieliśmy z niej wielką światłość pobożnych cnót, których tak wysoki i każdemu widomy przykład uweselał nas i budował. Nic się w niej nie stało czemby tę koronę zelżyła, owszem uczciła ją swemi cnotami, a stan swój dosyć ozdobny, obyczajami swemi ozdobniejszy uczyniła. Tak iż żaden rzec nie może, aby z jaką przyganą tę koronę pociechy naszój na głowie swojej miała. Teraz głowa ta uwiedła, składa tę koronę i wam ją na tych marach, jako widzicie oddaje... a składając do was z Esterą mówi: „Widzi Pan Bóg, iżem się w tój chwale, w tój koronie, która była na głowie mojej, nie kochała; i jakom na królestwie zasiadła, nigdy się dostatkami i rozkoszami królewskimi nie uweseliła, anim się w czém inném kochała, jedno w Tobie, Boże. Nie zelżyłam żadną nieczcią korony tój, anim jój zmazała; czystą i piękną, wam jakom ją wzięła oddaję; a woli Boskiej dosyć czyniąc, idę po lepszą i wieczną, która jest zgotowana bojącym się Pana, i chodzącym w drogach rozkazania Jego. Dobre wasze pospolite wespódek z małżonkiem moim najmilszym rozmnożyć zawdy chciałam, i chwałę korony tój wynosić u wszystkich pragnęłam. Opuśćcie młodości mojej i krótkości życia mego, która mi większej u was i nad dobrem waszém przysługi nie dopuściła. Prosić Boga będę, aby wam z tego który zostaje, najmilszy małżonek mój, nagrodił pociechy wasze, a z tego potomstwa którym dom królewski napełniłam, niech się waszój korony błogosławieństwo rozmnoży. To słysząc kto łez pohamuje? kto nie rzecze: Nieszczęśliwiśmy, których taka białogłowa odbiega, dom królewski osieroca i koronę wszystką zasmuca...

A tém więcęj gdy rozmyślamy młodość jój i krótki

wiek; gdy się w urodę niewieścią młodym latom własną rozkwitnęła; gdy w szczęściu i zacności królewskiej podwyższoną została; gdy dwiema koronami głowę swoją ozdobiła; gdy największych i młodości zwyczajnych rozkoszy użyć miała, gdy w dostatki i zbiory królewskie wstąpiła; gdy najmilszemi dziatkami ubłogosławioną się stała; gdy największą u męża swego łaskę i miłość znalazła; gdy świat wszystkim szczęściu się jój dziwował; gdy ją korona polska za mądrą i szczęśliwą panią swoją najwięcej mieć poczęła; gdy się we wszelkie szczęście ludzkie jako lilia i róża rozkwitnęła, owo zły wiatr na miękki, wonny i wszystkimi farbami ozdobiony kwiat uderzył, i uwiądnął, i usechł, i ozdoba jego upadła. Jaki to żal nasz! jaka boleść serca naszego O proroku Izajaszu! wielkie słowo twoje, któreś głośno wołać kazał: „Każdy człowiek ziołkiem, każdego chwała i szczęście jako kwiat pełny; uschło ziołko i spadł kwiat, gdy wiatr od Boga wionął.“ Izali i dostojność a szczęście królewskie takim ziołkiem jest? izali się stan ich wielki i bogaty, z téj nędzy nie wykupi, ani obroni? Nie, oto widzimy, oto patrzymy, oto się rękami dotykamy niestatku szczęścia ludzkiego, i w wielkich i królewskich stanach niepewności jego... Przydaje nam boleści odejście synaczka najmilszego przy jój smutnej śmierci, iż nie tylko matka rodząca ale i syn matkę morzący nam poległ... Rzadka nowina tobie Polaku, wieków tych złych naszych, królewic w domu królewskim. Po trzech królach tejeśmy pociechy nie mieli. Jakoż nam druga ona Rakuszanka sześć królewiczów z Kazimierza powiła: takeśmy się potem tylko z jednego Zygmunta Augusta radowali; który gdy bez potomstwa zszedł i po Henryku i Stefanie tejeśmy pociechy nie mieli. Teraz się nam z daru Bożego otworzyło szczęście domów^o królów naszych, acz nie całe. Chwała jednak Tobie Boże, iż nam Władysława zostawujesz, który dom króla Pana zbuduje, koronie pociechy wielkie przyniesie, bezkrólewia oddali, za do-

brém wychowaniem i cnót królewskich nabytkiem. Nade-
wszystko gorzki płacz i smutny żal nam czyni oddalenie
z oczu naszych przykładów wielkich cnót, chrześcijańskiej
i królewskiej pobożności, które w tój królowej naszój kwi-
tnęły, któremi nam jako jasna pochodnia świeciła i niemi
do naśladowania koronę wszystką budziła. „Płacz, mówi
mędrzec, nad umarłym, bo ustała światłość jego!“ Na pię-
knym świeczniku wysoko postawiona świeca, wszystkim ja-
sność podaje, którzy w domu są; mówi Pan. Wysoki jest
stan królewski, ozdobny świecznik, na którym im jaśniejsza
pochodnia gore, tym więcej ciemności odgania i domownicy
uwesela; która gdy gaśnie, smutną ciemność czyni. A przeto
mędrzec nad takim umarłym płakać każe, iż ustała świa-
tłość jego. Bo z oczu naszych odejmują się przykłady cnót
jego, które śmierć gasi i oddala. Lecz na te przepychy
śmierci mamy pamięć, mamy języki, mamy pismo, któremi
to co z oczu zeszło, kłaść sobie na sercu i na myśli możem.
Nie masz to w mocy, śmierci, abyś mogła cnoty tój pani
umorzyć i wygubić, które gdy się nie tylo w oczy, ale
w serca nasze wszczepiły, pamiętać je i opowiadać, i o nich
pisać, i wieczny z nich pożytek brać do naśladowania możem.
I moich ust, nieszczęsna okrutnico, i pióra mego nie poha-
mujesz, wysławiać święte sprawy jój będziem. Bo pamiętka
sprawiedliwego z pochwaleniem, mówi Pismo, słodka jest,
i jako balsam wonna, każdego ochładza; a niezbożnego pa-
mięć brzydka, i jako zgniłość ludzkie zmysły zaraża. Kto
na jego złe sprawy wspomni, usta zatyka i brzydzi się nie-
zbożnością jego.

Nie chcę się na tym bawić co drudzy szeroko już po-
wiedzieli, to jest na wyliczaniu rodzaju cesarskiego i kró-
lewskiego... bo rodzaj i to na co nie robim, a samém stwo-
rzeniem bierzem, cale chwalebne nikogoż nie czyni, jeźli
sam w woli swój i pracy w cnotach chwały nie dostaje. To
tylko ma rodzaj zalecenie, gdy kto pobożne i sławne ma

przodki, iż mu rzec one słowa można. „Błogosławci Bóg, boś syn dobrego ojca i sprawiedliwego i bojącego się Boga, i czyniącego jałmużny.“ To ma ta nasza królowa błogosławieństwo, bo się chlubić może z pobożnych rodziców, z ojca, z dziadów, z pradziadów... a zwłaszcza gdy sama naśladowaniem, i wyrażaniem obyczajów ich świętych, takąż jak oni, i najlepszego dziedzictwa ich uczestniczką została. Fundamentem cnót wszystkich i pobożności jest wiara; bo bez niej nikt w najlepszym żywocie podobać się Bogu nie może, którą ona jaką od ojców wzięła, taką też z wielką ostrożnością dochowała. Do wiary przystąpiło w tej pani, gorące, nieobłudne ani dworskie nabożeństwo, które głęboka wszczepiona w jej serce bojaźń Bożą ukazywała. Są chrześciance, ale oziębli i w służbie Bożej leniwi. Jest u drugich nabożeństwo, ale takie które się na ludzie i chwałę ich ogląda; są i dworscy nabożnicy, którzy z wierzchu tyło służbę Bożą odprawują, a wewnątrz ledwie się nie z wszystkiego śmieją. Lecz ona zawdy na Tego patrząc co ją stworzył, odkupił i nadał, i na stan tak wysoki podniósł, nisko Mu się poniżała; bojąc się niewdzięczności i obrazy majestatu Jego wielkiego. Skoro wstawszy na modlitwie i czytaniu nabożnych ksiąg czas trawiła, żadnemu się wtenczas nachodzić nie dopuszczając. Przed słuchaniem ofiary św. popolicie z spowiednikiem o rzeczach zbawiennych rozmawiała, po tém dwu Mszy słuchała, jednę za żywe, drugą za umarłe. To i w drodze czyniła. Potém na odprawach i słuchaniu zasiadała, a jednak jeszcze czas do modlitwy przed obiadem sobie sposabiała. Po obiedzie o 4-tę z południa nigdy nieszpornych godzin nie omieszkała; po wieczery także nigdy rozbierania sumienia swego i modlitwy przed snem nie zaniechała. Dwakroć na miesiąc Sakramentem ołtarza się karmiła...

To wszystko wyświadczało jej serdeczną ku Bogu miłość i bojaźń; nie spuszczała się na królestwo i szczęście

świata tego, jedno na łaskę i opiekę Boga, której w tak wysokim stanie zawdy jako żebraczka prosiła i używała. A iż nabożeństwa koniec i skutek jest, miłość ku bliźnim i miłosierdzie ku nędznym, a modlitwa dobrymi uczynkami pod obłoki się podnosi: pełną rękę zawdy na dobre uczynki i jałmużny miała, potrzeby ubogich opatrując, swemu kaznodziei to zlecając, aby rozdawał, a o nędzach ludzkich wiadomą ją czynił, aby się jej pomocą odganiały, i na nią się ono Pismo pełniło, które dobrą niewiastę zaleca: „Ręce swoje otworzyła niedostatecznemu i dłonie swoje ubogiemu rozściągnęła.“ Miała to z wychowania pobożnej matki arcyksiężnej, z którą chore białogłowy nawiedzała i szpitale, panną będąc i z tém miłosierdziem wzrosła... Lecz on wielki był miłosierdzia jej ku ubogim i pokory ku Bogu przykład, któregośmy w panach naszych dawno nie widzieli. Miała ten zwyczaj, iż co tydzień dwunastu ubogich a na wielkie święta dwudziestu czterech karmiła, którym sama ręką swoją i pracą służyła; czarne okopciałe garnce i kotły obracała, sama wydawała i dzieliła, sama krajała i podawała, z wielką ochotą jako samemu Chrystusowi służąc. Na co ja patrząc, częstom oczy moje łzami polewał, z takiej się pokory w tak wielkim stanie kochając... Cnota ona, która cześć wszystką białogłowską zamyka, wstyd i czystość małżeńska w niej nad inne przebijała.

Na najmniejsze swe sprawy wielką miała ostrożność, z której nigdy podejrzenie żadne, ani słowo, ani obmowa i od niesprzyjających paść na nią nie mogła. Swoje też wszystkie panienki i płci swój czeladkę, w wielkiej straży mając, tak je wychowała jakoby w klasztorze mieszkały; żadnej przyczyny do ich oczu nie puszczając, każdego najmniejszego zgorzenia nie dopuszczając, każdej przykład swój i bojaźń Bożą, i ten skarb białogłowskiej ostrożności zalecając... Była w niej roztropność wielka i rozum ostry, tak iż o wielkich sprawach dobry rozsądek i dobrą radę naleść

mogła. A po rządzie domu swego wielkie się w niej baczenie pokazywało. Co postanowiła ku dobremu, to się u niej mienić nie mogło, to wnet się wykonać musiało. Karność potrzebna i pogroźka, każdego w urzędzie swym pilnym czyniła; a dobre opatrowanie i płacenie bez omieszkania, ochotę, miłość i pilność do służby wzbudzało. Co sprawiedliwego było, tego nigdy nie odstąpiła, a co swawolnego, nigdy nie ścierpiała ale prędką odprawa, gdy inne karności nie pomagały, rząd naprawowała. Pacholeta dobrymi mistrzami do nauk opatrowała; do służby je Boskiej przy oniej dworskiej i dobrych nauk młodym potrzebnych, przyprawując. A będąc tak dostateczną i wielką królową, i młodą w leciech a w urodzie kwitnącą, żadnych pańskich rozkoszy i zabaw krotofilnych nie używała. Raz w rok tyło z pannami swemi cokolwiek takiego przypuszczała, ale cały rok ani tańców, ani maszkar, ani muzyk, ani biesiad i używania wymyślnych potraw nie zażyła. Strojów też i szat królewskich w mierze bardzo używała, a przez te sześć lat małośmy ją ubraną królewskim obyczajem widzieli. Bo i smutki a żaloby zachodziły, a sama jej do tego chęć nie przystawała. Potępiała ubiorem swym prostym, owe ustawicznie się strojące, a zwłaszcza mężate, które miary w muskaniu i drogich przypraw na swoje ciało kupowaniu nie mają. Na przedniejszy strój jej był, cały w bojaźni Bożej, jako rzekł mędrzec; „Omylna jest wdzięczność i próżna uroda, ale niewiasta Boga się bojąca ta pochwalona będzie.“ Próżnować nigdy nie umiała; skoro z południa o dwunastej, roboty swoje kościelne ręką swą zaczynała, aby ołtarze zdobiła, a z pracy swój ofiarę Chrystusowi czyniła, i oną w Piśmie dzielnej niewiasty odnosiła pochwałę: „Chleba w próżnowaniu nie jadła.“ Czym się potępiają owe próżniące i młode, które miękko chodząc, a nie wiele mając, od roboty uciekają, a chroniąc gładkiej rączki w złego ducha siecie próżnowaniem wpadają.

Doznaliśmy w niej i mężstwa niewieściego, gdy się król JM. do Szwecyi za morze wyprawował na drogę i mocnym mężom straszliwą; ona się jój nie przeległa, ale z królem ochotnie się na nie podała. Nie ustraszyły ją srogie nawałności i ciężkie rozruchy i podnoszenie morskie, i straszliwe one wiatry i tak bliskie do śmierci przymierzanie; mężna się na wszystko stawiała i przebyła niebezpieczne morze, przewozem onym takięj bojaźni pełnym, w którym wiele ludzi ginie. Ale zalecenie jój wszystko summować i w jednym mało nie wszystkie jój cnoty zamknąć możem, to jest w dobrém, zgodném i dziwnie szczęśliwém z mężem swoim mieszkaniu. Która rzecz sama niewiastę pełną cnót świętych pokazuje, iż jest jako Pismo o Rucie mówi: *Mulier virtutum*. A jako jest rzadka, tak też jest dziwna i pochwały wielkiej godna. I dla tego mędrzec mówi: „A kto znajdzie niewiastę mężną, w obyczajach doskonałą? Daleko jój i na kraju świata szukać i drogo ją kupić. A po czémże znać jój doskonałość? Po tém, gdy się mężowi dobrze zachowa, tak iż w niej serce swoje położy, a ufać jój będzie, a ona mu życzliwa aż do śmierci zostaje. Dobręj i świętęj, niewiasty opisować nikt lepiej nie może, jako ten Salomon, to jest w której się mąż ukocha, i dufa jój jako sam sobie, i nad nią większego przyjaciela nie ma. Tam się już wszystkie cnoty białogłowskie zamknęły. Przetoż taki mąż taką małżonką opatrzony szczęśliwy jest: „Błogosławiony mąż dobrej żony, mówi Pismo, liczba lat ich dwojaka.“ To jest oną zgodą i wdzięczném mieszkaniem żywota sobie przyczyniają. Niewiasta doskonała kochanie jest męża swego i lata żywota jego w pokoju wypełni. Częstka dobra żona dobra, częstka jest tych, co się Boga boją, dana mężowi będzie za dobre uczynki jego.“ A iż wiemy jaka w tój parze ludzi była zgoda, jakie ucieszne i spokojne mieszkanie, jaka uprzejma i małżeństwu chrześcijańskiemu własna miłość, to

po wielkiej części z dobroci i roztropności żony téj pochodziło; wszystka się korona z takiej zgody budowała, wszyscy małżonkowie takiego sobie, tak wdzięcznego w tym stanie pomieszkania życzyli; każdy mąż takiej sobie uprzejmości, powoźności, miłości po swęj małżonce pragnął. Żadnej rzeczy nigdy nie było, w którejby królowi JM. nie dogodziła, a onęj serdecznej życzliwości nie pokazała. Żadnej przygody nie było, w którejby z nim umrzeć nie pragnęła. Gdy jęj drogę zamorską do Szwecyi odradzano, gotową śmierć na morzu przekładając, ona mówiła: „Gdzie król mąż mój będzie, tam i ja być mam; nieszczęście jego, nieszczęście moje; śmierć jego, śmierć moja.“

W sobotę, to jest czwartego dnia przed śmiercią, jeszcze jakoby w dobrém zdrowiu, Sakramenta przyjmawszy, rzekła do spowiednika swego; „Dziękuję Panu Bogu, który mi dał pobożnego męża, który mię ku zamiłowaniu Pana Boga tak gorąco pobudza; nie ma świat lepszego człowieka.“ To słowo onęj małżonki, własne jest i być ma, która nad męża swego żadnego na świecie człowieka przekładać nie ma, i owszem jego nad wszystkich wychwalać i szanować u siebie winna. Sama taka żalność krola JM. której ani czas, ani namowy, ani kazania, ani pociechy ukrócić nie mogą, takie żaloby i nakłady na jęj pogrzeb, takie pamiątki wieczności, które jęj zostawić myśli, pokazują i wyświadcują jaka to w małżeństwie niewiasta była...

Ale któż cię nie żaluje, mężna i doskonała niewiasto? koronę nam z głowy twęj złożyła, która z wielką czcią naszą na nięj świeciła. Ustała nam nadzieja o pomocy twęj w rozmaitych przygodach naszych. Zasmuciłaś bardzo króla naszego, okraso i uciecho jego domu. Któras kąty wszystkie w nim jako słońce oświecała, za jakieś ciemne obłoki zaszła? Teraz dom wszystek królewski smutną bez słońca tego ciemnością i czarną chmurą zaszedł. Uwlokłaś nam związek przyjaźni z cesarskim domem; okrasa nasza i oz-

dość z tobą ustała. Poległaś w młodości i kwitnących latach twoich; omyliłaś czekanie nasze o twych doskonałych latach, któreć większego rozumu, na pociechy nasze przyczyniać mogły. Domownicy twoi i służcy i dwór wszystkim jako po matce osierociał. Białogłowy i panienki twoje, jako owieczki bez paszy, któreś jako dzieci miłowała, drogami szaty odziewała, na ziemi siedząc głowy zwiesiły i zamilkły, łzami tylko a smutkiem mówiąc. Dzieteczki twoje i piękny najmilszy czteroletni syneček Władysław, i córeczka w sześciu lat, nie wiedzą a nie rozumieją, co się z nimi dzieje, jaka im matka i dobrodziejka, jaka się im już nie urodzi, odeszła. Tém większego uzalenia godne sieroty, iż swego złego zrozumieć nie mogą. Wdowy, ukrzywdzone, ubogie, klasztory, zakony, szpitale, matki i dobrodziejki opłakiwają... O! kto cię nam wskrzesi i ożywi? o! gdzie się taka druga najdzie? O! Piotrze św. byś nam tę Tabitę wskrzesił, którą wdowy i sieroty, ukazując szaty, które im dawała, wkoło obstały i nad umarłą płaczą.

Ale długoż tego płakania! Mędrzec radzi: „Umarłego płacz nie długo, bo smutek przywodzi prędszą śmierć a stroskane serce nachyla szyi; nie podawaj serca twego w smutek, ale go odpędzaj od siebie; bo umarłemu nic nie pomożesz a sam sobie zaszkożysz.“ I nie mamyż jakiej pociechy, którąbyśmy łzy nasze otarli? Mamy, bylebyśmy chcieli przyjmować; nie jest Bóg tak trudny, aby zasmuciwszy cieszyć nie miał. Pan rani, mówi Job, Pan leczy; Pan bije, a ręce Jego uzdrowią... Cóż nam tedy za pociechy na ten smutek Bóg zostawić raczył? Wielkie i pewne. Oto ta pierwsza jest, iż nie zginęła ta królowa nasza, ale odjechała.. Nie ma téj mocy okrutna śmierć, aby nas zgubić mogła. Żyje Abraham, Izaak i Jakób, jako Pan mówi, choć wedle ciała dawno pomarli. Śmierć wrotami jest do lepszego życia, odjazd w lepszą i własną krainę, odjazd do miłej ojczyzny, którąśmy utracili, i na której się serce

nasze, które tu w największém szczęściu tęskni, uspokaja. Jako się Polka matka nie frasuje, gdy córkę za mąż do Włoch albo do Niemiec daje, byle słyszała iż się dobrze ma u dobrego męża, choć na nią nie patrzy; tak i my tym się odjazdem naszej królowej nie frasujemy, wiedząc iż w dobre kraje pojechała... Ale ciało umarło. Nie. Na czas zasnęło. Śmierć chrześcijańska podobna jest do owych zwierzątek, które na zimę zamorzone, na lato ożywiają. Teraz na ciała nasze zima. Przyjdzie miłe lato dnia ostatniego, którego wynidziem z grobów i wróci się nam daleko lepsze, urodziwsze, subtelniejsze ciało, niżli było pierwój. A kto temu nie wierzy? odbiegamy ciała tego nie jako w lesie na noc jedną uczynionój z chrustu szopy, ale jako pałacu do którego się rychło wrócim, a naprawiony i ozdobiony znajdziem. Izali długo tój tęsknicy po naszych umarłych? Pójdziem rychło sami do nich, i tam je oglądamy.

Wytrwajmyż trochę tój bez nich tęskności, bo się nam wielce wesołym widzeniem ich w radości nagrodzi. Nie żałujmy umarłej naszej, kiedy nam takie przykłady cnót świętych zostawiła; dosyć pociechy naszej. Młodo zesła, ale lat obyczajmy dołożyła; siwe obyczaje i rozum, a żywot niepokalany, to lata starości. Porwana jest, aby złość nie odmieniła serca jój a zdrada nie oszukała duszy. Zesła na pokucie, którą Bóg na niewiasty rodzące włożył. „Z boleścią, mówi, rodzić będziesz.“ A za boleścią śmierć, która jako pisze apostoł, zbawienie niewieście przynosi. „Zbawiona niewiasta będzie rodzeniem dzieci; ta która wiary i miłości mężowi dotrzymała, i w świątobliwości skończyła. Na pożytecznej światu i królestwu pracy umarła. Jako tych nie żałujemy, co dla R. P. i dla wszystkich umierają, ale ich męstwo wysławiamy, tak téż i jój tak bardzo nie płaczmy. Nie frasujemy się, gdyż i żywy obraz swój, to jest królewica i królownę, sama siebie nam podała. „Umarł, mówi Pismo, jakoby nie umarł, bo podobnego sobie syna zosta-

wił.“ I odeszła i została. Odeszła jedném ciałem, została drugiem. Gdy usechł kwiatek, nie frasujemy się, póki korzeń zdrowy, z którego się ich wiele narodzi. Korzeń tych wonnych kwiatków, które wszystkę koronę chłodzą i cieszą, są te najmilsze dziateczki, na które patrzym, i w których nam matka została. Cieszym się bardzo tak piękną i chrześcijańską śmiercią jęj, o której ona w swojej młodości znać zawdy myśliła; bo testament się po nięj znalazł porządnie spisany, w którym nikogo nie zapomniała. Ona dawno przed śmiercią mówiła do króla: „Zda mi się, iż się rychło rozdzielim!“ i będąc blisko rodzenia uczęszczała do spowiedzi.

Wigilią śmierci w poniedziałek, zdrowszą się trochę być mniemała; jednak rzekła do spowiednika: „Wiecie, iż dzień dziś nasz jest, którego karmić ubogie mamy; podobno dla słabości odprawić dziś tęg posługi nie będę mogła, odłożym da Pan Bóg na jutro, a tego nie opuścim.“ Ale gdy wtorek przyszedł, bardzo piersi ocieżyły, iż z trudnością oddychała, a jednak jako zdrowa w swoim zwykłym ubiorze na krześle siedziała. Lekarze poznali niebezpieczeństwo. W'sam prawie obiad, około godziny 12-ęg, bardzo źle mieć się poczęła; przybieżem kapłani wszyscy trzej, uczyniła spowiedź; a gdy drudzy za jęj upominaniem po Sakrament i po olęj święty pobiegli, jam został. Ujrzawszy mnie przy królu stojącego, zawołała: „Módlcie się za mną!“ Skorośmy na kolana padli, konać na oném krześle poczęła; porwaliśmy się do nięj, wołając na nią i do Boga, jako kto mógł. Tymczasem Sakrament święty przyniesiono; przy nim kilka kroć tylo tchnąwszy, głowę oną wdzięczną królewską spuściła, i odeszła do Tego który ją sobie zamiłował, onęj właśnie godziny, której ubogie karmiła. Oczyśmy jęj zamknęli, i do króla się rzuciwszy, gorzkie i smutne płkanie ze wszystkimi przytomnemi i białemigłowy zaczęliśmy. Jakoż nay patrząc na taką wiarę jęj, na takie czuwanie i gotowanie,

na tak piękne pożegnanie, przy płaczu cieszyć się też tém nie mamy, iż tak szczęśliwe dokonanie wzięła, a z tego kłopotliwego królestwa do radości pełnego poszła. Niech się poganin frasuje, który nadzieje nie ma; my mocnie wyznawamy, iż tak jak ona zeszyła z tego świata, schodzący na ochłodę i odpocznienie wieczne idą. Jeśli za jój duszę modły czyniem, dla tego czyniem iż wiadomości na oko nie mamy, a sądów skrytych Boskich nie wiemy. Ale kogóż Pan Bóg tak sprawującego się opuścił?

KILKA KRÓTKICH WYJĄTKÓW Z DZIEŁ KSIĘDZA PIOTRA SKARCI.

Wielkość Boga.

„Mała radość i wielka omyłka, gdy dufamy ludziom, którzy wyrwać nas ze wszystkich przygód nie mogą. Wszystkiej ziemi król deszczu nam nie da, abyśmy głodem nie umierali. Wojska nieprzyjacielskiego powietrzem i niepogodą nie zrazi; w pół morza tonących nie wyrwie; wodom w górę się podnieść i jako mury stanąć nie rozkaże; trochy chleba na wojsko i głodne ludki nie rozmnoży; królestwa swego król świecki nikomu nie użyczy, wszystkich nie ubogaci, ani nakarmi, bo samby nic nie miał, albo niedostatek cierpiał. Nie taki jest Bóg nasz, nie tak mała i skrócona moc Jego. To wszystko czynił i czynić może i nie Mu nie jest niepodobnego, wielki a wielkości Jego nie masz; przemożny, a mocy Jego żadna trudność i niepodobność nie

mierzy. Błogosławiony, który takiego Pana ma i takiemu dufa. Błogosławiony lud, który ma takiego Boga, a nadzieja jego w Tym co stworzył niebo, ziemię, morze i wszystko co w nich jest; który tém co stworzył, sam władnie, i temu rozkazuje, i to Go wszystko słuca; a On to trzyma, odmienia, niszczy, naprawia, rządzi, jak Mu się podoba.

Nieustająca dobroć Boga.

Nie na jeden czas, ani na rok, ani na tysiąc lat, ale wiecznie i zawsze Bóg dzieci swoje słuca i wspomaga. Moc Jego nie starzeje się, zawsze jednaka kwitnie w Nim, zawsze siła Jego potężna jest na pomoc naszą. Dobroć Jego od narodu do narodu; nigdy się sobie uprzykrzyć nie da, nigdy nas sobie nie omierzi, nigdy się nie odmieni: zawsze dobry i na wieki trwa miłosierdzie Jego nad nami. Skarb Jego darów przebrany nie jest, nie mają końca bogactwa Jego, nigdy ich nie wybierzem. Ojcowska miłość Jego ku dzieciom nigdy się nie mieni; szczodrobliva ręka Jego nigdy się ani kurczy ani zamyka; od roku do roku aż na wieki pomoc daje, tym którzy nadzieję w Nim mają.

Hojność Boga.

Bóg nasz hojny jest bardzo i datny, natura Jego jest udzielnym być, i dary swoje na to co stworzył wylewać. Będąc pełny w mocy, w państwie, w majestacie, w dostatkach swoich niezliczonych, nie chce w sobie skarbów, bogactw, darów nieoszacowanych i nieprzebranych zatrzymać. Sam się po wewnątrz udzielił Synowi i Duchowi, sobie nic nie ujmując i jednym z nimi Bogiem zostając. Potem przez Syna, słowo i mądrość swoją, powierzchownie, na wszystko co

stworzył dary swoje hojnie wypuścił, każdemu wedle miary i potrzeby jego. Nie potrzebował Bóg ani nieba, ani tego świata, ani aniołów, ani ludzi, i tego co ma ziemia, woda i powietrze, bo On sam w sobie jest i był zawdy doskonały i szczęśliwy. Ale dla tego wszystko co jest stworzył, aby pokazał bogactwa chwały królestwa swego, wielomożność mocy i dobroci swojej, ażeby miał komu dobrze czynić; takim zwłaszcza, którzyby to poznawać, a za to dobrowolny Jemu pokłon, chwałę i służbę oddawać mogli. Tacy są aniołowie i ludzie rozumni, dla których i niebo niewidomemi dobry nappełnił, i ziemię i ten świat wszystek nadał, ozdobił, ubogacił, i teraz nigdy ludziom dobrze czynić nie przestaje. Jako wielkiej rzeki nikt nie pohamuje, aby płynąć nie miała; tak hojność Boga nigdy nie ustaje, nigdy się nie wraca, wszystkim z przyrodzenia swego dobrze czyni, daje, daruje, opatruje, a ręki nigdy ściśnionej nie ma, bo pełna jest i z pełności jój ubywać nic nigdy nie może. Jako morze, choć z siebie wszystkie rzeki wypuszcza, w swoim dostatku i zupełności stoi, choć bez liczby skarbów rozda.

Niebezpieczeństwa żeglugi.

Jakie są niebezpieczeństwa na morzu, nikt powiedzieć nie umie, jedno ten co ich skosztował. Oni opowiadają a my słuchając dziwujemy się. Boć jest się czemu bardzo dziwować. Naprzód, jako śmieją ludzie na tak szerokością i głębokością wielkie i straszliwe wody się puszczać? i jako Salomon mówi: „trochy drewnu zwierzyć zdrowia swego.“ Jest się czemu dziwować na jakie się wiosła ludzie w tym przewozie i na jakie przewoźniki ubezpieczają? To jest na wiatry, których w mocy swojej mieć nie mogą, których różnaitości i wielkiego niestatku doznają; które tak są w zakrytych skarbach i tajemném schowaniu Boskiem, iż nie wie-

dzą z kąd i kiedy się wyrwą, dokąd okręt zapędzą, gdzie ustaną? jeśli małe, jeśli wielkie, jeśli gwałtowne nastąpią? Jedne je zanoszą aż na nieznajome morza, do Hiszpanii i Indyi; drugie tak długo okręty trzymają, iż ludziom żywności i wody słodkiej niestanie, i sami się jeść i głodem umierać muszą. Czasem tak wielka nawałność nastąpi, iż zaraz okręt zaleje i utopi. Czasem maluczkiem nieba-czeniem sternika, wnet się przewróci albo na skale rozbije. Czasem, jako piszą o jedném indyjskiem morzu, tak okrutny wicher trzech albo czterech wiatrów z sobą walczących przyjdzie, iż jedném oka mgnieniem na przepaść wszystek okręt upadnie. A drugi wiatr tamże tak bywa mocny, iż na powietrze wyniesie okręt, i kilka mil go niosąc, jako kamień na dno wrzuci. O! jakie więc nędze i bojaźni na morzu! Bóg jeden pomoc dać potrafi. On zawoła i stanie duch nawałności, a wały które podniosły się do nieba, spadną do bezdnia.

Pożytki historyi.

Mądry pyta się i szuka mądrości starowiecznych, a to najwięcej z czytania ksiąg i dziejów, które przed nami były, to jest z historyi. Bo zacna jest rzecz mieć rozum pełny wiadomością historyi. Historya jest mądrość razem złożona, rozum ludzi wiele w jedno zebrany. Kto jęj i w nią się nie kocha, a mądrym chce być, jest jako dziecię, które ojca i matki nie zna.

Łakomstwo i zbytki zgubią ojczyznę.

Łakomstwo u wszystkich: od małego do wielkiego począwszy, wszyscy się ćwiczą w złém nabywaniu i łakomém zbieraniu. Żaden się pieniądźmi, których nigdy więcej nie

było w Polsce, nie nasyci. Nikt nie mówi: dosyć mam; każdy chce, choć mu zbywa. Jedni aby chowali i za bogi pieniądze mieli, drudzy aby hardości swój i wyniosłości próżnościami i utratą dosyć czynili. O! Boże mój! jakie zbytki w to się królestwo wniosły, które miłosierdzie wszystko wypędziły. Począwszy od małych aż do wielkich, wszyscy mierność świętą i proste używanie opuścili, staropolskiem i żołnierskiem życiem wzgardzili, każdy chce wino pić. Już nie tyło woda na którejsmy przestawali, ale i piwo niezdrowe młodym i zdrowym; jedna na dzień kwarta wina, do roku sto złotych blisko utraci. Rzadki panosza *) bez jedwabiów, bez poszostnych koni, bez kilkunastu pachółków i barwy bogatěj, bez kolebek i strojnych obitych kołczych jeździć nie chcą; już siodła tyło woźnicze, zostały; w wozie koń za kilkaset złotych. Z jazdy szlacheckiej stali się wozownicy, podusznicy, z łózkami, z pierzynami jadą. Zbrojny i jezdny pachółek zginął, i siła mężka rozkoszami struchlała. Białogłowy tak w ubiorach i strojach swoich przebrały, iż końca utraty nie masz. Na jedwabie, złotogłowy, ogony, ferety i karety wydatków nie przeliczysz. Na półmiski i liczbę niezwyčajną potraw musi stawać, byle się pokazać, a marności czci i sławy bogacza, która za nic nie stoi nabywać. Miłosierdzie ku Rzeczypospolitej zginęło. Nikt w takim dostatku zamków i murów nie opatruje. Rzeczpospolita wszystka uboga; domy tylko pojedynkowe bogate. Nie masz pieniędzy na żołnierza, na sypanie wałów, na działa i prochy, na opatrzenie twierdzy. Wszystko na zbytkach ginie, i w chlewach zostaje. Taka była złość sodomska, hardość, nasyccie chleba, dostatek i próżnowanie, ręki do nędznego i ubo-

*) *Panosza* zupełnie odpowiedni wyraz francuzkiemu *parvenu*, nie wiadomo dla czego wyszedł z używania, kiedy dotąd mówimy w tém znaczeniu *spanoszał*.

giego nie ściągnęli; zginęła też Sodomą, i ojczyzna nasza
rychło się zapaść i zginąć może!

Pożytek skojarzeń dobroczynnych.

Nie ma obyczaju lepszego do pobożnych i dobroczynnych spraw, jedno gdy się ich wiele na jedną rzecz zmówi. Opuszczając inne przykłady, rzadki jest człowiek, którego by nęcza bliźniego, brata, sąsiada nie bolała, rzadki który jój pomocy dać nie chciał; ale jedni nie mają, drudzy mało mają, drudzy komu piérwój dobrze czynić, nie wiedzą. Drudzy wątpiąc w co się ich jałmużna obróci, pewności o pożytku jój nie mając, kurczą rękę, i miłosierdzie swoje hamują. Lecz gdy się ich wiele skupi i na jedno zmówi, wszystko się znajdzie i dogodzi się wszystkiemu za pomocą Boga. Ten co nie ma pieniędzy, da posługę, da radę; co mało ma, z drugimi się złożywszy, wnet urośnie wiele. Dostateczniejszemu ukażą drudzy, tu obrócić swoją jałmużnę, tu bezpiecznie, tu jój pewny przybytek, tu jój pilniej i rozdziela między siebie posługi; ja dam, a ty nawiedzaj, opatruj; moja pilność a twoje pieniądze; ty czyn to, a drugi owo; i tak jeden drugiego niosąc ciężary, wiele wypełniemy, i jako członki jednego ciała wszyscy weźmiemy zapłatę od Pana.

Wdzięk domu, gdzie spólna panuje miłość.

Pomyślmy jedno sobie, gdybyśmy taki dom, takie pomieszkanie i towarzystwo, takie miasto znaleźli, w którymby ten zakon: *miłuj bliźniego jako sam siebie*, doskonale był chowany; żeby synowie rodzicom, słudzy i poddani panom swoim z uprzejmiej ku nim miłości, posłuszeństwo oddawali; a ojcowie starsi i panowie potrzeby ich wszystkie, z tejsze

szczerój miłości, jako ku samym sobie opatrowali; gdzieby żaden waśni na nikogo nie miał, ni z kim się nie wadził, jeden drugiemu nie zajrzał, a życzył tak jako sobie; gdy jeden zachorzeje aby wszyscy o jego zdrowie się starali; gdzie komu czego niedostaje, aby mu wszyscy cierpieć nędzy nie dopuścili; gdzie kto zasmucony i strapiony, aby do pociechy jego wszyscy przybiegali; gdzieby nie było swarów, złorzeczenia, fukania i wołania jeden na drugiego; gdzieby nie było obmowisk, wzgardy i brakowania; gdzieby jeden o drugim rozumiał, iż on lepszy i czci godniejszy niżli ja, a nie na swoje ale na jego cnoty patrzył, a wszystkiego mu dobrego tak jak sobie życzył; jego niedostatki znosił i wymawiał u siebie i u drugich. O Boże! jakieby tu było na ziemi rajskie prawie pomieszkanie. O! jakobyśmy się do takiego miasta, domu i towarzystwa kwapili.

KILKA ZDAŃ, WYROKÓW I PRZYSŁÓW,

Z DZIEŁ

PIOTRA SKARGI

WYJĘTYCH.

Ludzka nasza Adamowa natura, bardzo do wymówek skłonna.

Jaką miarką namierzysz, taką odbierzesz, ani mniej, ani więcej.

Szkoda się nagrodzi, ale zelżywość się nie nagrodzi.

Od złego dłużnika bierz i plewy.

Nie odrazu złego pozbędziesz się nałogu; na zadawnioną ranę długiego leczenia potrzeba.

Bojaźń Boga i ludzi, wszelkie złe z serca wypycha.

Mało na tém, iż przestajemy źle czynić, jeżeli dobrze czynić nie poczniemy.

Wedle siły, którą nam Bóg daje, roboty od nas wyciąga.

Mało kto złe wrywa z korzeniem; gałązki tylko odcina, które wnet odrastają. W domu twoim kapie, podstawiasz niecki i wiaderka; lepiej dach napraw, a kapać nie będzie.

Człowiek wnet byłby lepszym, gdyby rozważył jak źle być złym, gdyby o śmierci pomyślał. Ale my wszystko tak całkiem połykamy, nie żując, i tak wszystko przez nas przepada i w zdrowie się nie obraca.

Jak stolarz bez piłki i naczyń swoich nic nie robi, jako ślepy bez widzenia w dół wpada; tak sprawy nasze bez uwagi niczem nie są.

Jako złotnik wagi ma zawsze przy sobie i waży co bierze lub daje; tak i my uczynki nasze i słowa ważmy.

Gdzie raz koń wpadnie, onego dołu się strzeże, z przyrodzonego biegu owca się wilka przestrzega. A my ludzie rozum i baczenie mający, jako się tego miejsca, czasu, towarzystwa, zabawy strzedz nie mamy, gdzie grzech na nas jak wilki za krzakiem, czuje i pilnuje.

Przeniesione leśne drzewo z lasu i złej ziemi w ogród i na ziemię bujną, przy wodzie; czyż nie rodzi lepsze owoce gospodarzowi? A ty jesteście lepszym, kiedy ci się lepiej powodzi?

Choroba ciała często z choroby duszy wynika; z duszy jako ze źródła złe i dobre na ciało się zlewa.

Któż nie czuje nędzy świata tego? cóż jest pewnego na nim? zamki jako dzieci z piasku budujemy, a prawdziwych nie mamy.

Odrobina jest dóbr miłych na ziemi zmieszana z wielką goryczą: miodu łyżka, żółci beczka.

Daleko jest panu rzecz przyjemniejsza, gdy sługa z dobrej woli jaką rzecz trudną dla niego uczyni, niżli kiedy za rozkazem i przymusem. Wtedy rad daje nagrodę.

Nie dobrze jest wiele rozlicznych spraw i robót podejmować, lepiej jedną się zająć a szczerze. Rzeczka na wiele części podzielona, słabo koło młyńskie obraca albo niēm i nie ruszy; złączona i całą wodę mająca, mocno robi i prędko miele.

Uciekaj od złych towarzystw, od sposobności do złego, nie mów pójdę, ale się skusić nie dam. Raz, drugi, uczynić tak potrafisz, ale przyjdzie zła godzina i upadniesz. Kto przyuczyny i przygody do grzechu się strzeże, ten mądry i prawdziwie o sobie myśli; ale kto się wdaje w niebezpieczeństwa, głupi jest i w nich ginie.

Są niektórzy ludzie, którzy sami się budzą; są drudzy, których ze snu budzić potrzeba; są tacy, którzy sami z siebie wiedzą jak postępować mają; są drudzy, których przestrzegać należy.

Jeśliś w szczęściu, nie śpij, ale czuwaj i gotów bądź do zmiany; bo szczęście omylne jest: kto się niēm upije i zaśnie bezpiecznie, bardzo się oszuka.

Jako kto zasłużył, tak brać będzie; zawsze karanie z występkiem musi się równać.

Pokoju, dostatku twego nie przypisuj jedynie pracy własnej, ale wspominaj z wdzięcznością i o Tym, który tej pracy błogosławi. Kto mówi: wszystko co mam, dowcip to mój i praca; ten wnet pozna, że ma nad sobą Pana.

Bóg dla tego dobrych między złemi zostawuje, aby się ich źli wstydzili, ich przykładem się uczyli, i wymówki nie mieli iż nie wiedzieli jakimi być.

Sprawiedliwe karanie dzieciom rozum daje.

Zachowajmy się w modlitwie, miejmy ją towarzyszką, obok niēj kładźmy pracę i przyjaźń; bo wielkie są nędze, potrzeby, kłopoty świata tego: te wszystkie modlitwa, praca i przyjaźń odgania.

W człowieku, który codzień się modli, kocha się Bóg jako matka w synaczku, który za każdą przygodą do niej przybiega i o pomoc uprzejmie prosi.

Nie daje nam Bóg często o co Go prosimy, bo szkodzić-by nam ten dar mógł; jako matka czyni, gdy nierozumne dziecko o nóż ostry ją prosi.

Modlitwa taka najlepsza: „Daj Panie, co widzisz i wiesz, iż mi do prawdziwego szczęścia posłuży!“

Nad pokój, miłość i zgodne na tej ziemi wspólne pomieszkanie, nie ma świat widomy nic miłszego i pożyteczniejszego.

Bóg o każdym z nas myślał i dobrodziejstwy nas obsypywał, nimeśmy Go o nie prosili i prosić mogli. Jako dobry ojciec, córce, która się dopiero urodziła i o sobie nie wie, wiano już gotuje.

Pociechy świeckie są najczęściej jako igrzyska dziecinne.

Jako w oczach Boga, tak i w oczach ludzi, co na datku schodzi, sercem dobrém i wolą nagrodzić to możemy.

Dni nasze jako cień na ziemi.

Smutek jako mgła szeroko wszystko koło nas zajmuje i ocienia.

Mądry jako przy swém mniemaniu, gdy mu co lepszego ukazą, nie stoi; tak też za wielkością osób i liczbą większą nie idzie, gdy prawdy nie widzi.

Próżno Boga kusi, kto o bogactwo, mądrość i szczęście prosi, a nie pracuje i złym jest.

Krew i powinowactwo ze krwi, ma mocny do miłości związek, ale cnota daleko większy.

Wszyscy umrzeć musimy. Nietylko do chałupy kmiecięż ale i do pańskich pałaców śmierć kołace, drzwi wszystkie i zapory rozbija i wdrzeć się musi.

Zgnije ciało i w jedwabiu.

Bóg gdy stworzył niebo i ziemię i wszystko co na nich

jest, nazwał wszystko dobrem; człowieka zaś tak nie nazwał, bo człowiek sam wolą własną władnie, sam więc dobrym stać się powinien.

Do śmierci jako bieg koński do kresu, dni nasze się przymykają; jako kamień z góry na dół do niej lecim, a nigdzie się nie oprzemy.

Jako im więcej w słońce patrzymy, tém się więcej jego jasności dziwiem, a ustawicznością się nam nigdy nie uprzykrzy; tak i pamięć cnotliwego męża, im dawniejsza jest i będzie, tém świeższa zawdy w sercach ludzkich zakwita.

Rzemiosło umieć a rzemiosłem nie robić, ubóstwa i głodu jest przyczyną. Nigdy taki bogatym i szanowanym nie będzie, ale raczej na karanie zasłuży, iż darów tyle wzięł nadaremnie.

Według wzrostu jest suknia, małemu rosłego szata nie służy; nie żal się przeto, iżes mniej od innych dostał: dostałeś co ci potrzeba.

Chceszli być w cnotach i w zasłudze wysokim, bądź niskim w pokorze i pracuj nigdy nie przestając.

Nie patrz co tobie, ale co drugim pożytecznie jest.

OBJAŚNIENIA.

Dla młodych czytelników, którym jednostronny życiorys Skargi mógłby kiedyś jaśniejsze zrozumienie prawdy historycznej zamącić, kilka dopełniających uwag trzeba tu koniecznie dołączyć. Niezawodnie Piotr Skarga Pąwężki był znakomitym człowiekiem, pełnym zapału, gotowym do poświęceń, do wyrzeczenia się osobistych korzyści, do służenia bliźnim i myśli, którą się przejął: na nieszczęście wszystkie te cnoty oddał na posługę potężnego zakonu i wszystkimi właśnie tyle nicomal szkody krajowi wyraził, ile jej wady przeciwne innym obywateli zrzędały. Gdyby Jezuci

nie przygarniali do siebie ludzi naszemu Skardze podobnych, toby nigdy ich zakon tak przeważnego wpływu na całą kulę ziemską nie rozpostarł; ale też gdyby takim ludziom nawet politycznej swojej przewrotności nie szczepił, toby nigdy nie upadł i sprawy uczucia religijnego w sumieniach po dziś dzień żyjących pokoleń nie zawikłał. Trzeba też bardzo pilnie Skargę człowieka, od Skargi Jezuity rozróżniać.

Są historycy, którzy mu zarzucają, że nie sprzyjał ówczesnej formie rządu krajowego, a tylko nieograniczoną monarchię „chwalebłą a ludziom zbawienną“ zalecał; inni potępiają go za to, że wyraźnie ku teokracji, t. j. wszechwładztwu księży, naród chciał pociągnąć; istotnie dedykując swoje kazania na Niedziele i święta Zygmunтови III, tak się do niego odzywa: „Przez trzysta lat Kościół królów świeckich nie miał, sami biskupi wszystko sprawowali. A gdy Pan Bóg króle do Kościoła swego wprowadził, a one lwy z owcami, a lamparty z cielętą, a niedźwiedzie z kozłętą u jednego stołu posadził, tedy je pod naukę i urząd duchowny jako syny, jako owce poddał. Nie iżby w Kościele rządził, ale, żeby stuchali. I mówi prorok (Izajasz) *dziecię poganiać ich będzie*. To jest ubodzy owi duchowni kościelni, którzy je do wiary nawrócili, rządzić nimi będą, bo je nie do rządu przyjęli, ale do posłuszeństwa. A w Nowym Testamencie królestwo jest złączone z kapłaństwem i z niego wyrasta, i tak, króle, kapłani poświęcają i koronują, jako pomocniki swoje.“

Słuszną jest rzeczą wszelako, że Skarga jawnie tak mówił i pisał, kiedy miał takie przekonanie; powinniśmy go uszanować nawet, że nie lękał się głosić otwarcie tego, co być prawdą rozumiał, choć go to mogło osobiście na niechęci i przygany ogólne narazić. Bolesnie wprawdzie nas rażą spotykane w jego pięknych kazaniach gwałtowne przeciw tolerancji wybuchy. Konfederację dyssydencką, która ubezpieczała każdemu obywatelowi równe swobody bez względu na jego wyznanie religijne, uważał za źródło rozbojów, obrazy króla, zdrady kraju i wszystkich najokropniejszych zbrodni. Kiedy mu przyszło nawet z kazalnicy tłumom chrześcijańskich stuchaczy objaśniać tę pełną głębokiego znaczenia przypowieść Jezusową, o kłakolu, co go mądry gospodarz zbyt gorliwym sługom wypleniać zakazuje: „*chcesz iż pójdziemy i zbierzemy je? I rzekł: Nie: byście snadź zbierając kłakol niewykorzenili i pszenice. Dopuszczcie obojgu rość aż do żniwa*.“ Skarga nie wahał się inną dawać rady. „Spytajmyż, woła on, jeśli się godzi ten kłakol wyczyścić i pszenicy wolny wzrost uczynić, aby jej to tak złe nasienie nie zarażało, zwłaszcza gdy to być może, a pszenica-by szkody nie miała? Nie wiem, ktoby inaczej mógł mówić, jedno się nie-tylko godzi, ale powinno jest, by się złe wykorzeniało... Co się dobrego na ziemi urodzi, gdy zielska i chwastów gospodarz wybierać nie każe?

ażaliż nie oszalał, iż sobie takiej utraty życzy a pożytku nie życzy; iż robi, a nadzieję do chleba traci.“

Lecz i to można zatrwożonemu o wiarę swoich ziomków kapłanowi przebaczyć, choć nie można, jak często słyszeć i czytać się zdarza, tej zapamiętałości religijnej ogólnemu jedynie usposobieniu ówczesnych wieków przypisywać. Owszem w naszym społeczeństwie z własnych słów Skargi widać, że *ogólne usposobienie* już było wtedy, jeśli nie wyższem, to zupełnie takim, jakie dzisiaj po długich doświadczeniach wyrobiły sobie oświecześniejsze warstwy ludów europejskich. Skarga też w tej mierze nie walczył przeciw uroszczeniom protestantów, ale walczył przeciw rozpowszechnionej między katolikami opinii, walczył przeciw już uznanj i bardzo jasno przez nich pojętej *tolerancji*, uderzał na kardynalne prawo narodowe, ciskając ogniste pioruny swojej porywającej wymowy przeciw tej konfederacji dyssydenckiej, która — jak mówi historyk nasz J. M. blizkiem sąsiedztwem luteranizmu naciśnięty, a więc tém żarliwiej za wyznaniem przodków swoich obstający, „która była jedyną kłamrą w Rzeczypospolitej na wiązanie w całość rozłamujących się części: Polski katolickiej, Rusi greckiej, Prus i Inflant luterskich“ — Przecież, raz jeszcze powtarzamy i to uwzględnić się daje osobistym charakterem Skargi: do niego prawdziwie zastosować można było owe słowa Pisma Ś-go, „Gorliwość twego domu zżarła mnie.“ Jak sam był gotów żywot swój doczesny za zbawienie wieczne położyć, tak nie pojmował nawet, by można było światowe względy narodowej polityki w równi stawiać z przyszłym życiem tylu dusz pojedynczych tenże naród składających. Jest to zwykła umysłem najszlachetniejszych zapaleńców wyłączość, nie powinniśmy zresztą gorszyć się wolnym słowem obywatela, choćby najprzeciwiejsze było najdroższym naszym pojęciom i zasadom, bo słowo, słowem odeprzeć możemy. Ale trzeba żebyśmy w sobie pielęgnowali zdolność gorszenia się i poczucie wstrętu w obec wszelkiego rozmyślnego kłamstwa.

Otóż Skarga niezupełnie czystym jest od tej skazy. Z własnych podróży zagranicą i szeroko sięgających stosunków swego zakonu wiedział on bardzo dokładnie o tém, co się w państwach europejskich działo, jaki był wszędzie los słabszych i ubogich, jakie położenie klasy rolniczej: — że nam uciek kmiotków, swawolę panów i szlachty wyrzucał, miał wielką słuszność — że zachwalał siłę postronnych mocarstw, łatwiejszą obronę i pomyślniejszy rozrost ich granic, miał także słuszność — ale kiedy stawiał błogą szczęśliwość podległych wówczas n. p. domowi Rakuskiemu krajów, kiedy Niderlandy, gdzie niedawno wśród przesładowań religijnych, do stu tysięcy ofiar padło z ręki katowskiej, przytaczał jako dowód umiarkowania i łaskawości królów prawowiernych: to już widocznie mówił nie w chwili zapatu, ale z zimnego wyrachowania, że mu

uwierzy cała prawie masa szlachty katolickiej, mało co o dalszych sprawach wiedząca. Równy brak prawdy widzimy nietylko w mowach, ale i w postępowaniu Skargi, ilekroć o przewagę jego zakonu chodziło. Smutno to dzisiaj powiedzieć, ale ślad jego wpływu odnajduje się we wszystkich działaniach, które później w ogólne nieszczęścia dojrzały. Nie bez zasadnie twierdził on „iż jako kaznodzieja królewski, pośrednikiem był między królem a Bogiem, tu na ziemi kierował sumieniem króla, a na drugim świecie odpowiedzialnym był, jeśli z serca królewskiego nie wykorzenił tego, co się nie należało i co mógł wykorzenić.“ Te słowa są jego własnym wyrokiem i zeznaniem.

Istotnie Skarga należał do tych co *kierowali* sumieniem Zygmunta, a Zygmunt, nie mówiąc już o ciężkich, bezpotrzebnych, niedość prowdzonych wojnach, jeszcze większy przeciw królestwu popełnił występpek, bo powagą swoją wspierał matactwa wyborów trybunalskich i żeby je obsadzać ludźmi, coby nie według słuszności, lecz według wyznań religijnych strony prawujące się sądzili, zachwiał na czas bardzo długi święte sprawiedliwości uczucie w narodzie — (zobaczyć relacye nuncyuszów). Wszystko też co mu rokoszanie zarzucali, choć się tego wyprzysięgał przed sejmem, choć przy śmierci nawet zaprzeczał, wszystko się teraz prawdą być okazało *). Chcielibyśmy przypuścić, że Skarga nic o tych praktykach nie wiedział: winy to jego nie zmniejsza, bo skłonności do nich z serca królewskiego wykorzenić się nie starał, owszem utwierdzał ją wspólnie z tymi, którzy za główną czynów swoich podstawę uznali że cel szlachetny złe środki uświęca. Jest to zdanie podwracające z gruntu wszelką moralność, i wszelki porządek społeczny od urojenia pierwszego lepszego fanatyka zawistym czyni. Cały przebieg dziejowych wypadków świadczy nam właśnie, że im sprawa jaka świętszą jest i wznioślejszą, tem niebezpieczniejszemi i szkodliwszemi dla niej złe środki się okazują. Biorąc tylko co bliższe przykłady: Karolina Corday zabójstwem Marata nie powstrzymała krwawego teroryzmu. Hiszpania, gdzie bohaterską walkę przeciw Napoleonowi zbzcześciły pokątne mordy, trucicielstwa i rzezie, do tej chwili pokutuje za owo podbudzenie zwierzęcych namiętności; choć od zewnętrznego nieprzyjaciela uwolniona, sama z sobą w ciągle wzna-

*) Ani współcześni, ani późniejsi historycy wierzyć nie chcieli, żeby Zygmunt istotnie z domem Rakuskim układał się o odstąpienie mu korony polskiej teraz w archiwum austrijackiem znalazły się na to dowody. Warto przeczytać o tem ciekawy artykuł Juliana Bartoszewicza w Bibliotece Warszawskiej z r. 1857 pod tytułem: „Starania domu Rakuskiego w XVI wieku o koronę polską,“ przez Jul. Bar. część rozprawy Władyswoja Tomka.

wianych bratobójczych zapasach trzyma się raz nabytęj tradycyi i każdą wojnę domową, okrucieństwami dawnęj powstańczędęj wojny zgubniejszą krajowi czyni. Niech więc nas nie przekupuje to wcale, że taki człowiek jak Skarga, był Jezuitą, ale przeciwnie roztropną trwogą niech przejmie i do czujności podbudza bezustannie przytomne wspomnienie, że nawet z takiego człowieka jak Skarga, Jezuitów nauka mogła gorliwego doradcę Zygmuntovi III wytworzyć.

CHWILE NIEKTÓRE Z ŻYCIA JANA KAROLA CHODKIEWICZA *).

(ur. 1560, um. 1620 r.)

Od lat dziecinnych przykładał się szczególnięj Chodkiewicz do nauk wojownikom właściwych, i w akademii wileńskieję znajomości języków, historyi, wymowy i matematyki nabywał cheiwie. Znawca ludzi Stefan Batory, jadąc przez Wilno, w szlachetnych rysach twarzy i śmiałęj postawie młodzieńca przyszłe losy jego przewidział i rzekł, spoglądając na niego mile: „Zaiste, ten będzie wielkim żołnierzem!“ Wróżbę króla bohatera sprawdził Chodkiewicz.

Jakoż zachwycająca była jego postać: wysokie miał czoło, nos orli, bystre i przenikliwe oczy. Mówił krótko, zwięzłe i z pewnym zapałem. Wycięgi do pierścienia i inne rycerskie gonitwy, zgłębianie dzieł wojskowych, sypanie eko-

*) Ten wyjątek udzielony został wydawcy Rozrywek przez pana Łukasza Gołębiowskiego, który także to pismo ozdobić raczył artykułem o Tadeuszu Czackim. Wydawca chwyta tę sposobność oświadczenia Mu publicznie wdzięczności swojęj za pomoc, któreję w zawodzie literackim ciągle od niego doznaje. (Przypisek Pani Hofmanowęj).

pów, strzelanie do celu, było jego zabawą. W koniach, w ryszunku, wielkie miał upodobanie.

Poświęconą szablę z rąk biskupa wileńskiego otrzymawszy, dwadzieścia lat nie schodził z pola. Odbierając ją wyrzekł: *Ten oręż zliczy nieprzyjaciół karki.* — Ciągłe były wtenczas ze Szwedami zapasy. Opieszały Zygmunt III, przebywając w stolicy, zapominał, że wojowników swych opatrywać i wspierać powinien. Chodkiewicz temi słowy królowi smutny stan wojska maluje: „Wziąwszy próbę oziębłości i niechętnego eksekwowania woli i rozkazania W. K. Mci, *tych od których to zależy*, nędzę, do tego *zmartwienia i narzekanie* rycerstwa, zgubę Inflant, i *obecny stan rzeczy*, przed oczy biorąc, nie lza jedno (nieinaczéj tylko), desperować muszę. W. K. M. pan mój miłościwy na świątki nam pieniądze obiecować raczysz, a ja sam z tak błachego ostatka ludzi W. K. Mc przez głód i mus ciężkich niedostatków, do Wielkiej-Nocy zostanieli który, żadnej nadziei nie mam; tak srogie uciśnienie, taka nędza, tak bardzo serca wszystkich od służb W. K. Mści odrażone są. Już się prezentować rycerstwu nie śmiem, już się przekleństwa, a zatym pomsty Bożej nad sobą lękam, by mię płacz i narzekanie ich, ku czemu niefortunnemu nie przywiodły? Utailem się w Berzonach, kryję się przed niemi, nie chcąc na takie miserye i skwierk ich, (co i słyszeć brzydko) okiem swém patrzeć. Głód potężniej nad nieprzyjaciela wszystkich uciska, a prawie do *ostateczności* pędzi; i do tego już przyszło, iż konie swe, na których częste *zwycięztwa* fortunnie odnosili, nie mając je czym i siebie karmić, z wielkim żalem swym strzelają i temiż się żywią. Rozbiegli się po Inflantskiej ziemi dla żywności, i jako głodni wilcy, bez uszanowania *władzy* mejéj, sami się szarpiąc, nie małe mordy, wydzierki, najazdy, i inne excessa czynią. Hamować trudno: muszą. Głód jadowity i *do tego co się nie gołzi* ciągnie a posilać go nie masz czym w takim niedostatku pieniędzy. Trwać zatym dłużej nie chcą, ani mogą... Niech ci, którym

nędza nasza i niedostatek *pośmiewiskiem*, nastąpią w nasze miejsca, niech się cieszą z prac naszych, damy plac; zdarz jedno Boże, aby tak cierpliwie jako lekceważą znosić umieli... Padnieli zatym co niepociesznego? jakom się nieraz protestował, i teraz przed Bogiem i W. K. Mścią oświadczam, że *jest od winy wolny*, żaden mi jój *przypisywać* nie może, że mnie wina jako z gęsi woda spłynąć musi. Czyżże już W. K. Mśc, żeby z dobrem naszym i prowincyi téj było; dosyć ja z siebie czynię, iż jakom przedtym służąc W. K. Mści, wilem chudoby swój ojczystej utracił, tak i teraz ostatka zagonu nie litując, krwawą wysługę swą, Berzony daję na zastawę, a nie tylko tę, ale i wszystką majątność mą, aby się jedno potrzebie Rzeczypospolitej dogodzić mogło, lecz i w tym wątpliwa nadzieja: tak się wszyscy ścisnęli, iż trudno gdzie i kopy groszy porwać.“ *)

Król przysłał nieco posiłków, i Chodkiewicz w 1605 r., świetne pod Kircholmem odniósł zwycięstwo. Tyle mężstwa w żołnierzy swych natchnąć umiał, że kiedy przed tą rozprawą unyślnie przed zgromadzonem wojskiem o wielkiej liczbie nieprzyjaciół mówił, ozwał się jeden z towarzystwa: „Policzymy ich lepiej, gdy pobijemy.“—„Daj Boże, rzekł Chodkiewicz, żeby się te WMści spełniły słowa; biorę je za dobry znak ochoty WMściów, i mam nadzieję w ich waleczności, że się nam dobrze powiedzie.“ W czasie téj bitwy zaciętej, sam hetman w niebezpieczeństwie zostawał: doskoczył jeździec nieprzyjacielski tam, gdzie śmiały wódz przebiegał, i z pistoletu ubił jego adjutanta. Zwrócił się ku niemu Chodkiewicz, natarł, i śmierć zadał. Książę Sudermanii, dwa konie miał pod sobą ubite i zaledwie uciekł na okręty; poległ

*) Oryginał tego listu, dawniej w bibliotece Poryckiej, pisany był 10 Marca 1604 roku. Słowa w nim odmiennym charakterem drukowane, są po łacinie w oryginale.

Linderson, i księżę Luneburski; 9,000 Szwedów zginęło. Tłum więźniów, obóz cały, dział jedenaście, sześćdziesiąt chorągwi, kredens srebrny i wszelki sprzęt Karola, już królem Szwedzkim ogłoszonego, dostały się w ręce naszych. A to zwycięstwo nad tak wielką siłą, 3,700 ludzi otrzymało; ale byli to Polacy a dowodził im biegły wojownik. Winszował go Chodkiewiczowi swém pismem Rudolf cesarz; upominki przysłał Jakób król angielski; uprzejmie pisał Paweł V papież; wzniosł posąg bohaterowi w swym ogrodzie Medyceusz, a w Flandryi robione jedwabne obicia, zdumionym oczom malowały tę niepospolitą bitwę!...

Karności przestrzegał Chodkiewicz surowo, nie przebacząc i znakomitszym. Doznał tego Kazanowski, który wstępując z swym oddziałem do obozu, poważył się przed sobą buzdygan nieść *) kazać. Chodkiewicz rzekł do królewicza Władysława: „Kaź Wasza Królewiczowska Mość go przestrzedz, aby ten znak do torby schował, bo mu go każe stłuc na łbie.“ Za opierającym się rozkazom hetmańskim w ciągnięciu obozowém, kiedy przed rozgniewanym Chodkiewiczem uciekał Kazanowski, rzucił nań wódz buławą, i po czapce go zachwyił.

Żółkiewski poległ pod Cecorą, zdawało się, że Turcy pochłoną Polskę. Kiedy szło o wybór hetmana, któryby stojącą nad przepaścią uratował ojczyznę, król mianował Chodkiewicza. W dzień ślubu z Aloizą księżniczką Ostrogską, doszedł go rozkaz króla, głos narodu. Przerwał weselne gody, pośpieszył gdzie go przyzywała sława. Zachodzące słońce świetniejszym iskrzy się blaskiem: takim się okazał Chodkiewicz. Gdy szczupłe, w porównaniu z Turkami, hufce nasze Dniestr przechodziły, zwątlony wiekiem, sił starganych, osłabionego

*) Buzdygan, znak dowódców oddzielnych: nie mogli go wznosić w obliczu hetmana.

zdrowia, siedział przecież w zbroi na dzielnym koniu, obóz w bliskości Chocimia rozłożyć kazał. Nadeszli bisurmanie 260 dział polowych z sobą wlekąc, okrom burzących, z tych niektóre były 60-funtowe: niezliczone tłumy składały ich potęgę; największe wysilenia zaledwie podniosły siły naszych wraz z Zaporozcami do 65 tysięcy, armat 28 tylko liczone, szczupła ilość prochu i ołowiu.

Uderzyli Turcy na kozaków, Chodkiewicz dosiadł rumaka, porwał szyszak i pałasz od orężnika swego; z pułkiem swym i Lisowczyków, między tłum bijących się poskoczył, śpiewając hymn *Boga Rodzica*, i srogą klęskę nieprzyjaciołom zadał. Inną razą w nocy do obozu nieprzyjacielskiego wtargnąc kazał swym kozakom; śmierć Karakaszy, najmężniejszego z Ottomanów, zdobyty na nim łańcuch złoty, chorągiew czerwona Janczarów, uświetniły tę walkę. Mimo to zewsząd okrążone rycerstwo, cierpiąc niedostatek żywności, spogląda ze smutkiem na przemagające nieprzyjaciół tłumy, bez nadziei odsieczy; upada na siłach, i haniebnie obóz porzucić zamysła. Wódz schorzały zwołuje koło żołnierskie, sam ten środek doradza, siebie tylko na polu sławy rozkazuje zostawić. Zdziwionych, przejętych trwogą, temi słowy ocuca, rzeźwi, ożywia; nadzieję w ich serca wraża, odwagą swoją dusze ich przejmując. Krzyknęli wszyscy: „Tu chcemy pozostać! tu zwyciężyć albo umierać!“

Nie było w przeznaczeniu Chodkiewicza końca tój wyprawy oglądać. Wzmogła się choroba; kazał się zawieźć do Chocimia; ze łzami spotykało go rycerstwo, ulubionemu wodzowi ostatnie czyniąc pożegnanie. Wręczył buławę 23 Września 1620 r. koledze Lubomirskiemu; nazajutrz o drugiej z południa ducha wyzionął. Już nie żył, a jeszcze lękali go się Turcy; sława jego acz po zgonie, zaszczytny pokój uzyskała Polakom. Zwłoki jego przewiezione do Kamieńca, potem do Ostroga, spoczywają pod wspnianym grobowcem wzniesionym od przywiązanej żony.

Śpiewak Sybilli Puławskiej tak mówi o Chodkiewiczu, i ostateń jej wyprawie:

Już się w stepy Chocimskie ta powódź rozlała,
 Jeknęło chrześcijaństwo, Europa zadrżała.
 W tobie świat Chodkiewiczu swe losy położył,
 Którego nieprzyjaciel żaden nie zatrwożył.
 Biegnie starzec trudami i wiekiem zdyszony,
 A wyższym z Nieba duchem i mężstwem natchniony,
 Tego lwa nadętego przemysłem uchodził,
 Rozdarł paszczę, z przestřachu ziemię oswobodził;
 A w zgonie napełniwszy sławą świat szeroki,
 Zdarła lwia skórą, okrył pamiętne swe zwłoki.

Czytająca mnie młodzi! nie jeden z was czuje w sobie chęć do wojska, i będzie żołnierzem; ucz się od przodków w tych wspomnieniach narodowych wierności dla króla; ucz się od najmłodszych lat swoich, że wszystko, i życie nawet w tym stanie poświęcać należy: uznawaj potrzebę karności i ścisłego pełnienia rozkazu twoich zwierzchników.

OBJAŚNIENIA.

(1) Ojcem Karola Chodkiewicza był Jan Hieronim, kasztelan wileński, marszałek Wiel. Litw., starosta żmudzki, a matką, Krystyna Zborowska kasztelanka krakowska, siostra tak głośnych w Rzeczypospolitej braci. Młody Jan Karol, r. 1593 ożenił się z Zofią Mielecką, wojewodzianką podolską, hetmanówną koronną, wdową po Szymonie, ostatnim z książąt Olelkowiczów na Słucku. W zgodzie i miłości, dwadzieścia kilka lat z sobą przeżyli, o czem świadczą własną ręką Chodkiewicza pisane i z własnych ust jego przez drugich zachowane nam słowa. Kiedy po zwycięztwie Kircholmskiem dowiedział się o niebezpiecznej chorobie swęj żony, a duchowni przytomni widząc ciężki jego smutek, pocieszać go chcieli, — „Jako ja się (mówił im) frasować nie mam, a mnie Pan Bóg z tym przyjacielem błogostawi.“ — Zofia na ten raz wyzdrowiała, lecz w r. 1619, właśnie, gdy

mąż jęj był na wyprawie z królewiczem Władysławem, śmiertelnie znów zaniemogła. Przed zgonem mocno żądała ujrzeć go jeszcze i pożegnać, jako też doczekała się tęg pociechy, bo na czas wrócił. W drugim roku po jęj śmierci, Chodkiewicz d. 20 Czerwca zrobił testament, w którym o wielkich dobrodziejstwach zmarłej wspominając, ciało swoje przy jęj zwłokach w Kretyndze pogrześć rozkazuje — a jednak tegoż roku w Listopadzie, wybierając się na wyprawę chocimską, ożenił się powtórnie z Anną Aloizą księżniczką ostrogską, dwudziesto-letnią panną, bo też trzeba wiedzieć, że jeszcze przed 1613 r. w najcięższych chwilach swego wojennego zawodu, utracił syna jedynaka, piętnastoletniego już młodzieńszka; zostały mu tylko dwie córki; nadwyczaj więc pragnąc dziedzica płci męskiej zostawić, a przeczuwając, że w zbliżającej się wojnie głowę położy, zawarł spiesźnie te nowe związki.

(2). Ale „Wróżbę króla bohatera sprawdził Chodkiewicz.“ — „Mąż silnej woli, żelaznej prawicy, żył tam jedynie, gdzie wrzała bitwa; na polu był niezwyczężony i wielki. Nie stanął mu wtenczas oko w oko, bo i swojego i cudzego obalił: wroga ścierał na miazgę zapałem niewstrzymanym, ogniem szalonym; swojego za najmniejsze uchybienie karności, buzdyganem dojeżdżał po głowie, złażał prostemi słowy, jakby bohater homeryczny... Pójmował powinność swoją po kapłańsku, nie darmo się też na wzorach starożytnych wykształcał. Na wojnę szedł pomodliwszy się Bogu w kościele. Brał wtedy od biskupa chorągiew poświęconą, szablę o ewangelję ocierał. W pochodzie i w boju śpiewał pieśń o Boga Rodzicy; jałmużny hojne sypał, a gdy szedł do kościoła z żoną i synem, inszy worek pieniędzy za nim, inszy za żoną, inszy za synem niesiono... Rzeczpospolitę kochał więćć jak siebie i gotów był za nią głowy nadłożyć, a jednak pycha kaziła i te najzacniejsze przymioty jego serca...

Popędliwość w nim była wielka od dzieciństwa i ztąd ksiądz jezuita Leśniowolski kazał mu nieraz oczy zasłaniać przy zabawie, gdyż wszędzie młody Chodkiewicz chciał być pierwszym, a unosił się gwałtownie za najmniejszą przeszkodą. Jako Litwin wysoko się nosił obok ludzi koronnych... jako człowiek miał pychę rodową, jakiej dzisiaj i pojąć nam trudno. Najwięższym panom był honor mieć jakie z hetmanem stosunki: Sanguszko, Radziwiłł, Sapieha, powinni mu byli ustępować. Nienawidził Zamoyskiego i Żółkiewskiego, że przodków nie mieli, a powstawali przeciw Zborowskiem, z których wiódł ród swój po kądzieli. Jednak sprawiała to w nim jedynie gorączka. W chwilach szczęśliwszych, natchnienia, które miał tak często, był sprawiedliwym...“ W ten sposób o naszym hetmanie pięknie się Julian Bartoszewicz w Encyklopedyi powszechnęj wyraża. Niemniej przeto duma i gwałtowność Chodkiewicza przez całe życie wielu mu niechętnych wzbudzały, a raz ledwo całego kraju w wojnę

domową nie pogrążyły, on bowiem głównie się przyłożył do zaostrenia sporu, który między jego stryjem, starostą żmudzkiem, a Radziwiłłami o księżniczkę słucką wybuchnął. Księżniczka, sierota z najbogatszym na Litwie wianem, pod opieką Chodkiewiczów się chowała. Jeszcze w dzieciństwie prawie zaręczono ją Januszowi Radziwiłłowi; lecz nim doszła lat szesnastu, wieku oznaczonego na zawarcie ślubnych związków, ojciec księcia Janusza wytoczył sprawę Janowi Karolowi i bratu jego Chodkiewiczom o starostwo Kopyskie. Chodkiewicze nadrobili to wnet u swego stryja, że młodemu Januszowi, wstęp do swego domu utrudnił, a wreszcie zupełnie zamknął. Radziwiłłowie nie dali się tém ustraszyć; gdy się termin poprzednio oznaczony zbliżył, w Lutym 1600 r. ściągnęli poczty zbrojnych przyjaciół do Wilna i przemocą postanowili narzeczoną odebrać. Chodkiewicze jeszcze groźniej przygotowali się do oporu. Jan Karol rozporządził żołnierzy, armaty zatoczyć kazał i pewnie krwią bratnią byłyby ulice miasta się zboczyły, gdyby inni panowie, a nawet umyślni króla wysłańcy, powaśnionych możnowładzców z wielkim trudem do zgody nie przywiedli. Janusz rękę księżniczki otrzymał, ale wzajemna nieprzyjaźń z serc nie ustąpiła. W kilka lat później znowu mąż Olelkiewiczównę z Janem Karolem naprzeciw sobie do walki stanęli. Janusz był przywódcą rokoszu Zebrzydowskiego: Chodkiewicz króla bronił.

(3.) „i po czapce go zachwycił...“ Tak lakoniczne o tém zdarzeniu wspomnienie, trochę w dziwném świetle charakter Chodkiewicza przedstawia. Sami nawet pamiętamy, jak nas to zgorzzyło, kiedyśmy po raz pierwszy życiorys Chodkiewicza w *Rozrywkach* czytali, a nie mieliśmy sposobności dowiedzieć się, co właściwie tak gwałtowne uniesienie hetmana spowodowało. Żeby dzisiejszych czytelników pani Hofmanowej w podobnej niepewności nie zostawiać, przytaczamy ważniejsze szczegóły tego wypadku według opowieści Naruszewicza. Działo się to r. 1618. Chodkiewicz w obozie miał dowództwo wyprawy, ale królewicz Władysław tytułarnie władzę najwyższą piastował. Na hetmanie ciążyła odpowiedzialność za wojsko i za królewicza, a ten zwyczajnie jako młody i niedoświadczony, młodych miał ulubieńców i niebardzo w nadzorze starego hetmana smakował. Tymczasem ów Marcin Kazanowski, o którym pani H. wspomina, nadciągając z posiłkowym oddziałem, wziął po drodze Starodub i tak w pychę urosł, że chciał koniecznie osobne i od Chodkiewicza niezależne zatrzymać dowództwo; chciał, aby mu wolno było obozem stanąć gdzie mu się będzie podobało; mieć własne hasła i strażę; karać udzielnie swoich ludzi i w ciągnięciu, inne oddziały, swoim oddziałem poprzedzać. W tak zuchwałych żądaniach dodawała mu otuchy protekcyja brata i synowca, którzy obaj wielkimi byli Władysława ulubieńcami.

Chodkiewicz przewidując zwykle Kazanowskich matactwa, pierwój

jeszcze wspólnie z królewiczem porządek obozowych pułków ułożył; dla mającego nadejść oddziału ostatnie miejsce wyznaczywszy, rotę jego tak rozsyłał, że tylko 800 ludzi przy Kazanowskim zostać miało. Ubodło to wielce Kazanowskiego, gdy się o tem dowiedział; pisał do Władysława swoje warunki niejako podając, a brat i synowiec tak zrzęcznie sprawę jego przedstawili, że Władysław postanowił cofnąć zatwierdzone już rozporządzenia. Na mocy tej obietnicy, Kazanowski wjechał do obozu z wystawnością i godłami niezależnego dowódcy, czém już bardzo Chodkiewiczowi obraził. Królewicz nie szczędził aż nazbyt gorliwych starań, żeby uroszczeniem swoich faworytów zadość uczynić. Hetman w żaden sposób nie mógł i nie chciał na coś podobnego zezwolić. Władysław prosił, wstawił się, gniewał, srożył: Chodkiewicz nie ustępował. a w końcu tak się tem wszystkim rozdrażnił, że, podległy napadom nerwowym, które wówczas kadukiem zwano, na dobre się rozchorował. Dalsze układy przez posły trzeba było prowadzić i jeszcze ostrzej się potoczyły. Królewicz kazał powiedzieć, że nie może przystać na to, aby Kazanowski miał być na ostatku położony i zbierał za drugimi podkowy. Hetman odparł, iż co się raz królewiczowi podobało, miało mu się zawsze podobać; porządek już rozesłał do pułkowników; odwołać go nie może, bo toby mu ujmę w ich oczach zrobiło. Królewicz chciał wtedy nie chorągwie już, lecz przynajmniej osobę Kazanowskiego na przód wysunąć i oświadczył, że mu własny swój pułk odda. Hetman i temu się sprzeciwił: pułk ten przez samego króla Plichtcie był powierzony. Władysław strasznie się tem oburzył—jego osoba—kaze mówić—nie była nigdy i nie będzie pod rządem Plichtów. Hetman śle w odpowiedzi, że Królewicz Jmość nietylko pod Plichtów, ale pod żadnym na świecie rządem nie będzie, lubo kasztelan sochaczewski pułkiem jego będzie dowodził, jako i sam król Jmość pod rządem nie jest, choć pułkami dworskimi marszałkowie jego rządzą. Królewicz rozjątrzony, z osobistemi zażaleniami na Plichtę wystąpił: że mu szkodzi, że go w listach do ojca opisuje, a wszystko razem temi słowy zakończyć kazał: „Niech się pan Hetman strzeże, żeby ten garniec, który przystawił do ognia, nie spukał się na jego głowie.“ Tu już cała gwałtowność chodkiewiczowska wybuchnęła: „Żaden Chodkiewicz garnców nie nastawiał. a głowy mojej nikt się nie tknie, kto swojej nie nadstawi... Boże się pożał, że Królewicz Jmość nas starych sług ojcowskich, z żadnej miary sobie niepodległych, tak traktuje... Obaczy co w tym wskóra ze swoimi Kazanowskimi—i rzuciwszy kilka owych homerycznych, jak p. Bartoszewicz zowie, przymówek. Niechaj mnie już—kończył—zaniecha swemi poselstwami; jutro da Bóg, gdy on wytrzeźwieje, a ja jakkolwiek z tej słabości, w którą on mię wprawił wynijdę, będę bez posłów z Królewiczem Jmością sam mówił.“

Nazajutrz istotnie odbyła się ta rozmowa. Hetman surowo, zwyczajnie jako mistrz sędziwy na młodziutkiego swego ucznia, powstał na Władysława, ale Władysław już miał czas się pomiarkować, bo pomimo płochości właściwej jego wickowi, nie zbywało mu na politycznym rozumie, którego później w życiu dał wiele dowodów; teraz też uprzejmie hetmana przeprosił i zdał się we wszystkim na jego rozporządzenia. Kazanowscy wszelako nie tak łatwo ustąpili. Kiedy wojsko się ruszyło i zaczęły ciągnąć pulki: Kiszki, Zenowicza, Opalińskiego, Chodkiewicz nie widząc kilku przydanych im ze swego rozkazu chorągwi, wypytywał o sprawę tej odmiany? Powiedziano mu, że Kazanowski nie puścił ich ze swojego oddziału. Wtenczas to dopiero skoczył ku niemu z niepohamowanym gniewem i ucickającego przed sobą buzdyanem po czapkę zajął. Widząc taką gonitwę, chorągwie, o które szła zwada, spiesznie z pułku do pułku przeleciawszy, na swoim miejscu stanęły. Ten ich pełen karności wojskowej przestrach, oddziałał na Kazanowskich i coprędzej prosili Władysława, żeby ich z Chodkiewiczem pojednał. Jeszcze hetman nie ostygły z gniewu, jeździł między pułkami, słowa do nikogo nie mówiąc, kiedy królewicz przyskoczył do niego konno, a ujętego za ramię na stronę opodał odwiódłszy, uprzejmie błagać począł, aby tego co się stało zabaczył, i przyrzekał, iż sam we wszystkim pójdzie za jego wolą.

Hetman przyszedłszy do siebie, ywo przekładał królewiczowi, iż te płoćki i niezgody z przyczyny samego pana były wszczęte, a przynoszą krzywdę jego honorowi i dobro powszechnie psują. Królewicz Jmość powinien raczej serca rozjątrzone koić, niżeli one truć coraz nowemi niesnaskami. — Władysław przyrzekł poprawę i zaraz na pierwszym w pochodzie odpoczynku, zalecił dwom przyjaciółom swoim Szodrskiemu i Sobieskiemu, aby Plichtę z Kazanowskim pojednali, co też oni pomyślnie uczynili.

Zdaje się że przeczytawszy to objaśnienie, łatwiej każdy przebaczy Chodkiewiczowi jego surowość i popędliwość nawet. Wprawdzie Kazanowski był dobrym i zasłużonym już nietylko pod Starodubem, ale i w wojnach z Turkami żołnierzem; nie godziło się jednak w pośród kraju nieprzyjacielskiego, w pośród grozących dokoła niebezpieczeństw, cierpieć pod bokiem swoim współnika władzy, bo wszystko na jedności planu i wykonania zależało; ani też nie godziło się ścierpieć pod bokiem swoim choćby podwładnego nawet, który dworską łaską uzuchwalony, a siłą zbyt licznego korpusu wsparty, mógł w złej godzinie przez niekarność swoją, wszystko i wszystkich na sztych wystawić.

(4.) „Obóz w bliskości Chocima rozłożył kazał...“ Od dnia 2-go do 29 Września r. 1621, sześćdziesiąt kilka tysięcy wojska, ciągle dniem i nocą zwycięzkie potyczki staczało przeciw najgroźniejszej podówczas w Europie potędze Tureckiej, do czterechćroc sto tysięcy wynoszącej.

Sam sultan Osman, Turkami dowodził wraz z wielkim swoim wezyrem Hussejnem, a pod nimi dziesięciu baszów i na czele jednych Tatarów Kantymir, na czele drugich Dziambet Geraj. W wojsku polskiem po Chodkiewicz, najstarszym był Stanisław Lubomirski. Królewicz Władysław, choć już dojrzały i roztropniejszy niż dawniej, nie mógł jednak w obrotach wojennych brać udziału, bo go ciężka febra trapiła i niemal aż o życie jego się lękano. W pomoc regularnemu wojsku naszemu pod dowództwem, a głównie też i za sprawą Piotra Konaszewicza, nadsięgnęło trzydzieści tysięcy kozaków Zaporozców. Piotr Konaszewicz urodzeniem swoim z prostego gminu ukraińskiego pochodził, ale odwaga, dzielność, roztropność, wyniosły go na stopień atamana między swoimi, którzy mu zwykle przydomek *Sachajdacznego* dawali; między Polakami zaś zapisano go w poczet najznakomitszych tego czasu wojowników, a dzięki Bogu, był to poczet sławny i liczny, zwłaszcza pod Chocimem. Świetność tych bojów ciągle jakiś urok na poetów wywierała. Nietylko Woronicz układał na ich cześć przytoczone przez panią H. wiersze; jeszcze i Krasicki próbował epopeję z tych wypadków ułożyć. Dowcipnemu *księżciu* naszych rymotwórców wcale się tak śmiałe przedsięwzięcie nie powiodło. Szczęśliwym był bliższy tych zdarzeń świadek Wacław Potocki, którego *Wojna Chocińska*, pełna z ogniem i życiem napisanych ustępów, ma obok tego nieocenioną wartość pamiętnikowęj, rzecby można, wierności, i dziś jeszcze wrażenie na czytelniku robiąc, historykom nazwisk, szczegółów i obrazków ówczesnej chwili dostarcza.

WIADOMOŚĆ O ŻYCIU

MARYI Z LESZCZYŃSKICH

KRÓLOWEJ FRANCUZKIEJ

(ur. 1703, um. 1768 r.)

Cnoty, sława, piękne imię, nietylko są mężczyzn udziałem; równe ma do nich płęć żeńska prawo, z tą jedynie różnicą, że jęj cnoty są inne, jęj sława mniej głośna, jęj imię

więcej zwykle z przymiotów serca, niżeli z rozumu słynące. Naród nasz bogaty w znakomitych mężów, ma także i wiele Polek godnych wspomnienia; jedną z nich jest Marya z Leszczyńskich, królowa francuzka. Prawda, że pierwsze lata wieku swego strawiła w Polsce, że zmuszona była okolicznościami inną przywłaszczyć sobie ojczyznę; ale zrodzona z rodziców Polaków, wzięła życie na polskiej ziemi, a cnoty jej i żywa rodzinnego kraju pamięć, słusznie jej miejsce między sławnymi Polkami nadają.

Dokładną wiadomość o jej życiu, z pisarzy godnych wiary czerpaną, przedstawić wam umyśliłam, dzieci moje; abyście w czytaniu jej znalazły przyjemność równą tej, którą ja doznawałam, kreśląc ten obraz cnót tak znakomitej rodaczki.

Marya Leszczyńska urodziła się w Poznaniu dnia 23 Czerwca 1703 roku, z Stanisława Leszczyńskiego i Katarzyny z Opalińskich, w czasie pierwszego wyboru jej ojca na tron polski. Opatrzność wielkie jej gotując losy, w szkole nieszczęścia wzrosć jej kazała; a chcąc zapewnić prawdziwe jej szczęście, użyczyła jej najdroższego z darów swoich: dobrych i pobożnych rodziców. Do lat dwunastu Marya Leszczyńska żyła wśród samych niebezpieczeństw, na łonie nieustannej trwogi. Obozy, wojska, kotły, trąby i armaty, te były pierwsze przedmioty, które uderzyły rozwijające się jej zmysły; kilka razy nawet życie jej było narażone i wcześniej te przygody się zaczęły. Dopiero miała rok jeden, gdy ojciec jej, lubo ogłoszony królem przez część narodu, nie mógł jednak się mierzyć z nacierającym na siebie przeciwnikiem, i ulegając koniecznej potrzebie, ujechać musiał z Warszawy, gdzie od jakiegoś czasu gościł. Z garstką stronników dążył śpiesznie, żeby się z opiekunem swoim, Karolem XII, połączyć. Towarzyszyła mu cała jego rodzina, matka, żona i dwie córki. Pierwszego wieczora właśnie, gdy w jednej karczemce do krótkiego odpoczynku się zabierał, dają mu znać, że woj-

sko saskie się zbliża. Bez nadziei oparcia się przewyższającą siłę, Leszczyński wydaje rozkaz prędkiego wyjazdu, sam go nagli, wyjeżdżają; lecz o milę drogi spostrzega żona jego, że w żadnym powozie jego nie ma małej królewny Maryi. Rozpacz obejmuje rodziców, oddział konnicy wraca śpiesznie do karczmy, i po długim szukaniu znajdują nareszcie dziecko, śpiące spokojnie w żłobie stajenki i zwracają go z radością niespokojnemu ojcu i matce. Podobnych przygód doznała kilka Marya Leszczyńska i można powiedzieć że wzrosła w szkole nieszczęścia. Kiedy szósty rok miała opuścić ojczyznę i już jej nie ujrzała nigdy. Wtedy właśnie Karol XII zwyciężonym pod Puławą został i Leszczyński schroniwszy się do Szczecina, w Pomorzu, rodzinę swoją tam sprowadził. Znekany kilkoma laty panowania, więcej mniemanego niżli istotnego, błagał króla Szwecyi, żeby wrócić kazał pokój ojczyźnie i jemu, żeby mu pozwolił zrzec się tego tronu, którego znał same gorycze; ale nie chciał na to przystać zacięty bohater; nadzwyczajnie uparty, nie odstępował nigdy od raz powziętego zamiaru; wyznaczył więc Leszczyńskiemu schronienie w księstwie Dwóch Mostów i dosyć znaczne dochody, i tam czekać mu kazał chwili, w której niezawodnie na tron polski go powróci. Lecz jakże często ludzie zbyt wiele się spodziewają od szczęścia i losu; nie doczekał Karol XII téj chwili. Napełniwszy Europę odgłosem śmiałości, uporu, zwycięstw i nieszczęść swoich, skłóciwszy Polskę już wstrząśnioną w zasadach, zgromadziwszy stopy obalin i trupów, znalazł zgubę w własnym dziele, zginął pod miastem Fridrikshal w Norwegii i śmiercią jego Leszczyński opiekuna i schronienia pozbawionym został. Niechcąc i niemogąc wracać do Polski, (bo już i tak po kilka razy stronnicy Augusta II nastawali na jego życie), Leszczyński otrzymawszy pozwolenie mieszkania we Francyi od rządzącego wówczas tym krajem rejenta, udał się do Alzacy do miasta Weisemburg. Traktat Szwecyi

z Polską zapewnił mu wkrótce tytuł króla, zwrócenie dóbr dziedzicznych, ucziwe choć mierne dochody i zupełne dla wszystkich jego stronników przebaczenie; warunek, który zapewne najwięcej uradował piękną duszę Stanisława.

Marya Leszczyńska, już wtedy jedynaczka, (bo jej siostra starsza umarła w ciągu tych zamieszkań), miała lat szesnastcie, gdy na ziemię frauczuką wstąpiła, na tę ziemię, która jej drugą ojczyzną stać się miała. Zdawaćby się mogło, że jej wychowanie zaniedbane być musiało, kiedy lata jemu poświęcane wpośród tylu burzliwych okoliczności spędziła; ale przeciwnie się stało: te wszystkie przygody, te nieustanne losu igraszki ukształciły jej duszę, wzmocniły umysł, serce tkliwością przejęły; ojciec jej zaś w odmiennych życia swego kolejach nie zapominał nigdy na chwilę, że był ojcem, czuwać nad córką i trudnić się nią nie przestał.

Stanisław Leszczyński niepospolitym był człowiekiem, nie miał on zapewne tej dzielności bohatera, tego śmiałego umysłu, który nadzwyczajną rzecz przedsięwziąć i wykonać umie; nie miał tej wysokości dumy, koniecznie potrzebnej temu, który wśród tysiącznych przeszkód dopiąć chce zamierzonego celu: ale posiadał wszystkie cnoty wielkiego monarchy, panującego w pokoju nad ludem wiernym sobie; rozsądek nadzwyczajny, duszę wspaniałą, szlachetną, wytrwałą, a nadewszystko serce tklive, ludzkie i dobroci pełne. Tych przymiotów sami nieprzyjaciele zaprzeczyć mu nie mogą; temi w innych okolicznościach mógłby być tak szczęście zapewnić Polaków, jak uszczęśliwił później wspominających go dotąd wdzięcznych Lotaryńczyków. Człowiek taki czyż nie był zdolnym do prowadzenia córki? córki, której łaskawe nieba najpiękniejszych użyczyły skłonności. Był więc jej nauczycielem; sam kreślił przepisy, według których prowadzić ją miano; sam pilnował ich wykonania, a matka, żona i Moszczyńska, ochmistrzyni młodej królewniej, niewiasta wiele zalet mająca, dopomagały mu gorliwie w skutecznieniu jego zamiarów. Owocem

tylu złączonych usiłowań były cnoty i zalety Maryi, i nigdy dzieło żadne nie usprawiedliwiło lepiej licznych zabiegów i starań. Wdrożona od kolebki w tór dobrego, najlepszym w domu przykładem, pokochała zawczasu Boga i cnotę; już w ośmiu leciech rozkoszą była rodziny swojej, największą nieszczęść jój osłoda: niewinność i prostota, dziecinnemu wiekowi właściwe, słodycz wielka przy żywości, pieszczotliwe ułożenie, zyskiwały jój serce każdego, kto ją poznał. Wrodzoną mając do dobrego dążność, dosyć było przedstawić jój zbawienny przykład, aby go już naśladować zaczęła; nauki moralnej, raz usłyszanój, nie zapominała nigdy; rozwijały się one w duszy usposobionój do cnoty jak ziarno, które się krzewi, gdy na sprzyjający sobie grunt padnie. Pobożną zaś była od lat najmłodszych i nic w tém dziwnego! Bo jakżeby inaczej tak dobrą być mogła? W wieku roztrzepania umiała się przejąć pamięcią obecności Boga, wszędzie i zawsze widziała Go koło siebie; przekonaną była, że być dobrą, rodzicom posłuszną, w naukach pilną, jest najlepszym środkiem dla dziecięcia okazania Stwórcy miłości i wdzięczności swojej. Tym Go więc sposobem codzien i w każdój chwili chwaliła, a gdy weszła do świątyni Jego, skromność jój i gorliwość modlitwy rozrzewniała przytomnych. Ta pobożność nie była dla niej do wesołości przeszkodą, owszem lubo wzrastała w szkole niedoli, nie znała posępności i smutków i miłemi żarcikami ożywiała rodzinę swoją. Żywość jój dowcipu była wielka, ale nad ten dar wielu dzieciom wspólny, posiadała nierównie droższy, dar rozsądku. Każdój rzeczy stronę prawdziwą od razu dostrzegła, o każdój dała sąd sprawiedliwy i często się trafiało, że sami rodzice pytali się o jój zdanie. Tak dnia jednego sprzeczka zaszła między niemi. Leszczyńska niespodzianie na tron wyniesiona, odurzona powabami wielkości, nie mogła tego zapomnieć, że odsuniętą od korony wraz z mężem została i wymawiała mu obojętność, z jaką on ten cios znosił; gdy coraz żywszą w tym przedmiocie stawała się

sprzeczką, spytali się córki, coby o tém myślała? Dwanaście lat mająca wtedy królowa, myślała chwilę, nareszcie rzekła: „Mnie się zdaje, że słuszność z obojga jest strony, matka żałuje tronu dla ciebie ojczyzna, bo cię kocha, a ty go nie żałujesz, boś mężczyzna.“

Kiedy w dwunastu latach rozsądek Maryi i serce tkliwe tak trafną i delikatną odpowiedź jej podały, łatwo zgadnąć, czém była doszedłszy dojrzałego wieku? Śmiało też powiedzieć można, że gdy odsunięta od tronu rodzina Leszczyńskich osiadła we Francji, w całej Europie na dworze najpotężniejszych królów nie było księżniczki lepiej wychowanej, więcej cnót, przymiotów i wiadomości mającej. Bo i na umiejętności młodej Maryi nie zbywało; umiała pięć języków prócz rodzowitego (którego wówczas nawet nie liczono): francuzki, włoski, niemiecki, szwedzki i łaciński, grała na lirze, rysowała trochę, posiadała nadewszystko głęboką znajomość religii; tę w nią ojciec wpoił, sam ją gotował do pierwszej komunii, sam ją uczył i słowami i przykładem, jak służyć najlepiej Bogu. On także rozmawiając z nią codziennie w naznaczonych godzinach, przedstawił jej obraz dokładny dziejów tegoczesnych, dał jej wyobrażenie wszystkich dworów i stosunków jednych z drugimi. Matka ze swjej strony, babka czule wnuczkę kochająca i szanowna ochmi-strzyni, napawały ją miłością do pracy i uczyły ją robót, płci jej właściwych. Nadzwyczajną miała zręczność i upodobanie w tych zatrudnieniach, milsze jej były od wszystkich innych; przekładała igły nad pędzel i pióro, a najlepiej lubiła szyć i pracować dla ubogich. Już czując skłonność do dobroczynności, a niemogąc tak wiele świadczyć, pracą rąk swoich chęciom serca zadosyć czyniła, i dzięki tym staraniom, pomimo szczupłości dochodów, w całym Weisenburgu matką nieszczęśliwych zwaną była.

Tak minęło lat kilka. Leszczyński w słodczy domowego pożycia, w cnotach córki, w księgach i naukach, a oso-

bliwie zaspokojoném sumieniu, lubo wygnaniec, czystego używał szczęścia; kiedy umarł rejent, a skutkiem starań stronników Augusta II, młody Ludwik XV, monarcha francuzki, już miał odmówić schronienia w kraju swoim nieszczęsnemu królowi. Powrót do ojczyzny był niepodobny. Doznawszy tyle smutnych odmian, a tak cnotliwym i bogobojnym będąc, Leszczyński nie lękał się śmierci, lecz troszczył się o matkę sędziwą, o żonę owdowiałą, troszczył się o córkę w kwiecie wieku będącą, która na tronie zrodzona, a dziś bez wiana, sierotą nazawsze zostać miała... Ale Bóg nie opuszcza tych, którzy Mu wiernie służą; jeśli się zdarzy, że na chwilę uchyli od nich błogosławiącą prawicę, zwraca ją wnet z pośpiechem i po téj pozornej przerwie dobrodziejstw jeszcze wspanialszym się staje. Tego doznała rodzina Leszczyńskich. Kiedy Stanisław pogrążony był w smutku i czuł codzien słabnące siły, kiedy przedmioty jego kochania bolały srodze, widząc go w tém smutném położeniu, przyjechał do Weisenburga kardynał *de Rohan* biskup Strasburga, i prosił Leszczyńskiego o tajemne posłuchanie. Otrzymawszy je, tak powiedział: „Królu! przybywam wysłany od gabinetu wersalskiego prosić cię, ażebyś pozwolił córce twojej zostać żoną króla francuzkiego!“ Na te słowa niespodziane Leszczyński sądzi że kardynał żartuje, i wierzyć mu nie chce. I słuszne miał do tego niedowiarstwa powody. Prócz tego, że Marya Leszczyńska bez wiana, nie mogła nigdy tak znakomitego spodziewać się małżonka; wiedział, że Ludwik XV już innéj księżniczce był obiecany. Właśnie zaszyły były układy między Francją a Hiszpanią; już przybyła do Paryża młoda infantka i wszyscy pewni byli, że związek z nią niezawodnie się skojarzy. Tymczasem inaczej rozrządził Bóg w widokach swoich i Leszczyński musiał uwierzyć słowom kardynała, gdy mu list księcia *de Bourbon*, pierwszego ministra Ludwika XV, wręczył; książę w tym liście uroczyście o rękę Maryi Leszczyńskiej dla młodego króla prosił. Uwie-

rzył więc Stanisław i poniósł dzięki niebu. Podobną radością i zdziwieniem *przejęty*, jak niegdyś ów stary patriarchy, gdy mu doniesiono, że syn, którego śmierć opłakiwał, żyje i rządzi w Egipcie, podobnież zawołał: „Błogosławiony Bóg, który wspominał na sługi swoje! dzieło to Twoje, Panie, racz go doprowadzić do końca!“ I to powiedziawszy, udał się wraz z kardynałem do pokojów żony. Tam młoda Marya siedząc obok matki i z nią rozmawiając, zajęta była spokojnie ręczną robotą i nie spodziewała się bynajmniej, jaka wieść wkrótce uszy jej uderzy. Wtém wchodzi ojciec z znakomitym posłem, a niemogąc wstrzymać wyrazów radości, mówi, kłaniając jej się głęboko: „Niechże ja pierwszy królowę Francyi powitam.“ I księżniczka i jej matka z kolei wierzyć tym słowom nie chcą, ale gdy kardynał z powagą prośby i oświadczenia swoje powtórzył, uwierzyły tak, jak Leszczyński uwierzył; Marya zaś wielką mająca duszę, nie odurzyła się nadzieją tak nagłego wyniesienia, ani zbytcej nie okazała radości; nagłona przez kardynała o odpowiedź, w tych ją dała słowach: „Bardzo jestem wdzięczna królowi francuzkiemu, że mnie wyborem swoim zaszczyca, ale oto są rodzice moi, los mój w ich jest ręku.“

Już ojciec na ten los był przystał, z większą jeszcze radością dała pozwolenie matka i ta odpowiedź gabinetowi wersalskiemu przesłaną została.

Po odpowiedzi Maryi, królowi francuzkiemu uczynionej, sześć miesięcy upłynęło, i lubo ciągle różne odezwy potwierdzały ją w przekonaniu, że spełni się ta świetna nadzieja, były jednak niepewności chwile. Bogu los całego życia oddawszy, Marya Leszczyńska nie trwożyła się bynajmniej bojaźnią jakowej zmiany. Szczęśliwa sama w sobie, bo dobra i pobożna, wiedziała, że zawsze samą sobą zostanie i nie obchodziło ją wiele, czy na tronie otoczona wielkością, czy wśród rodziny i mierności dni swoje przepędzi? Ale przyszła nareszcie chwila, kiedy ustaliło się jej przeznaczenie. Skoro

odesłano infantkę do Hiszpanii, Ludwik XV wyprawił do Stanisława Leszczyńskiego uroczyste poselstwo, na czele którego był książę d'Antin, ażeby publicznie prosić o rękę córki. Gubili się politycy w dociekaniach, chcąc koniecznie odgadnąć powody gabinetu wersalskiego do zawarcia takowego związku. Córka monarchy pozbawionego korony, osoba piękna, niebogata, starsza kilkoma laty od przyszłego małżonka, nie zdawała się im stosowna do podzielenia tronu monarchy Francuzów. Ale ci, którzy dobrze Maryą Leszczyńską znali, nie dziwili się nad tym wyborem. Sześć lat ciągłego w Weisenburgu mieszkania zjednały jój serce wszystkich mieszkańców; cnoty jój, światło, dobroczynność w całej Alzacyi i dalej nawet znane były; już dwóch książąt niemieckich i wielki jeden pan francuzki oświadczeni byli o jój rękę i odgłos dobrej jój sławy doszedł uszów młodego Ludwika XV. Kardynał *de Rohan*, który jako biskup Strasburga, miał sposobność przypatrzenia się bliżej królownie, pytany o nią przez króla, potwierdził z zapalem, co publiczne pochwały głosiły. Monarcha wskrós przejęty opisem zbioru tyłu cnót, nieszczęść i przymiotów, zapragnął widzieć obraz wdzięków Maryi Leszczyńskiej. Uczyniono zadosyć tym chęciom; przysłany do Paryża portret królownej podobał się królowi. Marya nie była piękna, niskiego wzrostu, rysów twarzy nieregularnych, miała jednak wiele powabów, bo dusza jój malowała się w spojrzeniu, a nadobny uśmiech, dowcip i słodycz charakteru wydawał. Wierny jój obraz trafił do serca Ludwika XV i sam oświadczył, że chciałby tak cnotliwą i miłą mieć żonę. Biskup *de Frejus*, zaufany króla książę *de Bourbon*, pierwszy jego minister, pochwalając tę myśl, wzmogli rodzącą się skłonność. Sam papież Klemens XII, pytany o radę, pochwalił wybór króla francuzkiego; zwać go było można prawdziwym tryumfem cnoty! zrobiono więc pierwsze oświadczenie, a gdy wszystkie zawady usunięte zostały, gdy Leszczyński publicznie dał pozwolenie swoje

w pierwszych dniach Sierpnia 1725 r., książę *d'Orleans*, syn zeszłego rejenta, przybył do Strasburga, (gdzie Stanisław przeniósł był swoje mieszkanie), zaślubić królownę w imieniu króla Francuzów. Młoda Marya niemogąc już od jakiegoś czasu wątpić o rychłej zmianie losu, nie cieszyła się przecież ani unosiła tą nadzieją. Owszem, sama ta wielkość tak obca dla niej, trwogę w jej sercu wzbudzała. Dotąd żyjąc w zaciszu i łatwe powinności córki mając jedynie do pełnienia, truchlała, czy na tak wysokim stopniu trudniejszym zadosyć uczynić potrafi? Im bardziej zbliżała się ta chwila, tém ona więcej zamyśloną była; i raz, gdy zatopiona w dumaniu siedziała smutnie, kochająca ją babka zapytała się troskliwie, jakieby mogła mieć zmartwienie? „Martwię się, odpowiedziała królowna, bo was opuszczę, bo się lękam, czy w tym wieńcu ziemskiej chwały dojsć potrafię nieśmiertelnego, któregobym między wami tak łatwo i słodko dokupić się mogła?“ „Ach! odpowiedziała jej na to sędziwa i doświadczona niewiasta, wszak strapieniem najłatwiej dojsć do wiecznej chwały? nie lękaj się więc, moje dziecię, będziesz ich miała zadosyć: troski obficie koło tronu rosną.“ Strwożona temi słowy królowna, błagała Boga o wsparcie i siły a w częstych rozmowach z ojcem szukała światła i rady. Zostawiwszy matce cały zachód weselnych strojów, na kilka dni przed wyrzeczeniem wiecznej przysięgi schroniła się do klasztoru, chcąc w zupełnej samotności zastanowić się nad ogromem przyszłych obowiązków. Nareszcie 14 Sierpnia odprawiły się uroczyste zaślubiny w obecności okazałego dworu młodej królowej i zjazdu nadzwyczajnego szlachty i obywateli z Alzacyi całej i z pobliskich prowincyi. Cisnęli się zewsząd Francuzi, chcąc pierwszy hołd oddać monarchini, a wpośród tych zaszczytów Stanisław troskliwy o cnotę córki, wsuwał jej w ucho te słowa: „Wszędzie cześć niosą wschodzącemu słońcu, chcą ci okazać przeto, czego Francya po tobie się spodziewa: nie zawiedźże jej nadziei.“

Kiedy już Marya odjeżdżać do Paryża miała, weszła do pokoju ojca, gdzie babka i matka znajdowały się także; klękła przed nimi i zalana łzami prosiła o błogosławieństwo. Leszczyński z patryarchalną pobożnością i prostotą, ręce trzymając nad głową klęczącej królowej, taką wyrzekł modlitwę: „Niechaj spłynie na ciebie, córko, błogosławieństwo, które Jakób i Tobiasz ukochanym synom dawali; niechaj spłynie nadewszystko owo błogosławieństwo Zbawiciela uczniom dane, niech jak z nimi, tak z tobą *pokój zawsze będzie.*“

Wydarła się Marya gwałtem z rąk rodziców i pierwsze kroki, zbliżające ją do tronu, łzami oblane były. Jednak w drodze cieszyła ją okazywana wszędzie radość. Jak piszą pamiętniki owych czasów, żadna księżniczka na tron francuzki przeznaczona, z większemi oklaskami przyjmowaną nie była. Pochlebne dla ludzkości świadectwo! owa księżniczka nie miała innego wiana prócz cnoty! W tym przejeździe łagodnością swoją ujęła serca wszystkich i utyskiwała tylko nad zbytkiem wspaniałości w jój powitaniu. „Ach! mówiła często, niechże nie będę przyczyną wydatku dla ludu, powołana do czynienia mu dobrze.“ Przyjmując tkliwie te życzliwości oznaki, patrzyła przecież okiem prawdy na nie. Dwa dni po wyjeździe ze Strasburga w tych słowach ojcu podróż swoją opisywała:

„Kochany ojcze! jakże to dawno było onegdaj i jam ciebie nie widziała! Poczciwi Francuzi robią co mogą, żeby mię rozerwać; śliczne mi prawią rzeczy, ale cóż z tego? żaden mi jeszcze nie powiedział, że ciebie zobaczę? Może wreszcie wkrótce i te miłe słowa usłyszę, bo prawdziwie zdaje mi się czasem, że przez kraj wrózek przejeżdżam. Co chwila podlegam rozmaitym przemianom: tu jestem piękniejszą od Gracyi, tam jedną z Muz dziewięciu; tu mam cnoty aniołów, tam sam mój widok błogosławionych czyni. Wczoraj byłam cudem świata, dziś jakąś szczególną gwiazdą: chcą

mnie koniecznie omamić, lecz ja, skoro zapragnę, żeby znikły te omamienia, kładę rękę na sercu i tam znajduję twoją przywiązaną Marychnę *)“

Ludwik XV dowiedziawszy się o zbliżaniu się królowej, wyjechał naprzeciw niej z całym dworem i milę za miastem *Moret* spotkał ją i powitał. Osoby przytomne temu spotkaniu pisały: „Król jechał z wielką niecierpliwością i bardzo był z widoku królowej kontent. Postać jej niezmiernie jest przyjemna.“ Nazajutrz przyjechała do *Fontaineblau*, gdzie odprawiono się wesele. W dniu następującym obrządek koronacyi wypełnionym został z wielką okazałością. Gdy zaś król według zwyczaju ofiarował małżonce bogate dary, odezwała się w niej polska dusza i rzekła: „Przyjmuję chętnie te upominki, ale zupełnie zaspokojona darem serca twego, pozwól, niechaj tych świadkom szczęścia mojego udzielię.“ I rozdała je dworzanom z tą uprzejmością, która cenę każdego daru podwaja. Wspaniałe uczty nastąpiły po weselu i radość wszystkich tak była szczerą i powszechną, jak owych dzieł, które długo osieroczone, matkę nareszcie znajdują.

Znaleźli ją w rzeczy samej Francuzi. Marya Leszczyńska w ciągu długiego życia była prawdziwą matką poddanych. Wzywała nieustannie pomocy Boga, zasięgała rady zastępcy Jego na ziemi, cnotliwego ojca i na takich podporach oparta, upaść nie mogła. Jeszcze się nie skończyły uczty i zabawy koronacyi, kiedy ona już tak pisała do Leszczyńskiego: „Ojcie! dopełnij jak najprędzej uczynionę obietnicy, przyslij mi rady twoje na piśmie; choć daleko od ciebie jestem, bądź zawsze aniołem moim, prowadź mnie, bo idąc sama, łatwo zbłądzić mogę.“ Nie czekała długo młoda królowa na ten *upominek ojcowski*. Treść jego tu mieszczę. Zaczął Leszczyński od tych słów z Pisma Świętego.

*) Tę imieniem zwał zawsze król Stanisław córkę.

„*Stuchaj córko! Nakłoń ucha ku słowom moim i zapomnij ludu twego i domu ojca twójego.*“

„Zasiadłaś córko (mówił dalej) na tronie możnego monarchy. Lubo znakomite są cnoty twoje, nie sądź przeto, abyś im jedynie winną była to wyniesienie. Opatrzności ręka go sprawiła! niechże podwojone cnoty twoje usprawiedliwią jój wybór. Wielu obowiązków się podjęłaś, a mnóstwo oczów patrzy, jak je dopełniasz? nie opuszczaj więc żadnego, a ze wszystkich widzów bądź najsurowszą. Jedną z przywar najpospolitszych wielkim jest pycha, rzadko jój ujdzie człowiek na wysokim szczycie; są nawet tacy, którzy ją powinnością być mieniają: nie bądź z ich liczby, córko, bo czémże są wielcy w oczach rozsądku? czémże się różnią od innych ludzi? tém jedynie, że na wyższej podstawie stoją, a wiadomo ci, że podstawa wartości posągu nie stanowi. Ty, córko moja, uważaj świecznik, na którym stoisz, jako sposób wydania jawniej wszystkich wad twoich. Uniżaj się przed Bogiem, tém więcej, że przed ludźmi wywyższoną jesteś. Jednej ci tylko pychy dozwalam: zapragnij odpowiedzieć godnie przeznaczeniu twemu. Tą się przejmij, bądź wyższą nad tron i koronę pokorą i skromnością swoją; przejdź wszystkich poddanych cnotą. Ale zaklinam cię, nie przesadz w żadnej, a wszystkie umiej upięknąć. Któreż wzory najchętniej są naśladowane? Oto łatwe i przyjemne. Niech więc twoje cnoty ten powab mają, niech nikogo surowością nie zastraszą, niech każdego uprzejmością nęcą. Dało ci niebo twarz przyjemną, uśmiech łagodny, w całej tobie dobroć i słodycz rozlaną się być wydaje; szanuj dary te drogie i niech dusza téj powłóce odpowie. Świadczy ile możności, szczodroblivość powinnością jest panujących. Miłością panuj nad umysłami, taka władza najpewniejsza i królowa nie potrzebuje innéj. Szanuj zwyczaję narodu, któryś za własny przybrała; nagannym nie ulegaj, ale zresztą stosuj się do wszystkich, choćby śmieszne były. Są przesady, które szanować należy i często urojone pole-

pszenie większego złego stało się przyczyną. Wielkim otoczona dworem, nie będziesz mogła żyć wpośród samej cnoty, nie potrafisz oddalić zupełnie występku od siebie, a pobłażać mu nie należy. Chwal więc przymioty, które w otaczających ciebie postrzeżesz, słabości staraj się uniewinnić; udawaj póki będziesz mogła, że nie wiesz o występkach: często pochlebne o kim mniemanie więcej cnót w jego duszy zrodziło, niżliby nagana surowa wad była poprawiła.

„Nie zapominaj lat młodości twojej, nieszczęść, w których wzrosłaś; niech ich pamięć przeciw pomyślności cię wzmocni; doznawszy odmian losu, nie polegaj na nim, nie daj się opanować lenistwu, zachowaj miłość pracy, nie smakuj zbyt wiele w zabawach. Używaj rozrywek przyzwoitych godności twojej, ale niech będą wytchnieniem po zatrudnieniu, nie zaś zatrudnieniem samém. Nadewszystko strzeż się pochlebstwa, to prawdziwa wielkich trucizna, którą zwolna gubią ich dworacy. Znaj siebie a łatwo pochlebców poznasz. Chroń się od wszelkiej próżności, a nie dojdą ich pociski do serca twojego. Umiej oceniać ludzi, uprzejma, przystępna dla wszystkich, samych cnotliwych przyjaźnią zaszczycaj. Kładź wysoko osoby, z ust których otwartą naganę lub zdrową radę usłyszysz. Ale w zaufaniu drugim bądź skąpa; to całkowicie małżonkowi twemu się należy, jego serce powinno być jedynym składem uczuć, chęci, zamiarów, myśli twoich. Odpowiedz godnie pochlebniemu wyborowi króla, podobać mu się niech będzie jedyném życzeniem twojem, zasłużyć na jego przywiązanie, najważniejszą sprawą. Nie powinnaś już mieć gustów i skłonności własnych; z gustami małżonka jednoczyć się powinny. W troskach jego i smutkach bądź mu pociechą; często się przytrafi, że sama wielkość ciężarem swoim go zgnębi: wtedy nieś mu ulgę i pokój, ale nie chciej koniecznie odgadnąć tego smutku przyczyny. Niech ręka twoja nie targnie się, broń Boże, na uchylenie zasłony, okrywającej tajemnice rządu. Władza nie potrzebuje towarzyszki. Niech król i rada jego myślą o sprawach

państwa; kobietą będąc, cała zdatność twoja, najlepsze chęci, najgorętsze usiłowania, nicby dobrego nie sprawiły.

„Na wysokim stopniu, na którym się znajdujesz, nie masz zapewne tak jak i wszędzie, nic ważniejszego od religii; ale co do niej, bądź taką zawsze, jaką byłeś od dzieciennych lat twoich. Wykonywając powierzchowne przepisy, przywiązuj się do jój ducha; niech twoja pobożność z moralnością się jednoczy, wtedy dopiero prawdziwą będzie. Pamiętaj także zawsze o matce i o ojcu twoim; szczęśliwi z wyniesienia jedynego dziecięcia, płaczemy przecież nad twém oddaleniem. Byłeś miłością, pociechą naszą, nie mamy już córki koło nas!.. pomnij, że myśl cnót i szczęścia twego, jedynie słodzić nam to oddalenie może.“

Taka była treść rad Leszczyńskiego, a posłuszna córka dopełniła wszystkich; jaką ją ojciec chciał widzieć, taką się stała i żadne jego słowo marnie nie padło. Od czasu wstąpienia na tron francuzki, do ostatniego momentu jój życia, wzorem była cnót najwyższych. Ocenili ją téż zawczasu Francuzi, ledwie im się pokazała, nazwali ją zaraz *dobrą królową* i ten przydomek jój został; bo prawdziwa cnota i zdrowy rozsądek wszędzie są jakby na swoim miejscu. Córka i wychowanka Leszczyńskiego tak umiała pozyskać uwielbienie w chwale i wielkości, jak i w niedoli i poniżeniu. Wyższa od tronu, bo nic pięknej duszy nie wyrówna, stworzoną do niego się zdawała. I lubo nie lubiła okazałości, przecież skoro tego powinność wymagała, umiała znaleźć się godnie i przyzwoicie. Zaraz w pierwszych latach zamężcia przyjmowała posłów zagranicznych, dawała posłuchania panom królestwa, cudzoziemcom, bez żadnej przesady, żadnego przymusu; owszem z tym wdziękiem i z tą uprzejmością, które powszechnie za granicą Polkom przypisują. Chociaż wzrost mały i postawa nie okazała, nie dodawały jój powagi, umiała szlachetném i piękném ułożeniem wszystko nagrodzić. W każdym jój ruszeniu była godność bez nadętości

i dumy; udzielając się drugim, nigdy nie poniżyła siebie, i zdając się mało wymagać uszanowania, otrzymywała go przecież. Z każdym rozmówić się umiała, każdemu uprzejmém słowem do serca trafiła. Nieprzyjaciołka hucznych, nieprzy stojnych zabaw, żyjąc wpośród nich, daleka od schwywania téj zarazy, potrafiła jój uniknąć. Znalazła prawdziwy środek między surowością i pobłażaniem; złemu, któremu zaradzić nie mogła, wybacziała, ale skoro ta dobroć szkodę przynieść mogła, nie pozwalała jój sobie. Tak, nigdy w swojej przytomności nie dała nikomu chępić się z występku, lub bluźnić przeciw religii i moralności. Żadnej książki bezbożnej widzieć nawet nie chciała, czuwała nad przystojnością dworu swojego; najmniejszego nie dozwalała w obowiązkach uchybienia: z troskliwością matki czuwała szczególnie nad młodemi damami, które ją otaczały, i we wszystkich poszanowanie złączone z miłością wzbudzała. Jeśli płocha część dworzan sarkała na jój stronienie od niepotrzebnych zabaw, nikt jój przecież szacunku i przywiązania odmówić nie mógł. Wszyscy zmuszeni byli ją kochać, a to uczucie dzielił naród cały. Ubóstwiał ją lud francuzki, nigdy jój się doś napatrzeć nie mógł; raz, gdy się przechadzała w ogrodzie *Tuileries*, takie się zeszło mnóstwo, że w tym tłoku ani naprzód, ani wtył posunąć się nie mogła. Naprózno straż koło niéj będąca rozpędzać chciała pospólstwo, cisnęło się coraz więcej, pragnąc bliżej widzieć monarchinią. Nareszcie królowa dała znak, że chce mówić; stanęli wszyscy, a ona powiedziała z uśmiechem: „Wiem, dzieci moje, że się do mnie ciśnicie, bo mnie kochacie tak, jak ja was kocham; dla téj więc samej miłości, zamiast mnie dusić, pozwólcie mi przejścia.“ W jednéj chwili lud zgromadzony wydał okrzyk radości i otworzył wygodne dla królowéj przejście. W swoich przejażdżkach do Wersalu, do *Compiègne* i dalszych miejsc, witaną zawsze była jak anioł opiekuńczy narodu; kiedy zabawić dłużej w jakim miejscu miała, radość była powszechna,

a gdy wyjeżdżała, łyzy śącyły się niemal z oczów wszystkich. Widząc to, sama rozkwilona, zwykła była mawiać: „Cóżem zrobiła ludowi temu, że mnie tak kocha? dobre chęci moje chyba ocenia.“ Bo téż nie było królowej, któraby naród swój mocniej kochała; żadnej ofiary dla szczęścia jego przykrą być nie mieniła: przystępna dla wszystkich, na wzór czułych matek słabym i małym bajwiększą okazywała przychylność; ostatni z jój poddanych równie ważył w jój oczach z najpierwszym panem, a często biédny prędzéj znalazł posłuchanie. Pamiętają dotąd Francuzi liczne téj dobroci dowody. Dnia jednego, kiedy królowa w Wersalu szła z całym dworem swoim, przystąpiła do niéj prosta chłopka z temi słowy: „No! moja *dobra królowo!* przyszałam z bardzo daleka, żeby się wam przypatrzeć: nie odmawiajcież mi téj pociechy.“ Królowa zatrzymawszy się, wypytywała się jój długo o jój rodzinę, sposób życia, potrzeby, i pozwoiliła napatrzeć się siebie do woli. Innego znów razu będąc w Marly, siedziała rano w otwartém oknie i zobaczyła śpiesznie idącą Szarą siostrę. Przyjaciołka niezmierna tych zakonnic, którym często zazdrościła powołania, domyśliła się, że jakaś ważna sprawa o téj godzinie jedną z nich do dworu sprowadza. Zawołała jój więc, a niepoznana wypytywała jój się o interes cały i obiecała wstawienie swoje u ministra. Zakonnica uradowana odeszła, ale wnet wróciła do okna, chcąc się dowiedzieć nazwiska tak uprzejmój pani? „Nie mów nic nikomu, odpowiedziała jój Leszczyńska, to królowa.“

Wiedząc, że Francuzi często ją widzieć radzi byli, jadała zawsze publicznie, lubo ten zwyczaj nie mógł jój być bardzo miły; i nie było prawie obiadu, przy którymby coś uprzejmego komu nie powiedziała. Prócz téj dobroci, której trudno wszystkich dowodów wymienić, Francuzi lubo sami tak światli i dowcipni, przyznali jój powszechnie ów rozsądek i rozum, których oznaki widzieliśmy już w dzieciennym wieku. Autorowie radzili jój się często względem pism swoich,

znakomitszych uczonych przypuszczała do towarzystwa swego i dziwiła ich często obszernością wiadomości i trafnością spostrzeżeń. Tkliwych i dowcipnych słów jój wiele zostało w pamięci. Raz, chcąc odwiedzić damę dworską chorą, poszła do niej pomimo bardzo przykrych schodów. Gdy ją przeproszała ta dama, rzekła uprzejmie: „Czyż nie wiesz, że miłą jest najprzykrzejsza droga, skoro do lubój osoby prowadzi?“ Dziejopisowi, który z wielkimi pochwałami opisał jój przybycie do Francyi, powiedziała: „Nie pisz tego, proszę; połóż poprostu, że w roku 1725 przybyła do Francyi księżniczka małego wzrostu, małych przymiotów, a wad wielkich.“ Napiszę przynajmniej, że ta księżniczka serce miała wielkie, powiedział.“ „O! nie pisz i tego, zawołała królowa, niewielkie to musi być serce, kiedy wszystkich nieszczęśliwych objąć nie potrafiło.“ Gdy umarł syn rejenta książe *d'Orleans*, mąż bardzo dobroczynny, ubolewała niezmiernie nad jego stratą. „Nie trzeba go tak żałować, powiedział jój ktoś, on zapewne w niebie.“ „Nie wątpię o tém, rzekła na to królowa, ale on sam śmiercią swoją się uszczęśliwił, a tu tyle nieszczęśliwych z téj przyczyny zostało.“ Kardynał *Fleury* skarżył się przed nią, iż tak wiele ma zatrudnień, że głowę straci. „O! nie czyn tego, powiedziała królowa, bo ktoby tak dobrą rzecz znalazł, pewnieby jój oddać nie chciał.“ Niezmiernie żywa, przytrafiło jój się wyrzec nieraz słowo dowcipne i razem uszczypliwe; byłaby nawet mogła celować tym rodzajem talentu, gdyby dobroć ust nie była zamykała; jednak doszło do nas kilka podobnych. Raz, gdy jeden z panów francuzkich wyliczał czyny wojenne swoich przodków i powiedział na końcu: „Wszyscyśmy zabici zostali w usługach królów naszych!“ Królowa rzekła z uśmiechem: „Niezmiernie się cieszę, żeś ty przynajmniej uszedł, bo mi o tém możesz powiedzieć.“ Temuż samemu, który był jój koniuszym, gdy chwając synową, mówił, że jest słodka, dobra, powolna jak kareta angielska, powiedziała: „Oto przystosowanie prawdziwe-

go koniuszego.“ Damie jednej dworskiej, tyle śmiałości mającej, iż poważyła się skarżyć przed królową na jej ludzi, tak odpowiedziała: „Wacpani masz ludzi, ja zaś mam urzędników, którzy się dobijali o zaszczyt służenia mi.“

Słuchając we wszystkiem ojca, umiała z nadwyzczajnym rozsądkiem ująć wszelkiej pychy i uchylić się od wszelkiego do spraw rządowych wpływu. Sześć lat starsza od męża, mając więcej stałości w charakterze i doświadczenia, byłaby mogła łatwo wziąć nad nim górę. Król zaraz w pierwszych latach pożycia taką ją zaszczycał ufnością, że rady najczęściej w jej pokojach, w jej obecności się odbywały. Kilku wielkich panów, sami ministrowie życzyli sobie, żeby monarcha widział oczyma tak rozsądnej, tak pobożnej małżonki, i błagali ją, żeby się wdawała do rządu; lecz ona umiała ustrzedz się tych powabnych sideł. „Mój ojciec mnie nauczył, powtarzała, iż rządzić nie jest sprawą kobiety; przy najlepszych chęciach, przy najgorętszych usiłowaniach, niosą tylko w łono państw niespokojność serc swoich.“ Naprózno po razy kilka chciano zmienić jej zdanie słodką nadzieją dobra kraju, wzrostu religii; nic nie pomogło: rozsądna i skromna, trzymała się obrębu przeznaczenia swego; nigdy też z tej przyczyny żadnych trosków nie miała. Z największą nawet bacznością prosiła o urzędy dla przyjaciół i znajomych i zawsze pierwój wywiedzieć się starała, czy godnemi ich byli? „Nie chcę, mawiała, ażeby naród szkodował na tkliwości serca mego.“ Woliała często z własnej szkatuły dać sposób do życia potrzebującemu, jak narzucić krajowi niezdatnego urzędnika. Tém postępowaniem tak sobie zjednała powolność króla i ministrów, że najmniejsza jej prośba rozkazem była. Lubo nie chciała się wdawać w sprawy rządu, nie patrzyła jednak obojętném okiem na chwałę małżonka i na dobro kraju; skoro zdarzyło się królowi stalszym być w radzie, pięknym czynem się ozdobić, zbawienny zakład uczynić, czytał w jej oczach radość najwyższą, słyszał z jej ust zachęcającą po-

chwałę, każda wojna, każda niedola publiczna srogo jęj serce ranila. Wtedy podwajała gorące modły, podwoić chciała własne dochody, żeby ulgę przynieść nieszczęśliwym. Jeden z ciosów publicznych, który ją dotykał najmocniej, było rozszerzenie się codzien większe zepsucia obyczajow i bezbożności. Niemogąc mu zaradzić, czyniła przynajmniej co mogła, żeby do siebie i swoich przystępu mu nie dopuścić.

Skromności, wstrzemięźliwości żywym była wzorem, zachowywała ściśle przepisy czci zewnętrznej; zdobiła kościoły, posażyla klasztory, zaszczycała przyjaźnią i łaską godnych kapłanów, wspierała dobroczynne i pobożne zakłady i towarzystwa, i prawdziwie była o chwałę Boga troskliwa. Po tęg szczęście narodu najżywiej ją obchodziło. Godna ludu, w łonie którego się urodziła, godna córka Stanisława, dobroczynność rozkoszą była jęj serca. Wszak mówią Francuzi, że ten wyraz *bienfaisance* dla rodziny Leszczyńskich w ich języku złożonym został? Nie było go, bo nie zjawił się był jeszcze tak żywy tęg cnoty obraz. Marya Leszczyńska od najmłodsze-go wieku miała do nięj skłonność; rozkrzewił ją przykład ojca i największym powabem tronu stała się dla nięj możliwość dobrze czynienia. Skoro na nim zasiadła, oddała się jęj z zapalem. Wszystkie jęj dochody do ubóstwa należały: dostawała żeby dawać, ujmowała własnym potrzebom i wygodom, żeby mieć więcej do rozdania. Znosiła nawet nieraz wymówki dworzan, którzy ją o skąpstwo winili, żeby wesprzeć potrzebniejszych, bo w niczem nie szukała próżnej chwały, ale uczucia serca i prawdziwego bliźnich pożytku. Nigdy żadnych zbyteków, żadnych wydatków próżnych nie była przyczyną. Oprócz uczt zameżcia i koronacyi nie pozwoliła dać sobie żadnej. Radzono jęj raz, żeby żądała powiększenia dochodów: „Wiem, odpowiedziała, żeby mi tego nie odmówiono, ale na kogóżby ten nowy podatek nałożyli? na ubogich. Ja nie chcę ich kosztem się bogacić.“

Skutkiem układów między mocarstwami europejskimi

uczynionych, wkrótce po jój zameżciu Stanisław Leszczyński został księciem Lotaryngii i Baru i te prowincye uważane jako wiano córki, po jego śmierci do Francyi nazawsze przyłączone być miały. Nie stała się przeto bardziej wymagającą królowa, lubo ten układ słodką radość sprawił wspaniałej jój duszy. Król jój darował piękny pałac na ustroniu z ogrodem; cieszyła się, że w nim czasem zdaleka od zgiedku dworu i przymusu etykiety, dni kilka spędzać będzie; ale dowiedziawszy się, że urządzenie go na miejsce mieszkalne wieleby kosztowało, oddała dar ten natychmiast. Lubiła niezmiernie klejnoty i porcelanę zagraniczną i radaby była mieć ich wiele; odkrywszy w sobie tę skłonność, powzięła zamiar odkładania na dzień następujący kupna rzeczy, która jój się najwięcej podobała; i zwyczajnie, gdy to jutro już nadeszło, wspomnienie ubóstwa chęć płochą wypędziło. Raz podobała się jój bardzo piękna suknia, ale że wiele pieniędzy chciał za nią kupiec, nie nabyła jój, mówiąc: „Mam sukien dosyć, a ilużto ubogich koszul nie ma?“ Tą wstrzemięźliwością i rządem przykładnym zbierała skarby dla ubóstwa, i jałmużny jój tak były niezliczone, że dziwiły wszystkich, samego nawet króla. Mówiono mu téż często: „że powinienby powierzyć małżonce dochody korony, bo ona ma dar pomnażania przychodów.“ Jój spowiednik, ksiądz Trażyński, który najczęściej jój jałmużny rozdawał, zapewnia w Pamiętnikach swoich, iż niezliczone summy przechodziły przez jego ręce, czasem bardzo znaczne, od stu luidorów do 12000 liwrów. A oprócz pieniędzy iluż innemi sposobami Marya Leszczyńska świadczyła? Sama jój łagodność, cierpliwość w wysłuchaniu każdej prośby, każdej skargi, czyż już dobrodziejstwem nie były? Kiedy zwiedzała szpitale, błagali chorzy, żeby przystąpiła do ich łóżka, i przemówiła do nich, tak był jój głos miły i łagodny. Niejednemu tkliwą mową osłodziła przykre chwile zgonu, niejednemu odwagi dodała, opatrując sama jego rany, niejednego uszczęśliwiła darem pracy rąk

własnych; bo jak w latach poniżenia i niedostatku, tak w chwilach chwały i wielkości praca ręczna, praca dla ubogich najmilszém była Maryi Leszczyńskiej zatrudnieniem.

Miała w swoich pokojach wielki skład wszelkiej odzieży, wszelkiej bielizny, przydatnej ubóstwu, od pieluch i powijków jednodniowego dziecięcia do płacht grobowych. Te wszystkie rzeczy poczęści jęj ręką, a wszystkie w jęj oczach skrojone i uszyte bywały, i te rozdawała często sama, często przez powierników dobrych uczynków swoich. Postanowiła sobie prawo, żeby nigdy nie odmówić choć lekkiego wsparcia wzywającemu jęj litości. „Wiem, mawiała, że często niegodnemu daję, ale jeśli ja żebraka od siebie odepchnę, wielu pójdzie za moim przykładem, i prawdziwie ubodzy szkodować na tém będą.“ Niewdzięczność nie zrażała ją także bynajmniej w zapale dobroczynienia; gdy się dowiedziała, że ktoś nadużył jęj wspaniałości, że jęj dary w niegodne ręce się dostały, zwykła była mawiać: „To szczęście moje, żem tę jałmużnę dla miłości Boga dała.“ Tak, nic dobroci jęj serca nie zmęczyło, wołała być od wielu oszukaną, niżli zostawić bez wsparcia jednego nieszczęśliwego. I jakżeby jęj lud nie kochał? jakżeby jęj nie miał zostawić przydomku *dobręj królowej*?

Jeśli dotąd w Maryi Leszczyńskiej wzór córek, wzór każdej królowej widziałyście, dzieci moje; niemniej wam się wyda godną pochwały i naśladowania, gdy ją teraz jako żonę, jako matkę uważać będziemy. Kto wie, może w tym względzie cnoty jęj najwyżej jaśnieją, bo tu najwięcej do zniesienia miała.

Nie zawsze to, co w oczach drugich szczęściem się wydaje, jest niém w istocie, i los świetny może często nie być swobodnym. Tak się stało z Maryą Leszczyńską. Pomyślność żony nie na wielkości, dostatkach małżonka, ale na cnotach jego polega, a Ludwika XV nie mieszczą sprawie-

dliwe dzieje w rządzie cnotliwych królów i ludzi. Słaby w dzieciństwie, wychowanie jego moralne dla fizycznego zaniedbanem zostało; celował we wszystkich ćwiczeniach ciała, jeździł konno lepiej od wszystkich panów francuzkich, był wspaniałej i pięknej postaci; ale czyż te marne przymioty mogą sprawić szczęście narodu, szczęście małżonki? Miał on wprawdzie dobroć wrodzoną, poszanowanie dla religii, był niekiedy hojny i wspaniały; lecz bez żadnej tęgości umysłu, żadnej stałości charakteru: nie w nim pewnego nie było, bo żaden jego przymiot na pewnej nie spoczywał podstawie. Jednak ożeniwszy się z własnej skłonności i chęci w tak młodym wieku, z tak cnotliwą jak Marya Leszczyńska żoną, nie mógł jęj nie kochać, nie mógł nie przejąć od nięj cnót wielu. Jęj pierwszém staraniem było pozyskanie jęgo miłości i szacunku, jęj największém szczęściem sposobność dawania mu swęgo przywiązania dowodów. Umiał ich tęż król czas jakiś cenić; kochał i poważał małżonkę swoją, ośm córek i dwóch synów, któremi obdarzyło ją niebo, spajać się zdawały ten związek coraz nowemi ogniwy; lecz po dwunastu lęciech przykładnego pożycia, Ludwik XV, polegając na zdradzieckich radach zepsutych dworzan, sam zbyt słaby, powszechnęj rozwięzłości ujęć nie potrafił, i nią obłąkany, przestawszy kochać tak godną małżonkę, na występki i rozpustę się puścił!

O! jaka była wtedy boleść Maryi Leszczyńskiej! jakże często żałować musiała szczęśliwych chwil poniżenia i tułactwa swęgo! Jednak nie dopuściła się nigdy najmniejszego narzekania, nigdy żadną skargą nie skrzywdziła króla, nigdy z ust jęj żadnęj nie usłyszał wymówki. Płakała skrycie przed Bogiem,niosła Jemu modły o upamiętanie męża; ale nikomu ani siebie żałować, ani jęgo ganić w swoich oczach nie pozwoliła. Zawsze równie łagodna i uprzejma dla króla, sądziła, że tym sposobem serce jęgo odzyska. Nie spełniły się te nadzieje, ale przynajmniej do końca życia szacunek jęj

swój zachował; i nieraz kiedy, czy w niebezpiecznych chorobach, czy w smutnych przygodach, zawsze równie tkliwą dla siebie ją znajdował; dziwił się jój cnocie, upokarzał się przed nią, przeproszał ją, obiecywał poprawę, ale wnet wracał do występku, bo kto raz się w nim uwikła, temu wydobyć się trudno!... Takich trzydzieści jeden lat strawiła królowa, uznała prawdę słów sędziwój babki, że troski obficie koło tronu rosna... Lecz prawdziwie pobożna, w tém najdotkliwszém nieszczęściu szanowała rękę doświadczającej ją Opatrzności, i w szczęściu, którego jój Bóg używać jeszcze pozwoił, szukała wynagrodzenia tego, co jój odebrał. Tém szczęściem była jój czysta i cnotliwa dusza, ojciec, miłość do pracy i dzieci.

W kilka lat po zameźciu córki, Leszczyński matkę i żonę stracił, i korona książęca nie mogła go po tych ciosach pocieszyć; ale do córki przywiązał się przeto jeszcze żywiój. Trzy razy na tydzień pisywali do siebie, zwierzali sobie wzajemnie myśli uczuć i zamiarów swoich: sposoby ulżenia ludzkości były najczęstszym tych listów przedmiotem. Co rok w piękną porę Stanisław przyjeżdżał na kilka tygodni do córki; Ludwik XV, który chciał niejako nagrodzić żonie obłąkanie swoje, ojcu jój starania i względy okazywać lubił, nietylko więc przyjmował uprzejmie i wspaniale teścia, ale i żonie pozwalał odwiedzać go niekiedy w Lunevilu. Chwile te, w których królowa rozmawiając sam na sam z ojcem, przywodziła jego pamięci młodości swojej i dzieciństwa przypomnienia, w których przechodziła wraz z nim odmienne losu koleje, i jeszcze od niego *Marychną* zwaną była, pewnie jój były najmiłsze. Niemniejszój także używać musiała pociechy słysząc, jak Lotaryńczycy błogosławili rządy Leszczyńskiego. Niemogąc chełpić się małżonkiem, w cnotach ojca swój chluby szukała; bo dla niewiasty miłszą jest chwala osób jój drogich, niżli jój własna, więcój i śmielój szczycić się nią zwykła.

Zawsze i użytecznie zajęta, nie miała także czasu Marya Leszczyńska na smutne dumania lub nudy. W zmar-

twieniu ciągłym, które nietyle gwałtownością, ile trwałością swoją męczy, najlepsze lekarstwo zatrudnienie. Zajmując umysł oddała myśl dolegliwą, jeśli nie wypędza boleści, przerywa ją przynajmniej. Jakże często królowa błogosławiła pamięć matki i ochmistrzyni, które w nią od lat najmłodszych miłość do pracy wpoily; na tronie, gdzie zupełnie niepotrzebna się zdaje, jakże użyteczną się jęj stała. Zostawiły nam pamiętniki ówczasowe, zupełny opis codziennych zatrudnień królowej; w taki sposób dnie jęj zwykle schodziły: sześć a najwięcej siedem godzin dla snu oddawała; wstawszy rano, pierwszym jęj zatrudnieniem było iść do kapliczki, którą miała obok swego sypialnego pokoju: tam klęcząc przed obrazem Zbawiciela, godzinę całą na modlitwie, rozpamiętywaniu i urządzaniu powinności i zatrudnień swoich trawiła. Wróciwszy, zasiadała do gotowalni. Owych wieków trefienie włosów i stroje bardzo wiele czasu zajmowały. Utyskując nad tą modą, a zmienić jęj nieśmiejąc, królowa starała się nie zmarnować tych godzin. Osoby, udające się do jęj opieki i dobroczynności, wtenczas miały posłuchanie; te, którym zlecenia jakie dała, przychodziły zdawać jęj z czynności swoich rachunek, i podczas tęj gotowalni, rzecz, którą najniżej była zajęta, był ubiór. Wstawszy od nięj, wraz z całym dworem szła na Mszę, odwiedzała potem króla w jego pokojach; w pierwszych latach zamęzcia najmilszą jęj była ta powinność: na poufałej z mężem rozmowie przyjemnie czas schodził; ale potem krótkie i przykre dla nięj stały się te odwiedziny, bo zawsze łagodny uśmiech był na twarzy, kiedy w sercu krył się żal głęboki... Wróciwszy od króla, jeśli tego wymagała potrzeba, przyjmowała posłów, książąt krwi, cudzoziemców; jeśli nie, rada temu była, bo wcześniej dzieci do nięj przyprowadzano, a z dziećmi najśłodsza zwykła bywać dla matki zabawa. Wtedy dopytywała się i ich i osób, wychowaniem ich się trudniących, o postęпки dnia całego? więcej zawsze ćwiczenie się w nocie, niżli w nauce dziatkom

zalecała; wtedy także zwykła była rozmawiać z niemi o religii, wpajać jęj przepisy i prawdy w ich młodociane serca: osoby, przytomne tym tkliwym rozmowom, zapewniały, że bez łez słuchać ich nie można było.

Przed obiadem miała chwilę wolną, w tęg zwyczajnie pisywała listy do ojca i przyjaciół. Przy stole krótko siedziała. Po obiedzie wolny miał przystęp do nięj, ktękolwiek rozmówić się z nią pragnął; dawszy te posłuchania, szła do małych pokojów swoich, tam grała na lirze, malowała cokolwiek, a najczęściej zajmowała się drukowaniem. To ją najwięcej bawiło; miała maleńką drukarnię i drukowała sama na małych karteczkach własne myśli, uwagi, modlitwy różne; te potem w książeczki oprawiać kazała i rozdawała przyjaciołom. Strawiwszy najmnięj godzinę na tych zatrudnieniach, zabierała się do roboty ręcznej, którą obowiązkiem być mieniła. Może z całego królestwa najnsnadnięj byłaby potrafiła, liczną rodzinę pracą rąk własnych wyżywić; nie było roboty ktęréjby nie umiała: szyła, haftowała, taśmy, galony, pończochy robiła, i niejeden prosty wyrobnik miał suknią, ktęréj królowa jego włókno uprzedła. Podczas tego zajęcيا przychodził do nięj spowiednik, inni światli księża; z nimi pobożne miała rozmowy; gdy odeszli, lubiła, żeby jęj ktęóra z dam dworskich piękne jakie czytała dzieło: czasem wolała siedzieć sama i wtedy nabożne śpiewała pieśni. Przed wieczorem godzinę jeszcze w kapliczce trawiła, wieczór zaś cała rodzina, starsze dzieci, bliższe osoby jęj dworu, te, ktęóre przyjaźnią swoją zaszczycała, zbierały się w jęj pokojach i tam zwykle do końca dnia gra w karty ją zajmowała. Grała z upodobaniem, bo cokolwiek wygrała, własnością było ubogich; co przegrała, jęj strata.

Tak były podzielone godziny Maryi Leszczyńskiej, takie było jęj życie ciche, jednostajne; tak przykrości jego użytecznym zatrudnieniem, pobożnością, dobrimi uczynki, niewinnemi uciechy, społeczeństwem nie mnogich ale dobranych

osób, zacierać umiała. Nie wabiły zapewne te skromne zabawy dworzan, chciwych głośniejszych rozrywek; ale ktokolwiek z powinności czy z gustu był ich uczestnikiem, zapewnia, że wielki wdzięk miały. Królowa prawie do końca życia wesołość i dowcip młodych lat zachowała; im kto bliżej ją poznał, tém więcej w jój towarzystwie smakował; żywość jój charakteru i prędkość w odpowiedziach, które ciąglém były dla jój cnoty ćwiczeniem, gdyż je pokonać chciała, w społeczeństwie powabów jój dodawały. Ale miłszą i żywszą nad wszystkie pociechy, Marya Leszczyńska w dzieciach widziała. Siedmioro z nich, syn jeden i sześć córek odchoowało się pomyślnie. Stosownie do rozkazów króla i rad panów dworskich, troje tylko starszych rosło w jój oczach. Troszcząc się zawczasu o wiano i los tylu księżniczek, cztery z nich w klasztorach chować kazano, ażeby do zakonnego życia przywykły; bolejąc nad tém oddaleniem, królowa tém więcej pokochać będące około siebie mogła. Odpowiedziały godnie jój staraniom i miłości; Henryka starsza, niezameżna do śmierci, oraz księżna Parmy, przedstawiły doskonałe powtórzenie cnót matki; lecz najżywszym ich obrazem był Delfin. W kwiecie wieku widziano go obdarzonym wszystkimi przymiotami umysłu i serca, potrzebnemi panującemu; niezmeżony w pracy, chciwy wiadomości, wspaniały, szlachetny, dobroczynny, prawdziwie pobożny, przeszedł wszystkie matki oczekiwania i nadzieje. Radując się nad cnotami jego, zapominała o dolegliwościach swoich, a czytając w jego duszy przyszłe szczęście Francyi, przyszły tryumf religii, lubą nadzieją dalszych widoków, gorycz terażniejszych chwil słodziła.

Delfin, jak wymagały polityczne związki, pojął za żonę córkę Augusta III króla polskiego, Maryę Józefę. Codziennie patrzyć na osobę, której dziad i ojciec pozbawili jój rodiców tronu, dla poziomój duszy jakimże byłoby doświadczeniem? Marya Leszczyńska w umyśle swoim tyle znalazła mo-

cy, w sercu tyle dla syna przywiązania, dobroci i łagodności, że kochać ją i od niej kochaną być mogła. Ale Bóg, który doświadczać chciał jej cnoty, w tychże samych dzieciach dopuścił na nią srogich ciosów. Obie królowny wychowane przy niej, skonały na jej rękę w samą życia dobę, i Delfinem nie cieszyła się długo ani matka ani Francya! Chorobie jego długiej i śmiertelnej towarzyszyły wypadki szczególne, które całą pobożność i tkliwość Maryi Leszczyńskiej wykryją. Delfin w kilka lat po ożenieniu się swoim pojechał do *Compiègne* i tam niegodziwi dworzanie do zboczenia z drogi cnoty namówić go chcieli. Już chwiał się nad brzegiem przepaści, kiedy dano o tém znać nieszczęśliwej matce. Na tę wieść okropną królowa biegnie do swojej kapliczki, a tam klękając przed obrazem Zbawiciela, wyrzeka wielkim głosem te słowa: „Boże! jeśli mam raz pierwszy płakać nad moim synem, niech raczej śmierci jego, niżli cnoty płaczę!” Wkrótce po wyrzeczeniu tych słów, niepospolitą duszę malujących, odbiera bilet nieznaną napisany ręką, w którym te czyta wyrazy: „*Wysłuchał Bóg życzenia twego.*” Jakoż Delfin, wstrzymany głosem sumienia nad brzegiem przepaści, nie dał się uwieść i wrócił równie cnotliwy do żony i matki. Ale w niedługim czasie po tym powrocie, bądź przygotowanym oddawna losem, bądź skutkiem słów wyrzeczonych, na siłach upadać zaczął. Przez całe trzy lata co dzień słabszy gasł powoli, a każde jego cierpienie ukrócało życia matce. Kiedy już przez doktorów za nieuleczonego osądzonym został, królowa rozpaczać zaczęła, i wtedy znowu odebrała bilet téjże samej ręki co pierwszy, z temi słowy: „*Pomnij na życie twoje.*” Zdaje się, że nikt, tylko spowiednik królowej, wspomniony ksiądz Trażyński, tę zbawienną mógł nakreślić przestrożę. Przyniosła ona jej duszy owoc cudowny, bo zwróciła jej umysł do Boga i przywiodła jej pamięci większe jeszcze dla matki od śmierci dziecięcia nieszczęście! Jednak jeśli wypędziła rozpacz, żalu ukoić nie potrafiła.

Umarł Delfin i od zgonu jego królowa także zwolna umierać zaczęła; liczyła już wtenczas rok 63: nie było w ciele dosyć siły do udźwignienia takowego ciężaru. W krótkim czasie straciła także i ukochanego ojca, ustały najżywsze powaby jęj życia. Żyła jednak dwa lata od śmierci Delfina, ale w nieustanném cierpieniu. Pomimo tego, prócz wesołości obcęj, nazawsze sercu tak srogimi ciosy obarczoném, zachowała wszystkie ponęty ułożenia swego, wszystkie pięknej duszy cnoty. Zawsze równie pracowita i uczynna, na dzień przed śmiercią szła jeszcze dla ubogich, do końca o nich myślała; przyjaciółom dawała upominki, dzieciom rady i błogosławieństwa; małżonka starania tkliwie przyjmując, dowodziła że mu przebacza. Lubo ślepo słuchała lekarzy, przecież od początku słabości nie miała żadnej ozdrowienia nadziei; kiedy słyszała, jak się naradzali nad środkami przywrócenia jęj zdrowia, mawiała zawsze: „Wróćcie mi ojca i dzieci, a wtedy życie powróci!“

Pomimo modłów całej Francyi, umarła Marya Leszczyńska po dwuletniej chorobie 24go Czerwca r. 1768. W chwili rozstania się z ciałem, dusza jęj taką się okazała, jak w ciągu życia całego, spokojna i pobożna: błogosławieństwa dla męża, dzieci, narodu, przyjaciół, wzywianie miłosierdzia Boskiego, ten był przedmiot ostatnich jęj słów i myśli. Nie zapomniała w tęj ważnej chwili i o ojcu; już mówić niemożąc, przyciskała jeszcze do ust ostatni list jego, który zawsze przy sobie nosiła. Ostatnie powinności chrześciańskie z taką dopełniła gorliwością, tak spokojnie i przytomnie, iż wszystkie osoby obecne we łzach tonęły. Lud stosując zgon ten do pobożności życia całego, *świętą królową* ją przezwał.

Taką była Marya Leszczyńska; czyż skromne jęj cnoty i sława, mniej od bohaterów i uczonych głośna, nie są godne wspomnienia? Czyż chlubić się nie mamy, że się Polką urodziła? Chlubiła się i ona z tego lubego nazwiska, nie zapomniała nigdy ani ojczystej ziemi ani jęj języka. Całą ma-

jętność, jaką miała w Polsce, poświęciła na uposażenie Misyonarzów, którzyby w tym kraju lud prosty i ciemny, wiary prawdziwej chodząc po wsiach uczyli. Polacy, przybywający do francuzkiego dworu, mile od niej przyjmowani byli; miała zawsze kilku rodaków koło siebie, pisywała do Polski do krewnych w ojczystym języku; pieśni, które często przy ręcznej śpiewała robocie, polskie były. Pamięć ojczyzny tak jej była w najdrobniejszych rzeczach przyjemną, że nad najwyborniejsze wina francuzkie przekładała węgierskie, które jej Polskę i dziecinne lata przypominało, i nie pijała innego.

WYJĄTKI

SŁUŻĄCE DO UKSZTAŁCENIA SERCA I STYLU.

Ponieważ pochlebiam sobie, że was mile zajęło wspomnienie o Maryi Leszczyńskiej, przeto sądzę, iż przyjemnie wam będzie, dzieci moje, znaleźć w tém miejscu małą próbkę zdadności jej pióra, a dowiedziawszy się obszernie, jak żyła i postępowała, obaczyć jeszcze, jak pisać i myśleć umiała.

UŁAMKI Z LISTÓW

MARYI Z LESZCZYŃSKICH,

królowej francuzkiej.

Z listu, w pierwszych leciech zameżcia pisanego.

Życzenie twoje spełnione, ojcze; pokój jest ze mną, i w duszy mojej znajduję tu szczęście, którego nawet na słowo twoje znaleźć się nie spodziewałam. Jedno mam tylko

zmartwienie, to, że was nie widzę; ale i ten smutek wkrótce zniknie po części; już ułożone obrzędy przyjęcia twego, ojczy; gdy w Radzie jakąś trudność względem tego czyniono, król powiedział: „Czegom mu nie winien jako król, winienem mu jako zięć.“ Wystawisz sobie łatwo, jak mi było miło usłyszeć podobne słowa, a nie z ust króla mnie doszły..

Z roku 1757, w czasie wielkiej nędzy we Francyi.

Jakżeś szczęśliwy, kochany ojczy, że wystarczyć możesz na tyle zakładów dobroczynnych, na tyle dobrych uczynków. Słusznie wielbisz Opatrzność, nieustanne cuda z tobą czyni. Wszyscy poddani twoi cię uwielbiają, i każdy wzywający pomocy, u ciebie wsparcie znajduje. Ze wstydem i ja dzisiaj w liczbie tych proszących stoję; płacisz mi miesięczną pensję na moich ubogich, a ja teraz chciałabym, żebyś mi ją wypłacił za kilka miesięcy z góry, jeśli to być może. Nasz lud w niesłychanej jest nędzy, zewsząd mnie proszą, a ja nic już dać nie mam! serce mi się kraje. Nie pojmuję jakby się chełpić tą odrobiną dobrego które się czyni, wspomniawszy na to coby czynić zostawało. Największe jałmużny moje małym tylko zaradzają potrzebom. Ale cóż z tém począć? Bóg dobry tego jedynie od nas wymaga, co uczynić możemy. Mego syna także niezmiernie nędza publiczna obchodzi. Mam w Bogu nadzieję, że tobie ojczy podobnym będzie! Jedna z moich córek dziwiła się niedawno, jakim sposobem tyle dobrego czynić potrafisz? mówiła: że rozwalając owe stare zamczysko, skarb jakiś znaleźć musiałeś. „Król który ma serce, powiedział na to Delfin, zawsze w niém skarb gotowy dla nieszczęśliwych znajduje.“

Z tegoż samego roku.

Czemu wątpisz, kochany ojcze, o przyjeździe twoim do nas? król rachuje na niego i cieszy się zawczasu. Wspomnij jakbyś zmartwił moje dzieci? Już nic o sobie nie mówię, bo zdaje mi się, iż żal wnucząt snadniej cię rozczuli. Czy uwierzysz? Syn mój śmie często utrzymywać, że ja mu zazdroszczę twego przywiązania. Nadaremnie powtarzam mu, iż ulegam prawu natury, która tak rzeczy ułożyła, że wszyscy niemal rodzice, więcej wnuki od dzieci kochają i pieszą. On mi wierzyć nie chce. Z tego powodu i z innych, często z nim o tobie rozmawiam, i właśnie niedawno powiedział mi: że nie zna lepszego dykcyonarza od twojej pamięci, i że się cieszy zawczasu na nowe wiadomości, których nabędzie, gdy tu przyjedziesz. Co do mnie, jako kobieta nie potrzebuję tyle jak mój syn nauki; muszę się więc z nim ułożyć, zostawię mu cały dykcyonarz, wymawiając sobie jedynie artykuł *Serree*. Tam wiem że wszystko znajdę, czego mi potrzeba.

Po śmierci Delfina, do zakonnicy przyjaciółki swojej.

...Proś Boga, żebym lepiej ten cios znosiła! Ach! jakież okropny! Czemuż nie umarłam w miejscu jego; jam nie potrzebna światu, on byłby Francję uszczęśliwił! Ale stało się: nie wysłuchał Bóg modlitw narodu, jego życzeń wysłuchał. On prosił tylko, żeby się wola nieba w nim spełniła! On szczęśliwy! Ale my jakże godni pożałowania jesteśmy! Truchlałam o mego ojca, lecz dzięki Bogu, zniósł to nieszczęście, jako prawdziwemu chrześcianinowi przystało.

Po śmierci ojca, do téjże saméj.

..Bardzo chorowałam i nie mogło być inaczej po tylu doznanych nieszczęściach, które tak żywo uczułam. To mnie jedynie pociesza: że ci których płaczę, już szczęśliwi na wieki!

M Y Ś L I

MARYI Z LESZCZYŃSKICH,

królowej francuzkiéj.

Bez małych nie bylibyśmy wielkimi, bądźmyż niemi dla nich.

Kto się chełpi z wyniesienia swego, dowodzi, że go nie godzien.

Zalecając prawdziwe poszanowanie dla Boga, król już nie potrzebuje zalecać go dla siebie.

Im kto bardziej nędzę swoją uznaje, tém przed Bogiem bogatszy.

Wyrządzać sprawiedliwość, jest miłosierdziem króla; rozlewać miłosierdzie, sprawiedliwością królowej.

Dobry król jest niewolnikiem, a lud jego wolny.

Zaspokojenie rzadko kiedy z fortuną chodzi, cnocie zaś i w nieszczęściu towarzyszy.

Strwonił a nie użył bogactw, ten, który niemi nie wsparł ubóstwa.

Prawo opiekę rozrzutnym daje, i ze skąpcami toż samo czynićby powinno; tamci siebie i rodzinę krzywdzą, ci społeczeństwo całe.

Kiedy o której niewieście mało mówiono za życia, pewnie po śmierci dobrze mówić będą.

Nieszczęściem jest wielkich, że nadto myślą o tém co im ludzie winni, a za mało o tém, co od nich samych Bogu się należy.

Kto nie zgłębia sumienia swego, najszczęśliwszego zaniedbuje przyjaciela.

Prawdziwą miarą zasługi jest cnota; i sam Bóg inną znać nie będzie.

Pochlebstwo jest zniewagą, bo komu pochlebiamy, tego zwieść chcemy.

Lepiej słuchać tych którzy wołają na nas zdaleka: *użyj nędzy naszej*, niżli tych co nam mówią do ucha: *przysporz nam majątku*.

Jedynym trosków korony wynagrodzeniem, jest możność dobrze czynienia.

Najdroższe dary nieba w truciznę się zmieniają, gdy na nie okiem własności patrzymy.

Gdy mnie śmierć ze stroju i z dworu mego ogołoci, czémże będę bez uczynków?

Widząc stałość Opatrzności w obsypywaniu nas darami, zdawać się może, iż Ona nas potrzebuje; widząc obojętność naszą w dziękczynieniu, sądzićby można że się bez niej obejść potrafimy.

Ten który rządzić własnym majątkiem nie umie, jakże Państwem rządzić potrafi?

Rozsądny człowiek ocenia głowę według tego co w niej jest; kobieta płocha według tego, co się na niej świeci.

Mądrość ludzka uczy nas jak ukrywać pychę; religia jak ją pokonywać.

Kto świadczy dla Boga, nie lęka się niewdzięczności.

Majestat Boga objawia się w darach sypanych na twory Jego; wspaniałość króla jaśnieć powinna w dobrodziejstwach świadczonych ludowi.

Ze wszystkich rodzajów marnotrawstwa, najszkodliwsze marnotrawstwo czasu.

Nie jeden nie pocieszony, bo się nie podobał królowi, a żyje spokojny, lubo wie że obraził Boga.

Kiedy kto zmuszony tak jak my w oczach wszystkich siać dobre uczynki, bardzo się obawiać powinien, czy próżność żniwa zbierać nie będzie?

Książka każda tyle mnie zajmuje, ile do serca mego przemawia, ile mnie dobrego uczy!

Chcąc żyć w pokoju z ludźmi, trzeba otwierać oczy na ich przymioty, zamykać na wady.

Tyle winniśmy się zastanawiać nad wadami bliźniego, ile nam tego potrzeba, żeby samym podobnych uniknąć.

Kobiety najobmowniejsze są te, które same najwięcej podpadają obmowie. Żeby nie dać czasu mówienia o ich wadach, mówią o cudzych.

Mądra kobieta rzadko kiedy swój katechizm unie.

Każda pycha jest kłamstwem, a kłamiemy przez słabość.

Rozum niedaleko zajdzie, kiedy chce wiarę wyprzedzić.

We wszystkich wiekach, religia pomszczona była obyczajami nieprzyjaciół swoich.

Zgadzać się z wolą Boga, jedyną jest ulgą strapionego serca.

Najkrótszy sposób zapewnienia szczęścia ludu, jest pracować nad tém, ażeby go cnotliwym uczynić.

WYCHOWANIE WACŁAWA RZEWUSKIEGO,

WIELKIEGO HETMANA, KASZTELANA KRAKOWSKIEGO.

(ur. 1705, um. 1768 r.)

Nie wątpię, lube dzieci, że najmilsze wam są w tém piśmie wspomnienia o cnotliwych mężach narodu naszego; cnota jest zawsze nadobna i przyjemna, ale duszy naszój dwoi-stego nabiera wdzięku, kiedy pod jój obrazem imię współ-rodaka nakreślić można. Tli w każdym sercu szlachetném miłość własna narodowa, któraby wszystko co dobre i pię-kne w rodakach widzieć pragnęła. O! jakże mi błogo będzie, gdy kiedy dostrzegę, iż słabe pióro moje zachęciło które z was do cnoty; jakąż chwalebłą nagrodę za drobną pracę otrzy-mam, jeśli przykłady w tém piśmie umieszczane, wzmocnią w was miłość cnót i moralności.

Ku sprawieniu tak pożądaných skutków, dobrze jest podobno przedstawiać niekiedy, szczegóły dzieciństwa i wy-chowania sławniejszych mężów. W dojrzałym i zupełnym wieku, wielcy ludzie takim częstokroć blaskiem jaśnicją, że mało komu wydać się może, iż ich doścignąć potrafi; jest to słońce południowe, które zbyt niem światłem razi: ale najsla-wniejszy bohater w dziecinnych latach nie ćmi wzroku bla-skiem chwały swojój, owszem śmiało nań patrzymy, jak na słońce wschodzące, którego światło oko znieść zdoła. Przy-kład jego wtedy każdemu łatwym do naśladowania się zdaje widząc zbliska jaką drogą szedł do chwały i jak jój dopiął, jest ochota i odwaga puszczania się w jego ślady. Oby takie na umyśle waszym uczynił wrażenie obraz wychowania mę-

za, który w dojrzałym i sędziwym wieku wzorem był cnót wysokich i nieskażonej poczciwości. Obrazu tego udzielić mi raczył jeden z uczonych dziś żyjących, który głęboką naukę i niepospolitą rzeczy ojczystych znajomość posiada.

Wacław Rzewuski urodził się 1705 r., właśnie w tym dniu, kiedy rady i waleczność ojca jego, Stanisława Rzewuskiego, po większej części to sprawiły, że Polacy pod Kaliszem chlubne nad Szwedami odnieśli zwycięstwo. Pomyślna więc gwiazda zdawała się przyświecać pierwszym chwilom życia jego; bo jakież dzień pomyślniejszym być może dla syna, od tego, który nową świetności sławie ojca i chwale ojczyzny dodaje? Nie spełnia się jednak zupełnie ta wróżba: najatrzył się Wacław smutnych kraju swego losów, ale przynajmniej ojcem mógł się zawsze chlubić. Znacomite bowiem męża tego przymioty, oświecenie i zasługi najpierwszemi dostojnościami nagrodzone zostały: widziano go stopniami pułkownikiem jaz. ^{1v}, posłem do Porty Ottomańskiej, referendarzem koronnym, wojewodą bełzkim i wielkim hetmanem, a na wszystkich tych urzędach umiał się pokazać godnie, i nowym okryć swe imię zaszczytem. Nie splamił go także syn cnotliwemu ojcu podobny, owszem uzacnił go jeszcze; a do tak chlubnego przeznaczenia najwięcej się przyczyniło dobre wychowanie jakie odebrał. To wychowanie szczególnie się zaczęło. Wacław bowiem urodził się w latach powszechnego w Polsce zamieszania. Naród zakłócony wojną domową skutkiem zatargów dwóch obcych monarchów, Karola XII i Piotra Wielkiego, podzielił się na dwie strony: jedna (jak wam to wiadome być musi z dziejów ojczystych) popierała wybór Stanisława Leszczyńskiego, druga, Augusta II na tronie utrzymać chciała, a obie walcząc z sobą, przez rozmaite klęsk rodzaje wzajemnie się niszczyły. Dzikość i nienawiść do tego stopnia doszły, że porywano gwałtem z domów znakomitszych obywateli, ich dzieci, ażeby tym sposobem ojców na swoją stronę przeciągnąć. Stanisław

Rzewuski obawiając się podobnego gwałtu, odesłał syna potajemnie do dóbr swoich na Ukrainę, i zalecił rządcy, ażeby wychowując go jako pospolite włościańskie dziecko, ukrywał ściśle urodzenie jego. Piąty rok mający wówczas Waclaw, chował się więc z wiejskimi chłopiątkami; nie była lepsza odzież jego, ani wytworniejsze jadło, nie miał sług ani pochlebców, ani żadnej oznaki panicza; ale hartował młode ciało, od zbytków, od pańskości odwykał. Ośmnaście miesięcy tak przepędził, i miał właśnie lat sześć, kiedy ojciec jego przybył do tych dóbr, gdzie on się chował. Zobaczywszy ojca, którego byłby może i nie poznał, gdyby go był rządcą nie przestrzegł, zawołał mała żądający Waclaw: „*Butów nie mam*“. W rzeczy samej bosy chodził. Miłość rodzicielska, radość że zobaczył syna, a razem stan dziecięcia w tak prostém odzieniu będącego, lzy Stanisławowi wycisnął. Ale pamiętny jak dobrą jest przeciwność dla człowieka szkoła, wzięwszy dziecko na ręce rzekł: „Dziękuj Bogu, że ci dał już doznać niewygód i biedy. Przyjdzie czas, w którym przykrych teraz doświadczeń żałować nie będziesz. Hartuj wiek twój młody, mój synu; oswajaj się z niewygodami życia, przywykaj do cierpienia. Zahartowanie wzmocni twoje zdrowie, utwierdzi siły, usposobi cię do łatwego znoszenia prac, nieszczęść i niedostatku potrzeb w rozmaitych zdarzeniach dalszego życia, i w publicznych kraju posługach.“

Takim był początek wychowania Waclawa, taka podstawa zahartowania jego zdrowia i prostoty obyczajów, któremi do późnej starości celował; ale nie na podobnych ćwiczeniach skończyć się mogło. Chciał go ojciec widzieć dobrym obywatelem, godnym synem ojczyzny, oddał go więc wkrótce na nauki do Jezuitów, do szkół bełzkich.

Szkoły publiczne były poczytane zawsze za miejsca najprzyzwoitsze do ukształcenia dobrych obywateli, i ludzi z ludźmi żyć mających. Tę potrzebną nauki trudno nabyć

w rodzicielskim domu, i zdaje się, że w społeczności kształcić się do społeczności należy. W publicznych - to szkołach uczą się młodzi, choćby najbogatsi, zachować równość z współziomkami, nie wynosić się nad innych, cenić najwięcej zdadność i dobre przymioty, i wszystkich sobie uczynnością, grzecznością zniewalać. Tam młodzieniec obraz świata widzi, wchodzi w poznanie ludzi, zabiera znajomości, kojarzy związki przyjaźni z tymi, z którymi później starania publiczne lub prywatne ma dzielić, którzy kiedyś towarzyszymi i pomocnikami rządu, majątków i losów jego będą. Sam panicz otrząsa się z pieczęt domu rodzicielskiego; nie mając na kim polegać, radzi samemu sobie w każdym razie się uczy, i widzi zawczasu, że wyniosłość, zuchwałość, pogarda niższych na nic się w pożyciu towarzyskiem nie zdadzą. Taki sposób wychowania, Stanisław Rzewuski najlepszym dla syna osądził: tak wówczas synowie najznacniejszych obywateli chowani byli. Prócz sztuki pożycia z ludźmi nabywanęj w publicznych szkołach, młodzi Polacy ćwiczyli się w nich jeszcze w wymowie i w dzielności męzkiej, a naród wtedy mówców i wojowników potrzebował.

Młody Wacław prócz języka łacińskiego, wiadomości praw i dziejów ojczystych, prócz innych potrzebnych nauk do ukształcenia serca i oświecenia rozumu potrzebnych, nabył w szkołach bełzkich zręczności rycerskiej i wprawy w sztuce krasomówskiej.

Dzieci wizerunkiem są ludzi, szkoły publicznej obrazem obecnego życia; uczniowie wówczas patrząc na to co się pospolicie w kraju działo, tworzyli także partye, dzielili się na dwie strony, wypowiadali sobie potyczki, a te zabawy, których przełożeni nie pozwalali posuwać zbyt daleko, były dla nich wprawą do waleczności i zdadności do boju. Drugiemu zaś zwyczajowi szkół ówczesnych przypisać można, że krajowi na dobrych mówcach nie zbywało. Uczniowie składali sejmy, sejmiki, naksztalt prawdziwych, pisali

mowy, i wkładali się tym sposobem w wymowę i w sztukę mówienia publicznie i bez przygotowania, której tak często później w obradach narodowych potrzebowali. Waclaw już w roku czternastym życia swego dał poznać, że wielkim kiedyś miał być mówcą. Na owych udawanych sejmach zawsze głos jego był najwymowniejszy, i zasługiwał nawet na pochwały nauczycielów. W każdym względzie postępowanie jego w szkołach za wzór młodym służyć może. Celujący wymową, zdatnością do nauk, Waclaw znalazł między spółuczniami swemi, godnego siebie zapaśnika; znalazł go w młodym Józefie Scypionie (który był potem marszałkiem nadwornym litewskim). Oba pełni szlachetnej wyniosłości, chęcią wyścigu zagrzani, ubiegali się z zapałem o pierwszeństwo szkolne, a dalecy od podłej zazdrości, kochali się nawzajem. Często równy, często zwyciężony Scypio, był zawsze najszczerszym Waclawa przyjacielem. Powzięta w młodości przyjaźń i chęć zapaśnictwa, trwała między nimi i w dojrzałym wieku, z tą jedynie różnicą, że jaką okazywali usilność w szkole o lepszy postęp w naukach, takąż potem w życiu obywatelskiem chęcią pałali, wyścigania się w gorliwości o dobro kraju, o chwałę dobrego urzędnika. Takie zapaśnictwo nietylko jest pozwolone ale i chlubne.

Skończył Waclaw szkoły i wrócił do rodzicielskiego domu, aby tam czas jakiś przebył, nim mu ojciec stan obierze. Nie masz podobno dla młodego, ważniejszej epoki nad tę, kiedy napozór skończywszy edukacją, wyszedłszy z pod nieustannego dozoru, prawdziwie dopiero ćwiczyć się i człowiekiem być zaczyna, bo dobrowolnie się trudni i więcej sam sobą rządzi. Znał Stanisław Rzewuski ważność tej epoki; wiedział, że na nic się nie zdadzą szkoły chlubnie zakończone, jeżeli syn jego teraz nieczynności się odda; tak więc umiał zatrudniać go zręcznie i przyjemnie, że młody Waclaw nie miał żadnej wolnej do próżnowania chwili, i pod okiem bacznego ojca, drugą szkołę spósobiacą go

do czynnego życia odbył nieznacznie. Przeznaczając go zaś do służby wojskowej, starał się umocnić do reszty siły i zdrowie jego, żadnych wygod miękkiego życia mu nie pozwalał. Usługę którą panicz młody sam sobie mógł uczynić, nie wolno było pełnić nikomu. Pokarm jego był prosty, bez żadnych przypraw zagranicznych, najwięcej krajowy; ubior przystojny ale skromny, od wszelkiej wykwintności i zbytków daleki; codzien w najgorszą chwilę młodzieniec z przydanym mu dozorcą Węglińskim wyjeżdżał, a to na koniu tatarskim, i po tatarsku siodłanym. „Takowa jazda, mawiał ojciec, w gonitwach z Tatarami przydatną ci będzie.“

Tak w domu blisko do lat dwudziestu ćwiczył się Wacław Rzewuski, wszedł potem w służbę wojskową, postanowił naprzód doświadczeniem częstym wprawiać się do wszystkich niewczasów i trudów żołnierskich. W początkach nie było między nim i prostym żołnierzem żadnej różnicy, a przecież w końcu piastował wielką buławę.

Zahartowanie dzieciństwa i młodości jego, wielce mu przydatnym było, bo wiele miał do zniesienia. Sposób zaś życia zawczasu przyjęty, do późnej starości zachował. Nigdy w najcieńsze zimy futra nie używał, pierza w swoim łożu nie cierpiał, ubiór jego zawsze był nieozdobny i skromny. W potrawach a tém bardziej w napojach, żadnego nigdy zbytku nie czynił. Z danych na stół potraw jedną sobie pospolicie wybierał, której jadł tyle, ile do zaspokożenia głodu było potrzeba. Do usługi osobistej jednego tylko człowieka używał, lubo miał dwór liczny dla przyzwoitości; o tym zaś tak mawiał: „Gdyby nie pan kasztelan, nie pan hetman, pan Rzewuski mógłby się dobrze obejść usługą jednego pacholika.“ Nie znał prawie choroby, używając czerstwości zdrowia do zgonu. Mimo zgryzot, któremi go nękał los nieszczęśliwego kraju, mimo wycierpianej przez lat sześć niewoli, krzepki nawet w starości, bieg życia swego do lat 80 dociągnął.

MIKOŁAJ DZIEDUSZYCKI.

Jeżeli miłym jest dla mnie pisma tego przećmieniem udzielać wam, dzieci lube, wiadomości o godnych sławy i szacunku mężach znanych powszechnie; z ksiąg obszernych, lecz już drukowanych, czynić dla was wypisy: milój mi jeszcze, kiedy zdarzy się pora wspomnienia o imieniu lub pracach piśmiennych, mało znanego rodaka. Wtedy równam się w myśli mojej do wędrowca, który przypadkiem w pielgrzymce swojej, kwiat dotąd nieznaną zdybuje, i niesie go znawcom cudów przyrodzenia; kwiat taki choćby najdrobniejszy, ma wdzięk swój i cenę, mile przyjętym bywa. Może podobnego josu dozna to krótkie o Mikołaju Dzieduszyckim wspomnienie, te kilka z pozostałych pism jego wyjątków.

Mikołaj Dzieduszycki, w drugiej połowie XVIII-go wieku urodzony, szlacheckiego rodu i znacznego dosyć majątku, zalecał się więcej nierównie piękniemi sercem i umysłem przymiotami. Gorąco kochający ojczyznę, pragnąc jej być użytecznym, prawie ze szkół prosto wydarł się z rąk troskliwej matki i przybył do Warszawy, w pamiętnym czasie czteroletniego sejmu. Przy słabem zdrowiu, nie mógł ramieniem służyć krajowi, przedsięwziął więc umysłową pracą zasiewać i krzewić nasiona światła tak pomyślnie wtedy rzucane; w tym celu ubogacał i zasiliał rozmaicie pisma peryodyczne w owym czasie wychodzące; głos jego był zawsze za tem, co dobrem i prawem było; a daleki od unniemania, aby młodzieniec mógł sam bez rady, bez przewodztwa, znaczne dzieła przedsiębrać i wykonać, szukał związków przyjaźni z takimi, którzyby go oświecać i prowadzić mogli. Kto szczerze takowych szuka, znajdzie ich bez wątpienia; znalazł i Dzieduszycki w miłym gronie uczonej młodzieży, gdzie przewodzili: Feliński, Tyminiecki, Wyszkowski, Szubert, Rudzki

i inisi; przyłączył się do ich prac miłych i zabaw użytecznych, i wnet związał się z nimi węzłem tkliwej przyjaźni; należał ciągle do owych *wieczorów Felińskiego*, które zajmowały wspólne czytania, wspólne nad dziełami drugich uwagi, i wspólne własnych początkowych prac udziałania. Tam odkrył talent do poezyi, i byłby go zapewne do wysokiego posunął stopnia, byłby z tłumacza oryginalnym został, gdyby burza polityczna nie była przerwała literackich związków jego, nie odłączyła go od przyjaciół, a co większa, nie przyniosła w ciężkim żalu znacznego uszczerbku, słabemu już z natury zdrowiu. Jakoż krótkie było jego życie, bo miał dopiero lat dwadzieścia kilka; umarł na suchoty w domu rodzicielskim, w Sokołowie za Lwowem, w roku 1795, w miesiącu sierpniu, z długo nieutulonym rodziny i przyjaciół żalem.

Prace jego piśmienne były takie:

1. Tłómaczenie tragedyi *Śmierć Cezara*, z Woltera.
2. Tłómaczenie wszystkich *Eklog* Wirgilego.
3. Naśladowanie *Elegii* Owidyusza: *Militat omnis amans*.
4. Oda Saphony, tłómaczona z *Boileau*.
5. Do nocy, z niemieckiego, *Hagedorna*.
6. Do miesiąca, z *Utza*.
7. Chatka, z tegoż.
8. Oda do Zefirów, z *Merona*.
9. Oda z Horacyusza, *Integer vitae*; i kilka innych erotycznych poezyi.

Z dwóch pierwszych prac najznacniejszych ułamki tylko zostały, dalsze są w całości; ze wszystkich kładę tu, jak się dały umieścić wyjątki.

KILKA WIERSZY Z TRAGEDYI

ŚMIERĆ CEZARA.

AKT I, SCENA I *).

Cezar do Antoniusza.

Lecz nadzieja mnie wzbudza, ale mnie nie mami,
 Los dobry przestać może memi iść śladami.

Tak w bitwach jak w intrygach wiedzionych przez strony,
 Często tryumf od zguby krokiem przedzielony.
 Służyłem, zwyciężałem przez tak liczne lata.
 W rękę mojęm widziałem przeznaczenie świata,
 I poznałem nareszcie z mego doświadczenia,
 Że się często w momencie los krajów odmienia...

Czas odkryć, przyjacielu, to uczucie skryte,
 Któręm serce ojcowskie na wskrós jest przeszyte;
 Oktaw jest moim synem tylko przywłaszczeniem,
 Przemennie jest uczczony Cezara imieniem;
 Lecz losem (powiem dobrym czyli nieszczęśliwym?)
 Mam syna — jestem ojcem — i ojcem prawdziwym.

Dowiesz się przez to pismo, jak mój los jest srogi.

*) Dla prędszego porównania kopii z oryginałem, wypisuję tu wiersz francuzki:

Mais cet espoir m'anime et ne m'aveugle pas;
 Le sort peut se lasser de marcher sur mes pas;

Et dans les factions comme dans les combats,
 Du triomphe à la chute, il n'est souvent qu'un pas.
 J'ai servi, commandé, vaincu quarante années
 Du monde entre mes mains j'ai vu les destinées
 Et j'ai toujours connu qu'en chaque événement.

Antoniusz (czyta).

„Cezarze! już umieram! w gniewie swoim bogi
 Chcą mnie i moję miłość zamknąć razem w grobie;
 Pomyśl na to, że Brutus winien życie tobie.
 Bądź zdrów — niech go dla ojca ta przyjaźń przenika,
 Którą ci matka chowa, gdy oczy zamyka.“

Serwilia.

.....

Z Sceny III, Cezar do Rzymian.

.....

I tak gdym przeznaczeniem oddzielił narody
 I kiedy Rzym zostawiam szczęśliwy wśród zgody,
 Wy teraz nad nazwiskiem pomyślcie w senacie,
 Jakie Rzymu i świata rządcy nadać macie?

.....

Odgłos nader prawdziwy rozchodzi się wszędzie,
 Że napróżno z Persami Rzym wojować będzie;
 Że przez króla ten naród ma być zwyciężony,
 Cezar idzie na Persów a nie ma korony?

Le destin des' états dépendait d'un moment.

.....

Il n'est plus tems, ami, de cacher l'amertume
 Dont mon coeur paternel en secret se consume;
 Octave n'est mon sang qu'à la faveur des lois;
 Je l'ai nommé César, il est fils de mon choix:
 Le destin (dois-je dire, ou propice ou severe?)
 D'un veritable fils en effet m'a fait père.

.....

Mais lis, tu sauras tout par cet écrit funeste.

„Cesar, je vais mourir. La colere celeste
 Va finir à la fois ma vie et mon amour.
 Souviens-toi qu'à Brutus César donna le jour.
 Adieu: puisse ce fils éprouver pour son père
 L'amitié qu'en mourant te conservait sa mère.“

.....

Ayant ainsi réglé le sort des nations,

Brutus.

Niech będzie Cezar wielki, lecz niechaj pozwoi,
 Ażeby Rzym przy Tybrze nie jęczał w niewoli;
 Cóż potem że od świata za króla uznany,
 I że go panem nazwą, gdy dźwiga kajdany?
 Cóż dla mojej ojczyzny wypadnie w zdobyczy,
 Że Cezar chce pomnożyć ten stek niewolniczy?
 Nienajbardziej się Persów lękają Rzymianie,
 Straszniejszy jest wróg wewnątrz. Takie moje zdanie.

Cezar.

I ty także Brutusie?

Antoniusz.

Patrz jak są zuchwali,
 Patrz, jeśli twoich względów godnemi się stali?

.

Et laissant Rome heureuse et sans divisions
 Il ne reste au sénat qu'à juger sous quel titre
 De Rome et des humains je dois être l'arbitre.

Un bruit trop confirmé se répand sur la terre,
 Qu'en vain Rome aux Persans ose faire la guerre,
 Qu'un roi seul peut les vaincre et leur donner la loi;
 Cesar va l'entreprendre et César n'est pas roi.

Oui, que César soit grand; mais que Rome soit libre!
 Dieux! maitresse de l'Inde, esclave au bord du Tibre!
 Qu'importe que son nom commande à l'univers,
 Et qu'on l'appelle reine, alors qu'elle est aux fers?
 Qu'importe à ma patrie, aux Romains que tu braves
 D'apprendre que César a de nouveaux esclaves
 Les Persans ne sont pas nos plus fiers ennemis;
 Il en est de plus grands. Je n'ai point d'autre avis.
 Et toi Brutus, aussi!

\ Tu connais leur audace
 Vois, si ces coeurs ingrats sont dignes de leur grace.

TŁOMACZENIE PIERWSZEJ EKLOGI WIRGILEGO.

Melibeus i Tytyrus *).

Melibeus.

Tytyrze, pod bukowem spoczywając cieniem,
Przegrywasz na fujarce wieśniackim nuceniem;
My rzucamy ojczyznę i miłe nam niwy,
Kiedy ty w pośród cieni, Tytyrze szczęśliwy,
Lasom swęj *Amarylli* opiewasz urodę. 5.

Tytyr.

O Melibie! Bóg taką sprawił nam swobodę:
On moim Bogiem będzie, jego ołtarz święty
Często będzie skropiony krwią moich jagnięty;
On dał że tak bujają me woły w tych stronach,
On dał mi na fujarce w różnym nucić tonach. 10.

Meliboeus.

Tityre, tu patulae recubans sum tegmine fagi
Sylvestrem tenui musam meditaris avenā:
Nos patriae fines et dulcia linquimus arva;
Nos patriam fugimus; tu Tityre, lentus in umbra,
Formosam resonare doces Amarillida silvas. 5.

Tityrus.

O Meliboe! Deus nobis haec otia fecit:
Namque erit ille mihi semper Deus; ilius aram
Saepe tener nostris ab ovilibus imbuet agnus.
Ille meas errare boves, ut cernis, et ipsum
Ludere quae vellem calamo permisit agresti. 10.

*) Eklogi Wirgilego trudno zrozumieć i ocenić bez wiadomości co znaczyć miały? przeto umieszczam tu następujące objaśnienie. Po bitwie Filipijskiej, w której strona Brutusa i Kassysusa zwyciężoną została, Cezar Oktawian, Augustem później nazwany, i Antoniusz jego współnik, panami świata zostawszy, umyślili dać w nagrodę żołnierzom, którzy im w tej wojnie służyli, ziemie zabrane stronnikom Brutusa, wypełniając w tém na początku Tryumwiratu uczynione obietnice. Między innemi miasto Kremona oświadczyło się za Brutusem; jego więc grunta dawnym posiadaczom odjęte, między żołnierzy Oktawa rozdane zostały; a ponieważ nie wystarczyły, zabrano grunta bliskiej Mantui, która z przyczyny sąsiedztwa także niezczęścia poniosła. Ojciec Wirgilego miał małą koło Mantui posiadłość. Ta odebrana jemu, wyznaczoną została

M e i i b e u s.

Nie zazdroścę, lecz jakże zdziwia mnie twa dola!
 Ja rzucam dla zamieszek mej ojczyzny pola,
 Pędzę przed sobą kozy; oto z tą maciorą,
 Tyttrze, wlec się muszę, jak widzisz, niesporo.
 W tej zarośli na głazie dwa rzuciła płody,
 Niestety! one były nadzieją mej trzody! —
 Często gdybym był baczny, takowe zdarzenie
 Wróżyło nam piorunów w dęby uderzenie.
 Często z jodły ostrzegał wrony głos chrapliwy,
 Lecz pod jakim ty Bogiem tak jesteś szczęśliwy? 15.

T y t y r.

Miasto co zowią Rzymem, kładłem obok szczerze 20.
 Z tém miastem, do którego my owiec pasterze
 Zwykliśmy często spędzać trzód naszych jagnięta,
 A jak szczenięta z psami, z kozami koźlęta,
 Tak z wielką rzeczą równać nawykłem rzecz małą,
 Ale to, tak nad miasta swą głowę wspaniała 25.
 Wzniosło, jak cyprys w pośród poziomej krzewiny.

M e l i b o e u s.

Non equidem invideo; miror magis undique totis
 Usque adeo turbatur agris. En ipse capellas
 Protenus aeger ago: hanc etiam vix, Tityre, duco;
 Hic inter densas corylos modo namque gemellos,
 Spem gregis, ah! silice in nuda connixa reliquit.
 Saepe malum hoc nobis, si mens non laeva fuisset,
 De coelo tactas memimi praedicere quercus;
 Saepe sinistra cava praedixit ab ilice cornix.
 Sed tamen, iste Deus qui sit, da, Tityre, nobis. 15.

T i t y r u s.

Urbem quam dicunt Romam, Meliboe; putavi 20
 Stultus ego huic nostrae Similem; quo saepe solemus
 Pastores ovium teneros depellere factus:
 Sic canibus catulos similes, sic matribus haedos,
 Noram; sic parvis componere magna solebam.
 Verum haec tantum alias inter caput extulit urbes, 25
 Quantum lenta solent inter virbuna cupressi.

setnikowi nazwiskiem Arius. Wirgili za pomocą znakomitych przyjaciół, wyjednał w Rzymie u młodego Oktawa, łaskę ojca i przywrócenie go do własnej posiadłości. Tę Eklogę jako dziękczynienie złożył. Maluje w niej szczęście ojca, pod imieniem *Tytyra*, nieszczęście wygnanych rodaków,

M e l i b e u s .

Lecz z jakiej Rzym ci przyszło odwiedzić przyczyny?

T y t y r .

Wolności, co rzuciła swe oczy szczęśliwie
 Już wtenczas, kiedym z brody włosy zgałał siwe; 30.
 Przecież na mnie wejrzała, kiedy w późnej dobie
 Rzuciłem *Galateę*, *Amaryllę* sobie
 Obrąłem, wszak dopóki z *Galateą* żyłem
 Ani wolnym, ni w bydło bogatym nie byłem.
 Choć i tak wiele z owczarn na rzeź poszło trzody,
 Chociażem sery robił dla miasta wygody,
 Zawszem przecież do domu powracał ubogi. 35.

M e l i b e u s .

Nie dziwię się dla czego *Galatea* bogi
 Wzywała, i owoce doglądała szczerze:
 Tytyra tu nie było. Ta jodła, Tytyrze,
 Te źródła i te drzewa ciebie wyglądały. 40.

M e l i b o e u s .

Et quae tanta fuit Romam tibi causa videndi?

T i t y r u s .

Libertas: quae sera, tamen respexit inertem,
 Candidior postquam tondenti barba cadebat:
 Respexit tamen, et longo post tempore venit, 30.
 Postquam nos *Amaryllis* habet, *Galatea* reliquit.
 Namque, fatebor enim, dum me *Galatea* tenebat,
 Nec spes libertatis erat, nec cura peculi;
 Quamvis multa meis exiret *Victima* saeptis,
 Pinguis et ingrata premeretur caseus urbi,
 Non umquam gravis aere domum mihi dextra redibat. 35.

M e l i b o e u s .

Mirabar quid maesta Deos, *Galatea* vocares,
 Cui pendere sua patereris in arbore poma,
 Tityrus hinc aberat. Ipsae te, Tityre, pinus
 Ipsi te fontes, ipsa haec arbusta vocabant. 40.

których *Melibeus* wystawia. *Amaryllis* znaczy Rzym, *Galatea* Mantuę. *Bogiem*, młodzieńcem jest Oktaw. Ten podział ziem stał się w roku od Z. R. 713; Wirgili mógł mieć lat 28, gdy napisał tę Eklogę. Lubo nie umiem po łacinie, dla przyjemności szczęśliwszych odemnie czytelników, kładę wiersz ten w oryginale, podług wydania Paryzkiego z r. 1802.

T y t y r.

Ach! musiałem w niewoli czas ten pędzić cały,
 Ale i tam bogowie czuwali nad nami.
 Tam widziałem *młodzieńca*; jemu ofiarami
 Mój się ołtarz dzień jeden w miesiąc będzie kurzył; 45.
 On rzekł do mnie, gdym jemu me prośby wynurzył:
 „Orzcie ziemie i paście swe stada jak wprzódy.“

M e l i b e u s.

Szczęśliwy starcze! twemi zostaną zagrody
 Dość rozległe — choć obok twych sąsiadów łąny,
 Kamień, błoto okrywa i chwast nieprzejrzany; 50.
 Ni pasza nieznajoma nie struje ci trzody,
 Ni zaraza sąsiedzkich w twych nie zrobi szkody.
 Szczęśliwy starcze! oto nad brzegiem tój rzeki,
 Wśród źródjów poświęconych będziesz miał chłodniki;
 Często z sąsiedzkich zagród przelatując pszczoła, 55.
 Kiedy ją kwiat wierzbowy swą wonią powoła,
 Na snu wezmie cię łono brzękając ponuro:
 I pasterz śpiewać będzie pod skalistą górą.
 Tym czasem ów huczący grzywacz, twe kochanie
 Turkawka, na ilinie jęzczyć nie przestanie.

T i t y r u s.

Quid facerem? Neque servitio me exire licebat,
 Nec tam praesentes alibi cognoscere Divos.
 Hic illum vidi juvenem, Meliboe quod annis
 Bis senos cui nostra dies altaria fumant. 45.
 Hic mihi responsum primus dedit ile petenti
 Pascite, ut ante boves, pueri; submitte tauros.

M e l i b o e u s.

Fortune senex! ergo tua rura manebunt!
 Et tibi magna satis, quamvis lapis omnia nudus
 Limosoqu palus obducat pascua junco.
 Non insueta graves tentabunt pabula; fetas 50.
 Nec mala vicini pecoris contagia laedent;
 Fortunate senex! hic inter flumina nota
 Et fontes sacros, frigus captabis opacum.
 Hinc tibi, quae semper vicino ab limite saepes 55.
 Hyblaeis apibus florem depasta salicti.
 Saepe levi somnum suadebit inire susurro;
 Hinc alta sub rupe canet frondator ad auras:
 Nec tamen interea rancae, tua cura, palumbes,
 Noc gemere aeria cessabit turtur ab ulmo.

T y t y r.

Prędzěj paść na powietrzu będą szybkoie w biegu, 60.
 Jelenie; prędzěj ryby zostaną na brzegu;
 Prędzěj z swych koryt rzeki będą wypuszczone,
 Arar będą pić Parthy, Tygr Niemcy zdziwione,
 Nim *On* w mojej pamięci zostanie zgaszony.

M e l i b e u s.

Z nas zaś jedni gorące Afrów zwiedzają strony, 65.
 Drudzy Scythy, a inni gdzie Oax płynie,
 Lub się ujrzą w Brytanów ostatniej krainie!
 Czyliż kiedy na ziemi ojczystej nie stanę,
 I nie odwidzę z czasem lepiankę kochaną? 70.
 Przebóg! ujrzę po kilku upłynionych żniwach,
 Jak żołnierz na uprawnych osadził się niwach!
 Co zrobiła niezgoda spółobywateli,
 Komuśmy nieszczęśliwi te pola obsieli!
 Szczep, Melibie, zakładaj porządnie ogrody. 75.
 Wy zaś szczęśliwie niegdyś, idźcie moje trzody!
 Już nigdy spoczywając w parowach zielonych,
 Nie ujrzę was wysoko u skał zawieszonych;
 Nigdy śpiewać nie będę, nigdy przy mnie kozy,
 Ni wrzосу, ni będziecie gorzkie spasać łoży.

T i t y r u s.

Ante leves ergo pascentur in aequore cervi, 60.
 Et freta destituent nudos in littore pisces,
 Ante, pererratis amborum finibus, exsul
 An Ararim Piarthus bibet, aut Germania Tigrim,
 Quam nostro illius labator pectore vultus.

M e l i b o e u s.

At nos hinc alii sitientes ibimus Afros; 65.
 Pars Scythiam, ex rapidum Cretae veniemus Oaxem,
 Et penitus toto divisos orbe Britannos.
 En umquam patrios longo post tempore fines,
 Pauperis ex turguri congestum cespitem culmen,
 Post aliquot, mea regna videns, mirabor aristas? 70.
 Impius haec tam culta novalia miles habebit!
 Barbarus hac segetes! Eu quo discordia cives
 Perduxit miseros! en quis consevimus agros!
 Inse nunc, Meliboe, pyros! pone ordine vites
 Ite, felix meae, quendam pecus, ite capellae, 75.
 Non ego vos posthac, viridi projectus in antro,
 Dumosa pendere procul de rupe videbo:
 Carmina nulla canam: non me pascente, capellae,
 Florentem cytisum et salices carpetis amaras.

Tytur.

Niech ci ma chata przez noc schronieniem się stanie,
 Znajdziesz w niej miękkie z liści zielonych pośłanie.
 Mam owoc na jabłoni dobrze już dojrzały,
 I kasztany dościgłe i sytne nabiąły.
 Już z pod strzech wiejskich dymy wznoszą się do góry,
 I ze skał grubsze mroku spuszczają się chmury.

PROŚBA DO ZEFIRÓW.

(Z FRANCUZKIEGO).

Kasia w czternastym roku podobać się żąda,
 Róż bierze, gdy się wolną z klasztoru ogląda;
 Lice przedtém wstydlive, już wstydem nie płoną,
 Kiedy się podług mody widzi ustrojona;
 Jój oko bezczelności oku jest podobne,
 Brwi wyczernione biorą postawę nadobną,
 A kolorem błękitnym penzel napuszczony,
 Kiedy ręką niepewną zostaje wiedziony,
 Na pici mocno zbielonej różne żyłki stwarza
 I twarz nową, żywością zmyśloną obdarza.
 W niej pieszczot i uśmiechów królowę uznajcie,
 Lećcie zefiry, lecz się od niej oddalajcie;
 Dech wasz, niech się wstrzymuje, aby chociaż słaby,
 Nie rozproszył niebacznie jój twarzy powaby.

Tityrus.

Hic tamen hanc mecum poteris requiescere noctem,
 Fronde super viridi. Sunt nobis mitia poma,
 Castaneae molles, et praessi copia lactis,
 Et jam summa procul villarum culmina fumant,
 Majoresque cadunt altis de montibus umbrae.

Dzieła Hofmanowej. Tom VI.

CHATKA, Z UTZA.

(Poety niemieckiego).

Mieszkam pod poziomym szczytem,
W polu stoi dom mój mały,
A za nim wązkiem korytem,
Strumyk sączy swe kryształy.

Ma chata stoi za drzewem,
Nie widać przed niem mieszkania;
Nic nie szkodzi wiatr swym wiewem,
Bo drzewo chatę zasłania.

Dobry słowik w gęszczy drzewa
Rozwodzi przyjemne tony,
Gdy on jęczy, gdy on śpiewa,
Staje przychodzień zdziwiony.

Ty, mała, z pod której skroni
Włos jasny kryje brew ciemną,
Patrzaj, jak wiatr chmury goni;
Pójdzież-że do chaty ze mną?

ADAM NARUSZEWICZ.

Wziąwszy na siebie miłą pracę, obeznawania was, dzieci lube, z tym najdroższym narodowym skarbem, z imieniem i dziełami sławniejszych i uczonych ojczyzny naszój mężów, chwytam okoliczność, która mi nastęrcza sposobność przemówienia do was, o Adamie Naruszewiczu. W liczbie znamienitszych pisarzy jest on policzony, a pomniki pióra jego są uważane jako pomniki chwały literatury i języka polskiego.

Lecz o drobnych szczegółach jego życia, nie wiele z tego *wspomnienia* się dowiecie; kilka tylko do powszechnie znanych dozbierać zdołałam. Już minęło lat trzydzieści, jak w dosyć późnym wieku umarł Naruszewicz, trudno więc o ustne o nim podania; u nas zaś, gdzie dotąd nie nastał chwalebny zwyczaj zbierania przygód lub trafnych słów znakomitszych ludzi; gdzie listów poufałych albo się nie chowa, albo tóż udzielać nie wypada; gdzie nareszcie nikt pamiętników swoich na widok publiczny nie puszcza, skoro minie lat przeciąg znaczny, i wymrą bliżsi krewni i przyjaciele pisarza: życie jego, rysy charakteru, sposobu myślenia, uczucia, cała, że tak powiem, istność, niemal wyłącznie w dziełach zostaje. W dziełach więc Naruszewicza szukać będę najwięcej szczegółów o nim, a raczj człowieka z autorem spoję i zjednoczę. Oby ztąd w tych z was, dzieci lube, które kiedyś autorskie powołanie obrać macie, powstało zawczasu to ważne i zbawienne przekonanie, że mało obchodzą powszechność, mało więc obchodzić powinny piszących osobiste widoki; że pomiąć mają zyski, pochlebstwa, chęć błyszczenia, a dążyć wyłącznie za rzetelnym i ogólnym pożytkiem, za piękną i prawdziwą sławą, bo zaledwie autor oczy zamyka, ustaje szmer niezasłużonych pochwał, kończy się wpływ przywłaszczonj wziętości, znika w otchłani zapomnienia pamięć wysokich związków: zostają tylko dzieła, zostają na zawsze, jeśli godne tego, i same treść i wartość pisarza dla potomnych przechowują.

Adam Naruszewicz urodził się dnia 20 Października 1733 r. z Jerzego i Pauliny Abrahamowiczównj Naruszewiczów, łowczostwa pińskich. Rodzinę jego mało majątną ale starożytną, wspominają Dzieje Litewskie. Pierwsze nauki odbył w szkołach publicznych w Pińsku, a w piętnastym roku życia swego wstąpił do zakonu Jezuitów. Rozpoznali wnet przełożeni, jakim usposobieniem młody zakonnik był obdarzony; wysłali go przeto do Lugdunu we Francyi, gdzie

było znakomite Jezuitów kolegium; a potem wsparty hojnością księcia kanclerza Czartoryskiego, zwiedził Włochy, Francją i Niemcy. Tam wydoskonaliwszy się w różnych umiejętnościach, powrócił do ojczyściej ziemi, i naprzód został professorem poezyi w Akademii Wileńskiej, gdyż wielkie z młodu w rymotworstwie miał upodobanie; a wkrótce przeniesiono go do Warszawy, do kolegium *szlacheckiej młodzi* Jezuitów. Stolica, wówczas siedlisko wielu znakomitych panów i świetnego dworu, mieszkanie króla, nauk miłośnika i opiekuna, była miejscem gdzie żaden talent wzroku publicznego nie uszedł. Piękne się otwierało wówczas przed zdatną młodzieżą pole, każde szlachetne, ku dobru publicznemu usiłowanie zachęcane, nagradzane było. Od niedawnego czasu mieszkał w Warszawie Naruszewicz, a już mówiono wiele o szczęśliwem jego kształceniu młodzieży, o gruntownej nauce, o przyjemności dowcipu. Młody Jezuita nie celował wprawdzie powabną powierzchownością, trudność miał nawet w wysłowieniu się, zapewne z zbytecznego słów i myśli nawału; choć słusznego wzrostu, zaniedbany w ubiorze i w całym układzie, nie uprzedzał mile, twarzy zaś swojej wierny zostawił obraz w Satyrze *Pochlebstwo*, gdzie tak malarzowi do siebie mówić każe:

„Prawda, że masz nos jako gałka na kościele,
 Oczy w studni, żeś blady, dziur na twarzy wiele,
 Gebę nieco szeroką; lecz ja łączno sprawię,
 Że twój, wszystkie portrety zagasi w Warszawie.“

Ale jakże mało znaczą pozorne wady przy rzeczywistych przymiotach; zwykły nawet znikać zupełnie: kto kilka razy widział Naruszewicza, słyszał dowcipne jego żarty, uważał trafne zdania, poznał głęboką umiejętność i szlachetne uczucia, zapominał wnet o szpetności. Książę generał Czartoryski, stworzony do wykrywania i zachęcania talentów, pierwszym był prawie, który pod tą rdzą rozpoznawał znakomitego męża; równego prawie z Naruszewiczem wieku, równie

łagodnych obyczajów, równie dowcipny i wesoły, równie nauki ceniący, wnet go polubił, a przedstawiając go królowi, z należytą pochwałą dogodził i dobroczynnemu sercu swemu, bo tym sposobem był dalszy zakonnik zapewnił. Nie zapomniał mu nigdy téj przysługi Naruszewicz, nieraz wdzięczność swoją wyrażał w rymach, jak np. w téj 19 Odzie:

Tyś szczęścia mego pierwszy krok, Adamie,
 Tyś mi dał pierwszy wstęp do majestatu;
 Twoje z ciemności dźwignęło mię ramie,
 Dając mnie poznać monarsze i bratu;
 I że mi pańskie otwarte podwoje,
 Jego to łaska, lecz staranie twoje.

Stanisław August wkrótce Naruszewicza polubił. Wesoły jego dowcip, żarty acz czasem rubaszne (zwłaszcza w oczach tak delikatnego smaku człowieka) podobały mu się przecież; może dla saméj sprzeczności, a pewniéj dla tego, iż zdobyły barwą wesołości smutne nieraz chwile panowania Stanisława. Głęboka zaś i obszerna nauka, zawsze była cenioną przez króla, który umiejętności uwielbiał i lubił przestawać z uczonymi. W niedługim więc czasie, Naruszewicz stał się codziennym gościem u króla, naukową jego wyrocznią; on to najwięcéj zachęcił do owych, miłych *obiadów czwartkowych*, na które Stanisław August zapraszał sławniejszych uczonych: on tych obiadów był duszą. Szkoda nieodżałowana, że choć jeden z uczestników tego stołu, wróciwszy do siebie, nie zapisywał słów dowcipnych, uwag trafnych, zdań wytrawnych, które przy dobrym obiedzie i starém winie, z ust takich ludzi, w obec takiego króla, same się nastęrczały; nie mielibyśmy zapewne wtedy przyczyny zazdroszczenia Francyi jéj tak licznych w podobnym sposobie zbiorów. Zapewne jest jeszcze wiele osób, któreby ciekawość naszą w téj mierze zaspokoić mogły, ale jak mnie, znaną jest tylko jedna z tych obiadów o Naruszewiczu anegdota. Jednego czwartku, kiedy zgromadzenie było liczne i świetne, kiedy siedział u stołu

Konarski, ów mąż wielki, co pierwszy ośmielił się być mądrym *); Albertrandy, który młody jeszcze, już dojrzałą i niepojętą pamięcią słynął; bracia Zaluscy, troskliwi płodów ojczystych zbieracze; Bystrzycki, sławny i zagranicą astronom; Bohomolec, dowcipny pisarz pierwszych polskich komedyi; Minasowicz, pracowity tłumacz i poeta; Krasicki, Trembecki, Wyrwicz, autor pierwszój w języku ojczystym jeografii politycznej, i wielu innych dotąd sławnych mężów, wszczęła się rozprawa, jakimby wyrazem ojczystym i stosownym nazwać często używane w czasie uczty do wyciągania korków z butelki narzędzie? „Nazwijmy je *Wyrwiczem*.” zawołał Naruszewicz, spoglądając na jeografa. Na te słowa powstał śmiech wielki, tém większy, że Wyrwicz, jak wszyscy Polacy, rad wyciągał korki ze spleśniałych butelek.

Ale Naruszewicz nie tylko codziennym był gościem u Stanisława Augusta, nie tylko obiady jego rozweselał, zaszczycił on go zaufaniem i przyjaźnią. Wywdzięczając się, uczony zakonnik powziął ku niemu to uwielbienie, jakie uprzejmość, łaskawość, słodycz tego króla, wzbudzać umiały w otaczających go z blizka. W tém zbliżeniu się, które sprawiło, że Naruszewicz już nie monarchę, ale tylko przyjaciela i łaskawcę widział w Stanisławie, upatrzeć można usprawiedliwienie owych nieprzeliczonych i przesadzonych pochwał, któremi w poezyach swoich go obsypuje; każdy dar bądź najdrobniejszy, każde zdarzenie, każda rocznica imienin, urodzin, koronacyi, ozdrowienia króla, były powodem do długich wierszy: jest w téj obfitości dowód wdzięcznych uczuć poety, ale utrudza ona czytelnika.

Naruszewicz jednak, lubo wielkie miał w poezyi upodobanie, nie same jęj ulotne płody niósł w hołdzie wdzięczności królowi; obok mozolnych zatrudnień koło ćwiczącj

*) Stanisław Poniatowski kazał zrobić na cześć Konarskiemu medal z pięknym napisem w dwóch łacińskich słowach: *sapere anso*.

się w szkołach jezuickich młodzieży, obok miłych w zamku królewskim, u książąt Czartoryskich i w pierwszych towarzystwach stolicy zabawach, obok kreślenia różnych pism politycznych i obywatelskich, czynny i pracowity, upatrzył czas dopełnienia wzorowego dzieła. Dla wykonania go przyzwoicie, ćwiczył się on od najmłodszych lat swoich. Uznana była i jest powszechnie ta prawda, że młodzieniec do wyższej sposobności się literatury, od zgłębienia i zamiłowania starożytnych języków zacząć swój zawód powinien. Tak uczynił Naruszewicz. Dawnych Rzymian mowa ściągnęła szczególnie jego uwagę; zastanawiał się nad jej pięknosciami, przejmował się niemi cały. Ten zapał do obcego języka, nie był mu bynajmniej powodem do pogardy lub zaniedbania swojego; owszem jak każdy dobry syn ojczyzny, który im więcej doskonałości u obcych postrzega, tém żywiej pragnie podobną rodakom przyswoić: tak on, dla tego najwięcej przejmował się zdawał zaletami mowy Rzymian, ażeby mógł jej dojrzałość i treściwość w język przenieść ojczysty. Ten język starał się poznać gruntownie, tak przez czytanie dawnych i dobrych pisarzy, jak przez rozmyślanie nad nim. Mało komu pomyślnie ta chlubna praca się powiodła; znajomość bowiem mowy ojczystej do tak wysokiego posunął stopnia, że dziś jeszcze pisma jego tak wierszem jak prozą, są wyborną szkołą dla ćwiczących się w języku polskim, a dokładne ich zrozumienie może służyć w nim za dowód biegłości.

Gdy tak w mowie Rzymian i we własnej, na niejakej doskonałości stopniu się ujrzał, rozpoczął skuteczenie dawnego zamiaru, i przetłómaczył *znakomite wieków i narodów pochwałami* dzieła Tacyta *). Wzorowy i dokładny ten prze-

*) Tacyt Rzymianin urodził się roku 57 po N. C., 810 założenia Rzymu, za panowania Nerona. Najwyższe piastując urzędy, gdyż umarł konsulem, słynął za życia z krasomówstwa, a pisma jego historyczne wiecną mu zapewniły sławę. Składają one w polskiem tłumaczeniu cztery tomy

kład, który zdaniem znawców, śmiało walczyć może o pierwszeństwo z przekładami wszystkich Europy narodów, w którym zupełnie ma być oddana przenikliwa zwięzłość w wyrażeniu, i wyniosłość w myślach rzymskiego dziejopisa, wydał Naruszewicz w roku 1772, i przypisał królowi. W przemowie swojej do czytelnika, wyłuszczając pobudki jakie miał do podjęcia téj pracy, na pierwszym rzędzie mieści *języka rodowitego zaszczyt*. „Naganna ojczystej mowy pogarda (tak się wyraża) ztąd jedynie pochodząca, że swoich ksiąg albo nie znamy, albo ich nie czytamy, wprowadziła nas w to błędne mniemanie, że językiem rodowitym niepodobna tak pięknie pisać i tłómaczyć się jak obcemi. Przodkowie nasi, a nawet i wielu terażniejszych zachęcenie od króla dobroczynnego, pokazali jawnie, że cokolwiek ma wysokiego krasomówstwo, zawiłego matematyka, głębokiego filozofia, słodkiego poetyka, wspaniałego historya, to wszystko w naszym języku, jako w najczystszej zwierciadle, może się doskonale wykształtować! Wreszcie dowcipniejsza nad wszystkie umiejętności, *narodu miłość*, dokazałaby z czasem, nieustającą pracą, ażeby i u nas nie zbwywało na wszystkich wyrazach, z jakich się teraz obce chełpią narody. Przed stem laty nie były tak chlubne co do poloru nauk zagraniczne kraje, tłómaczenia naprzód ksiąg wyborych, które Grecy z Rzymianami zostawili, a potem własnego dowcipu, we wszystkich rodzajach nauk płody, to sprawiły, że się ich język co do słów i wyrazów wielce pomnożył; do tego ustanowione od mądrych królów akademie do poprawy, pomnożenia, wykształtowania i ugładzenia mowy ojczystej, dały naukom wzrost jeszcze większy. My Polacy, samiśmy winni temu, że nasz język poszedł w zaniedbanie, tak dalece, że rzadko kto dobrze o nim mówi w potocznych rzeczach, dopieroż pisze co poważnego w wolnej, czyli wiązanej mowie. Umiemy to tylko z języka naszego, cośmy się w domu, w szczupłym bar-

dzo osób do nas należących, *piastunek* *), słuźalców, albo czeladnej prostoty obrębie nauczyli. Biorąc dalsze ćwiczenie, groźna zwierzchność po łacinie, choć lada jako, albo innemi obcemi językami mówić i pisać surowo przykazuje; do tego rozmowy dziecinnemu wiekowi przyzwoite, nie wkraczając w głębokie nauk tajemnice, przestają na tém tylko co płochość lub potrzeba wyrażać każe. W palestrach koronnych pełno dzikięj łaciny, w Litewskich rusczyzny; żołnierze, rzemieślnicy, najwięcej używają słów obcych; celniejsi biorą za chlubę obcą mową mówić, już przez grzeczność dla znajdujących się ustawicznie przy nich cudzoziemców, już chcąc się różnić od niższych; po klasztorach osobność i milczenie zapominać prawie języka każe; rzadko kto księgi polskie czyta, daleko bardziej one pisze, albo je pisać umie; przygotowanym nie będąc pierwěj do pisania, czytaniem autorów starożytnych, wybieraniem z nich piękniejszych wyrazów, szykowaniem słów: jakimże sposobem, możemy się popisać z umiejętnością języka macierzyńskiego? Gadać umiemy, mówić i pisać rzadko kto z nas umie, a to z własnej (jakem wyżej powiedział) winy, że sobie szczególniej nauki w wydoskonaleniu się w ojczystym języku przez czytanie i rozmyślanie nie czynimy.“

Ta przemowa i prawdziwie znakomite tłómaczenie Tacyty, podwoiły jeszcze względy króla dla Naruszewicza, zjednały mu pochwały wszystkich znawców, wdzięczność miłośników języka ojczystego, i tak potrzebnej znajomości historii. W rok po ogłoszeniu téj pracy, i właśnie gdy był zajęty kreśleniem życia Karola Chodkiewicza, gdy wydał z rozkazu króla wiele pism w materyach politycznych, pod ukrytém imieniem, Naruszewicz, który zupełnie zaspokojony losem i powołaniem

*) Dziśby i tego nie mógł powiedzieć.

swojém; nie już większego w życiu ani pragnął, ani się spodziewał, wielkiej doznał odmiany. Zakon Jezuitów zniesiony został. Nie tyle zapewne ile inni współbracia, uznał ten cios tłómacz Tacyta; miał też w królu i możnego opiekuna, temu w tym razie takie podał pismo:

Czas, co najtrwalsze obala budowy,
 A gwoli zmiennęj płonny włąda światem,
 Zwinął nakoniec szwadron Jezusowy,
 Gdzim od lat tyłu prostym był żołdatem.

Kraj mi jest świadkiem, żem poczcziwie służył,
 Nie padła na me serce żadna skaza;
 Bądź mnie za pieszka kiedy zakon użył,
 Czym grzbiet osiodłał rączego Pegaza.

Już wiek stargany przez twardą żołnierkę,
 W pełnym niesłusznęj rejmentie ohydy:
 Przyjdzie na błędną puścić poniewierkę,
 Lub dyszeć w kącie między inwalidy.

Bez chleba kęsa, bez roli zagonu,
 Wstyd mi, lecz muszę dolę mą otwierać;
 Uzał się królu, z wysokiego tronu,
 A nie daj z głodu na starość umierać.

Niech pod twém berłem nie będę przykładem,
 Co świat o naszych literatách plecie;
 Kładną cytrynki na stół przed obiadem,
 A gdy wycisną sok rzucą na śmiecie.

Póki mam siły i podołam sławie,
 Którąś mi sprawił, Panie, twym zachętem;
 Siadam za stołem z książęty na ławie,
 Każdy mię kocha, bom nie jest nątrętem.

Lecz wiek na czole piąty krzyżyk pisze,
 Febowe dziewczki nie chcą bawić ze mną;
 Długo się człowiek głową nakołysze,
 Nim mu myśl zrządzą do rymu przyjemną.

Więc gdy przestaną zgoła bywać z laty,
 A sława zniknie bez swego zasiłku;
 Nie mając własnej biedny starzec chaty,
 Być mu w szpitalu, z poety na schyłku.

To pismo nie było bezskuteczne; rad był nawet Stanisław nowej sposobności okazania ulubionemu pisarzowi, ile go cenił i kochał. Już był umieścił popiersie jego ze spiżu lane, w sali zamku Warszawskiego, w rzędzie Polaków, którzy w rozmaitych czasach, byli narodu swego sławą, obrońcą i światłem; już płacąc razem zaległość naddziadów łacińskiemu wierszopisowi, i dogadzając spółczesnym w uczczeniu ojczystego peety, medal *) z twarzą jego i Sarbiewskiego bić kazał; już go orderami polskimi obdarzył, jeszcze mu tytułów, urzędów niedostawało. I tych nie szczędził król przyjaciel. Dał mu naprzód probostwo niemeczyńskie, zrobił go koadjutorem biskupstwa smoleńskiego, dalej pisarzem wielkim księstwa Litewskiego, sekretarzem rady nieustającej, biskupem emundzkim, nareszcie smoleńskim. Ale pomimo tych wszystkich godności, rzadko kiedy puszczał go od siebie. Naruszewicz miał swoje pokoje w zamku, towarzyszyć musiał królowi we wszystkich jego podróżach, i to jadąc w jednej z nim karecie; niczyja rozmowa tak mu drogi nie skracała, niczyje towarzystwo tak miłym, tak korzystnym nie było. Nareszcie po długich i częstych z nim rozmowach, uznał go najzdolniejszym do wypełnienia wielkiego dzieła, które uwieńczyć miało troskliwie o wzrost literatury narodowej, Stanisława Augusta zachody.

*) Medal ten ma z jednej strony twarz Sarbiewskiego i Naruszewicza, z napisem wokoło: *Adam Naruszewicz N. MDCXXXIII. Mat. Sarbiewski M. MDCXL.* (Adam Naruszewicz ur. 1733, Maciej Sarbiewski um. 1640). A pod spodem *Poetae* (Poeci). Na stronie odwrotnej w wieńcu wawrzynowym *quo non pertinet, coeptans, ubi desiit ille S. A. R. T. E.* (Dokąd nie sięgnie ten, co poczyna tam gdzie ów stanął. Stanisław August król kazał zrobić) 1771.

Któż mógł znać lepiej od uczonego króla, jak potrzebną jest dla narodu dobrze napisana historia jego; jak może dać kierunek umysłom, wstrząsnąć przesadą, obrazem przeszłości zbawienne rzucić światło na obecne chwile; jak nareszcie bez dokładnej historii założenia, innym umiejętnościom krzewić się trudno. Leżało u nas niemal odłogiem to wielkie i zaszczytne pole, same były skrócenia pospolicie z kronik wyciągane, tak przez krajowców jak obcych; same ułomkowe opisy, ale żadnego wyższego dzieła, któreby na piękne imię historii zasługiwało. Rozsądny, pracowity, wszystko zgłębiać lubiący, przejęty Tacyta mocą, obznajmiony z mową i skarbami ojczystemi, znany już królowi z pism politycznych i z pełnego zalet opisu życia Chodkiewicza, któż był od Naruszewicza zdolniejszym do podjęcia tak trudnego dzieła? jego więc bez żadnego wahania wybrał Stanisław August; przed nim otworzył ten zawód świetny, a obiecując pomoc wszelaką, wzywał go głosem króla i przyjaciela. Im więcej miał uczony biskup zdadności i siły do dźwignienia ciężaru tej pracy, tém snadniej objął cały jej ogrom; nie odstręczył go jednak ten widok, bo mężkiemu umysłowi ochoty dodają trudności, kiedy czuje siłę do ich pokonania; a w *Memoryale względem pisania historii narodowej*, który królowi w odpowiedź na wezwanie jego przesłał, dowiódł z jaką zupełną znajomością rzeczy do spełnienia tak ważnego dzieła przystąpił.

Oto niektóre z tego Memoryału wyjątki, z nich i Naruszewicza i pióro jego poznać można, a oraz przekonać się, jak wiele możni trafną zachętą do wzrostu nauk przyczynić się umieją. „Zawołany od W. K. M. do pisania Historii Narodowej, nim do tak przeważnego dzieła powolną zawsze na rozkazy pańskie rękę ściągnę, niech mi się godzi z powinnym ku monarsze respektem, a poufałą ku dobrodziejowi szczerością, otworzyć serce, co o tej pracy myślę, czego do jej wykonania potrzebuje, ażebym nadziei o zdolności mojej

powziętej, płochą porywczoscią nie zawiódk; a wszedłszy raz na ten plac obszerny, nie miał więcéj zawady w tak trudnym, i od żadnego jeszcze od dwu wieków nie przedsięwziętym biegu. Przepędziłem, Panie Miłościwy, lat wieku mego czterdzieści i dwa w pracach od młodości przykrych i nie ustających! a lubo stan mój w zaciszy nie chlubny i nieokazały, nie narażał mnie na brzmiące owe, próżnym częstokroć hasłem, zasługi, śmieje jednak mówić mogę, żem próżnowania nie lubił; będąc i z przeszłego powołania mego do ustawicznych robót przyuczony, i punktem honoru, szacunkiem zgromadzenia, a wrodzoną miłością sławy, do wytrwania w nich zasilany. Panowanie W. K. M. dodało mi więcéj jeszcze ochoty. Nie znając w sobie innéj ambicyi, nie czując innego zysku, prócz podobania się kochającemu i krzewiącemu nauki Panu, wilem pisał i czynił w przeciągu ostatnich tych lat dwudziestu; gdybym nie miał na to świadectwa ludzi, mam dosyć na własném czułym sumieniu przeświadczeniu. Człowiek jestem, już poniekąd pracami na zdrowiu, siłach i rzeźwości umysłu przytępiony. Dowcipy ludzkie są jako zorza; wiek one obraca: jednym z długim światłem późny zachód, drugim rychły upadek zakreśliwszy. Jestem do tego ksiądz i pleban, powinnościami urzędu mego zaprzątiony; jestem gospodarz i ziemianin, około czeladzi, roli i nudnego prawa zabawny; a bardziej już myślący o sobie i swoich, niżeli przed laty, kiedy rząd nademną zakonny, przyjąwszy na siebie zupełną troskliwość o mojej sytuacji, zostawił mię w jednym tylko tych myśli okresie, ażeby czytaniem, rozmyślaniem, uczeniem i piórem, jemu sławę, a królowi pożytek mnożył. Z odmianą i dalszym postępem życia mego, mając już inny cel zmierzony, to jest swobodny spoczynek, a kapłańskie tylko, rolnicze i przyjacielskie zabawy, myślałem to czynić co i drudzy duchowni, to jest siedząc w domu *otiarum cum dignitate* *)

*) Próżnować z godnością.

Nowe to życie nie zdawało mi się być trudném, bo mi przywróciło wolność, uchylając od przykrych pod klauzurą prawidek; a co największa, nie narażając w stolicy królestwa, na potrzebne wprawdzie, ale stan mój ekonomiczny przewyższające wydatki, ukazywało nadal ozdobny ów, i mniej kosztowny bytu wieśniaczego portret, do którego i rzymski liryk *) ze stolicy świata tęskliwie wyglądał. Wziąwszy ten sposób do życia z ręki W. K. M., chciałem wprawdzie i napotém pracować; ale już wolniej niż przedtém, i nie przywiązując się do jednej ciągłej a miejscowej roboty, i chcąc mieć tylko nauki za rozrywkę umysłu; gdy mię w tych myślach zaszedł rozkaz Pański, abym i resztę życia inędzy brogami papierów trawił. Nie wiem, dobroczynny Monarcho, jeśli mi wiek posłuży do wykonania tak ogromnego dzieła, które lat najmniej kilkunastu, w ustawicznej aplikacyi, siedzeniu miejscowém, z azardem zdrowia, z wyrzeczeniem się wszelkiej swobodnej myśli ponętów, dla wielkości i różnaitości swojej sprawiedliwie potrzebuje. Nie jestem ja zaiste tego gatunku człowiek, ażebym ująwszy się raz oburącz pługa, folgować sobie umiał. Mam punkt honoru, mam ambicyą i miłość sławy, mam zaszczerpione z gruntu łaskawością i dobrodziejstwami W. K. M. do pańskiej jego osoby przywiązanie, a to mając czuję wczesnie jakbym pracował. Wszakże mimo te wszystkie trudności, i bojaźń ich przyrodzoną, wola W. K. M. wskrzesza we mnie ochotę, umacnia siły, ożywia dowcip, uchyla z oczu długą pracowitych lat perspektywę. Jestem gotów służyć temu, któremu wszystko winienem. Wytłómaczyłem Tacyta, napisałem historią Chodkiewicza, przy innych dziełach moich wiadomych W. K. M. i krajowi, dla których przysługi pracowałem. Byłyć to wprawdzie pracowite i długie zabawy, czasu i uwagi do wykonania swe-

*) Horacy.

go potrzebujące, mianowicie przy owém przez lat siedemnaście uczenia szkół roztargnieniu; atoli rozbierając przyszłe, na które wyznaczony jestem, mówić mogę, iż one tylko były harcem niejakim, i szermierską przed zaczęciem walnej bitwy przegrawką; a to co mię czeka, większych nierównie znojów, dzielniejszej odwagi i ofiary wyciąga. Albowiem tłómacze pism cudzych, ich tylko wynalazki, ich symetryą, żywość i wdzięki, przenośnym na inne płótno, jako naśladowcy wielkich malarzów, przekładają penzlem; biografowie do jednej się tylko przywiązując osoby, z powszechnej dziejów narodowych massy, drobniejsze i samotne kształtują wizerunki. Dziejopis powszechny, sam wynajdywać i formować wszystko, sam, jako w niezmiernym obrazie, wszystko urządzić i ozdobić powinien. Nie jest to zaiste rzecz mała pisać historią wielkiego, dawnego, z różnych prowincyi, sobie częstokroć nie przyjaznych złączonego, a to jeszcze w rządzie pomieszanym, tysiącem wpływających prywatnych intryg i fakeyi, w dziejach swoich nieskończenie zagmatwanego narodu. Nie jest też łąco pisać ją wiernie, dokładnie, porządnie, rozumnie i gładko, w tym mianowicie wieku, gdzie precedzony przez tyle przetaków rozum ludzki, upatrując w dziełach najmniejsze wady, i wydziwając niejako w najwyżoborniejszym smaku, szuka prawdy bez przysady, pożytku bez pozoru, piękności bez nagany. Trzeba przewertować niezmierne ksiąg starożytnych, a zapleśniałych po archiwach i prywatnych bibliotekach papierów stopy. Trzeba z nich wszystkich jedną i tuczną ulepić masę; z niej wykształtować rozsądkiem jedno porządne i regularne ciało, ożywić ten martwy zlepek duchem prawdy; nakoniec kolorami jasnymi stylu i wymowy umilić i oświecić. Czworaka zatem dla piszącego historią zostaje praca: Zebranie rzeczy pilne i oszczędne; rozłożenie łatwe i porządne; krytyka mądra; ozdobienie gładkością pióra powabne, a ochotę czytania utrzymujące., (Tu rozwodzi się obszernie Naruszewicz nad tą czwo-

raką piszącego historię pracą, z prawdziwą znajomością rzeczy; wyłuszcza potem jakiej pomocy od króla żąda tak w księgach, rękopismach jak ludziach i tak mówi w końcu).

„Znam, iż to WKM w osobie mojej wybranie, jest dopełnieniem łaskawego onęj szacunku, i razem powodem do zasługiwania się, na dalsze względy pańskie. Cieszę się, iż stojąc na stopniu biskupim, z łaski WKM, pójdę w ślady pracowitego niegdyś, dla sławy i pożytku narodu duchowieństwa; tych mianowicie prałatów, którzy blask swoich inful nie podlą intrygą, nie łakomemi zbiorami, nie próżniakiem dostojenstwem ani powierzchownej wielkości zbytko-wnym okazem, ale istotnemi stanowi swemu przymiotami pomnażali, a im więcej od królów i ojczyzny wzięli, tém gorliwiej i pracowiciej odebrane dary odsługiwać starali się.“

Tak przejęty zaszczytnem wezwaniem króla, wielkością, chlubą poruczonej sobie pracy, uważając jęj dopełnienie jako część powołania swego, przyłożył natychmiast zdaną rękę do dzieła, Naruszewicz. Wszelakięj pomocy jako przyobiecał, król użyczył. Wydzielił mu obszerne i wygodne w zamku mieszkanie, oddał treści zbierane po całym kraju a nawet zagranicą, zwłaszcza w Rzymie i w Szwecyi, przeszło pięćdziesiąt z młodzieży mu dodał, do układania, przepisywania, tłómaczenia tych zapasów, we wszystkie dzieła potrzebne go opatrzył. W tych naukowych dostatkach opływał zapewne Naruszewicz, więcej od wielu innych podobną przedsiębiorających pracę; jednak trzeba było wielkiej baczości, aby w tym lesie wiadomości często zbytecznych, trafić na tor prawdy; ażeby nie zmarnować tych bogactw; bo tak do użycia dobrego, umiejętności jak fortuny skarbów, trzeba rozsądku i umiarkowania: nie mała to sztuka wielkiego majątku godnie używać, nie mniejsza wielki zapas wiadomości spożytkować prawdziwie. Naruszewicz tyle pracował i tak skutecznie, że już w roku 1780 wyszedł z druku tom II-gi *Historji Narodu Polskiego* od początku

chrześcijaństwa; wykończenie tomu pierwszego, w którym założył umieścić wywód Polaków z tyłu innych ludów, tudzież panowanie pierwszych książąt polskich od Lecha aż do Piasta, jako zawile i niepewności pełne, odłożył na czas dalszy, chcąc go ciągle badaniami i sprawdzeniem z bogacać *). Ciągąc zaś dalej pracę swoją i oddając się jęj zupełnie, już w roku 1786 sześć tomów *Historji Narodu Polskiego* od Mieczysława do Ludwika Węgierskiego, złożył w ręce króla, winszującego sobie tak pomyślnego zabiegów swoich owocu, i w ręce wdzięcznych rodaków. Ale niestety! to zaszczytne dzieło tu przerwanem zostało.

Dwa uczucia zajmowały najwięcej serce Naruszewicza: miłość ku ojczyźnie i przywiązanie dla króla; kiedy po długim pasmie nieszczęść i błędów, zachwiał się byt jednéj i sława drugiego, znieść nie mógł tych ciosów; umysł jego zmienił się zupełnie: odpadła chęć do pracy, ostygł do chwały zapał, znikł smak w towarzyskich zabawach; ostatni raz widziano go między ludźmi, ostatni raz pracę swoją na widok publiczny wystawił, kiedy w r. 1787 towarzyszył królowi na Ukrainę. Tęj podróży, w ciągu której Stanisław August zjechał się w Kaniowie z Katarzyną II-gą i z cesarzem Józefem, Naruszewicz zostawił Dyariusz, wmieścił do niego znaczną część *Historji Polskiej*, a szczególnież wiadomość zajmującą o początkach kozaków; owocem tęj podróży było także opisanie Tauryki czyli *historji o Tatarach Krymskich*. Tu zdało się, iż zakończył pismienny i publiczny swój zawód. Zamknięty w Janowcu, w dyecezyi, której biskupem król go w r. 1790 mianował, gdzie umarł 6 lipca 1796 roku, nie rad nawet słyszał o tém co kiedyś, co teraz w Polsce się działo. Smu-

*) Pierwszy ten tom, w dwóch częściach, wyszedł dopiero z druku 1824 r. staraniem i nakładem Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

tny, odrętwiały, bezczynny, jedne tylko piękności przyrodzenia, jedne wiejskie prace obudzić, zająć go mogły. Widziano go nieraz jak w płóciennój czamarze, w pięknym dniu wiosennym lub w chłodnym wieczór lata, wychodził w pole; tam, mieszał się do pracujących kosiarzy lub żeńców, rozmawiał z nimi, i nieraz ta sama ręka, która pióro dziejopisa z takim zaszczytem trzymała, to ramię błogosławiące tysiącom ludzi w świetnych uroczystościach *), zajęte były przetrząsaniem świeżo ściętych pokosów, lub zbieraniem przeschłych garści zboża. A ten, który ani na dworze króla, ani wśród ksiąg tak długo mu lubych, żadnej już dla zranionego serca i skołatanego umysłu nie upatrywał pociechy, znajdował ją w prostym, w zbliżonym do przyrodzenia zatrudnieniu. Tak to Opatrzność pod postacią natury, jak tkliwa matka, kiedy tego nikt dokazać nie może, sama jedna dziecię słabe ukołysać, ukoić potrafi!

Ta przerwa Historji Naruszewicza, nieodżałowaną jest dla chwały literatury naszej stratą; a jakby wróg jaki nie chciał, abyśmy się całością dziejów naszych cieszyli, jeszcze nie szczycimy się dotąd dopełnieniem tego chlubnego dzieła. Oczekując i spodziewając się ziszczenia tak drogiej nadziei, zwróćę teraz, dzieci moje, uwagę waszą na tę historyczną Naruszewicza pracę, udzielię wam jakie są o jęj zaletach i wadach zdania znawców **).

„Wiadomo, jak mało Naruszewicz zebranego zastał, wiadomo, że w literaturze polskiej, on pierwszy jako prawdziwy dziejopis wystąpił; potrafił zaś odrazu historję ojczystą i narodowi i językowi polskiemu przyswoić, i wynieść ją na nierównie wyższe niż dotąd była stanowisko.

*) Naruszewicz sprawiał zwykle urząd W. Jałmużnika w czasie Wielko-Czwartkowego Nabożeństwa.

***) Lelewela, Gołębiowskiego, Bentkowskiego, Ossolińskiego.

Pisząc ją, przedstawił wzór pracowitości godny naśladowania; bo pomimo lichwy pomocników, on sam wszystkie zapasy czytał i zgłębiał. Przekonany iż prawda powinna być dziejopisa bożyszczem, klasykami starożytnymi przejęty, z przykładną starannością każde niemal słowo swoje na źródłach historycznych gruntuje, i czasem przez tę samą miłość prawdy ubliża jój; bo zbyt często na zdaniach poprzedników (częstokroć mylnych) polegając, strzeże się własnych domniemań; zamało mając śmiałości, nie odłącza wyraźnie rzeczy niepewnych, i najoczywistszej prawdy, skoro on jój pierwszy dostrzegł, nie śmie zatwierdzić, ale woli ją raczej pod sąd oddać czytelnika. Nie odpowiada także zupełnie w dziele swoim tytułowi jego; napisał on raczej historję Królów Polskich, za panowania Piastów a nie *Historję Narodu*, rzadkie w nim bowiem ogólne opisanie, zwroty na spłynione wieki, porównania jednego okresu czasu z drugim; ale za to porządek wielki, jasność, powaga, prostota Rzymian, którą za wzór obrał, wypadki ściśle i zwięźle kolejną lat przedstawiane. Styl podobnież nie jest bez błędów, i bez wielkich piękności. Opowiadanie Naruszewicza jest wprawdzie proste i suche, bez poetyckich obrazów, ale go wyrazy poetyckie i tok ich wyższy podnosi. Mało co w myślach wzniosłego, mało zdań, ale rzeczą opowiadaną ciągle karmi. Nieco jest rabity, choć dostatecznie rozwinięty, ale przez to treściwy, jędrny; przytém pełen mocy i żywości. Obrazy jego nie rozczulają ale poruszają i krzepią umysł. Okresy czy krótkie czy przydłuższe, zawsze dobrze wykończone. Przerzutnia wyrazów często zbyt śmiała, wyszukana ale bogata, wyzywająca do natężenia uwagi. Przycisk, wymus, przysada, niepoprawności gramatyczne, coś twardego, zapominać się każą przed różniconem od historyka zajęciem, przez czarowny sposób użycia języka. Czy to on styl swój więcej wypracował, i nim swą powieść nieco nadał, czy więcej po prostu i nie-

poprawnie pisze, zawsze ten sam, sam jeden, taki do naśladowania trudny i niebezpieczny, zostawił jednak wzór, w który ktokolwiek chce styl swój na historyczny ukształcić, wczytywać się pilnie powinien; on w narodzie podwoje do przybytku historii otworzył; on poczytywany jest nie tylko w Polsce, ale w całej Sławiańskiej rodzinie, w rzędzie pierwszych historycznych pisarzy, i komu tylko język polski zrozumiały, ten Historję Naruszewicza z wdzięcznością czytać powinien.“

Wyjątków z tego tak przeważnego dzieła tu nie kładę; całość jego poznać wam radzę; czytając je z wolna i z uwagą, zasmakujecie w niém bezwątpienia. „Pisma i styl Naruszewicza (mówi Bentkowski) są pożywną i nader smakownie zaprawną potrawą, która jednak, właśnie dla swój obfitej pożywności, tym tylko do smaku nie przypada, którzy na samych piankowych łakociach i cukrzanych podniebienia drażnidłach, język i żołądek z uszczerbkiem nawet zdrowia, zwydrzyli, jeżeli nie zupełnie zepsuli.“ Nie sędzę, aby które z was, dzieci drogie, już było w podobnym stanie, a gdyby i tak, cóż żołądek zepsuty do zdrowia przyprowadzić może, jeśli nie pożywne i dobre potrawy? W każdym więc razie czytajcie Naruszewicza, a prawdziwą korzyść wam przyniesie.

Ale jeśli autor ten, tak wiele ma zalet w dziejopisarstwie i w prozie, jako poeta, godzien także wspomnienia. Stanisław August wyżej od Sarbiewskiego go położył; a wiadomém jest, że w czasie panowania tego króla, spierano się nieraz, któremu z dwóch, Krasickiemu czy Naruszewiczowi palmę oddać poezyi? Być powodem do takowego sporu, już jest nabyć prawa do sławy; trudnoby więc pominąć poety w Naruszewiczu, nie udzielić tu wyboru wierszy jego i zdania o nich.

Naruszewicz zarówno w poezyi jak w prozie pilnie się ćwiczył i kształcił na starożytnych wzorach; ale mowa wi-

zana mniej niż wolna naśladowania cierpi; chociaż więc niekiedy w poezjach jego duch wzniosły i wielki przebija, zdaje się być więcej poetą sztuki jak natury, i mało w nim widać natchnienia; wiersz jego najpiękniejszy, nie jest ulanym, raczej wypracowanym troskliwie; choć niemal zawsze gładki, mało ma płynności, a lubo aż nadto nowy i śmiały w wyrazach, w stwarzaniu ich i przerzutni, nowości w myślach napotkać trudno; górność jego najczęściej pozorna, bo zwykł rzecz prostą wielkimi słowy ubarwiać. Czytając poezye Naruszewicza, zwłaszcza jak mnie się czytać zdarzyło, po Karpińskiego poezjach, przejmuje uczucie podobne temu, jakiego doznajemy patrząc na wybór robionych kwiatów, napatrzwszy się pierwój skromnych bławatków i przyłasczek polnych; jest w sztucznych i udatnych blask, wielkość, dokładność, których naturalne i proste nie miały, a przecież podobały się lepiej. Jednak i poezya Naruszewicza podobać się może temu, który ma cierpliwość w nią się wczytać, i ma niezaprzeczone zalety swoje. Jest w niej bogactwo i znajomość języka wielka, moralność*), szlachetne i obywatelskie uczucia; jest jakieś piętno Zygmunrowskich wieków, a przytém w wielu miejscach lekkość nadobna, tłumaczenia jak mówią znawcy dobre, wiele oryginalnych ułanków pięknych, wiele wyrażen trafnych, zdań zwięzłych, któreby w przysłowie wejść mogły. Czytając te prace uważnie, następuje się także obraz człowieka; owój walki jaką w każdym z nas duch złego z dobrym toczy, i podobno niema mniej zaniedbanego poety, z któregooby z równą łatwością dwóch pisarzy utworzyć można: jeden szumny, nadęty, wyszukany, ciemny, niesmaczny, gminny, rubaszny, płaski, rozwlekły; drugi szczytny, wielki, łatwy, jasny, przy-

*) Pisał Naruszewicz wiersze nazbyt lekkie, ale te nie są drukowane.

jemny, prosty, nadobny, dowcipny, treściwy; jeden odstręcza, gniewa i nudzi, drugi ujmuje, unosi i bawi; i cały zbiór poezyi jego, jest (według trafnego zdania młodego jednego poety) jak ów dzień pochmurny, w którym wiatr pędząc silnie grube obłoki, niekiedy słońce odsłania, i błękit ukazuje niebios. Nawykła w rodakach i w ich dziełach chętniej dobrą niżli złą upatrywać stronę, rada w was, dzieci drogie, tenże sam nałóg wpoić, przy kolejnej wzmiance o poezjach Naruszewicza, udzielię wam tych jedynie wyjątków, które piękniejszemi być sędzę; w których przemógł duch dobrego, i błękit ukazał się nieba.

WZMIANKA O POEZYACH

ADAMA NARUSZEWICZA

I Z NICH WYJĄTKI.

Z ksiąg czterech Liryków.

Pod tém godłem i nazwiskiem Ody, jest umieszczonych sto dwadzieścia i jedna poezyi w różnych przedmiotach: z tych niemal połowa przypisana królowi.

DO

IGNACEGO POTOCKIEGO *),

GDY PIERWSZY SYN MU SIĘ URODZIŁ.

Natura idąc zwyczajnym tokiem,
 Między księżęty i gminem,
 Przed sięgającym swe kresy rokiem
 Pięknym cię bogaci synem.

Ten domu twego przybytek świętny
 Darzy nas weselém nowém,
 Kraj ma w nim ziomka, a ród szlachetny
 Zaszczyt, za dobrym wychowem.

*) Ignacy Potocki urodził się 1750 r. dnia 28 lutego z Eustachego Potockiego gen. art. Litew. i Maryi Kałskiej. Wysłany do Włoch dla kończenia nauk w rodzicielskim domu powziętych, do duchownego przeznaczony był stanu. Wszakże dostrzegł, że i w świeckim pożytecznie krajowi służyć zdoła; powrócił wysoko usposobiony w 1774 r., w najsmutniejszej chwili. Czuł ją zdolny, w domowém zaciszu, w poświęceniu się naukom pragnął szukać pociechy, pojął za małżonkę Elżbietę księżniczkę Lubomirską, córkę marsz. W. Kor. i ta mu wkrótce umarła; pozostała córka jedyna; wychował ją starannie, a kiedy z nią doznawać miał pociechy, wydarła ją równie śmierć sroga. Przez takie to domowe nieszczęścia przechodził mąż cnotliwy, tyle publicznych doświadczać mający nieszczęście — Ustanowiono komisję edukacyjną, w niej Ignacy Potocki zasiadał i nikomu w użytecznej pracy przewyższyć się nie dał. Towarzystwu do dzieł elementarnych przewodniczył, na jego wezwanie, przez Kondyllaka napisane o Logice dzieło przetłómaczył. Niezłomną cnotę, szlachetność umysłu i zachwycającą wymowę okazał w czteroletnim sejmie i 1794 roku. Po życiu publiczném w domowej zaciszy spokojne trawił życie, przyjaźnią złączony z Czartoryskimi, Piramowiczem, Czackim; w głęboko wypracowanych pismach, zatrudniał się historią literatury polskiej i innymi pożytecznymi, gruntownymi dziełami. W skromnym Klementowie przebywał; godność cnoty zdawała się go swym blaskiem otaczać w tej spokojnej zaciszy, gdzie tylko gościnności swej i uprzejmości mógł okazywać dowody. W 1809 roku mógł jeszcze raz krajowi swemu poświęcić usługi, wśród nich w Wiedniu życia dokonał, mąż wielbiony powszechnie. Uczcił go Julian Ursyn Niemcewicz mową pochwalną w VIII tomie Roczników Tow. Przyj. nauk zawartą. Syn, który do wiersza przytoczonego był powodem, umarł w dzieciństwie.

Kwiat ci to jeszcze w pierwotnej trawie,
 Wszystko w nim przyszłość ukrywa;
 W ludzkiego ciała drobnój postawie,
 Ledwo się człowiek ozywa.

Wszak w pierwszych kreskach obrazu,
 Kiedy go wielka dłoń kryśli:
 Przyszłej się ceny każdy odrazu
 I kredki łąco domyśli.

Ledwo z nasienia dąb wnijdzie rośły,
 Góruje nad inne krzaki;
 Przeważne orle, choć go nie wzniosły
 Pióra, uznać między ptaki.

Dość mi do wróżki, a czem w tych tropy
 Nie chodził, co z gwiazd koleje
 Chlubne umięją brać horoskopy,
 I dalsze roić nadzieje.

Zacna rodziców krew niemowlęciu,
 Na świat otworzyła wrota;
 A trwała zawsze w swém przedsięwzięciu,
 Tor sławy ukaże cnota.

NA AKT WESELNY

JÓZEFA NIESIOŁOWSKIEGO.

(O DAWNYCH NIEWIASTACH).

Mąż był jój świadkiem niewinnego życia,
 Czy się bawiła w kącie koło szycia;
 Czy dom sprawiała pilna gospodyni,
 Czy się z ołtarzem bawiła w świątyni.

Ale Bóg za to prostactwo mniemane,
 Spuszczął na dom jój skarby nieprzebrane;

Wszystko się w ręku mnożyło czeladki,
Liczne i pewne rodziły się dziatki.

Wiara z miłością pilnie strzegła łoża,
Żyzność stokrotne oddawała zboża;
Pełność mnożyła obory, spiżarnie:
Nic się na stronę nie rozeszło marnie.

Ktokolwiek na jej postęпки poglądał,
W takim żyć związku i umierać żądał;
Bo cóż być może w tém życiu mizernym
Śłodszeo, jak żyć z przyjacielem wiernym?

W smutku pociecha, ochłoda w przypadku,
Ratunek w pracy, folga w niedostatku;
Nadzieja w chwili złej niezwyależona
Mężowi swemu, jest pocziwa żona.

NIC NADTO.

Miłość się ludzka na nadziei wspiera,
Ochota rośnie kiedy zysk odbiera.
Powagę panów utrzymuje władza,
Miałość dowcipu roztropność nagradza.
Kredyt od cnoty zawisł, a ufności
Żaden nie zjedna sobie bez wierności.

Chceszli mieć zdrowie, żyj z pomiarkowaniem,
Dowcip się krzepi ukontentowaniem;
Dowcipu sama łatwość jest początkiem,
Chcesz ją otrzyonać, czyn wszystko porządkiem.

Więcej płeć białą zdaniem mém zaszczyca,
Wdzięk przyrodzony, niżli piękność lica;
Większe pisarzów o wybór staranie
Słów, niżli rzeczy, podlega naganie.

Kto chce zupełnie być uszczęśliwionym,
 Więcej pocziwym ma być niż uczonym.
 Więcej przyjaciół niżli miłośników,
 Więcej niech ma cnót, niż umie języków;
 Więcej niech będzie zdrów niżli bogaty,
 Więcej o pokój dba, niż o intraty.

Mały folwarczek, nie dłużny nikomu,
 Mały ogródek, mały stolik w domu;
 Mały a rzeński chłopiec do postugi,
 Mały koniczek i jeden i drugi;
 Mały sąsiadów poczet, a pocziwy:
 Gdy to mam wszystko, prawdziwiem szczęśliwy!
 Lubię się ogrzać nim zima przeminie,
 W małej izdebce, przy małym kominie;
 Lubię też bywać na takim obiedzie,
 Kiedy nas kilku przyjaciół się zjedzie;
 Gdy jemy smaczno z małego półmiska,
 Gdy stare winko z małych flasz wytryska.

Z takowej mowy to się więc dowodzi,
 Że wszystko co jest *nadto* człeku szkodzi.
 Małeć to słówko; lecz każdy obaczy,
 Jako jest mądre, i jak wiele znaczy.
 Nadto spoczynku, moc osłabia duszy,
 Nadto hałasów, często ją ogłuszy.
 Nadto obrotów, cudze drze szkatuły,
 Nadto spokojny, gnuśny i nieczuły.
 Nadto kochania, często rozum miesza,
 Nadto lekarskich proszków śmierć przyspiesza.
 Nadto subtelną dowcip oszukiwa,
 Nadto surowy pan tyranem bywa.
 Nadto skrzętności, łakomstwem się zowie,
 Nadto odważni, często zuchwalcowie.
 Nadto dóbr, ciężar wielki; a kto liczy
 Nadto honorów ma stan niewolniczy.
 Nadto rozkoszy, łącno w grób wprawuje;
 Nadto rozumu, często rozum psuje.
 Nadto ufności w zgubę nas wprowadza,
 Nadto otwarte serce siebie zdradza.
 Nadto obietnic, rzadko się uści,

Nadto kto zbiera, nigdy nie z korzyści.
 Nadto, mówiący, zawsze się wygada,
 Nadto żartować z kogo, pewna zwada.
 Nadto powagi, hardości jest znakiem;
 Nadto gdyś dobrym nazwą cię prostakiem.
 Nadto ulegać komu, ponizienie,
 Nadto wykwintów czynić, obrzydzenie.
 Ale to *nadto* jeśli się okryśli
 Prawem rozumu, pójdą rzeczy k' myśli. *)

DO
ELŻBIETY LUBOMIRSKIEJ.

.
 Próżno płeć żeńska z troskliwością szuka,
 By jej przydała czego niema, sztuka;
 Wydatne farby, złotogłów, klejnoty,
 Cudze to wszystko skarby: nasze cnoty!

Z temi Elżbieto, choć lat minie wiosna,
 I spędzi gładkość z ust jesień zazdrosna,
 Zostaną w tobie miłsze nad kwiat wdzięki,
 Bo któż zglozuje dzieło Boskiej ręki?

Z ODY DO KRÓLA,
O POŻYTKU Z NAUK.

(Opis drukarni).

On, (dowcip) myśli na papierze dziwnym snuje szykiem,
 On cichym uczy kartę przemawiać językiem,

*) Czyżby niemal każdy wiersz z tego ułamku, nie mógł wejść w przysłowie.

On dzieje lat ubiegłych ustawnie odmładza,
I na wieki potomne tysiąckroć odradza.

Dawnoby co uczone wysączyły pióra,
Bystra lotnego czasu z oczu zniosła chmura;
By mu kruszec odżywny cudem niewymownym,
Wartkich skrzydeł ciężarem nie stępił ołownym.

PIEŚŃ CIARLATAŃSKA.

(NA JARMARKU).

O! cuda, cuda! o śliczne cuda;

Kto ma pieniądze, niechaj je tu da!

W tej maleńkiej skrzyneczce, co ma świat obszerny
Najciekawszego, zawarł rzemieślnik mizerny.
Tu wszystkie rzeczy nowe, a kto spojrzy na nie,
Z podziwieniem zawoła: Cuda mości panie!

O! cuda...

Tys pierwszy dał pieniądze w zielonym kontuszu,
Nie wiem, czy panie Pietrze, czyli Mateuszu;
Ja nie dbam na godności, nie dbam na klejnoty
Herbowne; to pan u mnie, co położył złoty.

O! cudz...

Przystąp... Oto pan siedzi w złotogłowie strojny,
Pan nie dziwak, nie hardy, miły i spokojny;
Obok przy nim dworzani, lecz nie wiercipięta,
Nie zna co to pochlebstwo, co zazdrość przekłęta.

O! cuda...

Widzisz ten dwór wspaniały: czylić to nie cudna,
Że w nim nigdy nie gości fortuna obludna?
Niema tu miejsca chciwość, ni utrata marna,
Studzy płatni, czeladka pocziwa i karna.

O! cuda...

Ten zaś co mu sobole wiszą od kołnierza,
Pan to wielki, a długu niema i halerza;
Wszyscy ekonomowie na rękę mu padli:
Wiernie służą, jeszcze go dotąd nie okradli.

O! cuda...

A toż pewnie nie dziwna, że Krezus bogaty
Nie ciśnie ubogiego mnożąc swe intraty?
Że w dostatkach, że w sławie, że w szczęśliwej chwili
Pomni, czem też przodkowie jego przedtęm byli.

O! cuda...

Jest się czemu zadziwić, gdy kto w jedną sfore
Złączył z wielką nauką skromność i pokorę;
Kiedy ten, co na kartach dni i nocy trawi
Zawsze jest przy pieniądzach, i dzieciom zostawi.

O! cuda...

Gdy ci wierny przyjaciel zawsze równie sprzyja,
Czy fortuna w twych progach, czyli je omija;
I choć się z swych faworów wyruguje marnie,
Do serca otwartego łaskawie przygarnie.

O! cuda...

I to się rzadko nader trafia w ludzkim rodzie,
Aby żona w statecznej z mężem żyła zgodzie;
By dwa ciała składały jedną tylko duszę:
Prawdziwie ja sam na te dziwy krzyknąć muszę.

O! cuda...

Pięknie się w domu małe wychowują dziatki,
Nie pieścżą ich ojcowie i niebaczne matki;
Nauczają iść cnoty niepomylnym śladem
A czego uczą, sami stwierdzają przykładem.

O! cuda...

Widziałeś kiedy mędrka, co sam wszystko umie,
Wszystko zna, wszystko gani, że jest przy rozumie?
Lub takiego patrona, który broniąc sprawy,
Popiera tylko rzeczy, a nie szarpie sławy.

O! cuda...

Chlubny junak, co w kącie szablą wiatry kroi,
Gdy go wyzwą nie stchórzy, i placu dostoi;
Krytyk spraw cudzych, a sam w niczém niezganiony
Sędzia, ma czyste ręce od łez i mamony.

O! cuda...

Dama udatna, piękna jak jutrzienka złota,
A szwanku jej stateczna nie doznaje cnota;
Biega młokos samopas, kędy chce, a przecie
Nic złego o nim ludzie nie mówią na świecie!

O! cuda...

Pomyślne ożenienie, bez mądrej uwagi,
Że nie czynią szczęśliwym piękność i posagi;
Zasługi bez zazdrości, cnota bez obludy,
Czyliż między pierwszemi niema miejsca cudy?

O! cuda...

Polityk a nie szalbierz, bogacz a nie zdzierca,
Wdzięczny za dobrodziejstwa, żołnierz nie bluźnierca;
Szczęśliwy tak, że go nic w życiu nie zasmuci,
Pocciwy tak, że mu nic żaden nie wyrzuci.

O! cuda...

Pieśń moja tak ucieszna, tak skromna, tak miła!
By ganiąc obyczaje osób nie ganiła;
Gdy ją każdy pochwali, ani okiem krzywem
Rzuciwszy na nią, rzeknie tonem urażliwym:
Kto pisał, wielki musiał być duda.
O! cuda, cuda! o śliczne cuda!
Kto ma pieniądze, niechaj je tu da.

KOLÉJ W MIŁOŚCI.

(Z Terencyusza).

Kto żyć pragnie niespokojny,
Niechaj się tylko zakocha;

Ustawiczne w sercu wojny,
 Zwodzi z sobą miłość płocho.
 Dobywa broni i składa,
 I w rozpacz się spodziewa;
 Za istotę pozór lada
 Biorąc, lęka się i gniewa.
 A tak łudząc na przemiany
 Jednym zdrażliwa zawodem,
 Leczy i zadaje rany,
 Truje i napawa miodem.

Na pokój marmurowy w zanku Warszawskim, portretami królów Polskich, pędzla Bacciarellego, staraniem Stanisława Augusta ozdobiony 1771 roku *).

Świetny przybytku ziemskich bogów! gdzie przed laty
 Wielowładne jaśniały królów majestaty;
 Dziś miasto pierwszej chluby, błache nosząc cienie,
 Nieme tylko zawierasz farby a kamienie!

Acz i te już zawistny, lecąc skrzydłem płochem
 Czas grubym niepamięci chciał zasypać prochem,
 By nie następcą wdzięczny i tronu i sławy,
 Podał ich znowu światu i twarze i sprawy.

Już oto pod misternym i pędzlem i dłótęm
 Nowym się martwe zwłoki wskrzeszają żywotem;
 Każdy w swój dobie stoi, a kędy wzrok padnie,
 Łatwo oko, kto to był? myśl, co zrobił zgadnie.

Muzo! której łaskawe berło Stanisława,
 Wolny przystęp do domu pana twego dawa,
 Wnidź tu na chwilę; (wszakeś ty córka pamięci)
 A uspokój ciekawe ludu twego chęci.

*) Tę Odę, lubo długą umieszczam, bo w niej jest jakby treść historyi i pochwały królów Polskich.

Oto ten, co w koronie stalnym kordem włada,
 A pierwszym go być królem bitny Lach powiada;
 Waleczny Chrobry, gdzie się żelazem zamierzył,
 Od Dniepra, aż za Ordę państwo swe rozszerzył.

Szczęśliwy, by przez żwawe następcow niezgody,
 W różne ręce podbite nie poszły narody,
 A sroga wnuków zawiść wypadłszy ze szranków,
 Z jednego, wielu słabych nie zrobiła panków. *)

Ztąd owa ustawiczna między bracią wrzawa,
 Ztąd berło do obcego przeszło Wencesława,
 I tyle lat koronę na cnych Piastów głowie
 Złożoną, na swym panu ujrzeli Czechowie.

Ty mój dzielny Łokietku, kropło przedostatnia
 Krwi Piastowej! co nieehęć roztargała bratnia,
 Znowu w jedno spoiwszy, żadnym nie pożyty
 Szczęścia losem, wskrzesiłeś ojczyste zaszczyty.

Dwakroć na cię zła zazdrość swe wywarła jady,
 Dwakroć cię dawca koron dźwignął wszystko-władę,
 Pokazując ludowi, że się próżno miece
 Na tych, których On daje i ma w swój opiece.

Co ojciec zyskał bitny w żelaznym pancerzu,
 Utrzymałeś w pokoju, Wielki Kazimierzu;
 Ciebie za mądre prawa, za twierdze ogromne,
 Za polor sławić będą czasy wiekopomne.

Nie wszystko to król dobry co tylko zwycięża,
 Jedni mają z pokoju, drudzy dank z oręża;
 Z równą zaletą wdzięczna potomność wspomina
 Carskie laury, z oliwnym wieńcem Antonina.

Po twarzy, po odzieniu i po obcej minie,
 Poznając krwi francuzka, Ludwiku Węgrzynie!
 Lepiejby było Lachom, gdybyś nie w swój ziemi
 Siedzząc, rządził poddanych głowami obcemi.

*) Wzmianka o podziale państwa między synów przez Krzywoustego.

Tobie winni Polacy za swobodę dzięki,
 O! gdyby dar tak zacny wzięty z pańskiej ręki,
 Ze zdrowego rozumu nie wychodził kluby,
 Nie byłby nam podobno pochopem do zguby!

Rozhukana niesforność łamiąc wszystkie prawa,
 Żadnej nie chce zwierzchności ani jęj uznawa;
 A kując sobie pęta, mało myśli o tęp,
 Że tak ciężko pod swoim, jak pod cudzym młotem.

Równego Piastom domu głowę w Polsce widzę,
 Dobrego Jagiellona przy pięknej Jadwidze;
 Co w srogiej harde mnichy startł na głowę bitwie,
 I pojednał na wieki Lacha mężnój Litwie.

Jego sprawą narody dwa z wieków niechętnie,
 Wkroczywszy pod Horodłą w przymierze pamiętne,
 Dały sobie braterskie, w znak przyjaźni dłonie,
 Łącząc wspólne sztandary, orły i pogonie.

A któżby cię nie poznał po skrwawioném licu,
 Młodziuchny bohaterze, cny Jagielonicu?
 Płaczą dotąd twój straty, kędyś poległ marnie,
 Syte krwi Lackiej pola, przy fatalnój Warnie.

Twym upadem, kędy Rzym drugą miał stolicę,
 Runął carski gród na blask pogańskiej szablice;
 A z błot Scytyjskich wpadłszy sprośne hord tysiące,
 Gróźne aż nad Dunajem utkwiliy miesiące.

Pomnijcie na mściwego ramienia potęgę,
 Którzykolwiek gwałcicie raz daną przysięgę!
 Jest Bóg, co patrzy na was i rzuca ogromne
 Pioruny, na umysły z Nieba wiarołomne.

Po bracie brat nadchodzi, co przymierzem nowém
 Kazimierz Litwę złączył z plemieniem Lechowém;
 I biorąc w hołd Prusaków, krwawój pochop wojny,
 Ztepił dumnych hermistrzów umysł niespokojny.

Po nim idzie potomstwo: trzej bracia rodzeni
 Jeden się Janem, drugi Aleksandrem mieni;

Pierwszy się wstawił klęską w pustyniach Bukowych,
 Drugi prawem przymnożył swobód narodowych.

Nie każdemu się jednak wiek następny dziwi,
 Czyje berło przypadek zacny uszczęśliwi,
 Wiele czas dokazuje: i dla swój roboty
 Szuka tylko od imion królewskich pozłoty.

Lecz jako między gwiazdy wdzięczniej księżyc świeci,
 Przewyższył obu cnotą starszych nad się trzeci;
 Ów to Zygmunt i w rozum i w skarby bogaty,
 Co go za ojca miały obce majestaty.

A przeto najszczęśliwszy, że własnem sumieniem
 I długiem upewniony mawiał doświadczeniem:
 „Serce mi od radości we łzach słodkich tonie!
 „U wszystkich spocząć mogę poddanych na łonie.“

Ojcu moc i porządek winne były wnuki,
 Tobie winne, Augustcie, początek nauki.
 Tyś Muzom dał siedlisko: wdzięczne za twe dary,
 Cnót tylko dotykając, mijają przywary. *)

Tyś ostatniem przymierzem Litwę z Polską spoił,
 Że ich żaden przypadek więcéj nie rozdziwił;
 A kosztownym klejnotem zdobiąc berło świetne,
 Przyłączył do państw obu Inflanty szlachetne.

Z twoją głową ród poległ Jagiellona mężki,
 Zostawując w narodzie rozruchy i klęski,
 Drogi zaszczyt swobody; bośmy do téj chwili
 Jeszcze go dostatecznie krwią nie okupili!

Jako bystry kometa ledwo błysnął, zmyka,
 Ujrzeli i stracili Polacy, Henryka;
 Więc go i ja minąwszy, wzrok na ciebie skory
 Obracam, niezrównany wiekami Batory!

Mylę się? czy na północ i w niemój postaci
 Oko toczysz, gdzie Dźwina z Połotą się braci:

*) I w tych wyrazach jest pochwał Stanisława wytlómaczenie.

Kędy twa dzielna szabla - lecz zamilczć raczć,
Niech się sam Polak, czćm był a czćm jest obaczy.

Zeszło połudne światło; północni sąsiedzi
Dali nam trzech po sobie królów, bitni Szwedzi.
Zygmunt ich głowa; do dzieł ozdobniejszych zmierza
Władysław, cny poprzednik Jana Kazimierza.

Zgasł w kwiecie młodości, mężny Władysławie!
Kiedy ci żyć najdłużćj trzeba było prawie;
Twa śmierć zgonem ojczyźnie była: zaraz po nićj
W tysiac się klćsk okropnćj pogrążyła toni.

Niech, komu lubo krwawe łzami pisać dzieje,
Pisze zbestwionćj czerni niegodne turnieje;
Jak ten owad z hordyńskćj mszycć wśzedłszy w sfory,
Na pańskich karkach chamskie wecował topory.

Ja do ciebie krok biorć ciesząc przykre żale,
Żć Trackim zhańbił naród haraczem, Michale;
Bądź dobrćj myśli, oto Jan, rycerz waleczny
Zmyje tć plamć, płucząc bułat w krwi wszetecznej.

Już widzę, jako wdziawszy hart niezłomnćj zbroje
Zmiata z karków niewiernych odćte zawoje;
A posokć i prochem ozdobnym okryty,
Tratuje zdarte członki końskimi kopyty.

Na wzrok jego ogromny, na blask płytkićj stali,
Kupami się od Wiednia zbita gawiedz wali;
Stoi zdrćtwiały Dunaj, że na bystrym grzbiecie,
Most mu z trupów usłany pławne barki gniece.

Świadek dzieł bohaterskich pod Wiedniem bez liku,
Nastćpujesz Auguście drugi Fryderyku;
Kamieniec twćm staraniem wrócony Koronie
Sławi cić, póki Dniestr w Czarnćm morzu tonie.

Ojcowskiego imienia i państw dziedzic prawy,
August trzeci, spokojny, pobożny, łaskawy,

Bierze miejsce po tobie; oba sławne plemie
 Bitnych Sasów, a Polskiej wielki zaszczyt ziemie! *)

Witaj świetny orszaku, już tam pomieszczony,
 Gdzie Bóg lepsze w nagrodę prac daje korony;
 A z górnych dziedzin patrząc na nasze rozruchy,
 Wspierajcie Stanisława przyjaznemi duchy.

Jeśli wiele na zdolnym sterniku zależy,
 Że łódź spokojnie płynie, lub na zgubę bieży,
 Wam to lepiej wiadomo; już was Bóg osądził,
 Kto ją dobrze sprawował, a który poblądził.

Od wielu lat już nierząd złe nasiona wrzucił,
 Jeden wiek znosić musi co drugi zakłócił;
 Wieleśmy winni ojcom za dobra, za życie;
 Lecz ich długi opłacać musimy sowicie.

.

HYMN DO CZASU.

.

Czasie! ty niewidomy lat i dni potoku,
 Pozwól nim legnę martwy w nieprzespanym mroku,
 Dokąd mię nurt twój pędzi, stanąć nad tym brzegiem,
 I wód bystrych wzrok napaść niedościgłym biegiem.
 Któreż oko dosięże źródła twój istoty,
 Która myśl kres ukaże? żkąd pierwsze obroty
 Lot twój żartki rozpoczął? ty sam niezmierny
 Domierzasz ogromnemi wieczności ramiony.
 Wieczność kolebką twoją, w niej leżąc ukryty,
 Jużes był, acz bez władzy, nim sklep gwiazdo-lity,
 Nim ziemię dzielny Twórca, i co dysze na niej
 Z mętnej spornych żywiołów wydzwignął otchłani.
 Znęła nie ciemnych lochów smętnę wstrzęsły progi,

*) Już to dla rymu.

Błysnął zewsząd gwiazd orszak srebrzystemi rogi;
 Tyś wyszedł. Bóg ci pewne przepisał prawidła,
 On lotne lekkim pierzem przyodziawszy skrzydła,
 Rzekł do natury: Tobie w dziale czasu skore
 Póki świata oddaję: Ja Pan wieczność biorę.

Boże! to Twa istota; pod Twojami oczy
 Bystry wieków ocean szumne nurty toczy,
 Po poczesnych lepiankach wszechwładnej prawicy;
 Lecz nigdy nieśmiertelnej nie sięgnie stolicy.
 Mijają wieków rotę, rok po roku znika,
 Dzień dni strąca, godzina godzinę połyka;
 Stoją martwe lat stosy, zaledwo je zliczym:
 Cóż one są przed Tobą, wieczny Panie? niczém.

.....
 Wieki, których już nie masz, i co was nadchodzi,
 Niech mi się jedne cofnąć, drugie przymknąć godzi.
 Sam tu do mnie: myśl moja w jedną sforę sprzęga,
 Już obu świata krańców bystrém okiem sięga;
 A patrząc na znikomych rzeczy błahy wątek,
 Widzi razem ich koniec i pierwszy początek.

.....
 Stwórcu! Tyś sam bezdenne morza ograniczył,
 Tyś najdrobniejsze czasu momenta policzył;
 Sobie samemu tron Twój zachował to mglisty,
 Kiedy przyjdzie ów moment nocy wiekuistej.
 Świat nie wie; i próżno się o to badać kusi,
 To wie że ginąć codzien, zginąć kiedyś musi.
 Ludzie! gdy was okropnym bita z wieży młotem,
 Miedź ostrzega, jak szybkim czasu płyną lotem;
 Ach! jak was hasło owe brzękiem swym przenika!

.....
 Długoż tedy tak srogą zmamieni ślepotą
 Błądzić będziemy? myśl naszą jedyną istotą;
 Tęj saméj człek prawdziwie drogim żyje darem,
 Ta sama czasów naszych winna być wymiarem.
 Kochajmy mądrość; wszak to największa nauka
 Znać siebie, i żyć z sobą: kto jej pilniej szuka
 Prowadzi wiek szczęśliwy, a na czas upłynny
 Patrzy liczy bez trwogi wszelkie swe godziny.

Jeśli kiedy dla bogactw, dla podłego zysku
 Wolnością mam frymarczyć, i żyć w pośmiewisku;
 Jeśli me serce iść ma w gnuśne zmysłów pęta,
 Czasie! skróć proszę życia mojego momenta:
 Niech me kości przed czasem zawrze loch podziemny,
 Wolę chwalebnie umrzeć niżli żyć nikczemny.

.

CZTERY CZĘŚCI ROKU.

W I O S N A.

O! jak wesołe nastały czasy!
 W śliczną się barwę przybrały lasy,
 Słońce się coraz wyżej pomyka,
 Ledwo śnieg widać, lecz i ten znika.

Szumny Akwilon skrzydły mroźnemi,
 Gdzieś do Lapońskiej zaleciał ziemi,
 A lekki Zefir na lekkich cugach,
 Po rozłożystych sieje kwiat smugach.

Słodki szum czynią, gdy wiatr powiewa,
 Papużym liściem ozdobe drzewa;
 Gdziekolwiek pójdziesz, wiosenne dzwonki
 Kwilą piskliwym głosem skowronki.

Tu wełno-nośnych owiec drużyna
 Młodziuchne trawy ząbkami ścina;
 Owdzie z wiernymi u nóg ogary
 Nadyma pasterz huczne fujary.

Wiśła okowy zdarłszy warowne,
 Pędzi do morza statki ładowne;
 Czeką gospodarz by mu za żyto
 Hollender złotą brzęknął kalitą.

Daléj do pługów uprawiać ziemię,
 Daléj do wołów robocze plemię!
 Gdy nie zasiejem za dobrej chwili,
 Przez całą zimę będziem pościli.

L A T O.

Patrz, jak na środek wbiwszy się nieba,
 Ogniem tchną żywym rumaki Feba;
 Trudno się ukryć, gdzieby upały
 Okrutne z góry nie dosięgały.

Pełne wód przedtém płynących ręczo,
 Ledwo się miałkiem dnem rzeki sączą;
 A gdzie koń bystry ledwo wpływ chodził,
 Widziałem jako lada pies brodził.

Smętne kwiateczki ze mdłemi ziołki,
 Zwiędłe ku ziemi chylą wierzchołki,
 Czekając. rychło z rózanéj dłoni
 Perłowój rosy Hesper uroni.

Zemdlony żniwiarz upałem srogiem,
 Dysze w południe leżąc pod brogiem;
 Zamilkły wdzięczne ptasząt okrzyki,
 Tylko się w chróstach swarzą koniki.

Często skopcone mglistemi kiry,
 Ciska grad niebo i ogień szczery;
 Dnia za chmurami nie widać we dnie:
 Wszystko od trwogi stworzenie blednie.

A ja pod moim słomianym dachem,
 Starym się wesół posilam Bachem;
 Niechaj się niebo jako chce sroży:
 Czystego serca nic nie zatrwoży.

J E S I E Ń.

Minęły słońca letniego skwary,
 Łaskawa jesień dzieli swe dary;

Gdziekolwiek tylko wzrok się mój toczy,
Jest czêm ucieszyć i napaść oczy.

Ciągną na wozach ogromne woły
Snopki, któremi rwą się stodoły;
Wesołe dziewczki, różne młodzieńce
Niosą śpiewając do dworu wieńce.

Nie dba na żądła brzmiącej hałastry
Chłop, podcinając z kanaru plastry;
A w spore beczki i duże kadzie,
Wdzięczny pijakom prowiant kładzie.

Rozlicznych wetów moc niezliczona,
Łamię ciężarem drzewom ramiona;
Żaden nie sięga, żaden nie szczypie:
Sam dobrowolnie owoc się sypie.

Masz gospodarzu zapłatę za to,
Żeś przepracował wiosnę i lato;
Ciesz się z czeladką; a kto próżnuje,
Niech głodny gardziel piaskiem ładuje.

Z I M A.

Rozkoszna chwilo jesiennęj pory,
Którą bieg czasu już porwał skory;
O! ktoby mi dał skrzydła tak lotne,
Bym mógł twe cofnąć cugi niezwrotne?

Jako spuszczonej z tęgijęj cięciwy,
Do celu pocisk leci pierzchliwy;
Tak co mię cieszył wdzięcznym widokiem,
Niedoścignionym zniknął czas krokiem.

Od północnego ostry Boota
Gwiżdże wiatr w uszy i śniegi miota;
Ledwo w południe ciepło Tytana
Czuć, który w lecie ogniem tchnął z rana.

Rącze kryształów wodnych woźniki,
Noszą na grzbietach ładowne bryki;

Umilkł gwar małych ptasząt pieszczony,
Same po dachach wrzask czynią wrony.

Lecz mię to przecie nie tak dolega,
Że śliczna pora od nas odbiega;
Nadejdzie znowu, jak miną lody
Czas, co osypie kwieciami ogrody.

Ale na ciebie nędzny człowiecze,
Gdy się starości zima przywlecze;
Zetnie krew w żyłach, nabawi szronu:
Nie spędzisz śniegu z włosów do zgonu.

R Ó Ż N O Ś Ć N A S Z A .

Z Adamowego idziem wszyscy rodu,
Nie trzeba na to długiego wyvodu:
Przodkowie nasi w lat przeciągu długiem
Orali rolę, chodzący za pługiem.

Aż téż sprzykrzywszy sobie pracę onę,
Rzucili lemiesz i jarzmo na stronę;
Jeden, o rannéj woły tylko zorze,
A drugi wyprzągł o wieczornéj porze.

M O C P I Ę K N O Ś C I .

Natura wołom rogi,
Dziarskie kopyta koniom,
Rącze zajmącom nogi,
Trąbę zaś dała słoniom;
Ptakom lot, rybom skrzele:
Nam roztropność w podziele.

Kobiétom zaś nie miała
 Nic więcej. — Cóż im dała?
 Piękność, która im stoi
 Miasto strzał, miasto zbroi:
 I miecz i tarcza pękną
 Przed tą, która jest piękną.

T O M D R U G I .

(SIELANEK KSIĘGA JEDNA).

(Sielanek tych jest szesnaście; nie wyrównywają zapewne Sielankom Szymonowicza, Karpińskiego i innych; często szumne i górne, niekiedy w miejscu prostoty prostactwo w nich przebija; mają jednak swoje piękności, i *Pacierz staruszka* słusznie tak sływał i słynie. — Lubo naśladowany z Gesnera i wszystkim znany, wypisuję go, jako i koniec *Narcyza*).

PACIERZ STARUSZKA.

(SIELANKA).

Gończe złotego słońca, różana jurzenko,
 Jużes to w chatki mojej zajrzała okienko?
 O! jak słicznie z twój twarzy promień bije czysty,
 Przez te młode gałązki leszczyny krzewistej!
 I ty coś tu pod belką zlepiła gniazdeczko,
 Nucąc sobie, świat biały witasz! jaskółeczko!
 Już i ranny skowronek wdzięczny głos wydaje,
 Wzbiwszy się lekkim skrzydłem na powietrzne kraje.
 Wszystko ze snu głuchego przyrodzenie wstawa.
 Zwilżona chłodną rosą podniosła się trawa;

Każdy się kwiat rozwija i kształt bierze żywy,
 I mnie się zdaje, że mój włos odmłodził siwy.
 Kiju mój! ty starości mej wierna podporo,
 Prowadź mię, już bez ciebie w tym wieku niesporo;
 Za tym sobie ogródkiem na wschód słońca siędę,
 I łąkom się zielonym przypatrywać będę.

Lasy, pagórki, pola nieścignione okiem,
 O! jak cudnym myśl błędną karmicie widokiem!
 Którekolwiek mych uszy dolatują pienia,
 Wszystkie są głosem szczęścia, głosem dziękczynienia.
 Pastuszek na ugorze, ptaszek na gałęzi
 Opiewa słodką radość, co mu serce wiąże;
 Skaczą wesołe trzody po wzgórzach zielonych,
 Po dolinach, czystymi strugi przepieczonych,
 Harcują tłuste capy; byk się zbliża z bykiem:
 Każdy hucznym wesele okazując rykiem.

Długoż, ach! długoż jeszcze, Twórcu mój taskawy,
 Patrzeć będę na dziwne Boskiej ręki sprawy,
 I świadkiem Twój dobroci; już dziewiąty schodzi
 Krzyżyk wieku, jako się w śliczną postać młodzi
 Po białej zimie wiosna, a gdy myśl skrzyłłata,
 Patrzac na czas upłynny ściga zbiegłe lata,
 I plac ów dwoma kresy otoczony mierzy,
 Co się między mym grobem i kolébką szerzy;
 Cała ta niezmiernona perspektywa okiem
 Dni jasnych, dni fortunnych upływa potokiem.
 Ach! jak serce me pała, wiekuisty Boże!
 Ta radość niezwyčajna, którą ledwo może
 Zajakliwy wyrazić język; te łez tonie,
 Które hojnym strumieniem bieżą po mem łonie.
 Znam dobrze jak są podłe, jak słabe podzięki,
 Za wszystkie dobrodziejstwa, które m wziął z Twój ręki.

Płyńcie hojnym potokiem, płyńcie oczy moje,
 Wytaczajcie obfite łez rzęsiwych zdroje.
 Przeżyłem tyle latek, miło wspomnieć na to,
 Że mi wszystkie tak zeszły jak rozkojszne lato!
 Ile dni, tyle pociech, a lubo je która
 Nagłego smutku czasem zasępiła chmura,
 Były to owe tylko krótkie drzewo-łomy,
 Co z gęstym deszczem straszne wysypawszy gromy,
 Po małej chwili nikną; a swemi przechody

W cudniejszy kształt obloką pola i ogrody.
 Nigdy letniego słońca bystremi pożogi
 Nie zmniejszyły się na mych gruntach plenne brogi;
 Nigdy mróz tęgi roślach szczepów mi nie skaził,
 Nigdy przymorek dojnych krówek nie zaraził.
 Nigdy, srogiemi brzucha zmęczony przemory,
 Nie wlaźł wilk krwawożerca do mojej obory;
 Ani mi kiedy tłustych baranów podawił,
 Nigdy w mój chatce długo zły wróg nie zabawił.
 Wszystko szło mi szczęśliwie, wszystko jako z płatka:
 Była bogata chata, pocziwa czeladka.

A któż jeszcze wyrazić radość ową zdoła,
 Gdy mię nadobne dziatki obsiadły dokoła;
 Kiedym jedne prowadząc za drobniuchne ręce,
 Uczyl bezpiecznie stawiać stopki niemowlęce:
 Drugie skacząc na łonie z uciesznym pośpiechem,
 Bawiły płochą mową i wdzięcznym uśmiechem?
 A ja patrząc na owe płonki młodocianne,
 Myślałem sobie w sercu: póki latka ranne,
 Póki roszcзки niedoszte, póki listek wazki,
 Trzeba mieć pieczę o was, drogie me gałazki!
 Będę was od wszelkiego trafunku ochraniał,
 Krzesiał, odwilżał, czyścił, przykrywał, zastaniał.
 Wiem, że Bóg dobrotliwy ziści me nadzieje,
 Każda się z was bujniejszym liściem przyodzieje;
 Każda setny da owoc, a wasze też cienie
 Dadzą starości mojej słodkie przygarnienie.
 To myśląc, do sercam je uprzejmie przytulał,
 I częstom się w tych myślach hojnie łzami ulał.
 Teraz gdy już pod Twoją opieką urosły
 Twórczo mój, i niepłonne owoce przyniosły!
 Ciesząc się z trosk podjętych, i złożonej prace,
 Czekam, póki śmierć w domek mój nie zakołace.

Tak właśnie rosły moje najmilsze pociechy,
 Jako oto te gruszki, oto te orzechy,
 Com je przed laty, by mi skwar letni nie wadził,
 Około chatki mojej we dwa rzędy sadił.
 Teraz gdy roztoczyły szerokie ramiony,
 Mam z nich w jesieni owoc, mam w lecie zastony.

Ty sama, ty trosk moich, ty żalów jedyną
 Stałaś się ukochana małżonko, przyczyną!

Ty bieg radości trwałych, niestety! przerwała,
 Gdyś mi z oczu w podziemne kraje uleciała!
 Pomnę! ach pomnę, kiedy przy ostatnim skonie,
 Złożyłaś napół martwą głowę na mój łonie;
 Kiedym struchlałą ręką oczy twe zawierał,
 I z tobą razem z srogich frasunków umierał.
 Już to dwunasta wiosna mija od tej daty,
 Jak grób twój łzami zlewam, i sypię nań kwiaty.
 Lecz wkrótca dzień wesoły, dzień przyjdzie fortunny,
 Co me kości położy obok twojej trumny;
 A te serca, co w ślicznej wiek spędziły dobie,
 I po śmierci spoczywać będą w jednym grobie.

Kto więc, kto kiedy Boskie zbadał tajemnice,
 Jakie życiu ludzkiemu zamierzył granice?
 Może i dziś (Ty sam znasz nieśmiertelny Paniel)
 Skołatana starością łódź u brzegu stanie.
 Różnemi się sposoby śmierć o człeka kusi,
 Młody może, lecz stary prędzej umrzeć musi.
 Cóżkolwiek bądź, dziękując, Święta Opatrzności!
 Żeś wiek mój aż ostatniej podała starości.
 Ta miękka włosów wełna, ten blask śnieżnej brody,
 Nie są to najgłówniejsze łask Twoich dowody?
 Jeden wziął skarby drogie, drugi imię świetne,
 Najwięcej, co ze zdrowiem wziął życie stoletnie!

Wietrzyku! co tu sobie lekko polatujesz,
 Jedne ziółka kołyszysz a drugie całujesz;
 Nie gardź tą siwą brodą, a przez wdzięczne wianę,
 Daj też jej nad miód słodszych ust pocałowanie.
 Szacowniejsza ta starość, ten wiek ubielony,
 Niż w misterne pierścienie warkocz utrefiony,
 Udatnego młodzieńca, lub kiedy roztoczy
 Cudniejszy włos Cytera Argusowych oczy;
 A z czoła powabnego i brwi jasno-złotej
 Rani serce pochopne żarzystymi groty.
 Niechże ten dzień wesela mojego dowodem
 Będzie; niech uroczystym jaśniej obchodem.
 Zbiorę me dziatki, wnuczki, z prawnucząt orszakiem
 I te co są w pieluchach, i co pełzną rakiem.
 Oddam dobroczynnemu hołd powinny Bogu,
 Zbuduję z darnia ołtarz u mój chatki progu.
 Otoczę różno-farbnym wieńcem siwe skronie,

A drżącą ręką brząkać będę na bardonie;
 Wszyscy staniemy wkoło, a na dziękczynienie
 Za wzięte dary, słodkie uczynimy pienię.
 Potem stół posypawszy kwieciem, jeść ofiarę
 Upieczoną będziemy i pić wino stare.“

To wyrzekłszy staruszek, wrócił się do chatki
 Budzić na spólny paciérz jeszcze śpiące dziatki,
 A już i słońce ruszać poczęło z za chmury,
 I z grzędę pozlatały na dół czujne kury.

N A R C Y Z.

.

Ktośkolwiek jest, co w pierwszej lat kwitnących dobie,
 Utopiony w szkle marnem przypochlebiasz sobie;
 Nie wierz zdradliwym nętom obłudnej postaci,
 Bo się znikoma gładkość rychło z laty traci.
 A wdzięk krótki na lekkie uleci powietrze,
 Kiedy czas wszystko-trawny farbę z lica zetrze.
 Kochaj cnotę, uczciwość, skarb szlachetnej duszy,
 Których żaden wiek skrzydłem wartkiem nie poruszy;
 Które z samej starości biorą lustr nowotny,
 Chociaż czoło zmarszczkami zorze czas niewrotny.
 Nie tak rychło na gnuśne mroźnej zimy przyjdzie
 Róża włosy ozdobne, drzewo zgubi liście;
 I za lada gnięwnego Borei podmuchaem
 Będą skrzepłe gałązki tłuc niewdzięcznym ruchem;
 Nie tak, kiedy stal krzywa groźnym hartem brzęka,
 Rychło pod tęgim ciosem wążła trawa klęka,
 Jak rychło wdzięk ten zniknie, mój Narcyzku młody,
 Co twe szkarłatnym sokiem wypełnia jagody.
 Godzina pcha godzinę, dzień dni w kark potrąca,
 Tydzień tygodnia ściga, a miesiąc miesiąca;
 Lecz i po nocy czarnej dzień koleją chodzi,
 I księżyc przytępione rogi znowu młodzi:
 I po zimie przyjdź znowu kwiatopłodnej wiosnie,
 I na drzewie opadły znowu liść urośnie.

I po wodzie nadpłynie znowu druga woda,
 I po szarudze złota nastąpi pogoda.
 Lecz nam, kiedy raz słońce starości zapadło,
 Nie przyda nic do twarzy misterne zwierciadło;
 Ani cofnie czas nazad z nieścigłej pogoni,
 Upieczonych lotnemi godzinami koni.

Przypatrz się sobie lepiej, boć to miłość płocha,
 Kiedy kto tego nie zna z gruntu, w czém się kocha;
 I na zwierchnym powabie, choć tak często zdradza,
 Największą swą na świecie pomysłność zasadza.
 Wiele jest pięknych ludzi; lecz to mało nada,
 Gdy kto piękniejszej cnoty w sercu nie posiada.
 Kto tylko z twarzy Anioł, a w powłoce cudnêj
 Ukrywa złość zaciętą i umysł obłudny:
 Bodajby taki nigdy dobrych serc nie zdradzał,
 Ani się jako Narcyz, na świat nie odradzał;
 A jeśli losem nieba znowu ma być żywy,
 Niech się w piołun, lub w pałkie odmieni pokrzyw.

S A T Y R Y .

Jest ich tylko ośm: Sekret, Szlachetność, Głupstwo,
 Wiek zepsuty, Pochlebstwo, Chudy Literat, Reduty, Małżeń-
 stwo; z zapalem gromi w nich poeta przywary i występki,
 trafnie wyszydza wady, ale obrazy jego i słowa, często rażą
 i odstręczają. Oto początek jednêj:

C H U D Y L I T E R A T .

„A cóżto, mój uczono-chudy gości panie?
 Już to temu dwa roki, jak w jednym żupanie
 I w jednêj kurcie widzę literackie boki?
 Sława twoja okryła ziemię i obłoki,

Że cię miały w kolébce Muzy mlékiem poić,
 A z niej widzę że trudno i sukni wykroić.
 Nie pytam, jak tam twój stół i mieszkanie ma się?
 Podobno przy gnojowym blisko gdzie Parnasie
 Apollo ci swym duchem czczy żołądek puszy,
 Szeląga nie masz w worku, a długów po uszy.
 Z tém wszystkiém. pod pismami twemi prasy jęczą,
 Ledwo cię pochwałami ludzie nie zamęczą;
 Żeś ozdoba narodu, pszczołka pełna plonu
 Cukrowego, pieszczota, oczko Helikonu:
 Kwiatek, perła, kanarek, słońce Polskiej ziemi.“

„Przestań mnie, miły bracie, szarpać żarty swemi;
 Mam dosyć ukarania, wszystkim stracił marnie,
 Żem się na mecenasy spuścił i drukarnie.
 Te ostatni grosz za druk z kalety wygonią;
 Tamci dość nagrodzili. kiedy się pokłonią.
 Nie pokupny dziś rozum, trzeba wszystko strawić,
 Kto go chce na papierze przed światem objawić.
 Pełno skarg, że się gnuśny Polak pisać leni,
 A nie masz ktoby ściągnął rękę do kieszeni.
 Nie masz owych skutecznych ze złota pobudek,
 Więcej szalbierz zyskuje, albo łada dudek,
 Co pankom nadskakiwa, lub co śmiesznie powi,
 Bo on za swe rzemiosło podarunki łowi:
 A ty biedny swe pisma, opłaciwszy druki,
 Albo spal, albo rozdaj gdzie między nieuki;
 Żeby z nich mogła Imość, gdy przyjedzie Jacek
 Ze szkoły, czém podłożyć z rodzenkami placek.

.
 Gdybyć to kupowano księgi, toby przecie
 Człowiek jaką tachmanę zawiesił na grzbiecie;
 Każdy chce darmo zyskać: jużbym mu ustąpił
 Rozumu, byłę tylko za papier nie skąpił.
 Lecz w naszym kraju jeszcze ten dzień nie zawitał,
 Żeby kto w domu pisma pożyteczne czytał.

.
 Każdy mówi, iż niéma czasu do czytania,
 Każdy się swą zabawą od książek zastania;
 Chłop ma co robić w polu, a rzemieślnik w mieście;
 Mnich zabawny swym chórem, lub chodzi po kweście;
 Ksiądz... lecz ja nie chcę z takim państwem mieć poswarki,

Kupiec łokcia pilnuje, lub zwiedza jarmarki,
 Palestrant gmerze w kartach, co je strzygą mole;
 Szlachcic pali tabakę, lub łyka przy stole.
 Dworaczek piętą wierci, żołniierz myśli kędy
 Karmnik z wieprzem, sër w koszu, a z kurami grzędę;
 Pan suszy mózg nad tuzem, i wymyśla mody,
 Kobieta u zwierciadła, póki służy młody
 Wiek, siedzi; a gdy starsze przywędrują lata,
 Cudzą sławę nabożnym językiem umiata.
 Stary дума, jak mu grosz jeden sto urodzi;
 Młokos wiatry ugania, i białą pięć zwodzi.

.

B A J K I.

Jest ich jedenaście: Rada zwierząt, Dwa drzewa, Salkwy, Gil i Słowik, Jaskółka, Wyprawa na wojnę, Kanarki, Kot stary, Celestyn, Szczur na pustyni i Towarzysz; we wszystkich jest prawda moralna, są dosyć dowcipne i trafne, ale trochę zadłgie, często brudne i grube, i bez przyjemnej prostoty. Oto jedna:

K a n a r k i.

Pewny gospodarz, pan licznych folwarków,
 Miał w swym pokoju dwóch białych kanarków,
 Oba z nich mieli dziane paciorkami klatki,
 Maku, cukru, konopi niezmierne dostatki;
 Wodę zawsze z krynicy jako kryształ, czystą:
 Słowem, wszystkiego rzęsisto.
 Z tym tylko obowiązkiem, aby się uczyli,
 Co im piszczałka zakwili;
 A pana swego jak z pola przyjedzie,
 Czy przy śniadaniu, czy to przy obiedzie,
 Gdy zaczną pić smaczne piwko,
 Słodką bawiły rozrywką.

Ledwo kilka miesięcy upłynęło, alic
 Nie mógł się z nich jednego, kto słyszał odchwalić;
 Tak wszystko ślicznie pojął, co zagrał organek,
 Czy to menuecik, czy to skoczny tanek,
 Czy mazurka, czy kozaczka:
 Nic nie było trudnego dla cudnego ptaszka.
 Mało na tém że śpiewał: kiedy mu na linie
 Kazano w orzechowój do góry łupinie
 Ciągnąć wodę, lub obrok makowy ze żłobem;
 Póty się silił, to nóżką, to dziobem,
 Aż do klatki zawindował:
 Pan też go zawsze na ręku piastował.
 Pozwalał mu z dłoni jadać
 I czasem na wąsach siadać.
 Nie tak się drugi udał; choć równą wygodę
 Miał jak kolega, mak, cukier i wodę,
 I z kilku drążkami klatkę,
 I świeżą zawsze sałatkę.
 Nie chciało mu się uczyć, biegał w kątek z kątką,
 Każdego ostrym pyszczkiem dotykając prątką;
 Aby mógł tylko przez jakową dziurę,
 Przykrą pożegnać klauzurę.
 Darmo chłopiec nadymał organkowe miechy,
 Lepiej wróbel świergotał, siedząc koło strzechy,
 Nizeli on nieuk śpiewał.
 Skakał tylko, psuł klatkę, albo brzuch nadziewał.
 Aż też pan rozgnięwany, nie widząc poprawy,
 Cisnął go kotu buremu do strawy;
 Mówiąc: „Kiedys niewdzięczny za me łaski, ptaku,
 Znajdziesz lepsze mieszkanie u Matusa w saku.
 Niechaj ten raczej na świecie nie żyje,
 Kto tylko na nim ję darmo i pije.“
 Mości panowie studenci!
 Życzę większej do nauk wam przykładac chęci,
 Nie traćcie marnie czasu: często się to przyda,
 Że szlachcic głupi umrze za piecem u żyda.

Po Bajkach umieszczone są *Epigrammata*, w liczbie 26-ciu; piękny w nich lubo górny nagrobek Zofii z Sienawskich księżny Czartoryskiej.

Życie śmiercią dobroci, śmierć życiem nabięra:
 Szczęśliwy! kto i żyje dobrze i umiera.
 Szczęśliwe, co w tym grobie popioły leżycie:
 Śmierć wam nie śmierć przyniosła, ale nowe życie.

Potém następują tłumaczenia, zebranych pieśni Horacyusza, niektórych z Sarbiewskiego, wyboru z Anakreona, i dziewiętnaście z not Tacyta *fragmentów*, wierszem ułożonych. Te tłumaczenia powszechnie są chwalone. Wyjątków z nich dla szczupłości miejsca nie kładę, ale przytoczę tu jeszcze niektóre wiersze z całego zbioru Poezyi Naruszewicza wybrane, któreby na wpisy do Imienników, na godła, na przysłowia, łatwo się przydały, w których wiele zdań prawdziwych, i nauk moralnych napotkać można. Wybór ten mógłby snadnie być obfitszy. Jestto tylko próbka.

Do Przyjaciół.

1.

Kogo przyjaźń złączy swoją taśmą złotą,
 Nie rozerwie jęj chyba sroga Kłoto;
 Jęj miłość nie zna pierzchliwęj odmiany,
 Czy to czas przykry, czyli pożądaný.

2.

Gdy szczęście służy, każdy w pogodzie
 Służbę ma za wesele;
 Ale w burzliwęj tylko przygodzie,
 Prawdziwi przyjaciele.

3.

Umysł spokojny i nie żądny wuela,
Doświadczonego miłość przyjaciela,
Lutnię rozkoszną; to kiedy posiadam,
Gdy umiem sobą, całą ziemią władam.

Do wchodzących w małżeńskie śluby.

Czeka ołtarz na słowa, Bóg słuca przysięgi,
Rozmysł poprzedza, wiara w wieczne pisze księgi;
Czas ich strzeże: śmierć patrzy w której życia dobie
Tajemny skinie wyrok by je zdarła w grobie.

Do pięknie rysującej.

Gdy twoja rączka ołówkiem kryśli,
Niema twarz pod nią i mówi i myśli.
I powtórne bierze
Życie na papierze.

Do młodych uczących się.

Nie łaskawego słońca blisko-ległe kraje,
Wychowanie z dowcipem krzewi obyczaje;
Ziemia jak bryły gnuśne wszystkich wyprowadza,
Przykład je dobry krzesze, nauka wygładza.

Wiek ludzki.

Śmiesznym się ludzki wiek obraca szykiem,
Z rana półgłówkiem człek i rozrzutnikiem;
Pyszny w południe, a ze dnia upadem,
Kutwą, łakomym i mrukliwym dziadem.

Do młodego, już pana samego siebie.

Kogo poczciwość nieskażona strzeże,
Nie potrzeba mu z miedzi litéj wieże,
Ani sto-ocznych Argów w każdej dobie,
Twierdzą sam sobie.

Do uciekającego przed złą dolą.

Pocóż człek marny nadal myślą strzela?
 Poco się z krajem ojczystym rozdziela,
 Wołąc żyć w obcym? a któż się tak schronił,
 Gdzieby samego siebie nie dogonił.

Smutna obawa.

Z upływnym czasem wszystko na dół leci,
 Gorszi po dziadach nastali rodzice,
 Rodziców jeszcze przepisują dzieci,
 A nasi nie wiem czém będą dziedzice?

Do skromnie pobożnej.

Garstka jęczmienia a soli drobina,
 Jeśli je ręka położy niewinna,
 Prędjiej ukoi groźne niebios gniewy,
 Niźli wybite obory i chlewy.

Do nieużytego bogacza.

Ten który tylko wielkim dla siebie,
 Cóż ludziom z jego wielkości?
 Rzuca promienie księżyc po niebie,
 A chłodno z jego jasności.

Do zaspokojonego swym losem.

Łakomy człowiek i chwyta i roni,
 Lejąc w ten przetak, wnet woda wycieknie;
 Szczęśliwy, który co ma z Boskiej dłoni,
 Mało czy wiele: dość mi na tém! rzeknie.

Obraz zimy.

Słyszysz jak skrzypią pojezdne zawiasy,
 A bystrym szumią gałęzie poświstem;
 Mróz bierze wody w lodowate prasy,
 Zmartwiało wszystko na podniebiu czystém.

O żegludze.

Musiał ten mieć z twardego dębu piersi ryte,
 A serce miedzią troistą pobite;

Kto na srogięgo morza burzliwe powodzi,
W lichęj się wazył pierwszęj puścić łodzi.

Pociecha dla nizkiego stanu.

Nie jest słoneczny promyk mniej znajomy,
Czy cedry żywi, czy chróścik poziomy.

Szczęście jedyne.

Gdy czyniąc sobie, drugim dobrze czynię;
Wtenczas się nazwę szczęśliwym jedyne.

O pracy.

Człek się rodzi do pracy, kto czas traci marnie,
Tak żyje jak ów, co go sen wieczny ogarnie.
Spoczynek jest występkiem; wszystkie bez roboty
Nie warte cnót imienia różnujące cnoty.

Dla pisarzy.

Próżno się dowcip sadzi, próżno pióro kryśli,
Najlepszy mówca, kto tak mówi jako myśli.
Mało co prawda wskóra, wnet z myśli uciecze,
Gdy ją dowcip w powabną postać nie oblecze.

Do obywatela.

Niech twemi Ojczyzna niewczaszy,
Spocznie bezpieczna

RÓŻNE ZDANIA, GODŁA I JAKBY PRZYSŁOWIA.

Kiedy król łaskaw, wszystko idzie snadnie,
Przemówi Memnon, gdy nań słońce padnie.

Domowe rozterki i krajowe zwady,
Prędzěj zniszczą kraj, niżli zawisne sąsiady.

W Polsce złota wolność pewnych reguł strzeże,
Chłopa na pał, panu nic, szlachcica na więz.

Żaden kraj cudzej potęgi nie zwabił,
Który sam siebie pierwej nie osłabił.

Lubo się o kulach każn powolna wlecze,
Przecież rzadko złoczynny człek od niej uciecze.

I brzęk ustek słowicznych, choć słuch miodem poi,
Z wdzięczną lutnią trosk czujnych w sercu nie ukoi.

Długie zamysłów człowieczych nadzieje,
Ścisłemi życia Bóg otoczył szranki.

My z sobą gwarzym, a czas skrzydło-płochy
I słowa goni i chwile powiewne.

Gdy się wątek urwie, każdy co ci sprzyjał,
Będzie twój dom, choć sucho, zdaleka omijał.

Znajdziem tysiąc pochlebców w pośrodku wesela,
Zła chwila prawdziwego stępłem przyjaciela.

Nie ten u mnie żył długo, kto wiek przeżył długi,
Lecz kto życie wielkimi ozdobił zasługi.

Czyliż, że wiatr powiewa zewsząd nie życzliwy,
Ten być przestanie wielkim, kto nie jest szczęśliwy?

Nie wszystko ma szacunek co się świeci z wierzchu,
Często co rano chwalim, ganimy przy zmierzchu.

Kto chce czego dokazać a widzi że trudno,
Niech tylko wdzieje na się postawę obłudną.

Kiedy z czasem cenę straciła zaśluga,
Poszła zbrodnia do krzesła, a cnota do pługa.

Nie masz nigdzie prawdziwej mądrości na świecie,
Wszystko się po staremu na nim zawsze plecie.

Nie jeden po to jeździł pocztą za granicę,
Aby przywiózł do Polski modne rękawice.

Czyż nie jeden latawiec upornie nie trzyma,
Że kto nie był w Paryżu, ten rozumu niema.

Patrzę na dziś, bo któż zgadnie,
Jaka mi kość jutro padnie?

Wiek ludzi rodzi, moment je zamiata.
 Złość się burzy, gmin gada, mądry zawsze stoi.
 Słabych to tylko umysłów -- upadać.
 Był zawsze pokój, kędy była cnota.
 Słodka chluba krew miłej poświęcić Ojczyźnie.
 Im bardziej we dzwon biją, tém on głośniej dzwoni,
 Kto sławnym był za życia, z tym sława nie gaśnie.
 To mi szlachcic, co idzie cnót chwalebnych torem.
 Wiele ten może, kto sam sobą mądrze władnie.
 Największa nauka znać siebie, żyć z sobą.
 Płaczem na losy, a takie mieć chcemy.
 I wilk znalazł przyczynę, gdy chciał pozrzeć owcę.
 Najlepiej kielby chwytać pomąciwszy wody.
 Za szczęściem jak jaskółki biegamy za latem.

Przy zgonie
 Cieszym się; brzęczy mucha kiedy w miodzie tonie.
 Płochę piórko ciężarem, gdzie jedność nie dźwiga.

I chleb smaczny z solą,
 Kiedy z dobrą wolą.

Spis pism Naruszewicza.

- Życie Jana Karola Chodkiewicza, we dwóch tomach.
 Przekład Tacyta we czterech tomach.
 Siedm tomów Historji Narodu Polskiego od początku, do panowania
 Ludwika Węgierskiego.
 Dyaryusz podróży Stanisława-Augusta na Ukrainę.
 Opisanie Tauryki.
 Dwa tomy Poezyi.
 Dwie Tragedye: Gwido hrabia Blezu, i Tankred, który podobno nigdy
 drukowanym nie był.

Książka do nabożeństwa w młodości napisana, której jedyny już może egzemplarz był w bibliotece Puławskiej.

Wiele bardzo pism obywatelskich i politycznych bezimiennie wydawanych, — wiele notat i zapasów do dalszego ciągu Historii Polskiej.

OBJAŚNIENIA.

(1) „Wkrótce przeniesiono go do Warszawy...” W Warszawie przebywając stanął wraz z Albertrandym na czele redakcyi założonego przez ówczesnych literatów pisma, pod nadpisem: *Zabawy przyjemne i pożyteczne*; gdy zaś Albertrandy wyjechał za granicę, sam całém wydawnictwem kierował.

(2). „We wszystkie dzieła potrzebne go opatrzył...” Trzeba przyznać, że Stanisław August bardzo rozumnie, prawdziwie wzorowo środki pomocnicze dla dziejopisa krajowego obmyślił; może nawet przyczynił się tém do rozbudzenia w narodzie żywszego zajęcia się przeszłością, bo poszukując dawnych rękopismów, hojnie płacąc za odnalezione, przyczynił się, że ich gorliwiej szukać wśród butwiejących papierów zaczęto, i po grodach, klasztorach, po szlacheckich dworach mnóstwo ich od zupełnej zaguby uratowano. Nie odrazu jednak Naruszewicz osiedlił się w stolicy. Większej może cichości i swobody potrzebując, oddał się ciągle na ulubione sobie Polesie, i tam w domu szambelana Jezierskiego przebywał. Dopiero w roku 1779 na dłużej Warszawę zamieszkał.

(3). „Tu zdało się iż zakończył pismienny i polityczny swój zawód...” Cesarzowa Katarzyna gdy Naruszewicz złożył ję swoje dzieło o Tauryce, obdarzyła go krzyżem kosztownym i pierścieniem, a nadto przeznaczyła mu pensyą tysiąc dukatów rocznie wynoszącą. W końcu 1788 r. po śmierci Gabryela Wodzińskiego, został jeszcze biskupem smoleńskim, bez dyccezyi wprawdzie, ale zasiadł w senacie; nie zadługo potem otrzymał upragnione biskupstwo łuckie; przeniósł się do Janowa; zabrał ze sobą drogocenne materyały historyczne, które 360 grubych tomów przepisanych składały — lecz wszystko to napróżno — pisać już nie mógł, smutek mu pióro z ręki wytrącił.

IGNACY KRASICKI.

(ur. 1734, um 1801 r.)

Kiedy oświadczaną tyle razy przezemnie chęcią, ile możność skutkiem sprawdzaną, jest zebranie tu dla was, dzieci moje, niemal wszystkich imion godnych żyć wiecznie w pamięci Polaków, nie zdziwi zapewne nikogo to o Ignacym Krasickim wspomnienie. Prawda, że mówić o nim, wyliczać dzieła jego, chwalić je, zachęcać do ich czytania, jest to szczęściem zbyteczna praca. Każdy wie czem był, każdy płody jego dowcipu zna, uwielbia, ma u siebie; piękna *Pochwała* jego znana jest wszystkim *) i śmiało powiedzieć można, że nie ma pisarza w całej Polsce więcej upowszechnionego. Ale zamiar tego pisma, wymaga choć krótkiej i nawiasowej o Krasickim wzmianki, i nie chcę uchybiać pracy mojej, nie wspominając dłużej o jednym z najznakomitszych Polaków, dla tej próżnej miłości własnej, że mówiąc o nim, mało powiem takich rzeczy, któreby już powiedzianemi nie były.

Ignacy Krasicki ze starożytniej rodziny idący, urodził się w województwie Ruskiem r. 1734 **). We Lwowie odbył bieg nauk szkolnych, a najwięcej z powodu rzadkich rozumu zdolności, przeznaczony duchownemu stanowi, wysłany został do obcych krajów dla doskonalenia się w naukach do przyszłego powołania stosownych. Długi czas spędził we

*) Obacz mowę Franciszka Dmochowskiego w Rocznikach T. P. N. i na czele dzieł Krasickiego umieszczoną.

***) W zamku Dubieckim, z ojca Jana kasztelana chełmskiego i Anny Starzechowskiej. Był najstarszym synem w licznym rodzeństwie i od dzieciństwa matka przeznaczyła go do stanu duchownego.

Włoszech; tam smak przyrodzony wykształcił, tam umysł zdolny do objęcia wszystkiego co wielkie i piękne, klasykami arcydziełami napoił. Powróciwszy do ojczyzny, już w sukni duchownej, wszedł zaraz na wysokie stopnie. Pomagały mu w tém bez wątpienia znakomite imię i związki, ale więcéj własne zalety. Będąc kanonikiem przemyskim, obrany został z arcykapituły lwowskiej na trybunał Małopolski; prezydował téj magistraturze i tam miał sposobność poznania wszystkich obrotów prawniczych, które potem tak dowcipnie w *Przypadkach Doświadczyńskiego* opisał. Na tym urzędzie zjednał sobie sławę znajomości rzeczy, rozsądku, umiarkowania, trafności, bezinteresowności, owych to prawego sędziego przymiotów. Wkrótce potem ukazał się w stolicy. Odradzały się w niej wtedy nauki, pod przewództwem i opieką króla, ich przyjaciela; ożywione popędem ku nim, najpierwsze towarzystwa wdziękiem niepojętym jaśniały: każdy nowy geniusz chciwie był chwytny, a za jego zjawieniem się, wszyscy cieszyli się nadzieją rozszerzenia światła, jaką rokował.

Krasicki pełen dowcipu, trafności w postrzeżeniach swoich, pełen nauki i wrodzonych zdolności, wielkiego i rzadkiego poezyi daru, musiał być wnet oceniony. Piękna i ujmująca powierzchowność, ów przymiot mało bez innych ważniejszych znaczący, wiele gdy z niemi złączony, dopomógł mu także do prędkiej i powszechnéj wziętości. Wnet stał się duszą i rozkoszą najcelniejszych posiedzeń, ściągnął uwagę króla. Znający ludzi Stanisław August zapragnął pozyskać go dla siebie, zachęcać do pracy, przewidując jaki blask rzuci na jego panowanie. Przypuścił go do ścisłej z sobą zażyłości, wyrobił mu indygenat w prowincyi Prus zachodnich, dał kanonię warmińską, a wkrótce otrzymał koadyutoryę warmińskiego biskupstwa.

W tym czasie zaczął Krasicki z płodów pióra swego być znanym, pismo peryodyczne wtedy wychodzące.

Monitor, które osobliwie w pierwszych latach przyczyniało się wiele do oświecenia narodu i prostowania jego opinii, stało się składem początkowych prób jego. Cechuje każdą z nich ton lekki, wesóły, trafny i dowcipny; a choć bezimiennie podawane, łatwo czytający, w każdej prawdziwego autora odgadnie. Śmierć Grabowskiego biskupa warmińskiego w r. 1766, przyspieszyła Krasickiemu objęcie tegoż biskupstwa; godnym on był stanąć w szeregu sławnych i znacznych kapłanów, którzy tę katedrę zdobili, ale nieprzewidywał że ostatnim w niej będzie Polakiem. Na sejmie 1768 roku zasiadając jako biskup w senacie, dał dowody gruntownego zdania, szlachetnego czucia i przenikliwej rozumu bystrości, uświetnił się sławą obywatelskiej cnoty; później nie miał pory dobijania się o nią więcej w ten sposób. Przez podział kraju 1773 r., z Prusami zachodniemi przeszło biskupstwo warmińskie pod panowanie królów Pruskich; Krasicki nie mogąc już należeć do pełnienia chlubnych senatora obowiązków, zatopił się cały w naukach, i niemi stać się użytecznym ojczyźnie przedsięwziął. Dokołał tego zamiaru, a trafiając w potrzeby i smak narodu swego, utworzył swe nieśmiertelne prace, pokazał jak pisarz obywatelem być może; wiecznej dosłużył się sławy.

Zwykliśmy szacować dzieła z ich piękności i użytku; piękności dowodzi powszechne zamiłowanie, o użytku świadczą zbawienne skutki. Żadne dzieła téj dwoistej próby tak zupełnie jak Krasickiego wytrzymać nie są zdolne; żadne nie są tak czytane i lubione; znaleźćby można osoby, których one prawie całą bibliotekę stanowią, które skończywszy tom dziesiąty pism jego, z największym upodobaniem do pierwszego wracają; a wspólném wszystkich myślących ludzi świadectwem, wiersze i proza Krasickiego jak najdzielniej się przyłożyły do poprawy obyczajów, do wytepienia wielu przesądów, wad, śmieszności, nadużyć, tak w życiu prywatném jak w publiczném, tak w postępowaniu ludzi doj-

rzałych jak w trybie edukacji domowej i szkolnej, bo Krasicki był z małej liczby tych pisarzy, którzy chcą być narodowemi i są nimi. Nie dbał on o europejską sławę, ale mu szło jedynie o wziętość w kraju, o ulepszenie ziomków; ku temu wszystkie swoje dążności obrócił: kochał rodaków, znał ich, i o nich myśląc jedynie, dla nich wyłącznie pracował. Wszystkie jego piśmienne prace od czterowierszowej bajki do najdłuższego dzieła, tchną tą piękną żądzą; wszędzie, ta jedna i szlachetna myśl zasadnicza przebija najsilniej, przemawia w piśmie, które bez wątpienia ze wszystkich jest najużyteczniejsze i najbardziej narodowe: w *Panu Podstolim*. Może to zdanie jest mylne, ale kto wie czy doskonalsze w tym rodzaju dzieło ma język jaki? jest to Telemak ziemianów polskich; skuteczniejszy od tamtego, bo dla liczniejszej klasy pisany. Latem na biskupstwie warmińskim spędzonym, w liczbie blisko trzydziestu, winniśmy nieocenione Krasickiego prace; odłączony od ojczyzny, w nich szukał z nią stosunków, w nich je znajdował, i pracował z gorliwością i upodobaniem. Stworzony do pożycia z ludźmi, i dom swój otwierał chętnie odwiedzającym go, i sam niekiedy przejeżdżał się to do Warszawy, to do Berlina.

W tej nowożytniej stolicy, lubo jako Polak nie mógł miłości okazywać panującemu wówczas Fryderykowi Wielkiemu, oprzeć się jednak nie zdołał powabom zbliżenia się do króla, którego znakomite przymioty i geniusz cała wielbiła Europa. Fryderyk wielce go także cenił, uprzejmie na swoim przytrzymał dworze, a nawet co większa, nieraz prawdy z ust jego rad słuchał. Skutkiem szacunku dworu pruskiego dla Krasickiego, w r. 1795, mianowanym został arcybiskupem gnieźnieńskim; przybył więc na mieszkanie do tej ojczyzny, która już nawet nazwisko swoje straciła; a tak smutne znajdując w stolicy odmiany, nie chciał w niej przemieszkiwać, tylko osiadł w dobrach arcybiskupów gnieźnieńskich w Skierniewicach, w księstwie Łowickiem; tam bawił

się upiększaniem okolicy, zakładaniem ogrodu, tam dotąd są ślady jego kilkoletniego w tém miejscu mieszkania. Bo nie długo w niém gościł Krasicki; z powodu różnych jeszcze względem biskupstwa warmińskiego spraw zaległych, w początkach 1801 r. pojechał do Berlina, i tam po krótkiej słabości życia dokonał 14 marca. Ciało jego pochowaném zostało w jednym katolickim miasta tego kościele, pod opieką świętej Jadwigi będącym. Ztamąd właśnie (1828 roku) teraz kapituła Gnieźnieńska stara się je przenieść i uświęcić temi zwłokami arcy-biskupów swoich ostatnie mieszkanie. Pewien dobry Polak pierwszy podał tę myśl w pismach publicznych. „Należałoby się, mówił on, ażebyśmy jak Niemcy swemu Klopstokowi, w stuletnią rocznicę urodzin Krasickiego oddali jemu cześć powszechną i należną“ *).

Oby spełnić się mogło to życzenie! Takowy hołd oddany pamięci prawdziwie użytecznego pisarza, zachęciłby zapewne i innych do wstępowania w jego ślady; jeżeli nie z takim jak on miał geniuszem (bo ten rzadki jest), to przynajmniej w podobnych do jego chęciach.

Dzieła Krasickiego, choć tak powszechnie znane, należy tu wypisać; różnych ich wydań trudno by się doliczyć; najlepsze Dmochowskiego w 10 tomach następującej treści:

Tom I. Myszeis w 10 pieśniach.

Antymonachomachia w 6 pieśniach.

Wojna Chocimska w 12 pieśniach.

Pieśni Ossyana.

Tom II. Bajki i przypowieści.

Satyry.

Listy wierszem.

Wiersze różne we dwóch częściach.

*) Za staraniem księcia Antoniego Radziwiłła i arcybiskupa Wołlickiego, już w r. 1829 zwłoki Krasickiego przeniesiono do Gniezna.

Tom III. Wiadomość o rymotworstwie i rymotwórcach różnych narodów.

Tom IV. Pan Podstoli.

Tom V. Doświadczyńskiego przypadku.

Historya.

Listy o ogrodach.

Tom VI. Powieści i uwagi tak z obcych pisarzy jako téż oryginalne.

Tom VII. Rozmowy zmarłych, w części z Lucjana tłómaczone, w części na wzór tych i Fenelona oryginalnie napisane.

Tom VIII i IX. Tłómaczenie żywotów Plutarcha.

Tom X. Życia zacnych mężów na wzór Plutarcha.

Prócz tych dzieł mamy jeszcze w dwóch wielkich tomach *zbiór potrzebniejszych wiadomości* pióra jego, który dowodzi pracowitości i gorliwości autora. Krasicki napisał także kilka komedyi, jako to: *Łgarz*, *Solenizant*; wydał je pod nazwiskiem Michała Mowińskiego swego sekretarza, i jak powiadają, słusznie. Zabierał się także do wielkiej i użytecznej pracy. Wielbiciel Niesieckiego *) zowiąc jego herbarz szacownym zbiorem, niezmierną przysługą dla nauk i dziejów ojczystych, a znając przytem błędy, opuszczenia pracowitego kapłana, chciał koniecznie przygotować nowe wydanie *Korony polskiej* z poprawkami i dodatkami, czyli jak je zawczasu nazywał *prze czyszczone*. Dla dokonania tego zamiaru, jeszcze w r. 1768 cztery księgi Niesieckiego na ośm równie wielkich przeistoczono zostały, bo drugie tyle białego papieru na dopisy wkleić w nie kazał Krasicki; zapełniał go pomału własną ręką, kiedy śmierć przed końcem wytrąciła pióro. Ten szacowny zabytek znajduje się teraz

*) Kasper Niesiecki Jezuita, znany autor najlepszego Herbarza polskiego, umarł r. 1743.

w bibliotece akademii krakowskiej, zacny jój bibliotekarz raczył udzielić mi kilku wyjątków; są to po części suche i niezabawne genealogie, jednak je umieszczam, bo każda litera tak wielkiego pisarza drogą jest i godną być znaną.

Kilka dopisów Krasickiego do Herbarza Niesieckiego.

Tom I. k. 52. Niesiecki. „Batory, herbu trzy zęby. O tych mówić się indziej będzie o familiach królów wszystkich, którzy polską koroną władnęli.“ *Krasicki.* O Batorych nie uścił się Niesiecki, śmiercią podobno uprzedzony, gdyż osobnej księgi o familiach królewskich nie wydał. Bathor, albo Bathory herbu trzy wилcze zęby, familia zacna w Siedmiogrodzkiej ziemi, dwie miała dzielnice. Jedni pisali się inaczej, drudzy de Somlio; z tych był Stefan, książę Siedmiogrodzki, po ustąpieniu Henryka Walezyusza królem polskim obrany, r. 1575 dnia 15 grudnia koronowany; monarcha wielki tak w rządach jako i w wojnie. Umarł w Grodnie r. 1586. Od braci tego monarchy szli Zygmunt i Jędrzej i córka Gryzelda, ta wkrótce po koronacyi stryja swego wydana za Jana Zamoyskiego; niedługo z nim żyjąc bezpotomnie zesza. Okoliczności jój nader wspaniałego wesela obszernie Gwagnin i inni autorowie wypisali. Jędrzej, kardynał biskup warmiński, koadjutorem od Marcina Kromera uczyniony, po jego śmierci r. 1589 rządy biskupstwa warmińskiego objął. Po śmierci stryja wsparty szwagra Zamoyskiego pomocą, używał spokojnie korzyści dobrego i ze wszech miar pożądanego stanu, aż do r. 1599, w którym Zygmunt Batory, brat jego stryjeczny Państwa mu i rządów ustąpił; natychmiast przybył do ojczyzny swojej i spokojnie od poddanych przyjęty, wkrótce doznał przywar wysokiego stanu. Usidlony wielorakimi domu pewnego podstępny, zdradzony

od swoich, gdy ostatniego ratunku w obronie mężnój szuka, od zbyt mocnego adwersarza pokonany, w ucieczce zabity, w samym kwiecie młodości poległ, tegoż samego roku którego rządy Siedmiogrodzkie objął. Zygmunt Batory książę Siedmiogrodzki, synowiec Stefana króla, pojął był za żonę arcy-księżniczkę Austryacką; tém spowinowaceniem wsparty mniemał, iż los swój przyszły ubezpieczył. Wkrótce jednak poznał omyłność nadziei swoich, żonę albowiem rozwodem postradał i przyciśniony nieszczęściem, z państwa się wyzuc musiał. Po śmierci Jędrzeja kardynała, objął powtóre rządy Siedmiogrodzkie, ale zwyciężony od cesarza r. 1602, gdy znowu z pomocą jego do przyszłej godności już jako Austryacki holdownik powrócić chce, od partyzantów Betleema Gabor, gdy wejsko lustruje, zabity r. 1613. Nadgrobek kardynała Batorego i Zygmunta w Wartemburskim kościele Bernardynów.“

Tom I. k. 58. Niesiecki według swego zwyczaju po nazwisku *Bazylik* tak się wyraża: „O tych ani Paprocki ani Okolski *) nie pisał.“ Krasicki zaś to nakreślił: „Po co też Niesiecki jakby przysłowie sobie obrał, te tysiąc razy powtarzane słowa: „O tych ani Paprocki ani Okolski nie pisał.“ Natóg ten wniósł i na szlachtę, po wieku tych pisarzów uczynioną. Rzecz śmiechu nie animadwersyi godna, iż o tych nie mogli pisać, ci którzy przed ich przypuszczeniem do indygenatu lub nobilitacyi umarli.“

Tom I. k. 81. Białochowscy. Białochowscy w Prusiech, według manuskryptu familij tamtejszych w bibliotece Heilbergskiej są herbu Cholewa. Cytowany jest tam przywilej Aleksandra króla, warujący Pawła Bełchowskiego od wszelkich impetycyi urzędników królewskich; data przywileju 1504 r w Gdańsku. Wyżej jeszcze położony przywilej na-

*) Paprocki i Okolski dawniejsi od Niesickiego herbarzów pisarze.

dania Białachowa od W. Mistrza Krzyżackiego, Pawła von Schillingsdorf, w Malborgu 1424.

Tom I. k. 237. Cellari herbu Sulma, według Niesieckiego ma być z rodziny Vicekomesów; Krasicki zaś tak napisał: Gdyby Cellari z rodziny Vicekomesów Medyolańskich pochodził, nie pieczętowałby się Sulmą ale wężem. Ten jest albowiem herb Vicekomesów albo Visconti, którzy przez niejaki czas byli panami Medyolanu i dotąd ta zacna familia jeszcze we Włoszech kwitnie. Z niej był ostatni nuncyusz w Polsce, teraz kardynał, Eugeniusz Antoni Visconti, od którego, roku 1766 byłem w Warszawie konsekrowany na biskupstwo Warmińskie, w dzień Młodzianków, w kaplicy u Teatynów w przytomności króla Stanisława.“

GRZEGORZ PIRAMOWICZ.

Znaném jest powszechnie imię Grzegorza Piramowicza. Stanisław Potocki w kwiecistej i tyle głośniej pochwale jego, wyczerpał zdaje się do szczytu to wszystko, co ku sławie tego znakomitego męża powiedzieć było można. Nie w chępliwym więc i niepodobnym zamiarze dodania mu blasku, ale dla bliższego obeznania z nim dzieci, dla zachęcenia do czytania szacownych a mało znanych dzieł jego, a może dla wydania na jaw snujących się myśli, kreślę dziś to wspomnienie. Już bowiem nieraz nastęczała mi się ta uwaga, i sądzę, że jej wynurzenia nikt mi za złe nie poczyta, że my z bogactw literatury naszej dosyć korzystać nie umiemy; zwłaszcza w edukacji płci żeńskiej. Są w języku ojczystym różne dzieła naukowe, dawne, późniejsze, tegoczesne, któreby matkom niezmiernie przydatne być mogły; ale nie wchodzą wcale w liczbę ksiąg edukacyjnych.

W pokojach przeznaczonych do nauki dzieci klasy oświe-
ceńszėj, zakryte są stoły i pułki obcemi dziełami, które
choć dobre, nie mogą przecież nigdy tak być skuteczne, bo
nie dla nas, nie w naszej mowie pisane, a te, co ludzie
uczeni i życzliwi umyślnie dla Polaków ułożyli, butwieją
po księgarniach, i zaledwie z tytułu są znane. Może się
mylę, i bodajbym się myliła, ale podobno ze stu młodych
panienek, których z ksiąg francuzkich wymowy uczą, i je-
dnej nie znajdzie, któraby znała dokładnie dzieło o *wymo-
wie* Grzegorza Piramowicza. Toż samo z żalem i wstydem
o innych temu podobnych twierdzićby można. Zgaduję, że
na ten zarzut nie jedna matka zawoła: „Nie wiedziałam
o tój książce, nie znam pism takowych w polskim języku;
francuzkie są głośne, uczyłam się z nich sama, i dzieci
z nich ucze.“ Prawda, ta niewiadomość, chociaż może na-
ganna, (bo dopókiżto obcych lepiej znać będziemy od
swoich), cokolwiek uniewinnić zdoła. Nie każda matka ma
czas i sposobność wynajdywania książek dla swych dzieci,
łatwiej wziąć te co są w domu, albo których wziętość po-
wszechna.

Dla usunięcia zupełnego tych wymówek, życzyłyby
prawdziwie należało, ażeby kilka świątłych i dobrze my-
ślących osób, podało sobie ręce, a pod skromném godłem
przyjaciół matek, przedsięwzięło pracę zebrania i przejrze-
nia wszystkich dzieł do edukacyi domowėj pomocnych, ja-
kie w języku naszym kiedykolwiek napisane były; żeby
uczyniły z nich wybór, ułożyły *kurs* zupełny nauki i czy-
tania dla młodzi uczącėj się po domach, i do powszechnėj
podały go wiadomości. Odkryłyby się w literaturze naszej
skarby wielkie; okazałyby się bez wątpienia, że nam nie
tyle nowych dzieł do edukacyi pomocnych stwarzać trzeba,
jak raczėj odgrzebywać, uzupełniać dawne. Byłyby to zape-
wne mozoł nie mały, lecz uwieńczyły go pomyślny skutek
i zdaje mi się, że dopóki takowa ogólna i stanowcza praca

przedsięwziętą i dokonaną nie zostanie, dopóty szczegółowe usiłowania mało znaczyć będą; matkom nigdy na wymówkach nie braknie, bo nigdy w ojczystém źródle łatwój i dostatecznej pomocy czerpać nie potrafią.

Jakazby to dla mnie była pociecha, gdyby te chęci w skutek zamienić się mogły! gdyby ta myśl nawiasem rzucana, trafiła jakim przypadkiem do możniejszych i zdatniejszych! gdyby rozwinąwszy ją jakby należało, rozdali tę pracę pomiędzy troskliwych o wychowanie dzieci, i mnie jaki skromny udział mieć w niej pozwolili... Jeśli kiedy ziści się ten zamiar, którego użytek każda światła matka mi przyzna, Piramowiczowi po części przypisać go wypadnie; naprzód dzieła jego ważne co do rzeczy, choć nie obszerne, znakomiteby miejsce w tym kursie zajęły; powtóre, pilna rozważa życia i pism jego tę myśl zrodziła, dodała odwagi do jęj wynurzenia. Jest w pięknych przykładach jakaś zba wienna zazdrość; zgłębiając czyny, zamiary, chęci człowieka dla dobra drugich żyjącego, powstaje w nas odpowiednie sercu jego uczucie, wzbudza się pragnienie naśladowania go ile możności, dopełnienia tego co on rozpoczął, zamyślił, stania się podobnie jak on użytecznym. Ludzie cnotliwi podwójnem życiem na tój ziemi żyją, żyją krótko ale dzielnie, w dobrém które sami przez siebie bezpośrednio czynią; żyją wieki w dobrém, do którego zachęcą, pobudzą. Równie silne lubo zupełnie przeciwne skutki, życie występnych, złośliwych pociąga. O! jakimżeby to przekonanie bodźcem dla cnoty, hamulcem dla występku być powinno!... Ale czas mówić o życiu Piramowicza.

Grzegorz Piramowicz urodził się we Lwowie 1735 r., z rodziców uczciwych, stanu kupieckiego, w licznej rodzinie. Uposażony najdroższymi darami, szczęśliwem z przyrodzenia usposobieniem i dobrym w domu przykładem, w pierwszej młodości oddany został do szkół jezuickich. Rozwinęły się tam pomyślnie wrodzone i nabyte jego przymioty, rozwi-

nęła się wcześniej chęć gorliwa poświęcenia całego życia prawdziwemu dobru ludzkości, rzetelnej usłudze współbraci. Ta chęć szlachetna skłoniła go najwięcej do wyrzeczenia świętych i wiecznych ślubów. Przywdział suknię zakonną, jedynie w celu służenia najstosowniej do zdolności swoich, Bogu i ludziom: „Bogu pobożnością, ludziom staraniem o ich szczęście, które się nadewszystko na dobrém wychowaniu gruntuje.“ Każdy dzień jego, wszystkie prace i zabiegi ku temu celowi dążyły, od uroczej młodości do ciemnych progów grobowych. Starsi zakonu ocenili wkrótce znakomite jego usposobienie do udzielania światła, do kierowania umysłem młodzieży; poznali się na niezwykajnych jego przymiotach, którym przewodził rzadki a tak drogi rozsądek: pozwolili mu przebiez szybko szkolne stopnie i wyższych nauk być nauczycielem. Szczególny i pełen przyjemnej wesołości dowcip, wrodzona układność, ujmująca grzeczność, sładycz w obcowaniu, nie uszły także ich oka. Chcieli i przed światem nim się pochlubić; musiał więc dogadzając ich żądaniom, uczęszczać do towarzystw Lwowa, a wnet tak w najpierwszych polubionym, wrywanym został, że nieraz nocę poświęcał pracy, aby odzyskać czas, na miłej zabawie spędzony. Bo jak wszyscy ludzie, którzy chcą drugich nauczać skutecznie, uczył się sam z pilnością i ciągle; uczył się zwłaszcza z dawnych klassycznych pisarzy, których w własnej ich mowie czytał i rozbierał. Długo pomimo częstiej i korzystnej ku temu sposobności, unikał ciężaru domowej edukacji, wolał przykładać się do publicznej; ale nareszcie uległ prośbom tkliwej matki, naleganiu starszych, wreszcie chęci zwiedzenia obcych krajów i poznania ziemi uwielbianych od siebie łacińskich pisarzy, których cienie we własnych grobach już nad sobą własnego języka nie słyszą!...

Podjął się przewodniczyć trzem braciom Potockim, w ich podróży za granicę. Bawił z nimi we Francyi i we Włoszech lat kilka, przypatrując się wszędzie więcej jeszcze

ludziom, aniżeli rzeczom, powiększając ciągle zapas cnót i wiadomości, zyskując najlepsze imię. W stolicy niegdyś świata, tyle zjednał sobie szacunku, tak o gruntownej nauce, o sobie właściwym trybie jęj udzielania przekonał, że go towarzysze zakonni za mistrza teologii moralnej obrali. I tak, z różnych oświeceńszych krain synowie, słuchali z uwielbieniem i korzyścią, wśród starożytnego Rzymu, słów pełnych mądrości i wymowy mieszkańca północy. Tyle zaszczytny pobyt Piramowicza w tém mieście ozdobiła jeszcze przyjaźń; tam on zawarł tkliwe jęj związki z pełnym sławy i cnót obywatelskich Ignacym Potockim. Piętnaście lat różnicy było między nimi; nikła ona przy jednakich uczuciach, przy równej dobrego chęci. Zabawiwszy lat kilka w Rzymie, Piramowicz wrócił do ojczyzny, i we Lwowie nie tylko uczeniu młodzi, ale i wysokiemu powołaniu kaznodziei się oddał. Posiadał on rzadki dar wymowy, celował szczególnie nadobną prostotą i wielką jasnością; a co dla słuchających go było wielką korzyścią, ale dla nas stratą, mówił zwykle bez przygotowania, znaczniesze tylko punkta naznaczywszy sobie. Wzrastała codzień sława jego, liczba życzliwych i najznakomitszych wielbicieli, z nimi słodycze i przyjemności życia, kiedy to wszystko dla pielęgnowania przyjaciela porzucił. Opat Rzewuski, ciężką chorobą dotknięty i wyprawiony przez lekarzy za granicę, nie miał nikogo, któryby mu staraniem i czułością niedolę jego osładzał; zawsze dla drugich żyjący Piramowicz, podjął się dobrowolnie wyświadczenia mu téj przysługi: przez długi czas pielęgnował go jak brata, sam na siłach szkodując; a nie otrzymał pociechy oglądania owocu tak przykrych starań, powrotu przyjaciela do zdrowia i życia. Oddawszy mu ostatnią posługę w obcym kraju, wrócił sam do własnego, w 1772 r.

Wkrótce przez zniesienie zakonu Jezuitów został jak tyłu innych towarzyszków bez sposobu, bez przytułku, tém zupełniej, iż ojciec jego ulegając zbytecznie pięknym skłon-

nościom ludzkości i gościnności, znacznie był nadwreżył dzieci majątek. Lecz kiedyż nędza dotknąć zdoła pracowitą cnotę? Kto opuszczonym nazwać się może, komu jeden prawdziwy zostanie przyjaciel? Do tyle razy stwierdzaną tę prawdę, przykład Piramowicza jeszcze jeden dowód przydaje; nie opuścił rąk, pracował, a wnet wdzięczność, szacunek i przyjaźń godną jego wynalazły mu posadę. Ignacy Potocki, równie dobry pan jak obywatel, szczęśliwy iż udzieli włościanom swoim najdroższego dla nich daru, dobrego pasterza, ofiarował mu plebanię Kurowską w Lubelskiem, w miasteczku, w sąsiedztwie którego sam mieszkał; zajął się wystawieniem domku, założeniem ogrodu, zebraniem wszystkiego co do wygod i przyjemności życia posłużyć może, z tą skrzętną troskliwością, z tém pilnym staraniem, z jakimi dla przyjaciela pracuje przyjaciel. Piramowicz przyjął wdzięcznie ten dar przyjaźni, tę sposobność czynienia dobrze; i tu nasuwa się pora kreślenia jakby idealnego obrazu, tyle ta część życia jego ma zalet i wdzięku.

Przebiegając myślą rozmaite członków społeczności ludzkiej stopnie i posady, trudno podobno upatrzeć przyjemniejszego widoku nad ludu wiejskiego pasterza. Mało w którym położeniu tyle istotnego, tyle bez pomocy innych, dobra dla bliźnich uczynić można; to powołanie jest jedno z najużyteczniejszych, osobliwie w kraju naszym, gdzie cała oświata przynajmniej dwudziestu części ludności na sumieniu plebanów spoczywa; gdzie każdy może i obowiązany, przed kilkuset bracią, drugie życie nierównie od pierwszego ważniejsze, życie moralne, otworzyć. Czuł Piramowicz całą ważność tego powołania, oceniał jego prawdziwe i obszerne korzyści, znał odpowiedzialność, i stał się wzorem polskich plebanów. Dowodziły tego wymownie, dobre obyczaje i światło parafian jego, którzy po kilku léciech pielęgnowania już się od innych odznaczać zaczęli; dowodzi także następujące acz drobne na pozór zdarzenie. Kiedy

już od dosyć znacznego czasu cieszyła się liczna parafia Kurowa pasterzem swoim, kiedy sposób w jakim spełniał powołanie głośnym być zaczął, młody jeden wierszopis przetłumaczył z angielskiego autora Goldsmitha, obraz *dobrego Plebana*. Wiele osób płci obojój z różnych stron przesało Piramowiczowi ten obraz jemu się należący, bo tak do niego podobny, że z niego zdjęty się zdawał. W téj myśli zamiast silenia się na wydanie cnót plebana kurowskiego i ja ten wiersz tu przytoczę, tém chętniej, iż tłumacz jego blisko serce moje dotyka.

Tam mieszkał samój cnocie pleban poświęcony,
 Od złych ludzi szanowan, od dobrych wielbiony.
 Obfitemi w przygody skarbami nie władał,
 Gdy mógł karmić ubóstwo, dość bogactw posiadał:
 To było serca jego jedyne żądanie,
 Mogła mu zdatność świetne dać urzędowanie;
 Ale dumie żarliwość potrafiła sprostać,
 Wolał słabój owczarni wiernym stróżem zostać,
 Która im mniejszych zysków nadzieję czyniła,
 Tém ją bardziej szacował, tém mu droższą była.

Dom jego był schronieniem dla cierpiącej nędzy,
 Dla niej drzwi nie zamykał, nie szczędził pieniędzy;
 Komu źródłem nieszczęścia było przewinienie,
 Temu zdrożność naganit, lecz dał pożywienie.
 Starzec, uboga wdowa i słaba sierota,
 Otwarte do ratunku znajdowali wrota.
 Opuszczone od kraju nieszczęsne kaleki,
 Doznawali żołnierze w tym domu opieki;
 Mogli śmiało wyliczać wojen przeszłych znoje,
 I w dowód męstwa blizny okazywać swoje:
 Powolne ucho długo słuchało powieści,
 A oko łzy ronit z uczucia boleści.

Takie miał *dobry pasterz* dla przychodniów względy
 Wzruszony ich żalami nie zważał na błędy;
 Owszem błogi wymówek cień rzucając na nie,
 Świadczył nie z miłosierdzia, lecz przez przywiązanie.
 Dusza ta ludzka również w pobożności stała,
 Na los życia drugiego z pilnością czuwała.

Jako na schyłku wiosny troskliwa ptaszyna,
 Gdy piskłęta do lotu ośmielać poczyna,
 To rzuca gniazdo, biega, znane waby głosi,
 To się oddala, wraca, na skrzydłach unosi;
 Aż nakoniec w powietrzne wzbiwszy się przestwory
 Z odwagą im usuwa tymczasne podpory:
 Tak ów pleban cnotliwy, prawicą starowną,
 Prowadził lud oddany w opiekę duchowną.
 Wiadomy z doświadczenia, w jak błędne bezdroże,
 Zapęd kroku pierwszego młodzież unieść może;
 Łatwo pojętném słowem i swemi przykłady,
 Wskazywał ścieżkę pewną, sam jój deptał ślady.

Patrzyłem, jak się z śmiercią obecną ucierał,
 Jak siły wątłejące czułą ręką wspierał;
 Jak koit zbytńie trwogi bojaźliwój cnoty,
 Jak cieszył samój zbrodni zapóźne zgrzyzoty;
 Jak wyrzutów nie drażniąc pamięcią na karę,
 Umiał krzepić nadzieją serc skruszonych wiarę.

„Nie straszyl gniewnym Panem, mówił o łaskawym,
 Kreślił Boga, jakiego nosił w sercu prawym“ *).
 Każda boleść bliźniego łyzy mu wycisnęła,
 Własna zaś choć największa, nigdy nie dotknęła.
 Terazniejszości marą oko nie uspióne,
 Przyszłego bytu szczęściem miał wypogodzone;
 Podobny owój górze wyższej nad obłoki,
 Której, gdy czarną burzą spustoszałe boki,
 Okrywa wszczęta między żywiołami wojna,
 Na jój wierzchołku światłość jaśnieje spokojna...

Skromność Piramowicza nie dozwoliła mu w tak pięknym obrazie własnego dostrzedz podobieństwa, zebrał więc nadesłane mu wypisy i schował razem, napisawszy na wierzchu: *Przyjaciół grzeczna przestroga.*

Obok wszystkich słodczy i czystych rozkoszy, jakiemi czynny i użyteczny sposób życia dzień każdy napełnia, obok

*) Księżna Czartoryska na kamieniu poświęconym pamiętce *Piramowicza*, w Puławskim ogrodzie, te dwa wiersze wyryć kazała.

wdzięku rodzinnych uczuć, bo sędziwą matkę, młodszego brata Stanisława i kilku siostrzeńców i bratanków miał Piramowicz przy sobie; obok niewyczerpanych przyjemności nauki i przyjaźni, używał jeszcze powabów i korzyści dobranego i życzliwego sobie towarzystwa. Sąsiadował Kurów z mieszkaniem wiejskimi zacnych i znakomitych panów, od wszystkich znany i ceniony, wszędzie był pożądanym Piramowicz, zwłaszcza w nadobnych Puławach, owym dziecinnym cnot i nauk opiekunów siedlisku. Taki spełniając użyteczny i miły zawód, Piramowicz przerwał go jednak, ujrzał porę stania się jeszcze większej liczbie braci użytecznym, a on zawsze chwycił skwapliwie podobną sposobność.

Pamiętne będą na zawsze ostatnie lata panowania Stanisława Augusta, kiedy wszystko co w Polsce prawdziwie znakomitego urodzeniem, talentem, nauką i cnotą złączyło się silnym ogniwem miłości dobrego, chcąc nowym, prawdziwym bo moralnym życiem, wzmocnić omdlewającą ojczyznę. Wtenczas to obok innych szlachetnych usiłowań, Polska dała z siebie Europie pierwszy i wielki przykład, ustanowienia Magistratury nad wychowaniem publicznym przełożonej, powierzenia światłym urzędnikom i prawym obywatelom młodzież wzrastającą, ową najdroższą częśćkę narodu, ów zakład przyszłego szczęścia. Ustawy ówczesnej Komissyi edukacyjnej, zdaniem bezstronnych znawców, noszą rzadką cechę gieniuszu złączonego z rozsądkiem; oddały im cześć obce nawet kraje i naśladowały te urządzenia w swoich zakładach. Sława ta jest tém zaszczytniejsza, że ta Magistratura, będąc pierwszą w swoim rodzaju, nie znalazła nigdzie wzorów; wszystko sama stwarzać i układać musiała. Piramowicz jednomyślnie sekretarzem jej mianowanym został, i nie mógł być wybór szczęśliwszy; wszystkie zamysły, układy, postanowienia przez jego przechodziły ręce, wszystkie rozsądkiem swoim roztrząsał; on w corocznej

mowie zdawał królowi sprawę z czynności Komissyi; w jego mieszkaniu odprawiały się częste posiedzenia towarzystwa do ksiąg elementarnych, téj tak ważnej w edukacyi gałęzi; on napisał dzieł kilka według planu tego towarzystwa; zgoła jak mówi Stanisław Potocki, a słowa jego stwierdza głos powszechny: „Piramowicz tak dzielnie i skutecznie od początku do końca, do téj nieśmiertelnej pracy należał, że trudy jego część jój wielką składają i wszędzie imię jego towarzyszy wdzięczności i sławie, którą jój Polska winna.“

Dla tych zatrudnień tyle ważnych, dobro ogółu mających na celu, nie zaniedbywał Piramowicz małej trzodki, którą dawniej szczególniej jego pieczy oddała Opatrzność; za której moralność miał kiedyś odpowiedzieć przed Najwyższym Sędzią. Wielką on miał od młodości dla ludzi niskiej klasy miłość; ubolewał nad ich nędzą i ciemnotą w kraju naszym; nie więc dziwnego że nie tracił nigdy z oczu chęci, aby przynajmniej garstka mieszczan i włościan jemu powierzona szczęśliwszą od reszty była. Chęć godna cnotliwego serca i chrześcijańskiego pasterza! Gdyby kiedy powszechną została, znikłaby wnet z pośrodku ludu naszego ciemnota i nędza. Dojeżdżał więc Piramowicz ile mógł najczęściej do Kurowa, gdzie w niebytności jego zastępował go brat Stanisław, którego wcześniej na przyszłego następcę swego przeznaczał. Tam przyjechawszy oddawał się cały parafianom swoim, godziny trawił w szkółce przez siebie założonej, radził, uczył, napominał, cieszył; a w dnie świąteczne, wymowy, która stolicę dziwiła, z równą gorliwością używał na utwierdzeniu w dobrem kilku prostych kmiotków, ale których on za przykładem Mistrza swego za takich samych ludzi, jak są niemi panowie i książęta uważał. Nadbiegła niestety! pora, kiedy zupełnie tym prostym mógł się oddać kmiotkom. Nadszedł rok 1795, wrócił Piramowicz do Kurowa. W tém smutném całego okrętu rozbiciu, podobny temu, który w powszechnej zagubie rad iż choć drobny sprzę

wyratować potrafi, pocieszał się jedynie szczęściem, które na swych parafian rozlewał. Tak to dla użytecznej cnoty, w najsmutniejszym stanie źródło pociechy jeszcze wytryska. Ale wkrótce zdrowie jego znacznie szwankować zaczęło, osłabiły je najwięcej drogiego przyjaciela Ignacego Potockiego nieszczęścia, który żonę i ukochaną córkę utracił; zawitała do niego ta najprzykrzejsza ze wszystkich dolegliwości wieku, słabość oczu. Jednak pełny pobożnego rozsądku, stałością mężką i pokojem duszy silny, umiał pomimo nieszczęść publicznych i przyjaciela, pomimo własnych dolegliwości, zachować przyjemny a często wesoły humor i dowcip; umiał radzić sobie w kalectwie swoim. Tak na przykład, brał ze szkółki parafialnej zdatniejszych chłopczyków i kształcił ich sobie na czytelników; taki dar nau czania posiadał, że w trzech miesiącach potrafił wprawić każdego z nich w dobre czytanie w obcym, a nawet niezrozumiałym języku, tego używając sposobu, iż nie od razu poprawiał ich błędy, ale jeden wykorzeniwszy przechodził do drugiego. Pisywał zaś najczęściej sam, lecz miewał wtedy przy sobie jednego z wychowanków; ten go ostrzegał kiedy skrzywił linią, albo kiedy chciał z papieru na stół zjeżdżać. Przy wesołym jego umyśle i niewyczerpanym dowcipie, ta straż zamiast mu być przykrą, do wielu żartów i słów graszek była mu powodem.

Już do sędziwego przyszedł wieku, kiedy książę Czar-toryski ofiarował mu wakujące probostwo międzyrzeckie, która wtenczas 30,000 zł. dochodu czyniło. Przykro było zapewne Piramowiczowi opuszczać Kurów, parafian do których przywykł jak ojciec do dzieci, bliskiego przyjaciela i innych miłych sobie osób sąsiedztwo; ale miał liczne ro-dzeństwo, które prawie całe na nim polegało, wreszcie kurowska parafia już urządzoną była, oddawał ją bratu *),

*) Stanisław Piramowicz 13 lat był po bracie plebanem w Kuro-wie, umarł 1814 roku.

w międzyrzeckiej zaś obszerne było pole do czynienia dobrze. Przyjął zatem posadę sobie ofiarowaną; ale nie cieszył się nim długo Międzyrzec. Właśnie już się brał do zakładania szkółek, już wystawiać zaczął wielki szpital dla włościan klucza tego, kiedy nadszedł niespodzianie ostatni dzień jego życia, 29 grudnia, 1801 roku. W godzinie porannej, wróciwszy właśnie z kościoła, gdzie mszę był odprawił, pił kawę siedząc przy stoliku; wtém, w oka mgnieniu apopleksyą tknięty, padł i umarł. Ciało jego, jak zawsze tego żądał, przewiezione do Kurowa zostało; a tam ręka Ignacego i Stanisława Potockich wzniosła mu grobowiec nie jedną łzą skropiony; bo któż cnotliwych i użytecznych ludzi nie płacze *).

Piramowicz był kształtu nieforemnego; bardzo niskiego wzrostu, głowę miał ogromną, ale rysy twarzy jego lubo grube, tyle wyrażały otwartości, słodyczy i dowcipu, że nie wydawał się szpetnym. Wiadomości jego były obszerne i gruntowne; w duchownych i świeckich umiejętnościach biegły, napojony mową i literaturą dawnych, świadomy kilku żyjących języków, nigdy się z nauką swoją nie popisował: używał jęj tam jedynie, gdzie była potrzebna. W roz-

*) Jest jeden szczegół o dniu śmierci Piramowicza, który tu z pełną nieśmiałością przywodzę, chociaż powszechnie jest znany. Ignacy Potocki i Piramowicz zawsze najtkliwszą przyjaźnią związani, dali sobie słowo, że gdyby jeden bez drugiego umierał, da o tém znać przyjacielowi, jakim miłym, nie trwożącym sposobem. Dnia 29 Grudnia 1801 roku, w godzinie porannej Ignacy Potocki siedział sam w swoim gabinecie w Klementowie i czytał. Wtém, w okno zaczął stukać dziobkiem ptaszek szczególny i śliczny: latał, dziobał długo, zdawało się że chciał być dostać się do pokoju. Zdziwiony Potocki, już miał okno otwierać, kiedy ptaszek zniknął; przejęty nagłym wrażeniem, przypomniał sobie w téj chwili uczynioną z Piramowiczem umowę, złąkł się i posłał umyślnego do Międzyrzeca. Ten wrócił nazajutrz z doniesieniem, że tego dnia, o téj godzinie, skonał Piramowicz.

mowie z równymi sobie był bez żadnej przesady, bez ubiegania się za rozumem w naukach niższym dawanych, prosty, łagodny, jasny; wszędzie i zawsze nauczający i miły, i o nim to powiedziano: że rozsądne rzeczy dowcipnie wyraża. Słowa jego, zdania i odpowiedzi, powtarzane były z ulubieniem przez towarzystwa które uprzyjemniał; dotąd wspominają o nich; ale już ćwierć wieku minęło jak umarł, z trudnością więc mi przyszło choć kilka drobnych anegdot od pozostałych przyjaciół jego zbierać. We Francyi jużby dawno była wyszła *Piramoviana*, lecz Polacy dowcipu czy nie chciwi czy nie głodni, czy téż po prostu niepracowici, takich dzieł nie mają, chociaż treść do nich znaleźćby łatwo, zwłaszcza gdyby w czas do ich kreślenia się brano. Bo dowcip jest ulotny, chwycić go zaraz trzeba, inaczej wietrzeje *).

Oto ten zbiór mały.

Jedna dama zapraszała często Piramowicza na obiad; ale u niej obiad choć bardzo przyjemny i smaczny, bywał późno i nie o jednej godzinie. Piramowicz nie lubił tego i zawsze się wymawiał. „Przyjdźże jutro koniecznie, powiedziała mu dnia jednego, już niezawodnie obiad będzie o drugiej.“ *A o której drugiej?* spytał się.

Lubiący jeść wiele i dobrze, utrzymywał że mu to nie szkodzi, i śmiał się nawet ze zbyt ostrożnych. Tak raz ktoś u stołu prosił kamerdynera, żeby mu z półmiska pieczystego wybrał najzdrowszy kawałek, a ten wskazał mu najgorszy. Piramowicz widząc to powiedział: „Ja zaś proszę bardzo o wszystkie niezdrowe kawałki.“

*) Gdyby kto np. z bliżej znających zmarłego w roku 1826, Wojewodę Ministra Sprawiedliwości, tak znanego z dowcipu zebrał za świeżej pamięci zdania, słowa i odpowiedzi jego, moglibyśmy mieć bardzo przyjemne dziełko pod tytułem: *Badeniana*.

Nieraz mawiał: „Z dziwnych téż to rzeczy człowiekowi cieszyć się każą. Miałem katar nieznośny; wieszano mi że mnie od wielu chorób uwolni; dostałem febry, upewniano mnie że nabędę mocnego zdrowia; nakoniec choruję na pedogre; obiecują mi długie życie. Ale to takie lekarstwa gorsze od choroby, a takie pociechy dokuczliwsze od samego złego.“

Mawiał także: „Obawiam się niezmiernie *wielkiego szczęścia*, bo jak mi się raz stodoła ze zbożem spaliła, mówili wszyscy: *Wielkie szczęście!* mógł cały folwark zgorzść.“

Kiedy kto zaczął rozprawić nie bardzo do rzeczy, miał zwyczaj przerywać, mówiąc: „*Proszę o logikę.*“

Ktoś co kłamać lubił opowiadał mu nadzwyczajną nowinę, zupełnie do prawdy niepodobną. Nikt wierzyć mu nie chciał: „Czytałem to na moje oczy!“ powiedział opowiadający. „Założ się ze mną żeś nie czytał?“ odezwał się Piramowicz, i kłamca zawstydzony ręki dać nie chciał.

W znakomitym domu, gdy dano znać do stołu, kilka z pierwszych osób stanęło we drzwiach a zajmwszy się rozmową, nikomu przejścia nie dozwalały. Piramowicz wzniosłszy oczy i ręce w górę, wykrzyknął uroczyście: „O, drzwi! wy niegdyś byłyście do przechodu.“

W młodości ładne wierszyki pisywał, i z wielką łatwością a ponieważ był dobry i uczynny, naprzykrzano mu się często o poezye na imieniny, urodziny, lub inną jaką okoliczność; raz przyszedł do niego młodzieniec i prosił o wiersze. „A na kiedy? spytał się Piramowicz.“ „Na jutro.“ „O mój paniczu, tak nagle obstalunku podjąć się nie mogę.“ „Dla czego?“ „Pierwszy czeladnik mi zachorował.“ Któż taki? „Koncept.“ I od tego dnia przestał wiersze pisać.

Zajęty klaszą niższą i pragnący jój szczęścia, ile tylko miłość bliźniego dozwalała, tyle żydów nie lubił. Kiedy widział żyda w karczmie wiejskiej lub w miasteczku, mówił z żalem: „Gdyby nie on, siedziałby tu poczciwy kmiotek

albo pracowity rzemieślnik; on miejsce im zabiera, ich chleb im wydziera.“ Gniewał się na niebacznych ojców naszych, którzy żydom przywileje nadali, gniewał się i na pieniądze, które nazywał *bronią żydowską*.

Jedną z miłych zabaw jego, było siedzieć przy kominku i wpatrywać się w ogień; kominek zaś swój spazmatyczną przezwał: „Niewiedzić zkąd i dlaczego, mawiał, bardzo często dziwaczy i dymi.“

Jednej matce, która zdrową będąc, opowiadała z uczuciem jakiej szuka mamki do przyszłego dziecięcia, i bolała nad tém iż znaleźć takowej nie może, powiedział z uśmiechem: „W takim samym jesteście kłopotcie, i ja napróżno szukam Wikarego.“

Piramowicz nie zostawił wiele prac piśmiennych, wcieliły się po części w działania i czynności Komissyi edukacyjnej; jednak to co zostawił, co rozpoczął, szacownym jest zabytkiem literatury naszej, drogim zapasem do biblioteki edukacyjnej. Styl jego jest wszędzie jasny i płynny, rzecz nauczająca, czysta moralność, piękne uczucia, rozsądek niezwyčajny. Wszędzie maluje się prawdziwy chrześcianin i Polak, pisarz cnotliwy i skromny, który chciał być raczej użytecznym jak sławnym. Przyłączona tu treść z dzieła jego o *Wymowie*, z pierwszego tomu wyjątki, spis prac jego, rzetelność téj pochwały najlepiej wykryją; zachęcą bez wątpienia matki i ich dzieci do bliższego poznania pism tego znakomitego rodaka.

O dziełach Grzegorza Piramowicza.

Najcelniejsze i najobszerniejsze dzieło Piramowicza jest *wymowa*, dla szkół narodowych, z polecenia Komissyi edukacyjnej napisana. Składa dwa tomy większe, trzeci mniejszy, każdy w innym czasie wydany *); liczą razem stronnic 1126. Dzieło to z nieodżałowaną dla nas szkodą nie jest ukończone. Miał być drugi oddział o poezyi; tymczasem nawet nakreślony skład i podział pierwszego o *wymowie* dokonany nie został. Przecież to co jest, z wielkim użytkiem od uczących się, czytaniem być może. -- Wziął autor za hasło roboty swojej te zdania Kwintyliana, Pliniusza i Cycerona:

„Więcej ja mam względu na to, aby życie było dobre, niż dobre mówienie.“

„Źle się nabywa bez obyczajów wymowa.“

„Człowiek dobry bardziej starać się będzie aby pocziwym i poważnym był, niż aby mowa jego wyborniejszą i wypracowańszą się zdawała.“

Do tego hasła dodał jeszcze takie słowa: „Wpocić w ćwiczącą się młodzież miłość cnoty i prawdy, wystawić z nich dobrych ludzi, dobrych obywatelów, dobrych urzędników, ostrzedz i ochronić od błędów rozsądkowi i słuszności przeciwnych, od złego użycia dowcipu i talentów, obrzydzić im podłość, wykrętarstwo, ucisk niewinności, zdradę pospolitej rzeczy, większemu mojemu usiłowaniu było, niż ukazać istotę i pomocy wymowy, niż sprawić dobry gust

*) Ostatni tomik wymowy wyszedł z druku za staraniem następcy Grzegorza i Stanisława Piramowiczów, księdza Pieńkowskiego, dzisiejszego plebana kurowskiego.

w mówieniu i pisaniu, lubo nie prawie się nie opuściło, co do tego końca służyć może. Rozsądek i poczciwość za grunt wszystkiego założone są. Jeżeli dzieło to jest przydatne do celów zamierzonych, zamysł i chęć pochwalić potrzeba; a odrzuciwszy je dla niedoskonałości, na tych koniecznie zasadach i inne lepsze zrobić.“

Zaczyna się dzieło od *wstępu*, w którym daje wyłożenie niektórych wyrazów zwyczajniejszych w materji nauk i kunsztów wyzwolonych, jako to: rozsądku, rozumu, dowcipu, imaginacyi, gustu, geniuszu, talentu, sztuki. Oto niektóre z tych wyłożeń:

„*Rozsądek* zdrowy, rozsądek pospolity, rozsądek grunt wszystkich rozumnej duszy przymiotów i mistrz ich użycia. Przezeń ma człowiek łatwość rozeznawania prawd najbliższych pierwszym natury potrzebom, prawd najpospolitszych, jakie są te, które się postrzegają przez zmysły i przez lekką nawet bacność na czyny i mowy ludzkie. Przezeń uchramiamy się oszukania płochych dowcipów i szalbierskiego udawania. Przezeń ludzie są sposobni do wszystkich spraw i posług społeczności. Rozsądny człowiek ani w mowie jest wytworny, ani w uczynkach i postępkach zboczny i błędny. Uwaga nie odstępuje go nigdy. Widzi i wie co o rzeczach sądzić, gdzie i jak mówić i czynić. Bez rozsądku postać człowieka jest niby zadumiała, wszędzie się miesza i nie wie jak sobie postąpić, jedno za drugie bierze. — Człowiek rozsądny niema wprawdzie tém samém, że jest rozsądny tej subtelności, tej delikatności w wytwornych naukach i kunsztach, które się przez obcowanie z najpolerowniejszemi ludźmi, przez widzenie i poznanie pięknych w każdym rodzaju wzorów, przez naukę, wprawę i nałóg jakiś nabywa i doskonali; ale w zwyczajnych towarzystwa sprawach rozsądek często za wszystko stanie, łatwo mu do znajomości rzeczy gruntownej przychodzić, pewniejszy jest w zdaniach swoich od błyszczących dowcipków. Gdzie ten ustaje, on

mocnym i pewnym krokiem postępuje. Jest to rozum, jest to dowcip gruntowny i w sobie bezpieczny.“

„*Imaginacya*, którą nazwać mozem wyobraźnią, zdaje się tworzyć w umyśle ludzkim obrazy, bez względu czy one się takimi w przyrodzeniu znajdują, czyli nie? Połączenie i związek, w różny kształt ułożenie, ozdobienie i upięknienie rzeczy widzianych lub słyszanych, które pamięć poddaje, chociaż się one teraz przed zmysłami nie stawiają, robotą jest imaginacyi. Żywa i płodna w odmiany ta władza duszy, najpospolitsze widoki umie tak nowym sposobem wystawiać, iż się zdaje, że ich nie wzięła z przyrodzenia, że owszém wizerunki nieznanne podaje naturze. Pełno tych cudów umysłu ludzkiego w malarstwie, w poezyi i innych dowcipu i kunsztu dziełach... Rozsądek i dobry gust czuwać ma nad zapędami w tworzeniu imaginacyi. Nic bowiem łatwiejszego nad to, żeby ta samėj sobie zostawiona, przestąpiła granice przyzwoitości, i zamiast pięknego a z naturą zgodnego malowania, sny i mary nieporządne, pomieszane. szalejącym własne dziwactwa wydawała. Mieć taką imaginacyą, jest to mieć szalonego w domu, mówił jeden uczony. — Ale bez imaginacyi mocnej, obfitej i gorącej, nic się pięknego w naukach i kunsztach dowcipnych nie dokaże. Nic wprawdzie młodego prędzej błąkać nie może, jako zbytnia imaginacyi wolność. Plac jest przed nim nietylko do biegania, ale i do latania niezmierny; nie chce znać określenia wolności, podoba mu się i łechce go ta moc tworzenia sobie nowych rzeczy: radby wyczerpać z natury wszystko co ma pięknego, i jeszcze ją w rozmaitości przewyższyć.“

„*Gust, smak*. Prędkie owe uczucie smaku w tém co pożywamy, początkiem i powodem jest, iż ten wyraz przeniesiono do znaczenia, owego prędkiego niby bez uwagi i zastanowienia się, owego delikatnego w dziełach nauk i kunsztów rozeznania, co jest dobre i piękne. Prawdziwe

piękności w przyrodzeniu są wzorem i przykładem piękności w sztukach. Mieć oko i serce przyuczone do pięknych natury tworów, obcować z ludźmi mającemi ten delikatny i prędko zmysł duszy, czytać najlepszych w każdym rodzaju autorów, zapatrywać się na dzieła przewyborne sztuk, porównywać piękność prawdziwą z fałszywą okrasą: te są sposoby nabycia dobrego gustu. Gdyby z razu nie ukazywano młodemu innych gmachów, jak tylko w najpiękniejszej proporcji i symetrii; innych obrazów, jak tylko najkształtniejszego rysunku dobranych farb, i doskonałego natury naśladowania; gdyby księgi samych wybornych pisarzy do czytania najpierw dawane im były, gdyby rozsądny i znający się przewodnik ostrzegał ich o wadach i wykroczeniach w dziełach rozumu i ręki: nieochybnie nabraliby w architekturze, w malarstwie, w pisaniu prawdziwego gustu. Ten gust raz nabyty, nieodstępnie potem idzie we wszystkich robotach człowieka, nie ma on przykazań, nie zastanawia się uwagą nad tem co czyni i sądzi, a wszystkie dzieła jego własne, wszystkie o cudzych zdania, przejęte są tem niemyślnem i delikatnem uczuciem. Jest jeszcze z doświadczenia wynikająca ta uwaga: iż gust wszystkim władzom i poruszeniom duszy nadaje łagodność, wszystkim sprawom i mowom człowieka wdzięk i przyjemność.“

„*Talentem* w materji przymiotów, nauk i sztuk nazwano sposobność z dowcipu i geniuszu pochodzącą, która się do jednej sztuki, do jednej umiejętności osobliwiej nad inne okazuje. Ma kto szczególną łatwość w muzyce, w malarstwie, w sztuce budowniczej, w pisaniu wierszy, w mówieniu z mocą i pięknnością; wyrażamy wtenczas że ma talent muzyki, poezji, wymowy. Znajdują się tak szczęśliwi, że razem kilka talentów w różnych nawet sztukach posiadają. Kto zaś pozna, że nie ma tej sposobności, odstąpić powinien od chęci i usiłowania, bo te daremne będą, bo go ta chęć i usilność śmiesznym uczynić może. W mierności mu

zostawać wolno dla siebie, ale chcieć między doskonałymi w tej sztuce, w tej uniejętności być policzonym, wyrównywać wielkim wzorom, jest podawać się w pogardę i zawstyżenie. Bez talentu można być godnym człowiekiem, rozsądek i cnota do tego wystarczy; talent bez rozsądku i cnoty nigdy u rozumnych i poczciwych, szacunku i poważania nie zjedna.

Rozdział I, ze skutków *wymowy* licznymi przykładami okazanej, daje jej wyobrażenie.

Rozdział II, oznacza różnicę człowieka wymownego i krasomówcy; takie w nim myśli i zdania:

„Człowiek mocno wzruszony, a wzruszenia serca swego przesyłający w serca słuchaczy; człowiek potężnie skłaniający, albo raczej porywający wolę drugich, który pełny będąc rzeczy od siebie przedsięwziętej, przez moc słów wyróżnywających wielkości sprawy, przez wyrażenie uczucia swego w oczach, twarzy, w postawie całej, zajmuje wszystkich tém o czém mówi, ten jest prawdziwie wymownym... Krasomówca ma tylko nabytą piękność sztuki. Piękność prawdziwej wymowy podobna jest piękności, którą ciało człowieka nadaje czerstwość i zdrowie; a kształcenie i barwienie delikatnej twarzy, kryjące bladość jej i niezdrowość, obrazem są krasomówskich ozdób.

Rozdział III, ukazuje źródła i pomocy wymowy, i przymioty mówcy.

„Nie masz wymowy, gdzie nie ma żywego poruszenia, gdzie nie ma tkliwości; od natury więc istotnie wymowa zawisła.

Uczucie wzbudza wyobrażenia. Czuj żywo, a pojęcia twoje będą błyskawicy podobne.

W rzeczach pospolitych wymowa zawsze kwitnęła w najwyższej doskonałości swojej; bo w nich wielkie całego narodu sprawy tykały wszystkich.

Dajemy wymowie władzę kierowania sercem człowieka

i żądzami jego; od serca i żądz myśli i sprawy zawisły: jeżeli więc wymowa zły cel sobie założy, jak nieczne skutki, jakie występki i zbrodnie staną się jej dziełem? Niech ogólnym dla ciebie będzie prawidłem, czy mówić masz, czy pisać: Szanuj cześć Boga, szanuj święte religii prawa; miej baczność na wstydlivość i przystojność obyczajów; szanuj wolność i bezpieczeństwo obywatela i człowieka: całość ojczyzny, powaga praw, niechaj nietkniętą u ciebie będzie. Prawda, cnota i niewinność, językiem i piórem twojem rządzić powinny. Inaczéj odpowiesz Bogu, ojczyźnie, zwiedzionéj lub pokrzywdzonéj niewinności. Lepiej żeby talentów nie było na świecie. Nigdy szkody duszy i powszechnego dobra nie mogą być nagrodzone ich powabami i nawet użytecznością.

„Nie masz na świecie żadnego przymiotu duszy i ciała, żadnej sztuki i umiejętności, któraby cnotcie i uczciwości poddać się nie powinna; poznanie prawdy i zamiłowanie cnoty, celem wymowy i mówcy.“

Rozdział IV, ma rzecz o retoryce, czyli sztuce mówienia.

Pierwéj człowiek był wymownym, nim mu ktokolwiek przepisał sposoby wymowy.

Nie wymowa z kunsztu, ale kunszt z wymowy wzięt urodzenie, mówi Cycero. Stawmy sobie młodzieńca nadanego od natury darem łatwego pojęcia, bystréj imaginacyi, uczuciem żywym i mocnym, przebywającego w towarzystwie ludzi najlepszego gustu, często bawiącego się czytaniem, lub słuchaniem wyborych mówców, przedsiębiorącego mówić o rzeczy, której wielkość albo własne jego dobro całego przejęło, a nigdy nie widział żadnej z tych książek co retorykami zowią, nigdy nie słyszał przykazaów retorskich; czy ten, gdy w zgromadzeniu słuchających stanie, nie będzie wymownym? Dawaj jak najwięcej retoryk, jak najdrobniej wyszczególnione przepisy drugiemu, bez imaginacyi, bez ge-

niuszu, bez czucia, bez upatrzonego w mówieniu celu i potrzeby, czy potrafi być mówcą? Tak zawsze było i będzie. Cały kunszt tego nie dokáže, aby bez przyrodzonej sposobności uczynić kogo wymownym potrafił. Cóż więc młodzieńiec bez tego przysposobienia z natury czynić ma, chcąc być wymownym? Nie ma chceć być wymownym. Za cóż się ma koniecznie napierać być mówcą na ohydę swoją, na znudzenie drugich. Piłuj, mówił zbyt ostro jeden filozof, a nie pisz. Są niezliczone zabawy i prace, któremi towarzystwu ludzkiemu użytecznym być możesz; poradź się swęj skłonności, porachuj z siłami, nikt cię do pisania i mówienia obowiązywać nie może.

Sztuka pomaga do wydoskonalenia natury, okrzeseuje i poprawia wady przyrodzone, więcęj nic zrobić nie może.

Najlepsza rada dla ucznia chcącego mówić lub pisać jest ta: myśl, rozważaj, nabywaj wiadomości rzeczy, rządu twego kraju, praw jego, obyczajów ludzkich, serca człowieka; nie podejmuj się mówić ani pisać o żadnej rzeczy której nie obejmujesz, którą przejęty nie jesteś.

Rozdział V, przedstawia: w czém prawidła i przestrogi sztuki mogą być użyteczne mówcy i pisarzowi, w końcu takie są słowa:

Cała więc rzecz w prowadzeniu młodego w biegu nauk wyzwolonych, co literaturą zowiemy, na tém zależy: 1) aby go wprawić w rozsądek i wskazać mu drogę do myślenia; 2) aby nim kierować w poznaniu serca ludzkiego; 3) aby ostrzedz o przymiotach, własnościach i wadach różnego pisanania, stylu, wysłowienia; 4) aby określić rozmaite mówców i mów rodzaje, i przyzwoity każdemu rodzajowi skład i postać oznaczyć; 5) aby mu pokazać wzory doskonałej wymowy, dobrego pisanania; 6) aby mu nastrećać ćwiczenia przyzwoite wiekowi jego, okolicznościom w których się znajduje, czasu, kraju, związków, przyzwoite zamierzonemu z urodzenia lub obrania celowi, do którego się mówca i pisarz przy-

sposabia. Przystąpić potém do szczególnych niektórych wiadomości i pomocy, które pisarza zbogacić mogą, jakie są: historia starożytna i nowożytna. Osobne miejsce poezya mieć będzie. Rozumiem że w tym składzie zawiera się wszystko czego potrzeba, i co prawdziwy gust w literatury określeniu wyciąga. Tego trzymać się toru postanowiłam w tém dziele.

Rozdział VI zawiera rozumowania o myśli, o logice, o zdrowym rozsądku, stosując je do mówcy i pisarza. Ten rozdział jest jednym z najpiękniejszych, bo autor był w żywiole swoim. Tak się wyraża na początku.

„Gdzie nie masz myśli, jest brzmienie, jest gadanie, ale nie masz wymowy człowieka. Myśl najzacniejszy przymiot istoty naszój, cecha działania rozumu, i sam rozum. Nie zawsze mówiący lub piszący może czuć zapalę serca, nie zawsze je w słuchaczu lub czytelniku wzbudzać: trzeba go częściej oświecić, nauczyć, przekonać; trzeba go czasem przeciw poruszeniom, namiętnościom obwarować, oburzone chęci i zapędy uspokoić i przygasić. Żeby mowa twoja była godna człowieka, żeby się w niej okazał rozum mówiącego i żeby ją przyjął rozum słuchających, powinienes myśli twoją zabawić rzeczą przedsięwziętą; powinienes rzecz ze wszystkich stron oglądać i objać, powinienes rodzić myśli w słuchającym i przywieść go, aby to uznał za prawdę, co za prawdę podajesz, żeby zdanie twoje stało się zdaniem i sądem jego. Trzeba więc myśleć, abys nie uczynił mowy czczój i próżnej. Trzeba myślom dać porządek służący do oświecenia, moc do przekonania słuchacza. Trzeba znać, jaki czynić wybór myśli; żeby się w nich wad ustrzedz, żeby miały przymioty zgodne z przyrodzeniem i okolicznościami. Zdrową logiką nazywam ów przyrodzony człowieka rozsądek, uwagą, zwyczajaniem pilném rzeczy we wszystkich swoich częściach, baczeniem stwierdzony i kierowany. Nie masz żadnego wieku, żadnej sprawy człowieka, żadnej mowy jego, żeby pod

rządem, że tak rzekę logiki nie zostawała; bez niej wszystko jest błędne, wszystko bałamutne. Można śmiało powiedzieć, że prawie wszystkie przestępstwa i winy ludzkie z niedostatku logiki, to jest: z błędów rozumu, albo przez niepoznanie, albo przez złe poznanie rzeczy wynikają. Ztąd mądry Bakon na związku prawdy z cnotą zasadzał nierozdzielny związek logiki z nauką moralną. Prawda zawsze wiedzie do cnoty, oświecenie do przeciwności; porządek w myślach do porządku w życiu.

Jakby wiele języków zamilkło, jakby wiele mów i pism nie znało świata, nie zabrało potrzebnego na inne sprawy czasu, nie znudziło czytelnika i słuchacza! jakby wykrety i czeze spory nie znajdowały wstępu, gdyby nic nie mówiono, nie pisano bez myśli, bez logiki.

Coś jest podobnego do szaleństwa nagadać słów wiele pięknych, wspaniałych, górnych, próżny dźwięk i brzmienie wydawać, a w tém wszystkiém żadnej umiejętności, żadnej wiadomości, żadnej myśli nie masz. Jednak przestrożę tu jedną dla zbyt surowych sędziów przydać należy, młodzi przez żywość i bujność swoją, w słowa, wyrazy, ozdoby obfitszemi być muszą. Nieznanie wielu rzeczy, niedoświadczenie, przedstawianie na nabytych naukach sprawują, iż tyle myśli i treści w mowie młodego być nie może, ile w dojrzałego człowieka być powinno. Nie ma więc być ze wszystkim naganiona ta młodzieńcza bujność, czas sam okrzese ją i umniejszy; przyjdzie na koniec do tego, że jak Cycero mówi, i mowa zsiwieje.

Prawda zawsze powinna być celem i rządzicielką dowodów i rozmów twoich. Lepiej jest nie umieć mówić i pisać, niż mowy i pióra na zgwałcenie tej świętości używać. Kiedy rozumniejsi, cnotliwi, a zatem zacniejsi, w mowach i pismach twoich moc prawdy uznają; kiedy dobroć rady i zdania poczują, za więcej to uczciwości twojej i sławie sta-

nie, choćby cię na czas opaczne tłómaczenia i przegryzki większej liczby spotkały.

Kto w dobre użycie rozumu, w rozsądne postępowanie, w logikę myślną i czynną z młodości wprawiony, ten trafi zawsze na zgodne z naturą ułożenie dzieła, na podziały jasne i ograniczające rzecz przedsięwziętą, na kształt miejscu i czasowi przyzwoity.

Mówca, pisarz gładki, dzieli robotę swoją, ale stara się, ażeby podziały jego nie były koniecznie wydatne i zbyt wyraźne. W dziele jakimś samej nauki, gdzie zwięzłość i dokładność bez względu na okrasę i kształtność istotnym ma być przymiotem, tam wydatności, tam wyraźności wszystko ustąpić powinno. Lecz gdzie bez ujmy jasności i dokładności, utajć te związki, te że tak rzekę, stawy, z których się dzieło twoje składa, wygodnie możesz, na cóż te kości sterceć, te żyły wyprężone być mają. Mowa jak piękna osoba, niechaj najlepiej spojona i ucłonkowana będzie; ale jak piękna osoba niech ma spojenia i członków podziały ciałem pokryte: dopiero postać jęj kształt ma przyzwoity, dopiero podobać się może.

Myśl obleka się w wyrazy, jakoby w przystojne szaty; i tak się zmysłom człowieka stawia. Słowa dla myśli, a nie myśli dla słów są postanowione.

Bez prawdy nie masz myśli pięknej, jako nie ma ciała pięknego bez zdrowia. Pozór ładujący może uwieść czytelnika, ale rozwaga i rozsądek wnet obnażą, że tak rzekę, myśl z tój obłudą, i okaże się fałszywość.

Co często młodzi w mówieniu i pisaniu ćwiczącej się wbijać należy, to że im lepsi, im w rodzaju swoim doskonalsi są pisarze, tém naturalniejsze myśli ich znajdujemy. Nie masz w nich conceptów, nie masz owych igraszek i wyskoków dowcipu. Ta przedziwna ich prostota czyni, że się najłatwiejszemi zdają, że każdy rozumie, iżby tak myślał i tak myśli tłómaczył, i to jest cechą prawdziwej piękności.

Będą między pięknymi myślami wspaniałe, poważne, wyniosłe, ale nie masz w nich nadętości; będą ozdoby, ale nie do zbytku. Gęstość w sadzeniu drzew, farby bez cienia w malowaniu, przytłumiają wzrost i piękność. Prostackie wyrazy, pospolity sposób w tłumaczeniu myśli, grubość starodawna, czyniłyby uczone dzieła nieprzyjemnymi, odstręczałyby słuchacza i czytelnika dni naszych. Podobnie jak w ubiorze, mieszkaniu i obcowaniu polor przydaje wprawdzie gładkości i okrasy, ale jest pewna między niezgrabnością, nieochędotstwem a zbytkiem, dumą i wytwornością granica, pewny środek: tak, na tęż miarę w robotach dowcipu wzgląd mieć, zdrowy gust i rozsądek przykazuje. Bo jedno ze dwóch wybierając, wolałbym staroświecką grubość, niż nową zbytnią wolność i lekkość.

Mówiący i piszący niech się nie kocha nadto w swoim dowcipie, niech się odważa na stracenie nie jednej myśli, choćby mu się piękną zdawała, bo ich natłok szkodzi.“

Rozdział VII mówi o namiętnościach i wzruszeniach, i ważne co do cnoty, wymowy i znajomości serca ludzkiego zawiera uwagi, jak n. p.:

„Co jest przekonanie względem rozumu, to są wzruszenia względem serca czyli woli człowieka. Ludzie dają się wieść i poruszać chęciom i namiętnościom, i na tém cała moc wymowy, całe jój zwycięztwo zależy; ale mówca i pisarz na dwie uwagi pamiętnym być powinien. Jedna, aby nigdy wzruszenia serca ludzkiego występki i przewrotności nie służyły; druga, aby użycie wzruszeń z naturalnością i z przedsięwzięciem zgodne było. Namiętność człowieka, miecz jest w ręku władającego: obronić nim i zgubić może. Co są wykręty względem oszukania umysłu, to jest zręczne i chytre użycie pasyi względem serca.

Filozofia, to jest znajomość natury, uczy i opisuje jakie jest przyrodzenie namiętności naszych. Długo się na ich wyliczaniu i określaniu zabawiać nie ma potrzeby.

Każdy zastanawiający się nad ich roztrząśnieniem, a najbardziej nad własnym swoim czuciem, łatwo pozna, co jest każda z osobna pasya. Wszystkie namiętności ludzkie mają przed sobą dobre lub złe, bądź rzeczywiste, bądź takie, jakie mniemanie lub imaginacya wystawia. Dążyć do dobrego, ścigać, używać go, zabawą jednych; uniknąć złego, trwożyć się niém lub trapić, zabawą jest drugich. *Miłość* i *nienawiść* usposobione, równie dążące, wszystkich namiętności człowieka są treścią. Upodobanie, które w nas przytomne dobro, np. cnota, przyjaźń, chwała, dobroczynność, szczęście nasze lub miłych nam osób sprawuje, *miłością* zowiemy. Dobro jest nieprzytomne, ale go w oddaleniu poznajesz; wtedy czujesz w sobie *żądze*, *pragnienie*. Tuszysz sobie, że już dostąpisz dobra, którego pragniesz; czuciem twojém jest *nadzieja*. Wszystkoś gotów ponieść, wszystkie trudności zwyciężać, żebyś otrzymał cel żądania i nadziei twojej; masz *odwagę* i *męstwo*. Przeciwnym sposobem złe doznawane, np. w zdradzie cudzej, w zgryzocie sumienia własnego, w nieprzyjaźni, napełnia cię *nienawiścią*. Złe mogące się przytrafić *bojaźnią* i *trwogą*, złe uciemniająca bez sposobu ratunku i wyjścia z niego, pogrąża cię w *rozpaczy*. Przyczyna złego które ponosisz, sposób, którym ci krzywdę wyrządzono, *gniew* w tobie zapala. Cudze nieszczęście, w którym na siebie samego uwagę obracasz, wzbudza w sercu twojém *politowanie* i tym podobnie.

Dobre wymaluj dokładnie dobrém, a słuchacze i czytelnicy twoi kochać je, pragnąć go, sobie i przyjaciółom życzyć będą. Złe wystaw w swojej obrzydliwości, obruszysz wszystkich nienawiścią i do lękania się a unikania jego przywiedziesz.“

Rozdział VIII, przekonywa: jako wymowa najwięcej zależy na wyłuszczeniu i stawieniu w różnych względach jedynéże rzeczy; co w kunszcie zowią *expositio*.

„Trzeba w mówieniu i w pisaniu téj pięknej rozmaito-

ści, która się i najzdrowszemu rozsądkowi podoba, która kształtu przyrodzonego nie odstępując, przyjemność nadaje i od utęsknienia i nudów ochrania. W takowém tylko stawianiu jednej rzeczy, jednej prawdy w wielorakich względach i okolicznościach, pewny jest środek do otrzymania rzeczonych skutków. Ztąd domowe nawet posiedzenia i rozmowy przyjemność swoją zabierają. Mówi kilku w jednej rzeczy, różni różnie ją uważają, i jakby wieloraką ją czynią.“

Rozdział IX przedstawia wysłowienie, *Elocutio*, w stosunku do myśli; ten rozdział bardzo jest ważny: cały wypisaćby trzeba.

„Wymowa żywa i poruszająca nie może być ustawiczna. Nie zawsze ten co mówi mocno jest poruszonym, nie zawsze poruszyć potrzebuje. W zwyczajnym życia i spraw biegu w robotach uczonych, gdzie albo umiejętność wykładana, albo czyny opisywane być mają, często nie masz miejsca zapałom, tym wymowy piorunom. Mówca lub pisarz w każdej materji żywe i mocne uczucia, wielkie i wysokie myśli mieć może; ale pospolicięj mowa jego, jak spokojna rzeka, albo jak miły strumyk płynąć będzie. Gdzie nie masz wymowy, tam wysłowienie zabiera miejsce. To wysłowienie powinno być jasne, czyste, płynne i pełne, to jest: na myśli ugruntowane, bo zawsze słowa na posłudze rzeczy być mają.. Powinna w niém także własność wyrazów być zachowana; a do téj trzeba język swój umieć; trzeba znać jego acz najmniejszą różnicę i najcieńsze cieniowania. Bez wiadomości języka swego, a zatem bez obfitości słów, zawsze na doręczu będących, bez tego prędkiego postrzeżenia, gdzie które służy, nikt się nie ma porywać do pisania. Jako zaś nietylko w dziełach dowcipu i gustu, ale w żadnej najpoważniejszej nauce, nie godzi się być niejasnym; tak w żadnej nie wolno się brać do pióra, bez posiadania wiadomości języka swego. „Nie tak (mówił Cycero) piękna jest umieć

po łacinie Rzymianom, jak szpetna nie umieć“ toż o każdym narodzie mówić należy.

Często bardzo zachodzą pytania i rozprawy: czyli stare i zadawnione słowa, wskrzeszane, czyli obce zaciągane, czyli nowe tworzone być mają. Jako we wszystkich rzeczach, tak i w téj rozsądek i gust rozjemcą być powinien. Radź się zwyczaju języka, radź uczonych, rozsądnych, poważnych; radź uszu delikatnych. Potém kiedy jest w języku własnym dawne, a z niniejszym obyczajem zgodne, nie twarde, wyraziste słowo, za cóż zaciągać zkądinąd? na co dawne a jeszcze dobre sprzęty zarzucać, żeby nowych dostawać? Nie wdryga się człowiek z gustu w pisaniu znany, użyć słów obcych, kiedy tak rzekę, od ojczyzny prawo ziemiaństwa odebrały, kiedy tok, strój języka tutejszego przyjęły, kiedy je wszyscy mówią i rozumieją.

Jasność stylu wiele zależy od słów układu: gdy w mowie jasnej porządek przerzucisz, z jasnej ciemną i niezrozumianą uczynisz; przeciwnym sposobem, czytasz rzecz jaką, wszystkie słowa znasz z osobna, ale nie rozumiesz myśli i sensu który tam być może, bo zawikłanie mowy pomroka go pokryło; przełożysz jedno lub drugie słówko, jakbyś w ciemny loch jasną wniósł pochodnię, tak się wszystko rozświeciło. Tu okazuje się najlepiej potrzeba umienia swego języka. Bo chociaż słowa pojedynczo wzięte polskie będą, jeżeli połączenie ich, skład i tok mowy, na krój cudzoziemski się robi, ciemna, niezrozumiana będzie rodakowi mowa twoja. Każdy język ma swoje własności, swój kształt, swoje zbudowanie. A zatém grzeszą pisarze i tłumacze, którzy się do obcych języków toku przywiązują. Jak to émi mowę, jak ją brzydką i nieznośną czyni, wymówić trudno... Na nie szczęście zaś, ta przywara, ten nieznośny zwyczaj, za dni naszych stał się pospolity; co oznacza albo niedołężność dowcipu, nieumiejętność języka, albo śmieszne ubieganie się

za nowością. Ta zaraza mowę i obyczaje zarówno skaziła. Gniew bierze na tyle dzieł, lub pierwiastkowo po polsku pisanych lub tłómaczonych, kiedy do zrozumienia ich umieć trzeba język z którego są przełożone. Cóż mi po książce, która oświecać miała, a ona ćmi i zasłania. Bo zabierającym się do wymowy, nigdy nazbyt powtarzać nie można: bez jasności nic w mowie, nic w pisaniu nie warto. „Nie tylko tak jasno mów i pisz, żebyś mógł zrozumieć, ale żeby mi nie było można nie zrozumieć.“ Jest jeszcze jasności nieprzyjaciółką, chęć owa niektórych mówców, żeby wysoko gadali. Słuchałeś ich, zdało się, że coś pięknego powiadają; natężyłaś umysł i nicś nie rozumiał. Zwyczajna ta jest i śmieszna od prostaków pochwała: „Tak wysoko mówił, że nie można było zrozumieć.“

W *Rozdziale X*, jeszcze o *wystąpieniu* co do ułożenia i uszykowania wyrazów; chcącym mówić i pisać dobrze odczytywać go trzeba.

„Do dwóch wymowy celów, to jest *przekonywać* i *wzruszać* przyłączono i ten trzeci, *podobać się*; który raczej narzędziem i pomocą tylko do owych pierwszych być powinien. Do tego zaś przypodobania za istotny środek poczytano co do słuchu mówić... Przeczyć tego nie można, iż przyjemne brzmienie w mowie człowieka potrzebne jest, aby go z upodobaniem słuchano; że za jakimś powodem natury wszyscy lubimy śpiewanie; że zgadzanie się głosu i dźwięku miło tyka uszy, tak jako zgadzanie się farb, światła i cieni, upodobanie oczom sprawia; zaniedbywać więc tego przymiotu mówca i pisarz nie powinien... Na troisty rodzaj w zgadzaniu się w brzmieniu i mowie baczną mieć należy. Pierwszy rodzaj téj zgody można nazwać *melodyą*... Kiedy w przepisach w téj mierze dawanych powiedziano: żeby połączenie jednych z drugimi głosek czyli liter sprawiało łatwe wymawianie; żeby się chronić zbiegu zbyt częstego samych przez się brzmiących liter, bo to czyni mowę

ziewającą, miękką i omdlałą; chronić zbiegu samych spółbrzmiających, bo to czyni twardą, chropowatą i grudziastą, a z niektórych warcząca i świszcząca; żeby unikać wiele jednogłośnych wyrazów, bo te odejmują mowie przyzwoitą ciągłość i płynność; wiele wyrazów długich, bo z nich się robi mowa rozwlekła i nieruchawa; żeby odmieniać zakończenia, unikać rymów, przeplatać przydłuższe części mowy krótszemi; nakoniec kiedy powiedziano ogólnie, że co się nie łatwo wymawia, to się nieprzyjemnie słucha: w tém wszystko prawie zawarto, co w tej rzeczy powiedzieć można. Zgoła wprawa w słuchanie gładkich mów, ucho łatwo czujące przyjemność i przykrość w brzmieniach, zastąpi wszystkie prawidła...

Drugim rodzajem jest *liczba* tak nazwana, że ją wielość rodzi. Jedność nie jest liczbą w arytmetyce, miara w muzyce nie z jednego czasu się składa, ani symetria z jednej linii w geometrii. Tak w mowie jedno słowo, jedna część peryodu, osobno uważana, nie może wydać tego co zwiemy liczbą; wynika ona koniecznie z pomnożonych części, a mających między sobą stosunek równości, podobieństwa lub różnicy. Przerwy i przestanki w mówieniu, spadki i zakończenia części mowy, ruch i postępowanie szybkie lub powolne, te rzeczy składają ten przymiot wysłowienia, to krasomówskie że tak rzekę śpiewanie. Przestanki i przedziały istotną są do przyjemnego a nawet zrozumiałego wymówienia potrzebą. Tych zaś pierwszą miarą samo jest oddychanie nasze, które się z przyrodzenia równem powietrza braniem i oddawaniem odbywa. Atoli ani powinny, ani być mogą te przestanki wszystkie sobie równe. Za wyobrażeniem i myślą idzie i własność i wymiar mowy.

Wynika ztąd rozmaitość przestanków. I tak peryod czasem się jednym sensem określa; inny dwie, trzy lub cztery części w swoim obwodzie zawiera. Czasem te części równy wymiar mają, czasem długość jednych, krótkością

drugich przeplatana bywa; pojęcie rzeczy, czucie wewnętrzne, sąd ucha, sąd gustu, stanowiąc jedynie o mierze przyzwoitej mogą. A kiedy inna jest miara sensu, inna oddychania; wtenczas mówiący, który rozumie co mówi, potrafi tak bez naruszenia sensu, jako bez zatchnięcia oddechu, oddziały i spoczynki w samém wypowiedzeniu odznaczać.

W greckim i łacińskim języku każda sylaba pewną ma swoją w wymówieniu krótkość albo długość. U nas chociaż tak pewnych *metra* i *pedes* (miar), nie masz, chociaż we wszystkich dłuższych nad dwie sylaby słowach przedostatnia długo się wymawia, nie zostajemy jednak bez sposobu dawania w mowach naszych przyjemnego toku i spadku przez mieszanie i przeplatanie to krótszych, to dłuższych wyrazów. Od tój miary, od tój liczby nawet, istotny mowy przymiot, to jest stosowne do rzeczy postępowanie i ruch mowy zawisł. Chcesz żywo i gorąco mówić i wzruszenie gwałtowne w słuchaczu sprawić, trzeba ci na drobniejsze cząstki mowę twoją przecinać; trzeba, aby same szczególne wyrazy krótko i szybko biegły. Jeżeli mowa twoja ma być poważna i łagodnie płynąca, żeby umysł słuchacza spokojnie przyjmował co mówisz, nie bieżyć, nie uderzać, nie przeszywać powinna szybkością i ostrością swoją; ale przydłuższe słowa, rozciąglejsze ich w jeden sens spojenie, wybór wyrazów łagodnie brzmiących ten skutek otrzyma. I w tém to owa wielka dawnych mówców sztuka zależała, że umieli i czuli, jak z myślami słowa i wyrazy zgadzać, jak poruszenia swoje przez pośrednictwo języka w słuchaczów przenosić.

Trzecim rodzajem zgody w mówieniu jest *harmonia*; zależy na podobieństwie w samém brzmieniu i dźwięku wyrazów, z rzeczą którą wyrażają. To brzmienie naśladowczem nazywać zwykliśmy; najłatwiejsze jest w udawaniu brzmienia głosu, hałasu, szelestu; bo głos ludzki najbardziej do podobieństwa w tój mierze mógł się zbliżyć. Ztąd

w każdym prawie języku znajdują się słowa, brzmienia różnych odgłosów wydające, tak jako u nas mamy; szum wody, szelest liścia, jęk synogarlicy, kraczenie wron, ryczenie lwa, pisk ptasząt, grzmoty, świstanie wiatrów, tentent koni, huk dział, i podobne. Potem przez różne głosu ludzkiego układy, ruchu, biegu, spoczynku, szybkości, mocy lub słabości różnych rzeczy w jednych językach mniej, w drugich więcej naśladować potrafią. Grecy i łacinnicy, u których znajdowały się sylab miary, większą do takowego udawania sposobność mieli.“

Rozdział XI, niemniej ważny, wylicza trzy rodzaje czyli charaktery mowy i stylu.

„Cycero powiedział: Ten wymownym będzie, który i popospolita rzecz *gładkim a niewytwornym* i wspaniałą *poważnym* i mierną *średnim* mówienia sposobem prowadzić potrafi. Ztąd nauczyciele wymowy, troisty gatunek stylu ustanowili... Byłby zaiste błąd rozumieć, iż każdy rodzaj mowy lub pisma, tak ma sobie właściwy jeden rodzaj stylu, żeby w jedném dziele jedną materyą zajętem, różność jego miejsca mieć nie mogła. W ciągu pracy twojej o jednej rzeczy myśląc i pisząc, tu mocno lub wspaniale, tu spokojnie i umiarkowanie, tu gładko i z prostotą tłumaczyć się przyjdzie. Owszem jednostajność i ton jeden, ani uszom ani duszy dogadza, tęsknicę i nudność sprawuje. Jeden jest obraz do malowania przedsięwzięty, ale w częściach jego jakąż zachodzi różność? Czynisz powieść jaką ani z rzeczy, ani z zamysłu twego, nie dążącą do stawienia wspaniałych obrazów, do wzbudzenia wielkich poruszeń; wprowadzasz człowieka za samym powodem natury mówiącego, co rzecz, co okoliczność, co stan osoby niesie; styl twój będzie stylem prostym, gładkim, szczerością i wolnością tchnącym, bez przymusu, bez wytworu. Określić i opisać tego przymiotu stylu prawie niepodobna; czuć go, smakować w nim, człowiek dowcipem i gustem obdarzony może. Masz tego

obraz i wzór nieochybny w mowie dziecięcia, którego jeszcze dowcip i serce nie zbałamucone; masz w tój twarzy, postaci i odzieniu, którą w młodzieży niewinnój żadne barwienie, żaden zbytek nie skaził. Weź potóm w ręce bajeczki Ezopa od Fredra po łacinie, od Lafontena pa francuzku wyłożone, poznasz co jest ten kształt pisania. Tysiące przykładów jego napadniesz w Homerze, w Wirgilim, w Horacyuszu, Katullu, i naszym Kochanowskim, zwłaszcza w trenach i pieniach.

W tych wszystkich miejscach nie znać pracy i usiłowania, bo albo w samój rzeczy nie doznał jój pisarz, tok mowy i wyrazy nie czekały roztrząśnienia i sądu, same się ofiarowały, same szybko płynęły; albo kosztowały wprawdzie nie mało pracy w brakowaniu i wyborze, w składzie i szykowaniu, ale i gust i talent utulił tę robotę: każdy prawie czytający mniema, iżby inaczej nie napisał, a doświadczyć, doznałby mniemanie swoje zawiedzione. Lecz jak w każdój rzeczy, tak i w tój o którój tu mowa, granice dobrego i złego stykają się z sobą. Jest wielkie niebezpieczeństwo dla pisarzów, żeby chcąc mówić bez wytworu, nie mówili niedbale, chcąc zachować prostotę i szczerą gładkość, nie czynili mowy płaskiej, podłej, bez wdzięku, bez smaku, rozwlekłej i nudnej. Co innego szata bez zbytku i pstrocizn, a co innego łachmany grube i brudne. Własności więc tego stylu są: naturalność, gładka prostota, wdzięki, że tak rzekę, niewinne i niemowlęce. Płynie mowa taka zwolna szemrzącym i równym nurtem. Dusza i serce mówcy i słuchacza w spokojności zostają. Insze są przymioty, insze skutki stylu, który wysokim, wielkim, wspaniałym zowiemy. Ta wielkość i ta wysokość częstokroć w jedném słowie bywa, atoli, z pod wyrazu *sublime* (szczytny), wyjmować stylu nie można. Owszem nie znam w wymowie nic wielkiego, nic wspaniałego, bez wielkich myśli, wielkich poruszeń i bez zgodnych z niemi wyrazów; bo tam nigdy

mowa zadziwiać, zachwycać, porywać, zapalać nie może; gdzie nie masz tych wielkich skutków, tam nie masz wymowy; bez niej styl wysoki cóż znaczy? Nigdy słowa w swoim brzmieniu ogromne i wspaniałe, tok peryodów okazały, nie wart nazwiska wielkiego, wysokiego stylu. A poruszenia i wyobrażenia wielkie, czy w kilku słowach, w jednej figurze z żywością i szybkością, czy w ciąglejszej nieco osnowie z równą mocą i natężeniem, w ten zachwycający sposób wydane będą, i byle się wspaniałość z prostotą wyrazów utrzymywała, zawsze się tam znajdzie to, co wielkiem i wysokiem nazywamy; lubo przyznać trzeba, że ten zapal, ten gwałt, ta natarczywość pocisków, myśli i żądy, w długim mowy i czasu przeciągu trwać nie zwykły.

Jakakolwiek różnica zajść może w sposobie oddawania tego rodzaju stylu, zawsze całe wyobrażenie tej porywającej i unoszącej duszę wielkości, ściąga się do wielkości myśli, uczucia, wyrazów. Ale tego wszystkiego nie masz, gdzie nie ma wielkiej, wspaniałej, wyniosłej i szlachetnie hardziej duszy; bo gdzie ta podła jest, jakoż się myśl podnieść, jako uczucie być szlachetne, jako mowa wysoka być może? Ztąd wracać się zawsze do tej uwagi trzeba: bez prawdy, bez cnoty, wszystko jest małe, wszystko się czołga, wszystko przy okazałości i pozornej wspaniałości, czeże marne i próżne. Trzeba mieć umysł wyniosły i szlachetny, żeby dzieła nasze zadziwiały, żeby godne były potomności. Trzeba dla tego duszę karmić i posilać od młodości gruntownymi uwagami, przyzwyczajając ją do dążenia ku wysokości doskonałości, wbijając ją w tę wyniosłość cnotliwą, żeby pogardzać tém wszystkiem, za czém się pospółstwo ubiega: bogactwy, próżną chwałą, rozkoszą; żeby za nic ważyć samo życie, gdzie tej ofiary sprawiedliwość, prawda, ojczyzny i narodu ludzkiego miłość wyciąga...

Nie bardziej nie wznieca wysokość myśli, ani nie zadumia i uderza potężniej, nie porywa nie zwycięża, jak

mocne i szlachetne uczucia. Tam gdzie jest wzruszenie nadzwyczajne, gdzie zapał i entuzjazm (uniesienie), to jest: porwanie umysłu, serca, całego człowieka ku jakiejś rzeczy, która go zupełnie zajęła; tam cokolwiek się czyni, co mówi, wszystko jest wielkie, wysokie, wyniesione... Ciężkim byłoby błędem rozumieć, iż wielkość wyrazu od wytworu i nadętości zawisa. Łatwa jest omyłka w młodych zwłaszcza, ścigając wielkość uwodzić się pozorem; a nie trudniejszego, jako w zapale imaginacyi i zapędzie dowcipu tam się zatrzymać gdzie potrzeba. Wieluż to tych dziecinnych rozprawiaczów, nie nie poczytują za wysokie, jeno co z oczu niknie, nie za wielkie, jeno co olbrzymie, co wiele miejsca zabiéra. Nabrzmiałość biorą za zdrową pełność ciała, a nie, mówi przysłowie greckie, nie jest bardziej suche, jako opuchły. Natykają słów bez braku, bez porządku, górnych i ogromnie bijących w uszy, i zdaje im się to stylem być wysokim i wspaniałym; a z tém brzmieniem minęło wszystko. Przeciwnie cechą jest wielkości prawdziwej mocno uderzać umysł i serce, tak głębokie wrażeń ślady, iż ich prędką chwila zagładzić nie potrafi; tak powszechnie zadziwiać tak z upodobaniem napelniać, że przy różności wieku, stanu, skłonności, wszyscy zarówno przejętemi się czują...

Prawdziwa wielkość jest w rzeczach, w myśli i uczuciu, a te najlepiej mowa prosta i nie wytworna wydaje: Rzekł Bóg: „Niech się stanie światło!... i światło stało się!“ Samo nazwisko *średniego* stylu oznacza, iż on między prostym i gładkim, a wielkim i wysokim mówienia sposobem miejsce trzyma. On zwany jest także ozdobnym, strojnym i kwiecistym; bo najwięcej przyjmuje ozdób z myśli dowcipnych, figur okazalszych, ze składu mowy przyjemnego... Gdybyśmy zawsze do ludzi samym się rozumem rządzących mówili, dosyćby zapewne było nagą prawdę wystawić przed oczy ich umysłu, dosyć powiedzieć dowód przekonywający. Ale pospolici ludzie potrzebują miłszych wrażeń, obrazów

kształtnych, wzruszeń przyjemnych. Często by mówca lub pisarz prawdzie, cnocie, słuszności sprawy i rady swojej zaszkodził, gdyby przypodobania zauiedział, gdyby surowo, chudo i z ścisłą, tylko dokładnością mówił. Jest to może słabość, i życzyby potrzeba, żeby bez tego głaskania, co jest cnotliwe i uczciwe od wszystkich przyjmowane było; lecz słabość ta jest nieoddzielną od przyrodzenia naszego własnością: służyć więc cnocie i sprawiedliwości, dobru ojczyzny, religii potrzeba, nie zrażając téj człowieka skłonności—ale oszczędnym być należy.“

Rozdział XII i ostatni w tym tomie, o piękności w dziełach nauk wyzwolonych, rzecz się ma, w następujący sposób:

„Pierwsza piękność, która pod zmysły nasze podpadać może, jest w naturze. Ta dziełem będąc przedwiecznej mądrości, a zatém dziełem porządném, stawia nam w sobie niezawodne, pewne wzory piękności. Rozmaitość dzieł jéj, rozmaitość stosunków i związków, czyni różnicę kształtów; ale przy téj różnicy jedna jest piękności cecha. I tak, inna jest piękność przestrzeni niebios, po której większe i mniejsze światła tleją; inna okrasa ziemi stawiającej w oczach człowieka niezmierną odmianę gór i dolin, łądów i wody, roślin i zwierząt. Góry okropne i nieprzebyte, co się nad obłoki wynoszą, otchłanie ogniste, przepaści morskie mają swoją piękność; spokojne pola i łąki, źródła i strumyki, wzgórk i doliny, mają znów sobie właściwą. Człowiek, stworzenie wyższe nad to wszystko co ziemia nosi, zamyka w sobie doskonały wizerunek piękności, póki go namiętność, płochość lub zbrodnia nie zeszepeci. Wyszedł z ręki Twórcy pełny zdrowia i wdzięków. I tu już widzieć, gdzie wzoru prawdziwej piękności do dzieł przemysłu i ręki szukać należy; gdzie ich znaleźć i do wymowy. Nie masz piękności bez zdrowia i siły w człowieku. Nie masz jéj w tém co mówisz i piszesz, jeżeli myśl zdrowa i rozsądna nie jest

gruntem i duszą, roboty twojej, jeżeli moc rzeczy i wyrazów nie czyni ją czerstwą i silną. Ustrój jak chcesz najbogaciej, najkształtniej osobę, której twarz blada, ruszenie omdlałe, schorzałe ciało: nie uczynisz jej nigdy piękną. Barwienia i bielidła nie zdołają pokryć słabości i niemocy, złej cery i smutnej postaci.

Oto jest istotna wszystkich dzieł twoich kondycja; trzeba w nich logiki, trzeba rozsądku. I te ja przymioty nazywam zdrowiem mowy i pisania. Pójdą zatem wdzięki nie przysadne, które zdrowym oczom, zdrowemu uczuciu i umysłowi podobać się muszą... A jako w ludziach każdemu wiekowi swoja właściwa jest piękność, tak w mowie i w pisaniu podług rzeczy i okoliczności różnica co do kształtu i okrasz zachodzi. Inaczey piękny jest posąg Apolina; niebieską, wesołą, wspaniałą i wdzięczną ma postać. Posąg Jowisza tchnie powagą, groźbą i władzą, pioruny i orły są jego zdobiące znamiona. Piękny jest Parys w pasterskiej postawie, hoży i pogodnego czoła młodzieniec. Wszyscy dziwią się nad pięknoscią Laokoonu, który wśród węzów ssących krew jego, na twarzy, na całym ciele gwałtownych bólów daje znaki, litość i żal przerażający wzbudza. Taki jest obowiązek pisarza i mówcy. Rzecz sama, uczucia i poruszenia serca jego, okoliczności rozmaite, robotom jego nadawać powinny tę przyzwoitość, bez której nie masz piękności.

Nie masz jednak ważniejszej prawdy nad tę, że nic nie jest w całym przyrodzeniu, w życiu i obyczajach, w mowie i pisaniu, prawdziwie pięknego bez użytku. Chciałbym żeby ta prawda głęboko w umysł młodego wpojona, stała się rządzielką postępowania i mówienia jego... Nikt tu zaś użytku brać nie będzie za jakie podłe zyski. Wszystko co do uczciwości, cnoty, do dobra ojczyzny, narodu ludzkiego prowadzi, ma w sobie rzetelny użytek, a cokolwiek do tych względów nie zmierza, nie warto nazwiska dobroci,

piękności. Do wieluż pisarzy to rzec można? Co mi po ozdobach twoich? Przeszedłem plac roboty twojej, przejrzałem dzieło twoje, zdało mi się coś ślicznego: skończyłem i nie znalazłem nic, coby rozumowi i uczuciu memu zadość uczyniło; próżny odszedłem; za szczerą więc zabawkę, mowę i pismo twoje, ale nie za dzieło dobre i piękne poczytywać będę.

Zwyczajnie gdzie się wszystko dla samych ozdób i okrasy dzieje, tak największa że tak rzekę, zeszpecenia jest niebezpieczność. Dziki człowiek rozumie, że gdy głowę spłaszczy dziecięciu, gdy sobie wargi przedziurawi, gdy pstro pomaluje twarz i ciało, piękności sobie przydał, a on przez to zrobił się straszny. Wizerunkiem to jest tój zakowskiej i prostackiej usilności bez gustu, bez braku, bez znajomości świata, mowę i pismo swoje kaleczący.

Piękna mowa być powinna polerowna jak żelazny oręż, który razem zwalcza i blaskiem przeraża.

Jest jeszcze cechą i przymiotem piękności, ta łatwość i naturalna niby płynność, że się zdaje dzieło twoje bez żadnej pracy i zastanowienia zrobione... Ale byłoby wielkim błędem rozumieć iż pisarz, dzieło swoje na jaw i przesłanie potomności gotujący, może sobie niedbalstwa i opuszczenia pozwalać. Nie każdemu dany ten dar łatwości. Tych nawet, którym się dostał, widzimy codziennie, jak często on uwodzi; w pismach ich rozwlekłość, niekształtność, powtarzanie, słabość, skutkiem jest zbytniego zaufania. Podjąłeś się pisać, szanuj czytelnika, szanuj sąd społeczeńej i przyszłej powszechności. Niech będzie staranie i pilność, ale w tém największa sztuka, żeby starania i pilności znać nie było. Są sławni pisarze, którzy trudność swoją w robotach uczonych wyznawali; ale gdyby się sami nie przyznali, niktby tego z miłej snadności robót ich domyśleć się nie mógł.

Chcemy nakoniec jeszcze mieć niezawodny znak i do-

wód rzetelnój piękności? wskaże go nam doświadczenie. Wszystko co ma prawdziwą nadobność, co nie pozorną tylko okrasę, im dłużej, im częściej widziane i baczone jest, tém coraz więcej rozkoszy sprawia. Drobnych ozdobek ta jest własność, że zrazu się przyjmują i lubość sprawiają, ale wkrótce ckliwość i uprzykrzenie nastąpi, powtarzać ich widoku nie można. Tysiąc razy świątynie Panteonu, kościół Watykański, posągi Apollina i Niobe, obrazy Rafaela i Ty-cyana widziéć będziesz; tysiąc razy nowe piękności odkryjesz: nietylko upodobanie i smak się nie przytarł, ale równie chęć powrotu do tych dziwnych dzieł geniuszu i ręki. Któż czytał Homera, Demostena, Wirgiliusza, Horacego, żeby z nowym smakiem czytania nie powtórzył.

Jest rodzaj mówców i pisarzów mniemających, że słuchacza i czytelnika ujmą, gdy śmieszki stroić, dowcipem igrać i szydzić będą. Wesołość miłą jest ochłodą życia i towarzystwa ludzkiego, wesołość mowy i z duszy pochodzić i do duszy płynąć powinna. Powabu, przyjemności nie odrzuca mądrość i cnota; lecz nie masz nic niebezpieczniejszego jak chcieć zawsze być wesołym, zawsze rozweselać. Żart zręcznie rzucony, wiele skutku sprawi ku usłudze prawdy. Ale natykać żarciki i jedne drugimi gonić, lekkiego, a często złośliwego umysłu jest znakiem. Nigdy, ci śmieszków rozrzutnicy szacunku sobie nie zjedną, bardzo błaży, rzekł Cycero, dowcipu owoc jest śmiech.

Na tym rozdziale kończy się tom I-szy z dzieła o *Wymowie*, szczupłość miejsca nie dozwala dalszych czynić wy-pisów, umieszczę więc tylko prostą treść rozdziałów.

Tom II, rozdział XIII. Mówca radny sejmowy. Jest to nauka kierująca człowiekiem na zjazdach narodowych radzącym i mówiącym.

Rozdział XIV. Mówca sądowy pewny. Podobny jest ten rozdział poprzedzającemu.

Rozdział XV. Kaznodzieja, mówca i nauczyciel religii.

Rozdział XVI. Mówca chwalcący. Nauczca co i jak chwalić należy.

Tom III, Rozdział XVII. Pisanie dziejów. Historia. Powinności dziejopisa. Sposób pisania dziejów.

Rozdział XVIII. Listy. Rozmowy.

Rozdział XIX. Mówcy klassyczni niektórzy znakomitsi z opisaniem krótkim historycznym i krytycznym dzieł ich.

Na tym rozdziale niezupełnie ukończonym, przerwało się tak użyteczne dzieło. W tym trzecim tomie miały być jeszcze dwa obszernie rozdziały: *jeden* o czytaniu ksiąg z pożytkiem, o tłumaczeniu obcych pisarzów na ojczysty język; *drugi* o ćwiczeniu młodzi w mówieniu i pisaniu; wprawa, rozsądek, przestrogi dla nauczycieli i uczniów w prowadzeniu i nabywaniu nauk. Stosowanie tychże nauk do użytku pospolitego i szczególnego. Czwarty tom i piąty miał zasady i wzory *poezyi* zawierać. Żałując tego co dopełnionem nie zostało, korzystajmy z tego co jest, i czytajmy pilnie dzieło, którego jak słusznie mówi Sianisław Potocki, karta każda jest wymowy i moralności nauką.

Inne pisma Piramowicza są:

I. *Dykeyonarz Starożytności* dla szkół narodowych ułożony, wydany w r. 1779. Służy on do zrozumienia dawnych pisarzów, bo zawiera w sobie wiadomości obyczajów starożytnych, zwłaszcza Greków i Rzymian. Pczęści przełożony jest z dzieła francuzkiego pana *Furgault*. Styl jasny, czysty, płynny, dobór rzeczy, nie tylko pomocnym do nauki historyi starożytnej, ale i miłym w czytaniu go czynią; go dzien zająć miejsce w liczbie ksiąg edukacyjnych.

II. *Instrukcja dla Nauczycieli* szkół początkowych wiejskich i miejskich, kreślona prawdziwie przez autora,

który pisał z doświadczenia. Ta instrukcyja przerobiona i powiększona przez Józefa Lipińskiego, wyszła powtórnie z druku 1817 roku, z użytkiem przez każdą matkę czytana być może.

III. *Nauka obyczajowa, osobliwie dla ludu wiejskiego.*

Temu dziełku równego podobno niema w naszym języku. W ośmiu naukach na różne paragrafy podzielonych, słowami Pisma Świętego stwierdzanych, zawiera najlepsze przepisy moralności i sztuki życia, zupełnie do naszych włościan zastosowane. Sposób pisania łatwy do pojęcia, przekonywający. To dziełko powinno być w rękach całej niższej klasy; dzieci wyższej, korzystać w niem znajdą.

IV. *Przedmowa do wojska* w obozie pod Gołębiem przy poświęceniu sztandarów, odezwa prawego obywatela, chrześcianina i mówcy.

V. *Mowy coroczne, zdające sprawę królowi z działań Komissyi edukacyjnej*; jasność ich, płynność, porządek, podały myśl zlecenia Piramowiczowi napisania dzieła *o Wy-mowie*.

Taki jest nieobszerny co do liczby, ale ważny co do rzeczy poczet pism Grzegorza Piramowicza. Przedsięwziął on jeszcze jedną pracę, któraby w użytku może wszystkie przewyższała. Przywiązany, jak wiadomo, do nizkiej klasy ludu, tak licznej, a u nas tak ciemnej, chciał się przyczynić dzielnie do jej oświecenia. Umyślił więc napisać dzieło, w którym chciał zamknąć co tylko do dobrego bytu ludu fizycznie i moralnie przyłożyć się może. Religia, obyczaje, oświecenie, zdrowie, gospodarstwo, przemysł, rząd domowy, taki był cel jego. Bierze on w nim pod swoją opiekę człowieka u kolebki, i do grobu nie opuszcza; dzień każdy jego życia chce oznaczyć użytkiem i wskazać mu do szczęścia drogę prawdziwą. Już był część tego dzieła ukończył, a do całego pracowity przygotował zbiór rzeczy i myśli, lecz po rozbiorze kraju zaniechał tej pracy. Dał jej był tytuł: *Książ-*

ka użyteczna dla ludu: zdało mu się że już tego ludu niema; że już pisać nie warto; chociaż w tém dał się unieść żalem, bo narody znikają, ale lud zginąć nie może. Szkodę niezmierną, jaką niższej klassie u nas przyniosło to uniesienie obywatelskiego żalu, należałoby aby kto chciał powetować. Szanowny ten rękopism istnieje, jak świadczy Stanisław Potocki *), możeby go dobyć i uzupełnić można. Byłby to piękny sposób uczczenia pamiątki Piramowicza, hold zapewne ceniom jego najmiłszy. Kto wie, może między wami, dzieci moje, które to wspomnienie czytacie, rośnie ów mąż, co tego chlubnego dzieła dokona.

ONUFRY KOPCZYŃSKI.

Ci wszyscy mężowie, którzy w czémkolwiek miłej zasłużyli się ojczyźnie, mają prawo do wdzięczności i do wiecznej rodaków pamięci; między nimi, w niepoślednim rzędzie stawiać należy tych, co nad językiem ojczystym pracowali. Język jest węgielnym kamieniem światła narodu, i zdaniem uczonych, żaden pisarz doskonałym być nie może, jeśli praw językowych nie zna i nie zachowuje. Dzieci drogie, nie wątpię że was mocno sława narodowa obchodzi; jeżeli więc ze czcią wspominiacie imię Konarskiego, który pierwszy podupadły język ojczysty z gruzów łaciny wydobywać zaczął, nauczcież się także wymawiać z uwielbieniem imię tego, który spełnił wszystkie wróżby młodego wieku,

*) Obacz pochwałę Piramowicza k. 79.

który mowę polską wznowił, wykształcił, zubożył, ustalił, imię Kopczyńskiego.

Mąż ten nieśmiertelny, tém godniejszy wspomnienia, że nie tylko uczony, lecz i cnotliwy; urodziwszy się w pierwszych latach panowania Augusta III, zastał język polski zepsuty, bez zasad, bez prawideł, zastał go nastrożonym cudzoziemczyzną, zarażonym mylną składnią i niewłaściwemi wyrazy. Przeszedł był już bowiem oddawna świetny wiek Zygmunatów, znikł zupełnie w przestrzeni czasów; już nawet łuna światła jego, żadnej na obecne wieki nie rzuciła jasności; Polska w grubój ciemności pogrążoną była; nauki jakby letargiem uspięone leżały, a dzieła Kochanowskich, Górnickiego, Orzechowskiego, Fredry, Skargi i innych wielkich owych czasów pisarzy, butwiały w księgozbiorach, przywalone najnikczemniejszymi piśmiennictwa płodami. W nich mowa Polska znieważona, straciła dawną prostotę, jasność i moc swoją; dziką, najeżoną i niezrozumiałą przybrała postać. Geniusz Kopczyńskiego poznał te wszystkie błędy, zaradził im i wykorzenił. Co wielki umysł Konarskiego marzył, on to uskutecznił. Po kilkunastu leciech niezmięconej pracy, wynalazł prawdziwy skład języka polskiego; przekonał, że sam z siebie bogaty, żywić się u obcych nie potrzebuje; że im jest czystszy, tém piękniejszy; wznowił zadawnione a dobre wyrazy, utworzył nowe najwyborniejsze, w miejscu gdzie żadnych nie było; wytłómaczył filozoficznie i zrozumiale wewnętrzną różnicę wszystkich części mowy, nadał prawidła wymawiania, pisowni: słowem utworzył pierwszą dokładną poprawną *gramatykę narodową*, i stał się pierwszym prawodawcą języka polskiego. Jak w każdym dziele, tak i w tej jego pracy są jeszcze, jak mówią znawcy, rzeczy rozwinięcia i poprawy potrzebujące; ale jakże to łatwiej doskonalic rzecz już dobrą, niżli ją stworzyć; i jakaż nieśmiertelna chwała należy się temu, który pierwszy trudności obali, i drugim łatwą już drogę otworzył! Od czasu wy-

dania wiekopomnej pracy Kopczyńskiego, wychowanie narodowe właściwie się zaczęło; ułatwiła ona bowiem dawanie wszystkich nauk i umiejętności w mowie ojczystej; jej zasady z ust do ust przechodząc, nieznacznie oczyściły i ustaliły polszczyznę; po polsku pisana, Gramatyka Kopczyńskiego dzielnie rozkrzewiła światło narodu, i rozlała dobroczynne skutki na tych nawet, którzy napozór uczestnikami jej nie byli.

Dać wam krótką wiadomość o życiu tego sławnego męża, wspomnieć, jak jeszcze za życia usiłowania jego przez wdzięcznych rodaków uwieńczone zostały, użyć próbki pióra jego, to dziś uczynić przedsięwzięłam.

Onufry Kopczyński urodził się d. 29 listopada 1735 r. w Czerniowie, w województwie Gnieźnieńskim. W szkołach Warszawskich pod przewodnictwem Konarskiego sposobił szlachetne serce, i kształcił ten umysł wzniosły, który tyle miał przynieść zaszczytu imieniowi polskiemu. W siedemnastu latach został Pijarem, natchnienia pięknej duszy słuchając zawczasu, w samej wiosnie dni swoich, obowiązał się wiecznymi ślubami życie całe poświęcić pomnażaniu i rozkrzewianiu światła. Od pierwszej młodości największe miał upodobanie w łacińskich pisarzach, największą ku rodowitej mowie skłonność; zgłębiał więc usilnie język Rzymian i własny, a nadzwyczajny dar jasnego sądu o rzeczach, głęboki rozsądek, który mu zawsze istotną prawdę odkrywał, sprawiły, że wynalazł najbliższe stosunki polszczyzny z łaciną, i na tej podstawie budować zaczął. *Waron* sławny gramatyk łaciński, natchnął go do podobnej Polakom przysługi; w kwiecie wieku wziął się do tak trudnego i mozolnego dzieła, które do późnej starości doskonalił. W dwudziestym pierwszym roku rozpoczął uciążliwy, lecz tyle zasługi przynoszący, zawód nauczyciela młodzieży. Łącząc najpiękniejsze duszy i serca przymioty do zalet rozumu, z taką słodyczą i pilnością nauczał, że dziatki mówiły ro-

dzicom: „Lubimy księdza Kopczyńskiego nauki nad wszystkie, a jego jak ojca kochamy! on nam rzecz każdą jasno i dokładnie tłumaczy, on z nami słodko i łagodnie postępuje!“ Żyją jeszcze liczni uczniowie jego; niektórzy z nich choć już w dojrzałym wieku nie zapomnieli wdzięku tych nauk, i nigdy bez wzruszenia o Kopczyńskim mówić nie mogą. O, słodka dobroci nagroda! jakże się ciągnie pamięć twoja! jakie trwałe pomniki w sercach szlachetnych zostawiasz!...

Kopczyński przez lat 65 żyjąc w zgromadzeniu XX. Pijarów, piastując najwyższe tego szanownego grona urzędy, nie przestał nigdy być zajęтым i edukacją młodzieży i wykształceniem mowy ojczystej; zwrócił on nawet uwagę do mozołów dziecinnych w czytaniu i pisaniu, i tę naukę ułatwił; nie zapominając przy tylu wiadomościach, że był z powołania duchownym, kreślił zbiory nauki Chrześcijańskiej i obyczajowej; nad językiem polskim czuwał do końca, jak ojciec czuwa nad ulubionem dziecięciem; w osobnych dziełkach, w pismach publicznych, na zgromadzeniach Towarzystwa Przyjaciół Nauk, którego był członkiem, wszędzie przemawiał, ujmował się za nim. Błędy postrzegane w mowie tak ustnej jak pisanej, raziły go niezmiernie. Mówią, że raz znieść nie mogąc krzywdzącego język wołania przekupnia, który chodząc po ulicy, krzyczał z całej siły: „*Garków, Rynków*“, przywołał go do siebie i hojnie obdarzył, za to, aby odtąd nie *rynków* ale rynek wymawiał. Wołał on tak przez dni kilka, lecz wkrótce przemógł zadawniony nałóg... I nie dziw że Kopczyński prostego przekupnia odzwyczaić nie mógł, kiedy tyloletnie zabiegi jego, przykład i prace, nie potrafiły wlać we wszystkie serca polskie miłości ojczystej mowy, i chęci do gruntownego jej poznania. Rzadko dotąd w którym domu Gramatyka jego należy do zbioru książek edukacyjnych młodzieży płci żeń-

skiej *). Ale chociaż niestety! nie wiele jeszcze Polki korzystały z badań prawodawcy języka polskiego, umieli je ocenić Polacy. Okazywał mu względy szczególne król Stanisław-August, i światli członkowie ówczesnej wiekopomnej Kommissyi Edukacyjnej; szczyliło się nim Zgromadzenie Pi-jarskie; uwielbiali go uczniowie, a każdy miłośnik nauk i cnoty, hołd mu winny oddawał. Ale tyle zasługi mająca praca jego, jeszcze czywistszój i okazalszój wymagała nagrody; uwieńczyli go nią ziomkowie. Właśnie w dniu, kiedy ten mąż szanowny 82gi rok życia zaczynał, znani z nauki i z przywiązania do mowy ojczystej rodacy, mając wtedy na czele Ministra Oświecenia, Stanisława Potockiego, wywiązali się w imieniu narodu, z długu wdzięczności i uwielbienia, i ofiarowali mu publicznie medal złoty. Na tym medalu znacznej wielkości, jest po jednej stronie dobrze trafione popiersie z napisem w około: *Onufry Kopczyński*, a po drugiej wpośród wieńca te słowa: *Za Gramatykę języka Polskiego Ziomkowie*. Ta uroczystość narodowa odbyła się z okazałością w d. 30 Listopada 1816 r. przy licznych świadkach. Wymowne usta głosiły talenta i zasługi słusznie wieńczonego męża, za co rozczulony starzec, z patryarchalną powagą godnie podziękował. Ten ostatni głos jego, pełny szlachetnych uczuć, umilony skromnością, ożywiony duchem narodowym, prawie całkowicie tu mieszczę; będzie on dla was, dzieci moje, wiernym obrazem, jak Kopczyński czuć, myśleć, i pisać umiał.

Mowa księdza Kopczyńskiego.

„Nadzwyczajne w życiu ludzkim zdarzenia, wprawiają umysł naprzód w martwe zadumienie, a potem w czynną

*) Nie zapominajmy że było to pisane w 1827 r.

troskliwość zgłębiania przyczyn i istoty tego zdarzenia. Takim zdarzeniem jest dzisiejsza uroczystość, niespodziewana nigdy, a wielce ciekawa. Wyszędłszy z pierwszego zadziwienia, nad zbiorem tak licznego grona ludzi wszelkiego stanu i wieku, postępuje myśl do uważania i szczególnych osób, i do całości. Będąc Polakiem, dosyć świat znającym, poznaję i witam każdego obywatela szczególnego, bo cechą rozumu, nauki i obywatelskich dzieł świata znajomego. Zbierając zaś w jeden ogół tak liczne i wspaniałe grono, nie wiem czy się nie mylę, że widzę w nim ojczyznę. Panowie moi! gdy w zbiorze waszym postrzegam czoło obywatelstwa, nie imion tylko i przymiotów rozumu i umiejętności światłem błyszczące, lecz najwyższe kraju urzędy, pokoju, wojny, religii, sądów i wychowania piastujące; takich mówię obywateli, któż mi nie pozwoli nazwać najwspanialszemu ojczyzny imieniem? Witam cię tedy z głębokim uszanowaniem, luba ojczyzno! W śmielszej już i weselszej postaci z łaski wspaniałego Aleksandra, a jako dobrej matki poufale się pytam: Po coś tu do mnie zawitała? boś ty najmniejszym krokiem swoim pewny i znaczny cel zamierzać zwykła. Co to znaczą te sławnych wymowo ust dla mnie, pochwały? co, jakiś nieśmiertelności zadatek w ofiarowanym mi podarku? przynosiszli dla mnie rozkaz jaki? niestety! nie rychłość się wybrała. Jestci jeszcze ochocze serce, ale osłabione ciało boleje mocno, iż ci już służyć nie potrafi. Ledwie zdołał wykonać wolę twoją, którąś mi przed kilką młodszych lat przez szanownego *Dantyska* *) zaleciła. Wysłęczałem nową języka polskiego gramatykę, odłączoną od łaciny, skróconą wprawdzie, ale zwiększoną nowemi po-

*) Pod tém nazwiskiem książę generał Czartoryski wydał: *Myśl o piśmie polskiem z uwagami nad sposobem pisania w rozmaitych matematykach*. Bentkowski Hist. Pol. Lit. Tom I. 200.

strzeżeniami, a nadewszystko nie widzianą dotychczas teorię akcentów, których prawidła z odwiecznej najlepszych czasów praktyki, prosto i jasno wyprowadzone, są potrzebną tak języka jak gramatyki koroną.

Kilka już lat spoczywa i dojrzewa to dziełko, ale dzisiejsza literatów burza, wsparta na przesądném przysłowiu, o źle zrozumiałej wolności polskiej, łamiąc bezkarnie Komisji Edukacyjnej wiele prawideł, ortografię polską tak mięsza i kłóci, że nikt nie wie czego się ma trzymać w pisaniu! ta mówię, literatów burza, nie pozwala nowej gramatyce ruszyć się z portu; może, po mojem utonieniu w wieczności, na spokojniejsze puści się morze, i usatkuje rozhlukane fale. Maszli co więcej do rozkazania? Królowo moja, ojczyzno! młodszy i zdolniejszy zakonu mego towarzysze, oczekują zleceń twoich. Ja ośmdziesiąt laty obciążony, nie za twoją, ale za nieuchronną wolą natury idąc, nie o pracy ale o grobowym spoczynku myśleć muszę, mając zwłaszcza takich, którzy mnie wyręczyć mogą. Jeżeli już ojczyzno! nie nową pracę, lecz nagrodę dawnych prac moich miałaś na celu dzisiejszego przyjscia, i sama przez się raczysz mi oddawać medal, zawstydzasz mnie niezmiernie niezasłużonego na to, i do milczenia przymuszasz. Masz przedemną i dawniej i lepiej zasłużonych. Trzy blisko wieki czeka Kopernik uwieńczenia, a Konarski mógłby za nim postępować. Ale ja cóż jestem względem tego patryarchy polskich Pijarów? Poprawił on porządek nauk i sposób ich uczenia, wrócił dobry smak mówienia i pisania, otworzył nową szkołę nie instrukcyi ale i edukacyi sposobiącej się do rządów młodzi, zwałił najszkodliwszą sejmów Hydrę *liberum veto*, i odebrał za to prywatnie medal od osoby królewskiej. A ja cóżem w porównaniu tego uczynił? a przecie publicznie z rąk ojczyzny takąż odbieram nagrodę. Wstydby mnie niezasłużonemu zamknął usta, gdybym się nie domyślał, że to łaskawa ojczyzno! czynić raczysz nie tak

dla stojącego nad grobem starca, jako dla zachęcenia młodszych towarzyszków moich. Jest to zgromadzenie religii i naukom poświęcone, od lat blisko dwóchset służące ci wiernie, pocziwie i chwalebnie; ale fundowane na ubóstwie, które dla najlepszych chęci do dzieł większych bywa pospolicie przeszkodą i tamą: względy tedy i łaski twoje, dobra i opatrzna matko! racz ze mnie zwrócić na to zgromadzenie, które ci i za mnie i za siebie zawdzięczy.

A ty nadziejo ojczyzny, przytomna tu szkolna młodzi! dla której uwieńczone dzisiaj dzieło jest pisane, ucz się z przykładu tego, którą drogą do celów swoich masz postępować. Telenta wydoskonalone przez szkoły, chwycić się mają prac ojczystych, za których nagroda, widzisz, jest pewna. Kochaszli ojczyznę, kochaj jój język; kochaszli to oboje? kochaj i klucznicę nauk, gramatykę“.

OBJAŚNIENIA.

(1) Zarzucają Kopczyńskiemu, że polszczyznę do łaciny stosował; wydał wprawdzie Gramatykę polsko łacińską, pierwój niż polską, ale właśnie tój okolicznosci upowszechnienie polskiej i skuteczność swego wpływu zawdzięcza. Łacina wszechwładnie natenczas u nas królowała; wszyscy prawie lepiej znali łacinę niż polszczyznę; pierwsza miała już stężale i niezmiennie formy, w drugiej nie wiedziano jeszcze co badać i czego szukać; zestawiając przeto formy obu języków, Kopczyński poznanie naszego własnego nam ułatwił, a nie zepsuł go wcale. Owszem pamiętać trzeba, że jak cywilizacya nasza od pierwszego brzasku swego wyrabiała się na łacinie, tak i mowa w swym rozwoju ślady łaciny zachować musiała. Dzisiejsi gramatycy opierają się na pobratymczój słowiańszczyźnie; roztrzygają wątpliwości i podają zasady według praw rządzących inne współzródłowe narzecza: mają wielką słuszność, ale zwyczaj który jest ostatecznym sędzią w tój mierze, nie wszystkie przecież ich wnioski przyjął i zatwierdził, choć już wiele bardzo przepisów Kopczyńskiego zmienił lub usunął. W każdym razie przynajmniej całe słownictwo gramatyczne tego badacza na zawsze już nam zostanie. Jest tak jasne, tak czysto polskie, że najlepiej dowodzi jak poznał duch języka, jaki miał rzechy

można zmysł językowy. Kiedy równocześnie z nim piszący wymyślali najosobliwsze dziwolągi, żeby odłogiem leżące pojęcia wypowiedzieć i z łacińskiego tłómaczyli: participium *uczestnictwo*, adverbium zaś *przekładanie* i t. p., Kopczyński odrazu w użycie wprowadził *imiesłów, przysłówek, spójnik* i wszystkie mniej więcej używane dotychczas w gramatyce wyrażenia.

STANISŁAW MAŁACHOWSKI.

(ur. r. 1736, um. r. 1822).

Chciałabym, dzieci lube, zebrać w tém piśmie wam przeznaczoném wyłącznie, wszystkie imiona godne żyć wiecznie w pamięci, godne być wczesnie celem uwielbienia i wdzięczności naszój; takie mając chęci, błdziłabym wielce nie mieszcząc tu dłużej o Stanisławie Małachowskim wspomnienia. Już też rok drugi, jak chodzę koło wywiązania się z tak miłej powinności, jak staram się, aby wam jakie nieznane dotąd przynieść o nim szczegóły, ale nie były bardzo pomyślne zachody moje; i jak już nieraz zmuszoną byłam uczynić, tak i dziś czynię, kreśląc wiadomość o życiu jego, prawie jedynie z szczegółów wszystkim wiadomych złożoną. Może też do bezskuteczności starań moich, przyczyniła się najwięcej sława Małachowskiego; ona zwykła rozgłaszać jeszcze za ich życia czyny ulubieńców swoich, i następne pokolenia echem jój tylko być mogą.

Stanisław Małachowski urodził się w Końskich, dnia 24 Sierpnia 1736 roku, w pierwszych leciech panowania Augusta III, z Izabelli Humieckiej i Jana kanclerza koronnego, znakomitych rodem, bogactwy i cnotą rodziców;

a chociaż miał trzech braci i siostr siedm *), był u nich ukochanym synem. Nie było jeszcze w owych czasach tych dobroczynnych szkół publicznych, gdzie dziś młodzież cała z łatwością nauki czerpać może; gdzie duma wyższych przytarta, pokora niższych wzniesioną bywa; gdzie różne stany zaprawiając się do szlachtetnej i rzetelnej równości, uczą się wcześniej i z doświadczenia, iż między ludźmi istotną i prawdziwie pochlebiającą różnicę wartość osobista stanowi. Małachowski odebrał więc wychowanie domowe, i ten szczególnie acz drobny napozór, podwaja cenę późniejszych, jakie okazał przymiotów. Trudno to bowiem synowi majątnych i wiele znaczących rodziców, otoczonemu pochlebcy na każdą chęć jego powolnymi, trudno mówię ujść próżnej dumy, samolubstwa, jakiegoś odosobnienia siebie od reszty ludzi. Dla panicza w domu rodzicielskim chowanego, wszystko od kolebki się zmawia, aby mu inny świat stwarzać; aby go przekonać, że on chociaż nic jeszcze nie zrobił, już jest więcej od wszystkich: mało kto, a może nikt mu nie powie, że imię jego i majątek są to jedynie długi zaciągnięte u sławy. Jakoż kiedy człowiek ubogi i pospolitego rodu jest pospolity, nikt o nim nie wie i znika bez śladu; ale kiedy potomek znakomitych naddziadów, dziedzic wielkich bogactw, nie doda blasku swemu imieniu, majątku użyć nie umie, niesława go czeka.

Charakter Małachowskiego tak był zdolny jak i inne, do przyjęcia najmilszych zasad; bo i gdzież jest to dziecię, któreby samo przez się prawdę rozeznało od błędu? Dowo-

*) Oto są tych braci i siostr imiona, tytuły i nazwiska: Mikołaj, Wda sieradzki; Hyacynt, kanclerz W. koronny; Antoni Wda mazowiecki; Anna Potocka, kasztelanowa lubaczewska; Katarzyna Czacka, podczaszyna kor.; Karolina Grabieńska, starościanka stężycka; Eleonora księżna Lubomińska, cześnikowa koronna; Podoska, wojewodzina płocka; Stecka, chożyńska kor.; Izabella panna.

dem jego stosownej do owego wieku edukacyi, jak łatwo i jakby mimowolnie szkodliwe jej prawidła wszczepiały się w najlepiej usposobiony umysł, niech będzie czyn następujący. Małachowski, jak cała młodzież polska, lubił namiętnie jazdę konno i myśliwstwo, a z natury był żywy, a nawet gwałtowny. Razu jednego na polowaniu, kiedy w zwierza nagonionego, on pierwszy jako pan miał ugodzić, jeden ze strzelców pokwapił się i wystrzelił. Oburzony tą śmiałością sługi, Małachowski w pierwszym gniewu zapędzie, raz przeznaczony zwierzęciu przeciw człowiekowi wymierzył i strzelec padł bez duszy! Młodzieniec zobaczywszy co uczynił, ochłonął natychmiast i wpadł w najżywszą rozpacz; ledwie się dał uspokoić: długo za tę popędliwość srodze żałował, rodzinę strzelca obsypał darami, ale już życia człowiekowi nie wrócił! Kto wie jednak, czy ta smutna okoliczność nie sprawiła w nim zbawiennego wstrząśnienia? kto wie czy nie nastęrczyła mu tej myśli, iż głęboko powinny być wpojone w każdego z ludzi prawa człowieka, iż powinien wierny dosłownie przepisom chrześcijaństwa, nawyknąć od dzieciństwa do widzenia w każdym człowieku brata, jeśli chce, nie uczynić nigdy żadnemu z nich, czasem nawet mimowolnej niesprawiedliwości i krzywdy? Kto wie, czy liczne jakie dał dowody, miłości ludzi, które mu zyskały *przyjaciela ludu* przydomek, nie były okupem za tę ofiarę? Kto wie nareszcie, czy ten przymiot sprawiedliwości, który sprawił, że go w dalszym wieku *Aristidesem polskim* nazwano, nie powstał z wyrzutów uczynionej krzywdy? Któż bowiem zgłębić potrafi, jakimi drogami Opatrzność wielkie dusze do udoskonalenia prowadzi? kto dojrzy jak w jej ręku sam jad do uzdrowienia posłużyć może? Nic w całym życiu Stanisława Małachowskiego tego czynu popędliwości młodzieńczej nie przypomina, owszem wszystko go zagładza, wszystko mu jest przeciwne; nie wahałam się też o nim wspomnieć, i nie sądzę, aby mi to wyjawienie za złe poczytane

być miało. Opis przewinień cnotliwych ludzi bywa czasem skuteczną nauką, bo dumnych przestrzega o ułomności człowieka, błądzących przekonać może, iż otwarty zawsze przystęp do cnoty; a któż nie wie o radości samych aniołów, kiedy się grzesznik nawraca? Któż nie zna ceny łez żalu?

Małachowski przeznaczony z urodzenia do znakomitych tytułów i urzędów, był naprzód rotmistrzem znaku pancernych, potem starostą sandeckim; w roku 1764, kiedy Poniatowski tron obejmował, był posłem na sejm koronacyjny a wnet potem marszałkiem trybunału koronnego. Jeszcze w roku 1578 szlachta polska, czując jaką było niedogodnością i przewłoką wszystkie sprawy odnosić do króla i sejmu, postanowiła za panowania Batorego, trybunał główny koronny, i ten utrzymywał się ciągle. Starano się zawsze dobierać ludzi zacnych na tych sprawiedliwości szafarzy, ale nie zawsze wybór ten był pomyślny; wszyscy jednak z radośnym odezwali się poklaskiem, kiedy król na Małachowskiego obrócił oczy. Dopełniał obowiązków ważnego tego urzędu z największą gorliwością, starając się o wymiar sprawiedliwości jak najrzetelniejszy: wynagrodzili mu te trudy wdzięczni rodacy pięknym *Aristidesa* przydomkiem, wynagrodził monarcha mianując go referendarzem koronnym. Tęj posadzie również sądownictwo i opieka ludu wiejskiego i miejskiego poruczone były; ją zajmując, wsławił się Małachowski czynem, powtarzanym już nieraz przez pędzel i pióro: „Uwiedziony z innemi sędziami w As^sesoryi, obrotem jednego patrona, a więcęj jeszcze dla nieprzywiedzionych w czasie sprawy dowodów, wydał dekret, który sam potem z wielkim dla siebie żalem uznał za niesprawiedliwy; a chcąc nagrodzić to mimowolne uchybienie, posłał natychmiast po skrzywdzoną stronę, i kilkadziesiąt tysięcy, o które spór szedł, z własnej szkatuły zapłacił.“

Piastował Małachowski przez lat kilkanaście ten urząd

znakomity i mozolny, z nigdy nieposzlakowaną rzetelnością. Te jego zasługi zyskały mu szacunek i wdzięczność publiczną, i kiedy w roku 1788 zebrał się sejm słusznie wielkim nazwany; kiedy cały naród radził, gdzieby szukać mądrego i cnotliwego sternika do téj łodzi, która miała ocalić szczęście i trwałość kraju, a tylko sławę przyniosła, jednomyślnie dnia 6 Października, Małachowskiego marszałkiem sejmowym mianowano. Nie tu miejsce i pora opisywania tego wszystkiego, co sprawił ten sejm pod takim przewodztwem; któż tego nie wie? ale trudnoby przemilczć kilku Małachowskiego czynów. Naprzód pierwszy pomimo tak wkorzenionych jeszcze w owym czasie przesądów, wpiisał się w księgi jako mieszczanin warszawski; pierwszy w Polsce zawarł korzystne i dobroczynne układy z włościanami licznych swoich dziedzin i osobistą nadał im wolność. A kiedy dla podźwignienia narodu, trzeba było koniecznie ażeby król stanął na czele wojska, kiedy nagłym go przedstawiał, że nie będzie miał o czém utrzymać się w obozie, natenczas Małachowski z własnego majątku 30,000 dukatów mu ofiarował. Gdy zaś dla Polski nastał dzień 14-go Maja 1792 roku, gdy drugi podobny w 23 Lipca nastąpił, Małachowski wyjechał natychmiast z Warszawy, naprzód do Krakowa, a potem zagranicę.

Po ostatnich wypadkach schronił się naprzód do Włoch Małachowski, a potem do dóbr swoich w Galicyi będących; tam cieszył się kmiotków swobodą, tym błogim darem, którego im uczczył! Lecz i tam nie używał długiej spokojności; obwiniony o knowanie spisku w Medyolanie, był uwięziony i zaprowadzony do Krakowa. Gdy mu żadne przestępstwo dowiedzioném być nie mogło, wypuszczony został

po ośmiomiesięcznym więzieniu, i wrócił do zaciszy domowej. Pomimo tego, iż dwa razy wchodził w małżeńskie śluby, już wtedy ani mężem ani ojcem nie był. Straciwszy pierwszą żonę, Czapską, starościankę knyszyńską, pojął był jej rodzoną siostrę, wydaną naprzód za księcia Radziwiłła; lecz i ta nie uszczęśliwiła go długo: właśnie obradom wielkiego sejmku przewodniczyła, kiedy skończyła pełne cnot życie. Kilkoro dzieci z obudwóch, w kolebce umarło. Ale zastępowało w jego sercu i w jego domu te rozerwane związki, grono sióstr, synowców, siostrzanów; z pierwszych najwięcej kochał Jana *); między drugimi największą mu przynosił pociechę i chlubę, znakomitą przymioty i nauką, Tadeusz Czacki, który pod okiem jego wzrastał w lata, w światło i cnoty. Umilała także codzienne jego życie młoda pasierbica, Marya Radziwiłłówna, którą za własną uważał córkę **). Wśród nich i licznych przyjaciół żyjąc, pędził życie spokojne. W ostatnich leciech rządu pruskiego mieszkał w Warszawie. W roku 1807, kiedy zwyciężający cesarz Francuzów, Polaków do rządu powołał, stanął na czele Komisyi rządowej w dniu 14 Stycznia; później zaś, gdy po Tyłżyckim pokoju, księstwo Warszawskie byt swój uzyskało, Fryderyk August zaszczycił go dostojęństwem prezesa senatu. Chociaż wiek sędziwy już go przycisnął i ubielił włos jego, nie doszła zima do serca; tlała w nióm czysta i prawdziwa obywatelska cnota, zawsze o sobie dla kraju zapomnieć gotowa. I tak, kiedy wyniszczone wpływy księstwa Warszawskiego, groziły niedostatkiem soli, milio-

*) Jan Małachowski, naprzód referendarz koronny, potem marszałek dworu księstwa Warszawskiego, nareszcie senator, wojew. król. Pol. zmarły w roku 1822.

***) Ta księżniczka wydana jeszcze za życia ojczyrna za syna siostry Tadeusza Czackiego, Wincentego Krasińskiego, generała i wojewodę, umarła zostawiwszy po sobie jedynego syna.

nową rękojmnią na dziedzicznych dobrach swoich zapisaną, zyskał w rządzie austryackim kredyt dla skarbu, i zasłonił spółobywateli od braku jednéj z najpierwszych potrzeb życia, kraj od straty zysku jaki ztąd ciągnął. Na dostojnym urzędzie prezesa senatu, który z prawdziwą piastował godnością, zakończył pełne lat, pełniejsze cnót i sławy życie, dnia 29 Grudnia 1809 r., po krótkiej chorobie. Śmierć jego okryła żałobą naród cały. Cnotliwy Fryderyk August, którego serce oceniało Małachowskiego, dowiedziawszy się o jego śmierci, zapłakał i wyrzekł: „To największa strata, jaką poniosłem będąc księciem Warszawskim.“ Cudzoziemcy podzielali z rodakami żal głęboki nad tym nieodżałowanym zgonem, obecny wtedy w Warszawie, rezydent francuzki Serra, wynurzył uczucia swoje przed godnym zmarłego przyjacielem w następującym liście, który może służyć za pogrzebową i wiary godną Małachowskiego pochwałę.

Dnia 31 Grudnia 1809 r.

„Nie jest mi jeszcze wiadomo, czyli rząd uchwalił pogrzebową cześć Stanisławowi Małachowskiemu; żal po zgonie jego jest w sercach wszystkich. Miło mi to wyrazić Wacpanu, któryś sam poniósł wielką stratę, który tyle miał powodów czuć ją głęboko, i który w téj smutnej chwili czulszym będziesz na to co traci ojczyzna, niż na to co sam straciłeś. Tak jest, zbliska jak z daleka powszechny żal towarzyszyć będzie do grobu zwłokom przyjaciela jego. Łzy strapionych spółziomków będą dla niego ostatnią uroczystością, ostatnim czei dowodem, której przygody, władza sama ni dać, ni porwać nie może. Niestety! smutne uczucie, które nas wszystkich w téj chwili napełnia, przemienie aż nadto prędko. Nic niéma trwałego dla człowieka, nic trwałego w człowieku; w téj życia podróży bardziej nagląc się sami niż mimowolnie nagleni, tak szybko przed oczyma

naszemi przedmioty mijają, iż lekkie tylko zostawują po sobie wrażenie. Czas unosi zarówno i rozkosze i troski nasze, i nawet w dobrodziejstwach swoich okrutny jest dla dusz tkliwych. A tak zatrze się i ten smutek, który wznieca dziś ten zgon żaloszny; lecz pamięć prezesa waszego długo będzie lubą i szanowaną w narodzie; łączy się ona z wielkimi epokami późniejszych czasów Polski, z wielkimi chwilami odwagi, stałości, świetnych nieszczęść i szczęśliwych odmian, które nastąpiły po nich: przeszły przez te próby wielkie cnoty jego, nie zachwiawszy się nigdy.

Czyste obywatelstwo, najpierwsza z cnot publicznego człowieka, było prawdziwą jego wielkością. Świetniejsze dary uczyniłyby go może sławniejszym, ale też mniej byłby kochanym. Większe talenta zjednałyby mu (jeśli można) więcej szacunku, rzuciłyby na życie jego jeszcze więcej blasku; ale byłby wystawiony na pociski zawiści, a ta oczerniła by wszystkie jego przymioty. Godny uszanowania przez swą nieskazitelność, uczciwość, prawidła prawdziwego honoru, pierwój jeszcze nim stał się szanownym przez wiek i oddane krajowi usługi, nakazywał, iż tak rzekę, cześć powszechną. Ten to hołd zupełny, który namiętności, sam nawet występki przymuszone są oddawać cnotcie, dowodzi czem ona jest, świadczy o Boskim jej początku. Zgon męża tego, powtarzam raz jeszcze, jest dla ojczyzny waszój wielką i ważną stratą; byłaby nią nawet i wtedy, kiedyby wiek i słabość sił nie dozwalały mu być dłużej pożytecznym. Obecność męża sprawiedliwego jest podniętą do czynienia dobrze, hamulcem do wstrzymania od złego; jest to żyjący ster, który kieruje rządzących; jest to magistratura dobroczynności, która zasłania i broni rządzonych. Acz pewne są rękojmię pomyślności ojczyzny waszój, życzyć należało, żeby Stanisław Małachowski mógł być dłużej sprawować tę wielką władzę, którą mu wyższość cnot jego nadała. Zda wało mi się, że widział w nim ten dąb wspaniały, oka-

załą lasów ozdobę, który ciąg wieków ogołacał powoli; lecz był on jeszcze chwałą i podporą lasów. Uderzyła go śmierć, i las zadrżał pod upadkiem jego...“

Ciało Małachowskiego z wielką pochowane uroczystością, czeka dnia chwały w kościele dolnym XX. Misyonarzy w Warszawie. Po lewej ręce od wchodu, leży w katakumbie między zwłokami dwóch żon swoich. Antonina z Czackich Krasińska, siostrzenica jego, położyła mu kamień z tym napisem:

Stanisławowi Małachowskiemu,
Marszałkowi Pamiętnego Sejmu konstytucyjnego,
Prezesowi Senatu Księstwa Warszawskiego,
troskliwemu o los poddanych panu,
Opiekunowi miast, wzorowi prawych obywateli,
pełnemu lat, zasług i nieskażonej cnoty,
tę skromną uczczenia pamiątkę
Jedna z familij poświęca.

Wspanialszy grobowiec z Rzymu sprowadzony, wzniesiony jest w kościele św. Jana; myśl jego jest taka: Stanisław Małachowski siedzi w krześle; w jednej ręce trzyma laskę marszałka, a w drugiej zwiniętą księgę. Po jednej stronie Polska w postaci niewiasty płacze nad trumną. Po drugiej wystawiony jest rycerz z orłem księstwa Warszawskiego, przybywający z pośpiechem, jakby na głos Małachowskiego *).

*) Pomnik ten, roboty Torwaldsena, dla braku miejsca nie w Świątę Krzyżkim, lecz w Ś-go Jana kościele umieszczono.

Małachowski był miernego wzrostu, postaci szlache-
tniej; miły w rozmowie, lecz więcej rozsądny niż dowcipny;
prócz ojczystego, posiadał dobrze cztery języki: łaciński,
niemiecki, włoski, francuzki; pisał dosyć, ale najwięcej
w przedmiotach sejmu się tyczących; mówił gładko, acz nie
z porywającą wymową. Pobożny bez przesądów, więcej
uczynkami niż słowy wiarę swą dowodził. Majątek przechodzący
cztery miliony, lecz znacznie umniejszony ofiarami
obywatelskimi, podzielony został po jego śmierci między
synowców i siostrzeńców jego. Synów tylko wojewody ma-
zowieckiego Jana i Stanisława, obdarzył jeszcze za życia.

KRÓTKI RYS ŻYCIA

MARYANNY Z ŚWIDZIŃSKICH
LANCKOROŃSKIEJ

KASZTELANOWEJ POŁONIECKIEJ.

(ur. 1737, um. 1826 r.).

Dnia 28 Marca, 1826 roku, podobało się Bogu powo-
łać do siebie Maryannę z Świdzińskich Lanckorońską,
w 89-tym roku jej życia. Śmierć dla nas wędrujących je-
szcze po tej ziemi, tę przynajmniej ma korzyść, że gdy
oferze swojej mowę zamyka, tysiące innych ust otwiera;
a pochwały znaniej osoby, póki żyła, przez wzgląd na jej
skromność tłumione, wylewają się jak potok skoro zgaśnie.
Już więc pióro dwóch znakomitych pisarzy naszych, głos
wymownego kapłana, nadobne sztuki, łyż liczych krewnych,
liczniejszych jeszcze przyjaciół, niezliczonego ubóstwa, wy-

razy powszechnego uwielbienia i żalu, hołd dostateczny pamięci Maryannie Lanckorońskiej oddały; lecz w powszechnej niemal po jej śmierci żałobie, wśród jednozgodnych pochwał, odzywają się wspólnie i znającym ją z bliska, i mniej szczęśliwym życzenia, ażeby wierny i dokładny opis jej życia, a raczej cnót i przymiotów obraz, na widok publiczny był wystawiony. Opis takowy nie może być skutkiem jednej osoby zabiegów, ani też kilku miesięcy owocem; chcąc wzór piękny i bogaty zupełnie i godnie wystawić, połączonych i kilkoletnich usiłowań potrzeba. Przekonana o tej prawdzie, nie mogłam jednak oprzeć się własnemu sercu, które od chwili jej zgonu do przemówienia o niej mnie namawia; ani pragnieniu udzielenia wam, dzieci lubo, choć krótkiego rysu życia niewiasty, za wieczny przykład chrześciankom i Polkom służyć mogącej. Com więc w niedługim przeciągu czasu, od osieroconych jej krewnych i stroskanych przyjaciół zebrała, czegom sama naocznym była świadkiem, co publiczność powtarza, to wszystko dziś wam przynoszę; nie wątpiąc, że znajdzie się później pisarz więcej świadomy i zdatny, który wzorowe to życie w obszernym wyda obrazie, i do potomności prześle; a moja dzisiejsza prosta i niedokładna praca, uważaną i przyjętą będzie, jak ów skromny fijołek, którego zasługą całą, że rychło kwitnie i większe dary wiosny zwiastuje.

W tej małej nadziei, przystępuję śmiało do nakreślenia rysu życia Maryanny Lanckorońskiej; ciśnie się do pamięci mojej obfitość lat, większe jeszcze cnót i przymiotów bogactwo; widzę te strumienie łez po jej zgonie wylane, i dotąd jeszcze tak nieprzebranie z oczów bliższych niej osób płynące; słyszę te szczere pochwały w podwojach książących, i w skromnych lepiankach zarówno jej imieniu dawane; czytam w pismach publicznych wymowne czuciem i prawdą wspomnienia; patrzę na tkliwe powtórzenie jej twarzy, pokoju, a w tym natłoku myśli, wyobrażeń i pa-

miątek, pytam się sama siebie, czémże to była ta niewiasta, którą tak publiczność uwielbia, żałuje, którą pióro, pedzel, dłuto, na wyścigi jakby wrócić nam usiłują? która pierwsza z Polek, cześć takową od rodaków odbiera? Może pochodząc z rodu królów lub książąt, nosiła jedno z tych imion, które od wieków zaszczytem będąc ojczyzny, już swój urok mają, albo téż ogromny posiadała majątek, wielkie dawała uczy, nadzwyczajne poczyniła zapisy? Nie: rodzina jój i imię choć znakomite, nie do tych rzędu należą; majątek nie dochodził miliona; dożywotne dochody miała znaczne, ale wielu jest bogatszych, o których świat nie wie; całą zaś posiadłość swoją prawym sukcesorom zapisała. Może była to niewiasta nadzwyczajnej nauki, bystrego dowcipu i rozumu, znacząca w politycznym świecie? zapewne jak druga *Staël* kierowała duchem publicznym, dawała nauki rządzącym; jój dom był muz przybytkiem, jój zdanie o dziełach wyrokiem; zapewne w księgach, na papierze i płótnie, biegłości swojej w piśmiennictwie i w sztukach nadobnych szacowne zostawiła dowody? Nie: żadna kobieta nie może strzedz pilniej jak ona, obrębu płci niewieściej wskazanego, kochała mocno ojczyznę, nie wdając się bynajmniej do jój rządów; każdy rodak poczciwy jednakie u niej zyskiwał względy; o ściany jój pokoju nie obijał się nigdy odgłos zapalonych sporów; chociaż światłą była, nikt jój nie nazwał uczoną, czytając ze smakiem niektóre książki, bardzo mało o nich mówiła, a miarę o talencie pisarza, brała zwyczajnie z moralności dzieła.

Listy do oddalonej rodziny i przyjaciół, modlitwy, sekreta gospodarskie, rejestra, testament, zwyczajnym stylem napisane, ozdoby kościelne igielką wyszyte, niezmierna liczba prostych dla ubóstwa ubiorów, oto jedyne jój pracy pomniki. Może niegdyś zachwycającej była urody i słynęła nią w kraju i za granicą, lub téż życie jój obfitowało w dziwne przygody, w owe igrzyska losu, które ich ofierze po-

wszechne zyskują zajęcie? Nie: piękną nie była nigdy, wiek cały w własnej strawiła ojczyźnie, nie była nigdzie dalej jak w Szlązku; życie jej zaś bez przygód szczególnych, spłynęło spokojnie jak ów strumyk, co po gładkiej tocząc się równinie, cicho i bez oporu do rzeki wpływa. Może zostawiła małżonka, synów, córek, rodzonych wnuków i prawnuków grono? zapewne te łzy i jęki, ich wrodzonej boleści było odgłosem; a te pamiątki, ten hołd cały należną od nich daniną? Nie: już więcej niż pół wieku minęło od czasu jak jej małżonek spoczywa w grobie. Matką nie była nigdy; ta cała cześć jej pamięci oddana, obcych to osób, krewnych w drugim, w trzecim stopniu dzieło. Czémże więc mogła pozyskać taką wziętość, takie uwielbienie? z jakiegożto powodu kilka pokoleń z uszanowaniem na nią patrzyło? Czémże była?—Cnotliwą! Oto tajemnica jej sławy.

Ani naddziadów blaskiem, ani majątku przewagą, ani dzielnością geniuszu, ani bystrością dowcipu lub talentów siłą, ani pięknosci lub nieszczęścia urokiem, ani licznym potomstwem, stała się głośną; cnotą samą, cnotą płci jej właściwą, wszystkich umysły i serca podbiła. Nie jaśniała ona bynajmniej tém co świat zwykle uwielbia; podobną była raczej *dziennej niewieście*, o której mędrzec wspomina: „Szukała lnu i wełny, i pracowała dowcipem rąk swoich; upatrowała ścieszki domu swojego i chleba w próżniactwie nie jadła; dawała korzyść domownikom, pokarmany służebnym, nie bała się dla nich zimna, bo wszyscy u niej po dwie suknie mieli; palce jej ujęły wrzecziono, nie gasł i w nocy kaganiec robocie jej przyświecający; z pożytków téż pracy swojej nasadziła winnicę; rękę swą otwierała dla ubóstwa, dłonie łączyła nad niedostatecznym. Ochędostwo ubiorem jej było; usta otwarte dla mądrości, zakon miłosierdzia na jej języku. Wiele téż córek ludzkich zyskało sławę, ona je przewyższała wszystkie; bo omylne są powaby i marna; jest piękność, ale niewiasta bojąca się Boga, ta będzie chwa-

loną, tę owoce jęj rąk sławić będą, ta się w dniu ostatnim uśmiechnie..." Po tych świętych wyrazach, które znający z bliska Maryannę Lanckorońską, dosłownie do nięj zastosować potrafią, cóżby dodać na jęj pochwałę? Otóż zacząć nareszcie ów rys jęj życia, i już nie mówić z mędrcom: „Któż znajdzie niewiastę dzielną?“ ale zawołać z wdzięcznością i żalem: „Była między nami!“

Maryanna z Świdzińskich Lanckorońska, córka Stanisława Świdzińskiego, herbu *Pulkozić*, wojewody braclawskiego, regimentarza partyi ukraińskiej, urodziła się w Sulgostowie, wsi dziedzicznej ojca, w województwie Radomskim, w dzień Ofiarowania P. Maryi, 21 Listopada, 1737 roku. Był to rok piąty panowania Augusta III, rok dla głodu panującego po całej prawie Polsce, i chorób ciężkich z tęjże przyczyny zagęszczonych, od innych lat tego panowania jeszcze nieszczęśliwszy. I dla rodziny Świdzińskich niemniej był smutny, a ten Bóg który Maryannie Lanckorońskiej tak długie i swobodne pasmo dni przeznaczał, przy wstępie jęj na tę ziemię, ugodził ją najsroźszem z nieszczęść. Matka jęj Maryanna Dziulanka, której brat, ostatni potomek męzki tęj rodziny, koniuszy Stanisława Leszczyńskiego, umarł bezdzietnie w Lunewilu, dając jęj życie, swoje utraciła. Zdążyła jednak zapewne pobłogosławić tę nowonarodzoną córę, kiedy ta później tyle cnót zgromadzić w sobie zdołała.

Te cnoty, jakby kwiaty nadobne, od słodkiego czulości tchnienia zakwitły. Najmłodsza z rodzeństwa, pierwój nieszczęściem ugodzona, niżli poznanie mająca, ta luba dziecina od piérwszych dni swoich stała się przedmiotem najżywszój miłości ojca, tkliwój dwóch braci Michała i Ignacego opieki, celem starań najstarszój z rodzeństwa, Bony. Ta lubo w młodocianym jeszcze wieku, zgadując już macierzyńską czulość, nagrodziła jęj niejako stratę, która obie dotknęła; a mała dziecina, wdzięczna i kochająca, poniosła

jěj w zamian połączone córki i siostry uczucia. Na łonie tej luběj opieki, wzrastała Maryanna Świdzińska w lata i przymioty; tam bogobojny ojciec, czuła siostra, przywiązani bracia rzucali w tę duszę tak dobrze usposobioną, owe drogie nasiona cnoty z wiary wynikłe, które w niej do takiej doskonałości dojść miały; gdy zaś Bona Świdzińska weszła w związki małżeńskie z Kazimierzem Granowskim, wojewodą rawskim, człowiekiem znakomitą cnotą, światłem, uprzejmością i przywiązaniem do ojczyzny, ojciec bojąc się, by młodsza córka jego bardzo w domu po siostrze nie tęskniła, i pragnąc dodać blasku wzrastającym jej przymiotom, oddał ją do najpierwszej w owym czasie pensyi w Warszawie *), gdzie córki znakomitych rodzin, zdobyły cnoty u rodziców nabyte, pięknego ułożenia okrasą. Lat kilka na tej pensyi trzymał córkę wojewoda Świdziński i mającą rok siedmnasty odebrał. Lecz nie rozweselała ona długo przytomnością swoją Sulgostowa pałacu: twarz miła chociaż nie piękna, oczy niebieskie pełne wyrazu, uśmiech nadobny, kibić kształtna, żywość wielka, dobroć niewymowna, luba i przyzwoita wesołość, zalotników zwabiały. Młoda i szczęśliwa u rodzica, zastanawiać się lubiąca, Maryanna Świdzińska nie miała wielkiej ochoty stanu odmieniać; wybór siostr tak szczęśliwy, nauczył ją także jakich przymiotów w towarzystwie życia upatrywać należy, i może nieco wymyślną uczynił; już téż nie jednego konkurenta wesołym i niewinnym oddaliła wybiegiem, kiedy trafił się bardzo majątny, i ojciec odmówić go nie pozwolił.

Działo się to w połowie XVIII-go wieku; wtedy rodzice najczulěj do dziełek przywiązani, bez ich wiedzy dozgonne dla nich układali związki; a młode dziewice z tą samą powolnością szły do ołtarza, z jaką od kolebki naj-

*) Trzymała ją panna *Strumle*.

mniejszą wolę rodziców spełniały. I Maryanna Świdzińska jedynie woli ojca posłuszna, w której Boską upatrywała, nie wahała się przyjąć za męża Stanisławą Lanckorońskiego, później kasztelana połonickiego, lubo był wdowcem i w znacznie podeszłym wieku. W Sulgostowie w roku 1754, odprawiło się huczne wesele, i wnet nowożeńcy pojechali na Podole, i osiedli w Jagielnicy, dobrach Lanckorońskich, o pięć mil od Kamieńca. Tam lat sześć prawie ciągle mieszkali; tam 18 Grudnia 1760 roku, umarł Stanisław Lanckoroński. Przez te sześć lat pożycia z żoną, pan ten rozpoznał w niej wcześniej dojrzałą roztropność, cierpliwość nieprzebraną, wszystkich cnót zasady, a przytém szlachetnej oszczędności zarody, rozsądnej hojności prawidła; chciał więc ułatwić ję sposoby dobrze czynienia, i zaopatrzył ją znaczném dożywociem; jeśli przewidywał ile tym jednym czynem błędów zmaże, ilu nieszczęśliwym łyzy otrze, mógł umierać spokojnie...

Już nie żył wtedy wojewoda Świdziński; Bona Granowska czując zawsze ku siostrze macierzyńską miłość, podwojoną jeszcze widokiem ję cnót i osierocenia, jednozgodnie z mężem, (nad wyraz do przybranęj siostry przywiązanym), wezwała ją do domu swego. Są jeszcze listy obojga Granowskich, gdzie najtkliwszemi słowy zapraszają siostrę do siebie: „Zmiłuj się (pisze wojewodzina), przybywaj do tęg, która cię sercem i duszą kocha, będziesz pociechą i kordyałem moim.“ Przybywaj kochana siostruniu (dodaje wojewoda), a będę się starał zastąpić ją dostatecznie we wszystkich ję interesach, i wszystkie za nią znosić przykrości, które w samą przemianę się dla mnie pociechę, wspomniawszy że dla kochanęj siostruni je znoszę.“ Nie opierała się wcale tym naleganiom młoda wdowa; skoro uspokoiła się cokolwiek w nieochybnych w takim razie sprawach, pośpieszyła do siostry i szwagra; a przekładając uciechy serca i ich przyjemność nad wszystkie powaby wol-

ności, lubo mogła (jój być spragniona), wróciła chętnie do podległego życia; stowarzyszyła się z osobą nawykłą powodować nią od dzieciństwa. Widząc ją w domu Granowskich, w dwóch pokojach się mieszczącą, o jednej tylko służącej, patrząc na jój dla siostry i szwagra uległość i względy, każdy mógł sądzić że posłuszną, tkliwą, niezamezną córkę mają przy sobie. To umiarkowanie, doświadczone nieszczęściem i powszechnie uwielbiane cnoty, znaczne dożywocie, powtórnie na nią oczy wielu zalotników zwróciły. Staął w ich rzędzie Piaskowski podkomorzy krzemieniecki, dziedzic Janowca, stanęło wielu młodych, zacnych i bogatych panów; ale dwudziesto-cztero letnią wdowę nie złudziły ani pochlebstwa, ani miłość, ani majątek; może dla podobnych co i dawniej przyczyn, może dla jakiej innój ukrytój, postanowiła w sercu nie wchodzić już w powtórne związki, nie powierzać nikomu dowolnie własnego szczęścia, żyć jedynie dla Boga, siostry i rodziny: dotrzymała słowa, a rzadką obdarzona delikatnością, umiała gorycz odmówek taką przejmomością osłodzić, że każdy z tych zalotników szczerym przyjacielem jój został.

Wątpić nie można, iż w tém stronieniu od małżeństwa, chęć łatwiejszego wspierania nieszczęśliwych, była jedynym z ważnych jój powodów. Z zarodem cnot wszystkich, dostała ona od szczodrego nieba zaród miłości rodzinnej ziemi; bo jakżeby bez tój cnoty wzorem Polek być mogła? Pierwsze lata jój wdowieństwa były właśnie ową chwilą zachodu Augusta III, zorzy Poniatowskiego; ową chwilą, kiedy szlachetny zapał, obudzony z długiego uśpienia Polaków poruszać zaczynał; kiedy wszyscy dobrze myślący (a codzień wzrastała ich liczba), czuli potrzebę wydzwignienia Rzeczypospolitej z okropnego i gorszącego nieładu. W owym czasie, każdy niemal Polak działał, i każdym czyste kierowało obywatelstwo; szkoda tylko nieodżałowana, że nie było w tém działaniu jedności: każdy miał ten

sam cel, ale każdy inną dążył drogą, nie mogli więc razem stanąć u mety... Bądź przez powinowactwo rodziny Świdzińskich z Krasińskimi, bądź skutkiem własnego przekonania, wojewoda Granowski przystąpił do tak zwaney konfederacyi Barskiej, zawiązaney w roku 1768, pod przewodnictwem dwóch Krasińskich, Michała podkomorzego rożańskiego, i Adama biskupa kamienieckiego, za sprawą siedmiu Puławskich i wielu innych znakomitych panów. W tym celu cały majątek poniósł w ofierze; Maryanna Lanckorońska zaufana w jego światle i jego oczyma na rzeczy publiczne patrząca, chętnie do tych jego darów swoje dochody łączyła, uszczuplając wydatek na własne i zawsze skromne potrzeby. Nieodstępna od siostry i szwagra, wspólnie z niemi mieszkała czas długi w Cieszynie, w Szląsku, gdzie biskup kamieniecki z wielą konfederatami był osiadł, i jedność niejaką w tym związku zwolna tworzyć zaczął.

Kiedy niezgody związkowych ciężkimi razami dotykały konfederacyę, pomimo waleczności jęj członków, kiedy nareszcie zamach kilku z nich na króla, 3 Listopada 1771 roku spełniony, odstręczył od nięj naród królów swoich szanujący; kiedy już i Częstochowa zdobytą została: konfederacya musiała rozwiązać bezskuteczne zamiary, i Granowski wraz z innemi opuścił Cieszyn, i szukał schronienia w Gdańsku. Tam, zupełnie pozbawionego majątku, Maryanna Lanckorońska przez lat kilka wraz z siostrą utrzymywała; a szczęśliwa, że tak drogim jęj sercu osobom użyteczną była, niosła im w ten sposób dary swoje, iż zdawało się, że przyjmując je, oni jęj szczęście rządząją. Od dawna słabowity, pomimo wszelkiego starania i do wód jeżdżenia, wojewoda Granowski umarł w tym czasie. Nad śmiercią jęgo, obie siostry prawie równie gorzkie łyzy lały; jeśli jedna męza, druga najtkliwszego opiekuna i przyjaciela traciła. Jeszcze ściślej tém nowém nieszczęściem złączone, bo nie równie dwóch serc nad wspólną stratę nie spaja; dwie sio-

stry jednozgodnie przeniosły się do Warszawy. Podczas ich pobytu w Gdańsku, poznały się były z osobą, jakby spokrewnioną z niemi, tyle cnót i pobożności miała; była to Krystyna, z książąt Sanguszków Bielińska, starościna czerska; pobożność téj pawi dotąd jest głośną, lud świętą ją uznawał, i po jój śmierci koniecznie domagał się kanonizacyi; tę więc jak trzecią pokochały siostrę, a w jój matce, Barbarze z Duninów, księżnie Sanguszkowej, wdowie po marszałku litewskim, jakby utraconą od tak dawna matkę znalazły. Sprowadziwszy się więc do Warszawy, pragną żyć blisko tak już drogich im osób, obrały sobie mieszkanie w ich pałacu na Królewskiej ulicy będącym, dziś Łubieńskich zwanym.

Nigdy przyjaźń godniejszej nie mogła mieć świątyni, nad serca Bony Granowskiej, Maryanny Lanckorońskiej i Krystyny Bielińskiej, które młode jeszcze, znakomite rodem i majątkiem, w czasie tak zepsutych między możnemi obyczajów, w duchu świątobliwym się złączyły, i wszystkie swe chwile modlitwie, ręcznej pracy, dopełnieniu obowiązków, i dobrym poświęcały uczynom. Zwano je *miłą trójcą*, bo ich trzy serca i dusze jedno tylko składały. Księżna Sanguszkowa, jedna z najznakomitszych wtedy pań polskich, której dom wspaniały i otwarty pierwszym był w stolicy która do wielkich cnót niepospolite światło łącząc, zubożyła nawet literaturę ojczystą, tłumaczeniem z francuzkiego *Obląkań rozumu*, i dziełkiem oryginalném pod tytułem: *Rady matki córce swojej*, przewodniczką była tego cnotliwego grona, i tak od przyjaciółek szanowaną, jakby nie jedną z nich ale wszystkich trzech była matką. Poranki i dnie całe poświęcając użytecznym zatrudnieniom, dwie zacne siostry prawie zawsze wieczory u niój pędziły. Tam pierwszy świat się zgromadzał, tam król, posłowie zagraniczni uczęszczali, tam było ognisko dobrego tonu i smaku. Kiedy w lecie księżna Sanguszkowa wyjeżdżała z córką, do lubego sobie

Szymanowa, gdzie piękny pałac jój gustem stawiany, i topole jój ręką sadzone, dziś jeszcze się wznoszą, *święte panie* (bo tym przydomkiem, król, dwór jego, panowie, prostactwo, fiakry *) nawet, dwie nierozdzielne siostry czcili) *święte panie* jeździły do Sulgostowa, częściej jeszcze do Nowego miasta, miejsc gdzie dwaj ich bracia z rodziną mieszkali; i wtenczas częste listy, częstsze jeszcze myśli, łączyły je z oddaloną przyjaciółką. Tkliwe są te wzajemne ich odezwy, które w małej części dotąd się dochowały. Sama drobność szczegółów dowodzi, jak ściśle ich serca złączone były; wszystko sobie donoszą, nawet wiele razy modliła się jedna za drugą, i duch nadobnej pobożności, jakby rozlany na słowo każde się zdaje. Sama pieczętka tych listów nie była światowa. W czasie kiedy tak dbano o herby, godłem ich była Opatrzność, a w około ten napis: *Ztóż na Pana staranie*.

Piękne Nowego Miasta okolice lubiąc niezmiernie, Maryanna Lanckorońska kupiła niedaleko będącą wioskę, którą od imienia siostry i swego *Bonarią* **) przeważa; bo w każdym jój czynie, bądź napozór obojętnym, malowała się zawsze jój tkliwa dla siostry miłość. Żyje jeszcze wiele osób, które na niepospolite dowody téj miłości patrzyły, które bez rozrzewnienia mówić o niej nie mogą. Bona Granowska w porównaniu z siostrą prawie uboga, zaledwie szóstą częścią do wydatków domowych przykładać się mogła; Maryanna Lanckorońska opędzała je więc prawie wszystkie: lecz któż byłby się tego domyślił? Uboższa siostra była panią domu; z jój ust wszystkie wychodziły rozkazy, w jój rękach wszystkie były pieniądze; ona służących przyjmowała i odprawiała, gości zapraszała, główne zajmowała

*) Dzisiejsi doróżkarze.

**) Ta wioska dziś inaczej się zowie.

pokoje; a bogatsza, zupełnie jój podległa, zawsze na jój usługi gotowa, myśląca jedynie o tém, jak jój ująć kłopotów i trosków, jak utaić przed nią zdarzenie, zmartwić lub rozgniewać ją mogące, jak umilić jój życie, wszystkim chęciom dogodzić, wszystkie życzenia uprzedzić? zdawała się być ową tkliwą wychowanicą, która wywdzięczając się opiekunce za jój starania i dobrodziejstwa, miłością, względami, uległością płaci, czego jój ubóstwo złotem wynagrodzić nie pozwala. Takie było przez lat trzydzieści trzy wspólnego z siostrą mieszkania, Maryanny Lanckorońskiej postępowanie... Gdzież szukać piękniejszego téj duszy obrazu?..

Dwie wielkie straty w pałacu księżnej Sanguszkowej, srogą boleścią serca *świętych pań* przeszły; świętobliwa, łagodna, przyjemna, Krystyna Bielińska, zaledwie w nieco dojrzałym stanawszy wieku, umarła: poszła w kilka lat za nią zacna jój matka. Uciekając z mieszkania gdzie tak długo uszczęśliwiała je cnotliwa przyjaźń, dwie siostry przeniosły się w roku 1791 do domu Missyonarzy, do tegoż samego, w którym lat trzydzieści pięć potém, oblewać miała Warszawa łzami, wyzute z pięknej duszy Maryanny Lanckorońskiej zwłoki. Tam, według przyjętego między nimi zwyczaju, starsza siostra górne pomieszkanie zajęła, młodsza trzy dolne pokoje; drugie piętro rozweseliły młode obudwóch bratunki. Właśnie bowiem na krótki czas przedtem zakończył był życie swoje drugi z ich braci, Ignacy Świdziński, naprzód pułkownik wojsk polskich, późniój starosta lityński; zostało po nim dwóch synów i siedm córek; już nie miały matki, a dwie dopiero, Maryanna i Barbara, zamężne były. Opatrzność, która w niedościgłych działa widokach, ani Bonie Granowskiej, ani Maryannie Lanckorońskiej nie dała dzieci, jakby umyślnie dla tego, ażeby się pozostałą po bracie rodziną bliżej opiekować mogły. Czulej niewieście i matką być nie trzeba, żeby mieć dla osieroczonych dzieciątek matki uczucia; młode *świętych pań* bratunki,

w ich sercach i domu, miłość, starania rodzicielskie odzyskały; trzy z nich: Bona, Maryanna i Róża z ich rąk znacznych dostały mężów; dwie Joanna i Tekla, zostały wolne, ażeby w późniejszym wieku oddać sownie ukochanej ciotce te starania, któremi ona dziecinne ich lata i młodość pielęgnowała.

Ale tymczasem zdrowie Bony Granowskiej oddawna słabe, nagle pogorszać się zaczęło; nikła dotknięta tą okropną chorobą, której pastwą tyle ofiar ginie; która przez samą miłość ludzkości zwrócićby powinna na siebie wszystkie lekarskiej sztuki zabiegi: na raka wewnętrznego. O! jakże podobna choroba niszczy boleśnie dotkniętych jój śmiertelnym jadem! jakże rozdziera serca otaczających jój ofiarę. O! jakieżby wdzięczności był godzien, jakieżby nieśmiertelne pozyskał imię, ten, który od młodych lat poświęciwszy się jój badaniu, wynalazłby skuteczne na nią lekarstwo. Wdzięczna potomność postawiłaby imię jego w rzędzie dobroczyńców ludzkości, błogą zapewniłby sobie przyszłość.

Zawsze też sama, Maryanna Lanckorońska, tkliwością, czułem staraniem, słodziła siostrze długie, okropne cierpienia; sama znękana smutkiem i trwogą, lecz prawdziwą pobożnością silna, cieszyła ją, dodawała odwagi. Ileż nocy bezsennych przy jój łożu boleści strawiła! ileż wylała łez potajemnych! jakże oddalała troskliwie wszystko, coby jój stan pogorszyć mogło! W tym czasie kiedy Warszawa, naprzód pięknych bohaterских czynów, chlubnych usiłowań, lubych nadziei stolica, stała się mieszkaniem zaburzenia i trwogi; chociaż przykro było jój obywatelskiemu sercu porzucać ją w takiej chwili, wywiozła ukochaną chorą swoją do Zamościa, i tam roku 1795 utraciła tę, którą przez lat pięćdziesiąt ośm jak matkę, siostrę i przyjaciółkę wielbiła. Mężką a raczej chrześcijańską siłą zniosła ten cios, i nie upadła pod tym dotkliwym ciężarem. Za powrotem do War-

szawy, mieszkała lat kilka w domu Zanelego na Senatorskiej ulicy; potem odtęskniwszy się już cokolwiek po stracie siostry, zapragnęła wrócić do mieszkania pełnego jeszcze pamiątki po niej, i zajęła powtórnie i nazawsze, ów dom Missyonarski, obok którego nikt ze znających ją zblizka, długo bez ciężkiego westchnienia nie przejdzie.

Tu właściwie zaczyna się, że tak powiem, życie samoisne, życie publiczne M. Lanckorońskiej; bo do téj pory, zjednoczona z siostrą, kryjąc się za nią jakby za nieprzejrzaną zasłoną pokory i skromności, nie chciała mieć ani odrębnej woli, ani wyłącznego znaczenia: od śmierci dopiero Bony Granowskiej samowolna pani chwil, czynności i dochodów swoich, najstarsza głowa licznej rodziny i otwartego domu, zaczęła pasmo dni świetnych w obliczu całej Warszawy, dni jednostajnych lecz miłych, bo cnota każdy oznaczała i uwielbienie powszechne wznagała.

Pierwsze te chwile osobistej wolności i znaczenia, zastały już Maryannę Lanckorońską w téj porze, kiedy zwykle w człowieku słabieją zdolności umysłu, czułość serca tępieje, siły ciała nikną, słowem, w drugiej połowie wieku, w owym do starości wstępie. Ale w niej rozsądek był tylko sędziwy, na nim zawczasu wycisnął wiek poważne swe piętno; serce jój i umysł uszły zimnej i ciężkiej ręki jego, i zachowały do końca tkliwą i przyjemną lubej młodości postać. Z trzech cnotliwych i tak kochających się towarzyszek, z grona tych zacnych Polek, któremi się szczycił wiek zeszyły, przeżywszy go prawie sama jedna, piękny hołd ich pamięci oddała; niechcąc by zaginęły ich cnoty, zebrała je w swém sercu, wykonywała w życiu; i stała się jak ów dąb wspaniały, zostawiony sam w pośród wyciętego lasu, aby świadczył wzrastającój koło siebie młodzieży, jakiemi byli towarzysze jego.

Wkrótce po śmierci siostry, za pomocą zacnych bratunek swoich mężów, uczyniła ostateczny z sukcesorami Sta-

niślawa Lanckorońskiego układ, w którym bez wszelkiej chciwości, najlepszą krewną i przyjaciółką pokoju się okazała. Oddała im wszystkie dobra, pewną sumę do wypłacenia po jej zgonie, i roczną opłatę wymawiając sobie. Tym sposobem szczuplejsze ale pewne i stałe, krewnym męża dogodniejsze, zabezpieczywszy sobie dochody, zaprowadziła do wydatków swoich niezmiennie prawidła; część znaczną intrat przeznaczyła na to, co winną była pamięci i szczodrobliwości męża, światu, przyzwoitości i samemu Bogu, który ją uczciwym opatrzył majątkiem. Bo mają odbierający dary, swoje obowiązki; utrzymanie się w przyzwoitym bycie jest jakby należącą się od nich ich dobroczyńcom daniną. Wszyscy bogaci winni są społeczeństwu sposób życia do ich dochodów stosowny; tak żyjąc, używają sami, a przytem dobroczynnymi się stają; gdyż zachęcenie uczciwych rzemieślników i kupców, opieka sztuk nadobnych, jest także jeden z sposobów czynienia dobrze, tym piękniejszy, że najmniej chełpliwy. Takie było zdanie śp. Lanckorońskiej; nieraz mawiała: „Wolę kupując rzecz jaką, która i mnie się przyda, wesprzeć tego co pracuje, niżli dać darmo takiemu co nic nie robi.“ A sposób jej życia tak na majątek jej przyzwoity, dowodził lepiej jeszcze od słów, jak głęboko w niej było wpojone to zdanie. Nie znając téż wcale drobiazgowej oszczędności, jedynie rozsądnem i stałem rozporządzeniem dochodów, przez lat tak wiele i podczas tylu zaburzeń i odmian, umiała dom swój doskonale i zawsze na tymże samym stopniu utrzymać; nie strwoniła ale owszem przyczyniła fortuny, z *pożytków pracy swojej nasadziła* dla krewnych *winnice*.

Moda, zbytki powstające, nie zdołały zmienić raz zaprowadzonego trybu; wyższa nad te bożyszczą światowe, nie niosła im hołdu. I tak, u niej do końca, wbrew modzie, bywały po staropolsku obiady wczesne, kawa, a zamiast herbaty wieczera; szalów tureckich, bez których dziś nie

same tylko wielkie panie obejść się nie mogą, nie miała wcale; mową w jój uściech, w jój pismach, w jój salonie, była zawsze mowa ojczysta; w liczbie jój domowników nikt cudzoziemców nie widział; modliła się codziennie razem z czeładką; a kiedy dziś wejść do znaczniejszych domów bez anonowania nie można, jój dom luby pomnik staropolskiej gościnności, od południa do nocy stał otwarty dla wszystkich. Od lat kilku był przecież jeden dzień w roku, kiedy go troskliwe zamykały dłonie, dzień jój święta; gdyż wtedy natłok radujących się z jój życia i zdrowia, tak bywał wielki, że zmęczenie szkodliwém się dla niój stawało. I jakżeby do tój pani nie miała się cisnąć Warszawa? jakżeby każdy przybywający do stolicy, nie miał się starać być jój przedstawionym? serce jój zarówno z domem dla każdego było otwarte, jój gościnność i uprzejmość wzorowa. Nie trudząc i nie męcząc nikogo grzecnością swoją, strzegła jój przepisów nawet z domownikami; jakże baczną była w względach swoich! jak, chociaż napozór dla wszystkich jednaka, umiała odcieniać dowody przychylności i szacunku swego; a gdy kto z jój przyjaciół słabością lub nieszczęściem dotknięty został, z jakiémże to sercem słodziła jego cierpienia, dzieliła smutek! Prawie tyle krewnych licząc, ile lat miała gdy ją nam śmierć wydarła, tak kochała wszystkich, że każdy w progi jój domu z tém zaufaniem i śmiałością wchodził, jakby pod dach rodzicielski; każdy jakby jedyne dziecię był od niój witany; wiedziała o każdego potrzebach: rozsądną radą, tkliwém napomnieniem, trafnym i delikatnym podarkiem nieraz był ich polepszała.

Prawdziwa Opatrzność tój licznej i zacnej rodziny, anioł jój opiekuńczy, była oraz jój węzłem, a dom jój ogniskiem gdzie się wszystkie te promienie łączyły, gdzie tłał święty ogień wzajemnego przywiązania i zgody. Słusznie też jeden z jój krewnych w pierwszych dniach po jój zgonie, nie widząc już dla tój licznej rodziny podobnego wodza,

drugiego tak opiekuńczego przytułku, wyrzekł z boleścią te słowa z Pisma Świętego: „Uderzyłeś Panie w pasterza, rozproszą się owce!“ A ilużto ona obcych zarówno z krewnymi kochała? jak wielu od młodości miała przyjaciół! nie tylko zaś dzieci ich, ale wnuki, prawnuki, uważane były przez nią za członków rodziny; bo ona przyjaźń pokrewieństwem serca zwała. O! jakże też wiele osób prócz krewnych, zgon jój osierocił, i jak wiele Warszawa z jój śmiercią straciła! Straciła dom wzorowy, pomnik tego co było z dawnych obyczajów najlepszym, przykład uprzejmój grzeczności, naderobnego społeczeństwa, wzór starości, prawdziwój religii. Cnót ojców naszych, prawideł sztuki pożycia z ludźmi i zgażdzenia się z wiekiem, łagodnych i świętych wiary Chrystusa przepisów, uczą nas księgi; lecz w niej można było widzieć obraz ich żyjący: tam przepis z przykładem się łączył, a wtedy jakże bywa wymownym! Osoby w świat wchodzące, straciły opiekę, jój dom bowiem był jakby wstępem, zaleceniem do najpierwszych; tam młody bywając często, mógł ukształcić się, i zwolna niemal wszystkie dobrego tonu poznać osoby; tam będąc łaskawie widzianym, mógł być pewnym uprzejmego wszędzie przyjęcia. A religia, jakież w niej chlubne straciła świadectwo!

Prawdziwie i wymownie powiedział nestor pisarzy naszych: *pobożna w modlitwach i czynach*, żywym była piękności Nauki Chrystusa dowodem. Kto tylko wątpił o Wierze naszej, albo nie uznawał jój zalet, niechby ją był widywał często i uważał pilnie, wnet inne byłby powziął zdanie; ta jój cnota, która tak głośną się stała, wszystkie jój przymioty, z czystej wypływały religii, a tak były ujmujące, łagodne, prawdziwe. Wielu mówi, że pobożności ostrość towarzyszy, jój była z wyższego rzędu, bo pomimo wrodzonej żywości, pobłażaniem tchnęła *a zakon miłosierdzia był zawsze na jój języku*. Dusza jój świadoma słabości, którym człowiek podlega, długim doświadczeniem więcej jeszcze z drugich

niżli z siebie nabytém, napoiła się słodko miłością bliźniego, żałowała występnych i przebaczała im, nie zamykała ani drzwi ani serca bładzącym. Nigdy nikt nie usłyszał aby o kim źle mówiła, owszem zawsze pierwszą wieść bliźniego krzywdzącą usuwała gorliwie, a gdy smutne nastąpiło przekonanie, nie mogąc już bronić, milczała. Pełniąc sama jak najdokładniej przepisy Wiary naszój, daleką była od zapału, od przesadzonej gorliwości; obraz obłąkań ludzkich zapalał gniewem jój oczy, marszczył czoło; ale wnet przeważała liłość, i nigdy jój usta nie potępiły nikogo, nigdy inaczój, jak przykładem, nawracać nie chciała. Raz przedstawiono jój potrzebę, aby powagą swoją, chorą od dawna osobę nakłoniła do zbliżenia się do Boga. „Bóg do niój trafi bezemnie, odpowiedziała, modlić się tylko będę, aby Jego natchnieniom powolną była; zresztą kto tyle cierpi jak ona, już tём samém toruje sobie drogę do Boga.“

Wspomniawszy na lata jój podeszłe, przebiegłszy myślą ową zupełną wszech rzeczy zmianę, którój obecną była, wystawiwszy sobie jaki był sposób myślenia w owym czasie, kiedy ona myśleć się nauczyła, a jaki jest dzisiaj? uwielbiać tę niewiastę należy, iż daleka od owój umysłowój miejscowości, zwykłego starych udziału, umiała postępować wraz z wiekiem, zachowując to jedynie z dawnych zdań co dobrem było. Na wybujałe nawet i czasem zbyteczne dzisiejszego wieku niektórych uniesienia, patrzyła bez żółci i gniewu, pamiętając że młody. Jakże ona przystępną, uprzejmą, nie tylko dla młodzieży, ale i dla dzieci była; jak im było dobrze w jój domu, jak im dogadzać umiała! jak lubiła, kiedy straciwszy nieco z oczu ów obręb powagi i uroczystości, którą lata i cnoty otaczały jój osobę, igrały koło niój wesoło. Ona z każdym zgodziła się wiekiem, ona do każdego zastosować się umiała. A dobroczynność jój któż wypowie? *Jój to ręka nieustannie otwartą była dla ubóstwa, prawdziwie tęczyła dłonie nad niedostatecznym, bo zdawało się*

że na bliźnich w potrzebie, sypie dary pełnemi rękoma. Objawszy myślą jęj miłosierne uczynki, możnaby sądzić, że w jęj domu odnawiał się *cud siedmiorga chlebów*, albo téż wyznać prawdę przysłowia: *Jałmużna nie wypróżnia szkatuły*.

Nie miała więcj nad sto tysięcy dochodu; dom jęj był zasobny, otwarty, pięknie utrzymany, nie mało osób chleb jęj codzień jadło; wspierała licznych krewnych, posażyla domowych, przymnażala co rok majątku, a kościoły jaśniały jęj darami, wzmagały się jęj szcudrym datkiem zakony, klasztory, szpitale; nigdy ubogi bez wsparcia od nęj nie odszedł, wielu osobom stały los zapewniła; do wszystkich składek zawsze najpierwsza: Instytut Głuchoniemych w Warszawie jęj po części byt swój winien, wspierała kaleków i chorych; wstydlive ubóstwo ukryć się przed nią nie zdołało i najczęściej potajemnie nieznanym świadczyła. Zapewne téż i jedna część miłosiernych jęj darów i jałmużn nie jest światu wiadoma; prawdziwa chrześcianka, nie wiedziala lewa ręka, czém była prawa dla bliźnich; jak drudzy z błędów, tak ona z dobrych uczynków tajemnice czyniła. Zdarzyło się raz, że osoba z jęj towarzystwa musiała koniecznie odprawić podróż, a nie miała o czém; ofiarować jęj w ręce daru pieniężnego ś. p. Lanckorońska nie śmiała, ale cóż czyni? Spowiednikowi swemu daje sto dukatów, aby tęj osobie zaniósł i imie dającj rownie zataił jak te grzechy, które mu zwierzała. Usłuchał jęj, oddał i zamilczał; lecz delikatność daru, rękę dobroczynną wykryła. Mówią także, iż chcąc się dowiedzieć o ubogich z niższej klasy, często w czasie ciągnienia loteryi liczbowej, zaufanego człowieka posyłała na kantor, aby po smutku nad przegraną rozpoznał potrzebnych; i tak raz rozpaczącj kilkorga dziątek matce, która pewną będąc, że teno wygra, ostatni grosz na zgubę puściła, oczekiwaną sumę wyliczyć kazała, zalecając jęj tylko, aby już nigdy więcj na loteryę nie stawiała.

Równie uczynna jak miłosierna, nietylko pieniądźmi,

staraniem, zachodami świadczyła; ileż w jój domu robiło się składek, loteryi, a wszystkie się udawały; u niój to zawiązały się owe *wielko-tygodniowe kwesty*; długo jój ręce rozdawały zebrane na tych dobroczynnych pielgrzymkach pieniądze; a przysług jak wiele czyniła? Ktokolwiek udał się do niój z prośbą jaką, pewny mógł być wypełnienia, jeśli to w jój mocy było: jakże ona wiele kłótni zagodziła, ile dobrych skojarzyła małżeństw, do jak wielu czynów szlachetnych pomogła; jak rozkrzewiała cnotę i dobre obyczaje, przykładem swoim, radami i ową miłością dobrego którą jój serce pałało. Ci, którzy do sławnych z rozumu uczęszczają kobiety, zwykli za dowcipem się ubiegać; pożycie z nią szlachetniejsze obudzało skłonności; jój towarzystwo starało się o cnoty: każdy wiedział i cieszył się zawczasu, jakie go miłe od niój czeka przyjęcie, kiedy mu się co dobrego z jój wiedzą, a najczęściej z jój polecenia dopełnić zdarzyło. „Niechże cię uściskam!“ mówiła wtedy z rozczuleniem; a te słowa, jój pocałowanie, wyraz radości na twarzy, równą z świadectwem sumienia były nagrodą. Czyż nie jedną osobę z bywających w jój domu, nie wstrzymała w dopełnieniu naganego czynu ta myśl: „Coby téż ona na to powiedziała?“ Bliższe zaś, w takowym razie nie tyle jój wymówek, jak strapienia się bały; bo jeżeli błędy obcych i obojętnych w pierwszej chwili świętym acz przemijającym gniewem ją zapalały, winy drogich jój osób, gorzkim smtkiem napawały jój serce.

Podobnémże uczuciem przejmowała się na widok jakichkolwiek niebezpieczeństw grożących dwom jój duszy bożyszczom: Wierze i Ojczyźnie. Wtedy wznosząc ręce i oczy do góry, zwykła była mawiać: Boże! dziękuję Ci żem stara!“ Ojczyzny losy, jakże ją od najmłodszych lat mocno obchodziły! Pominąwszy, ile ofiar dla jój dobra, dla polepszenia bytu rodaków czyniła, jakże mocno kochała wszystko co polskie! zupełną nawet miała wdzięczność tym, którzy jednego

z nią byli uczucia; mówić dobrze ojczystym językiem już w jej oczach było zasługą. W czasie późniejszych nieszczęść i nadziei, ileżto wsparcia z jej domu mieli rodacy! drogie jej ręce, ileż się napracowały dla rannych. Te niezmęczone ręce z taką *siłą ujęły wrzeczono*, tak nawykły do pracy, że je ani wiek ani kalectwo, od czynności odwieść nie mogło. Nikt sobie ś. p. Lanckorońskiej próżnującej wystawić nie może, i wizerunek jej nawet, póty jej nie przypominał, póki ją nie odrysowano z robotą. Smak ten w zatrudnieniach płci jej właściwych od młodości miała; jeszcze w r. 1772, Krystyna Bielińska tak do niej w jednym liście pisze: „A już teraz prawdziwa łaska mojej pani, kiedy dla mnie robotę porzuca!”

To upodobanie do późnego zachowała wieku; do końca życia *szukała lnu i wełny i pracowała dowcipem rąk swoich*; ozdoby służby Bożej, ubiory nędzarzów i chorych, opatrzenie potrzeb rannych, celem były jej niezmęczonęj pracy; dla tego też i w święta nawet trudniła się robotą. Już ona z długich lat swoich rachunku Bogu nie odda, już ona *w próżniactwie chleba swojego nie jadła*. Każda chwila jej dnia spływała z użytkiem. Wstawiała zawsze o jednostajnej godzinie. Poranne modlitwy, zapisywanie wydatków domowych, sprawy gospodarskie do godziny jedenastej ją zajmowały; o tej porze odmawianą była Msza w jej pokojach, na którą schodzili się wszyscy domowi, i wraz z nią litanie i suplikacye głośno mówili. Przyjęcie jakich ważnych odwiedzin, kogoś potrzebującego jej rady, błogosławieństwa lub pomocy (gdyż nie lubiła, żeby jej kto naprózno godziny poranku zabierał), czytanie pobożnej lub nowęj książki, ubiór stosowny i starowny, *bo ochędóstwo zawsze jej strojem* było, trudniły do chwili obiadowęj; wtedy szła do bawialnego pokoju, siadała na ulubioném krześle, i przyjmowała towarzystwa zawsze dosyć u niej liczne. Już stał na stoliczku przy oknie koszyk z robotą, i skoro po obiedzie wzięła ją do rąk, mrok ją przy niej zastawał, wieczór jeszcze pracującą widział.

Największy zjazd gości nie przerywał tego zajęcia, nie był jój téż wcale do rozmowy przeszkodą! Umiała ją prowadzić, wznawiać, ożywiać; pisma publiczne, nowinki dzienne, wszystko ją bawiło; uczęszczających zaś w jój domu rokosz była największa, kiedy ona sama mówiła, zwłaszcza o dawnych czasach: wtedy słuchał jój każdy z tém natężeniem, jak się wyroczeni słucha, z tym lubym smutkiem, z jakim w końcu wiosny słuchamy słowika. Wieczorem lubiła rozerwać się grą w karty; ale i ta rozrywka miała cel użyteczny; wygraną bowiem składano do skarbonki przeznaczonój ubogim, i nie mógł jój nikt miłszego daru uczynić, jak kiedy co nad powinność wrzucił do téj skarbonki. O jedenastój godzinie już używała spoczynku.

Takie było urządzenie jój dnia do samego końca życia, jeszcze na dziewięć dni przed śmiercią, wszystko szło tym samym trybem. Rzadko widzieć równie podeszłą, równie ze wszech względów szczęśliwą starość; uwielbiana od wszystkich, pielęgnowana troskliwie od bliżej ją otaczających, zwłaszcza od dwóch bratanek swoich, sama nieraz mawiała: „Lękam się bardzo, czy tych przyjemności drogo w tamtém życiu odpokutować nie przyjdzie?“... Umysł jój zupełną świeżość zachował, wzrok nie osłabł, ciało nawet krzepkie i zdrowe, nie odrażało nikogo; słuch nieco przytępiony, hiragra, i niejaki osłabienie w nogach, te były jedyne tyłu lat dowody. Utrzymywały ją zapewne w téj czerstwości i sile, modlitwy tysiąca serc, które dla własnego szczęścia błagały o tę łaskę niebios; utrzymywał ją ten Bóg, który zesławszy ją w miłosierdziu swoim, aby nam wzorem była, dał jój długie życie i zdrowie, abyśmy się jój lepiej napatrzeć mogli; żyła więc tak długo jak mało kto z ludzi, a jednak teraz kiedyśmy ją stracili, zdaje się wszystkim, że nie żyła dosyć.

Ostatnia jój choroba, śmierć sama, jakże godnie uwieńczyły tak piękne i chrześcijańskie życie! Bóg piastując do koń-

ca to ulubione dziecię, nie dozwolił jęj przeżyć samęj siebie; służyły do końca zmysły tęg pobożnęg duszy, nie skryła się przed obecnemi jak zwykle u osób w tym wieku się kryje. Zawsze jednakowo wesoła, przytomna, uprzejma; napadało ją tylko czasem od kilku lat szczególne osłabienie, sen bezustanny i niesmak do jedzenia: otrząsnęła się po kilka razy szczęśliwie z tych nagabań, za każdém jednak mawiała: „Śmierć to swego się dopomina.“ Aliści z nadejściem postu, zaczęła zwolna tracić apetyt, i właśnie w Wielki poniedziałek dnia 20 Marca prawie nagle zasłabła. To osłabienie coraz się zwiększało; już w Wielką środę z trudnością się podnosiła i rzekła do przytomnych: „Będzie to ostatnia słabość moja.“ Wyrzekła te słowa z zupełném przekonaniem, ale bez najmniejszego żalu, zdziwienia i trwogi; nażyła się już, spodziewała się od dawna śmierci jak nieodzownęg podróży, a zapas cnót i pobożności nie dopuszczał żadnęg bojaźni. Ale te jęj słowa uderzyły jak piorun w serca otaczających ją osób; a myśl sama jęj straty, zdawała im się tak okropną, tak niespodzianą, że ją chciały długo za niepodobną uważać. Lecz niestety! każda godzina przynosiła smutne przekonanie o podobieństwie tego nieszczęścia; ustały zupełnie siły fizyczne, chora nic przyjąć nie mogła, a na lekarzy, krewnych, przyjaciół niosących jęj ratunek, wołała bezustannie: „Dajcie pokój ciału, już mu nic nie pomoże; o duszy teraz myśleć należy.“ Jakoż w Wielką sobotę w wieczór, spowiadała się ostatecznie, a w pierwsze święto Wielkanocne, w obecności zgromadzonych krewnych i domowników, ostatnie Sakramenta przyjęła z największą przytomnością i skruchą. Po skończonym obrzędzie, bliższym siebie osobom dziękowała, błogosławiła im, że w chwili tak smutnęg dla nich a tak uroczystęg, płacz głośny wstrzymać potrafiły. Przez dwa dni następujące budowała obecnych poddaniem się woli Boga, zupełném w Nim zatopieniu. Powiernika sumienia swego zawsze koło siebie widzieć chciała

i mówiła mu: „Teraz mnie nie odstępuj, a potem, pocieszaj ich“ dodawała, wskazując na grono osób jęj miłych, we łzach tonących.

W poranku wtorkowym, po długiej chwili milczenia, westchnieniem tylko przerywanego, rzekła: „O wielki Boże! przebacz mi! ileż w tym momencie przypominam sobie natchnień świętych, okoliczności szczęśliwych, którem opuściła. O! jakże mało uczyniłam dobrego!“... Po południu odezwała się wolnym głosem: „Już przysyła śmierć posyłki swoje, już mi nogi drętwieją!“ Prosiła natychmiast świętobliwego kapłana, aby ją przeżegnał, gromnicę zapalił, i Akty nad konającymi odmawiać zaczął. Usłuchał; zajaśniała poświęcona świeca, ów śmierci kaganiec w nogach łoża; ukląkł sługa Boży, uklękli wszyscy, a trwogą tłumiąc łzy swoje, mówili uroczyście modlitwy; powtarzała je za niemi konająca, dosyć wyraźnie: wszyscy niekiedy słyszeli jęj głos, a rzadziej jeszcze głuche stękanie. Po odmówieniu Aktów, zaczął kapłan Psalm: *Kto się w opiekę poda Panu swemu*, ona z razu mówiąc za nim, przerwała nagle tę mowę, i zawołała: „*Panie! w ręce Twoje... chciała powiedzieć oddaje ducha mojego*, lecz śmierć nie dozwoliła tych słów dokończyć, i w tęj chwili oddała ducha Bogu: *wróciła jęj dusza na łono Stwórcy! weszła na drogę wieczności*.”

Nie powiem jaka rozpacz przytomnych, jakie wyrazy żalu przerwały głuche śmierci milczenie. Są obrazy, których pióro dotknąć się nawet nie śmie... Powiem tylko, że gdy po całej stolicy rozeszła się wieść smutna, żalność ogarnęła wszystkich, zgon tęj znakomitej Pani, powszechną się stratą okazał. Gdy trzeciego dnia wystawiono jęj ciało na widok publiczny, odwiedzała ją cała Warszawa; w sieni, na schodach, w pokojach trudno było się przecisnąć. Wyższa, niższa klasa biegła widzieć raz jeszcze te szanowne zwłoki, zapłakać nad niemi. Śmierć nie wiele jęj postaci zmieniła; wyraz twarzy był zawsze spokojny, łagodny. miły; wi-

dać było, że *uśmiechała się i w dniu ostatnim*. Większy jeszcze natłok, większy żal dał się widzieć na pogrzebie, i światowym blaskiem, i łzami okazałym; prawdziwie, *ludność stolicy zdawała się być rodziną oplakującą zgon wspólnej matki i opiekunki*. Powiernik jój sumienia, szanowny Instytutu Głuchoniemych Rektor, w krótkiej mowie łkaniem przerywaną, do wszystkich serc trafił, bo z serca mówił; wystawił jój cnoty, wystawił miłość ku ojczystej ziemi; chciał równie wielkość jój straty wystawić, zwłaszcza dla ubóstwa i sierot jego; ale tu wyrazów mu nie stało, a łzy jego, łzy przytomnych, wymownie obrazu tego dokończyły. W dalszej mowie zachęcał do opisanego przykładnego jój życia, błagał Polki, aby naśladowały jój cnoty: „Bądźcie takimi jak ona, zawołał, miejcie jój serce dla Boga, krewnych, przyjaciół, ubóstwa, ojczyzny.“ Te jego życzenia oby spełnić się mogły! oby najprędzej dokładny i godny opis jój życia, publiczności udzielonym został! oby ten *krótki* i tak nikczemny *rys* dziś wystawiony, natchnął młode Polki czytające go do naśladowania jój cnót; kiedy runie dąb wspaniały, ozdoba okolicy, cóż zostaje? oto nadzieja, że z młodych latorośli wyrosną kiedyś podobne.

Promieniem téj nadziei niech żal straty naszej ukojony będzie, a pracę moją tak mało przedmiotowi swemu odpowiadającą, niech mi wolno będzie ozdobić wypisami z testamentu ś. p. Lanckorońskiej. Napisany jój ręką, pod dniem 15 Maja 1812 r., pięć ma *kodycyłów* czyli dodatków, z których ostatni jest z dnia 20 Stycznia 1825 r. Cały zaś małuje piękną jój duszę, tkliwe i wdzięczne serce, i wielki rozsądek, lepiej od wszystkich słów moich. W tym akcie bowiem wydaje pobożność swoją, wdzięczność, przywiązanie; nie obciąża w nim krewnych żadnemi ubocznemi zapisami, służących w miarę ich zasług obdarza, nie zapisuje majątku swego, ale go raczej rozdaje między tych, którym się stosownie do praw ojczystych należy. Tą sprawiedliwością so-

bie wrodzoną, a której sprzyjały okoliczności, (gdyż z dwóch szczepów dziedziczących po niej, jednaka liczba gałęzi wyrosła) zapobiegła wszelkim sporom, dla braku niektórych prawnych przepisów nastąpić mogącym; i dowiodła, że prawdziwy rozsądek zawsze trafi w to, czego chce prawo, jeśli nie za pomocą znajomości rzeczy, to za pomocą światła i prawdy.

WYPISY Z TESTAMENTU

ś. p.

MARYANNY Z SWIDZIŃSKICH

LANCKOROŃSKIEJ.

„W Imie Ojca i Syna i Ducha Świętego, Amen. Ja Maryanna z Swidzińskich, Lanckorońska, chcąc korzystać z czerstwych sił ciała i umysłu, jakich w późnym moim wieku Wszechmocna Opatrzność użyczać mi raczy, i uprzedzić rozważném, dobrowolném i nieodmienném ostatniój mojej woli postanowieniem, kres wszystkim ludziom wytknięty, a niewiadomo jak odemnie daleki, z zupełną przytomnością umysłu i doskonałą rozważą, te czynię ostateczne osoby mojej i majątku mego z Wszechmocnej Opatrzności uczynionego, rozporządzenie, które aby po zgonie moim święcie dochowane i we wszystkich punktach dopełnione zostało, Exekutorów w tym testamencie wyrażonych najmocniój obowiązuję. Naprzód zaczynam od wyznania, iż umieram w Wierze świętej katolickiej, Apostolskiej, Rzymskiej, w Wierze przodków moich, której do zgonu mego nieskazitelnie dochować

pragnę; wzywam z najgłębszą pokorą i ufnością nieskończonego miłosierdzia Boga mego, aby mi dozwolić raczył wchodzącej na drogę wieczności opatrzeć się Świętymi Sakramentami, i przejąc się skrucą za grzechy moje, a duszę moją wracającą na łono Stwórcy i Odkupiciela swojego od oblicza swego nie odrzucił? Chcę być pochowaną w parafii Ś. Krzyża w Warszawie; upraszam najukochańszych moich sukcesorów, oraz Exekutorów testamentu mego, aby nie szukali żadnej okazałości w mym pogrzebie, ale i owszem proszę, aby ten był najskromniejszy; próżny ekspens na pompę światową, niknie jak dym na powietrzu, cała ufność zmarłych jest w ofiarach ołtarzowych, i w modlitwach ubogich. Zatem dysponuję, aby unikając wszelkiej próżnej ekspensy, żadnych sukien i ubiorów ciała mojemu, które się w proch obróci, nie sprawowano; chcę bowiem, abym ubrana była w śmiertelną koszulę, a w prześcieradło zawinięta, trumna aby była dębowa, bez żadnych bronzów, i aby ciało moje było pochowane na cmentarzu parafialnym Ś. Krzyża *); niech najukochańsi sukcesorowie moi nie zastanawiają się nad tém co ludzie mówić będą, proszę ich owszem, aby czułość swą, jaką ztąd mieć mogą ofiarowali za duszę moją. Exportacya pragnę, aby była publiczna, mając ufność w pobożnych westchnieniach. Na wszelkie koszta pogrzebu, na jałmużny, zostawiam czer. zł. 1000; a te prawie wszystkie są pod figurą N. Panny, nazwane Krymińskie... Ten Bóg, który w całym mojem życiu Wszemmocną Opatrznością swoją mnie opatrywał, w takim postawił mnie stanie, że mogłam bez ukrzywdzenia kochanych sukcesorów moich, odkładając corocznie od zbytkującej ekspensy uzbierać tę sumę. Po odprawionym moim pogrzebie, obliguję JMC.

*) Późniejsze, stosownie do prawa otworzenie testamentu, nie dozwoliło szanownym Exekutorom, dopełnić tego pokornego zalecenia.

Exekutorów, aby z tegoż funduszu odprawiły się w kościele Ś. Krzyża Exekwie za dusze Stanisława i Maryanny, rodziców moich; za duszę Stanisława męża mego; za dusze Bony i Kazimierza, siostry i szwagra mego; za dusze Ignacego i Heleny, Michała i Barbary, braci i bratowych moich. Niosąc dla nich wdzięczność moją z sobą do grobu, ostatnią tę moją dla nich usługę, pragnę dopełnić tu jeszcze.

Po dokładnem wyszczególnieniu majątku swego, wynoszącego przeszło dziewięć kroć sto tysięcy, po nagrodach dla służących, dzieli sukcesorów swoich, to jest głów szesnaście, składających się z dzieci pozostałych po dwóch jój braciach, i dodaje: Reszta zaś, i to, coby po śmierci mojej Opatrzność Wszechmocna w gotowiznie zostawić dozwoliła, żądam, aby równo pomiędzy was była podzielona. Obliguję jednak, abyscie mieli wzgląd w tym podziale na najpotrzebniejszych z pomiędzy was; i tym z części waszych choć nienajwiększych, odstąpili choć potrochu, a zapewne Bóg wam to stokrotnie nagrodzi, o co ja błagać Majestat Jego nie przestanę.

Zakończywszy rozporządzenie, stałego majątku, przystępuje do ruchomego w tych słowach:

Nim zacznę to rozporządzenie, osądziłam za najpierwszą powinność i obowiązek oświadczyć wdzięczność, najukochańszym moim bratankom, to jest JP. Joannie i Tekli Swidzińskim; te bowiem poświęciwszy młodość swoją, a ciągle przy mnie bawiąc, całe swe staranie na to tylko łożyły, aby osładzając dni wieku mego podeszłego, zdrowie moje utrzymywały; mianowicie i w szczególności JPanna Joanna, która wprzód bawiąc się przy ś. p. siostrze mojej najukochańszej, nietylko jój żyjącej okazywała najżywsze przywiązanie, w chorobie z uszczerbkiem własnego zdrowia posługę czyniła, a po zgonie najczulszy żal w sobie dusząc, całkiem zwróciła swą uwagę i starania około mojej osoby, dzieląc najsroższy smutek pociechą moją była; nadto w ostatniej

mojej chorobie przed czterema laty, nowy mi dała dowód przywiązania swego, zatrudniwszy się domowym rządem; takowy wzięwszy na siebie z przywiązania do mnie obowiązki, doświadczyła nieraz, ile ten rząd przynosi przykrości, i nie może tylko czasem być szkodliwym zdrowiu, osobliwie w wieku podeszłym; chcąc więc utrzymać i ochronić nadal przywrócone mi od Boga zdrowie, ten ciężar domowego rządu, oświadczyła się i nadal, jeżeli ja zezwolę, sprawować; a to przyjąwszy, zastępując mnie, nie mało zgryzot i umartwienia oddała odemnie a przyjemność, którą mi sprawiła w spokojności używanój, zdrowie moje utrzymuje. Takowe to więc są obowiązki do wdzięczności i przyniewalające mnie, abym tu oświadczyła tym obudwom a równie odemnie kochanym siostróm, a moim bratankóm, najserdeczniejsze podziękowanie za ich około mnie pieczołowitość: a w dowód przywiązania mego, proszę aby przyjęły takim sercem, jakim ja ofiaruję, małe dary, które tu wyrażam.

Wymieniwszy je, w równym zupełnie podziale, dodaje:

Niemniej znam się być winną wyrazić tu niewygasłą w sercu mojem wdzięczność dla ukochanych JMCpaństwa Zapolskich, mianowicie jemu, który po śmierci Teodora Szymanowskiego i Feliksa Polanowskiego, tych dla mnie wylanych przyjaciół i krewnych, przenikniony smutnym stanem moim, przyjął na siebie obowiązek zastępowania mnie w najprzykrzejszych zdarzeniach przez plenipotencyą, a tak gorliwie jakbym ja nigdy nie była wydołała, zabezpieczył dla mnie stałe dochody na całe życie i sukcesoróm moim spokojne przyjscie do tój sukcesyi, którą im dziś zostawuję, a tём sprawił spokojność sercu memu na resztę dni życia mego.

Ofiaruje więc obojgu dary równe, a jemu samemu na większą pamiątkę, tabakierkę złotą, którą lat przeszło czterdzieści codziennie przy sobie nosiła; prosi wszystkich, aby nie patrzyli na szacunek darów, ale na serce z jakim je

ofiaruje, i cały testament kończy temi słowy, które i obraz jej duszy pięknie zakończą.

Tu już przychodzi mi pożegnać was, moi najukochańsi krewni, przyjaciele, wierni słudzy moi i służące; proszę abyście mi przebaczyli wszystkie moje pomyłki, błędy i niecierpliwości, któremi się wam kiedykolwiek naprzykrzyłam; darujcie jako ułomnej istocie; a jeżeli w życiu mojem zjednałam wasze przywiązanie, proszę, abyście zapomniawszy przykrości, przed Bogiem wspominali czasem o duszy mojej, którą miłosierdziu Stwórcy mego i waszym pobożnym westchnieniom polecam.

FRANCISZEK KARPIŃSKI.

(ur. 1740 r., um. 1825 r.).

W roku 1825, już w późnej starości umarł Franciszek Karpiński, jeden z pisarzy naszych, którego wdzięczne, czułe i proste rymy, może najwięcej ust powtarza; którego wszystkie pisma wiek niewinności z upodobaniem i pożytkiem czytać może; który od młodości swojej, dzieci kochając i niemi się trudniąc, im ostatnią swą pracę poświęcił: którego życie było pasmem cnot domowych i obywatelskich, serce czułości siedliskiem, moralne i tkliwe pióro własnej duszy malarzem. Imieniem i obrazem takiego męża powinno było jak najrychlej ozdobić się to pismo, cencie poświęcone. Takie też były zaraz po zgonie Karpińskiego, chęci i życzenia moje, tém mocniejsze, iż prócz wyrażonych powodów, osobistém do ich spełnienia, nagłona byłam uczuciem. Karpińskiemu do grobu niewygasła poniosę wdzięczność: jemu winnam najwięcej zamięlowanie ojczystego je-

zyka. Wtenczas kiedy podobnie jak wszystkim niemal równiennicom moim, obca mowa więcej mi była znaną niż własna, kiedy wraz z innemi wątpiłam nawet, czy delikatne i tkliwe myśli można po polsku wyrazić? pisma jego dostały mi się w ręce. Luba w nich prostota odrazu do młodego jeszcze serca trafiła, dzikie zabiła powątpiewania; oceniłam mowę, którą on mową czucia uczynił, i zapragnęłam poznać ją bliżej; a jeśli dziś przemawiać do was, dzieci moje, mogę, jeśli zdarzy mi się czasem do dusz waszych trafić, jemu to winnam poczęści.

Tyle więc mając do wspomnienia o Karpińskim powodów, prawdziwą przykrością było dla mnie, iż dotąd nie wywiązałam się z tak miłego długu; równie wielką jest i dzisiaj, kiedy nie mogąc czekać już dłużej z oddaniem winnego mu hołdu, pomimo najusilniejszych starań, nie udzielię wam, dzieci drogie, dokładnej i zupełnej wiadomości, ani o życiu tego męża, ani o pismach jego nie ogłoszonych drukiem. Próżne były w tej mierze długie zachody moje, prózne pilne badania, mnogie na wszystkie strony listy; zaledwie kilka drobnych szczegółów zebrać mi się udało; zmuszona więc byłam w jego dziełach szukać wiadomości, nie tylko o zdaniach, sposobie myślenia ale i o życiu i związkach jego; i tём co od tak dawna w ręku jest wszystkich, uzupełnić to moje o nim wspomnienie. Tym trybem idąc, własnymi jego słowy przemawiając najwięcej, nie ubliżę mu przynajmniej; i może ta prosta moja praca, przypadkiem jakim dostanie się któremu z krewnych lub z dawnych przyjaciół jego, może ich pobudzi do ogłoszenia dokładniejszej o nim wiadomości, do sprostowania mimowolnych pomyłek moich. Ta nadzieja dodaje mi śmiałości, i kreślę co następuje.

Franciszek Karpiński urodził się w Październiku 1740 roku, w pierwszych niemal leciech panowania Augusta III, w dawném województwie Ruskiem, w małej wiosce ojcowskiej.

Miał siostrę Maryą *), brata który później księdzem został. Matkę w dzieciństwie stracić musiał. Ojcem dłużej się cieszył, i zbawienne nauki jego do końca życia powtarzał; co więcej wykonywał je czynami. W niebardzo odległym od rodzinnej zagrody Stanisławowie, pięknym imienia Potockich mieście, brał szkolne nauki; a obok zabaw i uciech młodemu wiekowi właściwych, do ksiąg i pióra wielkie powziął przywiązanie, i nawet wcześniej rymować zaczął. Nie jest tajemnym dla nikogo, jak nadobne nauki, a zwłaszcza poezya, świat szeroki i piękny młodzieńcowi wystawia, jakim pragnieniem poznania go, serce mu napełnia, jaką sławę w nim obiecuje. Tego doznał młody Karpiński. Ukończywszy szkoły, wrócił do ubogiej ojczyźnej zagrody, ale mu ciasną była, bo świata pragnął; sędziwy ojciec przy zgonie pozwolił mu iść w świat, tkliwe dając na tę podróż przestrogi Opuścił więc Karpiński rodzinną strzechę; lecz młody, nieświadomy, nie majątny, cóż miał począć? gdzie się udać.

W owym czasie, w innym zupełnie w tej mierze, jak dziś, rzeczy układzie, kiedy żadnych uczonych zakładów nie było, w ostatkach panowania króla, który bynajmniej oświecie nie sprzyjał, młodzież uboga, chcąc się poświęcić naukom, od wielkich tylko panów opieki i zachęty spodziewać się mogła; jednym z nich, tym który tę chwalebłą porękę najczęściej i najskuteczniej podawał, był książę August Czartoryski, mąż jak świadczą współczesni, niepospolity: równie rozsądnego, rządowego i prawdziwie uczynnego pana, Polska wtedy nie miała. Ubogiemu i zdatnemu młodzieńcowi, dostać się do dworu tego księcia, zwrócić na siebie

*) Ta siostra wydana za Kozieradzkiego, długo kosztem brata utrzymaną była; umarła w Ossowcach blisko Buczacza na Podolu, zostawiwszy kilkoro dzieci.

jego oczy, już dostatecznym było, aby się o los swój nie troszczyć, aby powszechnie być znanym. Ta sława jego brzmiąca w całej Litwie i Koronie, głośniejszą jeszcze była w gnieździe Karpińskiego, w województwie Ruskiem, i dla tego, że książę był w niem wojewodą, i dla leżącej tam Sieniawy w której przemieszkiwał. Tego więc pana opieki, młody i ubogi poeta wezwać przedsięwziął, dwór jego za pierwszy wstęp do świata obrał. Lecz szło o to, jak się dostać do tego wspaniałego dworu, nie mając w nim znajomych? jak się przedstawić księciu, kiedy na przyzwoite wystąpienie nie było? Ale prawdziwie potrzebujący, znajdzie zawsze (zwłaszcza w kraju naszym) serce uczynne, które mu pomoże.

Niedaleko od Sieniawy jest miasteczko Przeorsk, z klasztorem zakonnim. Panna starsza, bądź krewna, bądź dobra znajoma Karpińskiego, bądź też tylko uczynna i litościwa, do tego przedstawienia dopomóż mu obiecała. Wytoczono odwieczną klasztorną kolaskę; nie mogąc dobrać, zebrano do niej cztery nędzne konie; Karpiński miał po ojcu wytarty mundur swego województwa, ustroił się w niego, i tak wystąpiwszy, ruszył w świat, zapewne nie z jednym poczciwój zakonnicy krzyżykiem i błogosławieństwem. Skuteczne były. Karpiński zajechał przed bramę Sieniawskiego podwórca, i zameldował się księciu, jako młodzieniec potrzebujący jego opieki. Takowe słowa zawsze otwierały podwoje tego domu; wprowadzonym był natychmiast do księcia wojewody; w krótkich wyrazach, z winnym uszanowaniem i przyzwoitą skromnością, opowiedział mu okoliczności w jakich się znajdował, chęć poświęcenia życia naukom, a dobywając z za munduru parę ćwiartek zapisanego papieru, wręczył je księciu jako próbkę swoich talentów i odszedł. Te wiersze w których już malowały się jakby wrodzone Karpińskiemu prostota, tkliwość, rzewność i słodycz, w których odbijały się jakby w przezroczystej wodzie, dusza

szlachetna i serce czułe, w których żadnej ciemnej górności, wyszukanych wyrażań nie było, podobały się księciu. Przywołać kazał młodego poetę, pochwalił pracę jego i przyrzekł opiekę. Wnet Karpiński osiągnął, czego od tak dawna pragnął; poznał świat i ludzi, i sam i z osoby i z wierszy swoich, poznanym został nie tylko na dworze książąt Czartoryskich, ale w stolicy i na dworach innych wielkich panów. Bawił naprzemiany u Potockich, Ponińskich, Sanguszków, Radziwiłłów; a nie stworzony bynajmniej na dworaka, (bo ani pochlebiać umiał, ani też próżnować lubił) nie jadł nigdzie darmo chleba, ale wszędzie to wychowaniem, to nauką synów tychże się trudził.

Na tych trudach, których mało gdzie pomyślny widział owoc, gdyż nie wszędzie według jego sposobu myślenia postępować mu pozwalano, nie każdy w tém smakował, iż on zawsze wręcz prawdę mówił, spłynął cały jego wiek młody. Lecz chociaż zdawał się prywatnemi obowiązkami zajęty i związany, korzystała z prac jego powszechność. Już był umarł August III, już był zasiadł na chwiejącym się tronie Stanisław Poniatowski; w czasie tego prawdziwego ocknienia się tak długo uspionej Polski, w porze tylu pięknych wysileń, zamiarów i ofiar, lubo nie dźwigający żadnego publicznego urzędu, Karpiński miał jednak znaczny swój udział w tém obywatelskiem zjednoczeniu. Wdzięczne i tkliwe *Sielanki* i *Piosnki* jego powtarzali, nucili wszyscy w najpierwszych towarzystwach, i przejmował się każdy słodyczą i wdziękiem ojczystej mowy, narodowemi uczuciami poety. Lud roboczy rozweselał zabawy, umiłał prace swoje nadobnemi jego *śpiewkami* *); przełożony zaś na nowo *Psalterz*

*) Nie wiem czy są drukowane nuty do Pieśni Karpińskiego; jeśli nie, zdaje mi się żeby to było godnym uczczeniem cieniów jego, gdyby się kto zajął zebraniem i ogłoszeniem ich. Czemużby córki i wnuczki, wstydzić się miały śpiewać tych piosnek, któremi ich matki ojców rozrze-

Dawida, ułożone przez niego *Pieśni nabożne*, śpiewał po kościołach, i sam dziwić się musiał, że rozumie o co w nich Boga prosi? A nie zaspokojony temi przysługami Karpiński, składał często ulubioną lutnię i mniej powabną lecz może i użyteczniejszą przemawiał prozą. Dla jednego z młodych paniczów, napisał *list o Rzeczypospolitej*; obywatelskie jego w tym liście myśli, rozsądne zdania, nie mało zapewne do zbawiennych działań ówczasowej Komisji Edukacyjnej pomogły; nie mało się przyczyniły do założenia korpusu kadetów. W wzrastającej szkolnej młodzieży, widząc największą narodu nadzieję, i dla niej pracował; dobijał się o zaszczyt przemawiania do niej w czasie obchodu świąt narodowych, i tak mamy jeszcze *mowę* jego mianą *w stóletnią rocznicę zwycięstwa Sobieskiego pod Wiedniem*.

Temiz samemi uczuciami powodowany, chcąc choć w drobnej części należeć do téj chwały, którą Komisja Edukacyjna sobie zabezpieczała, stosownie do jój ustaw napisał rozprawę o *Wymowie*, którą pochlebnie przyjęto. Lecz pomimo tych wszystkich trudów, prac i starań, pomimo tego iż żył w tym świecie, do którego przed laty tak wdychał, który mu odnosił obiecywaną niegdyś przez młodą imaginacyę

wniały? Wiadomo wszystkim, że przechowują się jeszcze te nuty w ustach spóółstwa; mnie samój zdarzyło się, iż właśnie gdym tego lata o Karpińskim pisała, mularz blisko pracujący, niewiedząc o tém bynajmniej, zanucił wyjątek z pieśni jego *przeciw Samobójstwu*. Nie potrafię wyrazić miłego uczucia, którego doznałam, słysząc jak ten wyrobnik nucił pracując:

Przez takie cierniowe drogi
 Idąc, kwiat rzucam pod nogi;
 Idąc, śpiewam bez mrużenia
 Pieśń mojego przeznaczenia.
 Ciężar ludziom podzielony,
 Jak kto udźwignie ramiony;
 I mnie się tyle dostało,
 Co się Panu podobało.

sławę, Karpiński nie używał szczęścia. Tego drogiego skarbu pozbawiła go (jak mówią) miłość. Wkrótce po wystąpieniu swoim na scenę świata, oddał jęj zupełnie tak zdolne do kochania serce; ale niestety! jak Tassa drugiego uniosła go zbyt wysoko. Długo jednak nie uznawał zbyttecznej jęj śmiałości, bo w prostocie swojej, widząc wzajemność w ukochanym acz tak nad niego wyższym rodem i majątkiem przedmiocie, sądził że jednakowość wychowania i uczuć, wszystko z łatwością porówna; lecz gdy na uczynione kochance oświadczenie, taką odebrał odpowiedź: że przystaje na wszystko, byle on przy swoim, ona przy swoim pozostała nazwisku, zapalił się gniewem. Wzgardę swego imienia wziął za wzgardę osoby; urażony, porzucił miejsce gdzie ulubiona przebywała; z łatwością pozbył się dawnego dla nięj szacunku, owego rozsądku owocu, ale miłości, tego zbyt często płochości i dziwactwa dzieła, nie tak łatwo: na długo, jeśli nie rozum, jak śpiewak Jerozolimy, to przynajmniej szczęście postradał; a na zawsze, jęj wspomnienie do innych związków zaporą mu było.

Tak ta miłość nieszczęsna na całe życie jego wpływ miała, jęj przedmiot zawsze sercu jego był przytomny, pamięci obecny; imiona *Justyny*, *Laury*, *Palmiry*, ją oznaczały; ona przeszkodą mu była do pojęcia żony, bo nikt nie mógł być większym małżeństwa stronnikiem; a przecież bezżennym został do śmierci; ona także zapewne dopomogła do tego, iż zwolna świat i ludzie w oczach jego swój powab tracili; a gdy jeszcze różne zawody, zmartwienia i nieprzyjemności, dopełniły miarę tych goryczy, gdy umarł jeden z ulubionych wychowanków jego, książę Roman Sanguszko; gdy zapewnienie dalszego losu, jaki taki majątek, pod zbyt uciążliwymi dla niego warunkami, był mu ofiarowany: zniechęcony, porzucił wszystko, i dwory i panów, i stolicy pałace, i znakomitych przyjaciół, a wrócił do ubogiej strzechy, z której przed dwudziestu kilką laty wyjechał pełny

nadziei, do owęj małej wioski, do której równe z nim prawo, dwoje rodzeństwa miało. Wiersze, które wtedy przepełnione jego serce na papier wylało, lubo tak sławne i znane, tu przytoczę; a lepij nad wszystkie słowa moje, stan jego i duszę wykryją:

POWRÓT Z WARSZAWY NA WIEŚ.

Otóż mój dom ubogi! też lepione ściany,
Też okna różnoszybne, piec niepolewany,
I nizka strzecha moja!... Wszystko tak jak było,
Tylko się ku starości więcj pochyliło.

Szczęśliwy! kto na małym udziale przebywa,
Spokojny siadł przy stole wiejskiego warzywa;
Z swęj obory ma mięso, z ogródu jarzynę,
Z domu napój i wierną przy boku drużynę.

Obym ja był tak dawniej myślił, oszukany!
I w ukrytym gdzie kącie żył raczej nie znany!
Gdyby o mnie w powiecie nawet nie wspomniano,
I tylko mię sąsiadem dobrym nazywano!
Bym się żywił z krwawego rąk moich wyrobku,
Żył na świecie bez wieści, umarł bez nagrobku.

Com zyskał? że rzuciwszy ubogie zagrody,
Chciałem nieopatrzony płynąć przeciw wody?
I widząc na me oczy jak drudzy tonęli,
Jam sobie myślał: „Oni płynąć nie umieli.“
Com zyskał, na wysokie pańskie pnać się progi?
Gdzie po śliskich ich stopniach. obrażając nogi;
Nic się z moim lepszego nie zrobiło stanem,
Prócz marnego wspomnienia że gadałem z panem.
Kiedy mnie ojciec stary żegnał przy swym gzonie,
„Idź, mówił, synu na świat; w jakiej będziesz stronie,
Pamiętaj, że na prawdzie nikt nigdy nie traci;
Zostawiam cię ubogim: prawda cię zbogaci.“

Słuchałem cię, ojcze mój, goszcząc między pany,
Takem pisał lub mówił, jak był przekonany.
Nie brałem sobie za cel ludzkie głosić winy,

A jeśli kogo chwalił, nigdy bez przyczyny.
Cóżem zyskał pochlebstwem nie służąc nikomu?
Otom wrócił uboższym, niż wyjechał z domu.

Nie przeto, święta cnoto, porzucić cię trzeba,
Że wieku dzisiejszego nic nie dajesz chleba;
Choćby mi jeszcze wolniej miało szczęście pociec;
Bo i z prawdą pięknie jest, i tak kazał ojciec.
Trzeba wyznać jak było, że mi coś dawano,
Ale wszystkie godziny życia kupić chciano,
Żebym wieczny niewolnik nosił jarzmo czyje,
Żył cały komuś, a sam zapomniał że żyję;
A wreszcie mi nadzieją szafowano szczerze,
Nikomum źle nie zrobił, ani mnie nikt dobrze.

Nadziejo! czyż ja ciebie w złotej chciał mieć szacie,
Żeby oczy spóółstwo obracało na cie?
Żebym stynał majątkiem, drugimi pomiatał,
Nie o tom ja pod drzwiami fortuny kołatał.
Jedna wioska do śmierci, jeden dom wygodny,
Gdziebym jadł nie z wymysłem, ale wstał nie głodny.
Gdziebym się nie usuwał nikomu do zgonu,
Swym pługiem zoranego pilnował zagonu;
Spokojny będąc na tem, co stan mierny niesie,
Stałbym sobie na dole, niech kto inszy pnie się.

W tym zamiarze praca mnie całe życie tłoczy,
Nad książkami straciłem i zdrowie i oczy:
Nad książkami które ja, co gębie odjąłem,
Może zbytelnym na mnie nakładem ściągnąłem.
Cóż mi książki oddały? jak niewierna niwa,
Co zgubiła nadzieję, rolnikowi żniwa;
Po wieku mego wiosny niezwróconej szkodzie,
Nachylony ku zimie, zostałem o głodzie.

Za lat Symonidesów, albo Kochanowskich,
Może znalazłbym sobie Zamojskich, Myszkowskich,
Przy którychbym wygodnie wieku mego użył,
I pismem pożytecznym narodowi służył.
Dziś, zabierz mi kto księgi, ten sprzęt nieszczęśliwy,
Do których mię przywiązał nałóg uporczywy;
I co mi będzie lepiej w ubóstwie usłużne,
Zamieniaj na motyki i żelaza płuźne;
Porzucę nad pismami myśli kłopotliwe,
A serce niech mi tylko zostanie dotkliwe;

Żebym się mógł nad losem biedniejszych litować,
I przy pracy miał sposób bliźniego ratować.

Maryo! siostró moja! jakżeś się kwapiła!...
Prawieś wraz z mym powrotem i Ty tu przybyła!
Czego stojąc w tym kącie z twarzą wyniszczoną,
Otoczona dziatkami, nieszczęśliwa żono,
Poglądasz mi na ręce, rychło jakim datkiem,
Wesprę cię już goniącą majątku ostatkiem?
Nędza was tak popadła, jak statecznie gniecie,
I tyś także jak widzę, prawdą szła na świecie.
Opłakana rodzino! wy myślicie ślepi:
„On był między panami, i nam będzie lepiej.“
Byłem, i byłbym pewnie panom na coś zdalny;
To wiem, a tego nie wiem, za com niepopłatny.
Stało się! nie mam swojej, kopmy cudzą grzędę;
Podeprzeć tę lepiankę, jeszcze w niej przebędę.

Te wiersze tak tkliwe i tyle mówiące, doszły rąk Stanisława Augusta. Król ten, któremu największy nieprzyjaciel przyznać musi, że gorliwym był opiekunem nauk i uczonych, że mu Polska w tym względzie wieczną wdzięczność winna, nie mógł ścierpieć, ażeby człowiek taki jak Karpiński, za panowania jego księgom złorzeczył, zwał je *niwą niewierną, sprzętem nieszczęśliwym*; umyślił przejść skromne jego życzenia, dać mu nietylko jedną wioskę ale i dwie, i to na lat pięćdziesiąt. Karpiński tymczasem siedział w rodzinnej zagrodzie; a smutek, ubóstwo swoje, słodził wspomnieniem, rymami i korespondencją z ukochanym i znakomitym przyjacielem. Nim był Joachim Chreptowicz, kanclerz litewski; temu tak odpisywał, gdy ten się dziwił tój jego życia odmianie:

Zadziwiasz się w twoim liście,
Czemu biegnąc oczywiście,
Na troski, zdrowia zepsucie,
Zjechałem tu na Pokucie?
O, święta ziemi! którądy
Chodząc, wspominam na błędy,
Na me zabawy dziecinne.

Tum się rodził, tu mię stary
 Ojciec uczył cnot i wiary.
 Tu patrzę na ten las dziki,
 Gdzie lat moich rówienniki
 Silne drzewa wybująy.
 Szczęśliwe! na miejscu stały!
 Stanisławów blisko leży,
 Co szkołą był dla młodzieży;
 Tam mi pochwała czy kara,
 Gdy mię spytano z Alwara.
 Patrzyłem dziś na te pola
 Gdzie mię ściągała swawola;
 Z żakami zrobiwszy ligi,
 Cwierć milim biegł na wyścigi;
 Teżem rzeki dziś przebywał,
 Którym o zakład przepływał;
 I też dęby jeszcze stoją,
 Gdziem ja, gdy się insi boją,
 Wlaził na wierzch i miał do grona
 Jaką mowę Cycerona.
 Tuśmy się w tydzień trzy razy
 Schodzili na suche razy,
 Dla bitew w kije niewinnych,
 Dobywania twierdz dziecinnych.
 Kiedy się walka skończyła,
 Strona, która zwyciężyła,
 I ci, którzy się poddali,
 Wzajemnie się przepraszali.
 Łzy w oczach, ręka skrwawiona,
 Cisnęła łono do łona;
 I do domu z dobrym mirem
 Szedł bohater z bohaterem.
 Gdzieżeś mi, wieku mój młody?
 Upłynął z szybkimi wody;
 Pociach prawdziwych pozbawił,
 I ślady tylko zostawił...
 Te ślady same mię bawią,
 Że mi przeszłość w myśli stawia.
 Nie mając pociach tym razem,
 Szczęścia cieszę się obrazem.

.....

Ale niedługo doszła Karpińskiego wieść o zamiarach dobroczynnych króla, zjechał znowu do stolicy, tam przypuszczony do towarzystwa Stanisława, do owych głośnych *obiadów czwartkowych*, *) rozpoczął znowu życie towarzyskie, życie jak dawniej. Po wielu zachodach i prośbach, namówiono go nawet, pod bardzo korzystnymi warunkami, aby się podjął wychowania, przyszłego kilkudziesiąt milionów dziedzica, małego natenczas Ks. Dominika Radziwiłła; przystał, ale gdy księżna matka nie zgadzała się z nim w zamiarach i zdaniach, wolał odstąpić wszelkich korzyści, jak iść wbrew swemu sposobowi myślenia: oddalił się więc (było to bowiem w końcu 1792 r.). Odwiedziwszy raz jeszcze i rodzinne gniazdo, i księcia generała Czartoryskiego, przebywającego wtedy w Sieniawie; pojechał do Litwy i tam już osiadł w powiecie Prużańskim, w wioskach nadanych sobie przez Stanisława Augusta, i jedną z nich *Kraśnik*, w której zamieszkał, przezwiał *Kárpinem* od nazwiska swego. Tam życiu rolniczemu, opiewanemu tak wdzięcznie i mile, oddał się zupełnie; tam się otoczył księgami, a sądząc, że już spóźniona była dla niego pora, ożywienia tej zagrody własną żoną i dziatkami, otoczył się dziećmi zmarłej już siostry Maryi Kozieradzkiej, i wśród nich już żył do końca, innych nie szukając związków, prócz związków pokrewieństwa i przyjaźni.

Odtąd niewiele pisał wierszem Karpiński; ostatnie rymy jego są *żule Sarmaty*, nad grobem Zygmunta Augusta, które tak się kończą:

Zygmunciel przy twoim grobie
Gdy nam już wiatr nie powieje,

*) Król Poniatowski zwykł był zgromadzać co Czwartek uczonych do stołu swego.

Składam niezdatną w tej dobie,
 Szablę, wesołość, nadzieję.
 I tę lutnię biedną!...
 Oto mój sprzęt cały!
 Łzy mi tylko jedne
 Zostały...

Dusza jego w tej niedoli potrzebująca żywiołu i pociechy natchnęła go do ułożenia *Rozmów Platona*, układając je, starał się naśladować styl filozofa greckiego, i wiele myśli z pism jego wyjętych, całkiem do tego dzieła przeniósł; przystroił go także myślami z inszych autorów zebranych, podzielił na dwie części: pierwszą w pięciu rozmowach wydał i przypisał cesarzowi Aleksandrowi; druga zostać musiała w rękopismach jego. Potem z sercem swoim zawsze tkliwem, rozrzewnił się nad upadkiem państwa Missory, nieszczęściami króla jego Tippo-Saiba; a może lube, lecz smutne podobieństwo w nich upatruwszy, przetłómaczył z francuzkiego, pismo, pod tytułem *Wiara, prawa i obyczaje Indyan*; ale lepiej jeszcze o tych pracach jego, o innéj dotąd nam nieznanéj, oświecą następujące listy jego własnoręczne, do tłómacza Iliady, do własnego wydawcy *Pamiętnika*, tylu innych dzieł i przekładów wzorowych autora, Franciszka Dmochowskiego, z którym oddawna żył w przyjaźni; udziela także niektórych innych szczegółów, które choćby najdrobniejsze, zajmują, skoro takiego tyczą się człowieka.

L I S T P I E R W S Z Y.

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

„W Litwie, gdzie mieszkam, jest prawo zowiące się Ziemiańskie, podług którego, kto przez dziesięć lat niez-

przezoną trzymał dzierżawę, potem już nikt mu takiego dziedzictwa odbierać nie może. Idąc za tém prawem, upominam się serca WWMCPana Dobr. które je mam honor posiadać, więcej pewnie jak dziesięć lat będzie. Po ostatniem widzeniu się naszym, cóż to się odmian narobiło?... Ale nie jątrzymy ran naszych przypominaniem, bardziej szukajmy ulgi w przyjaźni, która nas oddawna związała; a świeżo mocniej jeszcze ściśnione te węzły koleżeństwem naszym w Towarzystwie Przyjaciół Nauk. Posyłam WMCPanu dobrodziejowi dwa egzemplarze Platona mego, w Grodnie drukowanego, z których jeden dla niego, a drugi JWmu Prezydentowi naszemu Albertrandemu (jeżeli tego dzieła mego nie miał) oddać raczysz. Żądam wzajemności, ażebyś także jakie dzieło swoje przez terazniejszą pewną okazją przesłać mi chciał. Będziemy sobie trzymać te przyjacielskie pamiątki, na dowód, że się kochamy. Polecając się chlubnej dla mnie przyjaźni Jego, zostaję z winnym uszanowaniem

WWMCPana Dobrodzieja
 najniższym sługą
Fr. Karpiński.

12 Mar. Łac. kal., 1803,
 z Karpina.

L I S T D R U G I.

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

„W liście WWMCPana Dobr. oddanym mi przez sąsiada mego, z czułością czytałem przyjazne wyrazy Jego dla mnie. W moim pedeszłym wieku uważam w sobie ostyłość jakąś do wszystkiego; jedna tylko została przyjaźń, która mnie orzeźwia, i żyć chciałbym dla tego jeszcze, ażebym kochał kochających mnie; bo i nie wiem, jak to

można być obojętnym dla tego, który mię lubi. Siedm tomów dzieł Krasickiego odebrałem, które w mojej bibliotece złożone, będą pamiątką przyjaźni WWMCPana Dobr., ale oświadczoną dobrą chęć Jego dla mnie zrobienia nowój edycji, pod dozorem swoim wszystkich dzieł moich, złożyłem w sercu mojem: i kiedy skutek téj obietnicy obaczę, i dzieła moje, to moje dziecko, z łaski WWMCPana Dobr. ochędoźnie przybrane, w domku moim stanie, wtenczas ja szczęśliwym, a WWMCPan Dobr. jak dobry przyjaciel cieszyć się będziesz, żeś mi taką pociechę zdarzył. Ale jakom chorowity i niedługo żyć będę, takbym żądał, gdyby można najprędzej widzieć dokonany przed moją śmiercią ten jego zamysł dla mnie.

Posyłam siedm tomików dawniej drukowanych dzieł moich, ile można było, poprawionych odemnie, tak co się tycze błędów drukarskich, jako i niektórych nawet myśli odmiany, albo zupełnego ich wyrzucenia. Posyłam nadto w rękopiśmie i resztę dzieł moich, które, albo poczęści były drukowane, albo zupełnie nie były. Jeżeli to trudu wiele nie robi, chciałbym, ażeby pisma w tym manuskrypcie w różnych materyach porozrzucane, do tytułów swoich w téj nowój edycji poodnoszone były, np. Sielanki do Sielanek, Pieśni do Pieśni, etc... Jeżeli tłómaczenie moje wiary, praw i obyczajów indyjskich do dzieł moich przyłączone będzie, chciałbym ażeby dedykacya do Prozora umieszczoną była. Jest w moim rękopiśmie wiele wierszów obywatelskich, które chciałbym, ażeby się w terażniejszej edycji pomieścić mogły, i kiedy (jakem w dziełach Krasickiego znalazł) list Trembeckiego pod tytułem *Gość w Heilsbergu* *) wydrukowany, to i moje obywatelstwa drukowanemi być mogą.

*) Obacz tom II dzieł Krasickiego k. 421, wydanie Wileńskie 1818 roku.

Za moją pracę zrobisz mi WWMCPan Dobr. łaskę, kiedy 100 egzemplarzy dzieł moich na mój pożytek wyłączysz. Wezmę do domu 10, a 90 na sprzedanie zostanie się. Z tej przedaży, raczysz czerw: zł. 20, najpierw oddać naszemu Towarzystwu winnych odemnie za lat cztery; potem wezmę w pieniądzech dzieła Naruszewicza, Szymanowskiego, i wszystkie WWMCPana Dobr. a te książki za pierwszą sposobnością sprowadzę do domku mego... Jakże to ja wiele trudów na łaskawcę mego zwałam; w tém jedyném zaufaniu, że przyjaźń lubi być czynną; upraszam wzajemnie wierzyć, że wdzięczność będzie nieskończoną.

Zostaję z największym szacunkiem i uszanowaniem
 WWMCPana Dobrodzieja
 najniższym sługą
Fr. Karpiński.“

„P. S. Psalterz Dawida niechby był w jednym tomie cały, a w takiej proporcji wielkości i insze tomy.

Mam jeszcze zebrane myśli na tom drugi *Rozmów Platona*, mógłbym cokolwiek je przepatrzywszy posłać do druku.

Najmilszym mi będzie respons WWMCPana Dobr. zapewniający mnie o doszłych ręk jego pismach moich, dojdzie mię list na pocztę, przez Brześć Lit., Prużanę, w Karpinie,“

20. 7bra. 1804.

L I S T T R Z E C I.

„Słodko mi przychodzi pisanie do WWMCPana Dobr., bo się zatrudniasz losem dziecięcia mojego, nową edycją

dzieł moich. Jest to naturalném, że radbym widział jak najprędzej tę pociechę w domu moim. Dlatego, łaskawco mój, przyspieszaj ją według obietnicy swojej najprędzej, ażebym wcześniej zaczął ci być wdzięcznym do śmierci *). Tego roku dokończę ostatniego dzieła mojego, pod tytułem: *Historya ludzi z któremi żyłem*. Będzie to książka ciekawa z wielu zdarzeń, ale ciekawa razem z historyi Polski w czasie życia mojego. Będzie wiele opisów takich, które dziejopis, na prawdę tylko wzgląd mając, potomności podać powinien; dlatego książka ta za życia mojego drukowaną być nie może, i tylko w manuskrypcie u WWMCPana Dobr. zostanie trzymaną, a dopiero po mojej śmierci wydaną... Że jednego WWMCPana Dobr. do téj pogrobowej dla mnie roboty wybieram, skutkiem to jest jedyne go w nim zaufania. Zostaje z winnym szacunkiem i poważaniem,

WWMCPana Dobrodzieja

najniższym sługą

Fr. Karpiński.“

30 Maja 1805 r., z Karpina.

Dmochowski lubo młodszy, wyprzedził śmiercią swoją Karpińskiego: nie doszła więc rąk jego ta szacowna i ciekawa praca, została w papierach autora, w których mają być i inne nieznanne dotąd pisma. Ani wątpić można, że troskliwi o chwałę ziomka i literatury ojczystej przyjaciele, krewni i rodacy, te drogie pamiątki od zguby ochronią...

Karpiński lat kilkanaście mieszkał w wioskach nadanych sobie przez króla Stanisława; za czasów księstwa Warszawskiego odwiedził raz jeszcze stolicę; dobrém gospodarstwem, oszczędnością uzbierawszy kawałek majątku, chciał

*) Doczekał się téj pociechy Karpiński, staraniem Dmochowskiego wyszły w czterech tomach wszystkie pisma jego w Warszawie roku 1806.

nabyć dziedzictwo. Chęć zabezpieczenia losu siostrzanom swoim, pierwszą mu była do tego pobudką; przyczyniła się może także obawa, ażeby nie przeżył pięciudziesiąt leciech królewskiego nadania. Kupił więc majątność Chorowszczyznę w powiecie Wołkowyskim będącą. Do tego kupna wiele upatrzył powodów: naprzód piękność położenia, bo strumyki, łąki i góry, zawsze go zachwycaly; powtóre, zbliżenie się do miasta Łyżkowa, w którym Szkoły Powiatowe XX. Misyonarzy większą mu podawały niżli w Kraśniku sposobność, rozrywki i stania się jeszcze użytecznym młodzieży. Jakoż utrzymując własnym kosztem kilku ubogich uczniów w Łyżkowie, lubił przyglądać się ich postępom, zachęcać ich towarzyszów i swoją przytomnością każdy popis zaszczycał. Miłe w téj okolicy sąsiedztwo także zachętą mu było; dla tych wszystkich przyczyn, zapomniał nieco o niestosownej cenie majątku i nad możność szczodrym się okazał.

W Chorowszczyźnie jak i w Kraśniku, bogactwo czucia które w sercu jego nieprzebraném było, zlał także na otaczających go wieśniaków; zgadzają się na to wszyscy, iż prawdziwym był im ojcem i polepszył znacznie byt ich, założył szkołkę, w której sam nieraz miejsce nauczyciela zastępował. Największą było jego pociechą ulżyć któremu z włościan swoich w nędzy, najśłodsza rozrywką dzielić ich zabawę; nieraz go widziano na dożynkach, otwierającego taniec z uwieńczoną kłosami poprzednicą, kiedy zgromadzenie całe, piosnki jego nuciło, i ten widok dla obecnych i ceniących go przyjaciół i sąsiadów, musiał być prawdziwie wymowny i miły. Lubił on bowiem otaczać się często życzliwemi sobie; długo i do zabaw sąsiedztwa należał; i tak: raz w domu jednym, gdzie właśnie córka weszła w śluby małżeńskie, na przypadające święto żniwa, napisał stosowną piosnkę, ułożył do niej nutę (gdyż znał muzykę i głos miał miły), wyuczył wieśniaków, i sam z niemi śpiewał. Oto niektóre z téj piosnki strofy; przytaczam je dlatego jedynie, że może wtedy po raz osta-

tni w czasie wesołej u sąsiadów biesiady, głos sędziwego śpiewaka był słyszany.

Zebrały się dzieci wasze,
Hej! hej!
Dzieci wasze;
Aby jadły dworską kaszę,
Hej! hej!
Dworską kaszę.

(Do pani młodej.)

A gdy jasny włos roztoczy
I dużemi spojry oczy,
Jakże pięknie jój być Panią!
Wszystkie serca idą za nią.

Życieź długo państwo nasze:
Tego życzą dzieci wasze.

.

W téj-to Chorowszczyźnie, w roku 1813, doznał niegodziwego obejścia ze strony Sasów, będących pod dowództwem marszałka *Regnier*; napadli dom jego: za ledwie tych gwałtów życiem nie przypłacił, i rozeszła się nawet wtedy wieść mylna o jego zgonie. W téj-to wiosce także napadła go starość, i starość nieco przykra. Mało jest tak szczęśliwych istot, któreby wstąpiły na ten próg śmierci, nie straciwszy obok sił ciała, droższych nierównie sił umysłu. Karpieński nie był z ich szczupłej liczby. Prawda że niezwyčajnego dziś wieku doczekał, ale téż zdziecinniał prawie zupełnie. Gusta, skłonności dawne, przybrały w nim postać przesady; z młodości miał zdatność i upodobanie w składaniu wierszy, i lubił regularne życie; w późnej starości prawie zawsze potoczną mowę rymował, i żył zupełnie według zegarka: wszystkie jego zatrudnienia miały wyznaczone godziny; o dwunastój jadał; a gdy o parę minut obiad się spóźnił, był nie spokojnym, groził że zachoruje. Po obiedzie kładł się; czy spał, czy nie spał, godzinę wyleżeć musiał; potem

jeśli czas pozwalał, wychodził na dziedziniec: tam ośmdziesiąt kroków od domu, miał słup wbity, do tego słupa szedł i wracał po dwa razy; jeśli zaś słotna była pora, też samą liczbę kroków odbywał w sali na przechadzkę przeznaczoną, którą zaraz po sprowadzeniu się swoim do Chorowszczyzny, ozdobił był obrazami po większej części historycznymi; a przy każdym z nich był stosowny napis wierszami jego własnego układu. Wróciwszy z przechadzki, zjadał jeden migdał i jeden rodzenek; potem czytał albo też grał w warcaby, lub kalabracę, dwie gry, które przy końcu życia były mu ulubione.

Lubo już niezupełnie był sam sobą, tyle jednak umiał jeszcze i w tym smutnym stanie ująć sobie domowych i sąsiadów, że ci nawet, którzy nie lubili gry żadnej, chętnie wraz z nim nad temi kilka godzin trawili. Nieraz także omdlałą ręką poruszał struny niegdyś mile brzmiącej gitary, drżącym głosem chciał jeszcze nucić nadobne swe pieśni, które sam wtedy wychwalał. Ale mało co z tych pięknych poezji zatrzymała jego pamięć; jednak *Laure* i *Filona*, wiersz *O powinnościach obywatela*, na obchód rocznicy urodzin księcia Czartoryskiego napisany, i pieśń *O wielkości Boga* zatrzymał co do słowa; unosił się nad niemi, i przyznać należy, że pamięć jego dobry wybór uczynić umiała. Ostatnią pieśń zwłaszcza powtarzał z takim zapalem i uczuciem, że na zorane lica niezwykłym rumieńcem okryte, zawsze wtedy spadało łez kilka. Rozrzewniać się musieli i przytomni, kiedy starzec przeszło ośmdziesiątletni, już na progu śmierci stojący, wymawiał te naprzykład z tej pieśni strofy:

Potężny Boże, na ziemi i Niebie!
 Gdy spojrzę na dzieł Twoich widowisko,
 A potem oczy obrócę na siebie;
 Jak mię ta wielkość upokarza nisko.

Przecież, chociażem istotą tak małą,
 Pójdę do Ciebie... Twa dobroć mi znana!

I wlać mi chciałeś jakąś duszę śmiałą,
Co się chce przedrzeć do samego Pana.

Ale odarty.. jak przed Tobą stanę?
Cechę wierności z piersi moich starłem;
I niewinności odzienie mi dane,
Ocierając się między ludźmi, zdarłem.

Przecież ja pójdę; cokolwiek mię czeka,
Pójdę do Ciebie... bo mi powiedziano:
Że byłeś Ty się obejrzał na człeka,
Zaraz go w stanie szczęśliwym widziano.

Tak jak dziś jestem, niedołącznym płazem,
Zbitém naczyniem, o które nie stoję;
Pokorę tylko wzięwszy z sobą razem,
Poniosęć głupstwa i nikczemność moję.

Mnie się rozstąpią wybranych Twych rzesze,
Mnie nic nie będzie po drodze ustraszac;
Jeszcze ich mojem przybyciem pocieszę,
Bo powiem: że ja idę Cię przeproszac.

Potém przed Tronem Twym padnę i powiem:
„Z dalekich krajów przyszedłem w te strony
Za moim skarbem, weselem i zdrowiem,
Ubogi, smutny, na siłach zwątlony...”

Na krótki czas przed zgonem, jeszcze tę pieśń powta-
rzał; umarł 16 Września 1825 roku, mając lat osmdziesiąt
cztery, miesiący jedenaście, otoczony dziećmi i wnukami uko-
chanój swój siostry. Pochowanym został na cmentarzu pa-
rafii Łyżkowskiej, dnia 19 Września. Prosił o położenie na
mogile tego napisu:

Otóż mój dom ubogi.

Są to pierwsze słowa owych wierszy, które mu wzglę-
dy i dar Stanisława Augusta zjednały: i ta myśl, żeby ostatnie,
ciasne grobowe mieszkanie przypominało wyrazy, którym uczi-
wą, doczesną siedzibę był winien, ma w sobie tę tkliwość,

tę rzewność, ten, że tak powiem *serdeczny dowcip*, którym pisma jego są naznaczone.

Karpiński był miernego wzrostu, twarzy i postaci nieokazałej; pełen prostoty, nie niósł z sobą w towarzystwa ani żadnej przysady ani chęci popisywania się i zwracania na siebie oczów. Żadnemu też może z sławniejszych pisarzy nie zdarzyło się częściej, iż w osobie nie poznawano autora. Tak, czytamy w *Wandzie, Wiązaniu na rok 1825*, następujący szczegół: „W roku 1806 generał Lwow, oswojony z literaturą naszą cudzoziemiec, stanął kwaterą w pomieszkaniu Karpińskiego. Z początku nawykli do nierobienia ceremonii gości, przerywali domową ciszę poety. W kilka dni dopiero generał zapytał się gospodarza, czy nie jest czasem krewny sławnego autora Sielanek? „Ja to sam nim jestem“ odpowiedział Karpiński, a Lwow, który dotąd siedział, powstał z miejsca, powitał go z uroczystą powagą i odtąd wszelkie uszanowanie względem osoby gospodarza zachował. Śmiał się później poeta, widząc z jaką ostrożnością żołnierze przez sień jego przechodzący, na palcach postępowali.

Podobnież na kilka lat przed zgonem, kiedy przyjechawszy do sąsiada, gdzie gościa sobie nieznanego z Warszawy zastał, usiadł przy nim u stołu, i mało co mówił; wszczęła się między przytomnymi rozprawa, któremu z wierszopisów polskich przyznać pierwszeństwo? Gość przybyły, nie domyślając się bynajmniej kto przy nim siedzi, tak się odezwał: „Co do mnie, ze wszystkich poetów naszych najwięcej cenię Karpińskiego; nie umiałbym może powiedzieć dlaczego? znam dobrze, że inni mają więcej mocy, geniuszu, ale jest w nim jakaś rzewność, jakaś słodycz, jakaś poczciwość, narodowość, która mnie zachwyca: naczytać się go nie mogę, i byłbym najszcześniejszy, gdybym jego samego, mógł choć raz przed śmiercią ujrzeć!“ Przytomni słuchali z wdzięcznym uśmiechem téj szczeréj pochwały; sędziwy zaś poeta łez radości wstrzymać nie mógł, i te go wydały. Jednak pomimo téj

skromnej w posiedzeniach postaci, Karpiński nie był bez dowcipu, umiał znaleźć się grzecznie, umiał czasem i przyciąć. Trudno zręcznie, pięknie wywiązać się z zadania, jak on raz w Puławach. Słyszcząca pięknoscią i rozumem, księżna Marya z Czartoryskich Wirtembergska, zadała mu cztery następujące wyrazy: *wdzięki, pieszczoty, wiosna, nadzieja*; on z nich te wiersze ułożył:

Lubisz wdzięki, pieszczoty, wiosnę i nadzieję,
Te masz, temiś i tąż jest, a ta ci się śmieje.

W późnym zaś już wieku, będąc raz w licznym towarzystwie, tak skarcił jednego śmiałka. Młodzik ten z zagranicy wróciwszy, zapewne nie znając wcale literatury ojczystej, szydził sobie z poezji polskiej, i rzekł do Karpińskiego z przyciskiem: „WacPan, co to podobno byleś poetą, powiedzże mi, jakiegoby dobrać rymu do wyrazu cietrzew?“ Urażony starzec temi słowy, i tonem jakim wyrzeczone były, odpowiedział: „Zupełnego trudno będzie, ale można sens jaki ku temu wynaleźć.“ „Proszę, bardzo proszę!“ zawołał młodzik; a sędziwy poeta tak się odezwał po krótkim namyśle:

Z pomiędzy drzew
Powstał cietrzew;
Minął bałwana,
Siadł na WacPana.

Karpińskiego pisma są w dosyć znacznej liczbie, ale nie wszystkie jednaki wartości; rozbierać je przed wami dzieci drogie, sądzić o nich, obrać mu miejsce między autorami naszymi, wykryć jaki wpływ dzieła jego miały, zostawiam zdatniejszemu i uczeńszemu od siebie. Trafnego to trzeba rozsądku, obszernej wiadomości, a może i zimnej krwi wiele, żeby wydać i głosić rzetelne w takowym razie zdanie; wiek, okoliczności w jakich się dzieło jakie czyta, wreszcie osobiste dla pisarza uczucie, wpływ mają niezmierny: i ja czuję,

że choćbym cudem jakim wielkie przymioty prawdziwego krytyka posiadała, pism Karpińskiego bezstronnym sędzią nigdybym być nie potrafiła; umieszczę tu więc tylko porządny spis dzieł jego ogłoszonych drukiem, a to moje niedokładne i nieodpowiednie o Karpińskim wspomnienie, zakończę tą dla was radą: przy zbliżającej się porze kolendy, proście rodziców, opiekunów waszych, aby w miejsce zagranicznych *Etren*, kupili wam dzieła Karpińskiego; czytajcie je i odczytujcie, a przejmiecie się nieznacznie, miłością Boga, cnoty i narodowości: przejmiecie się niewygasłém dla tego pisarza uwielbieniem.

Spis dzieł Franciszka Karpińskiego.

Sielanek księga jedna.

Pieśni ksiąg cztery; czwarta zaś pieśni nabożne zawiera.
Różnych wierszy stronnic 106.

Psalterza Dawida przekład.

Ogrody, Poema Delilla wierszem i prozą przetłómaczone.

Judyta królowa Polska, trajedya, w pięciu aktach.

Czynsz, komedya w trzech aktach.

Alcesta, królowa Tessalii, opera w jednym akcie.

Podróż do Krakowa, i jego okolic.

Mowa na pochwałę Jana Sobieskiego.

Przywilej Jana Kazimierza, Stefanowi Czarneckiemu dany, z łacińskiego przetłómaczony.

O wymowie, w prozie albo w wierszu.

Przykłady uczynności i religii.

Przywary.

Dzieła Hofmanowej. Tom VI.

List o szczęściu człowieka, do Rozyny.

List o Rzeczypospolitej do Szczęsnego Potockiego.

Rozmowy Platona.

Wiara, Prawa i Obyczaje Indyan, z dzieła francuzkiego pana Michaud.

Dzieciom dla ich rozrywki i nauki, niektóre zabawniejsze historye z różnych dziejów świata dawniejszego zebrane.

JÓZEF SZYMANOWSKI.

(ur. 1748 r., um. 1801 r.).

Lubo Opatrzność w niedościgłych wyrokach swoich, wielu darów odmówiła ojczyźnie naszej; przecież jednego z największych dobrodziejstw, zawsze dla nas szciodrą była, i Polsce zawsze ludzi znakomitych stało. Przekonywam się coraz mocniej o tój lubėj prawdzie, od czasu, w którym dla was, dzieci moje, te drobne zbierać zaczęłam *Rozrywki*. Ile razy się wezmę do zapełnienia miejsca tym *Wspomnieniom* przeznaczonego, tyle razy cisną się do pamięci mojej cnotliwych i sławnych współrodaków imiona, i w tym najchlubniejszych bogactw przyjemnym kłopotcie, waham się, nie wiedząc sama które wybrać, o którym mówić wam pierwěj. Najczęściej głos serca mego się odezwie, da wyrok, i skończy wahanie; — jego to i dziś usłucham, a od poranku dni moich, przejęta wdzięcznością i przywiązaniem do Szymanowskich rodziny, o mężu tego imienia wam wspomnę.

Józef Szymanowski urodził się roku 1748 z Macieja Szymanowskiego, kasztelana rawskiego, i Anny z Łuszczewskich; z trzech względów na chlubną zasłużył pamięć: jako

pisarz, jako krytyk i jako człowiek cnotliwy. Pisma jego w małej są liczbie: przekład wierszem *Świątyni Wenery w Knidos*; *Trzydzieści siedm sztuk wierszy rozmaitych*; *Tłómaczenie jednej z powieści Woltera*; *Dwa listy o guście, czyli o smaku*; *Wyprawa w podróż*; *Zasady do prawa kryminalnego*; *Tłómaczenie pamiętników o dawném rycerstwie*: oto spis ich cały. Ta wstrzeźliwość pióra jego, wielką jednak może być nauką, bo nie z lenistwa pisał on mało, ale z chęci wypracowania tego co pisał; nie przyznając sobie geniuszu, nie chciał stwarzać, wołał drugich naśladować, tłómaczyć: wołał zostawić literaturze ojczystej mało pism, lecz wzorowych. Napisał *Świątynię Wenery w Knidos*, która niezliczone zyskała mu pochwały, i najpochlebniejsze od uczonych, od płci pięknej oklaski *), gdy go kto do przekładu lub tworzenia innych pism podobnych zachęcał, zwykł był powtarzać: „Świątynia Wenery zrobiła mi u współczesnych sławę, nie śmiem już więcej słabych sił moich doświadczać, bo chcę tę sławę w potomności zachować.“ Jakoż nie pisał już więcej, resztę życia przepędził na czytaniu dzieł wzorowych, i w towarzystwie uczonych. Ulubionemi mu byli dawni autorowie klasyczni, tegoczesne pisma znał z opowiadania, starożytne odczytywał ustawicznie.

Nie stracił bynajmniej Szymanowski na tej skromności, na tém rozsądném umiarkowaniu; umieścili go rodacy w *Wyborze pisarzów swoich*, i jego tłómaczenia większą mu chwałę przyniosły, jak nie jednemu obszerne własnej głowy płody; bo jeśli Konarskiego wielbić należy, iż język polski

*) Izabella z Flemingów księżna Czartoryska, ten wzór niewiast naszych, uczciła Józefa Szymanowskiego pięknym rysunkiem wyobrażającym Świątynię Sławy, której kapłanka ryje na kolumnach te słowa:

„*Świątynia Wenery w Knidos, Józefa Szymanowskiego.*“

Ten rysunek chowany jest dotąd troskliwie w pozostałej Szymanowskiej rodzinie.

z gruzów łaciny wydobył; jeśli Kopczyńskiemu wieczną przyznano chwałę, iż oczyścił i ustalił polszczyznę: wszyscy a zwłaszcza niewiasty i dzieci, Szymanowskiego cenić powinni, gdyż on pierwszy z mowy ojczystej, mowę miłości i czucia, mowę pieścioną uczynił. Słodycz, wytrawność, dobór wyrazów, wykończenie, delikatność, przymioty niemal przed nim w poezji naszój nie znane, on w wierszach swoich zamknął; nie chciał nowych dzieł tworzyć, nowy rodzaj pisania utworzył; i tak talent pomimo wrodzonój pisarzowi temu skromności, twórcą go uczynił. Dla potwierdzenia słów moich, przytoczę tu, dzieci lubo, kilka wierszy jego, wiekowi waszemu dostępnych; a gdy dojrzałe lata, więcej ich czytać wam dozwolą, złączycie niezawodnie w pochwalę sposobu pisania Szymanowskiego, głos wasz z powszechnym głosem.

NAGROBEK KSIĘŻNICZKI

TERESY CZARTORYSKIEJ *).

Stań! i nad tym, przechodniu, zastanów się głazem:
 Smutna nader i luba ta pamiątka razem.
 Teresa, wszystkich wdzięków miłym będąc zbiorem,
 Nadzieją niezawodną i czułości wzorem;
 Czułości, która w sobie często mniej szczęśliwa,
 Liczbę nieszczęsnych zmniejsza i z smutku wyrывa;
 W samym kwiecie młodości ziemię porzuciła:
 Róży przyjemność miała, ile róża żyła.
 Przechodniu! czyliż jeszcze suche masz źrenice?
 Zwilżysz je nieomylnie: spojrzuj na rodzice.

*) Córka Adama Czartoryskiego i Izabelli z Flemingów, piękna, nadobna, miła, kochana, umarła mając dopiero lat piętnaście, skutkiem

DO NADZIEI.

Czy widział kto listek z drzewa,
 Kiedy go woda porwała,
 Albo lekki wiatr powiewa?
 Jak dróżka za nim nie trwała!
 Ledwo ją oko dojrzało,
 Niknie: nic z niej nie zostało.
 Nagle dla mnie tak zniknęła,
 Nadziejo! twoja pociecha.
 Ledwo uśmiechem błysnęła,
 I jużci się nie uśmiecha;
 Z blaskiem jednego promyka
 Całe moje szczęście znika.

.

 WŁAMEK Z WSPOMNIENIA O CĘSI.

.
Obrazem (wiosny) myśl tkliwie przejęta,
 Często się puszcza w przyjemne marzenia;
 Ni o przytomnych troskach nie pamięta,
 Słodkie w przeszłości wybiera wspomnienia:
 Nawet na szczęście które uchybiło,
 Spogląda jakby jeszcze się wdzięczyło.

Temi myślami czule rozrzewniony,
 Które westchnieniem zakończyć się miały!
 Rzuciłem okiem w te ogrodu strony,
 Gdzie krzak różami stał okryty cały;
 Każda z nich wdziękiem patrzących wabiła,
 Lecz jedna wszystkie pięknością zwalczyła.

okropnego przypadku. W rannym ubiorze stała przy kominku z rozpuszczonemi, włosami, zapaliły się; płomień w jednej chwili i lekkie jej szaty ogarnął: ugaszono ogień—lecz i życie zgasło.

Wczora stanęła w tój przyjemnej porze
 Znaczącęj młodość, przez liść rozwinięty,¹
 Przez świeżą wonność, przez żywość w kolorze,
 Przy niej się pączek rumieni zamknięty,
 Co tylko wróżyć wdzięk kwiatka zaczyna;
 Cesię mi obok matki przypomina.

Szczęśliwa Cesia, ledwie czuje życie,
 I ledwie główkę o swęj mocy trzyma;
 Jeszcze ją miękkie obciska powicie,
 Jużci do matki wdzięczy się oczyma.
 Gdy rączki ku niej szczebiocząc wystawia,
 Zda się, że słodką pieszczotą przemawia:

Wszak z niej nie spuści oczu matka tkliwa,
 Czyli ją nosi, czy w kolebce złoży;
 Coraz to nowe w niej wdzięki odkrywa,
 Inne wysledza, inne jeszcze wróży:
 Słowem, ilekroć koszykiem zachwieje,
 Kołysze miłość, szczęście i nadzieje.

Skoro snem słodkim zmrúży się powieka,
 Patrzy jak lice rumieni uspienie;
 Jak uśmiech w ustach pogotowiu czeka,
 By milit pierwsze oczu otworzenie:
 Tak się żądana ocuca pociecha,
 Tak się nadzieja, tak szczęście uśmiecha.

O! matko czuła! niech cię przyszłość cieszy,
 Bądź w Opatrzności szczerze zaufana;
 Twa Cesia wzrastać w przymioty pośpieszy,
 Będzie nadobna i pewno kochana.
 O! gdyby tylko szczodra niebios siła,
 Powaby matki w córce powtórzyła *).

*) Spełniły się te życzenia, ale nie cieszyła się długo ich spełnieniem *czuła matka*, bo Cecylia z Dembowskich Grabowska, umarła przeżywszy zaledwie lat trzydzieści.

NA OBRAZ RODZICÓW.

Patrz, jak rodzice o twój los troskliwi,
 Na ten cel wszystko obrócą staranie,
 Żeby twém czuciem jedynie szczęśliwi,
 Każde tve mogli uprzędzić żądanie;
 Jak dary tobie od nich wyświadczone,
 Szczere im samym słodczye przynoszą:
 Jak życie twoje z niemi przepędzone,
 Będąc twém szczęściem, będzie ich rozkoszą.

Lecz nietylko przysłużyć się można literaturze, tworząc lub tłómacząc dzieła; jest jeszcze sposób inny, napózór łatwy, w istocie bardzo trudny i mało dla kogo przystępny: nim jest *krytyka*. Nikt tego sposobu sprawiedliwiej nie objał nad Józefa Szymanowskiego, przekonać się o tém można czytając *listy jego o smaku*; oto jest pierwszego początek: „Zdarzyło mi się czytać obwieszczenie W Pana, obiecujące sprawiedliwą wysłych pism w terażniejszym roku krytykę.. Jeżeli ten trybunał bezstronnym upoważniony sądem, w każdym dziele rozstrzygać będzie, co jest użytecznym, co płonnym, co isć powinno za wzór do naśladowania, co za przestrogę do chronienia się, słowem: co warto pochwały, co nagany; sprawiedliwie Wać Pana i kolegów jego wyroki, niezawodną przyniosą korzyść i dla piszących i dla czytelników. W takowym Areopagu, dowcip z rozumem podawać powinien pisma wspartemu umiejętnością rozsądkowi, a gust smakownym piórem, niechybne ogłaszać decyzje. Przedsięwzięcie to tém więcej przyniesie chwały, im trudniejsze jest w należytym jak być przystało, wykonaniu. Krytyka sama powinna być doskonałego pisania wzorem, inaczej nietylko zamierzonego chybi celu, ale gor-

szącym przykładem umacnia te złego gustu wady, które wykorzenić miała i t. d.“

Jak opisać umiał zasady krytyki Szymanowski, tak i zachowywać je potrafił; cichym lecz zgodnym wyborem sędzią dobrego smaku mianowany, dom jego stał się nieznacznie domem uczonój porady; należał czynnie do utworzenia szanownego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie, któremu literatura ojczysta tyle jest winna: zakładający je uczęszczali do niego, zasięgali jego zdania, i z nim wspólnie układali Zgromadzenia zasady. W ostatnich czasach życia Szymanowskiego, nie było dzieła, któreby przed wyjściem swoim na świat, pod sąd jego oddane nie zostało. Znosili w dom jego uczone swe prace: Krasicki, Stanisław Potocki, Niemcewicz, Woronicz, Dmochowski, Molski, Albertandi, Czacki, i wielu innych, którzy z bogacili literaturę polską; przyjemnie, trafnie i życzliwie udzielał im swoich postrzeżeń: jeżeli jaką podawał odmianę, nie narzucał jój, do woli autora oddając jój przyjęcie lub odrzucenie, każdy jednak cenił jego uwagi, korzystać chciał z rady. Tłómacz Eneidy mozolił się przy nim nad przekładem wiersza 1, w pieśni drugieój *Conticuere omnes intentique ora tenebant*. Szymanowski chodząc po pokoju wyrzekł nawiasem: „A czyby tak obrócić tego nie można:

Umilkli wszyscy: całych zajęło słuchanie!“ i tak został wiersz ten całkowicie przez tłómacza przyjęty. Cisnęła się także do Szymanowskiego i młodzież z pierwiastkami pióra swego. Wytwornym obdarzony smakiem, rzadką trafnością w sądzeniu, oceniał odrazu wartość dzieła, zdatność piszącego; ale równie delikatny i dobry, jak światły i sprawiedliwy, nie zrażał zaczynających surowością, nie używał uszczypliwych wydrwiwań, (tak łatwych tym, którzy iskrę dowcipu mają); lecz umiał, bez obrażenia drażliwój u każdego miłości własnej, wskazać wady pisma, sprostować zdania, właściwy kierunek nadać zdolnościom pisarza, a nawet

przyprowadzić go z ręcznie do zupełnego płodu swego zniszczenia. O! jakże tém godném piastowaniem krytyki wiele się przysłużył literaturze ojczystej, to udoskonalając już wzorowe pisma, to zachęcając zdatniejszych z młodzieży, to naprowadzając ich na właściwą im drogę, to uwalniając świat uczony od złych lub nieczemnych płodów, to nareszcie ukrócając zarozumienie, wspólne wszystkim niemal próbującym sił pisarzom. Jeden z nich Ignacy Tański, skończywszy szkoły, i czując w sobie łatwość do wiersza, umyślił zaraz być autorem; napisał więc komedię, a chlubny z swego dzieła, poddał go pod krytykę Szymanowskiego, w przekonaniu, iż najwyższe od niego otrzyma pochwały. Szymanowski przyjął wdzięcznie złożone sobie dzieło. W kilka dni zapytuje się go młody autor, jak sądzi o jego komedyi? Nikogo zarumienić niezwykły krytyk, odpowiada: „Nie miałem jeszcze czasu jęj odczytać!“ W kilka tygodni Tański, niecierpliwie oczekujący spodziewanej pochwały, przypomina znowu Szymanowskiemu swoją komedię: „Jeszcze nie dokończyłem czytania!“ mówi tamten półgębkiem. Urażony tą zwłoką młodzieniec odchodzi z nieukontentowaniem; ale przyszedłszy do domu rozważa, że jego komedia w jednym akcie napisana, długiego czasu do odczytania nie wymaga; i przypuszcza domysł, iż się zapewne podobać nie umiała. Lękając się obrazy miłości własnej swojej, i zniszczenia słodkich marzeń, lubo uczęszcza do domu Szymanowskiego, nie śmie już jednak przypominać mu swojej komedyi, (ile że ten ciągle o niej milczy), i nareszcie sam o niej zapomina. W lat dopięro kilka, kiedy już Tański mógł być sędzią prac literackich, przychodzi mu to jego dzieło na pamięć; szuka między swemi papierami kopii, znajduje, czyta, i dostrzega przyczyny, dla której o niem Szymanowski zamilczał. Bieży dziękować mu iż go ochronił od nieochybnego zawstydzienia, a krytyk czule go przepraszał, że się ośmielił to pierwsze jego dzieło wiecznej poświęcić niepamięci.

U nas, w każdym czasie, kto znakomitego człowieka *cnotliwym* nazwie, już tém samém jakby powiedział że i dobrym był obywatelem. Każdy z nich tak głęboko w sercu ojczyznę nosi, że jój miłość w duszy jego ze wszystkiemi uczuciami się spaja, z samą cnotą jednoczy. Tak było z Szymanowskim: miłość rodzinnej ziemi na czele uczuć jego i zalet jaśniała; nietylko ją kochał gorąco, ale użytecznym jój być umiał często z ujmą własnej spokojności i zdrowia, i zawczasu się poświęcił obywatelskiej usłudze. W młodym wieku wezwany był od Stanisława Augusta, do Kamery królewskiej. Pracował w niej szczególnie nad urządzeniem dochodów królewskich, nad uporządkowaniem intrat stołowych i ich wydatkiem; król umiając cenić zdatność jego, zaszczycił go stopniem szambelana swego dworu. Z wyboru obywateli był posłem na sejmie 1778 roku. Na czteroletnim, nie liczyli go prawodawcy między sobą; dzielił on jednak z nimi wszystkie prace, udzielając im swych uwag, i wspierając radą ich usiłowania. Daleki od wszelkiej próżności, w usługach swoich dla kraju, raczej szukał użytku niżli wydatności; wybrany jednak został na tym sejmie do Deputyacji Prawodawczej, i zajął się szczególnie ułożeniem kodeksu kryminalnego, którego niedostawało prawom polskim. Zarysy do niego umieszczone w zbiorze pism Szymanowskiego, są oraz zarysami duszy jego i sposobu myślenia.

W roku 1794 był członkiem rady najwyższej; rozsądkiem hamował zbytne uniesienia; umiarkowany, wstrzymywał okrucieństwa, a surową cnotą gromił tych, którzy z powszechnego zaburzenia korzystając, wywyższenia swego mieli widoki. Równie jak na publiczne enoty Szymanowskiego tak i na domowe śmiało zapatrywać się można; nie było rządniejszego i lepszego pana, czulszego krewnego i brata, stalszego przyjaciela, przykładniejszego syna. Żądany po najwykwintniejszych towarzystwach dla niepojętej przyjemności w obcowaniu, i dziwnie miłego rozumu, wrywany sobie

przez najpierwsze w kraju osoby, on był najszcześniejszy, kiedy w wiejskiem ustroniu, sędziwej matce długie jesienne wieczory rozmową swoją umiłał i skracał. Żyjący przyjaciele Szymanowskiego wspominają dotąd z uczuciem, o tém jego do matki przywiązaniu, o téj uległości, z jaką był dla niej, już sam będąc w dojrzałym wieku. Przyjaciela gdzieżby szukać czulszego, bezinteresowniejszego?

Młode lata w domu księcia Augusta Czartoryskiego wojewody ruskiego spędziwszy, czułą związał się przyjaźnią z synem jego, znanym i wielbionym powszechnie Adamem Czartoryskim i dochował ją do zgonu. Towarzyszył mu w podróżach do obcych krajów, i taką pozyskał jego i za-
cnej siostry ufność, iż po śmierci księcia wojewody, gdy się otworzył spadek ogromnego majątku, sto milionów przynoszący, dostojne rodzeństwo zgodziło się na to, aby ich Józef Szymanowski tym majątkiem podzielił. On między nimi miał być pośrednikiem, jego zdanie było dla nich ostatecznym wyrokiem; dopełnił Szymanowski téj przyjacielskiej acz trudnej i pracowitej posługi, ukończył ją z zupełnem zadowoleniem stron obojga, i nie przyjął żadnej ofiarowanej nagrody, przyjaźń ich tylko i życzliwość do śmierci zamawiając sobie.

Z tak tkliwem, delikatnem sercem, Szymanowski nie zawarł przecież związków małżeńskich; w młodszym wieku losy ojczyzny zajmowały go wyłącznie, później ciągle cierpiący, nie chciał widokiem nieustannej boleści rozdzierać serca tkliwej towarzyszki, i wolał dokonać życia samotnie. Ale lepiej od słów moich poznać go dadzą, te *wyjątki z listów jego* pisanych w przeciągu lat dziewięciu, do osoby którą kochał czule, i cenił wysoko, przed którą nie miał tajnego; kreślone od ręki, będą oraz dowodem słodczy i delikatności pióra jego.

Dnia 22 Lipca 1792 r., z Krakowa.

...Daruj mi, proszę, żem nie wspomniał o mojem zdro-

wiu; łatwo o nióm zapomnieć pisząc do ciebie: żywsze uczucie nie pozwala nawet postrzegać mniejszego. Wreszcie przyzwyczaiłem się już do moich cierpień: będąc codziennymi, oswoiły mnie z sobą.

Winnym szczęścia być tobie, podwoiłoby dla mnie samo szczęście!

Lubo wielu znajomych w Krakowie spotykam, wewnętrzne uczucie odejmuje chęć od większych społeczności, i tam najmiliej przytrzymuje, gdzie można i wynurzyć co człowiek myśli i swobodnie się smucić.

Dnia 24 Lipca.

Z utęsknieniem najżywszém wyglądałem dzisiejszój poczty, dwa razy posyłałem po listy, i dwa razy smutną dla siebie usłyszałem odpowiedź, że ich nie masz. Żebyś pani moja wiedziała, jak długo czekać od Wtorku do Soboty. Odbierać listy od ciebie i pisać do ciebie, radbym żeby było całkowitém mojm życiem w terażniejszym oddaleniu.

Dnia 31 Lipca, z Wieliczki.

Wyjechałem z Krakowa żeby być spokojniejszym; przykro jest nader słyścić o tém co się dzieje, a kiedy od tego wszystkiego oddalić się duszą nie można, przynajmniej nie należy uczucia pomnażać nowym coraz żywołem żalu i zgryzoty...

Najmiliej mi jest każdą nowinę wiedzieć od ciebie, pani moja, bo wtenczas czuję zaraz tę pociechę, że ją mam od ciebie, że twoje wyrazy czytam, że z tobą rozmawiam. Całuję rączki twoje i zawsze jedne wynurzam zapewnienia, o tém szczerém i najtkliwszém przywiązaniu, które czuję mniej dbając, że go wyrażać w miarę uczucia nie potrafię.

Dnia 13 Sierpnia.

Twoje listy Pani, stają się dla mnie jedyną ulgą w terażniejszym smutku, radbym tylko żebyś się starała odurzyć na wszystko co się dzieje, żebyś zbyt do serca nie brała tego czemu pomódz niepodobna; żebyś nie szkodziła zdro-

wiu twemu. Azaliż Opatrzność przewinie to pasmo nie-szczęść; ochraniajmy czułość naszą na przyjemniejsze momenta.

Mogąż być twoje listy długimi dla mnie? przedłużając je, wierz proszę, że przedłużasz moje najśłodsze uczucie.

Dnia 1 Września, z Sieniawy.

Gniewam się prawdziwie na stan mój tak obraźliwy zdrowia, że każdą okoliczność smutną wypłacić musi stratą swoją, jak gdyby po większej części całe życie z takiego nie utkane było pasma.

Czas jakiś tu zabawiwszy puszczę się w drogę prosto do siebie, i lepij jak do siebie, bo do matki i do ciebie Pani moja.

Dnia 7 Września.

Mieliśmy tu Karpińskiego, który już edukacyi Dominika Radziwiłła poprzestał. Powiadał mi wiele pieśni swoich na pamięć, które w celu śpiewania w kościele dla pospółstwa napisał. Niektóre bardzo ładne.

Kończę, zaręczając stałość i najtkliwszą czułość tego sentymentu, któremu znajomość serca, szacunek, przyjaźń dały początek, wzrost i całą żywość.

Dnia 17 Września, z Dembna.

Wyglądam zawsze twoich listów z największym utęsknieniem, bo cóż może teraz być dla mnie słodsze jak twoje listy, co pożądańszem jak wiadomość o tobie, co jedynie kojacem przykrość oddalenia, jak twoje łaskawe wyrazy?

Dnia 19 Października, z Sieniawy.

Sama Sieniawa jest w smutnym położeniu, ogród dosyć piękny, drzewa donośne, ale to nic w porównaniu do Wysocka, gdzie tak jest ogród wspaniały, że tą wspaniałością każdy wchodzący musi być uderzonym. Szpalery lipowe wysokości niewidzianej, piramidy świerkowe, gust rysunku

dawny, ale bardzo poważny. Osobliwie szpaler sadzony od Jana Sobieskiego, w czasie kiedy z Wiedeńskiej wyprawy powrócił.

Dnia 24 Października 1792 r.

Miłoś mi jest widzieć K..... z którym od młodości związała mnie czuła przyjaźń. Usługi jego oddane z sławą krajowi, do dawnego uczucia przydały jeszcze winne od obywatela obowiązki. Szczęśliwy, że takie pełnił usługi, szczęśliwy, że z wysłużoną już sławą łączyć umieć tak naturalną skromność, które do poszanowania winnego przydawać każe tkliwą przyjaźń. Zawstydzić nawet potrafił fortunę, wracając się chętnie do szczupłej bardzo mierności, nie chcąc w niczem urazić delikatnego sposobu myślenia. Pierwsze jego momenta widzenia się z księciem rozrzewniły mnie prawdziwie; zdawało mi się żem widział syna, który z wdzięcznością odnosi ojcu sławę za jego dla siebie starania. Obadwa się aż do łez uściskali. Każdy go potem sobie wydzierał.

Dnia 9 Maja 1793 r., z Warszawy.

Już tedy Pani moja na wsi u siebie najmilszego używa powietrza; już każdemu pączkowi, każdemu przybyłemu listkowi przypatruje się i daje staranie; a my tu tęsknimy i połykamy kurz i brudy Warszawy. Ja przecie z rozkazu doktora umygam się z nich regularnie, ale jeszcze znacznej folgi nie czuję.

Dnia 8 Grudnia 1794 r., z Warszawy.

Daruj mi że dotychczas nie pisałem do ciebie; wiadome ci już zapewne okoliczności niech będą wymówką moją. Najlekczej złożyć swoje smutki w przyjaznym sobie sercu, ale kiedy są wspólne, wtenczas wzajemnie tylko pogłębiają już nie mogącą się zagoić ranę. Kiedy nieszczęście przyjdzie do pewnego kresu, najlepiej o niem nie mówić, żeby mówienie nie zdawało się narzekaniem na to przeznaczenie, które z uszanowaniem znosić należy.

Dnia 14 Grudnia.

Siedzieć będę w Warszawie do wiosny, czekając wszystkich wyroków losu, jakie dla nas wymierzone. Wielbiłem zawsze Opatrzność, nie będę nigdy mruzczyć na Nią. Pojadę do *Grądów* *), już mnie żadne nie ujrzy miasto, poświęcę mnie milczeniu i zaciszy. Familia będzie moim światem i społeczeństwem.

Dnia 24 Lutego 1795 r.

Cóżkolwiekbyś, trzeba umieć znosić i to cierpliwie; ta jest korzyść którą umiejący myśleć, czerpa w okolicznościach terażniejszych.

Niewiadome są wyroki Opatrzności, ale Ona jest zawsze.

Miłoś mi było czytać to, co piszesz o mojej matce. Mój Boże! jakaż to powinna być miłość dzieci dla takiej matki, kiedy do uczucia tak naturalnego łączyć jeszcze należy tak winne dla osoby i przymiotów uwielbienie! Ileż mi uczyniła dobrodziejstw! i jakim to sercem!

Roku 1800, z Warszawy.

Już teraz część moja polityczna w letargu. Do choroby przywiązany smutek nie każe się drugim komunikować, bo on jak ziewanie jest zaraźliwy. Lepiej się dzielić dobrym humorem i wesołością.

Czasem Opatrzność podoba sobie wybierać małe środki do uczynienia wielkich dobrodziejstw.

Z ostatniego listu 1801 roku, wkrótce przed śmiercią pisanego:

Oddaj Opatrzności, to co ja Jój poruczyłem... radzić

*) *Grądy* wieś dziedziczna Józefa Szymanowskiego, o trzy mile od Warszawy, niedaleko Błonia; smakownym ją przyozdobił domem i ogrodem. Miłą mu była, bo bliska *Lesna*, gdzie ukochana matka ciągle mieszkała.

się będę kilku doktorów, ale niech się dzieje co Bóg przeznaczył.

Jakiem uczuciem tchną te ostatnie wyrazy, takim tchnęła od ocknienia się swego, tkliwa Szymanowskiego dusza. Bo powiedziawszy że był dobrym synem, obywatelem, krewnym, panem, przyjacielem; czyż jeszcze mówić potrzeba, że światła i niczém nie zachwiana pobożność i wiara, przewodnikiem była jego drogi? każdy czynu jego przekonywał wszystkich o tój prawdzie, lecz utwierdziła ją śmierć, to prawdziwe rozwiązanie ziemskiego życia; w niej prawym okazał się chrześcianinem. Dolegliwe cierpienia zwiastowały mu jój przyjście na długi czas nim zawitała; ale od młodości nosząc zawsze w pamięci tę ważną i nieomylną godzinę, gotował się do niej bez trwogi i smutku. Chciał naprzód rozporządzić wcześniej swoim majątkiem, lecz bojąc się tym czynem zasmucać krewnych i przyjaciół, jednego tylko zaufanego wezwał do siebie *), jemu swój zamiar powierzył, za dyktował sam ostateczną wolę; i na sześć miesięcy przed śmiercią, podpisany testament złożył w ręce przyjaźni, obowiązując aby w sądzie był oddany, gdy tego będzie potrzeba. Oto z tego aktu wyjątek.

„Nie mając innój fortuny stałej nad spadkową, przekonany jestem, że mi się inaczéj nią rozrządzać nie godzi, tylko jak prawo mieć chce. Wszystkich moich sukcesorów równie kocham: więcéj jednego jak drugiego obdarzać byłoby ukrzywdzić innych. Nie mam powodów ani wyjmować kogóżkolwiek od sukcesyi, ani ją dla kogóżkolwiek zwiększać.

Oddaję co wziętem, i czego siebie mam raczéj za dzier-

*) Od tego - to przyjaciela *Szymanowskiego*, radcy stanu Józefa Natrebskiego, *Wydawca Rozrywek* ma sobie udzieloną większą część umieszczonych tu szczegółów.

zawcę jak za właściciela. Z tego co sędzę być mojem, to jest pieniądze gotowe, mobilia i intraty, tém mi wolno dysponować, ile że idzie mniej o darowiznę jak o dług winny.“
Tu następuje szczodre sług wiernych wynagrodzenie.

Odtąd osłabiony na siłach, resztę życia poświęcił przygotowaniu się w drogę wieczności; otoczony małą liczbą osób prawdziwie mu miłych, ich tylko chciał mieć swych cierpień świadkami; delikatność, ten przymiot rzadki, która piętnem była pism i czynów jego, okazała się nawet w tych ostatnich chwilach. Czując się już bardzo słabym, nie mówiąc nikomu z przytomnych, wyprawił tajemnie gońca po kapłana, z którym od młodych lat przyjaźń go łączyła: był to ksiądz Żubr, pleban w dobrach jego matki, i jój i jego doczesny i duchowny poradnik i spowiednik, wzór dobrych pasterzy. Uweselony jego przybyciem, oświadczywszy mu chęć być przez niego przygotowanym, uprosiwszy, aby go nie odstępował do ostatniej chwili, spokojnie oczekiwał zgonu. Odbyszy spowiedź, przyjąwszy Sakramenta, nie chcąc rozrzucać przytomnych, w ich tylko niebytności pobożnym oddawał się obrzędowi. Wtedy jedynie gdy sam był z księdzem Żubrem, gorące z nim czynił modły, i czytać sobie kazał ulubionego mu *Tomasza à Kempis*. Przerzywał te zatrudnienia za wejściem do siebie otaczających go krewnych i przyjaciół; prowadził z nimi miłe i potoczne rozmowy, starał się uspokajać ich troskliwość, jak najmniej narzekając na swoje cierpienia. Prosił, aby się przy nim bawiono i rozmawiano wesoło, i zawsze wdzięcznie dziękował otaczającym siebie, za ich dobroć w pilnowaniu go. Jeżeli niekiedy zwrócił rozmowę do stanu swego, zawsze ta oznaczała jego spokojność duszy. Dziękował Opatrzności iż go uchroniła od niedowiarstwa zarazy: „Gdyby niewierzący w nieśmiertelność duszy byli tu przytomni, mówił z uczuciem, przekonaliby się o niej; nie mógłbym tak spokojnie i wesoło umierać, gdybym nie miał nadziei swobodniejszego życia i przyszłej nagrody;

wszystko przedemną uśmiechać się zdaje, żadnej nie mam obawy śmierci. Kiedy chciano zasłaniać okna, aby blask nie raził oczu jego: „Nie czyńcie tego, mówił, pozwólcie mi jeszcze chwilę cieszyć się tym darem Opatrzności!“ Jednego razu otaczający go poszli do obiadu, zostawując przy nim wiernego sługę; wnet ujrzeli go wychodzącego nagle z pokoju pana, zalanego łzami; powstali jak najspieszniej okropne przeczuwając nieszczęście: wbiegają, zastają Szymanowskiego który się uśmiecha i mówi do nich: „Przestraszyliście się a mnie nic złego nie spotkało. Pocciwy mój Michał, widząc mnie tak mocno słabym, ulitowany nad nędzną moją istotą, rozplakał się; kazałem mu odejść żeby żal swój ukoił, i przeląknęłam was.“ Ta dusza delikatna i tkliwa do końca, dnia 15 Lutego 1801 r. wróciła do Tego, który ją tak nadobną uczynił. Miał Józef Szymanowski lat 53, do ostatniej chwili, przytomność umysłu zachował; już przyćmiła śmierć oczy jego czarnym mrokiem swoim, ręka jeszcze brata i przyjaciół szukała, usta tkliwemi żegnały ich słowy. Ciało jego spoczywa na Powązkowskim cmentarzu, bez kamienia i napisu; ale nadobne pióro wyryło imię jego w księgach cnoty, w sercu rodaków.

FRANCISZEK DYONIZY KNIAŻNIN.

(ur. r. 1750, um. 1807 r.)

W liczbie poetów, którzy panowania Stanisława Augusta byli ozdobą, niepospolite trzyma miejsce Franciszek Dyonizy Książnin. Wiadomość o życiu i pismach jego, dziś wam, dzieci moje przynoszę. Zwyczajem, nie z upodobania ale z konieczności odemnie przyjętym, i w tej wiadomości więcej będzie o pisarzu niżli o człowieku, więcej z pism

wyjątków niżli szczegółów życia; a przecież dni Książnina nie upłynęły w zaciśy, ani bez żadnych wypadków: owszem spędził on wiek swój niemal cały, przy świetnym dworze, i będzie mógł być kiedyś podobnie jak śpiewak Jerozolimy, bohaterem smutnej lecz zajmującej powieści. Ale opis dokładny jego życia wymaga świadomszego pióra, niżli moje być może; wymaga przyjaciela ręki, któraby to skreśliła, czego oczy świadkami były. Mnie, pomimo usilnych starań, mało co zebrać się udało.

Franciszek Dyonizy Książnin urodził się z Ignacego i Anastazyi Książninów. Dawny i szlachecki ród jego osiadły był niegdyś w województwie Smoleńskim; ale gdy w roku 1654, Smoleńsk odpada od Polski, Władysław Książnin, rycerz dzielny, opuścił miasto, którego mężnie wraz z innemi bronił, i osiadł w Witebskiem. Tam ożeniwszy się miał dwóch synów; młodszy z nich Jerzy był ojcem Ignacego; a temu w roku 1750 dnia 4 Października urodziło się pełne nadziei dziecko, poeta, o którym wspomnienie. Tak on sam o miejscu rodzinném mówi:

Ja urodzony przy Dźwinie,
Która z masztami, pieńką i żytem,
Wyniosłe mijając brzegi,
Hojném Bałtydzie zlewa korytem
Stopione lody i śniegi...

Czas krótki i pędem wiatru zbiegły bawił młody Franciszek Książnin w domu rodzicielskim, bo taki zwyczajnie los dzieci płci męzkiej; jednak te krótkie lata, nauki ojca i matki pieszczoty, jak w każdym sercu tkliwém, tak i w jego, długą i miłą zostawiły pamięć. Już w późnej życia swego porze, opisując wiek dziecinny, takie umieścił wyrazy:

Miałem ten życia poranek,
I ja, méj matki kochanek,
Na samą pamięć i obraz jój tkliwy
Jestem szczęśliwy!

Stosownie do powszechnego owych czasów zwyczaju, w tym poranku życia oddanym został do szkół Witebskich, księży Jezuitów; a gdy ci dostrzegli w nim większą niżli w pospolitych uczniach zdatność, radzili mu aby wstąpił do ich zakonu. Czternaście lat miał natenczas Książnin, szczupły rodziców majątek wskazywał mu potrzebę zabezpieczenia sobie losu; łatwo więc radom tym uległ: przywdział czarną synów Lojoli sukienkę, i wkrótce do Warszawy jako nauczyciel szkolny był przeniesionym. Jednakże nie mając rzetelnego powołania do tyłu cnót wymagającego stanu, nie śpieszył się bynajmniej z przyjęciem kapłańskich święceń; i gdy w roku 1773, zakon Jezuitów zniesionym został, nie mając ich jeszcze, wrócił do świeckiego stanu. Chociaż bez majątku i sposobu do życia nie doświadczył niedostatku; bo lubił pracę, szukał zatrudnienia i skromne miał widoki. Nie był on bowiem z liczby owych młodzików, którym się zdaje niesprawiedliwością Opatrzności, że bogatymi nie są; których nie rumieni i nie odstręcza zebranie opieki i pomocy u możnych, a uczciwa i skromna praca wstydi i odraża.

Takięj pracy szukał Książnin, i taką znalazł, gdyż tój zawsze stanie. Lubownik nauk, do których od dzieciństwa z usilnością się przykładał, wielbiciel poetów i poezyi, starał się dostać do tak zwanęj Biblioteki Załuskich, gdzie gorliwi dwaj bracia tego imienia, zbierając i porządkując z wielkiem staraniem i nakładem, drogie skarby literatury ojczystęj, potrzebowali pomocników. Tam pod przewodnictwem gorliwego Janockiego pracował czas jakiś, karmił się płodami najlepszych pisarzy, a wolne chwile poświęcał kreśleniu wierszy, zatrudnieniu w którém oddawna miał upodobanie. Pracowitość tego i ulotne pełne wdzięku poezye, wkrótce znaniem być zaczęły; nie uszły oka księcia generała Czartoryskiego, tego nauk i uczonych czciciela i opiekuna: poznawszy w Książninie wielkie serca i umysłu przymioty, słodycz w obcowaniu, dowcip w rozmowie, łagodność obyczajów,

a nadewszystko dojrząwszy potrzebę opieki, wezwał go do domu swego, a osłaniając jak zwykł był czynić dobrodziejstwo delikatności zasłoną, prosił go usilnie, żeby chciał przyjąć urząd sekretarza przy boku jego.

Od téj pory do końca życia był Książnin w domu książąt Czartoryskich; przypuszczony do poufałego towarzystwa, téj równie znakomitój, jak światłej i przyjemnej rodziny, przykładając się do jéj zabaw, żyjąc prawie ciągle w nadobnych i świetnych Puławach, bawiąc się naukami i tą poezją, którą tyle lubił, wiódł życie miłe, życie póty swobodne, dopóki miłość zbyt śmiała nie zapaliła tkliwego serca *). To uczucie gwałtowne nie mogąc być wzajemném, przygnębiło duszę jego, oddało umysł tęsknocie. Żadna potęga tyle wszechwładną nie jest, ile namiętności siła. Znał Książnin swoje szaleństwo, a przecież mu ulegał, i tak nucił

Czegóż te piękne oczy nie mogą?
Czego na twarzy te róże?
Nieznaną błędzę za niemi drogą,
W ostre skałami bezdroże.

Jakże ty gónisz, skrzydlaczu hardy?
I dziką ścieżką i wążką,
Jak srodze ćwiczysz ofiarą wzgardy,
Cierniową róży gałązką!

Pomroka umysł, rana mdłe serce,
Tęskność mi duszę zajęta;
I sama tkliwość w téj poniewierce
Bolejąc tylko płonęta...

A na tak żywe uczucie szukał jedynie roztargnienia w Muzach... Lecz nie jest podobno poezya skuteczném na miłość i tęsknotę lekarstwem; są one jakby trzy siostry, któ-

*) Pokochał Maryą z książąt Czartoryskich, księżnę Wirttembergską.

re najczęściej trzymają się za ręce, i razem do krainy złudzeń wiodą: zamiast się wytepiac wzajemnie, jedna drugą karmi i podsyca. Pracą to tylko istotną, konieczną, ciągłą i użyteczną, można tęsknotę rozerwać, sprostować wybujały umysł i serce uzdrowić. Nie użył tego sposobu Książnin, nie doznał też pożądanego uleczenia; owszem przy rodzaju życia jakie prowadził, przy zatrudnieniach, które dni jego zabierały, wznagało się coraz bardziej uczucie, zwiększała się tęsknota; umysł słabiej i upadać zaczął. Gdy jeszcze w tę zniekaną i roztkliwioną duszę uderzył eios innych nieszczęść, już znieść tak wiele nie zdołał, i w zupełne wpadł obłąkanie. Znakomita i cnotliwa rodzina, która w ubogiej młodości dała mu przytułek, nie opuściła go kiedy w wieku dojrzałym, najsrozsza niedolą ugodzony został; używano wszelkich sposobów do przywrócenia mu zmysłów, najlepszych używano lekarzy, nie szczędzono starań: ale wszystkie usiłowania były daremne, nie zmniejszyć nawet choroby nie mogło, owszem zdawała się być coraz silniejszą. Wtedy przeniesiono go do Końskowoli, niedaleko od Puław; tam był plebanem Franciszek Zabłocki, przyjaciel Książnina od lat dziecinnych; tam, w niedługim czasie, na rękę jego oddał Bogu skołatanego ducha w 57 roku życia. Księżę Czartoryski w dowód żalu swego i przyjaźni, wystawić mu kazał na cmentarzu Końskowolskim, piękny pomnik z czarnego marmuru; takie sam na trzy boki ułożył napisy:

1.

Franciszek Dyonizy Książnin,
 Obywatel Województwa Witebskiego,
 Wierszopis, który górnym, tklwym i gładkim rymem
 miłość ojczyzny i cnoty
 w sercach swoich braci zapalał,
 tu spoczywa w Bogu.

2.

Zaczął żyć 4 października 1750,
umart 25 sierpnia 1807.

3.

Jeśli nadzieją mam pochlebiać sobie,
Rzuci potomność kwiat na moim grobie.

Kniaźnia był wzrostu niskiego, twarzy pociągłej, bla dęj i znaczącój; oczy miał ciemne, pełne wyrazu; w polskich sukniach chodził, ale ubior jego był dosyć zaniedbany: wasy tylko swoje bardzo cenil. Pomimo skłonności do smutku i tęsknoty, która się w nim od pierwszój objawiała młodości, był do chwili obłąkania swego bardzo w towarzystwie miły, w rozmowie dowcipny, w pożyciu łatwy i łagodny. Uczucia jego wszystkie były mocne i żywe, skromność wielka, sposób myślenia szlachetny; pobożny, moralny, pisma jego tchną czułością, obywatelstwem i cnotą. Równie jak kochankę i ojczyznę, tak i przyjacioł kochać umiał; liczył też kilku prawdziwych: między nimi był wspomniany wyżej Franciszek Zabłocki i Józef Orłowski. Był także w związkach ze wszystkimi sławniejszymi ludźmi swojej ocyzny, wraz z nim żyjącymi, od wszystkich dobrze widziany i ceniony.

Poezye Kniaźnina nie są zapewne naznaczone piętnem nadwyzczajnego geniuszu, nie on nie napisał wielkiego, nie mają też także przynajmniej dla mnie, owego wierszy Karpińskiego uroku, owęj jasności, prostoty, chociaż przyznaćby się mógł do niektórych *Laury* i *Filona* autor; ale jest może w nim mniej niżli w tautym poecie zaniedbania; moralność i obywatelstwo jednakie, wszędzie zaś wielka łatwość w rymowaniu, w obrazach miłości, czucie i delikatność, wielkość w przemawianiu o Bogu, ojczyźnie i cencie. Poezye Kniaź-

nina dwa oddziały składają: *pierwszym* jest zbiór wydany w trzech tomach przez niego samego w roku 1787 i 1788, przedrukowany w Wilnie w r. 1820; *drugim* zapas mało komu jeszcze znany, w rękopiśmie dotąd będący, który wiele ukrywa piękności *).

Pierwszy oddział zamyka co następuje: W tomie pierwszym cztery księgi *Liryków*, które znawcy wysoko cenią; i *Żale Orfeusza nad Eurydyką*; w tym poemacie jest tkliwość, całość, wyrażenia do serca idące. Napisał je Książnin dla przyjaciela; jego żal po utracie żony w nich chciał odmalować; i widać, że ten obraz z natury kreślony, bo wiele w nim wdzięku i prawdy.

W tomie drugim jest opera pod tytułem: *Matka Spartancka*, pełna pięknych i narodowych uczuć; *Balon* poema w dziesięciu pieśniach i *Gala wielka* przydatek do niego; oba do okoliczności pisane; druga opera *Cyganie*, która wiele ma naturalności, prostoty, i cztery poezye: *Wiersz na salę jadalną* w zamku Warszawskim; *Hymn do Boga; na śmierć Juluni*, i *Kolenda na Nowy rok*: z tych, Hymn do Boga najwięcej ceniony.

W tomie trzecim jest poema liryczne *Rozmaryn*; *Bajek* i *powieści* ksiąg troje, na wzór Fontena pisanych; *wiersz Matki do córek*: ten godzien być odczytywanym od każdej młodej panienki; *Sielanka* w trzech aktach, *Troiste wesele*, którą autor sam nie wiedząc dla czego lubił nad inne swe dzieła, i *Sześć Idyl*, wszystkie miłosnej treści. W drugim oddziale są dwie trajedye: *Hektor* i *Temistokles*, obie w pięciu aktach; pierwsza oryginalna, druga naśladowana z opery Metastaza; *różnych wierszy*, od piosnek, bajek, psalmów przeszło sto, *Cztery księgi pieśni Anakreona*, dwie krotofile *Anakreon* i *Marynki* i bardzo znaczny zbiór poezyi Ossyana, *Fingal*, *Temora*, *pienia Selmskie*, i t. d.

*) Dobroczytna i można reka ma się zająć ogłoszeniem tych poezyi.

Prócz tego tłómaczył jeszcze i podał do druku Książnin: *Porwanie Prozerpiny i Fenixa* z Klaudyusza, *Pieśń żelbrzącego Homera*, i napisał wiele wierszy łacińskich, które wyszły w r. 1781, pod tytułem: *Fr. Książnin Carmina*.

NIEKTÓRE WYJĄTKI
Z PIERWSZEGO ODDZIAŁU POEZJI
KNIAŻNINA.

Do Boga.

Od Ciebie moja niech zabrmi lira,
Twoją na zawsze strojona wiarą;
Znajoma Tobie moja myśl szczerą
I usta zgodne z serca ofiarą.
Czém tchnę, co czuję, co mię wzbic może,
Twoja to wola, Twoja moc, Boże!

Uczuciom moim Ty dodaj mocy,
Światła pojęciem, obrazom ducha.
Zaniechasz? gnuśnie mgła ślepej nocy
Cięży nademną gruba i głucha.
Błysziesz? aliści wzbudzony czuję,
Widzę coś, chwytam: w górę wlatuję.

Do Twojej łaski ustawnie wzdycham!
Uroń ja, znaněj ducha pokorze;
Bez niěj ja w czczości wędne, usycham,
Głowa jak kruchy kwiat na ugorze;
Ale gdy zrżęsisz hojną jěj rosą,
Jak listki z pączka, myśli się wzniosą.

Cóż, kiedy dzielna Twórcy potęga,
 W bystrym umyśle ogień roznieci?
 Posłuszny dowcip, kędy chcesz sięga,
 I cnota przy nim i sława leci.
 Zapal! a między gwiazd Twoich kołem
 I ja ognistém zabłyśnę czołem.

Ale niech pycha Twojego daru
 Zna moc, i zapal i pęd wysoki,
 Ten proszek coś go z ziemi rozparu
 Aż po za jasne wyniósł obłoki,
 Utknięty w ostrze ognistej strzały,
 Trudnoż Ci strącić w podziemne skały?

P S A L M D A W I D A.

Bez Boga nic.

Bóg-li domu nie zbuduje,
 Daremno nad nim rzemieślnik pracuje;
 Jeżeli miasta Pan nie strzeże z góry,
 Próżno straż czujna opasuje mury.

O wy! co nędzy chleb jecie
 Lecąc do pracy, jak tylko wytchniecie,
 Jeżeli Pańskiej nie macie pomocy,
 Na nic się przyda wstawać o północy.

Gdy Pan swemi wspiera siły,
 Wybranim swoim da spoczynek miły;
 W dzieciństwie tego zrodzą płodne matki
 Izraelowi niezliczone dziatki.

Jak strzały w daleką stronę
 Z cięciwy tęgiej na wiatr wypuszczone;
 Tak rozegnane Jakóbowe syny
 Gdzieś zaludniają nieznane krainy.

Szczęśliwy co z tamtych stanu,
 Żądania swoje ma spełnione w Panu;
 Nie załęknie się, śmiało trzyma ramie,
 Do nieprzyjaciół kiedy mówi w bramie. *)

PSALM DAWIDA 127.

O Bogobojności.

Szczęśliwy każdy kto się boisz Pana,
 Idąc w swój drodze, jak ci przepisana,
 Użyjesz słodko, czyniąc Bogu dzięki
 Prac twojej ręki.

Jako winograd bujne niesie grona,
 Tak w twoim domu żona ulubiona;
 Z tobą jak świeże oliwki pospołu
 Dzieci w krąg stołu.

Tak błogosławi Bóg w ziemskiej podróży,
 Kto się Go boi, a wiernie Mu służy;
 Niech błogosławi tak tobie do zgonu
 Rządca Syonu.

Abys przez całe twoje widział życie
 Dom Jego święty w jak najlepszym bycie,
 Synów twych syny, i pokój z weselem,
 Nad Izraelem.

DO OBYWATELA.

.....
 Któż obywateli? ten co swemi trudy
 Wspiera los braci, choć przeciwność bije;
 Któremu wdzięczni rzekną bez obłudy:
 „Niech żyje wiecznie, bo dla was on żyje!“

*) W bramie Jerozolimy przyjmowano poselstwa obce. *Przyp. Aut.*

Który jak drzewo wśród burzy otuli
 Skupioną trzodę, swych liści ramieniem:
 Biegną, śpiewając tam pasterze czuli;
 Cieszą się pod tym dobroczynnym cieniem.

.

DO

JÓZEFA ORŁOWSKIEGO.

Józefie! bity gościniec, którądy
 Za ślepym fałszem leci tłum w zapędy;
 Aż niebo kryje z gęstych nóg kurzawa
 I guszy owa przy fortunie wrzawa.

Kędy zaś cnota obok prawdy mieszka,
 Ciasno i górno cicha wiedzie ścieszka;
 Idącym przez nią wdzięcznymi kwiatami,
 Patrzącym zdala zarosła cierniami.

Wieczne tam trwają i róże i głogi,
 Bo rzadki goniec tój chwyta się drogi,
 Gdzieby rwał jedne, i cierpliwy razem,
 Drugą szlachetném chciał trzebić żelazem.

KROSIENKA *)

W rodzaju pasterskim.

Darmo mi matko! stawisz krosienka;
 Insza mię teraz myśl wiedzie:

*) Ta piosnka powszechnie się podobała, gdy ją Książnin napisał; jest zupełnie w rodzaju Karpińskiego, w guście wieku, w którym oba pisali—bo wtenczas sielanki były tak w modzie jak później ballady.

Ach! pozwól raczěj wyjrzec z okienka,
Czyli mój Filon nie jedzie?

Gdyśmy na siebie spojrzeli mile,
Powiedział tylko dwa słowa;
Bez niego teraz przykre mi chwile:
On mojej duszy połowa.

Cóż go tak długo tam zatrzymało?
Drogać mu nie jest daleka,
Serce moje zna jeszcze mało,
Które na niego tak czeka.

Przez ten ma gaik jechać mój mity;
Kiedyż twarz jego zaświeci?
Ptaki się ztamtąd nagle ruszyły,
Zapewne on to już leci.

I sroczka z płotu skrzeczy na niego;
Cóż to? nie widać go jeszcze.
Filonie! na blask wzroku twojego
W ręce z radości zakleszczę.

Otóż i widać— gość luby jedzie,
Sercu mojemu życzliwy;
Miłość w te strony wzrok jego wiedzie
A pod nim igra koń siwy.

Sięde przy krosnach na moment mity,
Abym tę radość ukryła;
By nie zrozumiał Filon przybyły
Że ja tu po nim tęskniła.

MATKA OBYWATELKA.

„Śpij, moje złoto!“ śpiewała
Kołysząc matka swe dziecko:
„Śpij moja nadziejo cała,
Moje ty życie.“

Usnęło.— „Słabe nieboże,
 Dosyc się, dosyc splakało;
 Po płaczu lepiej tóż może
 Będzie mi spało.

„Dziecię! o wieleż to biedy
 Matczyna znieść musi głowa;
 Nim się pociecha jój kiedy
 Z ciebie wychowa.

„Wieleż ja z czasem odbiorę
 Miłej mi za to wdzięczności,
 Gdy z ciebie uznam podporę
 Mojej starości.

„Gdy więc i sercem i głową
 Nie dasz przodkować nikomu,
 Przydając coraz cześć nową
 Dla twego domu.

„Gdy się kraj cały zdumiewać,
 Nad każdym twój cnoty czynem,
 A sława będzie mi śpiewać
 Żeś moim synem!

„Kto wie co jeszcze być może?
 Ach! sztylet serce przenika,
 Poczwarą jakaś, o Boże!
 Staje mi dzika.

„Może to nikczemnik jaki,
 Co ma swe imie znieważyc,
 Lub na postępek wszelaki
 Niecnoty zażyć?

„Wstydu on mego przyczyna,
 A może i śmierci jeszcze;
 Gdy ujrzę niewdzięcznym syna,
 Którego pieszczę.

„Tażby nagroda, i ta mi
 Pocięcha z ciebie być miała!...“
 Rzekła i oczy swe łzami
 Gorzko zalała.

O WIELKOŚCI BOGA.

Psalm 163, skrócony.

Boże! Tyś wielki, Tobie cześć i chwała!
 Jako płaszcz jaki jasność Cię odziała;
 Ten namiot ręką Ty rozbiłeś Twoją,
 Niebo, nad którym wody wisząc stoją.
 Chmury Twój powóz, wiatry Twoje cugi,
 Burza posłańcem, a pioruny sługi.

Ta ziemia Twoją utwierdzona mocą,
 Twojem skinieniem dzień idzie za nocą;
 A której służą i światłość i cienie,
 Przepaści, mgłę jej dały za odzienie.
 Skoroś rzekł słowo, a nieba zagrzmi ły,
 Pola w dół poszły a ku górze skały.

Morzu granice wytknąwszy na wicki,
 Źródłami z opok powzbierałeś rzeki;
 Tu się zwierz chłodzi co na polu żyje,
 Tu łoś, tam jeleń upragniony pije;
 Tam po gałęziach ptaszęta z rozkoszą.
 Pienia Ci wdzięczne na przemiany głoszą.

Ty na Twém niebie, o Panie nad Pany!
 Ronisz na ziemię deszcz nader żądany;
 A ona starczy Twojej łaski syta
 Wszystkiego wszystkim: ztąd trawa obfita
 Tuczy bydłęta, ztąd dla ludzi ziele,
 Ztąd siły z chleba, ztąd z wina wesele.

Taż wilgoć żywi dęby, sosny, klony,
 I cedr Libanu Twą ręką szczepiony;
 Gdzie ptak rozliczny z piskłętami żyje,
 Gdzie jeleń buja, gdzie się zając kryje.
 Zna swoje pory twarz księżyca błada,
 Zna słońce kiedy wstaje i zapada.

Tu głodne lwięta wychodzą w potrzebie,
 Rycząc, pokarmu żądają od Ciebie;
 Powstało słońce! wnet całą gromadą
 W swoich się łożach spokojnie pokładą.
 Tymczasem człowiek od porannej zorze
 Idzie pracować ku wieczornej porze.

Któż to wyliczy co morze ukrywa?
 Twojęć to wszystko co leci, co pływa.
 Otworzysz rękę, wszyszy nasyceni;
 Zwrócisz oblicza, wszyscy zasmuceni;
 Ducha im weźmiesz, wniwecz się obróćą:
 Ducha im natchniesz, do życia powróćą.

Niechaj Ci odtąd, o! rządco Syonu,
 Głos mój i lutnia brzmi moja do zgonu;
 Niech złych na ziemi nie postanie noga:
 A ty ma duszo, chwal Wielkiego Boga,
 Który gdy spojrzy, ziemia drży, i który
 Ledwie tknie ręką, z dymem pójdą góry.

O ŚMIERCI.

Błady ów poseł wiecznego tronu,
 Przed którym niemoc idzie ponura;
 Gdy znak smutnego ukaże zgonu,
 Posłuszna mdleje natura.

Trwoży zuchwalca wyrok sędziego,
 W co się obróci nie chciałby dociec;

Lecz wiarna ufność cieszy skromnego:
Sędzia Ten razem i ojciec.

Gdy zagrzmie trąba i nieba wzruszy,
Niech pomiot zbrodni, rozpacz truchleje;
Ja wielbiąc Boga w spokojnej duszy,
Córkę mam Jego: nadzieję.

H Y M N D O B O G A .

Ojcze! to bowiem imie Ci właściwe,
Tém się kazałeś codziennie nazywać:
Natchnij mię Tobą, daj uczucia żywe,
Które mi pragnę cześć Twoją opiewać!
Oto niezwykłym nastrojoną tonem
Składam Ci arfę, przed najwyższym tronem.

Tron Ten myśl Twoja, pod której potęgą
Usłana wieczność służy za podnóże;
Której wszech rzeczy Twój mądrości księggą,
Czytasz co było, co jest, co być może.
Tój zaś co siebie nie potrafi dociec,
Tys sam natury pan, sprawca i Ojciec.

Nim istność wzięły światów miliony,
Tys je w przedwiecznym umyśle policzył;
Nim rozsadziłeś w tak odległe strony,
Tys postać, oddział i bieg ograniczył:
Nim się tajemnym sprzymierzyły ruchem,
Już je spółniczym ująłeś łańcuchem.

Rzekłeś, i razem cuda Twój potęgi
Ową bez granic przestrzeń napełniły:
Na słowie Twojem wiszące okręgi
Niezgasłym siebie ogniem zapaliły;
A między czasu początkiem i końcem,
Ducha Twojego rozesłałeś gońcem.

Gdzież to się słabość myśli mój zacieka?
 Radaby dojrzyć najwyższy porządek;
 Ustać tu musi niedoleżność czteka,
 Tępy wzrok jego i mylny rozsądek.
 Padając w otchłań przed Twym majestatem,
 Korzę się z całym na około światem,

Ze dna przepaści gdy podnoszę oczy,
 O! jakiż podziw zmąsły me porywa!
 Tysiącznych cudów widok mię otoczy,
 W których się Twoja Opatrzność ukrywa;
 Pod jej opieką przez pewne wydziały,
 Idzie swym trybem i wielki i mały.

Jakże się stroi i wdzięcznie przeplata,
 W niepoliczone ta ziemia piękności;
 Do czegoż w górę myśl wzlata
 Szukając, Boże, Twój doskonałości?
 Ten oto robak i to ziółko liche,
 Rozumu mego znikczemniły pychę.

Cóż to ja słyszę? Jakiż duch wypada
 Na czarnych skrzydłach niosąc nawałnice!
 Szumi powietrze, i gdy się rozsiada,
 Huczny strzeliły gromem błyskawice.
 Dałeś znak mocy, której się bać trzeba:
 Strzęsły się ziemie, i zadrżały nieba.

Bryła w zbiór płodnej wilgoci obfita,
 Leczącem cedzi hojny deszcz rzeszotem;
 Grunt upragniony pije i rozkwita,
 Niebieskim wewnątrz przeciekły żywiołem.
 Wtęm tęcza do nas kraśny łuk nawróci,
 Hasło przyjemne Twój wiecznej dobroci.

Tu komar, słodkiej napiwszy się rosy,
 Wiadomą Tobie piosnkę pomrukiwa;
 Słowik odmienne przebierając głosy,
 Komuż noc całą, gdy nie Tobie śpiewa?
 Pasterz z pasterką wypędzając trzodę,
 Nuć Ci razem za deszcz i pogodę.

Z jednéjże pije każdy rodzaj wody,
 Jedna go ziemia do pokarmu wzywa;
 Jednakież dla się szukając swobody
 Cieszy się, mnoży, rośnie i używa.
 Jednaką wdzięczność ogłasza bez miary,
 Echo powszechne za powszechne dary.

Hardy jednakże potomek Jafeta,
 Panem się Twoich darów być rozumie;
 Gdzie tylko ślepa rzuci go podnieta,
 Zmyślności wszystko poświęca i dumie.
 Zkądże to prawo?.. ma je ptak na ptaka,
 Zwierz na zwierzęcia, robak na robaka?

Dałeś naturze niedociekłej prawa,
 Podług się których powinna sprawować;
 W ustawnym ruchu wieczna jęj zabawa,
 Tworzyć i niszczyć, a tēm się zachować.
 Zda się kolebkę w swoim trzymać grobie,
 Na jaki koniec... ukryłeś to Sobie.

Syn najzuchwalszy, tēj udzielnęj pani,
 Nie przestał na tēm, co ma z jęj udziału;
 Jakby wbrew idąc, prawidła jęj gani,
 Nowe dobywszy z myśli swęj zapału.
 Przysięgę czyni: cóż kiedy ją łamie,
 Gwałci naturę i przed Tobą kłamie.

Gwoli zmiennemu coraz zwyczajowi,
 Stęka pod srogim swoich praw ciężarem;
 Przemoc je tworzy, gorliwość stanowi,
 A rozum kształci potrzeby wymiarem.
 Kiedy cel własny powszechnym być sądzi,
 Wspak idą rzeczy, poprawia i błądzi.

Szczęśliwa jedność mrówek pracowita,
 Co wlecze zyski dla wspólnej wygody;
 Świętsza mi owa pszczoł rzeczpospolita,
 Co w ulu brzęczą nad własnemi miody;
 Rząd u nich, praca, korzyść i zabawa,
 Mądrość tam Twoja, i natury sprawa.

Ale człek gardząc drobnymi przykłady,
 Do większych bogów myśl swoją unosi;
 A niby na wzór wyższej niebios rady
 Twym się na ziemi prawodawcą głosi:
 Czyż można żeby śmiertelnik zuchwały,
 Zamykał komu bramę do Twój chwały?

W pokorze ducha. W cichości przykładzie
 Kazałeś drogi do zbawienia szukać;
 W litości serca i w pokoju radzie
 Ulegać, wspierać, nie musić, nie fukać!
 Za cóż brat brata że Cię inak chwali,
 Klnie i potępia, wycina i pali?

Lepsza u Ciebie szczerłość i prostota,
 Niż te nie swoich umysłów zachwyty;
 Milsze Ci ziarno, które daje cnota,
 Niż w dzikięj ręce ów miecz złoto-lity,
 Co krew rozlaną przed ołtarzem studzi
 Bydląt niewinnych, a tęp gorzêj ludzi.

Upadam w skrusze Samarytan nowy,
 Gdzie się straszliwe święcą tajemnice!
 Po cóż tam wchodzą rozpalone głowy,
 Mylnemi spory kłóćąc Twe świątnice?
 Nie daj mych myśli błąkanu się szerzyć;
 Czego nie pojmę—dosyć temu wierzyć.

Jakież mi znowu przewidzenia grożą?
 Które utwarza przyszłość mojej duszy?
 Jędze na mój cień okropnie się srożą,
 Bojaźń do ciemnej prowadząc katuszy.
 Gdy Twoja dobroć na pomoc mi staje,
 Znikają cienie, a strach tył podaje.

W Tobie, i przez Cię zostając dla Ciebie
 Chcę być zupełną Twój woli ofiarą;
 Z Tobą ja zawsze i w każdej potrzebie
 Niech się umacniam nadzieją i wiarą.
 A gdy mię iskra Twój miłości grzeje,
 W nię ja przed Tobą na wieki omdleję.

DO BOGA.

Kędyż te duchy, co pełne wilgoci,
 Z roli na rolę przesuwią chmury?
 Czy już za wiecznej odwrotem dobroci,
 Głodu srogiego świat czeka ponury?
 Spójrzuj na pracę i uzał się trudu,
 Swojego ludu.

Płowieje szata nadziei zielona,
 Mgła szara dusi ziemianina znoje;
 Twarz słońca mdłemu dniowi uprzykrzona
 Rozpala skały, wysuszyła zdroje,
 A na liść ostry, na czerniące kłosy
 I noc uchybia rosy.

Praca cnotliwa, Twoich oczu godna,
 Skarży Twój ranek i Twoje południe;
 Życia nie dają wyczerpane do dna
 Ni rzeki łąkom, ni ogrodów studnie;
 Pragnąca ziemia w bruzdy się rozpada:
 Ryczą łąkujące stada.

Chodzi poczciwość załamując ręce
 I szuka w sobie przyczyn Twojej kary?
 Z kościołów Twoich usta pacholece
 Wznoszą błagania czyste pełne wiary!
 Po cóż się z niemi mieszają zuchwali,
 Co Ciebie rozgniewali.

Niech giną razem! ale naostatek
 Ukaż nam okrąg słońca złotowłosy,
 Ale na łonie drżących oto matek,
 Zachowaj dzieci pod Twemi niebiosy;
 Aby zieleńszą umiało czcić ziemię
 Lepsze od ojców plemię.

KSIEŻNICZCE

ZOFII CZARTORYSKIEJ.

Potok z góry bystro płynie,
 Zielonęj grożąc równinie;
 Ryczy burza, szumią wiatry,
 Łamie wicher pyszne Tatry.
 W kwitnącej Zosia dolinie,
 Między gór strażą dokoła,
 Wita jutrzrenkę wesoła.

Dla nięj poranek ochoczy,
 Słodką ze dniem rosę toczy;
 Dla nięj i siostra jęj wiosna
 Stroi się w kwiat i radosna,
 Gdy ku niebu wzniesie oczy,
 Same się chmury rozśmieją,
 Bliskiej pogody nadzieją.

Czasie! co lecisz skrzydlaty,
 Dęby zmiatając i kwiaty;
 Niech loty twoje zatrzyma
 Zosia swojemi oczyma!
 Na żale nasze i straty,
 Niech lubęj onęj wejrzenie,
 Słodkie rzuci zapomnienie.

PIEŚŃ WIEJSKA.

Wsi spokojna, wsi wesoła,
 Śpiewać ciebie kto wydoła?
 Kto użytków, kto twęj pracy
 Czuje rozkosz?—my wieśniacy.

My z naszego pijąc Sanu,
 Wierni sobie, wierni Panu,
 Znamy tylko ten brzeg mały,
 Gdzie nas matki kołysały.

Dziękujemy Bogu za to!
 Nasza wiosna, nasze lato,
 Nasza jesień ubarwiona,
 Sypie kłosa, roni grona.

Nam się w nocy księżyc śmieje,
 Nam poranek rosy leje;
 Nam się tylko ziemia godzi,
 Wschodzi słońce i zachodzi.

Szumią dęby, kwitnie łąka,
 Pagórkami cień się błąka;
 Niech się wielki świat przewraca:
 Z nami pokój, miłość, praca.

WIADOMOŚĆ

O KSIĘDZU MIKOŁAJU ŻUBRZE,

PROBOSZCZU LEŚNIEŃSKIM.

(um. 1812 r.)

Trwała pamięć, głośne imię nietylko znaczeniu, meztwu, uczonym wynalazkom, pisarskim talentom się należą; ma do nich i cicha cnota prawo, i jej spuścizną jest przyszłość. Nie było więc nigdy zamiarem moim, dzieci lubo, wspominać jedynie w tém piśmie, o tych mężach wsławionych w ojczyźnie, których wielkie czyny, przymioty i dzieła, zdatniejsze pióra

od mego głosiły; miałam owszem od początku w myśli, odkrywać i mniej znane imiona, ażeby każde z was zawczasu przekonać się mogło, że prawdziwa wielkość i chwała, nie jest wyłącznym ani możliwym, ani rycerzy, ani mędrców udziałem, i że każde z was w jakimkolwiek urodziło się stanie do jakiegokolwiek powołania dąży, dojść do nich może, byleście się cnoty trzymały, byle użytek i dobro współbraci, celem było wszystkich zabiegów waszych. Lubiąc zawsze słabość słów moich dzielnością przykładów podpierać, dziś, po tylu znakomitych i uczonych mężach, położę imię wiejskiego plebana, które dotąd kilka tylko rodzin z wdzięcznością powtarza. Jest to imię Mikołaja Żubra, proboszcza Leśnieńskiego: niedawno mówiąc o pieśczoneym od Muz Szymanowskim, wspomniałam o nim; dziś, wiadomość o jego życiu umieszczę.

Mikołaj Żubr urodził się w pierwszej połowie zeszłego wieku, z bardzo ubogich rodziców; w dziecińczych jeszcze latach okazał powołanie do stanu duchownego, i wszedł do zakonu Jezuitów. Tam, jak wiadomo, zdolności każdego wysłedzić umiano; wielka pamięć, bystre pojęcie, a nadewszystko dar wymowy młodzieńca, nie uszły oka baczących dostrzegaczów. Przyjęli go chętnie w swe grono, dopomogli mu do rozwinięcia przyrodzonych zdolności. W krótkim czasie objął i zgłębił wielką naukę religii, jej zasady i przepisy, poznał gruntownie pisarzy klasycznych, obeznał się z dziejami świata, a znalazłszy w biblii i w dziełach Ojców Kościoła, wymowę odpowiadającą tej, której iskrą sam był ożywiony, zaczął podniecać ten święty ogień, zaczął się kształcić gorliwie do jednej z najświetniejszych kapłana godności, do godności kaznodziei. W pośrodku tych chlubnych prac, zakon Jezuitów zniesionym został; rozpierzchli się w różne strony towarzysze księdza Żubra, przerwały się wysokie jego zamiary: musiał zmienić nakreślony plan życia. Takowy zawód nieskończenie przykrym bywa, i nie jednego już młodzieńca

od chlubnej pracy odstręczył; kiedy zamierzone widoki chybią, wielu osobom się zdaje że żyć i pracować w innym zawodzie ani warto, ani można; zamiast więc upatrywać ucieczki i wynagrodzenia, opuszczają ręce, i już są częstokroć dla towarzystwa straceni...

Inaczéj uczynił Mikołaj Żubr: prawdziwie pobożny, nie zniechęcił się bynajmniej doznaną przeciwnością, posiadał on to pocieszające przekonanie, że zawsze i wszędzie, każdy kto chce użytecznym być może; a wiedząc, że Opatrzność na dobro nasze kieruje przygodami każdego z dzieci swoich, uległ z pokorą jej woli, zniósł nawet mężnie niedostatek, który go przycisnął, a starając się o nią, czekał z ufnością pomyślniejszej zmiany: nastąpiła wkrótce. Uzyskał ubogie we wsi *Zawadach* probostwo; na téj skromnej posiadzie, w obliczu kilkunastu prostych wieśniaków, równie gorliwy i czynny jak gdyby miał świadkiem dwór i stolicę, bo wiedział, że ma świadkiem Boga, nie domyślał się nawet, że powstaje w okolicy sława wymowy i gorliwości jego. Doszła ona i do *Leszna*, wsi o trzy mile od Warszawy leżącej; tam mieszkała wdowa po kasztelanie rawskim, Anna z Łuszczewskich Szymanowska, pani z cnót chrześcijańskich i obywatelskich znana, matka pięciu zacnych synów, z których jednym był cnotliwy i uczony Józef Szymanowski. Właśnie pod ten czas proboszcz leśnieński, obciążony wiekiem dogorywał; troskliwa o dobór zastępcy jego, o dobór tak ważny, od którego szczęście tylu rodzin zależy, naradzała się z synami, komu ma powierzyć ludną i rozległą parafią? kiedy ich doszła chlubna wieść o skromnym *Zawad* proboszczu. Uznano potrzebę poznania go z bliska, i zaproszony został z kazaniem na nadchodzący w *Lesznie* odpust.

Na kazalnicy obaczyli go po raz pierwszy; ledwie usta otworzył, już ujął ich serca, już podbił umysły. Lubo ubogi pleban domyślał się zapewne w jakim go sprowadzono celu; lubo wiedział że światła kollatorka i uczeni jej synowie sędziami będą nauki jego i wymowy, w całym ciągu kazania

ten lud prostaczków, których oświata celem już życia jego się stała, miał jedynie przed oczyma; nie użył bynajmniej zebranych skarbów nauk i wiadomości, ani zdziwił nikogo górnymi myślami, dziwnym ich obrotem: mowa jego była ciągle prosta, do pojęcia wieśniaków zniżona, nazwiska przytaczane dobrze im znajome; a przecież zjednał sobie i umiejętnościach pochwałę. Trafny w sądzie Józef Szymanowski, poznał od razu że ta prostota, głębokiej nauki nietylko ksiąg ale i serc ludzkich była owocem; kaznodzieja zaproszony na obiad do pałacu, potwierdził wnet prawdę tego postrzeżenia. Ten, który w wiejskiej świątyni od ojców w siermiedze i dziątek w zgrzebnych koszulach był zrozumiany, ten obszernymi wiadomościami, gruntowną nauką, doborem wyrazów, smakownego pisarza, uczonych jego braci zadziwił; nie byłiby w nim nawet tegoż samego człowieka poznali, gdyby nie ujrzeli téjże samej łagodności, téj skromności i słodocy, które mu nieodstępne były. Zaraz po skończonym obiedzie, kollatorka ofiarowała księdzu Żubrowi probostwo zawakować mające; przyjął tę ofiarę z wdzięcznością: dogorywający proboszcz wnet umarł, i w krótkim czasie następcą jego z *Zawad* do *Leszna* się przeniósł.

Jest to rzeczą ludziom właściwą, i każde z was dzieci drogie, przekona się o tém w późniejszym wieku, że człowiek nie pokaże się jakim być może, dopóki nie stanie na pewnym stonowisku, dopóki sobie nie powie: „Już dosyć, już nie będę szukał czego innego: już temu przedmiotowi życie poświęcę!“ Szczęśliwy kto umiarkowany w żądaniach, pamiętny na szczyśle ziemskiego pobytu obręby, zawczasu na tém stanowisku się zatrzyma, a stały w zamiarach, nie zmienia ich bez koniecznej potrzeby; takiemu snadniej pozwolonego ludziom stopnia doskonałości dosięgnąć. Tak uczynił Mikołaj Żubr; widząc obalone pierwszej młodości zamiary, i w innym zawodzie los swój zabezpieczony obficie niżli się spodziewał, wchodząc do skromnej plebanii Leśnińskiej tak sobie powiedział:

„Tęj trzody z takim zaufaniem mi powierzonoj, do śmierci pasterzem będę!“ Rzekł, dotrzymał słowa, i wszystkie swoje usiłowania ku dopełnieniu przybranych obowiązków obrócił. O! zapewne dla duszy takiej jaką Mikołaj Żubr nosił, los jego był piękny i zaspokoić mogący. Bo czyż może kto z ludzi (prócz monarchy) wyższe mieć powołanie od męża, którego niebo za ojca, przewodnika, pocieszyciela kilkudziesiąt rodzin przeznaczyło? może mieć czyj przykład wpływ większy od pasterza, na którego oczy licznój trzody zwrócone, w którego ślady tylu wstępuje? może czyje światło skuteczniejsze rzucać promienie jak kapłana, który w świątyni Boga przemawia, i każde słowo swoje wspiera powagą słowa Bożego? Życie dobrego plebana może upłynąć ukryte dla świata, imię jego może być mało znane; ale zdradza go światłość od ziemi do niebios się wznosząca, światłość sprawiedliwych... Czuł Mikołaj Żubr całą piękność tego powołania, a skoro osiadł w *Lesznie*, nie żałując bynajmniej sławnego mówcy imienia, i wysokich dostojeństw kościoła, mało, zdaniem swoim nabywszy wprawy w szczupłej *Zawad* parafii, w skromności swojej wątpił nawet, czy obowiązkom tego powołania zadosyć uczynić potrafi. Lecz nosił on w sercu dostateczną ich spełnienia rękojmią, kochał Boga, kochał bliźniego, kochał ich prawdziwie, miał zatem prawo do godności dusz pasterza...

Pierwszém jego staraniem było pozyskać zaufanie, miłość i poszanowanie parafian. Łagodnością, słodyczą, dobroczynnością, świętobliwym przykładem dokazał tego; wkrótce pokochali go za równo, jednako go uwielbili światli Szymanowscy i prostych wieśniaków rodziny. Potém starał się poznać ich stosunki, związki, skłonności, zamożność lub nędzę; wiedział doskonale w której chacie panuje zawzięta nienawiść, niezgoda, nierząd; w której, choroba, niedola, niezasłużony niedostatek: godził niechęci, jednał poróżnienia, rad udzielał, uzbrajał w cierpliwość, wzbudzał nadzieję, niósł dary, niei

wyszedł z domu, żeby w nim nie zostawił błogosławieństwa i pociechy.

Codziennie zatrudnienia jego zaczynały się od spełnienia obowiązków kościelnych, po których cały poranek poświęcał użytecznemu czytaniu. Czas poobiedni przeznaczał odwiedzinom parafian; nie zabrakło potrzebujących jego rady, nauki, pociechy lub wsparcia. Odwiedziwszy chaty, szedł do pałacu, gdzie już miłe towarzystwo przyjemnością swoją umiłał, gdzie szanowna kollatorka i jej synowie, duchowym ojcem, najlepszym w sprawach doczesnych poradnikiem, najwierniejszym przyjacielem go zwali. Niedziela była dniem wyłącznym, w którym nie widział nikt księdza Żubra w najmilszych mu towarzystwach. Mawiał on: „Ten dzień nie do mnie należy, jam go winien cały moim parafianom.“ Żaden pleban sąsiedzki nie mógł go wtedy uprosić na odpust; co niedziela on bowiem od rana pracował nieodstępnie w kościele swoim. Napelniona świątynia dowodziła, że słowa nauki jego, miłemi i pożytecznemi były. Uczęszczali na nie pobożni i wolno myślący, oświeceni i prostacy, katolicy i różnowiercy. Każdy go słuchał z upodobaniem, każdy czuł moc jego wymowy, każdy go rozumiał, każdy uznawał prawdę, którą słowa jego głosiły. Chodząc po kościele, tłumaczył naukę Wiary i życia. Zdawało się iż mówił bez przygotowania, z pamięci; przecież rozwijanie założenia jego, acz obszerne, nie było słuchającym nudne, bo ciągły związek był cechą jego mowy, ten przymiot wielki tak utrzymać umiał, że chociaż wiedząc o wszystkich w ciągu tygodnia zdarzonych w swęj parafii przygodach, wsuwał je zawsze do swęj nauki: zdawały się one z namysłem wybrane do potwierdzenia słów jego. Prawdziwy pasterz, znał z osobna każdą owieczkę swoję i stosowną do charakteru i okoliczności umiał udzielić naukę. Jak dobra i rozsądna matka trzyma jakby w ręku serca i umysły dziełek swoich, tak on słuchaczami swęmi kierował;

kolejno przejmował, bawił, rozrzewniał, straszył, a zawsze uczył, i każdy po jego nauce lepszym z domu Bożego wychodził

Jeżeli jasność i prostota były główną zasadą niedzielnych nauk jego, umiał on kiedy zdarzyła się ku temu sposobność, wystąpić z kazaniem; wtedy widząc w mowie jego zachowanie ścisłe prawideł sztuki, dobór i moc wyrazów, obszerną naukę, zwroty szczęśliwe, porównania dzielne i trafne, najświetlejszy znawca przyznawał mu, że godzien być policzony obok wzorowych mówców, godzien stanąć obok Mościckiego, Skargi, Karpowicza. Nieodżałowana szkoda, że nie zostawił żadnej na piśmie pamiątki swych nauk i kazań. Bogu przypisywał płynność i skuteczność słów swoich, kiedy do nieumiejętnych dzieł Jego przemawiał; kazań zaś głównie tylko rysy zwykł był kreślić, resztę dopełniał z pamięci, a skromny i od chluby daleki, żadnego nie dochował rękopismu. Żyją jednak osoby które go mówiącego słyszały, od nich mam te szczegóły; one bez zapału o wymowie jego wspominać nie mogą: one i o nim samym bez rozrzewnienia nie mówią. Ale bo któż znał księdza Żubra i nie kochał go? Kochali go prostaczkowie i możni, uczeni i nieumiejętni, starzy i młodzi; on umiał płakać ze strapionemi, weselić się z wesołemi, zgodzić się z każdym.

Prawdziwy zwolennik Chrystusa, z dobrocią do Jego dobroci podobną, i dziatki do siebie przytulał. Pamiętam, ile razy w dzieciństwie mojem bawił się ze mną, rozmawiał uprzejmie, napominał łagodnie; pamiętam jak się dopytywał troskliwie o postępy moje, jak mnie z wiadomości w dziejach ojczystych badał, jak wysoko jego pochwałę ceniłam. Nie zrażała też bynajmniej żadnego dziecięcia twarz jego wcale nie piękna; wszystkie owszem i w parafii jego i w domach gdzie uczęszczał, kochały go jak ojca. Toż samo wzbudzał i w starszych uczucie; wiedział on dobrze jak sama cnota i pobożność ozdoby potrzebuje; nie był to więc wcale ów

maż surowy i smutny, za którym idzie trwoga, posepność, i milczenie, którego wszyscy szacują, ale każdy towarzystwa jego się lęka; przeciwnie, ksiądz Żubr w chwilach wolnych od obowiązków, bawić się i lubił i umiał. Przyjemny w posiedzeniach, słodki, wesoły, pobłażający, udzielał się chętnie przystojnym zabawom. W parafii téż jego i o kilka mil w około nie było dobrej bez niego biesiady. Ten sam dziad kościelny, który do dalszych parafian, do chorych i strapionych tak często go woził, znał dobrze i drogę do Strug, Izdebna, Grondów, Zaborowa, Rokotowa, miejsc gdzie mieszkały rodziny, jemu przyjazne, i gdzie się wesoło bawiono. Wszędzie widok skromnej bryczki jego, wzbudzał okrzyki. Ileż on razy i mnie ucieszył!... Znał ten szacowny kapłan, że Bóg każdemu człowiekowi większe i mniejsze obowiązki względem towarzystwa naznaczył: większych dopełniamy wykonaniem cnót; mniejszych okazywaniem przymiotów; i każdy powinien się starać, ażeby był i cnotliwym i przyjemnym, bo sama cnota nie wydaje się bez pewnej ozdoby.

Ale nietylko jako uprzejmy zabaw uczestnik, ksiądz Żubr był znany w okolicy; gorliwy sługa ołtarza, częściej nierównie dla smutnych, niżli dla wesołych ulubioną owczarnię porzucał. Spiesznie dążył gdziekolwiek go miłość bliźniego wołała, a możność i siły za jedyne kładł granice obrębu, w którym dobrze czynił. O kilka mil schodzili się do niego włościanie po radę, a skoro raz udał się kto do niego, już mu nie był na całe życie obojętnym. Znano pod Sochaczewem małżeństwo, któremu on pokój i szczęście przywrócił. Młoda mężatka dostała melancholii, sąsiady wmówiły w nią że jest opętana. Ta okoliczność wzmocniła chorobę, pokój i swobodę z domu tego wyгнаła. Nieszczęśliwy mąż opuszcza dwoje drobnych dzieci, ubogie gospodarstwo, udaje się z żoną do lekarzy, w miejsca cudowne, ale bezskutecznie. Posłyszawszy o rozsądku i świętości leśnińskiego proboszcza, stawą przed nim z żoną. Ten wybadawszy chorobę, jój przy-

czynny i początek, daje cierpiącej zbawienne rady, przepisuje sposób życia, idzie z nią przed ołtarz, błaga gorąco Boga, zapewnia że zdrową będzie, i odwiedzić ją za parę miesięcy przyrzeka. Starania jego pomyślny wzięły skutek. Chora wraca do domu pokrzepiona ufnością, zatrudnia się, pracuje, i przychodzi do zupełnego zdrowia. O! jakaż była radość księdza Żubra, gdy przyjechawszy według obietnicy swojej, ujrzał w tej chacie swobodę i szczęście; złożył dzięki Bogu, i o dalsze dla domu tego błagał błogosławieństwo.

Jeśli na to życie umiał dawać ksiądz Żubr skuteczne rady, jakże tkliwie i zbawienne na wielką podróż wieczności gotował. Wtedy zdawał się prawdziwym nieba zesłańcem. Niósł konającemu starcowi ostatnie słowa pokoju, które na tej ziemi miał usłyszeć; młodzieńcowi na łożu śmiertelném, szerokie pole nowych nadziei otwierał; grzesznikowi mówił o radości którą tchnie niebo całe, kiedy zgubiona owieczka powraca. I nie samych prostaczków na tę wielką usposabiał drogę; oni mając mało przyczyn polubienia życia, chętnie i pięknie umierają. Wyższe istoty, osoby światłe, czułe, szczęśliwe, znaczące, wzywały jego pomocy w tej najważniejszej życia chwili. Jak często tę posługę najmilszym sercu swemu niósł osobom; jak często kiedy pozostałych cieszył, sam najwięcej pociechy byłby potrzebował! Onto przysposobił do śmierci zacną kollatorkę swoją, zgasłą w 1798 r.; on cieszył pozostałą rodzinę, a sam jęj żałował jak rodzonęj matki. Była téż ona taką dla niego; póki tylko żyła, ksiądz Żubr nie potrzebował myśleć o sobie, wybierać dziecięcin, pamiętać o opatrzaniu domu swego: wszystko miał z jęj ręki, i mógł się cały oddać dobru swych parafian. Nieraz mawiał, że jęj opiece i pomocy winien był najwięcej czasu i sposobności do wypełnienia dokładnie obowiązków pasterza. Wzór dziedziców ta chrześcijańska pani, w zupełnej znowie była z plebanem wiosek swoich do uszczęśliwienia poddanych: pracowali wspólnie w winnicy Pana.

Ileż łez wylał nad jęj zgonem, jak długo czuł boleść jęj straty, jakże za każdym odnawiała się ciosem. Doznał ich zaś niemało, bo któryż człowiek ujdzie kolei nieszczęścia? Przeżył wszystkich synów kollatorki swojej, których jak braci pokochał; prawie wszystkich na wieczną przysposobił podróż; onto i Józefowi Szymanowskiemu dopomógł umierać, a ostatni raz powołany został do jednéj z najtkliwszych i najlepszych niewiast. Aleksandra z Cieciszewskich Łuszczewska, żona ukochanego wnuka zmarłéj jego kollatorki, byłego ministra spraw wewnętrznych, gasła w kwiecie wieku. Ukochany mąż z obowiązku urzędowania odjechał od niéj; daleko od niego, pięciorgiem drobnych otoczona dziełek, wśród ukochanego rodzeństwa, obok drogiéj przyjaciółki, młoda, nadobna, szczęśliwa, kochana, umierać musiała; żałowała życia, a pobożna, wymawiała sobie że go żałuje. W tym będąc stanie wezwała księdza Żubra; on to tak powiem, wziął znękaną jęj duszę w ojcowskie ręce, a piastując ją, tkliwemi słowy trwożę jęj ukoił. Nie wyrzucił jęj iż żałuje życia; była żoną, matką, córką, przyjaciółką, siostrą, a te uczucia nie mogły być występkiem w oczach sługi tego Boga, który je wlał w serca ludzkie. Pozwolił jęj téż płakać, płakał z nią razem, ale oraz uniósł jęj duszę ku Temu, którego nad wszystko kochać należy; zwrócił jęj oczy ku życiu pełnemu nadziei, i nauczył szanować wyroki Opatrzności. On był powiernikiem ostatnich jęj zleceń i pożegnań do oddalonego męża; on do niego list pocieszający napisał. Wiem te szczegóły od naocznego świadka.

W Tykocinie doszła ministra Łuszczewskiego wieść o stracie ukochanéj żony. I własne i pięciorga dziełek czując osierocenie, nie utulony w swym żalu, miał sobie wręczony ów list księdza Żubra. Najprzód nie chciał go czytać, słowa pociechy zdawały mu się naigrawaniem srogiéj jego boleści; zachęcony jednak przyjaciela namową, zwrócił wzrok na słowa ręką pobożnego kapłana skreślone;

przeczytał je, i w tój samėj chwili uczuł słodką, religijną pociechę; podając list ten przytomnym, zawołał: „Anioł pocieszyciel przemówił do stroskanėj duszy mojej!” Odczytywał go potem, a za każdym razem dostrzedz było można, iż wzmaga się w nim łagodne wyższym wyrokom poddanie, iż żal jego nieco się uśmierza.

Szanowny pleban leśnieński, biegly w nauce Wiary i dziejów Kościoła, ciągle doskonalący się w niój poranném czytaniem, zwrócił na siebie uwagę władzy duchownej; mianowany dziekanem błońskim, dopełniał dokładnie tego trudnego obowiązku: okoliczni plebanie widzieli w nim przykład i pomoc. W przykrych, za rządu pruskiego okolicznościach, kiedy mniej przyjazna uwaga wyższych, na duchowieństwo katolickie była zwrócona, ksiądz Żubr umiał trafnie godzić swój urząd z obowiązkami powołania. Nic dla siebie nie żądając, stawał śmiało w obronie Wiary i jój obrzędów. Zjednał sobie u rządu ówczasowego tyle szacunku, że podawany za wzór innym do naśladowania, nie miał nieprzyjemności aby przełożenia i żądania jego skutku pomyślnego nie brały. Trafne jego myśli i podane środki do urządzenia szkół parafialnych w powiecie Błońskim, dobrze od rządu przyjęte zostały. Miejscowy *Landrath Borch*, acz wyznaniem różniący się, czczył go z ubóstwieniem; nie wypuszczał go nigdy z domu swego, dopóki błogosławieństwa jemu i dzieciom jego nie zostawił; a po powrocie do swojej ojczyzny, po latach wielu, jeszcze obraz księdza Żubra starannie chował: zawieszony w jego pokoju, zdawał mu się być szczęścia i pomyślności zakładem.

Znany był Mikołaj Żubr i od uczonych. Gruntowna znajomość dawnych klasyków i dziejów świata, obeznanie się zupełne z ojczyzną literaturą, ciągle z rozwagą i krytyką czytanie, postawiły jego samego w rzędzie uczonych. Przyznawał mu to Adam Naruszewicz, Józef Szymanowski, minister Łuszczewski. Pierwszy, ów znakomity dziejopis,

w dowód swego szacunku zaszczycił go był kanonią smołęńską; ostatni w roku 1809, wyjednał mu kanonią warszawską. Ale ksiądz Żubr wierny danemu przyrzeczeniu, nie odstąpił ulubionej sobie parafii do końca dni swoich. W niej życie zakończył w roku 1812. Już słabnący od niejakiego czasu, nie uczęszczał do przyjaciół, resztę sił i zdrowia poświęcając jedynie owieczkom swoim; jeszcze w Niedzielę przemawiał do ludu, a w ciągu tegoż samego tygodnia zwrócił Bogu pięknego ducha, który go blisko przez lat siedmdziesiąt dla dobra bliźnich ożywiał. Parafianie jego i wszyscy znający go z bliska, żalowali go jak ojca. Dowiedziawszy się o jego śmierci minister Łuszczewski, zapłakał i zawołał: „Któż mnie do wieczności przygotuje?“ Jakby przeczuwał rychłą tój posługi potrzebę, gdyż w kilka miesięcy potém, sam tę ziemię opuścił...

Taki jest rys skromnego życia wiejskiego plebana; nie zostało po księdzu Żubrze uczonych ani okazałych pamiątek, ale żyje jego wspomnienie w sercach parafian i przyjaciół, tkwią w sercach nauki, ciągną się jeszcze zapewne owoce jego wymowy, ciągnąć się będą na wnukach, prawnukach rodzin, których był przyjacielem i pasterzem. A wy dzieci lubo, któreście dziś życie jego i imię poznały, jeśli wam się zdarzy przejeżdżać przez Leszno, wieś niedaleko Błonia leżącą, wspomnijcie imię jego! westchnijcie razem do Stwórcy, ażeby litując się nad ciemnotą ludu naszego, raczył użyczać krajowi więcej takich jak on plebanów. Niech będą wszyscy jemu, Piramowiczom, Makarowiczom podobni; niech każdy z nich w małym swym obrębie, prawdę i światło jasnymi słowy szerzy; cnotę, pobożność, dobre obyczaje, przykładem wpaja; niech im dóbr właściciele rękę dobroczynną podadzą; a wnet włościanie nasi i drobna szlachta (prawie jeszcze od nich nieszczęśliwsza), wyjdą z gnębiącej ich nędzy i ciemnoty, pozbędą się szkodliwych nałogów; moralność znaczne, pożądane uczyni postępy, i lud nasz,

który tyle ma pięknych wrodzonych przymiotów, oświecony, ukształcony, pracowitszy, wyrówna, a może i przejdzie zachodnie narody.

T A D E U S Z C Z A C K I *).

Urodził się 1765 roku 28 Sierpnia w Porycku, umarł 8 Lutego 1813. Zwołki jego spoczywają w témże mieście, w którym życie powziął; serce złożone w Krzemieńcu z napisem: *gdzie skarb twój, tam i serce twoje.*

W piśmie dla młodzieży przeznaczoném, słusznie o Czackim mówić należy. Dzieci! on podobnych wam istot, współbraci waszych był ojcem, dobroczyńcą; on im pierwsze i ostatnie życia swojego poświęcał chwile: kochać go powinniście z rozrzewnieniem i tkliwością wspominać. Wymowne usta tylekroć zajmowały się cnót jego uwielbieniem **). Nie żeby im zrównać, próżne to byłoby usiłowanie; pisać tu o nim przedsięwzięję te słabe rysy, te słów kilka, z serca przejętego

*) To pismo udzielić raczył wydawcy pan Ł. G., który lat wiele z Czackiem przeżywszy, znać go i kochać mógł i umiał.

***) Pochwała Tadeusza Czackiego przez Stanisława Potockiego. 15 Stycznia 1817, w XII tomie Roczników Towarzystwa przyjaciół nauk umieszczona; O życiu i pismach T. Czackiego przez księdza Aloizego Osieńskiego w Krzemieńcu 1816 r. Głos księcia Adama Czartoryskiego przy rozdaniu medalów uczniom celującym, 30 Czerwca 1818 r.: piękne, nie ogłoszone jeszcze drukiem kazanie księdza Prokopa Podgórskiego kapucyna, wymownego kaznodziei w Lyceum Wołyńskiem, na pogrzebie Czackiego w Porycku miane, i tyle mów przy corocznie wznawianej pamiętce tego męża w Krzemieńcu.

dłań wdzięcznością najżywszą i uwielbieniem pochodzące, nowym niech będą hołdem pamięci cnotliwego męża, dla was pożyteczną wiadomością, nauką i przykładem. Jak wy, był on w pierwszych życia swojego chwilach dziecięciem, wczesnie dobre okazywał skłonności, umiał je rozwinać, do najwyższego posunąć stopnia; szacunek powszechny uzyskał, nabył sławy, a chociaż zawczasie tę ziemię opuścił, żyć będzie w wieków pamięci. Utrudzającem dla was byłoby całe jego tu opisywać życie; znajdziecie je później, kiedy ojczyście dzieła was zajmować będą, i w historii ostatnich czasów imię jego z chlubą wspomniane ujrzycie. To tylko dziś wam powiem, co i was zajmować powinno, cześć i poszanowanie w młodocianych umysłach waszych dla niego wzniecać.

Ze Szczęsnego Czackiego wślawionego cnotą i obywatelstwem, oraz Katarzyny Małachowskiej zrodzony, w domowej zaciszy już miał najlepsze przykłady. Wychowanie odbierał od światłego nauczyciela, który w nim zaród pięknych skłonności dostrzegł; szczęśliwy kierunek nadać im umiał, czerpanemi w religii dziejach, wymowie zdaniemi, i prawdziwie moralnemi przykłady, szlachetność duszy ugruntował, smak do pracy, wstręt do nieczynności zaszczeplił, i świętą powinność poświęcenia się dla monarchy i kraju, głęboko w umysł jego wpoił. Widzimy nieraz błogiem i natury przymiotami udarowane dzieci, pojmujące bez wielkiego trudu nauki; ale ta wytrwałość ciągła w dobrem, ta żądza gorząca nabywania coraz wyższych umiejętności, czytania dzieł poważnych i pożytecznych z prawdziwą korzyścią, rzadko w kim się zdarza. Jedynym zaś może przykładem, ażeby dziecko za ledwie dwunasty rok mające tak dalece umiało cenić nauki, i w nich dla każdego upatrowało skarb najdroższy, jest Czacki. W tym on wieku udzielane od rodziców na wydatki upodobania swego pieniądze, nie trwonił na łakotki, chociaż je lubił bardzo, nie rozrzucał między pochlebców, na których się wiek dziecinny, częstokroć i starszy poznać

nie umie, albo oprzeć się im nie zdoła; lecz z własnego natchnienia, w skrytości, pokąd ten czyn piękny mógł być ukrytym, użył na wynagrodzenie nauczyciela, któryby dzieciom domowników i ubogich mieszkańców *Porycka* *), bez wymagania jakiegokolwiek od rodziców ich opłaty, prawidła Wiary i pierwiastki nauk dawał. W chwili rozrywce poświęconej wymykał się nieznacznie do tej szkółki, wypytywał się o wszystko, czego się dzieci nauczyły, więcej ochotych pochwalał, obdarzał własnym podwieczorkiem lub owocem dla niego dozwolonym; mniej pilnym udzielał do serc ich trafiające słowa zachęcenia, i w pojętniejszych tym sposobem przetwarzał.

Jakaż to dla rodziców była pociecha, kiedy ta piękna czynność młodzieńca odkrytą została, jak pomyślną dla przyszłych jego przeznaczeń była wróżba! Czacki szkółkę ubogich w młodym swym wieku stanowiący, zapowiadał niepłomie przyszłego założyciela Krzemienieckich Instytutów... I Opatrzność zdawała się dla niego wskazywać, że to był właściwy cel jego przeznaczeń; stąd szczególnie pole wiekopomnej dla niego sławy, kiedy dziecięciu tę myśl natchnęła, i wtenczas gdy to jedno pocieszać go mogło, do tego zwróciła mężkie jego usiłowania; z ktoremi tak usilnie śpieszył się jak gdyby przewidywał zgon swój bliski, i to już tylko uczynić mu pozostawało, ażeby wdzięczność pokoleń uzyskać, i nagrodę z rąk Twórcy wymierzającego ją za cnotliwe życia i czyny szlachetne otrzymał.

Nie godzi mi się pominąć i dalszych młodości jego rysów, te bowiem jak zorza poranna dzień pogodny lub pośepny zapowiadają. Łagodny i słodki, uprzejmy, bez dumy i próżności, bez upodlenia równie, mimo wielką swą żywość,

*) *Poryck* miasteczko na Wołyniu, miejsce urodzenia Czackiego, dziedzictwo jego rodziny.

nigdy nie był naprzykrzonym, dokuczającym, nieposłusznym, krunąbrnym albo złośliwym. Nie znał obmowy, usprawiedliwiał z zapałem obwinianych bez dowodów, a kiedy przekonujące nawet okazano świadectwa, jeszcze i wtenczas przez dobroć swęj duszy, starał się ich usprawiedliwiać, za nich obiecywał poprawę, i jak gdyby on był winowajcą, własnymi łzami litość dla nich wzruszyć usiłował. W nim ubogi, sierota, nieszczęśliwy, kaleka znajdował wsparcie; on im do zacnych swych rodziców wyjednywał przystęp, za nich przemawiał, z radością skutek prośb swych widział, z szlachetną dumą błogosławieństwa ich odbierał: błogosławieństwa których Bóg wysłuchał, i liczbę cnot i dobrych uczynków, acz w krótkim życia zakresie pomnażać dozwolił. Takim był Czacki w swęj młodości i w dalszym swym wieku.

Opuszczam życie jego publiczne w dawniejszych czasach; słyszeliście nieraz w domu rodziców, krewnych, przyjaciół, że o nim z chlubą mówiono: bo gdzie Czacki nie był wspomniany zaszczytnie? Przytoczę wam tylko, co Adam książę Czartoryski kurator uniwersytetu Wileńskiego i szkół tego wydziału, po skończonych w gimnazyum Wołyńskiem publicznych popisach, przy rozdaniu medalów uczniom celującym, w mowie swęj 30 Czerwca 1818 roku, w Krzemieńcu mianęj, o Czackim powiedział: „Wewnętrzna moralna siła jakaś niezwalczona, bez przerwy nagliła go do pięknych czynów, do poświęcenia się, to przyjaciółom, to cierpiącym, to ojczyźnie swojęj, to dobru ludzkości i przyszłych pokoleń; o sobie radzić, swój tylko pielegnować interes, nie było w jego mocy.“

W naukowym względzie słynąc będą jego uczone prace powszechnie cenione.

Jeszcze cokolwiek o życiu jego domowém napomknę. Dobry chrześcijanin, wiarę swych przodków szanować umiał, ściśle pełnił święte jęj przepisy; nigdy w tęg mierze obojętności nie okazał, nie pozwolił w swém obliczu rozwiązylich,

przeciwnych religii rozmów, karmił je i powściągał, i z tój miary dla wszystkich godzien być przykładem. Mąż przywiązany, najlepszy ojciec, spokojny i uczynny sąsiad, pan litościwy dla kmiotków, dla sług dobroczynny, wyrozumiały i łaskawy, często do nich przemawiał: *motyka mnie chyba z wami rozłączy*. Jakoż zgon którego z nich tylko z nim rozdzielał, i wtenczas pozostałej wdowy, sierot stawał się ojcem, opiekunem, względem nich tём szczodrzejsze wspaniałości swój okazywał dowody. W chwilach nieszczęść utracił większą połowę majątku, drugiej ciążyły znaczne długi; widząc jak własne swe ściśle ogranicza wydatki, im przecież nic nie uszczupla, dla nich wyznaczoną nagrodę ma za rzecz nietykalną: wszyscy domownicy do swego dobroczyńcy przychodzą, niosą mu dobrowolną i chętną ofiarę umniejszenia ich losu, z tą tylko prośbą usilną, ażeby ich od siebie nie usuwał. Z rozrzewnieniem przyjął Czacki tę chęć szczerą, i pamiętne wyrzekł słowa: *najmniejszym chleba kawałkiem z wami dzielić się będę, każdemu z dłużników do ostatniego grosza com winien zapłacę. a kiedy mi nic nie pozostanie, wtenczas dopiero rozstać się z wami muszę; pójdę objąć miejsce nauczyciela w szkole głównej krakowskiej, ażebym siebie utrzymał, dzieciom dał wychowanie*. Dobroczynnością Pawła I, zwrócony mu został majątek i świetność dawna; iluż łaskami sług swych przywiązania nie wynagrodził!

Dom jego cnót i światła zdawał się być przybytkiem. Panowała w nim dawnych wieków prostota, szczęśliwie z najwyższą obyczajnością i przystojnością złączona staropolska gościnność, uprzejmość prawdziwa. Chętnie tam uczęszczano, przebywano mile; tam albowiem ujmująca swoboda i wdzięk społeczeństwa był nieporównany; każdy jakiegokolwiek bądź stopnia, płci i wieku, kto tylko był tak szczęśliwym w ich siedlisku przebywać, odda tę zaletę, i dziś jeszcze to wspomnienie zachował lube. Otaczała go liczna młodzież, z przyjemnych i nauczających rozmów jego i prac

przy nim podejmowanych biorąca udoskonalenie. Kto tylko pomocy jego, światła, rady, pociechy w nim szukał, zawsze ją Czacki udzielał chętnie i z całą gorliwością. Wtenczas prawdziwa radość w oczach jego, na wspaniałém czole za-
błysła; ilekroć bowiem zrobić mógł komu przysługę, szczę-
śliwszym od tego się zdawał, kto mu tyle był obowiązany. To równie szlachetna i jedyna jego zemsta bywała dla tych, którzy mu największą wyrządzili przykrość. Dobroć duszy, dobroć niezrównana i niezmienna zawsze, charakteru jego cechą szczególniejszą; niecne go tylko oburzały czyny, wzdry-
gał się na samo ich wspomnienie.

I taki człowiek nie zawsze był szczęśliwym, choć nim być tyle zasługiwał. O! jak pięknie Stanisław Potocki w pochwałę swęj wyrzekł: „Lecz trwałe szczęście nie jest ludz-
kiem przeznaczeniem, zaledwie go nam kiedy zakosztować wolno; jest one błyskawicą wśród nawałności życia człowieka, jest one krótkim spoczynkiem w trudnej podróży, którą od kolebki do grobu odbywa;“ i znowu nieco dalej: „Brakowa-
łoby coś cnocie i sławie Czackiego, gdyby na wzór tylu wielkich mężów, nie był poniósł w nagrodę znakomitych dla kraju przysług swoich oszczerstwa i prześladowania, i gdyby nadaremne, przecież bolesne ich przeciw niemu usiłowania, nie były dodały życiu i śmierci jego tkliwości, a cnocie żywszego blasku, jakim zwykle wśród prześladowania ja-
śnieje.“

Przystąpmy do ostatniego dzieła, które mu największą chlubę przynosi. Uczuł wyszłe z karbów dawne przepisy, za-
niedbane wychowanie publiczne; zmierzył okiem odległość Wołynia, Podola, Kijowa, od Wilna, i bliższą dla tych pro-
wincyi szkołę celniejszą wznieść umyślił. Gdyby mu dostatki pozwalały, tobie Janie Zamoyski podobny, w własném swém mieniu podźwignąłby Instytut tym zamiarom odpowiedni. Tak czynił zawsze, pokąd mu jego wystarczał majątek; kiedy ten coraz więcej był uszczuplony, gdy każdy widział, ile dla

publicznego łożył dobra, nikt mu za złe tego nie poczytał, że składki obywatelskie zbierał, zachwycającą wymową, łagodnym przekonaniem i słodkim przymusem do nich zniewalał. Człowiek partykularny, urzędem wizytatora tylko opatrzony, wznieść tę dostojność do najwyższego szczybla potrafił; duchowieństwo, obywatele do zjazdów skłaniał, mnogie fundusze zgromadził *). Ażeby i do ludu właściwe mu i potrzebom jego stosowne wychowanie rozciągnął, postarał się, że w trzech guberniach w krótkim przeciągu czasu, 126 szkółek parafialnych powstało. Stan nauk w każdym powiecie ulepszył. Wzorową chcąc utworzyć szkołę, na Krzemieniec zwrócił oko; w nim największe dogodności upatrzył, tam gimnazyum założyć przedsięwziął, zdatnych nauczycieli po całym kraju rozpierzchnionych z pomiędzy rodaków wynalazł, niemi ten Instytut obsadził, opatrzył go w bibliotekę po królu nabytą, darami od różnych osób przezeń wyjednanemi wzbogaconą, szacowny zbiór medalów po tymże Stanisławie-Auguście zakupił, gabinet fizyczny i mineralogiczny, obserwatoryum, drukarnię i piękny ogród botaniczny założył. Dom własny Czacki opuszcza, o wszystkiem zapomina, by nad tą szkołą czuwał. Tu dzieci swe wychowywać postanawia, a przykład jego skłania innych. Znaczna liczba osób znako mitszych osiada w Krzemieńcu dla edukacyi swój rodziny, znajdując razem w tém spokojném miejscu przez to zebranie się, dobre społeczeństwo. Powstaje miasto, przybywa gmachów, a kiedy im nizin zabrakło, wnet kształtne budowle szczyt i boki gór przyległych zdobią; zachwycający trafną rozmaitością, czynią

*) Dla Wołynia ofiar wieczystych 414,666 złotych zebrał, nie licząc na jeden raz składanych; dla szkół powiatowych 32,862 złotych, dla Kijowskiego gimnazyum 462,000 rubli asygnacyjnych. Jako prezes oddzielnéj Kommissyi do wyzyskania dawnych funduszków edukacyjnych, dla ogólnej sprawy oświecenia w Wydziale Wileńskim 2,350,000 złotych wydzwignął i ubezpieczył.

widok, krasą młodości swój upiększają okolicę, i cześć zdają się oddawać wspaniałym zamku królowej Bony rozwalinom, jego orszak stanowiąc.

Pomnaża się liczba uczniów, opieka Czackiego pociąga do chętnego oddawania swych dzieci najmajętniejsze osoby; jego troskliwość, ułatwienie środków, mierną klasę i uboższych pociąga. Plan nauk ulepszony, wykonanie jego ściśle i z widocznym złączone pożytkiem, dozór młodzieży najtroskliwszy, korzyść odnoszona przez uczniów, pokonywała przesady, jakie gdzie jeszcze istnieć mogły. Wzniosły się konwikty ubogich, gdzie dobroczynnością wszelkie potrzeby sierot i dzieci uboższych były opatrywane, konwikty wolne; tam za pomierną cenę umieszczana była młodzież, szkoła mechaników, jeometrów, nauczycieli wiejskich i organistów, szkoła ogrodnicza: miała się wkrótce założyć szkoła guwernantek, chirurgiczna i inne podobne zakłady. Tak różne przedmioty nauk i umiejętności jak najlepiej wykładane dogadzały potrzebom wszystkich. Gimnazjum Wołyńskie w lat kilka zaczęło tworzyć zdatnych korrepetytorów, nauczycieli i guwernerów, usuwało potrzebę sprowadzania ich z zagranicy. Kilka dobrze urządzonych pensyi, dawało sposobność doskonalenia się i płci żeńskiej. Instytut sam i napływ ludzi biegłych w każdym przedmiocie dozwalał nabywać języków i wszelkich talentów, każdemu stanowi, płci każdej potrzebnych. Wkrótce szkoła Krzemieniecka stała się rzeczywiście wzorową i będzie nią, póki duch Czackiego ożywia jęj nie przestanie. Za chlubę sobie poczytywano być uczniem tego Instytutu, ojcowskie przewodnictwo Czackiego, światło i sława nauczycieli, przystojność i powaga tój szkoły, nagrody wymierzane bezstronnie, wznosiły dusze uczniów, przywiązywały do nauk, do kierujących tą szkołą, do jęj założyciela, który jak Istność opiekuńcza wszystko ożywia, zachęcał, koił troski, pocieszał, do wytrwałości skłaniał, nietylko obecny ale i przyszył los uczniów jęj obmyślał, z przeciwno-

ściami walczył, od wszelkich pocisków i ogół i szczególne osoby zasłaniał, sam cierpiał, cierpieć innym nie dozwalał.

Nie poczytywał on dla siebie ujmą dostojęstwa, dzielił niekiedy zabawy i przechadzki młodzieży, majowe zwłaszcza, dla wszystkich przystępny i ujmujący; lecz kiedy się okazywał jak wizytator, jak urzędnik publiczny, wtenczas na wzór Jana Tarnowskiego, łagodnego w domowem pożyciu, straszliwego gdy na sądach wojskowych zasiadał, Czacki umiał całą powagę utrzymać, najśmielszych, najznajomszych przerażał jakąś trwogą i poszanowaniem. Uczniowie medalowi zaszczyt téj szkoły, byli jak gdyby straż jego przyboczna, z nimi obcować lubił, dawaniem uwag kształcił ostatecznie ich umysł. O! jakże chętnie z ust jego słyszano te słowa: *mam młodzież kochaną, pełną zapatu do nauk i cnoty*; słowa te jak iskra elektryczna, ożywiały istotnie ten zapal. Całą rozległość korzyści, jaką ten Instytut krajowi miał przynosić przewidywał; dla siebie nic nie pragnął, tego tylko oczekując, czego serca cnotliwe jedynie żądać mogą. *Najmilszą otrzymam nagrodę, mawiał on, jeśli tzy wdzięczności skropią mój grobowiec.*

Umiał Czacki świetność i okazałość szczególniejszą z tkliwością połączoną, nadać uroczystym obchodom, to bowiem do zmysłów, do serca trafiają; i czyli to otwierał gimnazyum Wołyńskie lub Kijowskie, czyli rocznicę nadanych przez monarchę tym instytutom swobód i ustaw obchodził, czyli odbywał popisy, lub ukochanego przez siebie i pomagającego mu dzielnie wpływem swym księcia Czartoryskiego kuratora przyjmował, było to świętem szkoły, świętem narodowem zgromadzającym rodziców, krewnych téj młodzieży i różne osoby z tych prowincyi. Wtenczasto powtarzać lubił głośno, co wrażał im codziennie: potrzebę łączenia nauk z cnotą i religią, posłuszeństwem i wdzięcznością dla panującego, przywiązaniem do kraju i ściśłym pełnieniem swych powinności. Kiedy po skończonych popisach w świę-

tyni Boga, do którego jako dawcy wszelkiego dobra wszystko zwykł odnosić, rozdawał medale i mnogie listy pochwalne, (bo w téj szkole wielka była liczba zasługujących na nie), do każdego przemówił czule, tak: że do ostatnich dni życia, słowa jego były obecną zawsze, i w każdym zdarzeniu przydatną nauką.

Na dziewięć miesięcy przed śmiercią jego, której nikt wtenczas tak bliską nie mniemał, gdyż każdy mu najdłuższych lat życzył, pragnął i wróżył; był tak szczęśliwym, że synowi starszemu ujrzał przyznany medal. Rozrzewniający był widok, gdy mu ojciec z łzą radości w oku, świadek rozczulenia obecnej matki i wszystkich przytomnych, drżącą ręką dawał ten znak zaszczytu; a zwracając duszę jego do uczuć moralnych i religijnych, podniósł oczy do ołtarza i prosił Boga Wszechmogącego o to tylko, *by sława pocziwych z domu jego nie wychodziła*. Któż mógł wtenczas pomyśleć, że wkrótce tego męża rzewnie opłakiwać będzie, że i ten potomek, o którym z wielu względów z Wirgiliuszem można było powiedzieć:

Tu Marcellus eris!

Ty będziesz ojcu podobnym!

że ta nadzieja przyszła, wkrótce po ojcu wstąpi do grobu.

Cierpienia jakich doznawał Czacki, praca, nateżenie umysłu, podróże ustawiczne, siły jego niszczyły widocznie. Krzepił się i żadne go prośby najsilniejsze skłonić nie zdołały, ażeby zdrowiu swemu folgował, kiedy tylko mniemał, że powinność jego poświęceń się jakich wymaga. Pośpieszał właśnie dla powitania księcia Czartoryskiego kuratora z Żytomierza, w czasie panujących w wielu miejscach zaraźliwych chorób. Zaledwie go pozdrowił w Dubnie i ostatnie usiłowanie swe dla dobra téj szkoły chciał przekładać, gwałtowna gorączka nerwowa go dotknęła. Wśród marzeń silacój się

słabości, jeszcze przemawiał o Krzemieńcu, o swych nadziejach, o szczęściu rodaków.

Jakże ta wieść była okropna, że Czacki niebezpiecznie chory. Ustały mimowolnie szkoły Krzemienieckie, wszystkich trwoga i niespokojność przejęła. Smutek wszędzie, posępność na twarzach; obywatele, mieszkańcy, uczniowie lecą do Dubna, jak któremu pozwala możliwość, to powozem, to pieszo, by się o stanie jego zdrowia dowiedzieć. Jak kiedy ojciec ukochany o śmiertelne uderzony łoże, rodzina cała w boleści, osłupieniu, nadziei i smutku na przemiany; tak snujący się po czteromilowej od Krzemieńca do Dubna dzień i noc przestrzeni, im podobni, równie silnych doznają cierpień. Jedna myśl zajmuje wszystkich: ci przyspieszają kroki, ci już wracają, by słowa pociechy lub żalu donieśli innym; ci u bram miasta czekają, ażeby jak hasło trwogi lub radości rozgłaszali go tym, którzy sami wyjść nie zdołali. Świątynie Pańskie dzień i noc otwarte, gorące w nich zanoszono modły; lecz błagania te nie mogły być wysłuchane: taka była niebios wola. Cóż się zrówna z tém smutnym i bolesnym wzruszeniem, kiedy głos bliższy miejsca pobytu Czackiego wyrzekł: *Czacki już nie żyje!* gdy tę wieść przerażającą tysiące głosów podawało tysiącom, a nie mogących mówić, oczyma zalane, znekane twarze, innym to zwiastowały. Taki był zgon cnotliwego męża, tyle powszechnój sprawił żałości!

Publiczne zalety oddawane mu przez króla i pierwszych w narodzie mężów, okręt przez kompanią kupiecką polską jego imieniem uczczony, dostojność tajnego radcy, chlubne reskrypta monarchy, popiersie i portret w gmachach Krzemienieckich umieszczone, wybity medal złoty z napisem: *wdzięczni obywatele Wołyńscy Czackiemu na pamięć wieczną;* chwalebnych czynów jego, szacunku władców kraju i współobywateli oznaką. Wszystko to atoli dla niego znika. Przed tron Przedwiecznego uniósł z sobą tylko dobre uczynki i cnoty swe; pamięć ich nie zginie, „poki ich duch żywotny

ożywiać będzie jestestwa na ziemi ojców, póki zaszczyty narodowe miłemi sercu ich być nie przestaną“ *). Wy, którzy mnie czytacie i wnuki wnuków waszych! jeśli wam kiedy to miejsce gdzie popioły jego złożone, widzieć się zdarzy, lub Krzemieniec, w którym póki ten Instytut będzie istniał, coroczny obchód pogrzebowy przy zakończeniu roku szkolnego jemu poświęcony: niechaj łaza czułości i wtenczas jeszcze odda mu cześć powinna.

ALOIZY FELIŃSKI.

(ur. r. 1771, um. r. 1820).

Kiedy głównym tego pisma zamiarem jest obeznanie wzrastającej młodzi z imionami sławnych i cnotliwych obojga płci współziomków, nie zdziwi zapewne czytelników, gdy dziś w w niem ujrzą imię nieśmiertelnego *autora Barbary*. Prawda, że nie tak dawno wydarty rodzinie, przyjacielom i uczniom, czule od tyłu serc kochany, tyle zasługi w naukach krajowych mający, Feliński nietylko z imienia swego, ale i z osoby niemal wszystkim Polakom jest znany i pamiętny. Dzieciom jednak mniej w tej mierze od starszych szczęśliwym, (bo iluż to gaśnie ludzi znakomitych, których one znać będą jedynie ze sławy), zapewne te o nim szczegółły, z troskliwością, choć może bez związku zebrane, nowe i zajmujące się wydadzą. Ogłaszam je więc śmiało, ogłaszam

*) Osieński stron. 253.

tém śmielej, że po większej części nie ja tu przemawiać będę.

Aloizy Feliński urodził się roku 1771, z rodziców mianego majątku, lecz uczciwych i dobrze myślących, w Łucku, dawniej Wołynia stolicy. Ojciec jego sędzia ziemski, biegły prawnik, wielce od obywateli wołyńskich szacowany, mieszkał zwykle w wioskach dziedzicznych swoich w Osowie, albo w Wojutynie. Ta ostatnia leży o pięć tylko mil od Porycka, uczęszczał więc do tego rodziców Tadeusza Czackiego mieszkania, naprzód sam, później z synem; tam równie dla własnych zalet, jak dla objawiających się już w dziecięciu zalet, mile był przyjmowany. Tadeusz Czacki, później ogromem swych nauk i wielkością cnót tak sławny, o pięć lat od młodego Aloizego starszy, dostrzegł w nim wszystkie jego piękne skłonności; czule go pokochał, i naglił ojca, ażeby staraniem i nauką rozwijał te drogie przyrodzenia dary. Oddał więc stary Feliński syna do konwiktu XX. Pijarów w Dąbrowicy, gdzie ksiądz Chlebowski, zasłużony w swym zakonie, był rektorem, a znany z wysokich zdolności Bonarski, prefektem. Tam wraz z Platerami, Korzeniowskimi, Lubeckimi, Urbanowskimi, kształcił się młody Aloizy Feliński, i wnet między najpierwszych uczniów policzony został. Szczęśliwe usposobienie, jego pilność, znaczny w naukach postęp, rzadka wymowa, dowcip, zyskiwały mu szacunek współtowarzyszy; dobroć, tkiwość serca, przy nadzwyczajnej żywości, jednały mu przyjaciół, a mistrzowie jego widząc w nim obok najszlachetniejszego sposobu myślenia, przyzwoitą i konieczną uległość, miłości swojej i pochwał odmówić mu nie mogli.

Lecz smutne zdarzenie okryło żałobą dni tak pomyślne; właśnie kiedy Feliński kończył jak najchlubniej szkoły w Dąbrowicy, umarł mu ojciec, i on, jako najstarszy z rodzeństwa, został przez tę śmierć zawczesną przyrodzonym opiekunem dwóch braci i trzech sióstr, pociechą największą i pod-

porą stroskanéj matki. Lubo bardzo jeszcze natenczas młody, uczuł Feliński całą obszerność tych obowiązków a chcąc usposobić się do zupełnego ich wykonania, umyślił wydoskonalić się w naukach, posłusznym być jeszcze czas jakiś, ażeby zdolnym się uczynić do rządzenia sobą i drugimi. Nie zaspokojony więc ukończonemi w Dąbrowicy szkołami, daleki od zarozumienia tak powszechnego w tym wieku, wolności swojej na to użył, żeby się poświęcić nowéj pracy, i udał się do Włodzimierza, gdzie pod sterem księdza Antonowicza *), umocnił się w znajomości klassycznych wzorowych pisarzy, i angielskiego języka nabył. Przebywszy tam czas znaczny, dogadzając zacnéj matki, własnego serca i Czackiego żądaniom, połączył przeznaczenie swoje z losem tego uczonego męża, wraz z nim przybył do Warszawy, wspólnie pracował i towarzyszył mu w téj podróży, kiedy w r. 1791 Czacki, Wawrzecki i Horain, z polecenia sejmu, rewizyą czynili skarbu królewskiego w Krakowie. Więcej jednak mając ku nadobnéj literaturze, niżli ku pyłom okrytéj erudycyi ponęty, więcej czuły na wdzięki zawsze młodéj poezyi, niżli na zbutwiałe starożytności zabytki, Feliński wolnych chwil od głębszój i suchéj z Czackim pracy, używał na dalsze się ćwiczenie we francuzkim języku, i na rozważanie płodów lepszych Francyi poetów. Wsławieni *Kornel, Boala, Lafonten, Rasin, Wolter*, wchodzący w sławę *Laharp, Delil*, wnet ulubieńcami jego zostali, i zdawało się, że ich duchem się napawa! Dwadzieścia lat mając, naśladował jak najszcześliwiéj drugą *Satyre Boala, i trudności rymowania*,

*) X. Juljan Antonowicz, Bazylian, mąż niepospolitéj cnoty i umiejętności, był przez lat kilka przełożonym szkół Włodzimierskich na Wołyniu, i słyngły więcéj nad inne, gdy im przewodniczył. Potém wezwany przez Czackiego, trudnił się wychowaniem ulubionego jego siostrzeńca Jana hrabi Tarnowskiego, późniéj synom wychowawca poświęcił swe trudy, i przy nich umarł w Horochowie r. 1822, powszechnie żałowany.

Trembeckiemu ją przypisał, i nikt tój śmiałości zbyteczną nie nazwał; *Rasy*na tłómaczył, mistrzem swoim go obrał a do listów poufałych zdawał się brać od *Woltera* dowcip i wesołość, od *Lafontena* prostotę i tkliwość. Dwa następujące wyjątki to zdanie potwierdzają; tak w owym czasie pisał do przyjaciela Feliński:

Warszawa, 26 Września 1791.

„Kazałeś mi, pamiętam, najpierwszy list mój do ciebie, zacząć od doniesienia, czy jestem zdrow? —nie moja więc wina, że się list mój źle zaczynać będzie; muszę cię słuchać, i donieść ci zem słabszy. Noga mnie tak boli, że ledwie będę mógł zawlec się na wieczór do Tymienieckiego, w którego stancyi mam zastać jakiegoś medyka, który (on powiada) że jest wyborny. Jutro zacznę kuracyą formalną, ale wiem, że ani ja, ani mój doktor, nie będziem wiedzieć na com ja słaby. Porzucmy ten artykuł nudny—choroba moja niech ci humoru nie psuje, bo i ja się z niej śmieję. *Pythagor* powiadał, że tylko człowiek zdrow powinien się smuć, bo odmiana jego stanu zawsze jest na gorsze; przeciwnie, chorego na lepsze. Według niego, człowiek zdrow będzie chorował, człowiek chory ozdrowieje; zapomniał małej tylko rzeczy, że człowiek chory może umrzeć. Z literatury nie ci tą pocztą nie doniosę. Słabe mając nogi, rzadko się włóczę, a z drugiejj strony, nie tóż nowego nie ma. Daruj więc, że pierwszy list niedokładny; wiesz, że powszechnie pierwsza sesya sejmowa schodzi na oracyach, pierwsza wizyta na komplementach: mój pierwszy list zszedł widzę, na kilku peryodach ni w pięć ni w dziewięć. Poprawię się w przyszłą sobotę.

Kraków, 22 Kwietnia 1792.

„Nie miałem przyjaciela, któryby tak często jak ty do mnie pisywał, niczyich jednak listów z większą nie czytywałem roskoszą. Żałuję że są tak ładne, chciałbym na tobie sprobować, jeżeli proste przyjaźni wyrazy, mogą być kie-

dy powtarzane aż do znudzenia. Mów jak chcesz, ja myślę że nie mogą, i dlatego ile razy częściej mi się do ciebie pisać zdarzało, nie mojemu dowcipowi, ale twojemu sercu ufam. Jutro już wyjeżdżamy z Krakowa, nie chcę jednak opuścić ostatniej poczty, która do ciebie odchodzi. Dobrze, że list mój, choć kilku godzinami dojdzie wprzód, nim cię uściskam. Z radością jadę do Warszawy, bo jadę do was, ale ztąd nie wyjeżdżam z radością. Z wielu miar podobało mi się to miejsce. W tym momencie tyś może pomyślał o niej, prawda, że lubię u niej bawić; są tacy, którzy mnie za to prześladują... ale

Wszak od tego zawisła, bracie, nasza chwała,
 Żebyśmy tak czynili jak mistrzowie nasi;
 Kochał *Rasyn* i jego *Champmelé* kochała:
 Ja się umizgam do Basi.

Nie najgorzej mi się te cztery wierszyki udały! ale pan *Łomacz Bajazeta* nie będzie zapewne kontent, że się ja z *Rasynem* bratam, a zapalony *anthuzyzmem*, krzyknie:

Co tam za młody synal Apolina,
 Przywłaszcza sobie sławę, która mi należy?
 Ja tylko jeden z Polskiej młodzieży
 Stanę się godnym następcą *Rasyna*.

Gdyby przypadkiem był u ciebie, ten co to bardzo źle dotrzymuje słowa, kiedy idzie o napisanie listu, ale który tak dobrym umie być przyjacielem i sędzią:

Odpowiedziałby tobie pan *Dziedzic Ligoty*,
 Każdy z was do swęj części słusznie prawo rości;
 Ty naśladujesz *Rasyna* przymioty,
 A tamten jego słabości.
 Gybyś był mniej doskonały,
 Byłby z ciebie *Rasyn* cały.

Bazgrałbym jeszcze wierszami, ale przyznam ci się, że mi tu wierszoklece rzemiosło zbrzydło. Wszędzie spotykam

pracowitych kolegów, a nasz niezmordowany P.... teraz drukuje *Raj odzyskany Milтона*. Kiedym to dzieło obaczywszy u Grebla, szedł zły i zamyślony, zrobiłem modlitwę do boga gustu, za wierszokletami akademickimi. Nie znalazłem jednak gdzie tu ją zmówić: poślę więc modlitwę do Warszawy, która tak się kończy:

Febie! jeżeli naszej chcesz panować ziemi,
Przybliż tę porę żądaną;
Kiedy albo uczeńsza Polska wzgardzi niemi,
Albo oni godnemi wzgardy być przestaną?

Żeby te dwa wyjątki zupełnie zrozumieć i ocenić, wiedzieć należy, iż Feliński przybywszy do Warszawy, wszedł był w związki najżywszej przyjaźni z dwoma młodzieńcami, równych z nim lat, przymiotów i nadziei; jeden z nich był wspomniony wyżej *dziedzie Ligoty* waleczny żołnierz, dobry Polak, mąż cnotliwy, szczęśliwy tłumacz *Tompsona*, *Terencyusza*, Konstantyn Tymieniecki; drugim ów tłumacz *Bajazeta*, wyborny naśladowca *Zacharego*, *St. Lamberta*, *Monteskiego*, który w swój nadobnej *Cefizie*, nie tylko doszedł, ale przeszedł, wykończone, delikatne i smakowne *Szymanowskiego* pióro, którego imienia wyrazić tu nie śmiem, ale go każdy odgadnie... Tych trzech przyjaciół, natura nawet krewnemi nie uczyniła, a jednakie serc skłonności, podobieństwo gustów i sposobu myślenia, ten sam dar do rymotwórstwa, ścisłym węzłem, jakby rodzonych braci spoiły, i tém nawet imieniem się zwali. Przez trzydzieści blisko lat żyli tak tkliwym węzłem spojeni, ani oddalenie, ani zmiany okoliczności nic ich serc zmienić nie potrafiło; sama nawet śmierć tego troistego węzła rozerwać nie zdołała, *bo przyjaźni nie przerywa zgon*, zamknęła zbyt wcześniej dwom z nich

oczy, poniosła ducha do górnych krain, ale żyją tu jeszcze w pamięci tego, który pozostał, który ich z taką czułością wspomina, i tak o rozszerzenie ich sławy troskliwy *).

Feliński przejęty uwielbieniem i wdzięcznością dla Czackiego, ciągle i wszędzie z nim zostając, miłe przez niego miał sobie poruczone zatrudnienie. Czacki zajął się wychowaniem siostrzeńca swego, Jana hrabi Tarnowskiego; w chwili przytłumionej edukacji publicznej, chciał mu dać jak najlepszą w domu, powierzył go więc wspomnianemu wyżej księdzu Antonowiczowi i Felińskiemu, który chociaż młody, potrafił w nim tyle wzbudzić zaufania. Feliński zaś, którego piękna dusza zawsze skora była do przyjacielskich usług, do udzielenia światła, nie tylko to zatrudnienie przyjął mile, ale jeszcze i sam inne sobie obmyślił. Nie chcąc żadnej godziny dnia swego stracić na próżno, i pragnąc ile możności być użytecznym, bawiąc wówczas, to jest między rokiem 1792 i 1795 parę lat w Warszawie, niemal codziennie wieczorem zbierał koło siebie liczną młodzież, i wprowadził zwyczaj czytania łącznie dzieł wzorowych, i czynienia nad nimi na piśmie uwag, któreby prawdziwie ich piękności i wady poznać dały; tym sposobem on sam i ci młodzi doskonalili się w językach, nabywali prawdziwego smaku, bawili się przedziwnie, a posiedzenia te zakończył skromny podwieczorek, kosztem jego najczęściej, lub majątniejszych z tej młodzieży dawany. Przygotowania do tych posiedzeń, skierowanie zdań piszących, nie mało pracy mu zadawały; ale Feliński serce miał tak uczynne i przyjacielskie, że w ciągu całego życia swego, długie chwile zwykł był poświęcać użytkowi innych,

*) Tego to pozostałego przyjaciela staraniem i kosztem, pisma *Konstantyna Tymienieckiego* wyszły na widok publiczny; z jego to częstych o Felińskim rozmów, Wydawca ma część umieszczonych tu szczegółów, do niego były pisane listy, z których te i dalsze poczynione *wyjątki*.

udoskonaleniu ich serca lub umysłu; a z takim baczeniem czynić to umiał, że nikt nie zgadywał, iż go przyjęty obowiązek od ważnych prac odrywa, albo téż utrudza.

Był on z młodości z liczby tych rzadkich ludzi, co nie marząc cnót nadzwyczajnych, spełniają gorliwie i ochotnie to dobro, które w ich jest mocy; lubo téż nie majątny, wiele wyświadczył, bo nie opuścił żadnej sposobności przysłużenia się komu. „Tak i w owym czasie, wśród stolicy, uciech jej, i tylu zatrudnień, nie zapomniał iż w szkołach Dąbrowieckich, w tym samym konwikcie zostawił ubogiego ucznia, który może miał za sobą pracowitość, i tę szczególniej zaletę, że Felińskiego już i wtenczas cenić umiał. Ten uczeń, skończywszy nauki, gdy powrócił do domu, troskali się rodzice, co z nim uczynić mają, i jaki mu stan obrać? Do wojska sam wzrost jego, i niezbyt krzepkie siły przeszkodę mu stawiały, zwrócić go miano do prawnictwa; nie miał do tego skłonności: ażeby czasu nie trwonił, oddano go nareszcie za początkowego bakałarza, do będących w bliskim klasztorze na opiece dzieci. Ubolewali nad tém sami rodzice, że stosowniejszego może i więcej obiecującego nie są w stanie wskazać mu losu; zaledwie kilka niedziel upłynęło, odbierają list Felińskiego, który im był nieznany, o którym jedynie słyszeli nieraz mówiącego z uwielbieniem syna. Wyraża w tém piśmie: że szkolną dla ich syna mając przyjaźń, a bawiąc przy Czackim, który jako urzędnik znakomity, ma sposobność uczynienia dobrze, przemyślał ciągle, ażeby dla swego dawnego kolegi stosowne jakie miejsce wynalazł: teraz właśnie dogodna trafia się pora, kosztem skarbu posłani być mają trzej młodzi dla doskonalenia się w górnictwie, w ich liczbie i syn wasz umieszczony. Przysyłajcie go i bądźcie spokojni o dalsze jego losy. Z jakąż radością to niespodziane szczęście przyjęto! Z ustronia owego syn odebrany, został posłanym do Warszawy; a kiedy krajowe okoliczności pierwotnej względem niego myśli przywieść do skutku nie dozwoliły, przy

Czackim pozostał; nieodstępnie aż do zgonu tego cnotliwego męża był przy nim, w Felińskim zawsze znajdował opiekóna, dobroczyńcę, przyjaciela, jemu wszystko winien, i sam zawsze z najwdzięczniejszém wyznawał to sercem *).

Ale wdzięczność, nauki i przyjaźń, nie zdołały jednak zająć wszystkich uczuć i chwil Felińskiego; w owym czasie tak pamiętnym tylą wielkimi zdarzeniami, nie było serce jego niemém, ani ramie beczynném; a lubo nigdy nie władał orężem, dźwignął go przecież, i pospieszył do obozu. Oceniając zdatność, Naczelnik umiał użyć młodzieńca do stosownych jemu zatrudnień; nie używał go jednak długo, bo wnet skończyło się wszystko...

Feliński wtedy udał się do wiejskiej zagrody, do owego Wojutyna, gdzie lata spędził dziecinne, i tam dni swoje dzielić umyślił między starania, jakich wymagała sędziwa już matka, nie dorosłe jeszcze rodzeństwo, gospodarstwo zaniedbane. Naukom i serca związkom ozdobę tych dni powierzył; i nie zawiodło go to zaufanie. Oddany użytecznemu rolnikowi powołaniu, szukał w ulubionych sobie francuzkich poetach, dzieła, któreby w nim smak większej rozkoszy ożywiły; znalazł je w Delilu, i zaraz się zajął przełożeniem pierwszej pieśni jego *Ziemanina* na język ojczysty. Ileż ta praca miłych chwil mu przyniosła! Może miłszych jeszcze dostarczyło mu inne wcale zatrudnienie. Jednej z siostr jego, Emilii, dostała się iskra owego rymotwórczego ognia, który w nim tlał; skoro ją w niej odkrył, troskliwą zachętą, rozsądnemi pochwałą, a najwięcej przykładem, rozniecał ją i podsycił.

*) Tkliwy ten szereg jest opisany skromném piórem tego, który tój przysługi doznał. Tę zaś jego wdzięczność dla Felińskiego, winniśmy dzielić wszyscy, bo podając przyjazną rękę towarzyszeni szkolnemu, przysporzył Ojczyźnie cnotliwego obywatela, uczonego i cnotliwego pisarza, słowem, *Tłómacza Podróży Anaharsysa*, głębokiego badacza i znawcę rzeczy ojczystych.

Miły to musiał być widok, patrzeć na tego brata młodego jeszcze, i tak rzadkim rymotwórstwa obdarzonego talentem, prowadzącego jakby za rękę, tą samą drogą, młodszą od siebie, nadobną i niemal równie uzdatnioną siostrę; cieszącego się z jej postępów, więcej prawie niż z własnych!

Tkliwszym jeszcze był obraz młodzieńca, któremu dowcip, talenta, do najpierwszych w kraju towarzystw wejście otwierały, zamkniętego na wsi, i oddanego obowiązkom syna, brata, gospodarza. Taka jest jednak nieomylna radość w dopełnieniu powinności, taki owoc użytecznych zatrudnień, że Feliński w tém cichém i jednostajném życiu, szczęście znajdował; prawda iż gusta jego tak były rozsądne, że w samym kwiecie wieku, z łona uczt i zabaw, tak do swych *dwóch przyjaciół* pisał: „Moment kiedy was uściskam, będzie dla mnie najmiłszym; zapomnę o tych rozrywkach, które więcej mają okazałości, niż prawdziwej słodyczy; które zostawiają po sobie jakąś czczość i tliwość w duszy, które nakoniec więcej zazdrości wzbudzają, gdy ich nie mamy, niż przynoszą rozkoszy używającym.“ Nic więc dziwnego, że starszy o lat kilka, te słowa ze swego Wojutyna przyjacielowi przesyłał: „Włóczyć się musiałem przez czas jakiś, dziś dopiero przyjechałem do domu; zastałem moją matkę, Emilię i twoje listy: jestem tedy zupełnie szczęśliwy.“ Bo Felińskiemu do szczęścia zawsze było potrzeba, albo ustnej, albo przynajmniej listownej z dwoma *braćmi serca swego* rozmowy. Pisywał téż do nich często.

Szkoda wielka, iż zbyt mała lat odległość nie pozwala żadnym sposobem, mimo najszczerze chęci, pozostałemu Felińskiego i Tymienieckiego przyjacielowi, udzielenia całkowitego tych listów publiczności. Listy poufałe, te prawdziwe zwierciadła człowieka, gdzie dusza niekiedy lepiej, bo trwalej i z mniejszém roztargnieniem, niżli w potocznej mowie się maluje, potrzebują koniecznie aby ręka czasu usposobiła je do widoku publicznego, aby śmierć zamknęła oczy

wspominanym w nich osobom, a tak słowa i zdania w nich kreślone, nie trąciły ani pochlebstwem, ani niechęcią. Ja te listy miałam w ręku na dni kilka, i naczytać się ich dosyć nie mogłam; chcąc wam, dzieci drogie, choć cząstki doznanej przyjemności udzielić, poważylam się uczynić z nich niektóre wyjątki, i dziś je ogłaszam. Spodziewam się jednak, że mi tę śmiałość wybaczy ten, do którego te listy pisane były; wszystko co piękną duszę zgasłego przyjaciela wykrywa, co charakter jego maluje, na część życia w ukryciu spędzoną promień światła rzuca, czyżby mogło pozostałego obrazić? Złożę więc wiadomość o dalszém życiu Felińskiego z własnych słów jego; będą to zapewne farby najmiłsze i najprzyzwoitsze do tak nadobnego obrazu; a jeśliby kto z surowych czytelników w słowach jego jakiej niepoprawności dostrzedz się ośmielił, niech pamięta, że dla przyjaźni, bez przygotowania, od ręki kreślone były; niech na czele tych *wyjątków* przeczyta to własne *autora Barbary* przed przyjacielem usprawiedliwienie: „Zdobyłbym się może na listy, albo dowcipne, albo uczone, z którychbyś miał więcej rozrywki; ale ja musiałbym dopiero myśleć o tém, co mam napisać, a teraz razem i piszę i myślę, i zdaje mi się że z sobą gadam. Żałuję *Voitura* i *Balzaka*, którzy piętnaście dni potrzebowali do napisania najkrótszego listu. Znać, że nie mieli nigdy prawdziwych przyjaciół, że się starali, żeby ich chwalono, nie żeby ich kochano. Mój list najdłuższy do ciebie, nie kosztuje nigdy więcej nad kilka minut; bo nie szukam daleko pięknych myśli; i nie chcę, żebyś się dziwił memu dowcipowi, tylko żebyś poznał serce.“

15 Kwietnia 1795 r. z Wojutyna.

...„Bardzo ci dziękuję, żeś się odezwał do mnie...! Są między twemi wyrazami takie, za które ci szczerze wdzięczny jestem. Siostra moja także nie wiem jeśli była zupeł-

nie nieczuła na tyle pochlebnych dla niej *doucerów* (ale za cóż po polsku nie napisać *stodyczy*)... Masz jeszcze kawał jęć tłómaczenia z *Britannika*. Sądz go i krytykuj, jak ci się podoba—ale koniecznie przyslij mi za to, co swojego albo Tymienieckiego. Patrz, jak to dobrze mieć siostrę co rymuje? wy mi będziecie przysyłać swoje wiersze, a ja wam wiersze mojej siostry. Żartujcie z niej jak chcecie, ja jednak rozumiem, że jeżeli zawsze będzie w niej trwała taka chęć jak teraz, zasłużenia sobie na zawsze pochwały, nie długo będziecie z niej żartować... Nie uwierzysz jakem z niej kontent, od czasu jak was poznała, coraz więcej pracuje i coraz lepiej. Proszę was bardzo, żebyście w pierwszym liście do mnie dali swoje zdanie o jęć wierszach, i wytknęli jeżeli nie wszystkie, znaczną przynajmniej część błędów. Czeka ona tego wyroku z największą niecierpliwością. Oprócz najwyższego szacunku, jaki ma dla was, łatwo się domyślicie, że krytyka albo pochwała przysłana o mil ośmdziesiąt, z pod Poznania, Sieradza *), sto razy więcej czyni skutku, niż wszystkie komentarze z Wojutyna, powiadane ustnie od człowieka, który tak często z nią przebywając, musiał już bardzo dla niej spowszednieć. Ale do syć o tym ważnym rozdziale.

Dnia 7 Listopada 1795 r., z Wojutyna.

„Prawda że najlepszy jest list bez nudnych oświadczeń, bez płaskich buffonad, donoszący po prostu to co może przyjaciela interesować, i takim jest właśnie twój ostatni. Winszuję ci, że jesteś spokojnym. Ja równie spokojny jak i ty, mieszkam w tym domku, który widziałeś, z matką

*) W Wielko-Polsce mieszkali wtedy dwaj Felińskiego przyjaciele, zmiany krajowe przymusiły ich do szukania na wsi i w naukach, schronienia i pociechy.

i siostrami. Czém jest twój wuj dla ciebie, tém moja Emilka dla mnie. Bawimy się z nią tak, jak tylko można bawić się na wsi.

Dnia 15 Lutego 1796 r., z Wojutyńna.

„Donoszę ci, że zostaję od kontraktów gospodarzem na swoim. Książę Jabłonowski wypuścił matce mojej w procencie od 70 t. dwie wsie *Klepacze*, które daleko więcej czynią niż ten procent; ja tedy będę ich arendarzem, i będę dopłacał księciu kilkanaście t. na rok. Oprócz tego wypuszcza mi matka małą i nieinratną wioseczkę w Polesiu, *Osowę*, z której ja jednak bardzo kontent jestem. Będę w niej gospodarował *à la dziedzic*, to jest mając wzgląd nadal: i spodziewam się znaleźć tam dosyć zatrudnienia przyjemnego i nieprzyjemnego, dosyć wygody i zupełną spokojność. Tak dzieląc mój czas na mieszkanie w Klepaczach, w Osowie i w Wojutyńnie, na przejażdżki czasem do Lwowa, do Zaslawia, nie rozumiem, żebym się nudził, a jeśli się to zdarzy, to będzie moja wina. Gdyby czasem dobiedziesz i do Dzikowa *) i zastać tam ciebie, Tymienieckiego, byłoby to bardzo dobrze.

Dnia 15 Grudnia 1796 r., z Osowy.

„Muszę ci się wytłómaczyć z kilkomiesięcznego milczenia. Oto masz na to dziesięć przyczyn: 1-e lenistwo; 2-e dwumiesięczna moja choroba; 3-e zakłócenie poczty przy usunięciu polskich pocztmistrzów; 4-e częste przejażdżki; 5-e zawód posłańca, który listy pogubił; 6-e zatrudnienia gospodarskie; 7-e reszta potem.

„Zgadłeś, że teraz więcej dbam o pieniądze, niż dawniej. Na nowe gospodarstwo wszystkiego mi potrzeba. Postawiłem tego lata domek tu w Osowie, i mam już jeden

*) Dzików, miasteczko hrabstwa Tarnowskich, rodziców Jana Tarnowskiego.

pokoik skończony, w którym mieszkam. Domek nie tak wielki jak w Wojutynie, ale zdaje mi się, że wygodniejszy, może dla tego, że go sam stawiałem. Chcę na nim napisać, co Ariost napisał na swoim:

„*Parva, sed apta mihi, sed nulli obnoxia, sed non sordida* *); ale nie śmiem dodawać: *paria meo, sit tamen sera domus* **), bo mi matka daje na niego pieniędzy. Z Klepacz nie wiele jeszcze uzbierałem, bo choć mam dosyć zboża, ale teraz nie płaci, a Osowa wiész że nie bardzo intratna. Pisząc ci tak wiele o tój Osowie, która podobno ma odtąd zostać moją wsią rezydencyonalną, kiedy mam w niej domek, ogródek i książki, muszę ci dać o niej jakiegokolwiek wyobrażenie. Jest to wioseczka mająca tylko 8 dusz mężczyzn, ma rzeczki, gaiki i wiele położeń romansowych, ale chleba dosyć mało; leży o dwie mil od Dąbrowicy, miasteczka położonego nad Horyniem, które teraz zrobiono *horodem*, to jest miasteczkiem powiatowém. Ja w tём miasteczku dość często teraz muszę bawić, bo... bo... zasiadam w powiatowym sądzie. Leżałem wtenczas chory w Klepaczach, kiedy obywatele na walnym kongresie w Żytomierzu, włożyli na mnie ten poważny urząd. Przyznam ci się, że dowiedziawszy się o tём, roześmiałem się i przypominałem sobie dwa wiersze Woltera:

Peut être qu'un Virgile, un Cicéron sauvage
Est chantre de paroisse, ou Juge de village ***).

Nie mam ja tyle miłości własnej, żebym się miał za *Virgila* nawet *dzikiego*, ale nie chciałbym być przez całe

*) Mały, lecz wygodny, nie zawadzający nikomu, nie brudny.

***) Moim groszem nabyty, niech mnie do starości dochowa.

***) Może jaki Wirgili lub Cycero dziki—jest gdzie organistą, lub sędzią ziemiańskim.

życie *Sędzią ziemiańskim*.. Bogu dzięki przecie, że ten urząd trwa tylko lat trzy, i nie zajmuje tylko zimę;—resztę czasu będę mógł zawsze poświęcać przyjaźni, książce, gospodarstwu.

1800 r. 20 marca, z Helenówki.

....Mnie, Bogu dzięki, wszystko dosyć pomyślnie idzie, a kiedy się co czasem nie poszykuje, pocieszam się tym wierszykiem lubego naszego *Rasyna*:

Vous êtes homme enfin, le sort qui toujours change,
Ne vous a point promis un bonheur sans mélange *).

Na arędzie trzyletniej Klepacz wyszedłem dobrze, i opatrzyłem się w porządku domowe i gospodarskie; wioseczkę dziedziczną Osowę, na którą mam dymisyą od matki, oporządzam jak mogę. Skończyłem domek, założyłem ogródek, poprzyrabiałem łąków, porobiłem rowy w miejscach mokrych, poprostowałem drogi, i w przeszłym roku odgraniczyłem się i okopczyłem, skończywszy szczęśliwie sprawę w trybunale graniczną, przez lat kilkanaście od mego ojca popieraną. To jest wszystko co dobre — teraz ci powiem, co było trochę złe. Owa blondyneczka Z.... którą jeśli pamiętasz, będąc w tych stronach widziałeś, ułożywszy się na bardzo wyborną panienkę, była celem mych życzeń, kochałem ją i byłem kochany; ale familia i inni jeszcze, tak mocne mi postawili zawady, że je ani Czacki, ani żaden z przyjaciół moich przełamać nie mógł. Zalewałem się łzami, ale to wszystko nic nie pomogło. Przepędziłem w takim stanie kilka miesięcy, nie znajdując wiele słodyczy w życiu. Ale, że jak Wolter mówi: *Człowiek trapi się i płacze jak może*

*) Jesteś człowiekiem, a los zawsze zmienny — nie obiecał ci szczęścia bez odmiany.

najmniej, i ja się pocieszyłem nareszcie. Przyjechawszy na ową sprawę do Żytomierza, w okolicach tutejszych poznałem jedną Kijowianeczkę, panienkę przyjemną, skromną, czułą, charakteru najłagodniejszego, humoru jednostajnego. Podobałem ją sobie, i wkrótce miałem szczęście jęj się podobać. Od czterech tygodni jest już moją żoną, i od czterech tygodni jestem zupełnie szczęśliwy... Ma lat siedmnaście; majątek jęj wyrówna memu, nigdy więcej nie żądał.

Ale podobno już dosyć o nięj; wiem że pochwały czteroniedzielnego męża są trochę podejrzone, lecz ja spodziewam się za lat kilka, toż samo ci powtórzyć. Teraz dodam tylko jęj imię i nazwisko. Zwała się Omiecińska, imię ma Józefa. Patrz tedy z nas trzech, ja który nie byłem najmnieję gorliwym deklamatozem przeciw ożenieniu, najpierwieję żonkosiem zostałem. W tym samym czasie kiedym ja dostał żony, Emilka dostała męża. Jest to syn jedynak, Potockiego podczaszego, bardzo poczciwego staruszka, który jest rodem z stron waszych. Chłopiec ten, mający dopiero lat 23, ma najlepsze serce, i zdaje się rzetelnie być przywiązany do siostry mojęj. Wiesz zapewne, że p. Jan Tarnowski żeni się z podkomorzanką Strojnowską, bogatą jedynaczką, która dobrą edukacyę jak najszczęśliwieję przyjęła. Małżeństwo to najwięcej przygotował Czacki. Pan Jan będzie mu winien całe swoje szczęście; ale tęż miło takiemu wujowi być obowiązany.

Z Horochów *) 1801 r., 13 Marca.

„Donoszę ci krótko, że Emilka przed trzema tygodniami powiła syna; moja żona, która mnie codzień szczęśliwszym czyni, spodziewa się także niebawnie zostać matką.

*) *Horochów*, mieszkanie hrabstwa Janów Tarnowskich na Wołyniu.

Przekonywam się coraz bardziej, że wśród osób nam miłych i zacisza domowego, można kosztować takiego szczęścia, do jakiego tylko wdychać teraz możemy. W położeniu mojem, wiész jakie powinny być moje zatrudnienia. Ogród i książki są moją rozrywką. Los, który nas rozpierzchnął, rozdzielił pomiędzy nas i pociechy, które mogą osłodzić naszą przykrość. Tobie się dostał Tymieniecki i Warszawa, ja mam w sąsiedztwie pana Jana, na którego szczęście patrzę z rozkoszą, i którego znajduję z tém samém zupełnie sercem dla mnie jak dawniej. Kiedy mogę poświęcić dni kilka moim rozkoszom, jadę do Horochowa, dowiaduję się o nowiny, czytam nowe książki, dzienniki, a nauczony i kontent wracam do domu.

9 Listopada 1801 r., z Horochowa.

.....Donoszę ci, że mam córkę zdrową, rzeźwą, tłąstą, której dałem imię *Helena*, ażebym ułatwił przysłemu jój amantowi znalezienia rymu do jój imienia, i nastreczył naturalne porównanie jój wdzięków z wdziękami Heleny greckiej. Moja Józia karmi ją sama, i jest równie dla niej najczulszą matką, jak dla mnie najlepszą żoną. Nie odwołując ja i teraz tego com mówił zawsze o niebezpieczeństwach stanu małżeńskiego, i tém więcęj cenię szczęśliwość mojego losu, który mi tylko samych słodyczy tego stanu kosztować pozwala. Przeczytaj tęż Dmochowskiemu moje dawne tłomaczenie pierwszej pieśni *l'Homme des Champs*, przyślijcie Polesiakowi swoje poprawki, a nadewszystko zdrową radę, czy warto, żebym to przekładał dalej?

9 Listopada 1804 r., z Osowy.

„Cieszę się żeś zdrów, spokojny i przywykł do gospodarstwa. Mnie ono z początku nawet się nie przykrzyło, a dzisiaj coraz przyjemniejszém się staje. Winienem to może szczęśliwym okolicznościom, i dobrój żonie. Już to pięć

lat jak mnie uszczęśliwia. Mam córkę i syna, Helenka już umie wiele bajek Krasickiego, a Tomek nie jest tak mądry, jak młody Homerek, bo też jeszcze i młodszy.

25 Maja 1805 r., w Osowie.

...Wiadomość o twojej słabości mię zmartwiła, ale pocieszam się, że za powrotem pięknej pory, musiałeś zupełnie odzyskać zdrowie. Na mój to smutek niestety! nie masz pocieszenia, sama przyjaźń dzielić go będzie, ale zmniejszyć nie zdoła! Tę siostrę, którąś ty znał, tak kochaną odemnie i tak godną kochania, pełną cnót, wdzięków, talentów, w samym kwiecie wieku, matkę trzyletniego synka, Emilkę kochaną straciłem *). Pamięć jej, może i tobie kilka łez wy-ciśnie. Ach! czemuż ich nie możesz pomieścić z mojami... Emilka... Emilka już nie żyje! Nie mam mocy przeciągać tego listu. Bądź zdrow...

14 Grudnia 1805 r., z Wołosowa.

„Spodziewam się, że po odbytych kąpielach jesteś zdrow zupełnie... czas uleczył twoje zdrowie, ale nie tak łatwo uleczy mój smutek. Widziałem niedawno syna Emilki, on odnowił i razem osłodził trochę moje żale, bo czyni nadzieję, że będzie godnym swojej matki. Winszuję ci, że mieszkasz niedaleko Tymienieckiego, ja myślę przynajmniej mieszkam z wami. Żona moja i dzieci są zdrowe, i zawsze przykładają się najwięcej do mojego szczęścia. Mieszkaliśmy przez ten rok tu, w Wołosowie, lecz ja większą część czasu przepędziłem na podróżach. Tęj jesieni skończyłem

*) Pozazdrościło nam Niebo tej uzdatnionej rodaczki, któraby zapewne była w rzędzie znakomitych poetów naszych stanęła. Próby jej pióra, jako to: tłómaczenie Kantaty *Cyrce* Russa i inne, umieszczane w Dziennikach i w dziełku pana Sowińskiego *O uczonych Polkach*, tę miłą nadzieję dawały.

dział z bracią, przez sąd polubowny. Wojutyn podzielony na dwie części, dostał się moim braciom, na mnie wypadła Osowa. Mamy tedy teraz dwa dziedzictwa o trzydzieści mil od siebie odległe: Osowę i część Wołosowa. Wypada więc jedno sprzedać, albo puścić dzierżawą. Tak wypadnie zapewne, że będziemy mieszkać w Osowie, gdzie już przywykłem i trochę udoskonaliłem, a potem, że lepsza wioska odrębna i spokojna, niż część we wsi z sąsiadami. Będę też tam miał fabryczkę balów i klepek, które teraz poplącają. Może kiedy dla ich przedania pojedę do Gdańska, i wstąpię do was.

15 Lipca 1808 r., w Osowie.

...Miałem być w Warszawie, nie minąć kamienicy pod Nr. 445, ale inaczej się stało. A coby to była za rozkosz? Wszak to od roku 1795 nie widzieliśmy się? Policz-no, wiele to lat? albo lepiej nie licz, boby się pokazało, żeśmy już nie młodzi. Ja niepokieszony po stracie Emilki i Wiszniowskiego *), prowadzę życie jednostajne, i z kądem inąd dosyć przyjemne, poświęcając mój czas familii, przyjacielom i zatrudnieniom domowym. Bawi u mnie najlepsza matka i siostra Tekla, która mi przypomina Emilkę. Gdybyś z bliska patrzył na nas, zachęciłbyś się pewnie do ożenienia.

15 Marca 1809 r., w Osowie.

....Przeszły tydzień bardzo mi przyjemnie upłynął. Przyjechali do mnie Antonowicz, Tarnowski, a kiedy mieli

*) Wiszniowski Franciszek, młodzieniec pełen cnót i talentów, przyjaciel Felińskiego. Kochał namiętnie siostrę jego Emilję, i nawzajem był kochany; szczupłość majątku przyczyną była, że mu odmówiono jęj ręki. Od jęj zamęjcia smutkowi oddany, gasł z wolna, a wkrótce po jęj śmierci żyć przestał. Przetłómaczył bardzo pięknie wiersz o człowieku Popa; byłby zapewne więcej pisał, gdyby nie zgon zbyt wczesny.

mnie opuszczać, przybył Kropiński *) na dni kilka. Przywiózł mi swoją Ludgardę, którą stara się zbliżyć coraz bardziej do tej doskonałości, do której Rasyn nas przyzwyczaił. Ja zaś już jestem przy końcu ostatniej pieśni Wiesniaka; a w drugiej jest więcej niż dwieście wierszy nowo przelanych. Takem się wzbił w pychę, że ledwie nie sędzę ją już godną być czytanaą tobie.

19 Marca 1811 r., w Osowie.

...Ja ciągle zdrow, i wscyscy moi zdrowi. Prowadzę życie zawsze jednostajne, lecz swobodne. Nie jestem zupełnie próżniakiem, ale nie jestem skory popisywać się z moimi ramotami... Czy była grana Ludgarda? jak przyjęta?... Jeśliś dobry, napisz mi długo o Barbarze Wężyka. Słyszałem, że i Osiński w tej materji pracuje; czy skończył? w czem się różni? **).

20 Sierpnia 1811 r., z Rafałówki.

„Kochany i dawny przyjacielu! Po trzech latach zaburzeń, cierpień i niebezpieczeństw, z jakąż radością odebrałem list od ciebie. Każdy wiersz jego był rozkoszą dla mnie. Ponieważ chwalisz Tymienieckiego, że wśród takich czasów i gospodarując najlepiej, skończył swego *Terencyusza*, i ja się chcę także przed tobą popisać, że nie jestem zupełnie próżniakiem. Posyłam ci ostatnią moją robotę, *Barbarę*. Mógł ją z większą ufnością komu powierzyć, jak dawnemu i najlepszemu przyjacielowi, który jedną z pierwszych prac młodości mojej świata pokazał. Przeczytaj ją

*) Ludwik Kropiński, znany autor *Ludgardy*, Emroda, Adolfa i Julii.

**) Widać, że już wtedy rodziła się w umyśle Felińskiego, myśl wystawienia obrazu dramatycznego, z owego wieku chwały Polski, myśl którą później tak pięknie wykonał, i wieczną chwałę sobie zabezpieczył.

sam najpierwój pocichu, i spal, jeśli osądzisz, że nic z niej dobrego zrobić nie można. Jeśli zaś poweźmiesz o niej jaką pochlebnią nadzieję, zrób mi nad nią swoje uwagi, i daj pod krytykę osobom, do których listy przyłączam, Tymienieckiemu, i innym. Przeszlij mi potem swoje i każdego z osobna uwagi, a ja zrobię wszystko, żebym wam dogodził *). *Ziemiainin* mój jest już od dwóch lat skończony, i ile mogłem poprawny.

Uczyniłeś mi najmiłszą nadzieję, że z kochanym Tymienieckim, mnie w domku moim odwiedzicie. Będziez to w istocie? będęz ja kiedy tak szczęśliwym? Wiedzcie przynajmniej tymczasem, żeśmy zdrowi, moja matka, siostra, żona, dwoje dzieci i ja. Córka ma już lat trzynaście, syn dwanaście. Córki ręką piąty akt Barbary przepisany, tobie posyłam. Oboje dzieci dotąd są dla nas rodziców pociechą; mają dobre serca i najlepsze skłonności. Córka ma dowcip, objęcie łatwe i prędkie, w moment się nauczy, lecz nie bardzo trwale; chłopiec jest powolniejszy w objęciu, ale gruntowniej, i na dłużej wszystkiego się uczy. Majątek nasz jest mierny, ucierpiał w ostatnich latach; lecz przecie stoi, i może się jeszcze pomnożyć! Na los nasz i powodzenie nie mamy co narzekać: *extremi priorum, extremis usque priores* **).

28 Grudnia 1814 r., w Osowie.

...,Interesa po śmierci stryja i brata mojej żony na mnie spadłe, przymuszają mnie opuścić na czas jakiś Osowę. Zadzierżawiłem ją na trzy lata, a sam z rodziną przenoszę się do drugiego małego dziedzictwa, o dwie mile od Żyto-

*) Przy takim dziele tyle skromności.—Co to za nauka!

***) *Pomiędzy cokolwiek posiadającemi, pośledni wyżsi nad tych, którzy nic nie mają.*

mierza, i od sądu głównego, gdzie się muszę na nieszczęście prawować o majątek dla moich dzieci *). Żegnając to lube miejsce, ten ogród, który sam zaszczyłem, ten dom który zbudowałem, i gdzie lat 18 przyjemnie spędziłem; żegnając moich poczciwych sąsiadów, żegnając i ciebie, od którego o mil trzydzieści się oddalam. Spodziewam się niedługo waszych krytyk na Barbarę. Znam ja sam jej wady, już po jej wam przesłaniu wiele poprawiłem. Prócz twoich (na których najwięcej polegamy), radbym jeszcze koniecznie mieć uwagi nad nią Tymienieckiego, którego światło, gust i szczerą przyjaźń, my sami podobno najlepiej możemy cenić. Jego skromność, samotność, może i lenistwo, nie wielu osobom da go poznać, i prawdę rzekłszy, nie wiele jest tego warty.

1 Marca 1815 r., z Wołosowa.

..., Kilka dni już temu, jak obadwa twoje listy razem odebrałem, ale nie mogłem się odważyć na nie odpisywać, póki nie przetrawił cokolwiek w sobie okropnej wiadomości, którą mi doniosły. Już go więc nie ma, nie ma naszego Tymienieckiego. Co za strata! ile słodkich i smutnych wspomnień! ile znikłych nadziei! Ach! czemuż z Warszawy nie pobiegłem do jego domu? jęszceby go był widział raz ostatni... jęszceby się były nasze dusze porozumiały. Nie, nie, on nie był stworzony na nasz wiek, wiek nieszczęść i odrętwienia; nadto był czuły, szlachetny i dumny. Jego pisma noszą na sobie tę cechę oryginalności, jak i jego dusza. Co za pisma! co za dusza! Niestety! żył i umarł nie

*) Jak przykro pomyśleć sobie, że pisarz, którego chwila każda własnością była publiczną, bo każda mogła nowy zaszczyt literaturze oczystej przynieść, na tak przykre zachody używać ich musiał; ale oraz jakże wzrasta szacunek dla człowieka, który własną przyjemność dobru dzieci poświęca.

dosyć znany, nie dosyć ceniony od nie wielu dobrych; umarł ofiarą prześladowania złych i przewrotnych. Tak być musiało! ich jest tak wielu, tak potężnych, tak zazdrosnych prawej zasługi i cnoty. Czegóż miał żyć? Zachowaj, zachowaj przynajmniej jego pamięć, imię i sławę, lepszym daj Boże wiekom.

Przedsięwzięcie wydania pism jego, jest godne jego, godne ciebie. Ale pomnij, że względem przyjaciela, którego dusza leniwa może kiedy szło o siebie, zawsze ognista była, kiedy szło o przyjaciół; najmniejsza oziębłość, opieśzałość byłaby zbrodnią... Jeśli chcesz, wydziel mi jaką część pracy, która ci się zda najnudniejszą, i przyslij, a obaczysz. Czemuż teraz nie jestem w Warszawie, czemuż nie jestem z tobą? Zasmuciłeś mnie wiadomością o twojem zdrowiu, jedź do wód, kuruj się, a nadewszystko mniej się gryź. Trudna to rada do wykonania, osobiwie teraz; wielka prawda. Ach! czyż i ja nie cierpię? czyż nie czuję? ale jest u mnie na to lekarstwo łatwe i skuteczne: ciągła praca. Przyjemniejsza może od twojej, bo z własnego wyboru; ale téż miasto dostarcza ci przyjemności i roztargnienia, których ja nie mam. Krzepmy się ile sił staję, aż może *grata superveniet, dum non sperabitur hora* *), albo śmierć **).

Nim doczekałem się waszych uwag nad *Barbarą*, skończyłem już drugą tragedya; ale wam ani powiem jaką, ani pokażę, póki nie odbiorę krytyk nad pierwszą. Że są długości w *Barbarze*, zgadzam się chętnie; czułem to i zostawiłem umyślnie dla was, żebyście kierowali mój wybór, co mam przekreślić? Co do drugiej krytyki, że w niej nie ma

*) Gdy najmniej spodziewana, szczęśliwa nadejdzie chwila.

***) Nie wiem czy może być co tkliwszego nad ten list... nad to wylanie się żalu nad stratą takiego przyjaciela... nad rozerwaniem tak ścisłego związku.

dosyć akcyi, ani sam się poczuwam, ani nikt mi tego jeszcze nie zarzucił; może się nie rozumiemy.... Czekam dowodów z rozbioru, i albo ulegnę, albo was inaczej przekonam...

15 Kwietnia 1815 r., z Wołosowa.

„Patrz, drogi przyjacielu, jak nasza korespondencya się ożywiła, i stała się śpieszną! a to wszystko dla tego, że się od ciebie oddalił *): nie masz tego złego, co by na dobre nie wyszło. Zgadzam się zupełnie z Osińskim, żeby po Tymienieckim drukować wszystko. Czuję niemniej jak on, że wszystko po nim jest drogie, że nawet umyślne zboczenia z toru bitego, téj myślącej głowy, mogą dać powód potomności do nowych szperań, nowych odkryć i nowych wydoskonaleń. Nie zadawaj sobie także pracy w gładzeniu w jego dziełach drobnych plamek, te obrazu *Rubensa* nie oszpeca. Pamiętasz w *Ossyanie*, wieleśmy wierszów popisali, które wszystkie zdawały się gładzsze niż jego, i on sam się na to zgadzał, a jednak zostawił swoje rymy, *zamknęła*, *zsyła*, i t. p. Na cóż mamy to robić po śmierci, czego on nie chciał przyjąć za życia? Ta jakaś oryginalność, te nawet, jeśli chcesz, jego dziwactwa, z których niegdyś śmieliśmy się mu w oczy, i on się śmiał z nami, stają się teraz dla nas szanowne, kiedy płaczemy jego straty. Spuszczam zresztą wszystko z ufnością na twój gust, rozsądek i serce. Co do nagrobku, tybyś go powinien napisać;—ale żebyś mnie nie oskarżał o lenistwo, masz go. Nim przeczytasz jednak, zgodźmy się na plan. Ja co zawsze przekładam prawdę nad dowcip, (a one są z sobą rzadko w zgodzie), tak w téj mierze myślę. Nagrobek dla Newtona, Franklina, Cezara, i t. p.,

*) Wołosów bliżej był stacyi pocztowej, niżli Osowa, przeto regularniej listy dochodziły.

najdoskonalszy jest zapewne, jeden wiersz, jeden wyskok geniuszu, jeden promień światła, który nagle stawi oczom obraz już dobrze znajomy światu; lecz pisząc nagrobek dla człowieka, który żył ukryty, którego nic prawie za życia nie było drukowaném, zdaje mi się, że przyjaciele, którzy go sami tylko dobrze znali, powinni zostawić dla potomności, i umieścić obok ukochanych popiołów, portret jego w ogólnych rysach, nie duży ale cały... Otóż mój.

„Konstanty Tymieniecki urodził się 22 Lutego 1767 r., umarł 17 Sierpnia 1814 r.; prawy Polak, zachwycający i nie-naśladowany poeta, w mniemaniach, w postępowaniu, w pismach, w swoich tłumaczeniach nawet, noszący cechę oryginalności. Kochany z zapałem od przyjaciół, i dla nich wylany, ukrywał się przed drugimi, mniej może przez skromność, jak przez szlachetną dumę, nie zdolny wejść w przy mierze z nieprawością, ani ciemnotą. Żył w wieku wielkich odmian, zaburzeń i nieszczęść, a mając zbyt dużą tkliwość, padł jój ofiarą. Od potomnych dopiero, będzie jak wart oceniony, a cześć dla pamięci jego, w Polakach rość będzie z ich oświeceniem, z ich cnotą i z ich sławą“ *).

Grozisz mi nie przysłaniem uwag nad *Barbarą*, jeśli ci nie doniosę com późnziej zrobił. Nie wierzę ja temu. Jednak wiedz, że zamiast jednój, mam już dwie tragedye, a te są *Wirginia* i *Radomist* i *Zenobia*. Prawda, że pierwsza jest *Alferego*, druga *Krebillona*, a zatém obie nie moje; ale ja też ci pisałem że *skończył* nie *zrobił*. Naśladowując je wierszem polskim, w niektórych miejscach, z odmianami, dodatkami, albo skróceniami, jakie osądził za konieczne *Kalsa-*

*) Ktoby chciał poznać bliżej Konstantyna Tymienieckiego, niech przeczyta tkliwą i wymowną o życiu jego i pismach wiadomość, ręką przyjaciela nakreśloną, którą na czele wydania prac jego literackich umieścił. To wydanie wyszło w Warszawie 1817 r. pod tytułem: *Pisma Konstantyaa Tymienieckiego*.

bidzy, Wolter, la Harpe i inni, a nade wszystko zdrowy rozsądek i dobry gust, usiłowałem jednak, jak najwierniej i co dosłownie prawie, oddać uznane piękności oryginałów. Osądzicie kiedyś, czym naprawił, czym zepsuł?... Co? ty mi piszesz, że uwag nad dykcją *Barbary* nie przyślesz mi żadnych. Strzeż cię Boże! łaskawe pochwały, a jeszcze od ciebie, który sam tak piszesz pochlebiają mi bardzo, ale mnie nie omamia, ani ciebie nie uwolnią od wytknięcia mi każdego wiersza, każdego wyrazu, który ci się nie podoba; od oznaczenia mi wszystkich tych rad, które trzeba wyrzucić. Nie zawódź mojej nadziei.

24 Sierpnia 1816 r., z Warszawy *).

„Opuszczając Warszawę, zostawiam u naszego poczciwego Kopczyńskiego **) list ten do ciebie i pierwszy tom moich ramot ***). Nasz staruszek długo był słaby na nogi, dowiesz się od niego, czym go nie dość często odwiedzał. Medal już się robi. Poczciwy Kopczyński będzie miał pociechę go oglądać, a ty patrzeć na jego radość. Obyśmy jeszcze mogli długo się nim cieszyć. Ja zagrzebię się na wsi, gdzie radbym dowiadywać się czasem, co się na świe-

*) Na usilne przyjaciół próśby, Feliński w końcu r. 1815 zjechał do Warszawy. Umiała cenić stolica tak znakomitego gościa. Wyrwali go sobie uczeni i pierwsze towarzystwa; należał do grona *Yxów*, którzy przez czas jakiś tak rozsądnie i trafnie berło krytyki piastowali; a nawet między damami dobrego tonu, weszło w modę brać od niego lekcye literatury ojczyściej. Kommissya Wyznań i Oświecenia publicznego, wzywała go na dziekana nauk narodowych do wznoszącego się Uniwersytetu Warszawskiego, i ofiarowała mu katedrę literatury ojczyściej.

**) Onufry Kopczyński prawodawca języka polskiego.

***) Ten pierwszy tom zawiera w sobie tłumaczenie *Ziemanina*, i rozprawę o *Pisowni Polskiej*, w której Feliński mimo swego dla Kopczyńskiego uwielbienia, zaleca używanie samogloski j. Zdaje się iż sam dopiero w tych czasach jęj potrzebą się przejął, bo odtąd dopiero stale w listach poufanych używać jęj zaczął.

cie dzieje, przynajmniej w rzeczypospolitej literackiej, i na posiedzeniach *Yxów*; muszę ci wyznać, że teraz dopiero posiadziawszy czas jakiś w Warszawie, umiem cenić twoją dobroć w pisywaniu do mnie tak często. Chociaż nie siedziałem po kilka godzin co dzień w biurze, czułem tu jednak zawsze, że mi brakuje czasu, albo raczej swobodnej chwili i spokojnej głowy. Trzeba pisać na wsi, a poprawić w Warszawie, bo na krytykach tu nie zbywa.

21 Marca 1817 r., w Wołosowie.

„Nie taję się przed tobą, że tak łaskawe przyjęcie Barbary *) jest mi przyjemne. Co do twoich uwag, zdają mi się trafne, może dla tego że pochlebne...

11 Sierpnia 1817 r., w Wołosowie.

„Jeszcze w Kwietniu wyjechawszy z domu, włączyłem się więcej niż przez trzy miesiące po Wołyniu, i nawet po brzegach Litwy, za interesami prawnymi familijnymi. Przedałem Osowę dla spłacenia posagów siostrom, i dla uniknięcia szkód nieuchronnych, jakich przez zadzierżawienie, albo przez odległe gospodarstwo ciągle doznawałem. Ja nie odmówiłem jeszcze wyraźnie katedry literatury w waszym Uniwersytecie, ale więcej jednak jest podobieństwa, że się nie podejmę. Odczytałem po kilka razy, co mi piszesz o ostatnich chwilach Kopczyńskiego. Nie dziwi mnie jego śmierć tak spokojna, bom był świadkiem jego starości, w której zatrzymał wszystkie władze umysłowe, i nawet wesołość. Jeśli pisma jego przed zgonem są słabsze, pochodzi to zdaje mi

*) Barbara wystawioną była na Teatrze Narodowym 1848 r.; długo nie była drukowaną, ale taki był do niej zapal, iż wrywano sobie jej rękopism do przepisywania. Pamiętam, że wraz z siostrą we dwóch dniach ją przepisałam.

się ztąd tylko, że pisanie wymaga ciągłego natężenia i wytrwałości, do których ten wiek przestaje być zdolnym; lecz w jego rozmowach potocznych widać było jeszcze iskry tego geniuszu i trafnego rozsądku, jaki ciągle się wydaje w jego pierwszej gramatyce. Ufam twojej gorliwości, że uprosisz kamień z napisem dla prawodawcy języka, któryby w Anglii obok królów był pochowany...

24 Października 1817 r., w Wołosowie.

...Muszę ci coś donieść o sobie. Jestem ciągle zdrow, wesół, a nadewszystko spokojny. Mając dobrą żonę, dobre dzieci, kawał dobrego gruntu, kapitałik, nikomu nie nie wienien, używam w całym znaczeniu swobody wiejskiej. Jeśli nie ma przyjemności stolicy, nie znam także jej niesmaków. W chwilach wolnych poprawiam *Radamista*, *Wirginię*, przez tę zinę spodziewam się wygotować cały manuskrypt na mój tomik drugi.

15 Lipca 1818 r., w Wołosowie.

...Czynności wszystkie waszego sejmu *), bardzo mnie obchodziły: ciągle czytałem i odczytywałem ten artykuł *Gazety Warszawskiej*. Jesteś na pięknej drodze, możecie pracować skutecznie dla dobra narodu. Ja nie wiele mam czasu do poświęcania polityce lub literaturze. Przez kilkanaście tygodni zajmowały mnie starania około słabiej córki mojej. Chociaż sam nie jesteś ojcem, czujesz zapewne, że nie masz nic boleśniejszego, jak drżeć o życie dorosłego i ukochanego dziecka. Teraz, kiedy Bogu dzięki, oglądam ją zdrową, przyjemniejsze starania mnie zajmują; myślę o wydaniu jej wkrótce za męża. Spodziewam się, że ten, którego sobie wybrała, który dał wiele dowodów swego do niej przywiązania i stałości, i którego sambyś szacował, gdybyś poznał, uczyni ją szczęśliwą....

*) Pierwszy sejm Królestwa Polskiego rozpoczęty w ostatnich dniach Marca 1818 r. zakończył się 27 Kwietnia.

3 Grudnia 1818 r., w Wołosowie.

...My teraz wszyscy zdrowi jesteśmy, ale jak wiesz, od wiosny kilko-miesięczna choroba córki mojej dała mi uczuć gatunek zmartwienia, którego jeszcze nie znałem. Nakoniec Bóg nas pocieszył, pozwolił nam pobłogosławić związkom naszej Heleny z Edmundem Michałowskim, który pozyskał jej serce i nasz szacunek. Słyszałeś już może, że książę Czartoryski *) wzywał mnie kilkakrotnie i przez listy i ustnie na dyrektora przyszłego Liceum w Krzemieńcu i nauczyciela literatury polskiej **). Oba te miejsca ciągną za sobą wiele zatrudnień i kłopotów, lecz mają i ten powab, że stosownie do moich skłonności i usposobienia, mógłbym stać się użytecznym, nie oddalając się od rodziny. Zdecydowałem się więc przyjąć. Książę porobił już poprzednie kroki, i oddał mi dyploma na członka honorowego Uniwersytetu Wileńskiego, oświadczając, że będzie się starał o najprędszy skutek jego, (jak mówi uprzejmie) najgorętszych życzeń....

29 Września 1819 r.

...Piszę więc już do ciebie z Krzemieńca, gdzie już od dwóch miesięcy bakałarzuje. Jestem zdrow i wesół, i dotąd mi rzeczy pomyślnie idą; nie wiem jak będzie dalej. Dając teraz lekcye literatury polskiej, potrzebuję najwięcej pięknych kawałków; przyslij mi więc swoje rękopisma, i innych pisarzy, których wiesz, że szacuję. Nie uwierzysz jakich mam tu chłopców, jak wszystko pięknie umieją czuć i ja k niektórym przagną sami dobrze pisać....

*) Adam książę Czartoryski, wojewoda, naówczas kurator Akademii i szkół wydziału Wileńskiego.

***) Gimnazjum Krzemienieckie staraniem Czackiego utworzone w r. 1803, do stopnia *Liceum Wołyńskiego* później podniesione zostało.

31 Grudnia v. s. 1819 r., z Krzemieńca.

...Przez wyjeżdżającego nagle Felicjana Drzewieckiego ledwie mam czas przesłać ci moje uściskania i powinszować Nowego Roku. Ja, jak wiesz, ze wszystkiego kontent jestem, a tém bardziej z Krzemieńca. Kocham piękną, szlachetną i wesołą młodzież, która mnie otacza, i żyję z dawnymi przyjaciółmi. Przypomnij mnie naszym dawnym łaskawym w Warszawie i napisz czasem do mnie....

Zawsze twój z całego serca,

Al. Feliński.

Któż mógł zgadnąć i przewidzieć, że ten liścik będzie ostatnią do lubego przyjaciela odezwą, że właśnie wtedy kiedy stanął na czele Liceum Wołyńskiego, kiedy go powszechna ufność, szacunek otoczyły; kiedy coraz liczniejsi uczniowie ojca w nim widzieli; kiedy wszystko się zdawało jakby duchem Czackiego ożywione; kiedy w kursie literatury powszechnej, nowoczesnej i narodowej, gotował szacowne dla nauk ojczystych dzieło *); kiedy nareszcie sam szczęśliwy z posady swojej, z otaczającej go, pełnej nadziei młodzieży, wśród ukochanej rodziny, w okolicy gdzie życie odebrał i spędził, czując się tyle cenionym i tak użytecznym, najwięcej smakował w pobycie swoim na tej ziemi: któż mówię, mógł zgadnąć i przewidzieć, że śmierć nieubłagana, przerwie ten świetny i przyjemny zawód? Tak się jednak stało. Właśnie w wstępną środę ^{11/23} Lutego 1820 r. Feliński w przyjacielskim domu wesoło i mile wieczór był strawił.

*) Artykuł o *Listach* z takim upodobaniem w *Rozmaitościach Warszawskich* czytany, był jednym z prelekcyi tego szacownego kursu, który Feliński zaczął od literatury ojczystej, podzielił go na trzy oddziały: 1. *Gramatyka Polska wyższa*, czyli jak ją nazwał *Sztuka pisania*. 2. *Proza*, w nim rozmowy, dialogi, listy, rozprawy, mowy i t. p. 3. *Poezya*.

Wróciwszy do siebie o jedynastej godzinie, nie omieszkał jednak dopełnić obowiązku, którego mimo prac i rozrywek nigdy nie zaniedbywał, obowiązku przygotowania syna jednaka, pod jego okiem w szkołach Krzemienieckich ćwiczącego się, do nauk jutrzejszych. Po tej odbytej *korrepetycji* uściskał syna, a odebrawszy od niego dobrej nocy życzenie, poszedł do swego pokoju. Nazajutrz syn wstaje dobrze przed świtem, i wnet wraz z domowemi dziwić się zaczyna, że ojciec ani dzwoni, ani pokazuje się jak zwykle; godzinę czekają, ale nareszcie niespokojnością zdjęci, otwierają z wolna drzwi do jego pokoju.

O! któż wypowie ich przestrach i rozpacz! leżał Feliński nie zwyczajnym, ale śmierci snem uspiiony; leżał na lewy bok, obrócony ku ścianie, rękę miał pod głową, ale już pięknej duszy w tém znikomém ciełe nie było, i ani krzyki boleści, ani starania sztuki, nic jój przywrócić nie mogło. Tknięty apopleksyą skonał był w nocy bez ratunku. Jeden z służących przyznał się później że słyszał dzwonicie, lecz spuścił się na wstanie innego. Lekarze przy otwarciu ciała znaleźli mózg zalany w tylniej części głowy. Syn pomieszania zmysłów dostał, a odgłos tej straszliwej i tak niespodzianej wieści, z ust do ust przechodząc, w chwili jednej, żalem głębokim cały Krzemieniec napełnił. Żal ten przypomniął zgon Czackiego, bo też niemal równą poniósł w nim Wołyń stratę. Przejęci żalem uczniowie, rozdzielili z zapałem między siebie włosy tak prędko wydartego, a już tak kochanego mistrza, rozchwyтали pióra i inne zabytki. Obchód pogrzebu odbył się z jak największą okazałością. W sam dzień oddali cześć pięknej Felińskiego pamięci, ksiądz kustosz Sobkiewicz, Hr. Stanisław Worcell, pp. Sowiński, i Herczakiewicz; nazajutrz ksiądz Osiński, p. Sierociński, i wdzięczny uczeń zmarłego, Jan hrabia Tarnowski. Mistrz zaś zanny i tkliwy ksiądz Antonowicz, przewodniczył ciału do grobu kościelnego, gdzie złożonym został, za wyraźnym po-

zwoleniem pełnego świątobliwości i cnoty, biskupa łuckiego, Cieciszowskiego, który pochwalając z rozczuleniem zapał i żal młodzi, dał je jak najchętniej. Obiły się wkrótce po całym kraju smutne narzekania i szczerze pochwały.

Feliński nie miał jeszcze lat pięciudziesiąt, w samą był dobie wytrawionego wieku; tyle jeszcze chluby naukom, tyle pożytku ojczyźnie, tyle cnot ludzkości, tyle szczęścia rodzinie i przyjaciółom rokował.. a zgasł tak prędko i tak niespodzianie. Na posiedzeniu publiczném Towarzystwa Przyjaciół Nauk, którego Feliński był członkiem, w dniu 3 Maja 1820 roku przemówił o nim głosem żalu przytłumionym, z trzech *Przyjaciół braci*, jeden pozostały, i rozrzewnił przytomnych *). Uczniowie Uniwersytetu Warszawskiego, złożwszy się dobrowolnie, sprawili autorowi Barbary piękny obchód pogrzebowy; bliżsi zaś wielbiciele jego, wiążąc się w jedno ciało, umyślili niejako wynagrodzić śmierć tak wczesną, pilnóm zebraniem i wydaniem wszystkich pism jego. Podobna praca wymaga wiele czasu i zachodu, jeszcze téż oczekiwała publiczność tego drogiego upominku. Obywatele zaś Wołyńscy, chcąc imię Felińskiego jakim trwałym uczcić pomnikiem, uznali, że takiego człowieka pamięć, lepiej uwieczni czyn ludzkości, niżli najpiękniejszy posąg kamienny; uchwalili więc, ażeby w Liceum Krzemienieckim, na dwóch ubogich uczniów wieczny fundusz pod jego imieniem zapewnić.

Feliński miernego był wzrostu i szczupły; oczy niebieskie, za młodu włos jasny, i gięty w pierścienie, czerstwy rumieniec, przyjemny uśmiech, twarz jego lubo nie piękną, wcale miłą czyniły. Do ostatniego dnia życia wszystkie jego poruszenia były niezmiernie żywe. Skakał z ra-

*) Obacz tom XIV Roczników Towarz. Król. Warszawskiego Przyjaciół Nauk str. 124.

dości, zacierał ręce, gdy słowo dowcipne, zręczną odpowiedź usłyszał; gdy co pięknego opowiadano, czytano wiersz dobry: lecz łza czułości skrapiała jego lice, gdy przedmiot powieści był tkliwy i rozrzewniający. Pełen dowcipu, ożywiać go w innych umiał, a wielbiciel tego rzadkiego daru, tój iskry rozumu, cieszył się nim widocznie, czyli się jemu samemu, czy komu z obcych co trafnego wymówić zdarzyło: tak w dobrze usposobioném narzędziu muzyczném, lada trącenie dźwięk miły wydobywa i udziela.

Nie pogardzał jednak Feliński i zimniejszym rozsądkiem, i poważniejszém obcowaniem, ale wrodzoną mu było rzeczą, dodać i wtenczas nowością lub szczególnością spostrzeżeń, wysokiem dowcipu, zimnój powadze powab niezrównany; ztąd też rozmowa jego zachwycającą stawała się dla wszystkich, i sędziwych, i równego z nim wieku osób; dzieci bawiła, które na niego z radością, i z pewnóm podziwieniem patrzyły. Wszelką piękność czuł z uniesieniem; podobala mu się żywiej jak innym, wdzięczna postawa, przystojna i dobrze ułożona osoba, muzyka dokładnie wykonana, śpiew miły, taniec ochoczy, obraz trafny, gładki rysunek, budowa kształtna, nadewszystko, jeśli to było na własnej ziemi, rodaków chwała i ozdoba. Gry nie lubił, za stracone poczytywał te chwile; ani społeczeństw zbyt wielkich, w których więcej przymusu i okazałości, a mniej serce wylewać się może; dla tego nieliczne poufałych zebranie nad wszystko przerosił, w niém i w domowém pożyciu zawsze wesół, niewyczerpany, zawsze rozmaity, chociaż jednostajny zawsze. Z poetów naszych największe miał upodobanie w Karpińskim.

Pisma jego dotąd drukowane są: Przekład Ziemianina, uwagi o pisowni Polskiej, Barbara, Wirginia, Radomist i Zenobia, śpiewy w czasie Mszy, Pieśń za króla, Listy wierszem do Czackiego, do Wiszniewskiego, naśladowanie drugiej satyry Boala, wiersz do Kościuszki, przekład przemowy matki

Grachów, wyjątki z tragedyi Woltera Tryumwirat, i artykuł o listach. Sąd tych pism w ustach jest prawdziwych znawców, brzmieć będzie dopóki ich stanie.

DO AUTORKI ROZRYWEK DLA DZIECI *).

Pomiędzy temi wspomnieniami, które są w Rozrywkach, gładkiem piórem sławie znakomitych Polaków poświęcone, nie spotykam dotąd imienia Ignacego Tańskiego, równie w obywatelskim, jak w naukowym zawodzie zaszczytnie znanego. Pewnie skromna córka, nie śmie żadnej o zacnym swym ojcu uczynić wzmianki; lecz chwalebna ta skromność pozbawia czytelników Rozrywek wiadomości o świątym i cnotliwym Polaku. Jako więc dawny przyjaciel, tego wczesnie dla ojczyzny i nauk utraconego ziomka, umyśliłem zastąpić nieśmiałość szanownej autorki, i skreślić krótki, lecz prawdziwy obraz życia i pism Ignacego Tańskiego, który składając w jej ręce, upraszam aby był w następnym numerze Rozrywek umieszczony, tém bardziej, że numer ten ma być przed zupełnem ich zamknięciem ostatni. Czułe matki, i cała smakująca w tém narodowém piśmie publiczność żałować tego nie przestanie...

Pisano w Warszawie dnia 14 Listopada 1828 roku.

Michał Wyszkowski.

*) Nie mogąc się oprzeć żądaniu szanownego przyjaciela, pochlebny list jego i miłszy jeszcze dla mnie obraz umieszczam. Gdyby kto z czytelników zbyteczną tę powolność nazwał, odwołam się do wszystkich córek; staną zapewne w mojej obronie.

OBRAZ ŻYCIA I PISM

IGNACEGO TAŃSKIEGO.

(ur. 1761, um. 1805).

Ignacy Tański urodził się roku 1761 w Wyszogrodzie. Ojciec jego Tomasz Tański, człowiek poczciwy, rozsądny i pracowity, zarządzał przez lat kilkanaście majątkiem Michała Szymanowskiego kasztelana sochaczewskiego. Staraniem i przychylnością, tyle sobie u niego wyjednał szacunku, iż mu dał chętnie za małżonkę krewną i wychowanicę swoją, osieroconą córkę Kurowskiego, miecznika czerskiego, Konstancję *). W lat kilka Tańscy wzięwszy w dzierżawę, od syna Szymanowskich, starosty wyszogrodzkiego dobra Orszymów i Rębów, w nich osiedli i mieszkali lat kilkadziesiąt. Tam z dwunastu dzieciak wychował im się tylko syn Ignacy i córka Józefa **), a Tańska widząc w pozostałym jedynaku, umysłu i serca najpiękniejsze skłonności, pokochała go z tym większym zapalem, iż w nim wszystkie nadzieje życia swego złożyła. Dosyć starannie jak naówczas wychowana, pełna szlachetnej ambicyi, jedyném jój stało się życzeniem, aby syn jój ukochany, kiedy niepodobna było majątkiem, stanął w równi z pierwszą młodzieżą w kraju wychowaniem; a okiem prawdy rzeczy widząca, wiedziała że w jego odcieniach spoczywa istotna między ludźmi różnica.

*) Wdowa po Kurowskim weszła w powtórne śluby z Wąsowiczem, ztąd poszło, że w krótkiej wiadomości o życiu i pracach Tańskich, na czele pism jego umieszczonój, matka jego nazwana jest Konstancją z Wąsowiczów.

***) Ta w roku 1781 wydaną została za Macieja Tarczewskiego.

Ku osiągnięciu tego celu nie zaniedbaném nie było; on stał się przedmiotem wszystkich zabiegów ojca, całej troskliwości matki. Ledwie młody Ignacy doszedł lat dziesięciu, już rodzice z własnej przyjemności dla dobra jego czyniąc ofiarę, oddali go do Płocka, do konwiktu XX. Jezuitów; ztamtąd przenieśli go wkrótce do Warszawy i tam utrzymywany ze znacznym kosztem, pod okiem Naruszewicza, Wyrwicza i innych, ćwiczył się w naukach z pierwszą młodzieżą krajową; nie jednego z nich prześcignął, wszystkich szacunek pozyskał, nauczycieli zjednał pochwały. Będąc w tej szkole *młodzi szlacheckiej* aż do ukończenia nauk, od wszystkich towarzyszków lubiony, z dwoma wszedł Tański w związki najtkliwszej przyjaźni, prawdziwie szczęśliwy czyniąc wybór. Jednym był Stanisław Mokronowski, zaszczytniej pamięci dowódzca Warszawy, przed kilkadziesiąt laty z powszechnym żalem zgasły generał; drugim Jan Łuszczewski, sekretarz i poseł w czasie wielkiego sejmku, później minister spraw wewnętrznych księstwa Warszawskiego. Z tym przyjaźń jego jeszcze dawniejszych lat sięgała; Łuszczewski był rodzonym wnukiem kasztelana Szymanowskiego; w domu więc tego zacnego pana i czcigodnej jego małżonki, widywali się od dzieciństwa dwaj młodzieńcy; koleżeństwo szkolne wzmocniło tylko dawne uczucie, i tak ścisłym spoiło ich węzłem, że śmierć jedna przerwać go zdołała: obfite listów zbiory od r. 1783 do 1805, w których wzajemnie skrytości serc swoich na papier wylewali, dla bliższych im osób, będą na zawsze tej przyjaźni dowodem.

Gdy Tański, z chlubą i zupełną rodziców pociechą, ukończył nauki, Ogiński kasztelan trocki, chciał mu los w domu swoim zapewnić; lecz w chwili kiedy ojczyzna do odrodzenia się dążyła, Tański kochający kraj swój z uniesieniem, wolał poświęcić życie usłudze publicznej, i zaczął pracować w departamencie policyi, pod laską księcia Lubomirskiego marszałka. Związkami szkolnemi, starowném wy-

chowaniem, rzadką w obcowaniu przyjemnością, talentem do lekkiej poezyi, z łatwością tego doszedł, iż po najpierwszych towarzystwach mile był przyjmowany. Pierwsze w owym czasie domy Warszawy, hetmanowej Ogińskięj, księżnej Sanguszkowej, codziennym gościem z radością go widziały; Tański dzieląc chwile swoje między pracą publiczną i zabawą towarzyską, słodkie dni przepędzał; lecz przyszedł czas w którym praca więcej godzin zabierała: zaczął się sejm konstytucyjny 1788 r. Znał Tański tę ważną chwilę, wiedział, że na każdym stopniu można być krajowi użytecznym; usunięty na czas niejaki od usługi publicznej przez uchylene magistratury w której pracował, uzyskał posadę mało wydatną, wiele pracowitą, i którą przyjął z radością; mianowany został sekretarzem deputacyi indygalcyjnej w sprawie Disunitów. Włożonego na siebie obowiązek dopełnił dokładnie, okazał w nich gorliwość w pracy, które duch jego obywatelski był upragniony; a za wyraźnym stanów sejmujących poleceniem, relacyę o czynnościach deputacyi podał do druku.

Gorliwość Tańskiego nie uszła oka sejmujących Stanów, wystawił ją Butrynowicz, poseł piński, na obradach publicznych; a to głośne talentów jego i pilności ocenienie, rokowało mu, iż w krótkim czasie do wyższych dojdzie stopni. Cieszył się tą nadzieją tém mocniej, że ona zacnych radowała rodziców, że mu dostarczyć mogła sposobów do pełnienia własnego i pożądanego szczęścia. Zajęło jego serce, enotliwego domu nadobne dziecię, Marya, córka Jana Baptysty Czempińskiego, sławnego lekarza, i Prowidencyi z Fontanów; dwunasty rok dopiero zaczęła, kiedy Tański widząc ją w gronie licznego rodzeństwa, powiedział w sobie: „Albo ta, albo żadna!“ kiedy tak o nięj do żeniącego się przyjaciela pisał:

Ale największą sercu ulgę czyni
Rosnąca z wiekiem piękność męj Maryni;

Już ją szacować młode każą wdzięki,
 I za szczęśliwość pożądać jéj ręki;
 Obym wzajemne zyskał przywiązanie:
 Nic mi do szczęścia życzyć nie zostanie!

Spełniły się jego życzenia: piękna Marya Czempińska, lubo lat kilkanaście od niego młodsza, nie mogła się oprzeć stałemu i mocnemu przywiązaniu, tyłu serca i rozumu przymiotom; za ledwie z dzieciństwa wyszedłszy, pochlebnego doznawała uczucia, widząc że jest przedmiotem miłości człowieka tak powszechnie szacowanego: wabiły ją także gładkie wierszyki, któremi swą miłość opiewał i w roku 1791 oddała mu żadaną od wielu rękę. Był już wtedy Tański sekretarzem w departamencie interesów zagranicznych; za mądrą w sprawie Disunitów pracę uzyskał był słuszne od stanów sejmujących wynagrodzenie; rodzice, szczęśliwi z zawartego związku, udzielili mu co tylko mogli z pracą zebranego majątku; potrafił więc przyjąć ukochaną małżonkę w domku swoim, nie tak może jakby był pragnął, ale tak jak uczciwój mierności przystało. Do słodczy jakich używał w domu, do pomyślności jaką krajowe rokowały okoliczności, niedostawało mu jedynie sąsiedztwa rodziców; im był szczęśliwszy, tém pragnął mocniej, aby oni na szczęście jego patrzeć mogli, bo wiedział, że ten widok wszystkich ich ofiar będzie nagrodą.

Matka wielką miała ochotę osiąść zupełnie w Warszawie, ale ojciec nawykły do wiejskiej swobody i pracy, sprzeciwiał się temu, a chciał jednak blisko być syna. Zły wróg podsunął Pragę; to przedmieście Warszawy obraném zostało na miejsce ich mieszkania: tam spieniężywszy co mieli dobytku, kupili dom porządny z ogrodem, i w nim osiedli. Już wtedy zdało się Tańskiemu, że wszystkie przyjemności życia około siebie zgromadził. Blisko we dwa lata od pobrania się, powiła mu ukochana żona córkę pierwszą; był więc mężem, ojcem i synem szczęśliwym; przyjaciel jego Łu-

szczewski także ożeniony mieszkał w Warszawie; urząd piękny, uczciwe i stałe dochody przynosił; zapracowany średni kapitał oddany bankierom warszawskim, na dalsze lata niejaka wróżył pewność. Lecz któż losowi zaufać może? im więcej pomyślny, tém zmienniejszy. Nadszedł pamiętny sławą i klęskami rok 1794; Tański i w téj ważnej epoce pełnił gorliwie usługi publiczne przy wydziale bezpieczeństwa w radzie najwyższej, a szczególnie w deputacyi indygacyjnej i pocztowej. Miałem zaszczyt być wtedy jego kolegą, i nauczyłem się zbliska cenić jego obywatelskie cnoty i otwarty sposób myślenia, który tém ściślejszą między nami i drogą mi dotąd samém wspomnieniem przyjaźń zawiązał. Chwila wysilenia i rozpaczey narodowej skończyła się dla Tańskiego okropniej niż dla wielu innych. Ukochani rodzice w jednym dniu straszną śmierć znaleźli, urząd został mu odjęty, sumy u bankierów przepadły i on ujrzał się w krótkim czasie pozbawiony ojca, matki, sposobu do życia, z żoną w dostatkach wychowaną, z dwiema córeczkami, gdyż druga przyszła na świat w najsroźszych rewolucyi czasach.

Te okropne ciosy odjęły Tańskiemu naturalną wesołość, która tak w nim była ujmującą, lecz nie zdołały zachwiać mężstwa; cierpiał wiele, bo czuł żywo, a tak srodze dotkniętym został; w przeciągu dni kilku włos jego zbiała zupełnie, zdrowie znacznie nadwęgęzało; ale nie tracąc nadziei, na własne rachując siły, ręk nie opuszczał i znękanėj żonie serca dodawał. W tym smutnym razie udzieliła mu także przyjaźń dzielnej pomocy, Łuszczewski, dziedzic kilku w powiecie Sochaczewskim włości, ofiarował mu w jednej dzierżawę, żadnej na pierwszy rok nie żądając zapłaty. Przyjęli Tańscy chętnie tę ofiarę, lubo oboje do życia miejskiego przywiązani i nawykli byli; bo do czegoż nie przymusi potrzeba? jakiegoż poświęcenia wzajemna nie osłodzi miłość? za jakież wreszcie przyjemności nie stanie przyjaźń i życzliwość powszechna? W krótkim téż czasie, Tański w skro-

mnych Wyczułkach, gdzie domek jego mało co się różnił od lepianek wiejskich, odzyskał choć w części dawną swobodę; a ile tylko mógł wtedy, o tyle szczęścia kosztować zaczął. Dostarczyły go obficie jemu i żonie nietylko miłe domowe pożywienie, ale i pełne uprzejmości sąsiedzkie i pokrewne domy Strug, Guzowa, Izdebną, Rokotowa, Grondów, Zaborowa, Kozłowa. Na łonie życzliwych przyjaciół i krewnych zapominał o dawnym losie, a tak się widząc cenionym, nie pamiętał że był tylko ubogim dzierżawcą.

Tak spędził lat kilka najprzyjemniej, chcąc zaś wznieść we własnych oczach ziemiańskie zatrudnienia, którym się więcej z potrzeby niżli ze skłonności poświęcał, zaczął tłómaczyć *Georgiki* Wirgilego. Chęć ożywienia miłą zabawą przyjacielskich domów do których uczęszczał, kierowała także nieraz piórem jego; tłómaczył i tworzył komedye, sam w nich główne odgrywając role; pisał drobne okolicznościowe wiersze; a jeśli te urywkowe prace były mu przeszkodą do zajęcia się jakim dziełem ciągłym i ważnym, jeśli przez to ujęły imieniowi jego literackiej sławy, zyskiwały mu większą jeszcze u sąsiadów wziętość i umilały codziennie życie. Ale nie każdemu dane w ciągłej jednostajności dni przepędzać; często kiedy najmniej spodziewamy się zmiany, ona jest bardzo bliską. Tak się stało i z Tańskim; pomimo słodczy domowego i towarzyskiego życia, nie mógł jednak zapominać o przyszłości, zwłaszcza będąc ojcem, już wtedy trzech córek; los ich coraz mocniej niespokojnością nabawiać go zaczął. Majątek po rodzicach zginął był zupełnie; z summ u bankierów złożonych, dziesiąta część tylko się wróciła; nie było więc żadnego dla nich widoku. Wtém otworzył on się niespodzianie. Właśnie od lat kilku, pełna zawsze dobroczynnych pomysłów, księżna generałowa Czartoryska, powzięła była zamiar utworzenia pod okiem swoim jakoby pensyi, dla córek rodziców, którzy przez zmiany krajowe pozbawieni sposobu utrzymania zostali. Już kilka takowych pa-

nierek odbierało starowną edukacją w pięknych Puławach. Za namową i wstawieniem się Józefa Szymanowskiego, dostała się w ich grono najstarsza Tańskiego córka; sam ją odwiózł i tak pochlebne zyskał obojga księstwa przyjęcie, tyle im się podobał, że zapragnęli koniecznie mieć go w domu swoim, korzystnie ofiarując mu widoki. Nie mógł się oprzeć Tański ich łaskawym naleganiom, wabił go też nie mało ten cnót i ludzkości przybytek, ten nieszczęścia i talentów przytułek; jednak nie bez wahania się i przykrości, porzucił swobodą i przyjaźnią drogie sercu Wyczulki i ich okolicę, i osiadł w Puławach z żoną i z dwiema starszemi córkami.

To miejsce świetnością swoją przypominało wówczas dworu Ludwika XIV dobór i zabawy, do tych niemało się przyczynił Tański; zastąpił on zupełnie w tej mierze, już wtedy słabego Książnina. Sielanka jego grana była kilkanaście razy w Puławskim teatrze, podobnego losu doznały dwie komedye i liczne tak zwane *Fety*, do których twórcza wyobraźnia właścicielki zawsze dodawała pomysłów, ale które on po części układał i piosnkami zdobił. Pobyt w Puławach, który więcej od świetnych zabaw słodziły Tańskiemu zaszczytne względy i że tak powiem przyjaźń obojga księstwa, ledwie wkrótce przerwany odmianą nie został. Dla młodego kilkadziesiąt milionów dziedzica, szukano skarbu droższego nad bogactwa, człowieka, któryby go nauczył jak ich użyć należy. Książę generał Czartoryski, opiekun jego, na Tańskiego oczy obrócił. Dwa tysiące dukatów rocznej pensyi, dwadzieścia tysięcy dukatów nagrody, po sześciu leciech poświęcenia się były mu ofiarowane; lecz Tański przypatrzwszy się przez czas niejaki młodzieńcowi, ujrzał w nim obok pięknych serca przymiotów, bardzo spóźnioną i źle prowadzoną edukacją, osądził, że już nie można szkody uczynioną naprawić; nie przyjął więc ofiary, mówiąc: „Jeden czyn naganny wychowańca mego, o śmierćby mnie przyprawił,

a wiem, że droższém jest życie moje od majątku, dla żony i czterech córek.“ Lecz to życie, które tak słusznie drogiém być mienił, nie długo ulecieć miało. Przejeżdżając się co rok do zawsze najmilszych sobie Wyczulek i ich okolic, w jednę z tych przejażdżek, w Izdebnie, nagle apopleksyą tknięty, umarł 15 Sierpnia 1805 r. Po najmiliej spędzonym wieczorze, udał się był na spoczynek zdrów i wesół; w nocy okropne jęczenie obudziło żonę: lekkie ściśnięcie jój ręki było pomimo prędkiego ratunku, jedynym i ostatnim znakiem życia. Przestrachu jój i dłużej boleści, smutku drobnych dziełek, krewnych, przyjaciół, żalu znajomych trudno opisać.

Tański był wzrostu miernego, postaci nie tyle wydatnej, ile bardziej przyjemnej i ujmującej; spojrzenie jego bystre i pewne, cechowało w nim niepodległość duszy i otwartość charakteru, jaką dają tylko ucziwe postęпки. Żadnej w niczém nie miał przysady; owszem skromny, prosty, w społeczeństwie miły i uprzejmy, był nieprzyjacielem równie pochlebstwa jak i podłości, któremi się aż do uniesienia brzydził. Wyniosłego umysłu, stały w przedsięwzięciach, wytrwały w przeciwnościach, wierny w przyjaźni, wzorowy mąż i ojciec, miał nawet w charakterze swoim pewną dumną nieugiętość, która żywością rozniecana, mogłaby w kim innym stać się przywarą, gdyby w nim nie łagodziła jój nadzwyczajna słodycz, dobroć i czułość, która tych popędów spostrzegać prawie nie dawała.

Spis prac Ignacego Tańskiego,

tak drukowanych, jak w rękopiśmie będących.

Ziemiaństwo Wirgiliusza, pieśń pierwsza i drugiej połowa.

Dobrogost, komedia w 5-ciu aktach, z francuzkiego przepolszczona i grana w Izdebnie d. 30 Marca 1801 r.

Ułamek poematu Goldschmitha „Dobry pleban“ przełożony dla Grzegorza Piramowicza.

Tyrsys, stateczność nagrodzona, wiersze pisane dla Maryi Czempińskiej.

Dzierżawcy do dziedziczki, koleśda, wierszyki do dziedziców Wyczulek.

Hymn do Boga za rodziców, śpiewany w Puławach, przy wystawieniu pięknego obrazu przez dzieci księstwa Czartoryskich.

Żegota, czyli staropolskie obyczaje { Komedye grane na
Trzy wieki { Puławskim teatrze.

I plotka się czasem przyda, sielanka.

Wiele drobnych i ulotnych wierszy, programatów, *let*, pantomin i t. p.

ŻYCIORYS

KLEMENTYNY Z TAŃSKICH HOFMANOWÉJ,

z jęj własnych notatek i wspomnień ułożony.

Najdroższa matka moja, Maryanna z Czempińskich Tańska, była córką Jana Chrzyciela Czempińskiego i Prowidencyi z Fontannych. Ojciec jęj człowiek pobożny i cnotliwy, urodził się w roku 1721 z niemających rodziców; ci łożyli jednak ile możności na wychowanie jęgo i zawód lekarza mu przeznaczywszy, wysłali do obcych krajów. Dziad mój odpowiedział jak najlepiej ich staraniom i nakładom, pojął ile możności trudną sztukę, której się poświęcił; języków umiał pięć: ojczysty, łaciński, niemiecki, włoski, francuzki i był co się nazywa człowiek dobrze ułożony i wychowany, i jak na te czasy, wcale uczony. Zaraz z młodego

wieku wziętość zyskał niezmierną i doszedł do tego, że miewał po 60,000 zł. intraty rocznej, co wtedy było bardzo wiele. Mieszkał jednak od początku praktykowania do śmierci w jednym domu w Warszawie, który po ojcu był odziedziczył, w kamienicy w Rynku Starego Miasta położonej pod Nr. 68; tam trzy wesela odprawił, bo aż trzy miał żony. Pierwsza wkrótce umarła bezdzietna, druga zostawiła mu syna Pawła, trzecia go przeżyła a prawdziwie Lii płodnością wynagrodziła mu sownie tamtych niepłodność i krótkie życie—piętnaście lat miała, kiedy się z nią ożenił, on zaś piąty krzyżyk znaczył. Ale babka nasza (z jój ust to nieraz słyshałam) wstręt miała zupełny do młodych; gdy więc matka jój powiedziała, że doktor domowy, stary Czempiński o jój rękę się oświadczył, i że ślub będzie za sześć tygodni, ucieszyła się niezmiernie, co wszystkim dziwném się zdawało, gdyż była nadzwyczajnie piękna, żywa, krotofilna i wesola. „Ślub i całe wesele odprawiło się bardzo suto i przyzwoicie, (mówiła nam nieraz) i ja nic miny nie straciłam; dopiero gdy wieczorem matka mnie odwiozła do pana młodego, a wymówiwszy te słowa: oto nietylko twój mąż, ale pan i ojciec, słuhać go i szanować powinnaś! sama odeszła, struchlałam. Powiększył się jeszcze strach mój, kiedy dziad wasz otworzył do biórka z poważną miną, a zamiast darów, których oczekiwałam, wyjął pęk ogromny kluczy i gandziarę. Trzeba Imości o tém wiedzieć, powiedział, żeś została w dniu dzisiejszym gospodynią i matką; masz ich znaki, pierwszych strzeż pilnie, drugie używaj na Pawełka, jeśliby cię dla twój młodości szanować nie chciał. Ochłodziłam na te ostatnie słowa, (dodała babka) obaczywszy, że gandziara nie na mnie i śmiało powiedzieć mogę, że wtenczas dopiero kiedy umarł mój mąż, żałowałam pierwszy raz, iż tak znaczna różnica wieku była między nami.“

W samój rzeczy było to szczęśliwe stadło, a ośmnastoro dzieci, z których dziesięcioro wychowało się tak pię-

kanie i zdrowo, coraz ściślej łączyło je węzłem. Jednak z téj wielkiej różnicy wieku i z uszanowania, które za sobą prowadzi koniecznie, wynikło wielkie jedno nieszczęście. Babka, bojąc się bardzo męża nie miała w nim téj ufności, która jest podstawą szczęścia w małżeństwie: on nie będąc skąpym, był bardzo oszczędny i rządny; ona przeciwnie rozrzutna, nie dla siebie, ale dla drugich. Wyznaczane pieniądze miesięcznie na obchód domowy nie wystarczały; póki żyła matka, do niej była ucieczka, ale gdy umarła, zastąpiły tę pomoc pożyczki, a potem loterya, na której wygrana wszystko miała nagrodzić, i ztąd usnuło się zwolna pasmo udręczeń, zguby majątku, spraw zawilości, które do późnych lat jeszcze rozplątane i ukończone nie były. Pominąwszy te dwie w babce naszej wady, rozrzutność i brak zaufania w mężu, była to ze wszech miar niewiasta godna być żoną cnotliwego i zacnego dziada naszego. Prawdziwie pobożna, wierna, posłuszna małżonka, domu pilnująca, chociaż piękna, młoda i bogata, najtkliwsza matka, gościnna, przyjacielska, uczynna, zapomniała zupełnie o sobie dla drugich i największém jój było szczęściem uczynić komu co dobrego. Pasierb, ów Pawelek, na którego zbyt długo zapewne nie używała gandziary, dokuczył jój trochę, ale jednak wyrósł na słusznego człowieka, a córki, które pod jój okiem zupełnie rosły i kształciły się, śmiało powiedzieć można przedstawiły wszystkie najdoskonalsze wzory dobrych żon i matek; co więcej, żadna z nich nie przejęła rozrzutności matki, owszem wszystkie z rządu sływały i słyją; synom raczój, osobliwie dwom, dostała się ta żyłka, a jako u mężczyzn wszystkie złe skłonności silniejsze, tak i tych dwóch ta rozrzutność i chęć pańskości do najsmutniejszego doprowadziła losu.

Mało tak miłych dla umysłu mego jest obrazów, jak ten, który nieraz matka nasza domu swoich rodziców z upodobaniem kreśliła. Był to dom prawdziwie patryarchalny; matka nasza już piąta z rządu odchowanych dzieci, szanu-

jąca starsze siostry i braci, nawzajem szanowaną była od młodszych; wszystkie zaś razem czciły jak bogów ziemskich ojca i matkę, a swobodne, niewinne, wesole, nie przeładowane naukami, kochające się, dni pędziły najszczęśliwsze. Rodzice zajmowali pierwsze piętro dwuoknowej kamienicy; córki z guwernantką francuzką, Madame Dutrieux drugie, małe dzieci trzecie, a synowie czwarte. Codziennie rano o godzinie siódmej schodzili się wszyscy do sypialnego rodziców pokoju i tam ojciec głośno modlitwy poranne odmawiał; potem wyjeżdżał do chorych: jeśli był który niebezpieczny dzieciom modlić się za niego zalecał, na mszę do Fary porysował, nie wracał do domu aż do dwunastej. Zawsze jedna z córek i to z kolei, czekała na niego ze szlafrokiem, bo skoro wrócił, przebierał się i w szlafroku jadł obiad; kiedy pierwszy raz na matkę naszą ta kolej przyszła, ręce jej tak drżały z radości i z obawy, że ledwie znalazła rękaw do podania go ojcu. Po obiedzie jeździł znowu, ale o piątej wracał; letnią porą w małym ogródku, zimową w pokoju bawił się z gośćmi do ósmej godziny, potem lekką jadł wieczerną z samych słodczy złożoną, które lubił niezmiernie, odmawiał modlitwy wieczorne z domowemi i z dziećmi, często odczytywał żywot Świętego z Skargi, a do dziesiątej zapisywał dziennik chorych swoich, bo ten utrzymywał jak najrzetelniej. W ciągu zaś dnia, skoro był w domu, każdy chory ubogi przystęp miał do niego, a cisnęło się ich wielu, bo nietylko radził dobrze, ale i pieniądze dawał. Często także bywał na teatrze; na polski i na włoski miał łoże i także brał dzieci z kolei z sobą. Taką w nich wzbudzał bojaźń i miłość razem i żona jego także do tego stopnia sztukę tę doprowadzić umiała, iż prawdziwie żałować należy, iż nie zostawili jej zasad na piśmie; byłoby to dzieło rzetelnie użyteczne dla trudniących się edukacją, tém bardziej, że tajemnica tej sztuki, zdaje się zupełnie w wieku dzisiejszym zaginęła.

Ale matka nasza krótko używała tego szczęścia, tego zupełnego przykładu, jaki jest w domu, kiedy oboje rodzice żyją i żyją zgodnie. Miała rok trzynasty, kiedy po kilkotygodniowej chorobie, umarł ojciec mając lat 65. Ta choroba była dosyć szczególna: zrobiła mu się krosta na udzie; ta tak nagle rozszerzała się i rosła, że wnet zajęła nogę całą: gangrena się wdała i umierać musiał. Powiedzieli lekarze ówczesni, i on sam to przyznał, że zepsuł sobie krew słodyczami, których niczém nie zaostrzał, bo innych trunków nie pijał, jak kieliszek *marashino* przed obiadem i kieliszek włoskiego, albo szampańskiego wina wieczór. Nieraz nam i babka i matka ze łzami i z przejęciem opowiadały o téj chorobie i zgonie dziadunia, jak wszystkie zabawy, cała wesołość i swobody ustały, a on znając stan swój i tyle zostawiając dzieci, pomimo całej religii swojej, nie mógł umierać bez żalu. Ale umierał pięknie; w obec zgromadzonych dzieci i domowych ostatnie przyjmował Sakramenta, błogosławił dzieci i żonę, zegnał się z przyjaciółmi i skonał, trzymając w ręku z Rzymu przywieziony krucyfiks czarny hebanowy pozłacany, który ja już w rękach trzech drogich umarłych widziałam, przed którym modłę się codzień i chciałabym także trzymając go umierać *).

Pogrzeb całą Warszawę zajął i przeraził; szły za trumną ze Starego Miasta do kościoła Misyonarzy, żona i dziesięcioro dzieci w grubéj żałobie, z których dwoje niesiono na ręku; szło mnóstwo sierot, wdów, ubogich, które w nim także ojca straciły; jechał niezliczony poczet powozów, a wszyscy żalowali tyłu nieszczęśliwych opiekuna, tyłu chorych lekarza, tyłu dziatki ojca. Szło za trumną i dwóch zięciów i wnucząt kilkoro, bo już dwie starsze córki były za mężem. Karolinę, ze wszystkich dzieci najstarszą, pojął był Placyd Izbiński podstoli, dziedzic Zaborowa, o trzy

*) Stało się zadosyć jęj życzeniu.

mile od Warszawy (dziedzictwo, które najwięcej posagiem żony oczyścił); z młodszą Teresą ożenił się był kasztelan Antoni Siemianowski, dziedzic miliona majątku, i jedynak. Dziadek nasz pochowany został w grobie księży Missonarzy; dotąd w tym sklepie widzieć można po lewój ręce marmur czarny, nisko wmurowany z tym napisem: *Jan Baptysta Czempiński Dok. Med. J. K. M., żył lat 65, umarł dnia 7 Lutego 1786 r.*

On jeden ze świeckich tam spoczywa, ale ten zaszczyt drogo przypłacił. Wychowany jak cała młodzież owczesna przez księży, bawiąc długo we Włoszech i wreszcie ulegając duchowi wieku, stan duchowny miał w wielkiem znaczeniu, a najmilsi goście jego i przyjaciele byli księża. Może wiek późniejszy grzeszył cokolwiek, zupełnie przeciwnem zdaniem i nie wiem komu winę tę przypisać: duchownym czy świeckim? Może też ten przykład tak działał silnie na młodej wyobraźni, ale matka nasza chociaż gruntownie pobożna, księży nie lubiła i zapomnieć im tego nie mogła, że chciwość i podszepty kilku z nich pozbawiły ją i rodzeństwo majątku a dla matki źródłem tysiącznych umartwień, ubóstwa, a nawet inędzy się stały. Rzecz była taka. Dziadek nasz uzbierał sobie czystego majątku do 200,000 zł. i chciał za nie majątność jaką nabyć. Jako mającemu czterech synów, niektórzy radzili wieś; już na to przystawał, już był w targu o Pilaszków i dotyczące się jego wioski, kiedy namowy księży wszystko zmieniły. Mieli Jezuici ogromny plac nad Wisłą i tam kilka zabudowań, z tych żadnej prawie nie pobierali intraty; zręcznym przedstawieniem tyle z dziadkiem naszym zrobili, że w miejscu wsi, kupił od nich drogo ten plac, a pod ich przewodnictwem zaczął tam stawiać domy, kamienice, kuźnie, młyny, magazyny, pompy. — „To będzie jak małe państwo,—mówili mu—Czempińskim je przezwą, a WCPan Dobrodziej będziesz miał tę przyjemność, iż z okna swego sypialnego pokoju na Starém Mieście, okiem

je obejmiesz. Kapitał włożony wróci się w dwójnasób z niezmiernym procentem.“ Przewano tę część nadwiślaną *Czempińskiem* i tak dotąd się zowie, choć do Czempińskich nie należy. Dziad nasz patrzył oknem na to państwo swoje, ale kapitał nie wrócił i dzieciom został tylko widok z okna. Owszem z tych fabryk długi powstały, babka nasza, która wsi nie lubiła, pierwsza była do wtórowania księżom, a potem chcąc oszczędzić mężowi kłopotu, zajęła się fabrykami. Wiedzą wszyscy jak idą takowe rzeczy, kiedy kobieta niemi kieruje; biedna babka pozrywała sobie nogi chodząc nieustannie z góry i pod górę, a jednak robota szła źle i z wielkim kosztem; bojąc się męża podwoiła pożyczek i stawiania na loteryą i gdy dziadek umarł, z owych wielkich majątków, było istotnie prawie równie tyle długów. Wiosna życia naszej matki zesła więc w widoku udręczeń i kłopotów téj, którą zarówno szanowała i kochała. Wkrótce jeszcze po ojcu umarł jój brat Jan Czempiński, już zaczynający praktykować w Wilnie, na którym polegały całej rodziny nadzieje, bo wstępował w ślady rodzica. Nasza matka stratę jego uczuła więcej niż inne członki rodu, bo serdeczną spojona była z nim przyjaźnią i on zawsze mówił, że póty się nie ożeni, póki podobnej do Maryni nie znajdzie.

„Ale pomimo téj straty i kłopotów matki byłam wesoła i szczęśliwa (mówiła nam nieraz), miewałam prawda przykre chwile, ale jak minęły, jakem się przejrzała w zwierciadle, jakem mazura zagrała lub wyskoczyła i przyszedł który z wielbicieli moich, znikął żal i smutek zupełnie. Wreszcie dla samego rozweselenia matki musiałam być wesołą; nie lubiła widzieć nas w smutku; a potem nie mieliśmy innych kłopotów, prócz pieneznych—raz odteśkniwszy się po bracie—a te w pierwszej młodości nie wiele obchodzą.“ I potem matka nasza z ułożeniem i charakterem musiała być szczęśliwą; niepojętej dobroci, niezmqczonój ła-

godności i słodczy, a przytém wesoła i żywa, śliczna, przyjemna, dowcipna, rozsądna, wszyscy w domu ją nietylko kochali, ale szanowali; wszyscy na nią patrzyli mile tak dalece, że od lat jedenastu już o jęj rękę dobijać się zaczęto. Właśnie ten wiek miała, kiedy nasz ojciec obaczył ją pierwszy raz i przyrzekł sobie, że albo ta, albo żadna żoną jego nie będzie; już tak o nięj pisał do żeniącego się Antoniego Siemianowskiego:

Ale największą sercu ulgę czyni
 Rosnąca z wiekiem piękność męj Maryni,
 Już ją szanować każą młode wdzięki
 I za szczęśliwość pożądać jęj ręki.
 Obym wzajemne zyskał przywiązanie:
 Nic mi do szczęścia życzyć nie zostanie.

A wtenczas już miał rywala. Teofil Szymanowski, brat stryjeczny Józefa poety, już wtenczas żądał koniecznie od rodziców matki naszęj przyrzeczenia jęj ręki, i byłoby to może nastąpiło, gdyby Szymanowskiego nie były raz porwały wymioty krwawe, właśnie kiedy obok małej swęj lubęj siedział. Tak były gwałtowne, że cała suknia jęj nawet zbuczona krwią została: ten przypadek tak silne zrobił wrażenie na jęj wyobraźni, zapewne z młodu lękliwęj, iż słabo jęj się zrobiło, i od tego czasu bladła zawsze, kiedy Szymanowski do nięj się zbliżał. Rodzice to widząc, prosili go, aby przestał bywać w ich domu, a nadewszystko wszelkich zaniechał nadziei. Do ojca naszego także nie miała wiele skłonności i bardzo długo nie wiedziała o jego zamiarach, bo on taił się z niemi; piętnaście lat był od nięj starszy, był brzydki, zwłaszcza nos miał duży; wcale jęj więc na myśl nie przychodziło, ażeby w jakim bywał celu.— „Wreszcie — mówili nam nieraz — dawnięj panny wiedziały dobrze wszystkie, że najpewnięj za mąż pójdą i dzieci mieć będą, ale jakoś nigdy ani o miłości, ani o macierzyń-

stwie nie myślały; mnie przynajmniej nigdy żadna tęsknota ani dumanie nie powstało w głowie; prawda też, że do samego zamęzcia nie znałam innego romansu prócz Telema-ka.“ Jednak przyznawała nam się nieraz, że jeden z jej wielbicieli Khittel, doktor hetmanowej Ogińskiej, obudził w niej jakieś nieznane dotąd uczucie, które mogłoby urosć w żywsze, gdyby on różnemi okolicznościami nie był zmuszony żenić się z inną;— „gdym się tej całej przygody dowiedziała, mawiała, spłakałam się serdecznie; przez kilka dni tęskno mi było, a potem zapomniałam. To jego ożenienie szczęściem jednak było wielkiem dla waszego ojca; bo gdyby się był Khittel wraz z nim oświadczył, pewnie miałby pierwszeństwo.“ Nasz ojciec ucieszył się bardzo tém oddaleniem, już bowiem widząc Khittla tak mile przy-
mowanego, rozpaczać zaczął; żal jego tkliwą mu natchnął sielankę, która jest drukowana w zbiorze pism jego; tam w jednej strofie tak mówi:

Już... już się stało, Dafne nie moja,
Dafne, ach! Dafne na zawsze tracę!
Szczęsny Korylu! wygrana twoja,
Łany masz w spadku, ja tylko pracę.

W samej rzeczy Khittel był majątny; nasz ojciec miał tylko miejsce sekretarza w gabinecie interesów zagranicznych i nadzieję po rodzicach niekoniecznie bogatych; jednak przymioty jego, rozum, przyjemność, dobra sława, znaczenie jakiego nabył między panami, a nadewszystko stała i coraz czulsza miłość zwyciężyły naszą matkę. Skoro się oświadczył, mile przyjęty został; miała wtenczas lat 16. Szczęście swoje znowu wierszem wydał; *Stateczności nagrodzonej* tytuł nosi. W rok potem, 29 Stycznia 1791 roku ślub był rodziców naszych; ojciec otrzymał powiększenie pensyi, rodzice jego dali mu kilkanaście tysięcy, rząd tyśiąc dukatów; oddał to do bankierów, domek wyporządził

jak mógł najlepiej na przyjęcie swojej Maryni, a we wzajemnej i najtkliwszej miłości pędzili dni szczęścia, którego wspomnienie już nawet w ostatniej chorobie naszej matki, zawsze słodki uśmiech na jej usta sprowadzało. Prawie we trzy lata po ich pobraniu się urodziło im się pierwsze dziecko; ojciec pragnął syna, ale i córkę przyjął jak najmiliej: była to Olesia nasza kochana, dziś żona Marcelego Tarczewskiego.“

Radość z jej szczęśliwego przyjścia na świat, słabością naszej matki stłumioną była: w lewej piersi zrobił się wrzód. Wezwany Lafonten otworzył go i krajał pierś; został się od tego czasu szew i guzik, który w lat blisko trzydzieści miał się stać śmierci przyczyną.

Od tego czasu można powiedzieć i szczęście rodziców słabić zaczęło. Rodzice ojca, Tomasz Tański i Konstancja z Turowskich zginęli na Pradze dnia 4 Listopada 1794 roku. Ojcu urząd został odjęty, cały mająteczek przepadł, tak ten co był u bankierów, jako i ten, którego po rodzicach spodziewać się mogli. Matka w owym czasie trwogi i zmartwienia drugą powiła córkę Zofię — a właśnie zostali bez ojca i matki, bez chleba; mieli tylko miłość wzajemną i prawdziwą pobożność. Już na swych ślubnych obrączkach wyryc kazali te słowa: *Bóg nadzieja nasza!* a ten Bóg któremu w dniach szczęścia ufali, nie opuścił ich w chwilach niedoli. Nasz ojciec ścisłą przyjaźnią od dzieciństwa był złączony z Janem Łuszczewskim. Był to człowiek o parę lat od niego młodszy, pięknie myślący, bogaty; całą młodość spędzili razem w jednych szkołach, potem w jednym mieszkaniu; prawie razem się poženili i Aleksandra z Cieciszewskich Łuszczewska, takąż samą przyjaźnią pokochała matkę naszą, jaką jej mąż kochał naszego ojca. Ci Łuszczewscy mieli dobra swoje o sześć mil od Warszawy i tam się schronili. Chcąc dać i rodzicom naszym schro-

nienie, jedną z wiosek swoich Wyczułki, puścili im w dzierżawę *).

Opowiadała nam to matka nasza, ile też łez wylała opuszczając Warszawę; jak okropną była pierwsza zima spędzona w chacie drewnianej, słomą pokrytej, nieopatrzonej; ale zdrowie, młodość, wzajemne przywiązanie, ufność w Bogu i zgadzanie się z Jego wolą, wiele siły dodać mogą. Pierwsza więc tylko zima była okropną, późniejsze lata, choć w prostej chacie, schodziły mile w Wyczułkach; zwłaszcza, że sąsiedztwo było przyjemne, i że w roku 1810 nowy rząd, tytułem wynagrodzenia strat, wyznaczył pensją roczną sto dukatów dla mojego ojca. Był czas, kiedy mieli do piętnastu tysięcy rocznej intraty rodzice moi, a przecież nigdy nie mienili się panami, jak wtedy gdy im ta mała pomoc przyszła. Bo też w wiosce takiej, w jakiej mieszkali i przy tyłu przyjacielskich domach, które wrywały ich sobie, nie wielkie były ich potrzeby. W Wyczułkach już mieszkali rodzice nasi, kiedy się okazało, że matka trzeci raz przy nadziei. Po tyłu nieszczęściach z obojętnością ojciec spodziewał się trzeciego dziecięcia, mało już dbając, czy Bóg da syna, czy córkę? Matka z westchnieniem myślała, że przybędzie trzecia jeszcze istota niemal na biędę, a tamte dwa połogi odbywszy w wszelkich wygodach, ani pojmowała jak potrafi przebyć trzeci w chacie i jeszcze w początkach zimy. Intraty wiejskie wówczas tak były ograniczone, że lubo rodzice nasi skutkiem dobrego gospodarstwa i rządu wypłacali regularnie dziedzicom trzy tysiące, przecież prócz najskromniejszego utrzymania się nic nie mieli i na nadzwyczajne wydatki grosza nie było.

Kochana matka przemyśliwała zawczasu, czém opędzi konieczne wydatki połogu; upatrywała w gospodarstwie ja-

*) W Sochaczewskiem, dziś kolonia włościańska.

kiego zasiłku i upatrzyła go w rzepe: obrodziła się w tym roku nadzwyczajnie ta jarzyna i ktoś doradził matce, żeby nie przedawać jój zaraz po wyrwaniu, ale w doły zakopać, i dopiero w twardej jesieni na targ wywieźć. Tak uczyniła; troskliwy mąż dogadzając życzeniu żony, a wreszcie rachując téż na rzepe, przystał na to, aby mimo ciężkich czasów, nająć stancyjkę w Warszawie na dwa miesiące i żeby tam odbył się połóg. Ustąpił pokoiku doktor Way²lep, w domu swoim na Nalewkach, a jako był przy pierwszych dwojgu dzieciach, tak i przy trzecim za daleko mniejszą cenę być się obowiązywał i wszystko ułożyło się jak najlepiej. W środku Listopada matka chciała już wybrać się do Warszawy, ale wypadało naprzód wyprawić rzepe. Zbierają się ludzie, odkopują doły, wyziew najokropniejszy wszystkich uderza; jesień była bardzo dżdżysta: zgniła rzepa do szcztu. Rozpaczy matki naszój trudno opisać, bo sama jój wypowiedzieć nigdy nie mogła; trzy dni płakała, nareszcie otworzył ojciec nasz do szafy, wybrał najkosztowniejszy sprzęt srebrny, dwa piękne lichtarze (co wielką było ofiarą, bo nienawidził sprzedaży i marnowania) i pozwolił jój z tym sprzętem w miejsce rzepy, jechać do Warszawy. Ochłodziła z żalu i strachu i pojechała. Tam zastała nie bardzo wygodny pokoik, bo nad stajnią pełną koni i tam 23 Listopada 1798 r. w nocy, urodziła córkę. W czasie ciąży czytała romans Ryszardsona: *Grandyson*; tak ją zajął, że powiedziała sobie, że jeśli syna mieć będzie, nazwie go *Karolem*, jeśli córkę *Klementyną*. I mnie, bo ja byłam tą córką, ochrzcili pod tém imieniem. Trzymali mnie do chrztu dziad i baba, innych rodziców chrzestnych nie miałam. Lichtarze lubo dosyć dobrze sprzedane, tyle tylko przyniosły, że jak najskromniej przez te dwa miesiące matka nasza utrzymać się mogła; nie jadła jednak nic więcej prócz kljku z kaszy jęczmieunój, marchwi i baraniny.

Ojciec był przy mojem urodzeniu i tak był kontent, że pomimo przeczuć i strachów żony, wszystko odbyło się szczęśliwie, i że dziecię, choć płci żeńskiej, było tłuste, czerwone i zdrowe, iż kazał przynieść dwie butelki porteru, jedną wypił zaraz z Waylepem, drugą zostawił na dzień następujący. Ta w nocy pękła z wielkim hałasem i stała się przyczyną do mocnej naszej matce gorączki. Mawiał potem, że go Bóg za zbytek ukarał. Gdy już można było, wrócili rodzice do Wyczułek i ze mną. Miałam szczęście trafienia od razu na dobrą mamkę, rodem z Rohołowa pod Sochaczewem; byłam zdrową i nie przydałam wiele kłopotu do życia drogiej rodziców. Mile im zawsze dni schodziły, a najwięcej w obcych domach, tak byli przyjemni, że w całej okolicy żadnej nigdy zabawy bez Tańskich być nie mogło. Zapraszano ich więc ciągle do Strug, Izdebną, Guzowa; rodzice jeździli chętnie i dziwić im się nie można: przyzwyczajeni do wygod życia, do towarzystwa, osiedzieć się nie mogli w chacie samotnie. Może my dzieci trochę na tém straciły, Olesię żywą, dowcipną, sługi uporządkowały, w Zosię wkorzeniła się jakaś słabość osobliwa, której może z początku można było zaradzić, choroba Śgo Wita zwana; mnie piastunka upiwszy się upuściła i przesunęła mi się prawa łopatka: przypadek długo tajony, który wykrył się, gdy już było zapóźno. Pomimo tych pozorów zaniedbania, kochali nas serdecznie rodzice, a kiedy w półtora roku po mojem urodzeniu grasująca wszędzie ospa do Wyczułek trafiła i nam wszystkim trzem zaszczepiono jeszcze nie krowią, ale naturalną ospę; kiedy chorowałyśmy okropnie, rodzice nie odstąpili nas ani na chwilę, nad możność wydawali na doktora i lekarstwa, a co największa, kochana matka, która nigdy ospy nie mając, bała się jej jak śmierci, zapomniała o całej swój trwodze, żeby nas pilnować. Nagrodziły się koszta i starania, niespokojności, przebyłyśmy ospę szczęśliwie, bez żadnego szwanku. Olesi tylko ze ślicznego noska zadartego *à la Roxolane* zro-

bił się nieco poważniejszy; matka zawsze go żałowała mówiąc, że z nim byłaby Olesia dwa razy ładniejsza.

Trudy pilnowania nas dzieliły wraz z rodzicami siostry i brat matki naszój. Babka Czempińska nie mając o czém wysiedzieć w Warszawie (cały bowiem majątek zabrany został i wielka massa z niego utworzona) przyjęła zaprosiny córki i zięcia swego kasztelanica Siemianowskiego i osiadła w Kozłowie. Nie mogła więc wszystkich dzieci przy sobie trzymać, a było jeszcze niedorostków czworo: Józefa, Ignacy, Justyna i Katarzyna; te więc z kolei w Wyczulkach bawiły, a dorodne, przyjemne, grzeczne jak cały ród Czempińskich, i u obcych pożądane były. Słyszałam to od obcych, że kiedy matka nasza ze swemi trzema siostrami weszła w jakie towarzystwo, zajaśniało i rozweseliło się, jak kiedy w pokojach w wieczór światło przyniosą, albo bukiety kwiatów rozstawią w salonie. Każda z nich była w innym guście, a każda piękna, świeża, wesoła. „Ta siostr uroda (mówiła nam często matka, bo o swojej piękności nigdy nie mówiła) była prawdziwem dobrodziejstwem, bo na tyle balów, fet, jakimi brzmiały Guzów i Izdebno, nie miały innych strojów, ale ten im wystarczał. Napróżno matki stroiły w pióra, gazy i kwiaty córki swoje, jak moje siostry weszły w białych sukienkach rąbkowych, we wstążeczkach na głowie, gasły tamte i młodzież cała niemi się zajmowała“. Jednak te ubiory, jak bądź skromne, zawsze kosztowały, jeśli nie tak wiele pieniędzy, to przynajmniej zachodów i pracy; nieraz ciotki przed balem trzy nocy nie spały, iżby czém nowem upstrzyć sukienkę; jedna rzecz przerabiana, przewracana była po kilka razy, nie było żadnej osobistej własności, ale wszystko wspólne. Ciotka Józefa, najmniej z siostr piękna, ale żywy anioł dobroci, najwięcej dodawała konceptów, najczynniejszą była.

W skutek życia szczególnego, jakie prowadzili rodzice nasi i ich rodzeństwo zdarzało się czasem dosyć śmiesznych

przypadków, ale tak zgadzać się, tak swój niedostatek nadrabiać miną i zręcznością umieli, że raczej śmiechu, pustot, figlów był przyczyną, jak smutku, i nikt z obcych nie domyślał się nawet, co się działo w Wyczułkach. Co do mnie, z życia u rodziców, dwa tylko zdarzenia zachowała pamięć moja: jak na ospę chorowałam i leżałam w kąciaku pokoju na ziemi, i jak siostra moja starsza, w nocy zakradła się do szafy, wzięła wielkanocną babkę, i poczęstowała mnie i moją siostrę obudziwszy nas na to. Ta szafa tak mi się wówczas wysoka zdawała! później miałam ją w moim pokoju i maleńka była, choć jam nie urosła duża. Bardzo rzecz dziwna jak to rzeczy z wiekiem maleją, to samo się dzieje za każdym postępem: dawne wyobrażenia drobnieją przed nowemi.

Tymczasem nam trzem córeczkom lat przybywało, wypadło już myśleć o jakiejś nauce. Olesię, trudniejszego cokolwiek charakteru, oddawali rodzice w różne miejsca, do znajomych, do krewnych, ale to ich nie zaspokajało. W tym czasie ks. generałowa Czartoryska wzięwszy do siebie córki generała Madalińskiego, zawsze dobra i uczynna, umyśliła utworzyć pod okiem swoim jakby pensją dla dziewczynek szlacheckiego rodu, których rodzice sposób przyzwoitego ich wychowania utracili. Józef Szymanowski był szwagrem pani Izdebną, co więcej przyjacielem od dzieciństwa naszego ojca, a nawet przez matkę krewnym; on więc pierwszą rzucił myśl, czyby i Olesi Tańskiej księżna do siebie wzięść nie chciała i podjął się negocyacji. Udała się, księżna domagała się tego jedynie, żeby sam pan Tański córkę swoją odwiózł. Obok radości z tego względu (bo jeszcze panował ów przesąd nieszczęsny, że tylko przy wielkich panach wyjść na ludzi można), rodzice zaczęli się kłopotać. Dwie sukienki składały całą garderobę siostry, a miała na wielki dwór jechać. Były jeszcze w szafie dwa lichtarze, para od tych co na moje przyjscie na świat w świat poszły; ruszyły i te

i siostra oporzędzona iak przynależało pojechała z ojcem do Puław. Przyjęci byli oboje jak najlepij, księżna rozkochała się w oboju.

Właśnie wzięła była do siebie czteroletnią Zosię Matuszewiczonę, córkę swj przyjaciółki od serca. Oświadczyła, że moję siostrę dla jěj towarzystwa przy sobie zachowa, nie oddając jěj wcale na pensyą. Dowcip, śmiałość dziewczynki, niezmiernie się księżnie i jěj córkom podobały, a ztém i całemu dworowi. Stała się wnet faworytką wszystkich i w tych faworach najwyższych ojciec ją zostawiwszy, wrócił do domu. Nie długo jednak trwały: dziewczę z rozumem, widząc się tak pieszczoném wzięło na kiel, i dokazywać zaczęło. Z księżną kłóciła się zęb za zęb, nie mówiła inaczej tylko „Wacpani,“ raz chodząc po ogrodzie natrafiły na kałużę, księżna przeszła jak mogła, dziewczyna ani postąpić chciała. Wacpani mnie przenieś! wołała z sił całych, a księżna nie mogąc tego uczynić, musiała jak niepyszna wrócić do pałacu i zawołać hajduka. Lecz uprzykrzyły się zczasem te krnąbrności, Olesia wnet straciła łaski; oddała ją księżna na swoją pensyą, a gdy i tam nie szło po jěj myśli, postanowiła napisać do rodziców, żeby ją odebrali. Zawsze jednak dobra, żeby ich nie obrazić, taki wynalazła sposób: zaprosiła ich oboje imieniem swjém i księcia, aby przyjechali do Puław, a opisując jak często samotne życie wiodą w Puławach, jakim są skarbem na wsi osoby przyjemne, rozumne, dobrze wychowane, dała do zrozumienia, iż wraz z małżonkiem bardzo byłaby rada temu, gdyby w Puławach na zawsze osiedli. Ten list zmartwił i ucieszył rodziców, jak każda podobna zmiana. Po długich między sobą i z przyjaciółmi naradach, unysłili jechać. Znowu nastąpiły względem oporzędzenia trudności, ale dobrym rządem, ulepszoném gospodarstwem, którém dzielnie zajmował się wuj Ignacy, zdobyli się na te koszta.

Opowiadała nam nieraz matka, jaki ubiór pani Ku-

szczewska na pierwszą prezentacją jęj obmyśliła. Suknię *mordorę* materyalną i takiż krepowy kapelusik, wszystko u Łazarewiczowej najszlawniejszję wówczas modniarki robione. W tym stroju matka zawsze piękna, piękniejszją jeszcze się zdała i tjęj doznała pociechy, że pani Zamoyska, świeżo z Paryża przybyła, takiż sam tego dnia miała kapelusik, z tą różnicą, że popielaty. Ten drobny napozór szczegół, tyle jęj dodał odwagi, a jak to mówią prezencyi, że wszystkim niezmiernie się podobała. Obsypani grzecznościami, fetowani, ledwie kilka dni wyszło kiedy stanęła między niemi a księztwem umowa, że się zupełnie do Puław sprowadzają; wyznaczili im za to 6,000 złp. rocznej pensyi, 10,00y złp. po dziesięciu leciech i domek ładny z ogrodem, żeb tam zupełnie osobne gospodarstwo mieć mogli. Ojciec mój zobowiązał się dopełniać polecęń księcia w interesach, być mu w jego literackich pracach pomocą, ciągłym towarzyszem. Człowiek równie szlachetnie i pięknie myślący jak mój ojciec, dziś jużby pewno dla widoków żadnych tego układu nie przyjął; ale wtenczas jeszcze panowie magnaci mieli coś monarchicznego w sobie; przyjmować dary od nich nie upakarzało nikogo: był to zabytek dawnęj klienteli, której się nie wstydzili najzuchwalsi stróże wolności Rzeczypospolitęj.

Rodzice nasi po kilku tygodniach bawienia w Puławach wrócili do Wyczułek, żeby interesami swojemi i dziećmi rozporządzić. Wyczułki wypuścili wujowi Ignacemu z małym dla siebie zyskiem, babkę przy nim osadzili, zostawiając u nięj chorą zawsze Zosię. Mnie napierała się już oddawna Dorota Szymanowska, starsza córka pani Izdebna, chcąc się mną zająć wyłącznie. Trzy lata miałam wtedy, jeszcze ułomności późniejszjęj wcale znać nie było, i byłam jak wszyscy mówią śliczna i dobra dziecina *). Przywiązała

*) Niechaj ta wzmianka o ułomności zbyt smutnym cieniem na wyobraźni czytelników nie pada; możemy osobiście im zaświadczyć, że owa

się więc do mnie niesłychanym sposobem panna Dorota, ledwie szesnaście lat wtedy mająca i zupełnie edukacją, losem całym wraz z matką zająć się przyrzekły. Przystali na to rodzice i gdy wszystko w ten sposób ułatwioném było, pojechali do Puław zabierając z sobą żale całej okolicy i sami podobno nieraz wśród świetności zabaw i dworu żalowali skromnej chaty Wyczulskiej i przyjacielskich zjazdów. Co rok wykradali się księstwu (lubo to zawsze z wielką przychodziło trudnością) i na parę miesięcy lata przyjeżdżali do Wyczulek; wtedy w całej okolicy było święto. Pamiętam i ja te chwile i zapewne z tego wrażenia wzrosło we mnie jakieś uwielbienie dla rodziców i otoczył się ich obraz w umyśle moim, jakimś urokiem szczęścia, który później sprawił, że zazdrościła siostrom będącym przy rodzicach, a siebie uważać zaczęłam za jakąś sierotę, za dziecię odrzucone z rodzicielskiego domu...”

Kiedy w roku 1844 pani Eleonora Ziemięcka ogłosiła zajmujący swój o pismach pani Hofman i jej życiu artykuł, wspominając różne szczegóły z dzieciństwa i pierwotnego wychowania jej u pań Szymanowskich, żadnej wzmianki o matce jej rodzonej nie uczyniła. Zabolało tą niesprawiedliwością serce córki. Na kilka miesięcy przed śmiercią,

ułomność wcale rażącą nie była. Pani H. miała zawsze rysy twarzy bardzo przyjemne, w tym rodzaju, co to go zwykle czysto słowiańskim zowią; nos był wydatny, lecz niezbyt przeciągnięty, jak to się zwykle garbatym osobom zdarza; włosy jej (o ile z pod czepeczka i kapelusza widzieć nam się udało) były pewnie gęste i długie, ciemno blond koloru; czoło miała otwarte i pogodne; oczy duże, siwe, w ładnej ciemnej oprawie, pleć jasną i delikatną; wzrost choć drobny, to ruchy spokojne i poważne, a czego zwłaszcza pomijać się nie godzi, głos jej był dźwięczny z natury i tak starannie wyrobiony, że pomimo lekkiej nawet w wymawianiu trudności, coś jakby szeplenia niby, nadzwyczaj mile w ucho wpadał słuchaczom, szczególnie kiedy głośno czytała, bo talent pięknego czytania wysoko w nią był rozwinięty.

choć słaba i ostatnią już chorobą swoją dotknięta, przesłała nie do niej wprawdzie, ale dla niej przeznaczony list dość długi, w którym o tych latach swojej najpierwszej młodości w ten sposób się wyraża:

„To zapomnienie, czy opuszczenie (pewno mimowolne) z ręki pani Ziemięckiej najwięcej mię obeszło, gdyż życząc sobie mocno zostać w pamięci Polek, tak jak ona mnie nakreśliła, pragnę jeszcze goręcej, żeby o matce mojej wiedziały... Tém przemówieniem nie chciałabym bynajmniej ubliżyć *„czulej przyjaciółce, a raczej przyjaciółkom moich rodziców“* bo sam Bóg widzi, jak je z duszy kochałam i kocham; wcale nawet tego nie zaprzeczam, żem wiele, bardzo wiele im winna, a naprzód ową *prostomyślną wiarę*, skarb nieoceniony, którą zaszczyliły we mnie tak głęboko; ale to, czém dziś jestem, winnam zupełnie mojej matce...

„Dom pani starościny wyszogrodzkiej, prawdziwie za-
cnej, światłej i znakomitej białogłowy, był co do skromności w rozmowach, czystości w obyczajach, co do pracowitości, dobroczynności, gościnności, zupełnie domem staropolskim. Jeszcze tam czeladka, wprawdzie już tylko żeńska, zbierała się rano i w wieczór na wspólną modlitwę; jeszcze wszystkie obrzędy, święta, posty, wszystkie przepisy Kościoła surowo strzeżono; jeszcze pani domu choć urodzona z Barbary Krasieńskiej, siostry królewiczowej polskiej, sama klucz od skarbczyka trzymała, głowy cukru rąbała własną ręką, wódeczki zaprawiała, z kobietami swemi smażyła konfitury i po dniach całych do kościołów szyla; jeszcze bywały w domu panny na respekcie i po kilka ubogich dziewczątek różnego wieku na wychowaniu; jeszcze był szpital koło kościoła, gdzie w pewne dni pani i córki odwiedzały chorych: jeszcze w zapusty zajeżdżały kuligi, a przez cały rok w jakibądź dzień, o jakiejś godzinie gość zawitał, zawsze był mile przyjęty, a najnudniejszy szczerze zatrzymywany.

„Ale mimo tego wszystkiego dom pani starościny wy-

szogrodzkiej, jak tyle innych pańskich i możniejszej szlachty domów w początku tego wieku stał jakby na rozstajnej drodze; w połowie jego trzymała się jeszcze stara, prosta, poczciwa polszczyzna, a w drugiej połowie szerokie wrota otwarte były obczyźnie, i cudzoziemka wypierała silnie prawą dziedziczkę. Sama pani izdebińska czysto i niemal zawsze mówiła po polsku, lecz jej córki uczyły się czterech zagranicznych języków; mówiły, pisały, korespondowały, modliły się po francuzku, wraz z dwiema przyjaciółkami od serca, mieszkającymi w bliskim sąsiedztwie; raz w ogrodzie, w lipowej ulicy, którą *berceau de l'amitié* przezwały, przysięgły uroczyście nie iść za mąż za takich, coby nie umieli dobrze po francuzku; a tak one, jak ich matka czytały niezmiernie wiele, lecz nigdy po polsku. Oczywiście ja, która jakby za trzecią córkę przybraną zostałam w tym domu, nie mogłam być inaczej prowadzoną i uczoną. Mogę też zaręczyć sumiennie, że przez dziesięć lat które spędziłam w Izdebnie, nie miałam w ręku jak dwie lub trzy książki polskie i to poważnej treści, których mało co rozumiałam; elementarza, powieści dziecinnych anim znała; panią Beaumont, Berkina, la Morale de l'Enfance i inne t. p. dzieła umiałam na pamięć od szóstego roku; nauczyłam się czytać po polsku na tym tomie wydania Mostowskiego, gdzie jest Świątynia Wenerę Józefa Szymanowskiego; i pierwsze słowa polskie, którym złożyła siedząc na kolanach u panny Doroty, były jak dziś pamiętam: Wybór pisarzy. Kiedyś ta kochana panna Dorota, dzisiejsza pani Galiché z największą pracą tłumażyła dla mnie Naruszewicza na francuzkie i dopiero w tym obcym kroju uczyła mnie historii polskiej.

„Jedynе wyższe ćwiczenie w języku ojczystym, jakie znałam do czternastego roku było następujące: Pani Staroscina bardzo lubiła przesiadywać mnogie godziny w kościele; dla mnie, która z dzieciństwa aż do tej pory rada się modłę, ale niedługo, te godziny nieraz strasznie uciążliwe

były; a ponieważ wiedziałam, że w kościele myśleć o czém inném jak o świętych rzeczach nie godzi się, wynalazłam sobie sposób skrócenia czasu bez grzechu. Z mojej książki do nabożeństwa „*La Journée du Chrétien*“ tłómaczyłam sobie w myśli niektóre modlitwy na polskie i jakoś mi to wdzięcznie już nie w uszach, ale w duszy brzmiało; pamiętam nawet że często uroczystsze mi się zdawały wyrażenia polskie od francuzkich i nie dziwiło mię to wcale, bo już co otwartej pogardy rzeczy polskich, to w Izdebnie nabyć nie mogłam i pani Starościna i jej córki były sprawiedliwsze, tylko zamiłowały z zapalem język i literaturę francuzką z wyłączeniem własnej.

„Przez kogo i kiedy weszło w ten dom to zamiłowanie, nie wiem, najpewniej przez naśladownictwo; nie słyszałam bowiem, żeby tam kiedy była bona albo guwernantka francuzka; z kąd się nawet tam brały te książki francuzkie w takiej obfitości, także nie wiem; ale to wiem dobrze, iż prócz dwóch czy trzech godzin poświęconych lekcjom z panną Dorotą i pisaniu *journalu* i *ekstraktów* po francuzku, reszta dnia mego w Izdebnie schodziła prawie cała na czytaniu, a jak siebie zapamiętam, byłam nadworną lektorką: te panie szły w krośnach a ja czytałam im głośno i nigdy co czytać nie brakło. Rano po kawie medytacye dzienne: *Evangile meditée*, *Considerations religieuses* Sturma, lub inne jakie pobożne dzieło; od jedenastej do obiadu księgi historyczne, jako to: *Rollina*, *Millota*, *Histoire des Hommes*; po obiedzie podróże, listy, albo takie n. p. książki, jak *Etudes de la Nature*, *Genie du christianisme*, poema Delila, a wieczór romanse. Co ja tych romansów naczałam, to gdybym chciała tytuły wyliczyć, zapisałabym z półarkusza; wszystkie pani de Genlis, pani Cottin, pani Montolieu, Riccoboni, Souza, Radcliffe, Regina Roche, Lafontena, zgoła jakie tylko były i wychodziły wówczas.

„Najmniej uprzedzona osoba, sama kochana pani G.

przyzna, że w takim sposobie prowadzenia i uczenia dziewczęcia nie było przygotowania nietylko na polską autorkę, ale na żadną. Bardzo to dobrze pamiętam, że przez te lat dziesięć nic z głowy nie napisałam, chyba nędzne listy po francuzku, i może być bardzo, żem ani jednej własnej myśli nie miała. Ten nawał książek różnej treści czytanych jedna po drugiej, a czytałam wszystkie z uwagą, zupełnie był tém dla mnie, czém dziś brzegi gościńca lub rzeki dla jadącego lub płynącego za pomocą pary: choćby patrzył jak najpilniej, będzie widział wiele rzeczy, ale sprawy zdać z tego co widzi, nie ma ani czasu, ani sposobności i pewno niczem nie zbogaci swego album. Może być nawet to zbytuczne karmienie się cudzemi tworam i myślami w wieku pierwszego rozwijania się umysłu, pozbawiło mię na zawsze oryginalności i imaginacyi artystycznej; powtarzam artystycznej, bo w owęj w którą jak dobrze mówi pani E. Ziemięcka: „Okwituje dusza najspokojniejszej kobiety“ na téj i mnie nie zbywało, a zasilana tak romansami, byłaby zapewne wzięła obrót bardzo szkodliwy, gdyby w tém nie uratowała mnie moja matka; i tu się zaczyna dobroczynny jój wpływ nademną... ale nim to opowiem, niech mi wolno będzie zrobić jedno zapytanie, i zaraz dać na nie odpowiedź.

„Co jest imaginacya i jój marzenia w głowie każdej młodej dziewczyny, czy ona ładna, czy szpetna? Jakaś potrzeba ideału doskonałości, nadzwyczajności i szczęścia, która zwykle, mówiąc między nami, nie sięga duchowych krań lepszego świata, ani téż cnót anielskich, ale jest po prostu wyobrażeniem sobie uczuć, uwielbień, powodzeń, słowem wyobrażeniem *miłości i kochanka*, ubarwioném z samego instynktu niewieściój skromności imionami *małżeństwa* i męża. Otóż od takiej imaginacyi, jój niebezpieczeństw i śmieszności, uchroniła mnie nie moja zbytuczna młodość, nie brak urody; ale uchroniła mnie moja matka.

„Już to owe pierwsze trzy lata mego życia zostawiły w moim dziecinnym umyśle, a raczěj w sercu jakiś ślad mi-

ły, tajemniczy, niepewny, a przecież żywy i niezatarty. Malują go zupełnie te wiersze Zaleskiego:

Błogo temu, kto pamięta,
Luby, dziwny, gdzieś przed laty
Żywot czysty i skrzydlaty,
Pierworodny swój początek.
Kto w cielesnych więzów męce,
W Niebo codzien wznosząc ręce,
Do tych dusznych drży pamiętek.

„O! dla mnie kolébka przy łózk^u matki, jéj starania i pieśczoty, zabawy z siostrami w rodzicielskim, a zatém *w swoim domu, u siebie*, były tym żywotem i dusza moja drżała do tych rodzinnych pamiątek, tęskniła za ich powrotem. Byłabym niewdzięczna, gdybym śmiała powiedzieć, że mnie nie kochano w Izdebnie, że się nie starano o prawdziwe dobro moje; lecz gdzież kiedy jaka opieka zastąpi dla dziecka matkę, a jeszcze taką matkę jak moja, otoczoną takim urokiem jak ona była dla mnie. Składało się na ten urok wiele rzeczy: naprzód widywałam ją rzadko i krótko, bo ledwie co rok opuszczała Puławy i przyjeżdżała w nasze strony; powtóre, moja matka była piękna, dziwnéj słodczy i wesołości razem, a jako osoba żyjąca w wielkim świecie, zawsze starannie i nadobnie ubrana, stała się przeto dla mnie jakimś wzorem piękności i gustu. Potém z jéj ust, jak łatwo się domyślić, spływały dla mnie same błogosławieństwa, pochwały, czułości, bo widując mnie tak mało, czasu na co innego nie miała; wreszcie za każdym razem co mnie widziała, zwłaszcza gdym już była starszą i bardzo smutną, nie tała się z tém, że pragnie jak zbawienia duszy mieć mnie przy sobie, odebrać na zawsze; że po stracie męża, dzieci są całym jéj skarbem: że nie wątpi, iż nastąpi kiedyś chwila szczęśliwa, w której nas zbierze koło siebie, jak kokosz piskłéta zbiéra, ale że jeszcze milczéć trzeba.

„Wszystkie tedy żywióły młodéj imaginacyi, wspomnie-

nia, tęsknota, piękność, tkliwość, nadzieja, tajemnica, wszystko się znajdowało obficie w mojej matce i w moich z nią stosunkach. Kiedyby więc inne dziewczę w moim wieku marzyło jak wszystkie marzą; ja marzyłam o niej, o mojem z nią połączeniu, gubiłam się w myślach, jakim cudem się to stanie; układałam sobie w głowie różne okoliczności tego wydarzenia: słowem to połączenie grało tę samą rolę w moim umyśle, jaką gra zwykle u młodych dziewcząt miłość i małżeństwo; było szczytem szczęścia, upragnioną zmianą i ustaleniem mego losu. W książkach, w romanсах jakie czytałam upatrywałam jedynie podobieństwa do mojej matki i do mego położenia; ztąd poszło od pierwszego dzieciństwa zamiłowanie szczególne listów pani *de Sévigné*, bo pod jej postacią moją matkę widziałam; ztąd ze wszystkich romansów pani *de Genlis*, *Alphonsine ou la tendresse maternelle*, a więcej jeszcze „*Matki Rywalki*“ pierwszeństwo u mnie miały, bo oczywiście ja byłam *Leokadyą*. Pamiętam jak nieraz po godzinie całej siadywałam nad sadzawką w izdebińskim ogrodzie, wyglądając rychło przyplynie do mnie gałązka mchowej róży, jak do Leokadyi przyplływała. Bóg widzi żem nie naówczas nie rozumiała jaką krzywdę wyrządzam mojej pocziwej matce, równając ją z „*Duchesse de Rosmond*“, a siebie z podrzutkiem. Ale wiadomo jak w dawniejszych romansach umiano owijać występki w powabną barwę i jak zbałamucone w nich były proste zasady cnoty i powinności.

„Właśnie kiedym kończyła rok czternasty, po różnych wypadkach, z których nie jeden sprawdził marzone przeze mnie przygody, dostałam się nareszcie zupełnie na zawsze do matki, do sióstr, do rodziny i zaręczyć mogę, że osiągnąwszy spełnienie tak długich, tak żywych pragnień, już nie życzyłam sobie niczego więcej, nie marzyłam o niczem i ani Amanda łącząca się z ubóstwianym Mortymerem, ani wszystkie Klary, Adele, Julje z Walmorami, Arturami, Alfonsa-

mi swymi, nie zdawały mi się tyle szczęśliwe, co ja i nie zdrościłam im wcale...

„Już ja nieraz opisywałam z upodobaniem moją matkę, jak ten malarz, co wszystkie piękności swoje malował podobne do kochanki; tak w moich pismach wszystkie dobre matki mają z moją podobieństwo. Ale żadna przecież, nawet pani Rawiczowa nie jest zupełnie nią, bo nigdzie nie można było opisać dosłownie okoliczności jój życia, różnych jój nieszczęść, a te jedynie malują osobę; i tu z tych samych przyczyn wiernego ich wizerunku nie dam; powiem tylko, że to była wielkich zalet i prawdziwie do kochania, do pożycia osoba. Znałam świętsze, doskonalsze, uczeńsze, więcej czarujące kobiety; ale miłszej, praktyczniejszej pobożności i cnoty, tak ujmującego ułożenia, humoru, rozsądku, pewno już w żadnej nie zobaczę. Ona tedy mię nauczyła słowami, obęściem, przykładem, całą sobą, że można być pobożną a razem wesołą, przyjemną, podbijającą, bo nie samo wieczne, ale i ziemskie szczęście jest w cnotcie, i nie odpowiadamy za nikogo, tylko za siebie; ona mnie przekonała, że staranność koło powierzchowności naszój jest obowiązkiem, bo od Boga mamy duszę i ciało; że można lubić i uprawiać nauki, ale będąc kobietą nie trzeba kłaść ich nigdy na pierwszym miejscu, ani nie módz wyżyć dnia jednego bez książki, a nareszcie ona mi zaręczyła: że wszystkie romanse to istne bajki, któremi wolno niekiedy się bawić, ale wierzyć im w czémkolwiek broń Boże! Nie zapomnę nigdy jak odczytywałyśmy razem niektóre i jak jasno wykazywała ich przesadę i niedorzeczności. Trafiło się też często, że w miejscach gdzieem pierwój rzewnie płakała, wtedy, zwłaszcza przy wesołości i dowcipie starszój siostry, boki zrywałam od śmiechu.

„W tém jak w wielu rzeczach innych, zupełnie mi się oczy otworzyły: zaczęłam być młodą, wesołą, naturalną, mniej wymagającą; zaczęłam poznawać zwyczajną rzeczywistość, a co większa, znajdować w niej upodobanie; co przed-

tém zdawało mi się stratą czasu, roboty ręczne, domowe zachody, to wnet w miłą powinność się zamieniło. Nawet co do umiejętności zyskałam nie mało; czytałam nierównie mniej, ale uczyłam się daleko więcej, a co najważniejsze było dla przyszłej pisarki, polszczyzna zaczęła wchodzić w mowę i w nauki moje. Nie uczyłam się wprawdzie polskiego języka z reguł, bo nigdy niczego (i dotąd tego odżałować nie mogę i dla siebie i dla pism moich) nie uczyłam się z reguł, porządnie, technicznymi wyrazami, ale ciągle oddychałam żywiołem polskim. Matka umiała po francuzku, inaczej jakżeby była mogła żyć lat kilkanaście w wielkim świecie; ale jako wychowana w staropolskim domu i żona dobrego obywatela i pisarza, mówiła i pisała lepiej i chętniej po polsku; prócz tego mieszkała wraz z nią siedmdziesięcioletnia jej matka, Prowidencya Czempińska, godna równiennica kasztelanowej Polonieckiej, która pamiętała wybornie Augusta III.

„Przy takiej matronie, francuszczyzna ostać się nie mogła; a do tego wszystkiego miałam jeszcze siostrę, moję odżałowaną Marynię, sześć lat młodszą odemnie, która chowając się do owjej pory przy babce, ani słowa po francuzku nie umiała; moja matka rozdzieliła staranie uczenia jej między nas dwie starsze siostry, i mnie się dostała religia i historia; bo trzeba jeszcze wiedzieć, żem uchodziła w rodzinie całej za małego Salomona, a między nami mówiąc, miałam się za daleko uczeńszą niż dziś: co może i tak było, wając naukę latami. Bądź co bądź, przystąpiłam śmiało i gorliwie do uczenia młodziej siostry, a choć używałam dzieł francuzkich, musiałam wykładać jej wszystko ustnie i na piśmie po polsku, gdyż inaczej nie rozumiała; i taka to była pierwsza i słodka przegrywka do tyłu późniejszych pism edukacyjnych, chociaż wtenczas autorstwo nie było jeszcze w gło-
wie i chociaż zamiłowanie polskiego języka i zarzucenie zupełne francuszczyzny nie nastąpiło aż z rokiem 1818 ze wspo-

minaném już przezemnie gdzicindziej przeczytaniu *Żalu Brodzińskiego za mową ojczystą*.

„To zarzucenie jednak, jak każdy mi przyzna nie byłoby mogło nigdy tak odrazu nastąpić, a osobliwie nie mogłabym była nigdy wskoczyć równemi nogami w autorstwo, jak to zrobiłam z r. 1819, gdyby po pierwszych dziesięciu latach obfitości francuzkiej w wychowaniu mojem, nie były nastąpiły siedm lat obfitości polskiej u matki; gdyby ona nie była mnie zachęcała, nie upatrywała we mnie, w stylu, w pisaniu nawet mojem podobieństwa z ojcem; gdyby jej przyjaciele, mianowicie Woronicz, Wyszkowski, oba ludzie nigdy nie mówiący po francuzku, nie byli mnie oświecali, przewodniczyli mi w poznawaniu klasycznych pisarzy naszych. Na koniec na większe każdego przekonanie powiem, że lata francuszczyzny tak mało rozwinęły we mnie jaki taki talent do pisania, iż szczerze wątpię, czy go mam z natury, i sędzę, że raczej moje siostry, a nie ja, wzięły tę puściznę po ojcu; dopiero z pracą nad polskim językiem i literaturą zaczęły mi się nasuwać myśli i mniéj pospolite wyrażenia. Pisałam ja wprawdzie do roku 1818 listy francuzkie nie źle; kochane ciotki moje, pani G... może jeszcze mają gdzie jaki mój list w tym języku, ale pewno każda z naszych panienek staranniej chowanych pisze takowe jeszcze lepiéj; co tylko zaś innego sprobowałam po francuzku, powieści, wierszyki, rozprawy, wszystko to było czcze i nic nie warte. Przeglądałam te pismidła moje przed ostatecznym wyjazdem z Warszawy, i znalazłam same tak nazwane *lieux communs*, pod tytułem: *les Sentiments*, *les Fleurs* i tém najrzetelniejszém, *mes Riens*; nie wiele téż myśląc, wrzuciłam wszystko w ogień i doprawdy, że nie szkoda.“

Tymczasem kiedy Klementyna, w obcym domu jeszcze, najmocniéj tęsknić zaczynała, rodzice jej wzięli do siebie starszą jej siostrę Zosię; lecz ta, niedługo kosztowała tego

szczęścia, bo umarła w dziesiątym roku życia—,wielkie czyniąc nadzieje, dobra jak anioł, lubo chorowita, wielki żal zostawiła po sobie.“ Na kilka miesięcy przed jej śmiercią, w Kwietniu 1803 r., pani Tańska powiła czwartą córkę, ukochaną Klementynę, Marynię. Od tego czasu zaczęła coraz mocniej cierpieć na nerwy, a musiała to być w owym czasie mało jeszcze upowszechniona choroba, kiedy tak zakochana w swęj matce córka, jak pani Hofmanowa, przypisuje ją tylko, wpływom wielkiego świata, przykładowi dam z mody spazmujących i beczynności dworskiego życia.

„Ale te nerwy, mówi dalej, więcęj jeszcze się rozprężyły i ze słuszniejszej przyczyny, okropnem i nagłem nieszczęściem. W lecie 1805 roku przyjechali rodzice na coroczne krewnych i przyjaciół odwiedziny. Radość ich widzenia powiększoną jeszcze była pomyślnemi nowinami, jakie ogłoszono w Izdebnie i było gości dosyć. Ojciec nasz był nadzwyczaj wesoły, wprawdzie od dni kilku skarżył się na lekkie ciśnienie, ale pomimo tego zjadł na wieczerzę pełny talerz chołodzcu i jak najweselęj spać poszedł. Pamiętam to jeszcze jak dziś; gościnne pokoje w Izdebnie były w oficynie; tam stali rodzice, ja sypiałam w pokoju pani Szymanowskiej i jej córek; wtém budzi mię krzyk siostry mojej: „Ratujcie! wołała, Tata umiera!“ Porywają się wszyscy z łózek, biegną—mnie iść nie dali, chociem się wydzierała—aż tu wnet prowadzą matkę moją bladą z osłupiałemi oczyma, w kołdrze białej obwinętą i mówią:—„Już umarł.“ Jakoż w samej rzeczy, ruszony apopleksyą, skonał. Wśród nocy chrapanie nadzwyczajne obudziło matkę naszą koło niego śpiącą, zaczęła na niego wołać, szukać jego ręki: już nie przemówił—zdawało jej się tylko, jak potém nieraz mówiła, że ją lekko ścisnął. Olesię wysłała po ratunek, myśląc, że jeszcze czas będzie, ale gdy przyszli z światłem, gdy i doktor przyszedł, już było po wszystkim.

„Wyjechaliśmy wszyscy do Zaborówka, tam mieszkaliśmy

siostrzenica matki naszój, Marya z Izbińskich Wodzińska: tam trzy dni byliśmy. Pogrzeb ojca odprawił się przez ten czas; zdarzenie mieć chciało, że także 15 Sierpnia przed kilkunastu latami umarł był Michał Szymanowski starosta wyszogrodzki, mąż pani Izdebna a ojciec panny Doroty; szanując pamięć jego wdowa, przez całe życie postanowiła wielkiem żałobniem nabożeństwem obchodzić ten dzień co rok, a nie mogąc w sam dzień jako w święto Wniebowzięcia, obchodziła go nazajutrz... Jeszcze więc nie ostygło ciało naszego ojca, kiedy zaczęli zjeżdżać się księża z okolic, a prawdziwy pogrzeb połączył się z pamiątką. Po trzech dniach pobytu w Zaborówku, wróciliśmy wszyscy do Izdebna i matka gościła tam przez trzy miesiące. Żalu jój opisywać nie mam potrzeby; serce moje tak żywo go sobie wystawia, że mam wstręt niejaki do jego kreślenia. Kochającem się do końca, dobranem małżeństwem byli rodzice nasi; miłość, przyjaźń, szacunek, ufność: wszystkie te wzajemne mieli ku sobie uczucia; strata więc matki naszój, była ogromną.

„Wieczną wdzięczność wszystkie mieć powinnyśmy izdebińskim paniom; najtkliwszemi staraniami sładziły jój to nieszczęście i nie wypuściły z domu, póki cokolwiek zdrowszój, cokolwiek ukojonój w żalu nie ujrzeli. W jój stracie nie tylko serce żony, ale i serce matki cierpiało. Ojciec żadnego nie zostawił majątku, grosza złamanego; stosunki z Puławami zdawały się ze śmiercią jego przerwane, w Wyczułkach wyżyć trudniem się stawało, zwłaszcza kiedy już wojna groziła w tym czasie. Księstwo okazali się najszlachetniej, napisali oboje listy jak najtkliwsze. „W żalu takim nic nie pozostaje, pisali, jak płakać z temi którzy także płakać mają przyczynę. Przyjedźże Tańsiu droga do pałacu i mieszkaj przy nas.“ Przyłączonym był skrypt na 6,000 zł., które ojciec nasz wysłużył sobie i zapewnienie płacenia corocznie matce naszój 3,000 zł. Na te zaprosiny i to zapewnienie matka nasza pojechała z Olesią i siostrą swoją Ka-

tarzyną; ta już z nią raz jeździła do Puław i pozyskała tam sobie serce zacnego młodzieńca Jana Gotzla, syna doktora księcia, jakoż w kilka miesięcy po przyjeździe, weszła z nim w śluby małżeńskie.

„Warszawa i jej okolice zostawały jeszcze podówczas pod rządem pruskim, z tej epoki zostały mi niektóre tylko szczegóły w pamięci. Przywieziona raz do Warszawy, mieszkałam na Nowym-Świecie wprost dawnego pałacu Sułkowskich; piękne to były wtedy rozwaliny, szkoda tylko, że poprzyczepiano bud mnóstwo: te zapaliły się raz i wszyscy biegną na ratunek, wojsko tylko pruskie staje pod bronią i zabiera się wychodzić z miasta, mówiono, że tak w całym mieście się dzieje, skoro *alarm* na ogień. Około tego czasu właśnie publiczne finansowe obroty, osobiście do żywego i mnie także dotknęły. Pierwszy raz w życiu moim na imieniny dostałam dukata, czyli 18 złotych dydkami pruskimi. Zanim wydałam połowę, te dydki, co znaczyły sześć groszy, spadły na cztery i jam straciła trzecią część mego majątku. Pamiętam również wyprawy do Gdańska, jak niejaki Górski, komisarz, jeździł do Gdańska i przywiózł tak wiele pieniędzy, że cały kuferek pełen był worków z talarami. Nie mogę zapomnieć nazwiska gubernatora Kelera, wspomnianego zawsze z wielkim poszanowaniem i zdaje mi się nawet, że go gdzieś widziałam, gruby był i mały.

„Są mi przytomne imiona emigrantów francuzkich: Rollay w Guzowie nasz metr, Rousselete, Joué, Pothiér, Duroc w Puławach, wszystko księża; z guwernantek panna Charmoy, Ballet, Dutrieux; ztąd najwięcej poszło rozszerzenie się języka francuzkiego i zamiłowanie francuzkich guwernantek, bo sobie wystawiano, że wszystkie francuzki tak dobrze ułożone i wychowane jak one. O pani de Vauban słyszałam zawsze jako przyjaciółce i dobrodziejce księcia Józefa Poniatowskiego. On będąc młodym w Paryżu zadłużony, doznał jej pomocy; kiedy przyszła na nią emigracya, wywdzięczył

się, przyjmując ją w dom swój; wiek jój odganiał, zwłaszcza dla niewinnych wszelkie złe myśli. Książę Józef w moim dzieciennym umyśle zostawił wrażenie pięknego ideału. Panią de Vauban widziałam tylko w karecie zamkniętą, w której mówiono, że ma piecyk czy komin; zdawała mi się stara jak świat. Emigracya francuzka najwięcej uzyskała miru w prowincyach pod berłem rossyjskiem. Tam wsie, dobra, pałace darowywali panowie polscy Poliniakom, Rychelierom i innym. Pobytu Ludwika XVIII w Warszawie nie przypominam sobie, ale u Sakramentek, czy u Wizytek widziałam jakąś księżniczkę francuzką, zakonnicę, która tam umarła. Wiem tylko anegdotę o Ludwiku, że mieszkał w domu dawnym Nofoka, gdzie dziś oficyna pałacu namiestników, i miał jeden pokój na wszystko. Przecież zawsze etykieta dworska była zachowywana. Kiedy stary Nofok, który mu wszystkiego dostarczał, chciał z nim mówić, nie mógł, bo urodzenie jego nie dozwalało mu rozmowy wprost z królem; stanął więc między królem a nim w tym samym pokoju szambelan, i z wszelką uroczystością słuchał słów Nofoka, a potem powtarzał je królowi; król odpowiadał, i tak samo słowa jego odnoszone były Nofokowi. Wspomniawszy, że Ludwik XVIII doczekał się korony, nie tak to osobliwem się wydaje, ale w owym czasie gdy Napoleon trząsał światem, burbońska ta etykieta bardzo dziwną zdawać się mogła. Dzieciństwo moje przeszło w wypadkach bardzo znamienitych; jednak z zagranicznych zdarzeń pierwsze co pamiętam, to spisek Jerzego Cadoudal na życie pierwszego konsula. Tyle o nim mówiono, pisano, że przypominam sobie iż się zapytałam w liczniem towarzystwie: czy ten Georges co ukradł, że tak na niego gadają?

„W cnotliwym chowałam się domu i prawdziwie wiele przymiotów, wiele pięknych czynów pani starościny i jój córek dziś dopiero oceniam jak należy. Jakie piękne było ich postępowanie z rodziną Streit. Kiedy Warszawa i cała

Polska zajęte były przyjściem Francuzów i zabaw, wrzawy, roztargnień było bez liku; mało komu przyszły na pamięć nieszczęśliwe rodziny urzędników pruskich, którzy nie wszyscy z żonami i dziećmi mogli tak spiesźnie opuścić Warszawę, jak spiesźnie zbliżały się wojska francuzkie. Było zatem wiele ich w nieszczęściu. Mąż, baron von Streit wyjechał z Warszawy; innego nie miał majątku prócz urzędu, który stracił oczywiście; rodziny nie zabrał, bo nie miał gdzie jęj zawieźć, a bardzo liczną była: siedmioro dzieci żyjących, ósme w drodze. Niebytność jego trwała kilka miesięcy; przyszła więc na tę rodzinę największa nędza, ile że dumna, wzywać nawet niczyjęj opieki nie chciała. Pani starościna zupełnie się zajęła tą rodziną i dała jęj przytułek. Dwóch synów na jęj prośbę wziął brat Jan Świdziński, najstarszą Ludwiką szczególnie opiekowała się córka, słowem wyrwała ją zupełnie z nędzy, a jaka to była nędza! Byliśmy u nich za Żelazną Bramą w jakimś nędznym dworku, pamiętam, że nam mówili, że już od kilku tygodni samemi ziemniakami żyją. Z Ludwiki to zrobiłam później powieść: *Szlachetność*. Pani Streit umarła w Izdebnic; troje dzieci za nią poszło. Ludwika dostała męża i wróciła do ojca z resztą rodzeństwa.

„Młode moje lata spływały cokolwiek jak dziecinny wiek Joasa. Święta, uroczystości kościelne, były przez lat kilka najważniejszymi życia mego wypadkami. W skromnym kościółku wiejskim w nieludnej parafii, nie było wiele wspaniałości, ale imaginacya dziecinna dodawała czego brakowało. W Wielki tydzień np. nie wiem czybym więcej wiarę przejęta być mogła w kościele Św. Piotra w Rzymie, jak w tej drewnianej świątyni. Kiedy ksiądz szedł do zakrystyi z Ukrzyżowanym, pewna byłam, że tam grób prawdziwy. Kiedy ustrojono frankami kaplicę i stanęło dwóch chłopców na warcie z drewnianemi pałaszami, z piórkami pawimi u czapek, widziałam w nich żołnierzy Piłata. Pamiętam także

jakie wrażenie na mnie zrobiły niektóre wysłowienia dramatyczne, tak z Ewangelii, jak z pieśni Rozmów duszy grzesznika z bolejącą Matką Chrystusa; w gorzkich żalach nigdy bez rozczulenia słuchać nie mogłam: „Ach! mnie matce boleściwiej!...” albo „Co mnie pytasz, wszystkim w mdłości...” i inne wyrażenia tkwiły mi w duszy, lubo fałszywie, piskliwie, okropnie przez organistę i wiejskie kobiety śpiewane. Kiedy w Niedzielę Wielkanocną, skoro świt, szliśmy na rezurekcyą i ten kościół wczoraj ciemny i smutny, dziś był jaśniejący i ozdobny, nie mogłam wstrzymać się od mimowolnej wiary, że coś istotnie cudownego zaszło, że Chrystus zmartwychwstał. Figury Chrystusa zmartwychpowstałego w czerwonej zasłonie z chorągiewką, którą obok gromnicy koło ołtarza stawiano, nigdy nie zapomnę; jój widokowi tyle towarzyszyło miłych wrażeń: święcone, kilka dni rozrywek, wiosna. Przekonana jestem, że do wpojenia we mnie wiary, wiele dopomógł ten ciąg świąt i uroczystości, ta zgodność pisma, katechizmów, których uczyłam się w domu, z tém co widziałam w kościele, i sądzę, że matki powinnyby bardzo tego sposobu używać, łączyć nauki domowe z obrzędami publicznymi. Ale to dźiać się nie może w miastach, gdzie tyle rozrywek, opera i wszystkie teatra wnetby wybiły z pamięci tante pobożne widoki. Wreszcie podobny kurs powinien być dawany wtenczas, kiedy jeszcze dziecko teatru nie ma wyobrażenia. Ze mną zrobiło się to niechcący, bez planu, ale zrobiło się dobrze. Ja późnom była pierwszy raz na teatrze; grano w domu komedye i ja do nich należałam, ale to w takich złudzenia nie wiele. Pierwszą sztuką jaką widziałam, był Leszek Biały; już miałam wtenczas lat ze dwanaście i spoiły się jakoś w moim umyśle dzieje polskie z teatrem, podobnie jak Pismo Święte z kościołem...

„Matka nasza po śmierci ojca nie gościła w Puławach nad trzy lata. Pobyt jój w Warszawie był potrzebnym dla rosnących dzieci i dla wydania pogrobowych pism naszego

ojca, którém z razu wszyscy trudnić się chcieli, a jak przyszło co do czego—wyszło niedbale. Przeprowadziła się więc do stolicy. Sowiecie płacili jój niektórzy prenumeratę, którą łącząc do otrzymanych pieniędzy za inwentarz Wyczulski i wydatki wojenne z czasu Francuzów, uzbierała do 26,000 zł. Te lokowane były u rozmaitych osób, procent od nich złączony z zostawioną jój pensją po mężu, wynosił przeszło 5,000 zł. rocznie i nieraz matka nasza powtarzała, że gdyby tak pewną była do śmierci pensji jak procentu, a procent tak regularnie ją dochodził jak pensya, miałyby się za bogatą. Bo prawdziwie kto tego nie widział, trudno żeby sobie wystawił jak umiała się obchodzić małym, jak mało wydawała pieniędzy. A tymczasem nie mógł ją nikt gospodynią nazwać, bo sama nie krzątała się koło niczego, szyć nawet dobrze nie umiała, tak pańskie było jój wychowanie, tém mniej téż gotować, samój do miasta chodzić i tém podobnie. Ów talent i wykonanie jego, przypisuje jedynie temu, że często rachowała pieniądze swoje i nigdy grosza nad przychód nie wydała. W jedzeniu największa panowała u nas prostota: kawa, cukier, wino, wygnane zostało; na oko jednak dom był bardzo ucziwy, pomieszkowanie porządne, lokaj, garderobianna, kucharka, ale pieczone nawet raz tylko na tydzień bywało. Przyzwyczajonój do lepszej kuchni, było to zapewne przykro; lecz znosiła to po filozofsku i z pustą wesołością.

„Związek z domem ministerstwa Łuszczewskich, jednym z pierwszych w stolicy za czasu Księstwa Warszawskiego, dostarczał życiu naszej matki nieporównanego wdzięku, ale wnet z tego źródła spłynął na nią strumień goryczy. Pani Łuszczewska od pierwszej młodości słabych piersi i zdrowia, zaczęła coraz mocniej zapadać i nareszcie zupełnych dostała suchot. Było to w r. 1809; mąż jój jako minister, pojechał do Poznania, a ona w jego nieprzytomności, na rękę matki naszej po kilkotygodniowej chorobie umarła.

W tój okoliczności życia naszój matki, dla tych którzy ją z bliska znali jest zaszczyt wielki. Nie było większego tchórzeza jak ona, rozumiała, że się każdą chorobą zarazi, a przecież gasnącej na suchoty przyjaciółki nie odstąpiła na chwilę. Ze śmiercią ministrowej ubyłó jój wiele słodyczy życia, lecz przekonało jeszcze lepiej, że sama utrzymać się jest w stanie. Utraciwszy przyjaciółkę, jako czuła matka, umyśliła w dzieciach szukać pociechy i zapragnęła nas wszystkie zebrać koło siebie. Marynia chowała się u babki, dobrze jój tam było, ale jednak potrzebowała już starowniejszych nauk, więcój cokolwiek na ułożenie uwagi. Wreszcie kończyła się już dzierzawa Wyczułek, babka sprowadzić się musiała do Warszawy.

„Mając 120 dukatów pensyi od córek, miała mieszkać w stolicy wspólnym kosztem z wujem Ignacym; bardzo więc było rzeczą oczywistą, żeby Marynia przeniosła się do matki. Co do mnie, na naukach mi nie zbywało, kładziono mi ich nie mało w głowę, zwłaszcza francuzczyzny; doznawałam od mych opiekunek wiele przywiązania, ale serce dobrej matki znieść dłużej rozdzielenia nie mogło. Miałam już wtenczas lat trzynaście. Przymtem moja opiekunka wybierała się iść za mąż za jednego z wyższych oficerów francuzkich. Ale odebranie mnie z domu pani starościny wyszogrodzkiej nie było rzeczą tak łatwą. Moje zacne opiekunki z miłości wystawiały mnie sobie za swoją własność i nie przypuszczały, żeby można mnie było z niemi rozłączyć. Rokowania o odebranie mnie, trwały przynajmniej trzy miesiące; obszerny tom ułożyłby można z korespondencyi i rozmów w tój mierze; jednak, koniec końców, matka wygrała. Po moim powrocie rozpoczęło się dla matki naszój życie nader miłe. Odzyskała dom pana Łuszczeńskiego. Matka żony jego, pani Cieciszewska z córką swoją Antoniną nim rządziła, a zarazem opiekowała się pięciorgiem jego dzieci. Co Niedziela tam bywałyśmy i dotąd

jeszcze pamiętam wesołość gier i zabaw, poczciwość i uprzejmość dzieci Łuszczewskich. We Czwartki chodziłyśmy na obiad i dzień cały do babki naszej; we Wtorki babka u nas bywała, oddawszy nam Marynię bez żadnej trudności. Miała nas więc matka wszystkie trzy u siebie i było nam przedziwnie. Powtarzam to zawsze, nie wiem jakim cudem, ale ze swemi 5,000 zł. matka wystarczała na wszystko; zawsze porządnie, choć skromnie ubrane, nigdyśmy nie ucierpiały głodu, a ja mając zawsze wszystko czego mi potrzeba było, myślałam, że bogata. Matka trzymała nam jeszcze metra do francuzkiego języka, starszej siostrze do gitary i śpiewu. Później dopiero zaczęło jej trochę niewystarczać, kiedy zwłaszcza starsza moja siostra, mająca już lat siedemnaście i piękną urodę, w zimie musiała bywać między ludźmi, a w lecie wabiła w dom gości. Właśnie też w tym czasie ciotka Justyna, po długich namowach namyśliła się jechać do Wrocławia i tam iść za szwagra swego, zacnego W *). Babka nasza po jej odjeździe została sama; przyszło na myśl matce naszej ofiarować jej dom swój. Było może lepiej co do intraty i wesołości po sprowadzeniu się babki, ale ubyło swobody i wygody; pomieszkanie nasze było bardzo ciasne; spałyśmy wszystkie w jednym pokoju i to jeszcze w przechodnim. Matce naszej przyzwyczajonej do czegoś lepszego, było to przykro, ale znosiła wszystko z anielską słodyczą.

„Nie długo to trwało; zdarzyło się wolne mieszkanie w kamienicy Czempnińskich, na której miała wierzytelności 300 duk. Było to właśnie toż samo mieszkanie, gdzie się urodziła starsza moja siostra, gdzie przebyła matka pierwsze i tak szczęśliwe lata zamężcia; miło jej więc było zająć też same pokoje, a choć z otwartego powietrza przeniosła się do ściśnionej i brudnej części miasta, była kon-

Wejgel, bankier z Wrocławia, niemiec szląski.

tenta, bo ledwie nie kochała Starego Miasta. Pomieszkanie obszerniejsze prawdziwie nam uprzyjemniło złączenie się babką naszą, bo kochanie wzajemne wiele zależy na tém, by nie zawadzać jedno drugiemu.

„Pojechałam na kilka miesięcy do ciotki Goltzowej, do Sieniawy. Działo się to w 1813 roku; wróciwszy, dostałam szkarlatyny i nie ochraniając się wcale, jak to zwykły czynić młode panienki, wpadłam w zgniłą gorączkę, a skutkiem tego porobiły mi się wrzody na płucach, i choć ja o tém nie wiedziałam, doktorowie Czekierski i Remer wątpili już o mojem zdrowiu. Lecz przeznaczył mi Bóg życie i wyzdrowiałam. Nie wiem, czy przy największych dostatkach mógł kto w rodzinnym domu więcej jak ja doznać starań i tkliwości.“

Nadszedł wreszcie ów rok 1818, który w naukowym kierunku Klementyny tak głęboko się zaznaczył. Widać że dotychczas jeszcze po francuzku pisywała tylko, bo między jój papierami, na dzień 1 Stycznia 1818 r., takie wśród innych uwag znalazły się słowa:

„...,odtąd pamiętnik mój po polsku pisać będę. Ileż to działa na człeku pierwsze jego wychowanie! Przyzwyczajona od dzieciństwa uczyć się wszystkiego we francuzkim języku, wzrosłam w fałszywém mniemaniu, że zupełnie niepodobną jest rzeczą dla kobiety napisać list lub cokolwiekbądź po polsku; przekonana teraz jak mylne było moje zdanie, uznaję iż równie dobrze w ojczystej, jak we francuzkiej wysłowić się można mowie: wstydzę się dawnego mego zaślepienia i z chęcią ustąpiłabym znajomości pisania po francuzku, za styl piękny, bez błędów i prawdziwie piękny. Usilne łożyć będę starania, aby go choć poczęści nabyć; czytam klasycznych autorów naszych i znajduję w nich wdzięki równe zagranicznym pisarzom. Mało ich jest, prawda, ale teraz kiedy wszyscy nabierają smaku do krajowej literatury, wróżyć można, iż coraz więcej kwitnąć pocznie.

Nie wiele mamy wprawdzie piszących, ale nie wiem czy między kobietami szczególnie, liczba ich nie przewyższa liczby czytających. Płeć nasza zdaje się iż nie nad Wisłą, ale nad Sekwaną się rodziła, tyle ma upodobania w francuzczyźnie; za płcią piękną prawie idą wszyscy... Jako zjawienie literackie głoszą, że piękne Śpiewy Historyczne w przeciągu kilku miesięcy rozprzedane zostały i że publiczność drugiego wydania wymaga. Spodziewać się trzeba, szczególniej jeśli kobiety przyłoży się do tego zechcą, że za parę lat podobne zdarzenia dziwić nas przestaną. Z rokiem 1818 zaczynam więc ćwiczyć się w języku moim rodzinnym, żałując że uwiedzionej powszechnym przykładem, rozum ten i to poznanie tak późno przyszły.

„3 *Stycznia*. Pierwsze ukontentowanie doznane w tym roku sprawił mi Pamiętnik Warszawski; przed rokiem żadnych z nim związków mieć się nie spodziewałam, jednak nic pewniejszego, że teraz sam jego widok mnie obchodzi, a kiedy w społeczeństwie o nim mówią, rumienię się jak gdyby jakiego młodzieńca wspomniano. Rzecz taka: z namowy matki już dwa miesiące temu, starsza siostra i ja posłałyśmy do redakcyi *dwa synonimy* z życzeniem, aby w Pamiętniku były umieszczone. Dwa numera wyszły, a naszych dzieł jak niema tak niema: wstyd straszny! nareszcie wychodzi styczniowy (który podług naszego kochanego Dobrogosta Marcelego) zawiera zawsze w sobie co redakcyja ma najlepszego. Są i nasze dzieła, radość wielka! prawdziwie trudnoby mi wyrazić, jak mi razem dziwno było i miło, gdym ujrzała pismo moje drukowane. A że jakoś nieźle myśli te się w książce wydają, już sobie ztąd różnc układam plany na przyszłość *). Nie pójdę nigdy za mąż, to

*) Starsza siostra, pani Aleksandra Tarczevska w następujący sposób historyą, tych dwóch synonimów opisała:

„Kilkakrotnie mówiono o styczniowym numerze Pamiętnika, a o sy-

rzecz pewna, zawsze więc będę miała wiele chwil wolnych; czytać i pisać, jest to dla mnie jedną z największych przyjemności życia; będę więc wprawiać się z wolna, to tłumaczeniami, to małemi drobnostkami oryginalnie pisanemi, a skoro znajdę więcej gładkości i wprawy w stylu, więcej nauki i rozsądku w głowie, wezmę się do jakiego dzieła. To dzieło będzie zdadne do edukacyi kobiecój; cnotcie samój pióro moje poświęcę, a choć najpewniej nigdy pięknie pisać nie będę, jednak może i czytelników i kupców znajdzie praca moja. Życia mego nie zmarnuję, może nawet użyteczną się stanę, a pieniądze zebrane ulgą będą dla matki. Tak ozdabiam przyszłość moją; takimi czarującemi ma-

nonimach ani dudu. Już nasza muza była ostygła, już świat nie miał ujrzeć więcej dzieł naszych, gdy pani Gr. zaprosiła mnie na wieczór. Było dosyć osób... w przeciągu wieczora grał na fortepianie młody Chopin, dziecię w 8 roku, obiecujące, jak twierdzą znawcy zastąpić kiedyś Mozarta.. potem zgadało się o pismach peryodycznych... Obruszano się na Tygodnik, wszyscy byli za *Pamiętnikiem*... wtém generał K. odzywa się: „osobliwie od Nowego roku *Pamiętnik* prawdziwie interesujący; w styczniowym numerze np. co za śliczne synonimy bezimiennego; jakie trafne porównanie hortensyi z dowiecipem.“ „W samój rzeczy“ odpowiedziała pani S. Na te słowa tak mi zaczęło bić serce, taki mnie wziął pusty śmiech, żem ledwo usiadła na stołku. Za powrotem zaś do domu ogłoszenie chwały naszej taki zrobiło rozruch w całej rodzinie, jakby na rynku przy otrębianiu jakiej zguby. Przez kilka dni tylko o tém rozmawiałyśmy i dopiero oswojone z chwałą, wróciły damy do dawniej spokojności. Żart na stronę, ta przygoda dała miejsce różnym projektom... Klementyna umyśliła napisać rady matki dla córki. (*Pamiętnik Warszawski* był pod redakcją Feliksa Bentkowskiego, mieścił w pierwszych latach *świstek krytyczny* wraz z czynnościami towarzystwa smorgońskiego, pisany bezimiennie przez hr. Stanisława Potockiego, wówczas ministra oświecenia; w r. 1818 umieścił rozprawę Brodzińskiego o klasycyzmie i romantyczności, *Tygodnik warszawski* następnie pod nazwą *Wanda Tyg. dla płci pięknej* w r. 1818 i 1819 pod redakcją Brunona hr. Kicińskiego i Józefa Brykczyńskiego—od 1820 do 1822 redak. F. S. Dmochowski i D. Lisiecki a nareszcie w nieco odmiennej formie wydawał Ksawery Godebski.

luje ją farbami! Dojdą, czy nie, te projekta, zawsze zarabiam przyjemne chwile, które na podobnych myślach pędzę, bo co ja, to ledwie że nie równą rozkosz znajduję w ukontentowaniu którego doznaję, jak w tém którego się spozdiewam.

„30 *Stycznia*. Kiedy w pierwszych dniach tego miesiąca mówiłam o zamiarze pisania kiedyś jakiego dzieła, sama sądziłam, że ledwie za parę lat o skutecznieniu tego pomyśle; ale projekt pochlebiający, skoro młodą zajmie głowę, póty ją męczy, dręczy, aż go choć cokolwiek nie przeprowadzi do skutku; tak, jak to wino co szumi, burzy się niespokojnie póki korka nie wysadzi. Myśl moja ustawicznie tą przyszłością była zajęta. Niedawno przetłómaczyłam z kalendarza paryzkiego powieść bardzo dowcipną z *Mari-vaux*, pod tytułem *Sans y penser*; cała nasza familia warszawska pochwaliła mi tę pracę, podałam ją znów do Pamiętnika. Natenczas mój projekt, podsycany przez miłość własną, tak mi się zaczął wiercić i kręcić po głowie, że bojąc się, aby nie pękła, wolałam go zaspokoić. Ciotka W. przysłała nam przed kilką laty z Wrocławia dzieło niemieckie, *Jakóba Glatz: Rosaliens Vermächtniss an ihre Tochter Amanda*; myśl tego dzieła następująca: Dobra jedna matka, czując iż umrze wkrótce, zostawia na piśmie córce swojej rozmaite przestrogi i rady, zalecając aby je często odczytywała; ta praca dostaje się publiczności po jój zgonie. Dzieło to bezwątpienia wiele dobrego w sobie zamyka, ale że nie ma podziału, że jest zbyt poważne, że są rozprawy religijne i trzy kazania, umyśliłam nie tłómaczyć dzieła pana Glatz, nie naśladować go nawet, tylko główną myśl wziąć z niego i niektóre zdania, które mi się zgodne z mojemi zdawać będą. Utworzę pismo zupełnie oryginalne; zamknę w niem w krótkości nauki zdolne do ukształcenia cnotliwej, miłej kobiety. Małe powieści, a prędziej przykłady przydawać będę do niektórych przestróg, bo tak łatwiej wbijają się w młode umy-

sły; zachęcać będę wzrastające panienki do ojczystego języka: słowem będę się starała, aby piękny cel dzieła zastąpił brak światła, doświadczenia i znajomości języka. Pragnąc tę matkę interesującą uczynić i chcąc, aby nic w tak krótkim piśmie nie było bez użytku, opisałam ją w dosyć długim wstępie, nadałam jej wszystkie cnoty i tylko jedną wadę, która tém niebezpieczniejsza dla kobiety, iż prawie ją miłszą czyni. Tą wadą jest zbyt duża czułość, to źródło tylu wdzięków i tylu umartwień! Nie kreśliłam z głowy obrazu *Maryi*, panią Łuszczewską (z Hermanową), tę prawdziwą tkliwości ofiarę, usiłowałam choć w części przedstawić w jej osobie. Ile zaś razy wzorów cnoty, przyjemności potrzebuję, szukam koło siebie, mam je dostateczne w matce, ciotkach, siostrze, pani P. Ł... i t. d. Gdy później wypadnie mi wspomnieć o wadach, w naturze także obrazów szukać będę, a tym sposobem farby, których użyję, nigdy przesadzonemi nie będą.

„Nie wiem, czy to dobry skutek robi i wszystkim czytelnikom do gustu przypadnie i do przekonania trafi; ale ja w całym tém piśmie własnego serca słuchać zamysłam, słowa nie powiem, którego bym nie czuła, zdania nie przytoczę, o którém bym przeświadczoną nie była: świat opiszę tak jak go widzę, nie tak jak książki i starsi malują. O wstępkach mówić nie będę; bom sama młoda, i dla młodości piszę, a ten wiek nietylko że ich znać nie powinien, ale i niechętnie o nich wspomina. Co więc w pierwszych dniach tego miesiąca było tylko projektem, już uskutecznić zaczęłam: napisałam plan całego pisma, podzieliłam go na cztery części, do każdej części sześć przeznaczyłam rozdziałów, a przejąwszy się tém, iż jestem umierającą matką i piszę dla córki, zasiadłam do ulubionego mego stolika i z większą łatwością, niż się spodziewać mogłam, napisałam część pierwszą. Wymagać będzie wielkiej poprawy nim się publiczności ukaże, ale i to dobre, że już jest na świecie. Czy-

tałam ją właśnie wczoraj w przytomności domowych; mężczyzn nie zaprosiłyśmy na tę sessyą literacką, bo się ich boję i wstydzę: otrzymałam oklaski, które zadosyć i sercu memu i miłości własnej uczyniły. Już teraz nie wątpię, że to dzieło drukowaném będzie, matce go przypiszę i dam mu tytuł następujący: *Rady czulej matki córce swjej Amelii, przez młodą Polkę*; może i wiek mój wyrażę, żeby więcéj zyskać pobłażania. Nim jednak pokaże się światu to dzieło mymagać będzie koniecznie kogoś takiego, któryby je z uwagą przeczytał i poprawił. Znam prawda mężczyzn zdolnych do téj pracy: Wyszkowskiego, Tymowskiego i innych, ale nigdybym nie miała odwagi zwierzyć im się; wołałabym do kogo nieznanomego się udać i najpewniéj, że jak pismo moje ukończone będzie, pošlę je bezimiennie Niemcewiczowi; zachęcę go listem, a może nietylko je poprawi, ale i późniéj jak wyjdzie opiekować się niém będzie. Czuję już dla tego dzieła prawdziwie macierzyńskie przywiązanie, nie chciałabym go w świat puścić bez podpory i protekcyi. Gotuję się zawczasu, że krytykowaném będzie i nie wiele mię to trapi. Słabość stylu, brak doświadczenia i polszczyznę tylko ganić będą mogli, a ludzi rozsądnych zdaniem, cel w którym pisałam, wiek mój, mała liczba podobnych dzieł w naszym języku i to przebaczyć dozwolą. Wreszcie bezimiennie wyjdzie to dzieło, choćby się kiedy odkryło, że jest mojm (co zupełnie niepodobną jest rzeczą, bo tak mało znaną jestem); charakterowi memu szkodzić nie będzie, do postanowienia mi nie przeszkodzi, bo naprzód pewna jestem, że nigdy za mąż nie pójdę; a jeżelibym poszła, to pewno za takiego, w którego umyśle podobna praca dodałaby mi, a nie ujęła wartości. Wyrzutów sumienia nie mam żadnych, bo dla pisania żadnych innych nie zaniedbuję zatrudnień; pomimo tego, że niby jestem autorką, najczęściéj nasze pokoje moją uprzątniętą ręką, wszystko co mam na sobie, moją ręką uszyte. Wicunię uczę tak, jak i dawniéj,

do niczego mi więc ta praca nie przeszkadza, a dodaje wdzięku przyszłości mojej, uszczęśliwia mnie zupełnie.

Pocziwy i kochany mój szwagier obiecuje pożyczyć mi pieniędzy na kosztą druku; spodziewam się choć drugie tyle zarobić, a rejestrów, co zrobię z tą summą już tyle mam prawie, ile rozdziałów w mojem dziele. Jakżebym była szczęśliwą, gdyby te nadzieje spełnionemi zostały; ileżbym mogła sprawić przyjemności matce, siostrom, sobie: zanadto wielkiem na tę ziemię to szczęście mi się wydaje. Z pracy własnych rąk, z pracy która była zabawą i użyteczną być może, przestać być ciężarem dla matki, móżd przysłużyć się osobom drogim! wspomódz biędnych! Boję się czy nie zanadto od losu wymagam; jedna to myśl, że Bóg dobroczynny niczego nie szczędzi, kiedy idzie o niewinne zadowolenie żądań ludzkich; ufność w Jego dobroci, rzeczywistość jakąś tym nadziejom nadają.

10 *Lulego*. W tych dniach mogłam los mój odmienić i zapewnić; mogłam się puścić w wielki świat, jeździć kareta, ubierać się pięknie, mieć swoje pokoje: słowem żyć po pańsku i mieć dużo pieniędzy, lecz odmówiłam. Czytając te słowa, mógłby kto sądzić, że jakiś wielki pan, bardzo majętny oświadczył się o moję rękę; że albo stary, albo niezdolny do uszczęśliwienia kobiety być musi, kiedym go odrzuciła. Wcale nie tak rzecz się miała. Pani Józefowa K. ma trzy córki; kocha bardzo swoje dzieci, chciałaby z duszy być jak najlepszą matką, ale przytém lubi tańcować, bawić się, spać długo, jeździć po balach, wieczorach, wizytach i jakoś jednego z drugim zgodzić nie może; życzyłaby więc sobie znaleźć osobę, którójby zupełnie zaufać mogła, powierzyć jój całkiem wychowanie dzieci, a bawiąc się sama wesoło, patrzeć z daleka na jój czynności. Przebiegając długo w tym celu wszystkie znajomości swoje, rzuciła nareszcie oczy na mnie i zachciało jój się koniecznie, abym ja się podjęła zastąpić jój miejsce. Ofiarowano mi 300 dukatów

pensyi rocznej, za pięć lat 1,000 dukatów; tytuł nie guwernantki tylko przyjaciółki, starania, wygody. Nie odmówiłam ja odrazu; zdała mi się ta okoliczność godna zastanowienia: truchlałam, czy to nie było wolą samego Boga, czy nie chciał czasem przez ten wypadek dobroci swój okazać, uwalniając matkę od starania żywienia mnie i odziewania; dając mi sposobność wiedzenia użytecznego życia i zapewnienia sobie losu nadal. Pochlebiało sercu memu zaufanie pani K. a tysiąc pięknych rzeczy, które mi zewsząd gadano, łechtały moję miłość własną. Przyznaję więc, że się wahała chwil kilka, ale przyznaję także, że każda z nich kilkoma łzami była znaczone, i że to wahanie nie długo trwało. Przekonawszy się, żeby matce bardzo było bolesno, gdybym w jakie weszła obowiązki, zastanowiwszy się, że teraz zupełnie kontenta z losu mojego, że najspokojniejsze, najmilsze wiodę życie; że jestem wśród osób drogich sercu memu, że zupełnie zadowolona zabawami naszymi, że niczego wyższego nie pragnę; zważywszy ile wychowanie, pilnowanie, uczenie trojga cudzych dzieci ciągnie za sobą starań, kłopotów: odmówiłam i mam w Bogu nadzieję, że tego nigdy żałować nie będę. Zwyczajnie na złe wychodzi temu, który mając *dobre, lepszego* szuka; ja w domu całkiem jestem szczęśliwa i szczęście moje nie tak łatwo zmianie paść może, bo go w matce, samej sobie, w siostrach i rodzinie znajduję; nie mamy wiele, nie żyjemy w dostatkach, ale nigdy jeszcze głodną spać nie poszłam: zawsze przystojnie odziana, nikt żadnej z nas narzekającą na biedę nie słyszał, niczego nikomu nie zazdrościmy: czegoż trzeba więcej? Jeżeli się uda zawód mój literacki, zwiększą się jeszcze i dochody i rozkosze, a choćbym wreszcie przypadkiem lat kilka potrzebowała sprzedać wolność moję, znajdę zawsze do tego korzystną sposobność. Każdy co mię zna, wie jakiem odebrała wychowanie, wie jaką mam matkę, wie zatem, że gdybym się podjęła wychowywania czyich dzieci, za wła-

snemby je uważała; na tak rzadki towar pewnie zawsze dosyć będzie kupców.

10 Czerwca 1819 roku. Już trudno dłużej milczeć, trzeba zapisać w Pamiętniku choć część niezasażonych i niespodziewanych powodzeń moich. Nigdy sobie nie wystawiła, żeby do tego stopnia moja Pamiętka podobać się publiczności mogła; dotąd żadnej nie słyszałam krytyki, żadnej nagany, wszyscy się unoszą nad moją pracą, wszyscy ją uwielbiają. Dziełko moje powszechną zwróciło uwagę, powszechną zjednało pochwałę; słyszę to codzień od przyjaciół i od obcych, podniósł się szacunek wszystkich dla mnie; uczęszczający w domu naszym i Marcelostwa niezliczone mi tego dają dowody, dochodzą mię nawet pochlebne wyrazy na piśmie i w druku. Niedawno odebrałam list od jakiegoś pana Marewicza, profesora fizyki i poety, w którym zowie mnie zaszczytem narodu a moje dzieło nieśmiertelnem być mianuje. W Tygodniku umieszczono przesadzoną jego pochwałę; już drugie wydanie Łątkiewicz drukuje, bo z pierwszego kilkanaście jest tylko egzemplarzy; poczciwy Wyszkowski podjął się z największą uprzejmością korekty: słowem dziwić mi się tylko wypada, a dziwując się składać dzięki Opatrzności tego Boga tak błogosławiącego moim zamiarom. Bezwątpienia Jemu jedynie winnam to całe powodzenie: On mi obrał ten zawód, On mnie w nim prowadził, On opiekuje się mną od dzieciństwa; dał mi takich, którzy zaszczepili w duszy mojej zasady wiary i cnoty, wybrał mi matkę, która więcej przykładem niż słowy, dokonała rozpoczętego przez nich dzieła, uczynił mnie zdolną do skreślenia na papierze tego co wlał w serce. Jemu winnam jeszcze przyjaźń uczonych, jój użył, aby nadać dziełku mojemu ceny... Słowem raz jeszcze to powtarzam, Bogu winnam wszystko, talent mój bez Jego opieki byłby niczém. Jemu składam dzięki! i często pytam się sama siebie, czym zasłużyła na tak troskliwą opiekę lecz nie moje to zape-

wne cnoty, ale rodzicielskie Bóg we mnie nagradza. Ręka Jego tak ściśle dzieci z ojcami złączyła, że cnoty lub występki rodziców źródłem są szczęścia, albo kary ich potomstwa. Nie wątpię, że ojciec mój patrzy z mieszkania swojego na córkę; radość matki jest bez granic i przekładam ją nad wszystkie pochwały. Cieszy się nad wszelki wyraz z powodzenia mojego, zdaje się iż jęj nawet zdrowia od jakiegoś czasu przybyło, a ja nie zdołam opisać szczęścia mojego. Wszystko co snem przed rokiem mieniłam, wszystko się spełnia. Z własnej pracy utrzymać się mogę, nie jestem ciężarem matce, sława owszem literacka dodała mi wartości w oczach rozsądnych ludzi, dziełko moje jest użyteczne.

Już nieraz słyszałam tę najmilszą dla serca każdego pisarza pochwałę, że po przeczytaniu rad moich czuje każdy podwójną w sobie chęć do cnoty i pracuje nad tém żeby lepszym został. W Sieniawie także dziwnie się podobały. Szyрма coraz bardziej i do nich i do autorki zapalony. Już dobrze ugruntowany jego podziw dla mojej osoby, kiedy jęj poznanie nie zmniejszyło go wcale. Ciągłe doznaję dowodów jego czulej przyjaźni, pisuje do mnie i ostatniego listu koniec był bardzo znaczący. Matka utrzymuje, że on się wo mnie kocha; każda kobieta chętnie w podobną rzecz uwierzy, i mnie więc zdaje się czasem, że to prawda, chociaż takowym wypadkom nie zwykłam dawać wiary. Co z tego dalej będzie? tego ani wiem, ani przewiduję. Ja o przyszłość moją nigdy się nie kłopotę, złożyłam ją w ręce Boga i zupełnie jestem spokojna. Niech robi ze mną co Mu się podoba! Tyle doznałam dowodów troskliwej Jego opieki, iż przekonana jestem, że tak los mój urządzić potrafi, iż w każdym położeniu zdołam znaleźć szczęście tego i tamtego życia.

W opisie powodzeń moich pierwsze miejsce trzymać był powinien list od pani Lanckorońskiej, kasztelanowej polonieckiej, której zawdzięczając za wiele dowodów łaski

i przychylności odebranych w dzieciństwie, posłałam egzemplarz *Pamiętki*.

„Przepraszam, że sama nie odpisała na grzeczny list WWMCPanny, użyłam cudzej ręki, bo miała kilka osób u siebie; z wdzięcznością przyjął dar mi od niej ofiarowany; pięknych myśli wyobrażenie, którym raczyłaś mnie obdarzyć; życzyłabym, żeby w nich tak wszyscy smakowali jak ja (choć już stara) a z pożytkiem czytali, a tak dogodziłoby się sercu swemu, którego ja i teraz przez jej pamięć doświadczam. Proszę więc nawzajem wierzyć o stałej mojej wzajemności, a na pamiętkę przyjąć ten mały *souvenir*, który może służyć do dalszych wyobrażeń myśli tak pożytecznych. Siebie polecam statecznemu serca przywiązaniu, pisząc się być zawsze z stateczną przyjaźnią i szacunkiem.

M. Lanckorońska.

Zeby objąć całą wartość tego listu i cenę jaką ma w oczach moich, trzeba dodać iż ta godna pani jest ostatnią z prawdziwych pań naszych; że ludzka, dobroczynna, pobożna, wszystkie cnoty łączy w sobie i że ma przeszło lat ośmdziesiąt. *Souvenir* dołączony, jest śliczny kałamarzyk brązowy, który do końca życia zachowam“.

W tym samym roku nową książeczkę napisała panna Tańska i pierwszą myśl daleko obszerniejszej pracy powzięła. Czytając jej własne z tego czasu wspomnienia, niktby nie przypuścił, żeby tym dwom jej utworom taka w zupełnie odwrotnym stosunku do jej przypuszczeń i nadziei przyszłość się sądziła. Książeczka powstała wśród zwiększonych zatrudnień domowych, niby na tymczasowe ćwiczenie pióra i umysłu, żeby wprawę nie traciła: do obszernego dzieła czyniło się wielkie przygotowania, zbierało się poza sobą

i w sobie materyały, a jednak dzisiaj, pierwszą wszyscy znają i cenia, niema prawie dziecka, któreby jęj nie czytało z rozkoszą; drugie nigdy w ogólny użytek na równi z *Pamiętką* po dobrej matce nie weszło, a powoli wyszło nawet i z nieogólnego. Dziwna rzecz, jak często podobne nieporozumienia między sądem autora, a sądem czytelników się spotykają. Nie uniknęła ich panna Tańska, choć później, jak to zobaczymy, w znacznej części zdanie swoje zmieniła. Tymczasem we Wrześniu tak pisała jeszcze o tém:

„Podczas niebytności Maryni, więcej zajęta matką i domem, nie mogąc siedzieć z nią w jednym pokoju i pisać „owego ważnego“ dzieła o religii, musiałam wynaleźć sobie inną łatwiejszą pracę. Już dawno miałam treść kilku powieści dla dzieci; umyśliłam je wykończyć i parę z głowy dopisać. Szczególnym trafem trzy pierwsze tak się ułożyły, iż mogły oznaczać trzy pierwsze roku miesiące, stosowałam więc do nich dalsze; napisałam ich dwanaście i każdej dałam tytuł jednego z miesięcy... jak się parę miesięcy odleżą, pošlę je po odczytaniu naszemu Sz... *) bo „i tak drobnej rzeczy“ nie chciałabym bez jego wiedzy i zdania wydać.“

A pod datą grudniową więcej jeszcze o pomysle swoim daje szczegółów i później przez lat kilka nawet raz po raz do tego przedmiotu wraca; on jest głównem tłem niejako, na którym inne wypadki życia przesuwają się tylko zdają.

„Nazajutrz po imieninach moich, które w tym roku były nad wszelki wyraz miłe i świetne, pojechałam na dzień dni do Izdebna. Nie było pani Łubieńskiej Piotrowej, ani starszych jęj dzieci; czas posępny, ponury, przykry jak

*) Szymie.

zwykle w tój porze, jednak te chwile zesły mi przyjemnie i żaden wieczór nie był długi. Pani Galiché słaba i cierpiąca, tyle znajdowała ulgi w mojem towarzystwie, iż to samo uczucie mnie uszczęśliwiała i nie dało dostrzedz nieprzyjemności zimowych. Schodziły nam godziny szybko, najwięcej na rozmowach, przedmiotem ich było dziełko moje o religii. Po długich namysłach i naradzaniach się uznałyśmy obie, że cel pisma tego tak był piękny, dokładne jego wyłożenie tyleby użytku przyniosło, iż wypadalo zamknąć go w daleko większym obrębie i wypracować należycie. Wielki plan ułożyłyśmy obie; to dzieło przynajmniej w sześciu tomach zamykać w sobie będzie całą naukę chrześciańską, historią religii, jój przepisy i obrządki. Zacznie się od ogólnych wiadomości, będzie potém historia święta i kościelna; dalej wszystkie tajemnice, prawa, cała moralność wiary naszój. Wszystkie te nauki tak nieodzownie potrzebne (których podobno nigdzie w języku zgromadzonych w jedno i wyłożonych ciągiem, dokładnie niema) udzielane będą przez matkę dzieciom i starać się będę ozdobić je obrazami wiejskiego i domowego pożycia, opisem charakterów, ażeby miłe być mogły dziecinnemu wiekowi i nie miały w sobie tój oschłości katechizmowój, która na całe życie od pism religijnych młodzież odstręcza. Do wykonania tak wielkiego zamiaru wiele wiadomości trzeba, w słabój głowie mojej znaleźćbym ich żadnym sposobem nie mogła, będę więc czytać Paskala, Fenelona, Bossueta i innych. Pani Starościna zrobi dla mnie wypisy z biblii; jako skrzętna pszczołka żywić się będę w najcenniejszych kwiatach, a miód wonny składać będę do jednego ula. Jeżeli mi się uda ta praca moja, jeżeli Bóg dobry jój pobłogosławi, dzieło to prawdziwie użytecznem będzie; jeżeli zaś pomimo gorliwój chęci i starania nie dopełnię dostatecznie mego zamiaru, zawsze tę niezaprzeczoną korzyść odniosę, że zbogacę duszę moję, korzyść, którój mi sama śmierć nie odejmie.

„Moje powieści już odesłał Szyрма, nie wiele poprawił, więcéj chwalił; kilka jednak zrobił mi bardzo słusznych uwag, których zupełnie usłucham: ciągle przez ten czas przysyłał mi opis podróży swojej. Ślicznie pisze, tak pięknie, jak czuje; wszędzie maluje się serce jego czułe, jak najgruntowniejsze zasady moralności; gdzie tylko zdarzyła się pora, nieomieszkał podsunąć coś pochlebnego dla mnie. Przed wyjazdem moim do Izdebna, był tu przez kilka tygodni Marewicz; zdawało się, że jeżeli miał kiedy jaką skłonność do mnie, powiększyły ją sześć miesięcy niebytności: z początku zaczął dosyć często u nas bywać i bardzo być grzecznym, potem zwolniał cokolwiek i nareszcie wyjechał. Mówią to wszyscy, że ja temu winna, że była strasznie zimna dla niego; on nieśmiały zraził się. Nie wiem czy się myślę lub nie? ale choćby i tak było, cóż ja pocznę, kiedy udawać nie uniem? Bardzo jest zacny i przyjemny, mocno go szacuję, ale trzebaby długiego czasu i wielkiego starania, żebym coś więcéj dla niego uczuła; jeszcze ta chwila nie nadeszła i ja okazywać nie mogłam uczuć, których w sercu nie miałam.“

1820 r. Przy końcu postu dosyć szczególny spotkał mnie wypadek. Byłam w Izdebnie na parę tygodni, przyjechawszy, zastaję list bardzo grzeczny i pochlebny od jakiejś hrabiny Gro..... *) z Wołynia, która przejęta uwielbieniem ku mojej osobie, po przeczytaniu *Pamiętki*, pragnie zrobić ze mną znajomość; a że sama słaba i nie wyjeżdża z domu, prosi mnie o pozwolenie przysyłania panny K..... bawiącój się przy niej; ja odpisuję z wdzięcznością,

*) Grocholskiéj.

i zezwalam. Przyjeżdża panna K.... trochę dziwna, lecz bardzo przyjemna osoba; odkrywa się, iż przed czterema laty brat jój bardzo często u nas i u siostry bywał. Ja nazajutrz trochę pomieszana, jadę odda pani hrabinie wizytę; przyjmuje mnie bardzo uprzejmie, tysiące mi pięknych rzeczy mówi, zaprasza na wieczór: odtąd robię z tym całym domem taką znajomość, jak żeby tam od kilku lat bywała...

Ludzie są daleko lepsi, niż powszechnie świat sądzi; pochwały dawane *Pamiętce* doskonale to próbują. Prócz moralności nic w niej niema, a przecież wszystkim się podoba: dowód, że wszyscy albo dobrzy, albo chcą być dobrymi, albo też dobrych szacują. Panna K.... *) zupełnie już we mnie rozkochana, chciałaby mi już wszystkie swoje tajemnice powierzać; oddalam te oznaki przyjaźni jak mogę, bo wzajemności by wymagały; a ja nie tak łatwa do zawierania podobnych związków. Jeszcze mi się nie zdarzyło widzieć podobnej do niej osoby: żywa, dowcipna, wszystko to mówi co myśli i często też w jój mowie spostrzegać się dają te nagłe zmiany, ta oryginalność, prędkość, czasem i nedorzecznosc, które powszechnie myśli cechują. Ułożenie jój nawet szczególne, chociaż z dobrego tonu, ma jednak coś męskiego w ruchach i tak dalece nie jest jak wszyscy, że ja nietylko słuchać jój, ale i patrzeć na nią lubię. Piękne przytém okazuje przymioty: usłużna, uczynna, zdaje się być aż nadto czułą i lubo ma swój właściwy sposób myślenia, jednak przekonać ją można.

Ciotki obiedwie na końcu tego miesiąca przyjadą; już w tych dniach zabierzemy się z Marynią do uporządkowania i ułożenia domu, bo u nas stać będą. Cieszę się na ten przyjazd.

*) Podobno panna Korzeniowska.

2 Czerwiec. Wczoraj wyjechała poczciwa i droga Justyna, która tym razem sześć tygodni z nami bawiła; przed czterema dniami opuściła nas Goltz, miała kłopoty i zmartwienia. Turbowwała się o męża, którego cokolwiek słabym zostawiła i szukała guwernantki; ta niespokojność i to staranie się kwały jej humor i czas zabierały, jednak tysiące mieliśmy chwil przyjemnych i obiedwie ciotki godne największego szacunku i kochania. W dzieciach także obaczyłam odmiany, t. j. w J. K., bo B. przy ojcu została. J. bardzo się odmieniła, daleko słodsza i mniej uparta; nie ma ona jeszcze tego wdzięku w ułożeniu, z którym zdaje się, iż pewne osoby się rodzą, ale jest nadzieja, iż bardzo przyjemną będzie; na swój wiek bardzo wiele umie i zdaje się, że ją dobrze i porządnie uczą. K. *) mniej się odmienił, trochę zimny, ale poczciwy i szacowny; cokolwiek jednak był żywszy, weselszy i więcej mówiący. Bawiły mnie kłótnie jego i sprzeczki polityczne z J. Nad wszelki wyraz dzieci lubię; uważać ich, zgadywać co czują, czém będą, jedną jest z najmilszych rozrywek moich. Pisać dla dzieci, czytać o dzieciach, patrzeć na nie, nie sprzykrzy mi się nigdy. Swoich własnych nigdy mieć nie będę, ale siostry zarówno z nią kocham, i nie wiem, czybym syna więcej lubować mogła od Władysia. Dotąd ślicznie się chowa. Podczas pobytu ciotek miałam zgryzotę; owa pani Gro... umarła...

16 Lipca. Szyrma był w Warszawie i nie zastał mnie; wyjechał na lat kilka za granicę i pożegnać się z nim nie mogłam. Wiele cierpiałam na tych przeciwnościach. Miał

*) Karol Wejgel, ożenił się później z tą samą w dzieciennych rozprawach przeciwniczką swoją Joanną Goltz; była to jej cioteczna, a dziś znanego powszechnie Adama Goltza rodzona siostra. Wkrótce po swoim zamąż pójściu umarła.

tu być w Czerwcu; odłożyłam umyślnie zwyczajną moje przejażdżkę do Izdebną, żeby się z nim widzieć; nie przyjechał: sądziłam, że już albo wcale, albo później przyjedzie. Pojechałam, a on przybył. Doniosła mi o tém matka moja, wiedząc iż droga jego o pół mili tylko od Izdebną iść będzie, posłałam do karczmy będącej na trakcie list zapraszający go do wstąpienia do miejsca, gdzie się znajdowała. Posłaniec oddał mi także list od Sz..., który pierwój był napisał i miał zamiar w tém samém miejscu zostawić. Nie mógł wstąpić, bo jechał z młodym księciem Adamem C. i z jego ojcem. Teraz prosto wraz z nimi do Anglii się uda; w Edyburgu zostanie dwa lata, a potóm da Bóg przez Francją, Włochy i Niemcy wróci do Polski. Szyrna w moim zawodzie literackim wielką mi był podporą; on mnie zachęcał, prowadził, najdrobniejsza moja praca obchodziła go żywo, a mnie moje powodzenia więćej cieszyły, bom wiedziała, że i jemu ukontentowanie sprawią. Jego wyjazd tak nagły, bez pożegnania, nagadania i naradzania się, zasmucił mnie i zniechęcił; lecz ten smutek i ta niechęć nie długo trwały; pomyślałam sobie, iż ludzie są tylko narzędziami Opatrzności, a kiedy dotąd tak rozmaitemi sposobami opiekować się mną raczyła, zechce i teraz środki wynaleźć inne do wykonania miłosierdzia swego. A skoro zechce, zdoła—bo skarby dobrodziejstwa Boga są nieprzebrane. Sz. zagranicą dołączywszy tyle światła i wiadomości do tych, które już posiada, może wyjść kiedyś na człowieka, chluba być kraju i przyjaciół. Wróciwszy do domu, po kilku jak najmiliej przepędzonych w Izdebnie tygodniach, zastałam moje powieści już wydrukowane. Lipiec jest moim popisowym miesiącem, bo i Pamiątka w tymże czasie przeszłego roku wyszła; tak zawsze jest czytana, że już o trzecim wydaniu pomyśle, tak chwalona, że kilkanaście razy w pismach publicznych wspominaną była. Moje „wielkie dzieło“ już rozpoczęte, żeby je powabniejszém uczynić, na-

mówiła mnie pani G... żeby matką uczącą była Amelja. W istocie przedziwna to myśl i wiele ponęty tym naukom doda. Już mam ośm rozdziałów napisanych i to cztery najtrudniejsze. Żadne z dotychczasowych pism moich tyle mnie nie zajęło, ale téż żadne tak ważne, i tak trudne nie było. Często mi się zdaje, że ten zawód jest nad moje siły. W jednym Bogu nadzieja. Znam nieudolność moją, ale wiem, że jedném wejrzeniem zastąpić ją może. Jużbym tego dzieła nie mogła tak pisać jak *Pamiętkę* i *Powieści* w matki pokoju, wśród rozmów i przeszkód; mam téż teraz osobny gabinet; chociaż to jest poprostu zakątek z dwóch parawanów zrobiony w naszym sypialnym pokoju, chociaż słońce do niego nie dochodzi, chociaż jeszcze słyszę wszystkie rozmowy; jednak dla tego, że już mam schronienie własne, przez które nikt mi nie przechodzi, gdzie nikogo nie widzę, takem z niego szczęśliwa, jak żebym najpiękniejszy pałac miała. Bardzo w nim ładnie, bo zawsze czysto i porządnie, sama go w dzień uprzątam i poznaję, jak to miło mieć własność swoją. Już nawet, kiedy mi kto mówi, że to nie gabinet, to mam ochotę się gniewać, bo każdy do własności swojej miłość własną przywiązuje. Dziwić-że się tu, że matki lubią, kiedy ich dzieci chwalą i że przykro pisarzom, gdy ich dzieła ganią.

25 Sierpnia. *Odwiedziny grobu Babki*. Już oddawna zbierałam się na dopełnienie tego świętego obowiązku. Kochane ciotki wyjeżdżając, dały mi nawet zlecenie dowiedzenia się, czy kamień, który dla matki położyły wmurowanym został. Wybrałam się więc do Powązek pieszko o 5-éj z rana, sama ze służącą, bo Marynia na miesiąc do Janowic pojechała. Trudno opisać uczuć, jakie we mnie widok cmentarza wzbudził. Pierwszy raz przechadzałam się po tém państwie śmierci, tak szczupłem, a tyle rozmaitych poddanych liczącem. Nie mogę powiedzieć żeby moje wra-

żenia bardzo smutne były, owszem niejaką rozkosz w nich znalazłam.

Oddawna mam myśl, że długo żyć nie będę. Jednak przyznaję, że nie mam ochoty na Powązkowskim leżeć cmentarzu; mało tam uszanowania dla umarłych mają: szczątki ludzkie się tam poniewierają; może to jest słabością, ale bym sobie życzyła, żeby prochy moje spokojnie, w jednem miejscu sądu ostatecznego doczekały; dla tego pragnę spoczywać w Izdebnie. Tam już pochowany mój ojciec; mam dawno zamiar nagrobek mu położyć. Sama zaś dla siebie ten napis kazałabym wyryć: „Dni moje u dobrej spędziłam Matki, a teraz jestem u Ojca“ w tém ostatniem słowie i Ojciec mój i Bóg ma się rozumieć *).

— „Ma... znowu był w Warszawie, coraz czulszy, ale wyraźnie jest w pretensyi, żeby się w nim kochać; tysiączne mi względem mojej oziębłości czynił wyrzuty. Mocnom

*) Po dziesięciu latach szanowna Autorka dodała w tém miejscu następujące słowa: „Później zmieniłam zdanie — chcę leżeć obok matki gdzie leżała czas jakiś trumna siostry.“

I znowu po kilku leciech, zagranicą mieszkając, przydała tę uwagę: „Nie wiem czy jest młoda osoba, któraby sobie nie życzyła umrzeć młodo; nie wiem, czy pod hojnością życia nie ukrywa się to nierozumne, ale przecież głębokie przekonanie, że nie zestarzejemy się nigdy... Ja to wiem dobrze o sobie, że pragnęła umrzeć młodo i z zupełną przyjemnością myślałam o pogrzebie moim, o tém jak się dziwić będą nad wczesną śmiercią, nad gładkością twarzy i t. d. Już sobie nawet napisałam nagrobek, chciałam spoczywać na Izdebińskim cmentarzu, gdzie pochowany mój ojciec... bo ani mi na myśl przyszło, ani przypuścić tój myśli chciałam, żebym przeżyć mogła matkę. Tymczasem dziś kiedy mi już trzydzieści kilka lat minęło, kiedy nie tylko matkę, ale i siostrę straciła, ani myślę umierać. Już bez wstępu i o starości myślę, byle żyć, byle się doczekać powrotu. Zawsze jest jednak okoliczność, nad którąbym natychmiast dziesięć śmierci przełożyła, to jest ta, gdy przeżyć miała męża.

szczęśliwa, że twarz moja i cały układ zawsze wydają, co czuję, że nic udawać nie umiem; takim sposobem widział, co się w sercu mojem dzieje, a nie zaspokojony zimnym szacunkiem, dał pokój formalnym oświadczeniom. Ja nie mam ochoty iść za męż; czuję ileby odmiana stanu, tysiączne obowiązki odrywały mnie od literackiego zawodu, który mnie tak zajmuje, tyle mi szczęścia, chluby, pożytku przynosi. Czuję także jak wielebym wymagała po tym, któryby chciał być moim przyjacielem, przewodnikiem i doradcą. Jabym musiała nietylko szanować, ale kochać, uwielbiać mego męża, wielką w nim nad sobą wyższość widzieć. Gdybym nie miała innych przed sobą widoków, gdybym widziała, że dni moje bez użytku dla współbraci upłyną, że wiecznie matce ciężarem będę, zapewnebym nie tak trudną była; ale kiedy dzięki Najwyższemu, najpiękniejsza przyszłość rozwija się przed oczyma memi, kiedy żadnego w mem życiu braku nie widzę, umysł mój zawsze spokojny, serce wolne i niewinne, żądze ograniczone; kiedy słowem jednem zupełnie jestem mojem przeznaczeniem zaspokojona, czegoż mam żądać, czegoż szukać odmiany? Wtenczas dopiero dobrowolniebym poszła za męż, gdyby się we mnie rozkochał człowiek do lat moich stosowny, któregoby dusza podobna mojej była, w któregobym sercu własne uczucia, własne zasady czytała; któregoby gusta zgodne były z mojemi, a umysł stokroć oświeceńszy, kierował mną w życiu, prowadził w literackim zawodzie. Niechby przytém nie był ani piękny, ani bogaty, niechby miał wady swoje, bo i ja bez nich nie jestem: z chęciąbym oddała i serce i rękę, ale pewna jestem, że na takiego nie natrafię, nie żeby ich na świecie nie było, ale że się z nim nie spotkam. Tyle już dobrodziejstw odebrałam od Boga, tak jestem szczęśliwa, że więcej szczęścia nie sposób żądać. Przysiądzbym gotowa, że nigdy w małńskie nie wejdę śluby i to przekonanie bynajmniej mnie nie trapi. Być ciągle tak spokojną,

tak wewnętrznie szczęśliwą jak teraz jestem i matki nie przeżyć, ukończyć dzieło moje o religii i widzieć że jest przydatne i użyteczne; patrzeć na ciągle starszej siostry powodzenie, doczekać szczęśliwego młodziej siostry zamężcia, ujrzyć pokój i swobodę w Izdebnie, mieć nie z parawanów, ale prawdziwy gabinet: te są życzenia moje, innych na to znikome życie nie czynię.

18 Grudnia. Bóg siostrze sprzyja, prośby jej wysłuchane. Życzyła sobie mieć córeczkę i dnia 25 Listopada bardzo szczęśliwie tłusciuchną i zdrową dziewczynkę urodziła. Teraz Bogu dzięki już zupełnie do siebie przyszła i ja po dłuższem jak zazwyczaj u niej mieszkaniu, wróciłam do domu. Helenka dotąd podobna się zdaje do Władysia, Władys zaś taki ładny, taki rozkoszny, że go niesłychanie *kocham*. I on bardzo mnie lubi i już woła na mnie *pota*.

26 Grudnia. Ukończoną od czterech miesięcy pierwszą część wielkiego dzieła mojego posłałam naprzód do poprawy panu... *), dawnemu ministrowi sprawiedliwości, przyjacielowi ojca mojego, człowiekowi znanemu z cnót i ze światła. Odesłał mi ją przez córkę swoją Różę, która pierwszą była przyjaciółką moją; czynił niektóre drobne uwagi i niezliczone dołączył pochwały. Kładąc na bok wszelką miłość własną, która w takiem dziele żadnym sposobem miejsca mieć nie może, uznałam, iż przyjaźń dla ojca zbyt go dla córki pobłażającym uczyniła, a wiek podeszły nie dozwolił wszystkich dostrzedz błędów. O innym więc korektorze myśleć zaczęłam. Słusznie mówiłam, kiedy Szyrma odjeżdżał, że Bóg potrafi mi środki do wykonania widoków swoich wynaleźć i nie zawiodła mnie nadzieja, bo kto szczerze ufa w Panu, nigdy zawiedzionym nie jest! Goltzowie

*) Łubińskiemu.

którzy są dla mnie prawdziwem Opatrzności narzędziem, sami ofiarowali się wyrobić mi u księdza Siarczyńskiego, kanonika jarosławskiego przystęp. Jest to godny, światły i pobożny kapłan, niezmiernie uczony; niedawno skrytykował zupełnie *Panowanie Zygmunta III* przez Niemcewicza i wiele w tej krytyce nauki, znajomości i rozsądku okazał. Niektórzy zbyt surową ją znajdują, i to samo nakłoniło mnie ku niemu. Posłałam mu więc część pierwszą; w krótkim czasie odesłał mi ją ze spostrzeżeniami swojemi; z nich wyczytałam, chociaż on to obwinął w bawelnę, że cel mój bardzo piękny, ale że niezupełnie dobrze do wykonania jego się wzięłam i że układ tej pierwszej części odmienić wypadnie. Nie wskazał mi zupełnie jak się wzięść do tej odmiany, ale uwagi jego tyle mi nowych myśli podały, tak rozwinęły mój umysł, że zdaje mi się iż trafię do końca. Okropnie pracować wypadnie, czytać niezmiernie wiele, myśleć i rozpamiętywać jeszcze więcej, ale przy pomocy Boskiej może dojdę do końca, a im więcej to dzieło pracy kosztować mnie będzie, tém miłszem i droższem w oczach moich się stanie. Wszak powszechnie mówią, że to dziecię matce najmiłsze, dla którego najwięcej trudów i starań poniosła *). Już się wzięłam do poprawy; teraz mi jeszcze łatwo idzie, bo pierwsze rozdziały są romansowe; staram się o książki które mi ksiądz Siarczyński zalecił i im więcej się zastanawiam, tém silniej opiekę Boga nad sobą uznaję, iż mi tak światłego korektora użyczyl. Raz jeszcze ta sama część pójdzie do niego.

Z następnego roku nie wiele mamy podanych szczegółów, zwłaszcza wyłączenię do osobistości panny Tańskiej się

*) Ale nie zawsze najmiłsze obcym ludziom bywa.

odnoszących. Jest wspomnienie o śmierci jednego z wujów, który już wtedy był tylko ciężarem rodzinie, a pierwój był, jak się zdaje, zmartwieniem i wstydem. Jest wzmianka o światowém powodzeniu ukochanej Maryni: „pokazała się na dwunastu wielkich i małych wieczorach; podobała się powszechnie tak z piękności, jak z ułożenia. Rachowana między pierwsze piękności Warszawskie, tańcowała do upadłego, a co najlepsze, nie zawróciła jój się głowa temi pochwałami. Bo téż to miłe prawda, ale bardzo nietrwale i bezskuteczne powodzenie; z owego tuzina balowych wielbicieli, żaden jój nie został; i teraz taki do niój się udaje, który ją nigdy na balu nie widział i sam tańcować nie umie. H... *) już oddawna bywa u siostry starszój, miłém okiem na Marynię spogląda, powtarza, że się chce zenić i taką mieć żonę jak Olesia. Jest wiele za tym człowiekiem, jest wiele i przeciw niemu; Bogu tylko wiadomo, która strona przeważa i dla tego im bardziej rzeczy postępują, tém ja silniej tę sprawę Opatrzności polecam..“ Dalej znowu niespokojność o los siostry wyrażona; widać że starający się nie wzbudzał zupełnego zaufania, ale „Marynia mu sprzyja“ nie kocha go, tylko mu sprzyja! Potém wiadomość o śmierci Napoleona, 2-go Sierpnia zapisana wyrazami, które niezawodnie większa połowa mieszkańców Europy wyrzec musiała wtedy: „*Słyszałam* mówiących o śmierci Napoleona, ale zupełnej temu zdarzeniu *nie dawałam wiary*... często myślałam sobie, że on nie skończy na téj wyspie dni swoich, że on jeszcze cały świat zadziwi! a on umarł jak kmiotek umiera.“ Takie uczucie zadziwienia jest wspólne tłumom ludzkości, gdy wielki, w złém czy w dobrém, człowiek umiera. Ostatnie słowa nekrologu są już najosobistszą panny Tańskiej własnością: „wspomniawszy,

*) Herman bogaty liwerant, z Żydów pochodzący.

że zimny głaz go okrywa, że Wszechmocny nie liczy państw, które on podbił, bitew, które wygrał, królów, których porobił, ale dobre uczynki jego... truchleje; w śmierci jego (jak mówią pobożnej), a więc jeszcze w miłosierdziu Boga o losie jego przyszłym mam nadzieję!

Po wieści żalobnej cios bliższego nieszczęścia uderzył: „Nie, jeszcze nie znalazłam téj boleści, pisze dnia 19 Listopada, Władzio, siostrzeniec mój, ta pociecha jedyna, to dziecię, które jak własne kochałam, ten anioł dobroci umarł... Już trzeci rok zaczął, już trochę mówił, już tak kochać umiał! nagle zasłabł, mocnej dostał gorączki, konwulsyi i skonał... Siostrę wywieźliśmy do matki, pierwój chciała koniecznie widzieć raz jeszcze syna i struchlałam, kiedy nawet na ten widok, łza jedna nie puściła się jej z oka; jeszcze dotąd płakać nie może.“

Notatka z ostatniego w tym roku miesiąca, najlepiej przekonać może, czém było dla panny Tańskiej rozpoczęte przez nią jej *wielkie dzieło*.—„Smutne nasze wieczory; siostra bardzo cierpiąca; matka jeszcze codzień płacze. Ja szukam pociechy w zgadzaniu się z wolą Boga, rozrywki w pracach moich; w dzień śmierci Władzia przyszedł rękopism z Sieniawy z uwagami księdza Siarczyńskiego, lecz nie zaraz umysł do zastanowienia przymusić mogłam; myśl jedna że ta praca użyteczną być może, przyspieszyła powrót zdatności. Ach! co to za szczęście, życie chwalebne przedmiotowi poświęcić! Uczułam żywo to szczęście w tych smutnych chwilach. Już tedy raz ostateczny przerabiam pierwszą część mojego dzieła. Sama się dziwię nad obrotem jaki ono bierze, sama się lękam ogromu, na jaki zakrawa. Nie będzie to już dziełko w sześciu tomach, będzie ich najmniej 12-cie; życie całe poświęcić mu wypadnie, ale jeżeli go dokonam, jakby należało, niczego więcej dla prawdziwej chwały mojej żądać od Nieba nie będę, użyteczną pamiątkę młodzieży polskiej zostawię i życie moje marnie nie spłynie.

Nie jeden dziwić się będzie (i ja najpierwsza się dziwię), jakim cudem, jakiem prawem odważyłam się na tak znakomite dzieło? w moim wieku, w mojej płci, z takim niedostatkiem nauk? ale śmiem pochlebiać sobie, że to moje przeznaczenie już gdzieś wyżej zapisane było; od drobnych rzeczy się zaczęło, ta nowa praca moja codziennie rosła, codziennie rozszerzały się widoki moje... To wiem, że już najśodszych uczuć dla mnie jest źródłem... zamknięta w moim gabinecie, zapominam o wszystkim, Boga tylko widzę, i często nie postrzegę się, kiedy łyżki słodkie zasuną mi oczy i przerwą pisanie. Ach! w tych chwilach cała ziemia przedemną znika! w tych chwilach jestem szczęśliwa! Ale co to za korzyść prawdziwie zbawiennego zatrudnienia: skoro wybije druga godzina, wychodzę z mojego schronienia i potoczemu oddaję się życiu bez żadnego przymusu, owszem z przyjemnością.“ Tymczasem los siostry się rozgrywał; tuż obok takie znajdujemy o tém szczegóły. „H(erman) coraz grzeczniejszy, podobno że on będzie mężem Maryni. Bóg sam wie, że go nikt z nas nie przyciągał; że nikt Maryni nie namawia; pochlebia jej też jego przywiązanie bezinteresowne i już widzę, że go przyjmie, skoro się oświadczy. Nadzieja w Bogu, że ten związek ku jej szczęściu będzie, już pewnie niedługo się oświadczy, już szwagrowi ze sześć razy jaknajwyraźniej zamiary swoje odkrył, teraz jest jeszcze podniecany zazdrością. Marynia podobała się na jarmarku majorowi M...skiemu i dziwne rzeczy wyrabiał żeby u nas bywać; bywa u starszej siostry i wielkie grzeczności Maryni prawi. Dziwny ten romans był pierwszym przedmiotem, który nas cokolwiek po śmierci Władzia rozerwał. M...ski lepiej mi się podoba, ale mówią, że to bałamut i najpewniej miłość jego przyspieszy oświadczenie tamtego zamiast je oddalić. Marynia nieboga aż schudła, tak jest rozsądna, że żadnego nie doznaje omamienia. Jest zupełnie w położeniu tego człowieka, który wybiera się w niebezpieczną po-

dróż; ale że ją za konieczną uważa, wsiada do powozu, jedzie w nadziei, że przecież odbędzie ją bez szwanku.“

Rok 1822 ważny był dla panny Tańskiej w jej życiu rodzinném, przyjściem na świat dwóch siostrzeńców, bliźnięt, zastępujących miejsce utraconego Władysia, i ślubem jej ukochanej siostry Maryni z panem H..., który w końcu Stycznia się oświadczył „i jak łatwo zgadnąć można, przyjętym został.“ W życiu autorskiem, ważniejszym jeszcze się okazał, z powodu Amelii; pisząca po raz pierwszy spotkała się z zarzutem bolesnym i z milczącą obojętnością publiczności: nie była do tego przyzwyczajoną i nigdy podobno dość jasno przyczyny owego niepowodzenia wytłómaczyć sobie nie umiała.

2 Sierpnia 1822 r. „W pierwszych dniach Lipca, pisze w swoich notatkach, wyszedł na widok publiczny pierwszy tom Amelii. Chciałam ja z początku oba odrazu wydać, ale nie było dosyć pieniędzy i dobrze się stało. Dwa tomy zawierające *część pierwszą*, czyli *ogólny obraz religii prawdziwej* składają że tak powiem dziełko osobne, a tyle w nich jest wysokich myśli, że nadto byłyby zdziwienia sprawiły. Ja zawsze ze strachem do wyższego zawodu przystępuję.. im mniej jest pompy i uroczystości w pierwszym zjawieniu się Amelii, tém lepiej. Kobieta nie powinna wchodzić hucznie do świątyni sławy, zaledwie nieznacznie wsuwać się jej wolno... Bóg wie jak ja zwolna wciągniętą byłam do tego śmiałego przedsięwzięcia... Pierwszy więc tom Amelii mniej zrobił wrażenia niżem się spodziewała, przedawany wraz z biletem prenumeraty na drugi; a przeto drogi, nie mógł być bardzo chwytny, zjednał mi więc wiele prywatnych pochwał, ale nie obudził krytyki. Jedne mnie

tylko doszły niemiłe posłuchy; odważył się *ktos* powiedzieć, że pochlebstwo piórem mojem prowadzi, i że dla tego, że religia w modzie, jam się do religijnego wzięła dzieła. Znam dobrze tego *ktosia*, przebaczam mu to posądzenie, ale przyznaję, że mnie w serce ubodło. Już mam z powodu Amelii zasługę, bom wielkiej przykrości doznała. Zdaje mi się, że najostrzejszą krytykę łatwiejbym zniosła, niż tę potwarz. Teraz drugi tom drukować się zacznie i ten zapewne większe zrobi wrażenie.“

Gdy się drugi tom ukazał, autorka z radością, w Pamiętniku swym zamieszcza d. 29 Grudnia:— „Zgadłam! dopiero od wyjścia drugiego tomu, Amelia hałas na świecie robi. W wigilią moich imienin podałam uwiadomienie o nim do gazet; dopiero miesiąc upłynął, a już powinszowania, pochwały, kupcy się sypią. Ani o pierwszym, ani o drugim tomie nie wspomniało wprawdzie dotąd żadne pismo peryodyczne, nie wiem z jakiej przyczyny; ale co większa, Amelia zwróciła na siebie uwagę rządu. Głośno mówią, że autorkę tak użytecznego pisma trzeba zachęcać, trzeba wynagrodzić; jabym życzyła sobie pensyi dożywotniej. Ach! Boże, jakaż to Opatrzność Twoja, z tego dzieła, które zdaniem wielu osób miało nadwreżyć sławę moją literacką, od którego wszyscy prócz matki i mieszkańców Izdebną mnie odmawiali, które miało mi ściągnąć tysiąc nieprzyjemności — ja nietylko chlubę, ale i zapewnienie losu całego życia wyciągnę. Powiedziałeś Panie: „Dobrze temu, który się mnie trzyma“ słowa Twoje i mnie nie zawiodły, widziałeś że rozszerzenia chwały Twojej, rozkrzewienia cnoty pragnęłam i tak mnie nagradzasz. Czémżem na te łaski zasłużyła... Nie wiem co tam mówią pokątnie, ale zdaje się, że głos pu-

bliczny jest za mną. Matki czytają Amelię z wdzięcznością, dzieci z upodobaniem, szacunek mój u ludzi codziennie się zwiększa. Bóg dobry przeszedł z darami swojemi wszystkie moje nadzieje, *bo On ma więcej niż rozdał*, dawne nie-sie przysłowie...“

Na tle tych literackich kłopotów i uniesień, ślicznie się odbija drobniuchny, pobieżnie naszkicowany obrazek domowy, który ma niezrównany wdzięk prostoty, zapowiadający już przyszłą autorkę Dziennika Franciszki Krasińskiej i Listów Elżbietki Rzeczyckiej. Drobiazg to, niespodzianka rodzinna, ale w chwili żywego wrażenia opisana, każdemu przypomnieć musi jakiś przeblýsk radości podobny, kiedy to naraz wszystko rozjaśnia nam się i złościeje w oczach.

24 Sierpnia 1822 r. „Zapisać tu muszę przyjemność wielką, której wczoraj doznałam. Jeździłam na dwa tygodnie do Izdebną na kuracyą, bom cokolwiek była słaba; wracam, i najmilszą zastaję niespodziankę. Mój pokój, który był sobie wygodny, ale wcale nie ładny, droga matka i siostry, tak w czasie mojej niebytności przyozdobiły, żem go nie poznała *). Malowany w lila pasy ze szlakiem przepyszny, dwie sofy pomarańczowym merynosem okryte, cztery stołki i krzesło wyśmienite na resorach, łóżko piękne, kółdrą w pasy pokryte, biórko przepyszne, stoliki,

*) W tym czasie autorka z matką swoją wyprowadziły się już ze Starego Miasta i zamieszkały w oficynie pałacu Zamoyskich na Żabięj ulicy.

szafeczki. Myślałam że oszaleję z radości. Naprzód nie wiem czy to się wstydzić tego, ale najniżej rzecz tak mnie ucieszy, jak zabawka dziecko; potem sercu mojemu tak było miło doznać tyle dowodów przywiązania od lubych moich. O! będę teraz pracować! Trzeci tom na wsi przerabiać zaczęłam. Jużem się do tego mieszkania przyzwyczaiła, już i tu myśli znajduję. Matka zdrowa. Marynia szczęśliwa. Olenia już zupełnie urządzona w swoim nowym pomieszkaniu. Bliźnięta chowają się przedziwnie. Moja Amelia wsuwa się w umysły i z wielkim powodzeniem.“

Odtąd zaczynają się lata najświetniejszego panny Tańskiej powodzenia. W domu jej matki gromadzi się towarzystwo ludzi wykształconych i rozumnych, między niemi spotyka już tego, który ma kiedyś sam jeden wszystkich i wszystko jej zastąpić. Rząd wynagradza ją za *Amelią*; ogół czytelników z dawnym współzuciem przyjmuje nowe jej prace, te prace rzeczywiście w rządzie jej najlepszych stają; ale w miarę im życie pilniejsze, tym skąpsze materiały zachowanej nam w urzywkach autobiografii. Wybieramy starannie te przynajmniej, które nam do rozpatrzenia się w jej literackim zawodzie posłużyć mogą i które w pewną całość zaokrąglają dzieje jej życia.

1823 r. „Nie łatwo o obcych osobach tu wspominać, bo nie łatwo obce osoby do serca mego się wsuwają; szczęśliwa z rodziny mojej, zaspokojona jej przywiązaniem, złączona tak ściśle z Izdebmem, zdaje mi się, że już niema miejsca w sercu mojem, iżbym nie kochała *dobrze* gdybym *więcej* kochała. Przecież teraz musiałam rodzinie jednej przystęp dać do pamięci mojej, bo niedopuszczając go, by-

łabym najniewdzięczniejszą. Janowie Tarnowscy już od kilku miesięcy uprzedzają mnie względami i dowodami szacunku i przyjaźni. On sam potomek sławnego Jana Tarnowskiego, nie zapomina z kąd wiedzie początek; głęboko i obszernie uczony, ma także i zapas wiadomości swoich nieustannie obecnym. Tę dwoistą dumę z rodu i z nauki raczył dla mnie zniżyć i tém więcej ten dowód szacunku czuję. Żona zaś jego Strojnowska z domu jest rzadką osobą, rozum ma wielki, wiadomości bez liku, a nadewszystko dobroć, prostotę, uprzejmość... Tarnowska szczególniejszym sposobem przywiązała się do mnie, winnam tę jój przyjaźń *Pamiętce...* Wiele także Amelią uwielbia, uspokoić się nie może nad obszernością i śmiałością jój planu i tysiączne mi wróży z dzieła tego korzyści dla kraju. Jeżeliby podobało się Bogu przeciąć wcześniej dni moje, a ona żyłaby dłużej, jój-bym pióro moje i zbiór zapasów moich do ukończenia Amelii oddała... Wić i ona o tój myśli mojej, śmieje się ze mnie, bo matką moją byćby mogła, i także długo żyć się nie spodziewa. Ja jój śmiać się pozwalam, alem kontenta z mego odkrycia i pewniejszam dokonania Amelii.“

21 *Marca*. „Jeszcze podobno żadna zima (1823) tak mile jak ta nam nie zeszła, i prócz tego, że matka trochę więcej jak zwykle w tój porze była cierpiącą, nie mieliśmy żadnych utrapień i sądzę, że w Warszawie żadna rodzina lepiej się nie zabawiła. Takie było i jest rozporządzenie schadzek naszych: w Niedzielę i we Środę u starszój siostry, we Wtorek u nas, we Czwartki u młodszój. Poranek spędziwszy na użytecznych zatrudnieniach, niezmiernie miło w wieczór zejść się, odpocząć, zabawić się, rozmówić. Do towarzystwa zwykłego także kilka osób przybyło. Wyszkowski, dowcipny, grzeczny, uczony; prawdziwy naszego domu przyjaciel. H.(eltman *) młody człowiek, piękny, szczegól-

*) Wydawca *Dekady*, która wkrótce musiała ustać.

nego ułożenia, filozof, przejęty zdaniem Russa, chcący utrzymać przybrany charakter, pełny szlachetnych uczuć, dowcipny z przyrodzenia, może dotąd niezupełnie jeszcze godny szacunku, ale interesujący; B... dobra dusza, rozsądny, prosty, zapamiętałe w nas wszystkich rozmiłowany; Sołtyk, starzec siedmdziesięcioletni, dawny marszałek sejmowy, grzecznością dla kobiet wiek Ludwika XIV-go a więcej jeszcze księcia generała C. przypominający; L(isicki Dominik), młody literat, wiele dowcipu, więcej jeszcze zrozumienia mający, wielki mój wielbiciel; dwaj bracia D... grzeczni, dobrze ułożeni, a co więcej znaczy, dobrze wychowani; starszy bawi nowinkami swemi, których ma zawsze pakiecik niemały, młodszy szczerotą swoją; B(ębnowski *) dobry chłopiec, O(kęcki Jak.), W(ężyk) i kilku innych. Wist dla starszych, szachy, gry pisane, obrazy, szarady, gry biegające czasem, karty, najczęściej zaś robota i rozmowa dla nas, takie wieczorowe zatrudnienia. Dodać jeszcze należy, iż co Środa czytane bywają *Rozrywki wieczorne*.

Od końca Września każda z nas trzech siostr, H(empel **), Sołtyk, Wyszkowski, co tydzień drobnostkę jaką pisze, tłumaczy, lub wypisuje, przynosi, a ja wszystkie czytam głośno. Wyszkowski, który doprawdy uważa nas za rodzinę swoją i którego my kochamy serdecznie, sam się obrał cenzorem naszym i przedziwne recenzje na każdy numer pisze. Są czasem rzeczy bardzo dobre i śmieszne i te rozrywki prawdziwie rozrywają. Do zabaw wieczornych często Tarnowska należy, zdaje się, że wraz z nią śmiechy i igraszki do pokoju wchodzą, a to pod postacią ślicznej jej córki

*) Krewny Autorki — o znaczeniu innych liter nie mogliśmy się wywiedzieć.

***) Hempel wydał 7 numerów nie bardzo dowcipnych *Paszteku* z truflami czyli facecyami — tak nas objaśniono, lecz przypuszczamy, że mógł to być już P. Hofmann.

Maryi (późniejszej hr. Onufrowej Małachowskiej) i pięknej Melanii jej siostrzenicy. Prawdziwa radość kiedy do nas zawitają; wtedy krzyk, wrzawa niesłychana; to *lis* goni z pytką, to całe koło *w mručka* nic prawie nie mówi, ale pęka od śmiechu, to *myszka* piszczy, ucieka i wszyscy wraz z nią piszczą i boją się, to *w dzwonka*, stołki umęczone. Zatrudnienia moje poranne lubo tak poważne, jeszcze mnie zdolniejszą czynią do wieczornej zabawy; potrzebuje nawet roztrągnięcia i znajduję go w najmniejszej rozrywce. Już właśnie dzisiaj tom trzeci Amelii skończyłam; był i on u księdza Siarczyńskiego, alem niezaspokojona jego uwagami, i on i wszyscy księża, chcieliby nie wiem dlaczego, żebym ja ile możności to dzieło skracała: ja tego ani chcę, ani mogę uczynić. Oświadczyłam to wyraźnie w liście do Woronicza, który zmuszona byłam napisać niedawno, ażeby mi już dali pokój. Mój list go przekonał i podjął się przejrzenia trzeciego tomu. Jutro mu go pošlę. Z niezmiernym upodobaniem ten tom pisałam, a opis patryarchalnego życia powiększył we mnie smak do domowych zatrudnień. Z Amelią także i z jej rodziną poznałam się lepiej; zdaje mi się, że ona żyje istotnie, tak ją widzę, tak ją kocham; mam w Bogu nadzieję, że i starsi i dzieci czytać będą ten tom z przyjemnością. Ani wiem jednak kiedy wyjdzie, bo lubo sprzedaż Amelii idzie nieźle, jednak wszystkie koszta niewynagrodzone; kosztowała do 10,000 zł., było 2000 egzemplarzy; przytém też ja żyć muszę, potrzebuje do roku najmniej trzy tysiące, a mam na to jedynie w zapasie pracę i Opatrzność.“

21 Lipca. „Pocziwi wujostwo, którzy żyć bez nas nie mogąc, za nami się tu przyprowadzili ze Starego Miasta; dziś ustępują nam jeszcze pomieszkania swego. W tej samiej jest, co i nasze było oficynie, ale okna na Saski ogród wychodzą. Jakaż to rozkosz mieć wieś w mieście! Słyszec

ptaszki; oddychać świeżem powietrzem! Jużemy się tu od dwóch tygodni przenieśli, ale z myślą, że to jedynie na czas nieobecności wuja, tymczasem to na zawsze. Nie mogę wypowiedzieć, jakem z tego kontenta, jak naturę i cichość lubię. I matka moja będzie zapewne tu zdrowsza; ja mam śliczny pokój obszerny, wygodny. Prawda, że wyporządzenie z pięćset zł. kosztować będzie, ale na cóż pracuję, jeśli nie na to, żeby przecież matka cokolwiek wygody i przyjemności użyła i ja przy niej. Nierównie mi się tu lepiej pisze niż po tamtęj stronie. Czwarty tom Amelii skończony; trzeci niezmiernie się Woroniczowi podobał; nic nie prze-mazał, dwie tylko lekkie wskazał odmiany: teraz jest w cen-zurze; i duchownej i cywilnej podpaść musi: obydwóch do-syć się lękam.

10 *Września*. „W nocy z pierwszego Września na dru-gi starsza siostra powiła szczęśliwie córkę, która sobie przyniosła Stefani imię!.

Dwa tygodnie spędziłam u siostry, przyjemnie, bo tyl-ko potrzeba, żebym wiedziała że użyteczną jestem; jednak z niewymowną radością do domu i do pióra wróciłam i te-raz zajęta jestem pracą nader miłą. Nie bardzo mnie od Amelii odrywa; bo cała nie więcej jak dziesięć dni mi zaj-mie. Jest to książeczka dla dzieci uczących się czytać, którą piszę jedynie niby dla Helenki, ale która się przyda innym dzieciom i pomimo drobności swojej bardzo ważną być mo-że. Ja prawie pewna jestem, że to zamięłowanie francuzczy-zny w kobietach naszych, które tak szkodliwe ma skutki, z niczego więcej, tylko z tego pochodzi, że bardzo mało ma-my dobrych i zabawnych książek dla dzieci, a francuzkich jest mnóstwo; jakżeż się dziecku dziwić, że zabawne nad nudne przekłada, i że czém z młodu się napoi, to w niém do śmierci się odzywa. Amelia coraz łatwiej mi idzie; już widzę że nie potrafię tak drukować prędko, jak piszę, trze-

ba więc te przerwy czemciś inném zapełnić; wreszcie teraz i na korzyść uważać należy. Mam więc zamiar jeśli Bóg dozwoli, utworzyć kurs edukacji dla małych dzieci i napisać te książeczki łatwym i zabawnym sposobem, ażeby dzieci nasze zawczasu w mowie rodzinnej zasmakować mogły.

Pierwsza książeczka wyjdzie pod tytułem: *Wiązanie Helenki*, bo chcę koniecznie, żeby była na 25 Listopada skończona; Helenka w ten dzień czwarty rok zacznie, będzie to mój dla niej podarek *). Przyjemność zrobię rodzicom, ile że do końca nic a nic wiedzieć nie będą.

Otworzyć raz pole wyobraźni autora, pozwolić jej bujać, to jest potem robota dogadzać jej i doganiać. Jak ja przez lat kilka Amelią zajęta byłam, zdawało mi się, że zaledwie ją przed śmiercią wykończyć potrafię; raz puściwszy cugle swojej wyobraźni, nie skończyłam na Helenie.— Sama się dziwię wielkości, liczbie, śmiałości projektów moich, a przecież zdaje mi się, że wszystkie z jak największą łatwością skuteczną. Bądź to skutkiem większej w piśmie łatwości, bądź lepszego zdrowia (bo po kuracji Girardot, to jest po wodzie emetycznej bardzo zdrową się czuję), coraz rozszerza się przedemną mój zawód literacki, na coraz więcej przedmiotów oko moje się zwraca, a razem zapewnia, że każdemu da radę. Przyznać należy, iż pierwszym do nowego zamiaru powodem była prawie pewność zupełna, że tysiąc zł. z pensyi matce mojej ujmą. Od wielu osób słyszałam, że najkorzystniejszą gałęzią literatury są pisma peryodyczne dla dzieci; dręczona więc chęcią wynagrodzenia matce co utracić miała, przyszło mi na myśl wydawać pismo peryodyczne dla dzieci; plan, prospekt, w momencie napisa-

*) Przeznaczenie chciało, żeby owa Helenka umarła w tymże samym roku, w tymże samym miesiącu, w tymże samym tygodniu, co i cziogodna jej ciotka. Pani Helena z Tarczewskich Radwanowa, zesła z tego świata d. 19 Września w Warszawie, a pani Hofmanowa d. 21 Września 1845 roku w Passy pod Paryżem.

łam; radziłam się matki, rodziny całej, Wyszowskiego; wszyscy mój zamiar pochwalili, a ja dalejże pchnęłam go do gazet i ogłosiłam prenumeratę: „Od 1-go Stycznia wychodzić będzie co miesiąc numer jeden pod tytułem: *Rozrywki dla dzieci.*“

Pusty śmiech mnie bierze a może i tajemny jakiś dreszcz mnie przechodzi, gdy pomyślę, że ja na wydawcę pisma periodycznego wyszłam; ale mam już zapasów dosyć: pierwszy numer już szczęśliwie przeszedł przez cenzurę; już go drukują, będę się niezmiernie pilnować, żeby dnia, godziny nie chybić. Nic obcego, nic cudzego (chyba bardzo piękne rzeczy) miejsca w mojem piśmie nie znajdzie; będzie zupełnie poświęcone rzeczom swoim, enocie, dzieciom; taki skromny ma tytuł: spodziewam się, że to dobrze przyjęte będzie. *Amelia* także na tym nowym projekcie niewiele będzie szkodować; trzeci tom przeszedł już przez różgi, a nie ma go za co drukować; ze wszystkich nadziei jakie mi rząd czynił, a raczej minister oświecenia, bo miałam dostać zapomogę, cyfrę i pensyą, dostałam tylko trzy tysiące złotych i to prawdziwie cudem Opatrzności *); temi zapłaciłam część długów za *Amelią* i część kosztów czwartego wydania *Pumig-*

*) Oto jest treść reskryptu ministra przydującego w Komisji Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego:

„Minister przydujący w K. R. W. R. i O. P. wyznacza autorce sumę 3,000 zł., które na raz jeden za kwitem swoim odbierze od kassjera trudniącego się wypłatami nadzwyczajnemi w K. R. W. R. i O. P. Gdyby możność dozwalała minister W. R. i O. nie odmówiłby autorce tak chwalebnie zasługującej się ważnej sprawie bogobojnej wychowania młodzieży. Okazany talent P. Tańskiej w sztuce pisania dzieł tego rodzaju, jęj prawdziwa gorliwość i przykładne poświęcenie się dobru, mianowicie młodzieży płci swojej, nie daje wątpić, że coraz więcej zbawiennych skutków przynosić będzie swemi pracami pięknemi, do których autorkę, jak najuprzejmiej zachęcić Minister W. i O. za miły poczytuje sobie obowiązek. W Warszawie d. 9 Grudnia 1823 (podpisano) Stanisław Grabowski—S. J. St. Deszert.

tki. Rozrywki muszą się drukować przychodem z prenumeraty, a *Amelia* musi spać póki mi Bóg lepiej nie poszczęści, bo co z pierwszych dwóch tomów, to już wątpię, żebym jaki zysk miała; przedrukowały się w zabużańskich prowincjach, niewięcej jak tylko 2,000 egzemplarzy: jakiś niegodziwy człowiek wydrukował i dwa tomy za rubla sprzedaje. Gdybym była bogatszą, Bóg widzi, że ta strata więcejby mnie ucieszyła niżeli zmartwiła. Widziéć, że dzieło podobne rozchodzi się, że chociaż milczą o *Amelii* pisma publiczne i nie wiele mężczyznom się podoba, musiała przecież w całym kraju dobre wrażenie uczynić—czyżto nie byłaby prawdziwa rozkosz? Dziś nawet chociaż nic nie mam, aż gniewam matkę, że na tych niegodziwych ludzi gniewać się nie mogę. Miłość własna autora, serca zaspokojenie chęci zysku przeważa.

Wiązanie Helenki udało się wybornie; ani siostra, ani jej mąż nie domyślali się niczego i zupełne było zdziwienie, ale ja żałowałam, że sobie niespokojność kupiłam, bo tak jestem o tém przekonana, że przyszłość nasza w ręku Boga jest, że człowiek z pewnością na jeden dzień, na jedną godzinę rachować nie ma prawa, iż napisawszy i podawszy do druku w Październiku: „*trzy lata skończyłaś Helenko*“ zdawało mi się że obrazila Boga tém przedwczesném pisaniem i struchlałam, czy mnie nie ukaże za tę zbytęcną słabość. Za najmniejszą dziewczyniny słabością, okrutną byłam dręczona niespokojnością; ale ukontentowanie i wdzięczność rodziców, powszechnie pochwały jakie ta książeczka zyskuje, zupełnie pamięć téj nieprzyjemności zatarły.“

25 *Kwietnia 1824.* „Po zimie nie tak przyjemnej jak przeszła ale przecież dosyć wesołej, po jak najpochlebniejszym przyjęciu czterech już numerów *Rozrywek*, pierwszy wypadek ważniejszy w tym roku jest powrót Szyrmy. Nie wiem dlaczego, ale mnie się zdawało, że ja go już nigdy nie zobaczę; rzadko kiedy bywały od niego wiadomości; do

mnie samęj raz tylko pisał: nie doszedł mnie list jego, a za-
 tęp nie odpisałam, i przecięły się nasze stosunki. Nie grał
 żadnej roli w myślach, w projektach moich, z obojga stro-
 ny na szacunku i przyjaźni się skończy i lubo nas bardzo
 wiele osób i swatało i swata już od lat tylu, ta myśl po-
 dobno na prawdę żadnemu z nas nie powstała w głowie. On
 dobrać sobie może ładniejszėj, młodszėj żony; ja wcale mę-
 ża nie chcę, i jeszcze nie znam owego mężczyzny, dla któ-
 regobym chętnie stan zmieniła—każdy powinien polepszenia
 szukać—mnie jeszcze żaden widok odmiany nie przedsta-
 wił nic lepszego nad los, którego używam. Wreszcie zacóz-
 bym ja nie mogła w panieństwie życia dokonać? Bóg widzi,
 żem z mego stanu zupełnie kontenta; nie znam miłości, nie
 mam dzieci, inieniem zacnego męża się nie szczycę, ale ser-
 ce moje zajęte innemi, czystszeńi uczuciami; wszystkie pol-
 skie dzieci mojami są dziećmi, moje imię z wdzięcznością
 wymawiają matki; mogę uprzyjemnić życie mojęj własnej
 matce: jestem zupełną panią czasu, czynności, pieniędzy mo-
 ich, a przytęp swobodna, wolna, zdrowa.—Możesz być szcze-
 śliwsze położenie? Jakżeby wielu rzeczy trzeba, żeby tę pe-
 wną szczęśliwość dla niepewnej puścić. Szyрма tak się wy-
 doskonalił w angielskim języku, że w nim pisał listy o Pol-
 sce, bardzo się w Anglii podobały; tam mówiąc o literaturze,
 mnie i moje pisma wspomniał niezmiernie pochlebnie... Jak
 czasem się zastanowię, a pamięcią sięgnę owych lat pier-
 wszėj mojęj młodości, kiedy niekształtna, nieśmiała, tak ma-
 ło znaczyłam i tak nic znażyć się nie spodziewałam, a po-
 tęp nagle przejdę do dni dzisiejszych i wspomnę na chwa-
 łę, którą sobie zjednałam, na świetne zamiary, na którym
 się porwała; zdaje mi się, że jedno albo drugie snem jest
 albo że tamta i dzisiejsza Klemensia dwie są odmienne.“

Wrzesień. „Jak żyję nie pamiętam ażeby mi kiedy dwa
 tygodnie tak wesoło zeszyły: od kilku lat wybierając się od-
 wiedzić wujostwo i Puławy, wybrałam się nareszcie tego

lata, siostry przedemną jeszcze pojechały. Byłyśmy cztery kobicinki młode, wesołe, do figlów, do pustoty skore; każda z nas ma swoje domowe zatrudnienie, a zatém i kłopoty i niesmaki: otrząsnęłyśmy się z tego wszystkiego i ułożyłyśmy sobie cały ten czas wesołości i zabawie oddać. Student, który po nudnych naukach na wakacye przyjedzie, lepiej od nas słowa dotrzymać nie mógł. Kochani wujostwo wszystko téż zrobili, żeby nam dobrze, wesoło było i udało im się wyśmienicie. Powtarzam, nie pamiętam w życiu całym takich wesołych dwóch tygodni; zdołała je jeszcze myśl, że to co widzę opiszę; listy z Warszawy zapewniały mnie o zdrowiu matki i wszystkich; przyjmowanie nas w Puławach i wszędzie zaspakajały serce i miłość własną moję; czas piękny nam sprzyjał; słowem choćbym sto lat żyła nie zapomnę tych dwóch tygodni.... ale téż za to, jak smutny był powrót... Kochana matka nie chcąc nam psuć zabawy, pisała, że zdrowa a wcale nią nie była. Zrobiło jój się coś nakształt wrzedzionki na tój piersi, na którą już od urodzenia pierwszej córki cierpi, a która od dwóch lat dokucza jój dosyć i mnie zawsze srogiej niespokojności nabawia. Niespokojność o swoje zdrowie, tęsknota po nas do niepoznania ją zmieniły; przytém Helenka bardzo chorowała i zastałyśmy ją z przekreconými oczyma. Teraz już o tém z zimną krwią mówić można, bo miesiąc upłynął i wszystko jest lepiej; ale nie zapomnę nigdy boleści tego przejścia z szalonej wesołości do tego smutku, ile że każda z nas miała pewne wyrzuty sumienia, naprzód że tak wesoło się bawiła, kiedy osoby jój drogie w utrapieniu były, a powtóre że gdybyśmy nie były odjeżdżały, możeby rzeczy inaczej się obróciły. Bądź co bądź, pomimo całej zabawy i przyjemności, gdybym jeszcze taki jeden powrót do domu mieć miała, trzech równie miłych nie chciałabym przejażdżek.

...1825 d. 1 *Stycznia*. Zaspokojona losem, przeznaczaniem majątkiem moim, żadnego polepszenia, żadnej odmia-

ny nie pragnę, ale mnie dręczą matki ukochanej cierpienia.

Co się tyczy głównego celu dni moich i prac literackich, nigdy jeszcze w żadnym roku tyle rzeczy rozpoczętych, tyle zamierzonych, tyle ksiąg do czytania, jak w tym nie miałam. Pamiętnik Krasiński, Kochanowski w Czarnolesiu, z dwunastu miesięcy Rozrywki, historia polska, to jest na warsztacie, to ma być w tym roku skończone; o Amelii już nie wspominam, bo widzę, że spać będzie czas jakiś. Zmuszona jestem obrotem jaki wzięły prace moje literackie, poznać dokładnie dzieje i literaturę ojczyzną i na to zakres roczny nie zdaje mi się zbyt obszerny. Trzeci tom Amelii, drugie Wiązanie Helenki, przy Boskiej pomocy wyjdą z druku w tym roku. Ponieważ w tym roku wypada mi koniecznie zaprzestać Amelii, mam jakieś wyrzuty sumienia; boję się nadewszystko, abym zbyt światowemi rzeczami zajęta nie odbiegła od głównego tego przejścia na tej ziemi celu. Przeto taką przedsięwzięję pracę. Mam po dziadku Czempińskim *Żywoty Świętych*, Skargi; codzień jeden przeczytać muszę; wypisy z niego zrobić, a te wypisy, które na końcu roku *Zbiór nabożny* złożą, ofiarować na dochód głuchoniemych pań kasztelanowej Połonieckiej. Z tej pracy która tak dobrze każdy mój dzień zakończy, ja pewny zysk mieć będę, a może i ci ubodzy którym inaczej świadczyć nie mogę, a takbym dopomódz rada.

3 *Styczeń*. Dziś czytałam Reja *Żywot poczciwego człowieka* i wypisy z niego robiłam; niezmiernie mi się podoba: prostota jego lubo trochę nieokrzesana, bardzo zajmująca.

13 *Styczeń*. Napisałam Trzy chwile z życia Erazma Wilethissa, zdaje mi się że dobry i niezwyčajny ten kawałek.

27. Skończyłam *Żywot człowieka poczciwego*, wiele w nim rzeczy arcywybornych; i Wiązanie Polki, i mój Kochanowski zbogaciły się z niego niepospolicie. Jest trochę przewlekły, niekiedy nudny; ale przecież z wielką przyjemnością go czytałam.

3 Lut. Dziś Czekierski radził z Römmerem o matki mojej zdrowiu! O Boże! dobry Boże! dajże skutek ich lekarstwom, w Tobie jednym nadzieja! O! ciężko mi na sercu. Smutne mam jakieś przecucia, nic robić nie mogłam.

4 Lut. Nie dobrze idzie praca w smutku, ale cóż robić? nie można rąk opuszczać; poprawiłam i przepisywałam przejażdżkę: przeczytałam część kroniki Prokosza.

7 Lut. Napisałam wspomnienie historyczne: Jan Zamoycki na kazaniu Melchiora Mościckiego.—Bóg dobry pozwolił mi zapomnieć na chwilę o smutku.

14 Luty. Wczoraj był Czekierski i dziś rozpocząć kazał zupełną kuracyą; trzydzieści dni głodu, kwarta kleju z gumy arabiki, filizanka rosółu i czwarta część bułki, to całodzienném pożywieniem, apertura i dwa razy jeszcze pijawki. Jutro głód się zacznie. Badaliśmy Römęra, on powiada, że oni sami nie wiedzą jeszcze z pewnością co to jest: zdaje im się jednak, że to *stir* i mają wszelką nadzieję, że tym głodem rozejdzie się zupełnie. O Boże! Boże dobry! spełnijże te słowa! daj matce cierpliwość, spokojność umysłu i ufność w Tobie.

18 Luty. Matka znosi głód bardzo cierpliwie, humor jej nawet trochę lepszy; nie cieszy mnie tylko zupełne jej opuszczenie się, Niczem się nie zajmuje, cały dzień na jednym siedzi miejscu; dla mnie taka beczynność byłaby śmiercią. Szczęściem przynajmniej, że w karty grać lubi, codzień od siódmój do dziesiątój to jest jej zatrudnieniem i zabawą. Nieoszacowany Wyszkowski codzień przychodzi; wujostwo poczciwi nieodstępni towarzysze; szwagier, siostra codzień przychodzą. Taki od Poniedziałku porządek w godzinach moich: wstaję skoro świt, pacierz zmówiwszy piszę, lub czytam; matka moja przed dziesiątą się budzi, idę do niej i do dziesiątój schodzi mi na rozmowie z nią, śniadaniu, myciu, ubiorze, gospodarstwie... Od dziesiątój do pierwszej pracuję, zaglądając niekiedy do matki; o pierwszej

idę do niej z robotą, ubieram się na cały dzień i już siedzę do siódmój; wybiegam tylko na obiad do wujostwa, którzy mnie zaprosili do siebie na cały ten czas głodu matki. O siódmój, gdy już wszystko przyrządzę dla gości, biegnę do drugiej siostry, bawię do dziesiątej; wróciwszy siedzę godzinę z gośćmi mojami; potem rachunek z kucharką, pacierz, spać. Dziś porządki w papierach moich robiłam i listy pisałam; zostałam urzędniczką. Po wielu namowach i prośbach Kosakowskiego, członka komisji edukacyjnej, przyjąłm urząd eforki, bardzo pochlebny; czy go dopełnić potrafię, nie wiem, ale chcieli. Matka sobie tego życzyła, przyjąłm; dwie pensye i dwie szkoły będę miała pod swoim dozorem: prosiłam o najbliższe mego pomieszkania, ażebym snadniej do nich dochodzić mogła. Ciekawam moich tam odwiedzin; mnie się zdaje że to istna komedia.

24 *Luty*. Odebrałam pochlebną nominacyą na eforkę od komisji oświecenia i wezwanie na sesyą na pojutrze. Bawi mię to.

10 *Marca*. Dziś dzień był szczególny, smutek z radością na przemiany go zajnowały. Rano strapiłam się, bo matkę pierś więcej bolała; potem drukarz po 1,500 zł. przysłał, a ja tylko 200 miałam w domu. Matkę przestała pierś boleć; szwagier na pierwsze moje zawołanie przyniósł mi sam 1,300 zł. Miałam kłopot z rozsyłaniem listów, biletów, podań do gazet, wszystko względem prenumeraty trzeciego tomu *Amelii*: jedna osoba niegrzecznie mi odmówiła. Pani Zamoyska czyniąc zadosyć prośbie mojej, wezwała mnie najuprzejmiej imieniem Towarzystwa Dobroczynności na *opiekunkę ubogich*, godność którą z największą wdzięcznością przyjąłm, bo zdaje mi się że potrafię ją wypełnić i przez to być użyteczną.

29 *Sierpnia 1825*. O siódmój godzinie w wieczór podobalo się Bogu wezwać do siebie najlepszą matkę!

1 *Stycznia 1826*. Jakaż rok ten upłyniony smutną

i wielką przyniósł w położeniu mojem odmianę! zostałam sierotą, samą, zupełnie wolna, los swój, imię, utrzymanie stanowią... A przecież nieszczęśliwą nazwać się nie mogę i Bóg wiele zostawił mi jeszcze. W tym roku lubo tak z innych miar smutnym i okropnym, najwięcej się przekonałam, że praca moja ceniona, że korzyść przynosi; najwięcej mam nadziei, że los mój zapewni, ustali, że imię moje wsławi. Ten rok więcej niż którykolwiek zastaje mnie wdzięczną Opatrzności za cuda, które Jój się podoba na mnie okazywać...

2 *Sty.* Zważywszy jak najrzetelniej i najskromniej potrzeby moje w położeniu w jakim teraz zostaje, wyrachowałam, że mi koniecznie na rok 5,000 zł. potrzeba; te tak rozporządziłam:

<i>Wydatki stałe</i>		<i>Wydatki niestałe</i>
Stancya	800	Mój ubiór
Drzewo	300	Anusia
Służący	972	Podarki
Mój stół	480	Potoczny wydatek
Pranie	288	
razem zł. 2,840		razem zł. 2,160

24 *Sty.* Odczytawszy po razy kilka uwagi Gołębiowskiego i Brodzińskiego nad zamierzonym Kochanowskim, w imię Boga wzięłam się do téj pracy. Dwie pierwsze stronice stworzyłam.

28 *Sty.* Jeździłam do Zaborowa na trzy dni sankami; trzymałam J....skim do chrztu z panem H.... syna, dano mu imię Kazimierz, 10 Grudnia się urodził. Dziś pocziwy Wyszkowski po kilkotygodniowej słabości, pierwsze swoje kroki do mnie obrócił; kocham go serdecznie, jak gdyby krewnym był moim.

25 *Lutego.* Kostunia Ł.... już obiecana kasztelanowi W..., pewna jestem, że będzie szczęśliwa...

8 *Marca*. Służąca moja Zuzia oświadczyła mi ze łzami, że mnie porzucić musi, bo idzie za męża. Pół roku jestem na swoim gospodarstwie, a już drugą za męża wydaję; dobrze, niech idą za siebie i za mnie. Rozrywki tegomiesięczne wiele narobiły hałasu z powodu artykułu o grach ćwiczących umysł.

15 *Mar.* Mój Stanisław już dwa dni pije, wytrącony będzie talar z zasług, bo taka umowa.

31 *Mar.* Wszystkie te dni Marca zeszyły bałamutnie. Naprzód święta, potem śmierć pani Lanckorońskiej kasztel. połonieckiej, pocieszanie krewnych, nabożeństwo za nią, porządki i portret.

9 *Kwietnia*. Dziś wezwaną zostałam na professorkę do Instytutu Guwernantek: trudny to będzie kawałek.

20 *Lipca*. Wracam z egzaminu Instytutu Guwernantek. Minister Oświecenia zadał im za thema moją pochwałę. Publicznie dwadzieścia ośm piór zajęło się mną; teraz mi to miło, ale w razie nie byłam mu wdzięczna.

29 *Sierpnia*. Smutny na zawsze dzień poświęcony modlitwie i pamiętce téj ukochanej matki, której zapomnieć nie jest w mojej mocy. Po stracie ukochanej osoby niema słodsze go zatrudnienia nad oddawanie jęj pamięci jakiegoś hołdu, nad wydzieranie jęj myśli, słów i czynów zagubie, słowem nad zajmowaniem się nią jeszcze. Te starania złączone z nadzieją zobaczenia się kiedyś, łagodzą boleść, mamią serce; rozdział nieprzebyty i okropny jaki śmierć między zmarłymi, a żyjącymi kładzie, podobniejszym do zwyczajnej niebytności czynią. Mówię to niestety z własnego doświadczenia a żałując tych osób, które po ulubionych sobie podobnych pamiętek nie mają, i tych co czasem przez zbytek czułości nie lubią trudnić się wydartemi sobie: drogie zabytki przez ukochaną matkę w przeciągu lat pięciu kréslone, zebrałam w jedną księgę; później papier, który jęj śmierć napełnić nie dozwoliła, zajmą niektóre szczegóły

o niej; umieszczę krótki rys pięknego, przykładowego jój życia, i dla zaspokojenia własnego serca i dla pożytku tych drobnych wnucząt, które tak kochała, i dla pociechy jój dzieci i rodziny, które nigdy żałować jój i kochać nie przestaną. Ułożyłam sobie, żeby co rok póki życia stanie, w dzień 29 Sierpnia przystępować do Sakramentu spowiedzi i ołtarza; mszy słuchać za duszę kochanej matki, a resztę poranku jój pamięci poświęcić, t. j. zebrać jój dzienniki i dopełnić je krótkim rysem jój życia, szczegółami o niej, anekdotami, zdaniem *). Lepszego wzoru nie znam jak matkę moją i panią de Sevigné i dla tego może tak kocham panią de Sevigné, że zawsze w jój osobie matkę moją widzę. Miłość ich ku dzieciom i wierność w przyjaźni, starania dla krewnych sprawiły, że owdowiawszy w młodym wieku, obeszły się bez nowych związków małżeńskich i życie ich było miłe i zajęte. Dziś czyli w pierwszą rocznicę jój śmierci, uporządkowałam kalendarze, odczytałam je, ułożyłam do oprawy i napisałam kilka słów o tym zbiorze. Umyśliłam także zapisywać zaraz jak mnie każda rocznica zastanie. Tego roku odtęskniona już nieco po matce, osobiście jestem szczęśliwa, trapi mię tylko niepewne i przykre położenie mojej...

30 Listopada. Nie wiem dlaczego w tym miesiącu nie pisałam tego dziennika. Ból zęba, imieniny, lekcye, odwiedziny, których zawsze dosyć ale często wiele mi czasu zabrały. Jeździłam także kilka razy do Powązek. Pomnik dla drogiej matki już przecież ukończony. Oby dusza jój przyjąć raczyła tę ostatnią przysługę od wdzięcznych dzieci.

Osobliwej i bardzo miłej dowiedziałam się nowiny. Wszakże to Towarzystwo Przyjaciół Nauk ma mnie obrać członkiem swoim? aż się śmieję na tę myśl, to pierwszy

*) Notaty do téj pracy weszły już w niniejszy zyciorys.

byłby przykład w Polsce; jakże mi żal, że kochana matka nie żyje *).

16 Grudnia. Bardzo miła dla mnie pochwała w *Revue Encyclopédique* ale oraz i śmieszna, bo mnie umiejętną w łacinie czynią. O gdybyć!

30. Nie bardzo pięknie popisałam się w tym roku, nie napisałam tyle ile zamierzyłam, a wydałam pieniędzy więcej; zamiast pięciu tysięcy na wydatki moje osobiste, wyszło sześć tysięcy siedmset siedmdziesiąt sześć, w które z własnej pracy wchodzi tylko 5,266. Jednak to trochę korci, bo długi są; prawda, że to co mam w książkach przenosi te długi w dwójnasób i gdybym umarła nie byłby drukarz i nikt skrzywdzony, przecież pracuję nad tём, żeby wszystkie długi zaspokoić, a wtedy co wydam będzie prawdziwie *moje*. Zbierać majątku nie myślę; naprzód nie potrafiłabym, powtóre nie mam dla kogo: dzieci siostry jest siedmioro, cóżby to trzeba zbierać, żeby każdemu z nich coś znacznego zostawić? O te lata w których już pracować nie będę mogła, jakoś się nie turbuję: naprzód zdaje mi się zawsze, że długo żyć nie będę; powtóre, czyż niema Opatrzności? jeźliby mię nawiedziła starością niedołęzną, da wtedy podpore; kto z młodu pracuje, ten na starość nie wyciąga ręki.

31 Grudnia. Niemniej w końcu jak w początku tego roku sprzyjała mi Opatrzność. Dziś przystąpiwszy do dwóch sakramentów, z których jeden oczyszcza, drugi poświęca i uszczęśliwia, dziękowałam ze łzami Stwórcy mojemu, bo prawda że nad zasługi mnie obsypuje. Co rok jak sięgnę pamięcią, widzę moje prace cenione, co rok przekonywam

*) Ile nam wiadomo, Towarzystwo Przyjaciół Nauk istotnie zajmowało się tą myślą, ale nie wzięła ona skutku dla niewzbudzenia zawisłości w innych damach, osobiwie wyższego położenia.

isę mocniej że są użyteczne. Prawda, że owa posada znakomita i szanowna nie taką się być okazała, że umywano zupełnie od niej ręce a w Instytucie guwernantek niczem nigdy być nie chcę, tylko bezpłatną nauczycielką, ale i w tém opieka ojcowska Stwórcy się zwiastuje, bo ta posada byłaby skępowała wolność moją, a tak nie jest wolniejszy ptak powietrzny odemnie; byłaby zabrała może wszystkie chwile moje, najpewniej bez owocu. Jeżeli zawsze tak mi się powodzić będzie co do spraw pieniężnych jak w tym roku, jeżeli tak będę zdrowa (bo prócz bólu zębów nie miałam od lat piętnastu takiego roku zupełnego zdrowia) mogę jedynie na autorstwie polegać; ta praca tak miła i chwalebna wyżywi mnie i utrzyma szczęśliwie... Ach! wieleż to razy w tym roku żałowałam, że matki mojej niema i dla tego, że byłaby się radowała nademną...

1 *Stycznia 1827 roku.* Zaczynam ten rok pełna najwyższych dla Opatrzności Boga mego uczuć. Przebyłam tamten szczęśliwie, nie brakło mi na niczem, praca moja wystarczyła na utrzymanie moje nietylko uczciwie, ale z wygodami. Mogłam i potrzebniejszym udzielić nieco. Zdrowie tak mi służyło jak od dawna nie pamiętam, prócz tęsknoty po drogiej matce, osobistego nie doznawałam zmartwienia, a pociech przyjemnych uczuć tyle..... Jeżeli smutek gościł w sercu (bo któż na tej ziemi jest bez gościa tego) to jedynie z powodu niedoli innych a później z niespokojności o los ukochanej... te uczucia dotąd dręczą, alboć Bóg dobry na dobre je obróci, alboć luba nadzieja jaką mam się spełni.

3 *Stycznia.* Jedna rzecz trudna i niebezpieczna z udzielania światła, jest to wynoszenie się nad stan swój, ta gwałtowna i nierozsądna chęć rodziców, żeby koniecznie ich dzieci mędrszemi od nich były. Nie jest ona szkodliwa dla mężczyzn, oni przez to samo dowodzą, że stworzeni więcej do światła od nas, iż lepiej się z niem

obchodzić umieją; słabość umysłu niewieściego w tém najlepiej się okazuje, że mało która znieść je umié i dla tego to uczone, edukowane, mądre kobiety tyle zawsze są wyśmiewane, dla tego starzy i rozsądni mężczyźni tak na tę mądrość ramionami ruszają. Dochodzą mnie już wieści, że Instytut guwernantek większy jeszcze popęd daje téj nieszczęśliwój manii; wszystkim urzędnikom, ekonomom, małym dzierżawcom zawraca się głowa, wszyscy na gwałt córkí swoje chcą tam oddawać. Nie ma zapewne we mnie arystokracja przyjaciółki, ale wyznaję że w téj mierze jestem arystokratką. Gdyby za mojm zdaniem naczelnicy poszli, nie przyjmowanoby tam tylko panienki, których rodzice (mniejsza czy szlachta, czy nie) ale dobrze wychowani. Córka urzędnika wyższego, który umarł i żonę bez sposobu zostawił, sierota dobrze urodzona, kupcówna zubożała, takieby miejsca miały. Wyniesienie nad stan dla kobiety jest nieszczęściem, nigdy tego powtarzać nie przestanę. Choćby światło jój udzielone w najlepsze się obróciło, gdy wróci do domu nieszczęśliwa będzie, bo ją wszystko razić, obrażać nie przestanie; bo wyższą się będzie czuła nad tych, którzy z przyrodzenia wyższemi od niój być powinni. Cóż dopiero, kiedy jak się zdarza najczęściej, ta nauka niedowarzona na złe się obróci?

Właśnie była u mnie w téj chwili pani A..... i rozpowiadała mi o córkach swego komisarza. Żona jego prosta, ale pracowita i wyborna kobieta, przez tę tkliwość matkom wrodzoną, zapragnęła uchylić córki swoje od ciężkiej pracy w której żyje, niepomna że przy niój jednak jest zdrowa i wesola. Ale czego nie znamy, zawsze nam się lepsze wydaje. Ludzie prości sądzą, że życie panów jest bez trosk i kłopotów i zapytując siebie: jakim sposobem panią może zostać uboga dziewczyna? odpowiadają: edukacją. Namówiła więc męża poczciwa pani komisarzowa, ażeby dwie córki najstarsze oddał na pensyą do panien N.....; tak były wy-

mówne jój argumenta, że przystał, a przez trzy lata skubał się jak mógł, ażeby za nie płacić. Nareszcie po trzech latach przyjechały panny z pakietami ksiąg, zeszytów, rysunków z gitarą i nutami: naprzód bardzo im było trudno pomieścić się w mieszkaniu rodziców, musiała matka wyprzątnąć izdebkę, która jój bardzo była potrzebna; nie smakowało im jedzenie, wszystko było złe i niedobre. Matce zamiast pomocy, ciężkiej pracy przybyło, bo panny nic nie robiły tylko grały i śpiewały, książki francuzkie czytały, sukni nawet żadna zrobić nie umiała, tony największe, pretensye, przesady. Oficerowie stojący kwaterą w okolicach do nich się zjeżdżają i jakież są ich zabawy: grają w kwestyę, w *petits jeux*, a matka tymczasem piecze się w kominie nad przysmakami. Starszą teraz gwałtem wprosilili do Instytutu guwernantek, chodzi tam i jest u panien N... nie wiem czy i moich lekcyi słucha, bo jeszcze nie znam nowotnych, ale wiem, że z tój rodziny powieść do pisma wiadomego zrobię. Będzie trzy córek, dzierżawca, komisarz (bo dobry obraz małpowania pałacu), skończy się na tém, że dwie starsze oficerowie zbałamucą, najmłodsza zaś, którą dla szpetności w domu zatrzymano, pójdzie bardzo dobrze za mąż.

17 *Lutego*. Z katechizmem, który piszę, nowy sposób przyjęty. Anusia moja wychowanica go czyta i ona cenzorem moim. Ale to praca zupełnie na nowo; da Bóg, że może pomyslną będzie, takich rzeczy lenić się nie trzeba.

31 *Maja w Krakowie*. Przez większą część tego miesiąca wybierałam się w podróż do Krakowa; wyjechałyśmy z siostrą młodszą dnia 12go. W podróży, nie w książkach, ale w ludziach i w rzeczach czytanie, nie żniwo, ale siejba; a gdyby nie myśl smutku starszej siostry po stracie dziecięcia, miałabym była czas najmilszy w życiu, osobliwie dla miłości własnej. Przetłómaczyłam przez drogę hymny *Mistres Barbauld*, precudowne; spodziewam się, że użyteczne będą: dzieciom krakowskim je przypiszę.

14 Czerwca. Odebrałam dziś egzemplarz mojej *Pamiętki*, tłómaczonej przez jakąś damę na język rosyjski.

18. Dostałam uwiadomienie od Komisji Oświecenia jako Dozór pensyi i szkół płci żeńskiej podał mnie Radzie Administracyjnój do pensyi dożywotniój. Czemuż kochana matka nie żyje, jakżeby się cieszyła!

Oto jest treść tego uwiadomienia:

„Komisya R. W. R. i O. uwiadamia W. Klementynę Tańską, damę Dozoru, iż na przedstawienie Dozoru pensyi i szkół płci żeńskiej, powodowana sprawiedliwym względem na ważne posługi, które taż W. Tańska, jużto wydaniem dzieł dla młodzieży płci żeńskiej pożytecznych, już gorliwem pełnieniem obowiązków damy Dozoru, już nakoniec wykładaniem bezpłatnie, z prawdziwym pożytkiem nauki obyczajowój w Instytucie guwernantek, dla kraju czyni, zaniósła do Rady Administracyjnój prośbę, iżby w nagrodę dotychczasowych zasług i dla zachęcenia jój nadal do chwalebnej i pożądanej wytrwałości w tak pożytecznych pracach, raczyła dla niój wyjednać pensyą dożywotnią na Etacie „Edukacyjnym.“ (podpisano) Minister Stanu *Grabowski*.

30 Lipca. Przez trzy dni rachowałam i układałam książki moje. Pokazał się zapas nie mały, wynoszący lekko rachując 26,000 złp.

29 Sierpnia. Otóż i druga śmierci kochanej matki rocznica, jak téż czas mijał żal jednak po niój nigdy nie minie. Byłam i dziś u spowiedzi, przystępowałam do sakramentu ołtarza i napisałam treść jój życia od urodzenia, aż do roku w którym na świat przyszłam. Wyznaję, że osobiście w tym roku jeszcze może szczęśliwszą jestem niż w przeszłym i los mój pewniejszy.

31. W tym miesiącu przeprowadziłam się na Leszno pod Nr. 659, z tego powodu nie tyle pracowałam co w innych, a przynajmniej nie tyle moja praca przyniosła plonu.

Jeszcze jakoś nie nawykła do tych nowosiedlin. Przyjdzie to z czasem.

6 *Września*. Dziś majątek zaczęłam robić! wzięłam dwie akcye do kassy oszczędności, użyteczny to zakład, niech Bóg da wszystko dobre założycielom!

12. W dowód, że mi na pracy i zatrudnieniach nie zbywa, zapiszę tu, co w téj chwili jest na warsztacie lub w ruchu: czwarty tom Amelii w cenzurze, Książka do nabożeństwa dla dzieci. Tłómaczenie życia filozofów z Fenelona. Opis przejażdżki krakowskiej. Nauka moralna. Kalendarz; to wszystko w robocie, w myśli zaś katechizm i Kochanowski.

22. Dzień bardzo szczęśliwy, bo na sesyi budżetowej przeszła moja pensya. Od Nowego roku będę miała tytuł i urząd wizytatorki wszystkich szkół i pensyi w stolicy i za to 4,000 złp. rocznie, a za professorstwo 2,000. Opatrzność wielbić trzeba, to Jój sprawa i modły drogiéj matki.

25. Wielką miałam przykrość z mojami Rozrywkami.

30. Ten miesiąc może być policzony między pomyślne: rodzina zdrowa, zapewniony mam urząd i 6,000 rocznéj pensyi i wpłynęło z samych pism do kassy mojej 5,000 złp. Dwa tylko były zmartwienia: jedno z Rozrywkami, drugie ze zdrowiem H.... który dużo cierpi.

26 *Pazdziernika*. Nic mnie mocniéj martwić nie może, jak ciemnota naszego ludu; gdyby mi Bóg dopomógł, żebym choć iskierkę światła między nich rzuciła, byłabym najszcześliwszą. Ja nic więcéj nie mogę, nie umiem, tylko pisać; zamiarem więc jest moim wydawanie pisma peryodycznego. Wychodziłoby co sobota pod tytułem „Rozrywki niedzielne dla klasy pracujących“. Najwięcéj arkusz drukiem, dosyć drobnym; mieściłabym w nim: Powieści biblijne, powieści moralne, wspomnienia o cnotliwych, pracowitych ludziach téj klasy z wyrażeniem nazwiska, biografii sławniejszych rzemieślników, ludzi którzy z pracy rąk własnych zrobili uczeni-

wy majątek. Wzmianka o niektórych wynalazkach, a gdyby od drugich pomoc była, wszystko coby do wydoskonalenia rzemiosł służyć mogło, sekreta i nauki dla gospodyń i t. p. Można by dalej, dalej mieścić wiadomości z historyi przyrodzenia, z kąd się biorą, gdzie się rodzą te rzeczy których rzemieślnicy potrzebują, byłyby to oraz geografii wyobrażenia. Jabym już nie chciała tylko Warszawę i miasta nasze mieć na celu; wiem że u nas pisma dla wiejskiego ludu będą romanssem, póki właściciele dóbr ziemskich a nade wszystko proboszczowie nie zajmą się oświeceniem chłopów, bo trudno żeby ci korzystali z książek, co czytać nie umieją. Ale po miastach są szkoły, wielu z klasy niższej czytać umie, ale czytać co nie ma. Nie pamiętam, żeby który zamiar tak mi głowę zawrócił, tak sercu był miłym. Boże! dopomóż dopełnienia go! Zatrudniona innemi pracami którym zadosyć uczynić trzeba, nie mam innego sposobu, jak ująć sobie codzienną godzinę spoczynku; żeby i temu dać radę, uczynię to z jak największą radością; przez czas jakiś przez tę godzinę materyały zbierać będę, a jak będzie zapas nie mały, sześć godzin na tydzień wystarczą do redakcyi arkuuszowego pisma. W nim erudycyi, nauki nie będzie żadnej potrzeby; styl im prostszy, tém lepszy; nie wątpię też że pomocników znajdę: wreszcie gorliwość i przekonanie o użyteczności sił doda, i Bóg takićj pracy zapewne pobłogosławi raczy.

30 Grudnia. Jako w końcu roku porządki zaniedbane. Pracy dla tego nie było mniej, dni pamiętnych dosyć, *między innemi 25 Grudnia będzie wiele w życiu mojem stanowił.* W ogólności nie zawiodł Bóg położonego w Nim zaufania. Ten rok podobno jednym z najszczęśliwszych w życiu mojem śmiało nazwać mogę. Osobiście nie dotknęła mnie żadna choroba, żadna nawet słabość. Przykrości miałam tak mało, a pociech miłych, wszelkiego rodzaju uczuć, tak wiele! serce, miłość własna, wszystko mogło być zaspokojone. Śmiało,

szczerze to mówię, że gdyby to podobną rzeczą było, prenumerowałabym na całe życie, aby wszystko co do mnie tak samo zostało. Byłam zdrowa jak rybka, prace mi szły dobrze, rzeczy powodziły się, urząd, pensya 6,000 złp., podróż krakowska, sprowadzenie się do domu siostry mojej: wszystko to tego roku owoce. Oby ich tylko później odpłacić nie przyszło!

1 Stycznia 1828 r. Każdy ma życzenia, ma nadzieje i zapewne bardzo mało jest osób w podobnym jak ja położeniu. Ja nic nie chcę lepszego, chcę tylko, ażebym osobiście tak była szczęśliwa przez całe życie, jak dziś jestem. Zaspokojona z obecnej chwili nie śmiem nawet sięgać w przyszłość i w tej chwili jedynym moim kłopotem jest myśl, że nadto mi dobrze, że niepodobna, aby to dobre trwało.... Co bądź oddaję się opiece Boga, który z troskliwością ojcowską nademną czuwa, oddaję się zupełnie..... a nawet już i tej niespokojności nie mam. Nie wiem, czy który rok w życiu tak świetnie, tak różowo się dla mnie zaczynał... lada dzień mają mi wręczyć nominację na urząd i professorstwo, moję naukę moralną i moje pisma sławią; podobno i wyżej i dalej w tym roku poznaną będę; a już teraz, a już w tej chwili i szczęścia i sławy i wygod nad zasługi używam.

30 Sierpnia. W ten moment przybija do szafki mojej ślusarz zamek i wdałam się z nim w rozmowę w celu nabycia wiadomości o rzemieślnikach. On zowie się Józef Wojciechowski; ojciec jego był ślusarzem dosyć dobrze się mającym, ale przez długą chorobę żony zubożał i umarli oboje, żona pierwój, on w rok po niej; nie nie zostawili, tylko dwóch synów i naczynia. Ojciec umierał przytomnie, innego ślusarza zrobił opiekunem synów i małej chudoby. Szczęściem nieprzejęci jeszcze manją wywyższenia się, Wojciechowscy synów do rzemiosł przeznaczyli; starszy ów Józio, który mi nad głową stuka, wprawił się w ślusarstwo i młodszy też samo. Opiekun zatem po śmierci ich ojca, widząc dzieci

obdarte, dwóch chłopców wziął do siebie, oporządził: Józia zatrzymał przy sobie, Antosia do blacharza oddał. Już trzy lata jak Józio chłopcem, nic nie bierze, tylko ma stół i oporządzenie, „nie potrzeba mi téż pieniędzy“ powiada. Co niedziela chodzi do szkoły rzemieślniczej do Dominikanów, utrzymywanej przez rząd. Tam się uczy czytać, pisać, rachować, po niemiecku, rysować i katechizmu. Ma lat 15, trzy lata będzie jeszcze chłopcem, potem czeladnikiem zostanie i pójdzie na wędrownkę, a jak wróci i kilka lat popracuje majstrem zostanie. Do szkoły uczęszcza regularnie, bo świadectwo akuratności i pilności potrzebne do wyzwolenia. Podoba mi się ten chłopczyk, rozmowny, zręczny, rozgarniony; może kiedy na dobrego i zarobnego majstra wyjdzie, choć dziś grosza przy duszy nie ma. Ale dał mu Bóg dwie ręce i rozum przyrodzony, z tém daleko zajechać można. Jak się dowiem więcej podobnych szczegółów, napiszę historią ślusarza, a bohaterem będzie Józio; czego mu życzę, to napiszę. Będzie Józio opowiadał przygody swoje rodzicom uczciwej dziewczyny, z którą ma się żenić, już właśnie majstrem zostawszy; niech ona będzie szwaczką, rodzice utrzymujący traktyernią, żeby nie wiedzieli wszystkich obyczajów rzemieślniczych.

1 Maja. Czas brzydki, jednak całe rano siedziałam jakby na dworze i dobrze mi było. Napisałam rozdział *o wyborze męża*; dziś rok mieliśmy przyjemny piknik; różnica jaka jest między tym rokiem a tamtym niezupełnie serce moje zaspakaja, przecież miło mi.

8 Maja. Dzień bardzo był miły; rano byłam w kościele a potem na Powązkach, na tém miejscu, gdzie spoczywają zwłoki najukochańszej matki, gdzie sama kiedyś spoczywać będę. Odwiedziny tego miejsca raczej poważne i uroczyste, niżeli smutne czynią mi wrażenie. Obiad i wieczór u młodszej siostry bardzo był przyjemny, a między niemi *jeszcze przyjemniejsza przejażdżka* do Botanicznego

ogrodu i do Łazienek. Już wszystko zielono, natura jak piętnastoletnia dziewczica.

27. Wstyd mnie, zaniechałam przez długi czas pisanie tego dziennika, może dla tego, że chcąc wszystko pisać *byłoby zawiele*; może dla tego, że mi tak na świecie miło i dobrze, a tak się boję odmiany, iż od zastanowienia się chronię. Dzień 24 bieżącego miesiąca był dniem... naszego wyjazdu do Łowicza, gdzie *w miłym i bardzo miłym towarzystwie* trzy dni nam zeszło.

30. Ukończyłam rozdział *o szczęściu w małżeństwie*. W tych ostatnich czasach dużo w pewnym względzie odmian zaszło. Ani wiem co z tego będzie: serce jakieś niepokojne.

1 Lipca. Miesiąc milczenia; ten miesiąc zupełną odmianę w życiu mojem sprawił: na zawsze ją zapewni. Dwunasty Czerwca był tym dniem stanowczym. Jeszcze dotąd zupełnie upojona jestem i tak szczęśliwa nieznanem mi szczęściem, że mi się ciągle wydaje, że to sen zwodniczy. Dopomóż Bóg dobry, że nie przebudzę się z niego aż do zawarcia powiek; dopomóż Bóg dobry, że się przyłożę do szczęścia tego, którego on sam przeznaczyć, stworzyć dla mnie musiał, którego kocham daleko więcej od siebie, który tak godzien tego i przymiotami swemi i tą tkliwą, jaką ma dla mnie miłością. Doprawdy, że pisząc to, zdaje mi się, że marzę. Nie widziałam go już 15-cie godzin, a po tak długim niewidzeniu, zaraz jakieś powątpiewanie powstaje, mimowolnie coś w sercu drży i mówi: czy to prawda wszystko? czy prawda że on mnie tak kocha? że tak szczęśliwą jestem, że jeszcze szczęśliwszą będę? że złączę z mojem przeznaczeniem wszystko, co tylko najpowabniejszego w przeznaczeniu kobiety być może? Teraz widzę jak tylko gwałtem chciałam się przekonać, że sława może napełnić życie kobiety. Jak te wszystkie dowody wziętości mało serce zajmowały! ile to uczuć uspionych było. Jedno słowo

przywiązania z ust jego milsze mi sto razy od wszystkiego co kiedykolwiek powiedzieć, napisać o mnie mogli. Jedno tylko przeznaczenie, że prace moje użyteczne, może cokolwiek iść w równi z tą rozkoszą, której doznaję, kiedy on mówi że mnie kocha, że ja szczęście jego sprawić będę mogła. Tego też przekonania ani stracę, ani przestanę na nie zasługiwać; z łatwością da się wszystko połączyć. Przez te ośmnaście dni przez które wcale nowém życiem, na innym świecie żyję, choć tak nim zajęta, odurzona, przecież i lekcye zwykłe i wizyty odbyłam i Rozrywki wygotowałam. Później łatwiej pójdzie praca, boć przyjdzie czas kiedy się z mém szczęściem oswoję, kiedy mu uwierzę, kiedy spokojnie używać go będę. O Boże! wielki Boże! czy ja kiedy spodziewać się mogłam, że mi tak niezmierne, nieznanne słodycze w życiu gotujesz; przynajmniej wdzięczną za nie być umiem... choćbyś mi jakie nadal gotował nieszczęście (byle nie jemu) znieść je potrafię, bo zdaje mi się że niema niedoli, którejby samo wspomnienie szczęścia jakiego używam osłodzić nie mogło.

Kiedy i jak wszystko się zakończy? nic tego nie wiem. W Sierpniu dopiéro będzie o tém ostateczna mowa; teraz mamy oboje dosyć przeszłej i obecnej chwili, ażeby przyszłość rozliczać. Kochane siostry, poczciwy brat, cieszą się szczęściem mojem, a widząc jego przywiązanie, rokują mi że będzie trwałe. Nie można poznavszy go bliżej wątpić, że ta, którą on raz pokochał, której szczęścia się podejmuje, szczęśliwą będzie. O! jakże teraz żałuję, że matka moja nie żyje! jakby kochała tego, co tak jęj Klemunię kocha; znikłyby wszystkie jęj obawy: bo gdzie takie przywiązanie, czegóżby się obawiać można? Kiedy już raz wzięłam pióro do ręki, kiedy przemówić o tém, odkryć tajniki serca, tak długo zakryte, odważyłam się, będę pisać codzień, może prędzej temu szczęściu uwierzę; może się prędzej przekonam, że to nie sen. Już teraz myśli o nim odganiać jak

dawniej z całych sił nie trzeba, wszak przyjdzie czas, w którym przed Bogiem przysięgnę, że go kochać będę; o jak to łatwo dotrzymać przysięgi: co się to ze mną, co się to z nim stało? znowu odurzona jestem.

2 *Lipca*. Zaczynam więc znowu zapisywać dziennik prac i uczuć, ten ostatni wierniejszy będzie niż był do 27 Maja; sama przed sobą taić się chciałam, a nie wiem dla czego, bo teraz tak mi dobrze: stroniłam od szczęścia! Wczoraj jednak pierwszą chwilę miałam przykrości; ktoś obiecał przyjść o szóstej, a przyszedł o ósmej: to spóźnienie było mimowolne, już darowane, nagrodzone, ale jak to przykro czekać dwie godzin! Rano pracowałam szczerze i dobrze, przygotowałam się zupełnie na lekcję sobotnią, zrobiłam rachunki. Powinnabym jeszcze z większym zapalem pracować, bo mam komu zdać sprawę; jednak nie idzie to jeszcze jak dawniej i łatwo zgadnąć przyczynę. Ja myślę że choć nigdy w mojem sercu uczucie nie zwolnieje, musi koniecznie nastąpić jakieś oswojenie, które mnie zdolniejszą do wszystkiego co nie jest niém uczyni. Wieczór był u mnie dosyć liczny, nie dbam ja już tak o ludzi jak dawniej; obojętnie mi czy przyjdą, czy nie, byle ktoś przyszedł. Już to i dawniej tak było po części, ale teraz nierównie więcej. Wczoraj było trzynaście lat, jak starsza siostra poszła za mąż; chciałam, żeby i ktoś z kimieś podobną rocznicę obchodził; a tak zupełnie wierzę że i wtedy kochać się będziemy.“

W siedm lat później w Paryżu, dodała autorka do niniejszej epoki swego życia następującą uwagę:

„W latach 1826, 1827, 1828, coraz niespokojniejsza nie mogąc pojąć przyczyny. Sumienie wahało się i lękało, słu-

sznie czy nie słusznie nie wiadomo. Równałam uczucia w książkach widziane z własnymi, nie było to zupełnie to samo, ale przecież coś dziwnego. Mówiłam sobie czasem, kiedy o jego zdrowie niespokojną byłam: tak go dawno znam, taki go dzien szacunku, jakżeby miał być obojętnym? ale kiedy nie przyszedł, kiedy wyjechał, to wcale inne uczucia były, niż kiedy kto równie dawno mi znany, nie przyszedł, wyjechał. Jego niebytność albo obecność tak zupełnie życie zmieniały! Cóż to było, czy tkwiło co w tém złego? dla czego takie miejsce zajął w obecnej chwili i w przyszłej? z kąd ta bojaźń przyszłości zmiany? ale mimo tego wszystkiego, tych niespokojności, bojaźni, był to czas najszczęśliwszy mego życia, jeden do którego bym wrócić chciała.“

3 Lipca. O siódmej przysłał mi bukiet precudny, przed 10-tą przyszedł sam; obiad jadł z nami, bawił do wieczora, był więc dzień wczorajszy bardzo miły. Taki mam jakiś zapas szczęścia w sercu, że nie mogę żadną obawą tak się trapić, jakbym się w innym razie martwiła. Widzę, że to wszystko co mówią i piszą o miłości, prawda, żeby tylko mogło bez jój cierpień się obejść.

6. Dzień smutny; ktoś przyszedł i z bólem głowy. O! jak przykre cierpienia tych, których kochamy! mówił odchodząc, żem go uleczyła.

11. Wczoraj o wpół do pierwszej córeczka mojej siostry skonała; już pięcioro dzieci stracili: szczęśliwi z innych miar, z téj strony bardzo doświadczeni; serdecznie mi żał siostry, ale jakie to porównanie do tego, cobym dawniej była cierpiała! Wszystko stało się podrzędne, jedno tylko uczucie goreje, panuje, a to uczucie tak jest wzajemne, silne, że nie mnie nieszczęśliwa uczynić nie może.

29 Sierpnia. Wracam z kościoła pragskiego, gdzie się modliła za kochaną matkę, bo nie jestem w Warszawie, jak przeszłego roku, tylko w Grochowie u Maryni; lecz większa nierównie nad tę chwilową zaszła w tym roku ze mną odmiana. Ja com nigdy zmieniać stanu nie miała, com nie znała miłości, kocham czule i mocno jestem kochaną. Już pierścionki zamienione, słowo dane, serca na zawsze spojone; doznaję uczuć, używam szczęścia, których wyobrażenia nie miałam, a nad które nie wiem, czy co miłszego być może. Czemuż tego nie widzisz matko ukochana? czemuż nam obojgu błogosławić nie możesz?

4 Października. O szóstej wieczór chodząc z młodszą siostrą moją Marynią po pokojach Grochowskich i rozmawiając o chwili obecnej, przyrzekłyśmy zdać sobie sprawę wzajemną, co od tego dnia za rok porabiać, myśleć, czuć będziemy.

31 Grudnia. Tak rok o te czasy, może już składałam jakie w głębi serca nadal życzenia, ale szczęśliwa z obecnej chwili, nie śmiejąc żądać więcej, lękałam się każdej zmiany; stała się ta zmiana raczej jeszcze przeczuwana niżeli zgadywana, długo więcej trwożąca niżli pożądana; stała się i dziś w sercu mojem, w całej sobie czuję podwojenie szczęścia i dziwię się sama sobie, że mogłam nie znając tych uczuć, mówić i myśleć, że mi nic nie braknie. W tym roku od 12 Czerwca zupełnie nowy, większy świat rozwinął się przedemną; serce tyle nowych uczuć poznało, umysł tyle wrażeń nieznanych doświadczył: tak postąpiłam w zawodzie kobiety, że nawet zdaje mi się, iż jako autorka zyskałam, bom nabyła doświadczenia. W tym roku więcej niż kiedy przekonałam się, że dwie są rzeczy w życiu: kochać i być użytecznym.

1 *Stycznia 1829.* Nigdy podobnie roku żadnego nie zaczynałam, ani nawet zaczynać miałam nadziei. Rok ten jest, a jak się spodziewam będzie rokiem miłości i szczęścia. Nigdy także większego w sobie nie czułam zapału do dobrego, nigdy nie układałam zbawienniejszych zamiarów. Zdaje mi się że wszystko, co dotąd uczynić mi się udało, było niczém; że teraz dopiero żyć prawdziwie, użytecznie zaczęę.

1 *Marca.* Ponieważ to jest rzeczą dosyć rzadką, aby kobieta w wyższym nieco stanie urodzona, sama pracą unysłową utrzymać się uczciwie potrafiła, i że tak powiem *drogą mężką* doszła do pewnych dochodów, przedsięwzięłam zapisać tu wiernie dzieje moje pieniężne. Zachody koło chleba rozpoczęłam z *niczém*, jeśli *niczém* nazwaną być może ufność w Bogu, matki błogosławieństwo, nadzieja pierwszej młodości i zapal do pracy. Rozpoczęłam zawód mój literacki w roku 1819, i w tym roku kochana matka moja ze szczupłych dochodów swoich, łożyć na mnie zaprzestała. Z własnych przeto, bo pracą zarobionych pieniędzy wydałam:

W roku 1819	Złotych 1,800.
„ 1820	„ 2,000.
„ 1821	„ 2,250.
„ 1822	„ 3,500.
„ 1823	„ 4,909.
„ 1824	„ 4,951.
„ 1825	„ 5,184.
„ 1826	„ 5,322.
„ 1827	„ 5,526.
„ 1828 i pocz. 1829	„ 6,431.

Razem 41,873 Zł.

Dołączywszy do tego dochód z pensyi i zasiłku od rządu, z pensyi i spadku po matce wynoszący przez te

wszystkie lata 20,073 zł., pokazuje się, że przez lat 9 przeszło przez moje ręce 61,946 zł. i znikło. Wprawdzie nie znikło zupełnie, bo w chwili mojego zamężcia mam przeszło 26,000 w książkach, jednak stan moich interesów nie jest pomyślny, gdyż mam istotnego długu 10,703 zł.; wielce z téj przyczyny niespokojna, umyśliłam za radą męża nic więcej nie wydawać nad pensyę od rządu, a wszelki dochód z literackiej pracy, na spłacenie długów, to jest drukarni obrócić. Tym sposobem i w mężu mając pomoc, spodziewam się, że przy łasce Boga i zdrowiu, może jeszcze w tym roku spłacę moje długi. W ogólności czynię uwagę, że zawód mój literacki najkorzystniejszą *Pamiętka* zaczęła, ale potem (wyznać teraz muszę) pięknym błędem uwiedziona, oddałam się cokolwiek niewczesnej, a może i niestosownej pracy *Amelii*. Ona blisko cztery lata czasu, porę najświeższej imaginacyi mi zabrała, i cóż się stało? Straciłam kilka tysięcy, nałamałam głowy, sprzedaż wolno idzie, dzieło nigdy skończone nie będzie. Winnam to dodać, że rozsądna matka moja zawsze téj pracy była przeciwną, uwiodły mnie innych sądy. Jednak żałować nie śmiem, dusza moja się nakarmiła. Co zepsuła *Amelia* w sprawach moich pieniężnych, to po *Pamiętce* i Powieściach podratowały *Rozrywki*; jednak nigdy dostatecznie, zwłaszcza kiedy zostawszy sierotą, sama na chlebie swoim, mając do nierządu skłonność, wydawałam zanadto.

29 Sierpnia. W moim własnym domku, w schronieniu szczęścia, pokoju i miłości zastaje mnie ta czwarta rocznica! O! dziś więcej jeszcze żałuję jak kiedykolwiek, że kochana matka nie żyje; cieszyłaby się szczęściem mojem, młodniałaby na widok jego.

31 Grudnia. Bóg dobry spełnił wszystko, co mi nadzieja kreśliła a może i więcej jeszcze. Nowy świat otworzył się przedemną, bo kochać jest niczém więcej, tylko żyć podwójnie. Mój Karol zdrów Bogu dzięki; takem jego zdro-

wiem szczęśliwa, że nawet nie śmiem to liczyć za przykrość, że sama przez kilka miesięcy słabowałam. Nadziei odrodzenia i jego i siebie w istocie, któraby i nim i mną była, nadziei doznania tego uczucia, które zapewne ta tylko pojmuje, która doświadczy, dotąd nie mam. Z początku martwiłam się tém cokolwiek, bo jedynie ten widok może w pierwszych miesiącach nowój mężatce wiele rzeczy usprawiedliwić, ale teraz już się nie martwię. Bóg wie najlepiej czyby dzieci dodały nam szczęścia, niech się dzieje wola Jego. Mimo wszystkich zmian, odurzenia, upojenia, przybytku obowiązków, pisałam jednak dosyć.

1 Stycznia 1830 r. „Wdzięczność i pokora, oto są dwa uczucia, które dziś serce moje silnie zajmują. Mąż zdrów, kocha mnie, zdaje się, że codzien lepij; domek mamy miły, zasobny; opływam we wszystko i jeszcze mogę przyjmować u siebie, częstować, udzielać. Siostrę męża mamy w domu, którą bardzo już kochać zaczynam; siostra moja młodsza mieszka pod jednym dachem i wcale jest szczęśliwa; starsza wraz z mężem i resztą dziątek zdrowi; zawsze jestem celem wdzięczności rodziców, przywiązania dzieci, pochwał wielu: zawsze mam w sercu to miłe przekonanie, że nie tylko tym, którzy są koło mnie, ale i dalszym użyteczną jestem. Czyż może kto zebrać więcej do szczęścia powodów? nie wiem dobrze dla czego, ale nigdy mniej siebie nie ceniłam jak teraz. Nigdy częściej, prędzej kary jak nagrody godną się nie czułam; może bogactwo szczęścia to czyni.

29 Sierpnia. Piąta rocznica śmierci kochanej matki: z goryczą, że wstrętem biore dziś pióro do ręki; jakimże ciosem niespodzianym podobało się Bogu zasmucić nas

w ciągu tego roku! Kochanej naszej Maryni, najmłodszej z nas już niema między nami; cztery miesiące jak stało się to nieszczęście, a jeszcze wierzyć mi się nie chce, że już jój na téj ziemi nie ujrzę! Tyle razy troszczyłam się o jój szczęście, o jój zdrowie, o życie nigdy. Tymczasem przyszły nagle suchoty, jakaś gorączka trawiąca i w przeciągu sześciu tygodni zgasła. „*Chwilowy gość na ziemi odleciał aniołem.*“ W ostatnich chwilach to jest w trzech dniach ostatnich nie miała żadnej przytomności, jednak najpiękniejsze, najtkliwsze rzeczy mówiła; zdrowym umysłem nie uznawała że umrze, a przecież wyraźnie, chociaż pod zasłoną o śmierci wiele mówiła. Nie wyrzekła ani razu tego straszliwego słowa, ale prawie ciągle o odjeździe, o rozdzielaniu się wspominała; wyraźnie życia jój żal nie było, ale serce ją bolało na wspomnienie rozstania się tak długiego z nami i po kilka razy mówiąc o tém płakała. „Klemuni widzieć nie będę“—powtórzyła kilka razy z tak przenikającą boleścią, że serce moje ledwo nie pękło. „Ach“ jakie ja mam siostry! jakie ja mam siostry!—mówiła nieraz jakby do siebie:—Kogóżto ja już widzieć nie będę, — mówiła z tęsknotą i rachowała sobie drogie jój osoby. Koleją przejmowała ją to marność rzeczy ludzkich, to obraz jakiejś wielkości, majestatu.—„Ja nie chcę pieniędzy, nie chcę tych wielkich pokoi, nic nie chcę, to wszystko już nie moje, nie dla mnie!“ wołała nieraz.—„Ja ucałuję nogi Boga mojego, ja pójdę do mojej prawdziwej, do mojej właściwej komnaty; mały pokoiik, ciasny ale cichy, tam mi dobrze będzie. A kiedyż on będzie gotowy? zapytywała się skwapliwie; pozwólcie przejść do niego, pozwólcie“ — mówiła składając ręce. Gdy skutkiem choroby, a więcej jeszcze bliskiej śmierci napadały ją trwogi i niespokojności konania wołała boleśnie: „Ach! ja nieszczęśliwa! gdzie ja się podzieję? gdzie ucieknę? O Boże! Boże, zmiłuj się nademną!“ Ale wnet spoglądając na nas żałowała niecierpliwości swojej i mówiła:—

„Tyle mam drogich osób i narzekać mogę? jakaż ja zła, niegodziwa! czyż mi to Bóg przebaczy?“

Kiedyśmy ją uspokoiли, że owszem tak jest dobra i cierpliwa jak mało kto na jój miejscu, że Bóg ją kocha, oczy jój się weseliły; pytała się czy doprawdy? i jak lubėj harmonii, tak tych słów pociechy słuchała. Ostatniego wieczora i nocy nieustannie w górę patrzyła i wskazywała, jakby ulecieć miała skłonność i ochotę, raz nawet powiedziała rękę i oczy podnosząc: „Oto ptaszek, ale już zniknął: szkoda.“ Ani myśl, ani wyobrażenie zniszczenia, nicości nie powstały w jój głowie; cała dążyła gdzieś dalej, gdzieś wyżej, gdzieś lepiej, żałując nie życia tego, ale osób, które zostawiała. Kiedyśmy jój mówili: „Maryniu i my z tobą pojedziemy.“ — „O! nie, odpowiedziała, wasze przeznaczenie zostać, ja sama jechać muszę; jak tylko zajadą, pojedę: pojedę do zimnego gaiku, tam się z gorąca ochłodzę.“ Kiedy przy łóżku swoim nie widziała którój z nas, wołała, mówiąc: „Przyjdźcie, niech się rozraduje serce moje patrząc na was.“ Byłyśmy prawie ciągle przy niej. Jak téż dziękowała za każdą przysługę, jak do ostatniej prawie chwili wszystko czyniła, cośmy chcieli i co mogła, żeby nie być przykrą, uciążliwą. Jeszcze we wtorek o dwunastój w południe, ubierała się siedząc i pomagała sobie jak mogła. Nie wiem czy téż była i będzie istota, któraby tak mało i przy życiu i przy śmierci naraziła się komu. Miała lat 26 skończonych i dni 24: smutne przeznaczenie! Wszyscy ją uwielbiali; kobiety ją lubiły, każdy mężczyzna bądź młody, bądź stary gotów był ją pokochać; każdy w niej widział wdzięki, rozum, cnoty: każdy czuł, że ona do uszczęśliwienia stworzona.

31 Grudnia. Co do własnego osobistego szczęścia nie dobry Bóg mi nie wziął, owszem zdaje mi się, że dodał, bo podobno kochamy się coraz bardziej z mężem i coraz więcej się przekonywamy, że jedno dla drugiego stworzone było.

Ale jakimże bolesnym ciosem podobało się niebu mnie dotknąć... Marynia ta, co siostrą, przyjaciółką, wychowanką mi była, już od ośmiu miesięcy nie żyje. Moja miłość ku niej nie była pospolita, nie była też zwyczajnym zawiązana sposobem. Wychowana w obcym domu bez towarzyszek mego wieku, może więcej niż ta, która używa od kolebki starań macierzyńskich i wdzięków przyjaźni, czułam ich słodycze i marzyłam o nich. Miałam wtenczas lat pięć i byliśmy w Warszawie, kiedy mi powiedziano, że mi się urodziła siostra; zawieźli mię w kilka dni do niej i było to pierwsze dziecię, które tak maleńkie widziałam. Niezmierne zrobiło mi wrażenie i ilem razy później bawiła się lalką, tyle razy myślałam sobie, jakby to nierównie przyjemniej było bawić się siostrzyczką. Nie zobaczyłam jój drugi raz, jak kiedy już trzeci rok miała, kiedy matce znękanój nagłą śmiercią ojca, wszystkie dzieci zwożono, żeby widziała że powinna i ma dla kogo żyć i zdrowie pielegnować. O! był to prawdziwie aniołek pocieszyciel, który mógł przywiązać do życia! Biała, rumiana, tłuściutka, oczy czarne smutkiem jakimś łagodnym powleczone; włoski kręcone, jasne, usteczka koralowe: spełniła wszystkie sny i marzenia moje. Pojąć nie mogłam, żeby tak śliczne dziecię wyrosło z owój dzieciury powitój i jeszcze mi brzmi w uszach jój mowa pieszczona... Nie zobaczyłam jój aż znowu w parę lat w Wyczułkach. Już wtenczas dobrze mówiła, uszczęśliwiając nas rozumkiem swoim. Prosiła naprzykład babki żeby ją biła, a innym razem powiadała, że nicby tak sobie nie życzyła, jak mieć taki nos jak babka. Płakała gorzko, kiedy jój kto mówił, że babunia brzydka. Serce miała kochające nad wszelki wyraz. Kiedy już matka nasza zebrała nas wszystkie około siebie, jak kokosz zbiera pisklęta, zaczęłyśmy ją uczyć i czuwać nad jój wychowaniem. Wtenczas z obojój strony było trochę nadużycia, bo ona zamało, myśny za wiele władzę naszą ceniły; ale już wtenczas związałyśmy się obie najtkliwszém

uczuciem, do mnie bowiem jako więcej zbliżonej wiekiem i łagodniejszej, skłaniała się więcej niż do starszej siostry: stopniami wzrosło między nami najdoskonalsze, najmiłsze jakie być może uczucie. Ona mnie kochała jak siostrę, jak przyjaciółkę, a przytém szanowała jak matkę; ja wzajemnie miałam dla niej coś pieszczonego, coś tak tkliwego, coś macierzyńskiego, że już się to uczucie w sercu mojem nie powtórzy... Długo, bardzo długo w tym roku nie śmiałam własnego używać szczęścia; skrupuł być wesołą, cenić jeszcze życie, w którym już ani siostry, ani matki ukochanej nie mam; wymawiałam sobie: że mąż opanował serce i jeststwo moje, że za wszystkich uszczęśliwić mnie może.“

Śmierć siostry była jakoby pierwszym ostrzeżeniem, że los pomyślny zmienić się musi. Szczęście kobiety i sława autorki dosięgnęły swego zenitu. Wynagrodzono pracę, oceniono zasługę, miłość wzajemną związek małżeński uwięczył; nagle ten zarobek lat kilkunastu, w kilku miesiącach przepada. Ze stanowiska towarzyskiego, z pensyi dożywotnich, z otwartego dla życzliwych przyjaciół domu, z całej drużyny krewnych, szwagrów, sióstr i dzieci siostrzynych, zostało tylko pani Hofmanowej przywiązanie męża, talent i do rozpoczęcia nowego zawodu—odwaga. Jakkolwiek i w tym drugim odłamie swego życia, w porównaniu z drugimi, dość łagodne spotykała okoliczności; jakkolwiek jój notatki wskazują, że miała drogocenną zdolność „łatwego zadowolenia“ i ów najpożądany rzut oka, który w każdym położeniu stosunku i wypadku przedewszystkiem ku jego dobrej stronie się zwraca: niemniej jednak tęsknota widocznie oddziaływała na jój usposobienie. Jeśli warszawski dziennik nie wiele kart czysto lirycznych przedstawiał, to w zagranicznych no-

tatkach zupełnie prawie ich niema. Pani Hofmanowa coraz rzadziej, coraz mniej sama o sobie mówi. Inni ludzie, zewnętrzne zdarzenia, miejsca zwiedzane, głównie zdają się ją zajmować. Chcąc ostatnie czternaście lat jęj życia tak jak wszystkie poprzednie jęj własnymi słowami opowiedzieć, musimy tylko oderwane chwytać wśród innych wspomnień wspomnienia; da się z nich przecież pewna całość ułożyć, i wystarczą na uzupełnienie moralnego piszącej wizerunku.

14 Października 1831. Dziś w piątek o godzinie 4-ęj z południa, przy najczulszych pożegnaniach rodziny i przyjaciół wyjechałam z Warszawy. Nocowałam pierwszego dnia w Sochaczewie, drugiego w Kole.

23. Przetłómaczyłam w kwarantannie powieść dla dzieci pod tytułem *Goląbek*, a przyjemności towarzyskich używałam z dwiema dziewczętami z Górnego Szląska: Emilią i Anną Sturm. Córki dzierżawcy dziwném zdarzeniem zaplętały się do Polski, były bez opieki; udało mi się cokolwiek im dopomódz, one wzajemnie wiele przysług mi oddały.

W Niedzielę o siódmęj z rana wyjechałam z Podzamcza; o siódmęj wieczór stanęłam w Wrocławiu z niezmierném biciem serca; jakiś pocziwy Niemiec wskazał mi dom Wejglów. Kochane ciotki wybiegły wraz z dziećmi naprzeciw mnie, odurzałam zupełnie, bom wiedziała, że już nie jestem w kraju, a czułam się między swoimi. Wkrótce nadszedł i P. W., zastałam list od męża, wypadło mu jechać do Paryża i ztamtąd do mnie pisze. Co do obecnej chwili, w rozłączeniu z moim mężem, nigdzie lepiej mi być nie mogło. Ciotka W. to prawdziwy anioł, druga matka nasza, z tą różnicą, że zawsze zdrowa. Ciotka Goltz z całą swą ro-

dziną kochana, jedyna; mówią, że ich mój przyjazd znacznie rozruchał. Biédni! także srogie tu nieszczęście ponieśli; wnuczka stracili i córkę. Przerwało się w tym roku jakieś źródło boleści... truchleję czy mnie osobiście Bóg czego nie gotuje, bo lubośmy tyle stracili, zdaje mi się, że nie czułabym tego, gdybym tylko z moim Karolem być mogła.

10 *Listopada*. Dzień najszcześniejszy od czasu rozstania się z mężem. Odebrałam list jego z Paryża, w którym donosi mi... iż lękając się ażebym znowu sama nie puszczała się w drogę, przyjedzie po mnie i może zdąży na imieniny.

20. Od Czwartku sypiać nie mogę i dziwne marzą mi się rzeczy. Dziś całą noc snuł mi się rok 1870, a w pierwszej chwili westchnienia stanęło mi w myśli, że to będzie rok śmierci dla nas obojga. Niczłoby to było; jeszcze spory kawał życia mielibyśmy przed sobą, a co najlepsza, umierali razem. Starość nasza nie byłaby zgrzybiała, lat siedemdziesiąt i parę!..

25. Jakiż to dzień szczęśliwy! Boże dziękuję Ci! Mąż mój przyjechał raniuteńko i zdrów.

12 *Grudnia*. Stanęliśmy w Dreźnie, które może na czas długi miejscem naszego pobytu będzie. Drogę trzynastu mil z Görlitz i Saską komorę przebyliśmy jak najszcześniejszym; kosztowała nas droga do stu złotych, lubośmy parą końmi jechali, prawda, że nocleg mieliśmy wyborny w Bautzen. Najpiękniejsze słońce nam przyświecało przy wjeździe. Położenie Dreznia podobało mi się niezmiernie, cóż to dopiero być musi na wiosnę! Stanęliśmy w oberży *zur Stadt Berlin*, ale już mamy własne mieszkanie.

14. Jużemy w naszym mieszkaniu; bardzo uczciwe mamy cztery maleńkie pokoiki z wszelkimi wygodami i na pierwszym piętrze, z precudnym widokiem, bo na Neumarkt; kosztuje z meblami talarów 15 na miesiąc. Stół mamy zgodzony za 18 talarów i wyborny. Służąca będzie brać dwa talary.

19. Miałam dziś miły poranek, Konstancya Wodzińska (ciotka znakomitój Deotymy), przyjaciółka moja od lat dziecinnych przyjechała tu z mężem; najęli tu mieszkanie na miesiąc, a może i dłużej zostaną. Przyzwyczajona do ścisłego pożycia z siostrami i przyjaciółkami, brak mi było kobieciny według mego serca. K. W. jest prawdziwie ideałem tego, com sobie życzyć tu mogła. Będziemy mogły widywać się często, bo bardzo bliskie nas ich mieszkanie. Dziś zaczęłam dziełko, które użytek dzieciom, nam korzyść przynieść może: *Małe powieści i rozmowy moralne* *).

30 Grudnia. Otóż i koniec tego roku... bądź co bądź my osobiście jesteście szczęśliwi; przywiązanie nasze wzajemne wzmogło się przez ten rok (jeżeli to być mogło). Ja nie wiele pisałam, ale mam w sercu to zaspokojenie, że ten rok nie zszedł mi marnie.

1 Stycznia 1832. Odmienny początek tego roku, ale jednak nie próżny w pociechy.

8 Stycznia. Nie wiem sama dla czego ten tydzień bardzo mile mi zszedł i jeden tylko wieczór spędziłam bez męża. Moją K... codziennie więcej kochać muszę; niema dnia, żebyśmy się nie widziały, przypomina mi i wszędzie zastępuje Marynię. Więcej już na jej pochwałę i na wyrażenie dla niej mego uczucia powiedzieć nie mogę. Moja powieść *Gołąbek* wyszła w Warszawie na kolendę, jest jej pochwała w niezmeńczonym Kuryerku.

23 Marca. Poznałam dziś Mickiewicza, zastał nas

*) Wyszły z francuzkiem obok tłumaczeniem, mniej udatne od innych; dla tego nie zamieściliśmy ich w tym zbiorze.

przecież; bawił przeszło godzinę: zupełnie odpowiedział mojemu oczekiwaniu. Młody, twarz wyrazu pełna, mówi mało, ale dobrze i z czuciem. Ubiór schludny, a zaniedbany; w oczach iskra geniuszu, w całym układzie jakaś pewność a nie zarozumienie. Poznałam także generała Wojczyńskiego, który u nas wieczór strawił; człowiek w wieku ale bardzo przyjemny, wesoły, a dla mnie tém przyjemniejszy, że znał moich rodziców. Przy miłych i zobowiązujących zatrudnieniach czas nam tu dobrze schodzi, i prawdziwie gdyby nie mimowolna tęsknota, tobym zupełnie szczęśliwą nazwać się mogła. Nie mam wprawdzie jak miałam w Warszawie, karety, salonu, panny służącej, lokaja; ale co tylko istotnie potrzebne, tego używam, a nie mam też obowiązków: nie chodzę na lekcye, nie zwiedzam szkół, nie martwię się służącymi, wolnam jak ptak. Każde położenie ma swoją dobrą stronę.

12 Maja. Dowiedzieliśmy się z pewnością, że musimy opuścić Drezno. Pierwsza chwila była mi przykrą, ale zastanowiwszy się, wróciłam do dawniej swobody.

29. Miałam i mam jeszcze zmartwienie, ale już więcej się z niem oswoiłam, pokorniej poddałam się woli Najwyższego. Rozłączyć się musimy z mężem na czas jakiś. Ja zostaję, bo mam rozpoczęte dwie roboty, które ukończyć trzeba na miejscu. rozsądek tak czynić każe, ale serce bardzo cierpi.

17 Lipca. Mąż wyjechał dnia 8 Czerwca, wszystkie plany na Drezno uleciały z wiatrem. Zabierać się zaczęłam i ja do wyjazdu, naprzód obejrzeć musiałam wszystkie ciekawości, bom przyrzekła ich opis. Kosztowało mnie to nie mało mozołu, zwłaszcza iż bez męża; pracowałam dużo, bo przy tém potrzeba było sposobić i pierwszy numer Rozrywki. Wczoraj urządziwszy wszystko jak mogłam najlepiej, wyjechałam z Drezna do Altenburga do męża, zabierając całą naszą chudobę, żałując Drezna, a może jak w tej chwili

żałując najmocniej mojej K. Wszystkie te żale rozpędziła myśl mocniejsza nad to wszystko, uczucie radości od wszystkich tęsknot silniejsze: nadzieja zjechania się z mężem.

26 *Lipca*. Wyjechaliśmy z Altenburga o godzinie 8-jej z rana, furmanem zgodzonym do Baireuth. Bawiliśmy tam razem i czas szedł prędko, bo przy mężu i przy pracy *).

17 *Sierpnia*. Prędzej niżesmy się spodziewali ujrzała nas ta świata ucywilizowanego stolica, ten Paryż, o którym tak często w młodości mojej marzyłam i którego widzieć bynajmniej się nie spodziewałam. Tak jestem odurzona tym hałasem, tym ruchem, tym odmětem, tą prawdziwą ciżbą sprzedających, że jeszcze porządnie zebrać myśli moich zapewne nie potrafię. To mnóstwo ludzi, którzy dla siebie są jakby nie ludzie, bo ani ich znasz, ani obchodzisz, zasimuca; przekonywasz się o prawdzie w którą nie uwierzyłaś, że można być samotną pośród natłoku.

Wjazd od strony *Bondy* szkaradny. Mnie, która wystawiałam sobie, że Paryż cały tak pachnie jak pomady i wódki przysyłane, że taki czysty, miły oku, świetny jak rękawiczki, kwiaty i bronzy paryzkie, wcale się to nie podobalo. Jednak dojeżdżając do miejsca, gdzie dyliżanse stawają, już ruch większy być zaczął powozów, koni, tragarzów. Mąż został z rzeczami, Francuz towarzysz wziął mię pod rękę, bo nam przyrzekł wynaleść dobre i tanie mieszkanie; poszłam: zaprowadził niedaleko, ale pokoik który nam dano, był na trzecim piętrze i okna wychodziły na najbrudniejsze w świecie podwórze. Po wielkim targu przystawała gospodyni na dwa franki dziennie, ale jak tylko mąż zobaczył, nie chciał mię trzymać w takiej dziurze, i pobiegł szukać dogodniejszej lokacyi. Jakoż w kwandrans

*) Szczegółowy opis tej podróży, ogłoszony został drukiem w r. 1844 w Lipsku, pod tytułem: Opis przejazdu przez Niemcy.

wrócił i mamy bardzo ładny pokój na drugim piętrze z bronzami, mahoniami, z wybornemi łózkami, przy zbiegu trzech ulic, jasny, czysty, także za dwa franki. Jest to ulica Feydeau, Hotel des Etrangers N. 16. Skorośmy cokolwiek odpoczęli, przebrali się, umyli i wypili dobrej kawy, poszliśmy na miasto, po obiedzie takżeśmy chodzili. Obiadowaliśmy w Palais Royal u Tolleta za dwa franki od osoby, z winem, zdawało mi się przedziwnie. O wpół do 9-ój już byłam nietylko w domu, ale w łóżku; spało się wybornie, nawet hałasu nie słyszałam. Otóż inne mieszkanie najęte, nietylko wygodne, ale w środku miasta. O! Paryż zanadto okrzyczany, albo już nie jest tém, czém był, albo téż co najpewniej, nie widzę w nim tego, com się spodziewała, i złemi oczyma na wszystko patrzę. Nie pamiętam już oddawna takiego smutku i ciężaru na sercu, przypominam sobie jednak, że to i w Dreźnie tak było z początku.

19 Sierpnia. Jużeśmy w nowém mieszkaniu *Rue Louis e Grand N. 24*, na drugim piętrze; cały dzień wczoraj zszedł na pakowaniu, rozpakowaniu i układaniu; pomimo zatrudnienia jeszcze mi smutniej jak było. Mam nadzieję, że to minie, i złam na siebie, bo i męża tą tęsknotą martwię.

29 Sierpnia. Dzień smutnej pamiętki, byłam w kościele Ś-go Rocha. Tu już dwa tygodnie bawimy, jak wyjdę na ulicę, albo jak sama siedzę w domu, to mi strasznie smutno; ogrom, zgiełk téj stolicy jakimciś dziwnym ciężarem serce moje tłoczy; jak jestem sama staje mi siostra w oczach, Warszawa, domek własny, taki miły, tyle drogich osób i tęsknota mię ogarnia; ale jak jestem z mężem wszystko do brze... Mam kogo kochać, na kim polegać, żyć dla kogo; mam sumienie czyste, chęć do pracy. Bóg téż widzi, nie wyszło z ust moich, ani z ust męża jedno szemranie.

13 Października. Najęliśmy nowe pomieszkanie na ulicy *La Ferme des Mathurins N. 52*, na drugim piętrze za

400 franków na rok, ale bez mebli; będziemy mieli dwa razy wygodniej i obszerniej jak tu; na umeblowanie jakie takie musieliśmy wydać 350 franków, zawsze jednak lepiej na tém wyjdziemy. Dużo nam okazała przychylności pani de Bradi i jój córka; z taką uprzejmością życzliwą mi pomagały, że mi się przypomniała rodzina.

29 Października. Bardzo miłą zostawiły mi pamiątkę te dwa miesiące strawione przy ulicy Louis le Grand... wiele widziałam i wszystko spisałam w dzienniku; czytałam dużo i robiłam wypisy, przygotowałam kilka artykułów do drugiego kwartału Rozrywek i teraz się zabieram do ich ułożenia. Napisałam także wstęp do historii naszej dla dzieci francuzkich, dwa tygodnie mi zabrał. Pani de Bradi zachęca mnie do pisania dalej...

2 Listopada. Nie mogąc dla kaszlu i chrypki iść do kościoła, modliłam się i rozpamiętywałam nad umarłymi, nad śmiercią, nad życiem, w domu. Chcąc myśleć z korzyścią o śmierci, najlepiej pamiętać na życie. Zastanowiłam się zatem jakie dziś powinności moje i tych dostrzegłam: uszczęśliwienie męża, oszczędność i pracowitość. Co do dwóch pierwszych mam mało do wyrzucenia sobie, ale co do trzeciej bardzo wiele. Dziś cały mój majątek, całe znaczenie, cała pomoc jaką mężowi przynieść mogę, jest w pracy piśmiennój, a jużem okrutnie do niej zleniwiła; jak się raz praca przerwie, ładu w niej dojść nie można. Uderzywszy się więc w piersi, westchnąwszy do wszystko widzącego Boga, postanowiłam wziąć się do pracy z całym zapalem pierwszych lat autorstwa i niczego żałować nie będę żeby dotrzymać słowa. Co daj Boże, Amen. W skutek tego poprawiłam, przerobiłam powieść *Julisia* i zaczęłam przepisywać.

28 Listopada. Odwiedzałam malarza *Deveria*. Wydawca *** chciał koniecznie mojego portretu. Deveria jest najslawniejszy w Paryżu do robienia kobiecych portretów,

rysuje odrazu na kamieniu. Radabym żeby trafił, bo już to dzięki Bogu czternasty portret.

3 Grudnia. Zaczęłam dawać lekye na sposób Instytutu guwernantek kilku uczennicom polskim... miło mi, że zamiłowanie cnoty i języka w nie wpajam.

1 Stycznia 1833 r. Błogosław nam dobry Boże w tym roku, daj zdrowie, chleb, i takie ciągle szczęście domowe, jakiego dotąd używamy... W Nowy rok najlepiej być dzieckiem, albo młodą panną, bo więcej dostają niż dają. I mnie się nieźle udało, bo nie wiele dałam, a bardzo sutą mam od moich uczennic kolendę...

7 Lutego. Rocznica mego ślubu. Dawno nie pisałam; niepewność w jakiej zostajemy względem dalszego losu to sprawia, że się niczego nie chce. Pędzimy dzień za dniem aby dalej i aby nie próżnować. Tęskno mi nawet do błogosławień mojej stariej służącej i jej bukietów, cóż dopiero do siostry i rodziny... Ale cóż robić, trzeba znosić cierpliwie, żeby jeszcze co gorszego nie spotkało. Jeszcze mam wielki zasób szczęścia, bo jeschcem bardzo trwożliwa.

4 Marca. Miesiąc Luty był dość szczęśliwy, nie próżnowałam, czas mi schodził użytecznie i mile; spieniężyłam cokolwiek z mych prac i wydaliśmy mniej niż było dochodu; przygotowuję kilka rzeczy do pism francuzkich, zrobiłam znajomość przyjemną z panią Belloc i panną Montgolfier. O pani Ludwice Swanton Belloc, jeszcze w kraju będąc, wiele dobrego słyszałam, bo trudni się pismami do edukacyi; nie pisała ona jeszcze podobno nic sama, ale tłumaczy i ładnie i szczęśliwie.

1 Kwietnia. Miałam w tych dniach trochę zmartwienia z powodu literatury. Rozrywki wychodzić nie będą... prócz straty pieniężnej, żal mi wpływu... żal mi pracy w zbieraniu materyałów...

31 Maja. Wczoraj urosł projekt, a dziś się ustalił. Jadę do Anglii, porzucam męża na sześć tygodni; cieszę się i smucę. Pani Komarowa chce mnie zabrać z sobą...

28 Czerwca. Bogu dzięki, jestem napowrót w domu, nie byłam w Anglii, omyłona nadzieja. Pani K... i jej córka zachorowały w Boulogne na grypę i takie im zostały po tej chorobie cierpienia, iż ani podobieństwo było puszczać się do Anglii. Wszystko to nie koniecznie miło, wstyd powrotu, ale co się stało, to przepadło; wreszcie i ten czas nie zupełnie stracony, widziałam trochę kraju, widziałam morze, a co większa, zdaje mi się że zyskałam przyjaciółkę p. K... bardzo mnie pokochała; miła i oświecona kobieta a lubo prawie matką moją, byłaby mogła, i ja dla niej wiele powzięłam przyjaźni. Przypatrzyłam się także zbliska, jak to mało bogactwa przyczyniają się do szczęścia; tak czynią wymyślnemi, wymagającemi, tak oswajają z wygodami życia, że bogaci mniej używają od ubogich, bo co dobrego nie czują, a każdy niedostatek uważają za wielkie nieszczęście.

8 Lipca. Jak też prędko, mile i użytecznie czas schodzi w domu; anin się spostrzegła, że już drugi tydzień jakem przyjechała. Korzystamy z pięknej pory, dużo chodzimy, a czasem jedziemy na cały dzień do P... do Neuilly... zdaje się, że będzie teraz sposobność umieszczenia prac moich i zbierania z nich jakiego owocu, zjeżdżają się księgarze z kraju z propozycjami... Mickiewicz wyjechał wczoraj do Szwajcaryi, szkoda, że teraz na publicystę chce wyjść...

10 Lipca. Wczoraj pracowałam dużo nad książką do modlitwy. Chcemy porzucić terażniejsze mieszkanie, niema kącika dla służącej, a widzimy, że mieć ją trzeba, bo prawdę mówiąc, to krzątanie się zabiera mi czas, któryby mógł być korzystniej użyty.

13 Lipca. Byliśmy w Neuilly... Sama P... przypomina mi starszą siostrę moją swemi przymiotami... Nie wiem dla

czego, ale się przymuszam do pracy, może dla tego, że od czasu wyjazdu z kraju, żadnego nie było pożytku ni sławy. Powtarzać sobie muszę, że praca piśmienna jest moim obowiązkiem, boję się tylko, żeby po pracy nie znać było, że z obowiązku a nie z polubienia spełniana.

16 Lipca. Wczoraj zaczęłam *Ułomek*, czyli ustęp, który myślę na końcu mojej książki do modlitwy umieścić. Będzie to *Nowy Job*. Naprzód pod nazwą *Rozpaczy*, będzie złorzeczyl, bluźnił, przeklinał; potem pod tytułem *Uwag* zebrane będą słowa rozsądne i pocieszające; dalej pod napisem *Upamiętanie*, będą wyrażone: żal, pokora, prośby; nareszcie pod imieniem *Pociech* będą chlubne i miłe obietnice, prorocstwa. Nie będzie słowa z mojej głowy, tylko wszystko z Biblii...

21 Lipca. Poranek zszedł na szyciu i naprawie bielizny, zupełnie bez piórka. Już rok mija jak obchodzę się bez służącój i jak prócz sukien nowych, nikt dla mnie, ani dla męża ściega jednego nie zrobił. Wyznaję, że tym szczegółem więcej jeszcze gotowam się chlubić, aniżeli tém, że napisała w tym roku tyle a tyle. Prawda że to czas zabiera, aleć mnie się zdaje, że pierwszym mojem powołaniem było być kobietą, a dopiero drugim autorką. Jednak męża to korci i od 1 Października będziemy mieli służącą...

24 Lipca. Dobrze szła praca. Skończyłam *Joba* i pisałam książeczkę dla małych dzieci: *Adaś i Olesia*. Wyznaję, że mnie już bardzo nudzą te dziecinne prace, a to najpewniej dla tego, że teraz dzieci koło siebie nie widzę i pisząc nie jestem pewna, czy się na co przyda.

25 Lipca. Wczoraj byłam w Passy u pani K..., mieszka w pałacu z którego widok przepyszny na Sekwanę... Pani K... chce koniecznie, żebyśmy u niej mieszkali i odstępuje nam całego domu z osobnym wniściami, gdziebyśmy byli jak u siebie. Trudno odmówić, jeśli więc znajdziemy sługę, to się tam sprowadzimy.

2 Sierpnia. Jesteśmy od wczoraj w Passy i właśnie

w tej chwili ukończyłam wszystkie zachody usadowienia się.... Pani K.... taka dobra i miła, że nam się zdaje, że u siebie jesteśmy. Bo też mamy prawie wszystkie przyjemności *swego u siebie*, mieszkanie zupełnie osobne, inny wchód, inny dom...

12 *Sierpnia*. Pisałam i czytałam dosyć, jednak nie tyle przybyło do *Adasia* i *Olesi* ileby należało; ten czas piękny, to powietrze, ta sposobność częstych przechadzek i przejażdżek odrywa od pracy. Prócz tego mam dzienników kilka, mam książki pod ręką i na tém zejdzie. Pani Komarowój też, za tyle jej przyjaźni, trudno odmówić towarzystwa, kiedy tego pragnie, a wreszcie chcąc wszystko wyznać, ciągle trwa we mnie obojętność do pióra i zawsze przymuszać się przychodzi.

29 *Sierpnia*. Ośm lat jak straciłam matkę: co to odmian i strat od tego czasu! Oby Bóg dobry przynajmniej jedyne dobro moje, Karola w zdrowiu mi zachował.

21 *Września*. Porzucamy dziś miłą gościńnię, tygodnie tu spędzone miłą pamięć nam zostawiły... szczerze żałuję, że panią K... odjeżdżamy, ale wiecznie gościem być nie można. W nagrodę jej dobrego serca, życzę jej z duszy, żeby jej córki były do niej podobne.

7 *Października*. Przyszła dziś służąca Klaryssa, zdaje się że będzie dobra, już nam raz zgotowała obiad; zasług będzie brała 21 franków, a zjé zapewne za drugie tyle.. Daj tylko Boże, żeby zdrowie służyło. W sobiem zdrowa ale od jakiegoś czasu zrobił mi się guzik w piersi pod pachą. Myśląc że to minie, długo nie mówiłam nic; ale przecież gdy mi dokuczać zaczął boleśnie, przyznałam się mężowi i wezwaliśmy doktora Marcinkowskiego. On kazał przystawić pijawki, maścią jakąś smarować; gdyby się nie rozchodziła twardość, namyślić się na wykrojenie... Nie miło to będzie... ale przystanę na to bez żadnego wahania się: mam zbyt przytomne cierpienia kochanej matki i to cośmy

wycierpieli przy niéj, ażebym wszelkiemi siłami od siebie i męża podobnych mąk odwrócić nie chciała... Ale może i bez tego się obejdzie. Przecież z téj przyczyny miałam już wiele chwil przykrych i nocy niespanych, ile że moją niespokojność kryję przed mężem... Bóg dobry w razie odwagi doda.

8 *Października*. Od kilku czasów mimowolnie myśl moja zajęta śmiercią, a ponieważ od kilku czasów dużo szyję, ręcznemi robotami się trudnię i często sama jestem, mam czas oddawać się tym rozpaniętywaniom. Powiedzieć mogę szczerze, a przynajmniej w téj chwili, tak mi się zdaje, że gdybym męża nie miała, nie żalby mi było życia... Prace literackie, dawniej tyle mnie zajmujące, dziś są prawie niczem; już dwa lata mija jak żadne moje pismo na nic się nie zdało; nie ustawam, zbieram, notuję, piszę, układam, ale mi nie udaje się nic wydać; przytem zdaje mi się, że mój talent osłabł, a przynajmniej gust stępsiał, zapał ostygł. Może to być, żem zepsuta, naprzód prędkiećm drukowaniem tego wszystkiego com pisała, potem pochwałami otaczających, tą czcią całego prawie kraju, która tak była słodką i tak życie zdołała...

29 *Października*. Nie miły był ten czas, pisać mi się też nie chciało. Ze zbytecznej troskliwości męża i pani Komarowej prawie ciągle były narady o mój guzik; byłam u najsławniejszych chirurgów i doktorów tutejszych, wszyscy Marcinkowskiego piosnkę śpiewają... prawda, że mnie dużo boli, osobliwie kiedy piszę, całe ramię mi słabnie: czyżby Bóg i to chciał odjąć!... On dał, On wziąć może.

12 *Listopada*. Wczoraj na wieczorze u pań. Platerów rzuciłam myśl, żeby się zebrać w kilkanaście osób i zwiedzać ciekawości Paryża; u p. P. schodzą się co Środa, tam więc ułożyć sobie plan tygodniowy, każda zaś z osób należących opisze z kolei rzeczy oglądane i na drugą Środę przeczyta. Jakby to dobrze było i pożytecznie.. wątpię je-

dnak bardzo żeby się udało. Tu ja nie mam tój powagi, tój władzy, co między swemi i jakoś nic takiego towarzyskiego zebrać i zrobić nie mogę; wszystko to są niedawni znajomi... wreszcie i nasz dom nie może tutaj być taki jak w kraju. Czasem zapominam się i przykro mi i dziwno, kiedy mi się coś takiego nie uda; mąż dopiero mi przypomina jakie to zaszły zmiany i konieczne przedstawia ich skutki. O, zapewne! dobra to nawet może nauka; ja zbyt już wzbijałam się w pychę w kraju, świeciłam trochę zanadto; tu prawdziwie człowiek wrócił do swojej realnej wartości; piórka zupełnie oskubane. Przecież żal czasem tego znaczenia, żal stokroć więcej niż salonów, powozów, panny służącej, lokaja i tysiąca innych wygod...

12 Listopada. Dziś wielka radość mnie spotkała. Miałam wiadomość o siostrze, siedzi ciągle na wsi i zatrudniona jedynie dziećmi i gospodarstwem... lekko mi i słodko na sercu... kiedy ja ją też zobaczę i te jej dzieciska, które dobrze mają wyrastać!

23 Listopada. Dzień moich imienin zszedł bardzo mile, w całym Paryżu nikt o nich nie wiedział; nie śmiemy rozgłaszać, żeby bogatsi na prezenta się nie zdobywali, których oddać nie możemy. Zaprosiliśmy sobie na obiad M. *) i T. i zjedliśmy wesoło i smaczno. Była i butelka szampiana, bo jak moje imieniny przyjdą, to zwykła oszczędność na bok. Nadeszły też i listowne powinszowania z Wrocławia, z Drezna, z Londynu. W podobnych dniach widzę, że Bóg dobry jeszcze mi wiele zostawił...

14 Grudnia. Znowu przykre i najprzykrzejsze miałam chwile, mąż mi chorował, ale dziś już jest wcale dobrze.

*) Makody i Tański.

Mam trochę nadziei że od Nowego Roku będę mogła wydawać Rozrywki tu w Paryżu.

1 Styczeń 1834 r. Zaczęliśmy rok wcale przyjemnie, ale już mąż z Marcinkowskim wyrok na mnie wydali. W Czwartek przyszły... odbędzie się operacya...

9 Stycznia. Nadszedł ów Czwartek dla mnie tak stanowczy, za chwilę przyjdą doktorowie; Boże dobry błogosław!...

25 Stycznia. Pobłogosławił Bóg, wszystko się odbyło jak najpomyślniej... o jak miło przy takich staraniach!... jeszcze ręka osłabiona, rana trochę boli, ale wkrótce wrócę do dawnego zdrowia.

16 Lutego. Już zaczynam zapominać o mojej przeprawie, wróciłam zupełnie do dawnych zatrudnień; piszę już nawet dosyć, to jest o ile mąż pozwala... Muszę jednak opisać obszerniej tę operacyę, bo była ważnym w mojem życiu wypadkiem. Już to, nim się przyznałam mężowi, męczył mnie ból czas długi, męczyły liczne potem konsultacye, a nareszcie myśl przeprawy. Po kilku nareszcie odkładaniach, we Czwartek d. 9 Stycznia o godzinie 11 z rana przyszedł Marcinkowski z D... bo nie chciałam Francuzów, i wnet przystąpili do mnie. Siadłam z odwagą na wygodném krześle, mąż stał za mną i trzymał mi rękę; przeżegnałam się siadając i z zupełném męstwem bez sykania i drgnienia przebyłam i rzezanie i prucie i chwytanie żył. Prawda że to wszystko krótko trwało. Samo krajanie i prucie dwie minuty, reszta z opatrzeniem może dziesięć, krwi upłynęło w miarę... położyli mnie zaraz w łóżko i przez trzy dni leżałam prawie nie ruszając się, z bojaźni krwi upływu, a wreszcie i dla ulżenia bólów; przez dwa dni dzień i noc przykładali mi wodę z lodem. Miałam wszystkie wygody, *garde malade*, doktora dwa razy na dzień, odwiedzających

huk... i doprawdy miałam więcej przyjemności niż przykrości, wydatek tylko niewynagrodzony... Guzik wyjęty był wielkości włoskiego orzecha, bardzo twardy; za rozerznięciem okazało się, że jeszcze nie było skiru, ale jednak był zarodek: miejsce żółte, gdzie w krótkim czasie mogła była materia nurtować. W samą więc porę rzeź się stała i w Bogu nadzieja nie odnowi się. Rana bardzo mało mnie bolała, dziś prawie zupełnie zagojona. Była jednak głęboka na dwa cale a na trzy długa, ale dobroczynna natura załatała co ludzie rozpruli. Aperturę już mam od tygodnia. Leżałam ciągle trzy dni, czwartego trochę wstawać zaczęłam, szóstego zupełnie, a dziewiątego już po wszystkich pokojach chodziłam; gorączki nie miałam mocnej, jednak przychodziła o pewnych godzinach. We trzy tygodnie wyszłam z domu pierwszy raz a teraz tylko tyle się ochraniam, że na wieczorach nie bywam, z czegom bardzo kontenta, bo mnie te wieczory i wstydą i korcą. O Rozrywki stanął już zupełny układ z Januszkiewiczem, lecz wcale mi w smak nie trafia co piszę; jakieś blade, zimne, czcze mi się wydaje: zepsuli mnie może dzisiejsi ogniści pisarze francuzcy.

3 Czerwca. Dziś przyniesiono mi tom pierwszy Rozrywek, przecież wydrukowany; miłość własna moja nie jest zaspokojona, ale serce zupełnie, bo nie szczędziłam pracy, żeby użyteczną była. Teraz dwóch rzeczy mi się tylko chce: pożytku dla drugich i jakiego takiego zasiłku dla siebie; o sławę nic a nic się nie troszczę. Te miesiące zeszyły nam Bogu dzięki dobrze, przy zdrowiu, zgodzie i pracy... przybyło mi też miłe towarzystwo: Adamostwo Ł....., braterstwo K.... W..... kięż, jużby tego dosyć żeby mi drodzy byli..... Operacja moja wielkie na krewnych zrobiła wrażenie, to była nowa osłoda cierpienia, bom się przekonała, że mnie kochają jeszcze.

8 Czerwca. Coraz więcej Paryż lubić zaczynam. Wstaję po szóstej, ubieram się i wychodzę. Wstępuję do kościoła

na poranną modlitwę i idę do pocziwój Nakwaskiej pić kozie mleko, które przy mnie doją. Piję i czytam dziennik, Wróciwszy do domu kawa i pogadanka, czasami gdy fryzyer mnie czesze, naprawiam bieliznę, potem zabieram się na prawdę do roboty i pracuję do obiadu. Przerwy są: śniadanie drugie, gospodarskie zachody, goście a czasem konieczna potrzeba wyjścia. Obiad o 5-ój; po obiedzie pogadanka, lekkie czytanie, przechadzka z mężem; kolejną chodzimy do przyjaciół a przed jedenastą już zawsze jestem w domu i w łóżku.

29 Czerwca. Pani Nakwaska w tym miesiącu powiła szczęśliwie syna; imie mu Kazimierz, ja go zowię moim bratem mlecznym, bo i on czasem pije mleko téj samój kozy, którém i ja się leczę. Bywałam u niéj codzien; nikogo nie przyjmowała, tylko mnie jedną. Bardzo godna kobieta, tak mi przypomniła moją siostrę i jój dzieciny!...

1 Sierpnia. Już dziesięć dni jak jestem w Montretout u nieoszacowanój pani K...; mąż pozwolił na to rozstanie, bo wie jak ja wieś lubię, jak mi potrzebne do zdrowia napić się choć przez kilka tygodni świeżém powietrzem. Jemu tu przebywać zatrudnienia nie pozwalają, ale co pare dni przyjeżdża. Miejsce czarujące, sposób życia dziwnie miły... Pałac w Montretout tém jest pamiętny, że w nim zabity został Henryk III. Tę scenę całą żywo mam przed oczyma... Zda mi się że król kona na łóżku w alkwie, gdzie dziś spoczywa Delfina z Komarów Potocka. Sposób mój życia jest następujący: wstaję bardzo rano i ubrawszy się nieco idę na daleką przechadzkę; za powrotem piję kawę i idę do siebie pisać. Koło jedenastój dzwonią na śniadanie, schodzimy się wszyscy: jedzenie, pogadanka, dzienniki, nauki polskie z panienkami do drugiej czas zajmują. Wracam do siebie i piszę do czwartój, najczęściej jednak to kąpiel rzeczna, to lekcye sławnego kaznodziei Duguerry, który tu dwa razy w tydzień przychodzi, te godziny zajmują. Od 4ój ubieram się i od godziuy 5ój rozmawiamy z p. K.... siedząc

z robotką w ogrodzie. O 6ej obiad, po którym powozy zachodzą i jedziemy gdzie w okolice; już ciemno kiedy wracamy, zastajemy salony oświecone i często kogo z gości: dają owoce, herbatę i koło jedenastej spać..

16 *Sierpnia*. Wróciłam wczoraj do Paryża, skróciłam nawet mój pobyt, a lubo mi tu ciężko, ciasno... nie mogę tylko się cieszyć, że jestem mężowi potrzebną... do Montreoutt będę jeździć co tydzień na noc i na lekcję księdza Duguerry.

29 *Sierpnia*. Już to trzecia rocznica podobna w Paryżu i zapewne jeśli Bóg życia udzieli nie jedna jeszcze taka będzie. Nam jakoś na coś pewniejszego w losie zanosi się... W tym roku wzięłam się znowu do Rozrywek i już wydane dwa tomy a trzeci w robocie... ale słaba nadzieja.

23 *Listopada*. Prawdziwie nadto jestem szczęśliwa. Dziś dzień moich imienin, mąż mnie psuje, obdarzył mnie jak za najlepszych czasów; niech tylko wymienię dary z kolei: biórko tak ładne i wygodne jak jeszcze nigdy nie miałam; koszyczek do roboty prześliczny, woreczek do chustki, pantofelki watowane, ogrodniczek z krzakiem róży cudownym, pugilaresik, nóż do przecinania i znaczenia książki, piórko eleganckie do zmiotania biórka, mydło pachnące, otrąbki do rąk, szczypczyki, paczka papilotów kolorowych na cały rok: tuzin darów jedném słowem... i inni mi winszowali, już tajemnica moich imienin się rozeszła... To prawda, że Opatrzność dała mi jakiś zapas szczęścia, którego los wyczerpać nie może..

9 *Stycznia 1835 r.* Był to dzień mojej operacji... Na pamiątkę dnia tego dziś rozpoczynam przepisywanie i dokończenie mojej książki do nabożeństwa. Tę rękę, której Bóg siłę powrócił, trzeba na Jego chwałę używać.

5 *Marca*. Miałam też wiadomość o rodzinie, ale tylko

z ust obcych doszły mnie i wiersze przez dzieci siostry pisane: ze łzami je czytałam. Ja te dzieci tak długo kochałam jak swoje... Dziś popielec—Co do zabaw największą mi w tym roku przynosi grzeczność pani Moszczyńska z Sobańskich. Bierze nas czasem na operę włoską, a to jest zupełnie szczytna i szlachetna zabawa. Do pani K.... przynajmniej co drugi dzień chodzę. Mam wiele powodów do wdzięczności dla niej, ale mnie to korci, że nie wiele jej pomagam, a czas tracę. K.... bogata pani, cierpieć nie umie, nudzi się na świecie, bo niczem zająć się nie umie i nic się nie bawi. Ja tak byłam przyzwyczajona, że sam mój widok już dobrze moim chorym robił.. ale co robić! jużto trudno powtórnych mieć przyjaciół i krewnych. Ze wszystkiemi to uczuciami nietylko z miłością do razu sztuka...

10 Kwietnia. Zawsze miałam ochotę mówić jak pani de la Rochejaquelins: „Je deteste que l'on vienne me voir; je sais que cela tue l'illusion“ ale to dawniej było. Teraz zupełnie zapomniałam o sławie i o tój osobie jaką byłam, a przynajmniej za jaką się miałam; przecież miło kiedy się hołd dawny przypomni. Jan Netrebski inżynier, młody chłopiec, wielkich zdolności, ale bardzo wolno myślący, przyszedł do mnie z książką w ręku, ze łzami w oczach. Książka ta była *Amelja*, kupił ją za 20 sous na *quai Voltaire*, u bukwinisty... przypomniawszy sobie jak tę książkę z matką czytywał w dzieciństwie... dziś czytał ją z największym rozczuleniem i przejęciem, i zapewnił mnie, że obudziła w nim uśpione oddalone religijne uczucie: „Będę teraz daleko lepszym, mówię mi, będę pobożnym; ta książka tak mi przypomniawszy wszystkie nauki matki, a matka już nie żyje.. i tak mnie kochała!...“

23 Kwietnia. Skończyłam w tój chwili nowe zjawisko literackie, imię autora dotąd nieznanego.. Rozmaite są domysły... jednak mniejsza o to *kto* napisał, jaby, jak na teraz, wolano wiedzieć *co* napisał, bo wyznaję z pokorą, że niezu-

pełnie to dziwo rozumiem. *Nieboska Komedya*. Zdaje się jednak, że autor chciał wyszydzić, zniweczyć poezję dzisiejszą, a tę poezję nie tyle widzi w pismach, co w czynach; raczej przesadę z egoizmem złączoną, albo jeszcze prędkiej uniesienie na zimno (enthousiasme à froid) potępia i słusznie. Część tego poematu, bo choć pisany prozą, poematem nazywać się może, wystawia podobnego fałszywego poetę w życiu i stosunkach domowych, i w tej części są szczegóły przesłiczne. Poeta (mąż) robi nieszczęście najlepszej żony, która w rozpacz, że zrównać mu nie może, szaleje i umiera. Gubi dziecię jedyne, które matka błogosławiąc przeklina, jeśli poetą nie będzie i ojca pochwał nie zyska. Dziecię też jest poetą, ale zawczesnym; umysł jego zbyt pracuje w słabém ciele i ślepnie, a potem ginie. Lubo może nadto naturalności w niektórych szczegółach, ta część będzie zawsze należeć do celniejszych utworów naszych.—Druga—nie tyle mi się podoba, ile że jój nie rozumiem. Jest to walka arystokracji z demokracją, ale tak wystawiona, jakby przez legitymistę we Francyi, złorzeczenia przeciw przechrztom, które znowu jakoby się Polski tyczyły. Słowem ani z treści, ani z końca zgadnąć nie można, komu autor sprzyja? dla kogo pisał.. wystawiałam sobie że on sam środek między dwiema okaże, ale nie, wszystko na tém się kończy. Sądzę że ta książeczka w ogóle nic dobrego nie sprawi...

16 *Sierpnia*. Już dziesięć dni jak jesteśmy w *Bellevue*, nigdy jeszcze i nigdzie tak mi dobrze nie było. Jestem z mężem na wsi u siebie, mamy własny i osobny domek (najęty) z ładnym ogródkiem.. o kilka kroków cała rodzina P. P.. tu przecie dokonam mojej książki do nabożeństwa, którą W. podejmuje się wydać w Krakowie tanio i dobrze.

22 *Sierpnia*. Przed kilkoma nareszcie dniami skończyłam moją książkę, zapieczętowałam i już jój się nie tknę, bo już mnie znudziła. Dziś właśnie zabrałam się do nowej pracy, do *Kochanowskiego*, bo to dziełko Wisz.. radzi mi

najpierw wykończyć. W roku 1826 zaczęłam była pisać o Kochanowskim, nakreśliłam plan i początek; radziłam się Gołembiewskiego, Brodzińskiego i przysłali mi rady swoje na piśmie. Czytałam wiele i wiele robiłam wypisów, kiedy nagle wezwana przez Komisję Oświecenia do dawania kursu moralności w Instytucie, przerwałam całą tę pracę, bo zaledwie mogłam wydołać Rozrywkom i lekcjom. Wszystkie te zabytki i dokumenta z różnych stron o Kochanowskim, związałam w tekę i schowałam. Dziś otworzyłam ją na nowo i wczytawszy się w te listy, plany, notatki, znikło mi z oczu lat dziewięć, przeniosłam się do swego pokoiku zielonego z widokiem na Saski ogród, gdzie tak szczerze pracowałam. Pamięć ta ożywiła we mnie smak do pisania.

29 Sierpnia. Kochana matka uprosiła w naszym losie niejakie polepszenie u Opatrzego Boga, w tój chwili używam tego, czego nawet w kraju nie miałam: ładnej chatki z własnym ogródkiem. Rozrywki się urwały, trzeciego tomu nie skończyłam; za to napisałam książkę do modlitwy, już mi dwa tysiące franków przyniosła.

8 Października. Już drugi dzień jak wróciliśmy do Paryża. Zajęłam dużo w tój chwili czytaniem Pamiętników z panowania Augusta III-go, przez Erazma Otwinowskiego.

29 Sierpnia 1836. Już to Bóg tak postanowił, w naszym losie nic stałego być nie może; zawsze odmiany, próby, a zawsze jeszcze powody do dziękowania Opatrzności, zawsze sprawdzenia tych słów kochanej matki: „Pan Bóg jój nie opuści.“ Ponieśliśmy dużo zawodów i strat, ale niewinnie i wyszliśmy z przygód z honorem... Sam wszakże Bóg, wie tylko cośmy ucierpieli oboje... Słabość męża zniewolila nas do wyniesienia się na wieś. Od trzeciego Maja jesteśmy w Saint-Germains.

28 *Listopada*. Siedziałam długi czas w Saint-Germains, gdzie nikogo nie widywaliśmy, chyba tych, co nas czasem z Paryża odwiedzali. Brak ten towarzystwa zastępowałam czytaniem. Teraz od dni kilku w Paryżu, udzielając się codziennie znajomym, widzę, że już ani czasu, ani potrzeby nie mam czytania.

4 *Grudnia*. Przeczytałam *Historję Ś-tęj Elżbiety* przez hr. Montalemberta. Dzieło wielkich zalet i prawdziwy zaszczyt autorowi przynosi, że je w tym wieku wydał. Styl czarujący jasnością i prostotą. Pierwsza część życia Elżbiety do śmierci jej męża, mojem zdaniem należy do książek, które najuuliej się czytają i najwięcej mogą zrobić dobrego. Ale druga zupełnie nie przypadła mi do smaku; wyrzec się czworga drobnych dzieci, wyzuć się z radością wszelkiej miłości ku nim, żeby się oddać wyłącznie nabożeństwu i ubóstwu, to jest według mnie, minąć się z przeznaczeniem kobiety i z wolą Boga. Co mnie jeszcze w tém dziele uderza, a tak byłabym rada wszystko dobrze w niem znaleźć, to zbyteczne pochwały oddawane owym wiekom. Autor zapewnia, że to był tryumf katolicyzmu i pragnie wznowienia tych czasów. Znać że jest panem bogatym, hrabią, parem Francji; pamięta tylko na równych sobie. Że wtedy książęta i panowie byli pobożni, cnotliwi, a nawet święci, sądzi, że bardzo dobrze było na świecie; ani myśli o tém, że lud był ciemny, zły i nędzny, ani uważa, że to sam w swém dziele odkrywa: Elżbieta tak dobroczynna, kiedy nieszczęście na nią przychodzi, jednego serca wdzięcznego nie znajduje, jednej duszy litościwej. Piękneż mi to czasy! i piękne wyznawanie katolickiej wiary! Żadnej arystokracji pochwalac nie można, nawet arystokracji cnoty. Nie woleż ja wieki, w których mniej może cnot wysokich między panami, ale ludzkość panuje w sercach milionów ludzi. Dziś to się dzieje z cnotą, co z nauką, z majątkami: rozpostarły się na nierównie większą liczbę ludzi.

10 Grudnia. *Pamiętniki Paska*. Daj nam Boże takich ksiąg jak najwięcej; one dadzą nam poznać dzieje w rzetelnym, lubo niestety, w niepochlebnym świetle. Bo i z jakimże to smutkiem czytać przychodzi obraz owych czasów, jaki nieład! jaka swawola!... Ciemnota to jednak wielka zajęła Polskę w tych wiekach i wyraźnie od Zygmunta III-go o ile inne narody w równi wtedy z nami, szły naprzód, o tyle my szliśmy w tył. Przesądów było tyle, aż wstyd; owój anegdocie o dyabelskim weselu, które przez pokój pewnej damy słabiej przejeżdżało za jej pozwoleniem, Pasek daje wiareg zupełną; a jaka pijatyka! jakie boje! kłótnie! i on się temu nic nie dziwi: ten stan rzeczy naturalnym mu się wydaje. Styl jasny, prosty, bez łaciny, co rzecz dziwna; mowy tylko i oracye jego nieznośne, a jemu bardzo piękne się wydawały. Niech Bóg da zdrowie panu Raczyńskiemu, że to dzieło wydrukować kazał.

15 Grudnia. *Irydyon*. Jak tytuł, tak i całe dzieło tajemnicze. Czytałam je z uwagą i prawie niczemogę się nie dowiedzieć. Mówią niektórzy, że dwa razy przeczytać trzeba żeby zrozumieć; mnie żal było czasu. Jestto dzieło autora Nieboskiej Komedyi. Obie te prace podobne do siebie, wolę jednak pierwszą, bo tam wcale sceny są piękne i parę osób prawie ukończonych; tu myśli wysokie i zrozumiałe zjawiają się tylko jak błyskawice, a nikogo niema odrysowanego wyraźnie...

23 Grudnia. Zjechaliśmy na kilka miesięcy zimy do Paryża i mamy dwa ciasne pokoiki w hotelu. Jużto nie to, co w mieszkaniu własnym i na własnym gospodarstwie. Często mamy zaprosiny od przyjaciół na obiady i wieczory, ale to się przykrzy. Nie masz szczęścia jak *w sobie, u siebie, ze swemi...*

22 *Sierpnia* 1837. W Bern, w Szwajcaryi. Niespodzianie dla bardzo miłej sercu memu przysługi, wypadło mi w środku Sierpnia r. b. rzucić skromne zacisze Saint-Germains, w którym już drugi rok mieszkam i odbyć podróż przeszło 150 mil polskich.

27 *Sierpnia*. Nie przyjeżdża i nie przyjeżdża P...*), na którą tu czekamy. Zatrudnień już się przebiera, książek mało, a widzieć niema co (w Fryburgu). Młody Montalembert, par Francyi, jest tu dziś z teściem swoim hr. de Merode; widział się z mężem; miał być u mnie, ale nie przyjechał; taka to francuzka zażyłość: słówek grzecznych dużo a rzeczy mało.

29 *Sierpnia*. Trzynasta to dziś rocznica śmierci mojej matki, kiedy też prawie co rok gdzieindziej mnie spotyka, i co rok w innym kościele za dobrą matkę się modłę! przynajmniej że wszędzie jeden i ten sam Bóg!... Poniosłam kilka strat dotkliwych: umarła pani Zamoyska, pani Wodzicka, moje niegdyś wielbicielki; Szyrmina, przyjaciółka. Wyczerpały się też i fundusze, choć z drugiej strony, Bóg opatrzny na prace autorskie lepszą przygotowuje przyszłość.

3 *Września*. Mąż wyjechał na dwa dni do Oberlandu, sama go do tego namówiłam, czyniąc z siebie dla obowiązku ofiarę...

8 *Września*. Chodziliśmy dziś dużo po okolicach i ranek jeden cały strawiliśmy nad brzegiem Saryny; mąż rysował, ja pisałam i czytałam.

(Zdaje się, że w czasie tej przechadzki autorka ołówkiem skreśliła wierszyk, jedyny ślad jej próby poetycznej, w papierach później znaleziony; zaczyna się następującym cztero-wierszem:

*) Córka zmarłego w Smyrnie generała Paca, później żona ks. Ksawerego Sapiehy na Litwie.

Saryno, jakże piękne żywisz okolice,
 Miasta, skały i góry biją wody twoje;
 Myjesz bogate pola, obfite winnice:
 Wszystko to jest urocze, ale to nie moje).

10 Września. Wyjechaliśmy do Vevay w nadziei spotkania w drodze naszej towarzyszki.

17 Września. (w Genewie). Naszej towarzyszki jak nie ma, tak niema... Mąż znowu wyjechał do Payerne na jej spotkanie, mnie ruszać nie chciał.

20 Września. Nareszcie skończyły się moje nudy i tęsknoty. Mąż wynalazł naszą zgubę i z nią przyjechał. Trzydzieści trzy dni wyglądać kogoś, co nie przyjeżdża, to prawdziwa męka.

5 Października. Już tedy znowu jestem w Paryżu.

7 Lutego 1838. Dziś rocznica naszego ślubu, dziesiąty rok się zaczął prawdziwego domowego szczęścia. Nie mogłam iść do spowiedzi bom słaba.

13 Lutego. Dziś zaczęłam romans, Karolinę.

20 Lutego. Byłam u spowiedzi i szczęśliwam. Karolina postępuje. Wieczór spędziłam u naszego wirtuoza Chopina, śpiewała prześlicznie pani Freppa. Odebrałam list z Krakową o wyjściu mojej książki do nabożeństwa.

28 Lutego. Już popielec, nie zgrzeszyliśmy zbytaczemi zabawami.

1 Marca. Najeliśmy nowe mieszkanie rue Neuve des Mathurins N. 31, na pierwszém piętrze nad entresolem, w dziedzińcu, za 550 franków. Nie wielkie, ale zdaje się że wygodne: Boże błogosław w niém! Pierwszy raz w życiu piszę komedią dla osób dojrzałych, nie wiem jak mi się powiedzie...

10 Maja. Cały Kwiecień był nie dobry, oboje byliśmy słabi. 2 Kwietnia widziałam lód na własne oczy o 10 rano, dziś biorę się znowu do piśmiennój pracy.

21 Maja. Bałamuctwa jeszcze ciągle, jeżdżę ciągle do Montmorency, bo P. już nas rzuca; cierpiałam na fluksyą ale od Czerwca zaczynam pracę regularną.

3 Lipca. Dzień dzisiejszy jest dniem wyjazdu Ludwiki P(acównój) do kraju. Żal mi jęj bardzo, przywiązałam się do nięj. Blisko przez dziesięć miesięcy widywałam ją tak często. Byłam jęj zda mi się użyteczną i ona mnie pokochała. Rzadkich to i wielkich przymiotów panienka i prawdziwie nad wiek swój ma rozsądek i trafność. Dopiero ma rok dziewiętnasty, po rozmowie i zdaniach sądząc, daćby jęj można trzydzieści. Dostałam od P. przy jęj wyjeździe miłą pamiątkę. Sekretarzyk z cyfrą K. T. II., bardzo ładny i wygodny. Już teraz mam ośm rzeczy arcy-drogich, które w testamentie moim miejsce znajdują *). 1) Krzyż czarny ze srebrnym pozłacanym Panem Jezusem. Dziad mój Czempiński przywiózł go z Rzymu, a babka dała go matce mojęj z błogosławieństwem; moja matka mnie podobnież go dała; widziałam go w rękach czterech drogich umarłych: babki Czempińskiej, wuja Teodora Czempińskiego, matki i siostry. O! Boże wielki, niechże go już w niczyich nie widzę. 2) Książka, czyli pamiętnik ręką matki zapisany z jęj testamentem. 3) Matka Boska, roboty mojęj młodszęj siostry. 4) Zegarek genewskięj roboty, Patka dzieło, z moją cyfrą, od meża, z kluczykiem złotym od przyjaciółki W... 5) Miniatura mego meża. 6) Portret wyobrażający dziewięć drogich mi osób. 7) Kałamarzyk od kasztelanowęj Połonieckięj, otrzymany po wyjściu pierwszego mego dzieła. 8) Sekretarzyk od P...

*) O ile nam wiadomo, autorka nie zostawiła żadnej dyspozycyi testamentowęj.

Czerwiec cały zszedł nie zostawiwszy wiele skończonój pracy.. Moja Karolina nie tyle postępuje, ile się doskonali, i mam nadzieję że to będzie coś dobrego.

19 *Lipca*. Przyjechaliśmy dzisiaj na lato do St. Germain, widzę słońce i drzewa i zda mi się; żem królowa.. Napisałam już trzy artykuły do *Przyjaciela ludu* i wyprawiam je jutro.

20 *Sierpnia*. Skończony i odczytany mój tom pierwszy Karoliny i dosyć z niegom kontenta. Zająłam się teraz drugim tomem. Przedziwnie mi tu, chociaż czas nie dopisuje. Dziś przerwała się mile praca przyjazdem z Anglii Szyrmy z córkami, które przedziwne są. Młodsza nasza chrzestna bardzo matkę przypomina.

12 *Czerwca, 1839*. Przed tygodniem przyjechaliśmy na stanowisko letnie do Saint Germain. Dziś przybył do nas mój siostrzeniec A(dam) G(oltz), wielką mi sprawił radość; od ośmiu lat pierwszego widzę krewnego.

28 *Czerwca*. Dziś nareszcie skończyłam *Karolinę*. Błogosław jej Boże!...

15 *Lipca*. Za przeczytaniem Karoliny, odkryło się, że wiele poprawić i przepisać trzeba. Zajął mi to dziesięć dni, a przez ten czas przyszła mi ochota napisania drugieji powieści; do żywotów ŚŚ. Niewiast, nie mam potrzebnych dzieł pod ręką, odkładam je więc do Paryża. Dziś siedząc w lesie pod dębem, czytałam panią Necker (*Études de la vie des femmes*) i uderzyło mnie to, co mówi o kobietach niezamężnych. Już ja dawno miałam myśl napisać co dla panien. Tam zaraz ułożyłam sobie mały planik na karteluszkę ołówkiem i odtąd ciągle go rozszerzam: będzie to nosiło tytuł *Krystyny*.

24 *Lipca*. Karolinę wysłałam do Lipska. Odebrałam dwie wiadomości: jedną smutną, drugą wesołą. Pani starościna Wyszogrodzka, którą tak długo matką znałam, umarła

28 Czerwca świątobliwie; córka zaś jój pani G. ma tu przyjechać z mężem: byłaby to dla mnie radość wielka.

20 *Sierpnia*. Przyjechała pani G(aliché) wraz z mężem; cieszę się nią jak siostrą i mój czas jój oddany.

23 *Września*. Ciągłe przejażdżki z St. Germain's do Paryża, z powodu bytności mojej ukochanej G. sprzykrzyły się i kościom i workowi i całym nam. Namyśliliśmy się tedy do powrotu do Paryża. Do mojej powieści ani zaglądam.

12 *Października*. Sześć dni temu wyjechali państwo G. Smutne było nasze pożegnanie. Uwija nam się po głowie wielki plan: założenie domu edukacyjnego.

6 *Stycznia 1840*. Do samego Nowego Roku wyłącznie mnie zajmował projekt założenia domu edukacyjnego w Paryżu. Tak tę myśl wszyscy ludzie światli i nam życzliwi uważali za użyteczną, że całą moją usilność ku niej skierowałam.

15 *Lipca*. W kilka dni dopiero po Nowym Roku wzięłam się znowu szczerze do mojej *Krystyny*. Po trzech miesięcznej pracy, była prawie na ukończeniu, gdy skutkiem rozgłoszonej wieści w Anglii o moim projekcie założenia instytutu, dostała mi się wychowanka Angielka. Miesiąc może zszedł przy tym zupełnie nowym układzie rzeczy i dnia, nim potrafiłam wziąć się do pracy. Idzie ona jako tako, ale idzie ona leniwo. Dziś w rok po zaczęciu ma tylko sto stronic do druku.

9 *Listopada*. Już *Krystyna* poszła do druku, odebrałam nawet za nią umówione honorarium. W widoku przyszłego zakładu, najeliśmy obszerne mieszkanie w Paryżu, przy ulicy Cliché N. 37, i dziś wzięłam się do nowój po-

wieści t. j. do *Kochanowskiego*, właśnie w lat szesnaście od dnia, kiedy się pierwszy raz ta myśl poczęła.

13 *Listopada*. Zaczynam znowu cierpienie na guzik w piersi, na tém samém miejscu, gdzie mi przed sześcią laty robiono operacyą. Kazano przykładać maści.

3 *Stycznia, 1841*. Zabrałam się teraz szczerze do *Kochanowskiego*, Ogromna to będzie robota, a może i nie wydatna; cóż począć, skończyć trzeba.

5 *Stycznia*. Mimo kaszlu, wybrałam się na prelekcycę *Mickiewicza*. Trzeci raz występował, pięknie, obficie, wymowa jednak wielką mu jest przeszkodą. Nie czyta, ale mówi i zdaje mi się, że ma zbytek i nawał myśli; nie dosyć jasno. Francuzi jednak zdaje się kontenci.

8 *Lipca*. Pisząc *Kochanowskiego* i obierając rok 1584, za rok mojej powieści, pilnie badałam wszędzie tego roku i było dla mnie wielką radością, kiedym tej daty gdzie dostrzegła. Tak utkwiał w mojej pamięci, że spotkawszy dziś fiakra z numerem 1584, mimowolnie szłam za nim zamyślona, rozumiejąc, że mi coś powie przydatnego. Trzeba takiego przypadku, że stanął właśnie przed domem w którym mieszkam i przeciął moje illuzye.

29 *Sierpnia*. Od kilku dni jestem w *St. Germain*s i kończę moją słabość po odbytej powtórnej operacyi. Doktor poczciwy *K.* opatrzył mnie w ten moment, znalazł rankeę wybornie, podgaja się doskonale, nawet mało co wypalał, bo już nie potrzeba i nic a nic mnie nie boli; z tém ciepłem, z tą pogodą, jakbym się odrodziła. Wstaje rano o siódmój, chodzę na mszą, a ztamtąd na taras. Mąż wyjechał na kilka przejażdżek po Francyi, zostawił mnie w dobrym ręku. Doktorowa zawsze nieoszacowana,

jakby siostra rodzona, z nią mieszkam. Gości miewam codziennie, wieczory spędzam u P.P.(lichtów), z doktorową na wspólną grymam w wista, to jest: ona gra, a ja patrzę: wygrałyśmy już 59 punktów.

31 Sierpnia. Wczoraj zjechała tu prosto z Hanoweru jadąc z Berlina pani M. *), byłam u niej na obiedzie. Wiedziała już o naszym projekcie założenia instytutu i bardzo długo o nim mówiła, namawiając mnie koniecznie do Poznania. Ja jej odpowiedziałam, że wolałabym naturalnie żyć i być użyteczną w kraju aniżeli zagranicą, ale na to dwóch warunków potrzeba. Ona na to, że oczywiście wszystkoby było ułatwione, a taki jest zapał do tego projektu w Poznaniu, tyle matek gotowych do oddania mi córek, że nawet wielkie korzyści obiecuje i dla nas. Przerwała się na tém rozmowa, a przy pożegnaniu powiedziała mi, że wkrótce znowu o tém pomówimy. Bardzo jest niespokojna i smutna i na mój rozum ma słuszną przyczynę, rana jest w takim stanie, że po cztery razy opatrywać ją muszą...

4 Września. Bogu dzięki, wszystko dobrze idzie, jęm, śpię, wyglądam doskonale i już nawet pisze mi się nie źle; pismo wprawdzie nieforemne, bo zawsze na kolanie, przecież przeczytać można. Pani M. w Paryżu, bardzo cierpiąca i smutna, podobnoby się i do operacyi namówiła, gdyby jej kto dodał odwagi. Jeszcze wczoraj mówiła: „gdyby mi pani Hofmanowa swojego mężstwa udzielić mogła“ chlubne dla mnie świadectwo nie przeczę.. ciągle jest w chęciach użytecznych zakładów. Skarbem są dla mnie listy od męża z podróży.

11 Września. Biędna, biędna M. już bez nadziei... Co do mnie, jestem tak zdrowa jak dawno nie pamiętam; biorę

*) Pani Mycielska Karolina, autorka ładnie napisanej powieści: *Wczoraj.*

kąpiele dla zniękczenia blizny, która się trochę nadto ściągnęła i nie mam zupełnie wolnego ruchu ramienia: osobliwie jak podniosę rękę w górę, to czuję jak się ciągnie. Oni powiadają, że to zwolnieje z czasem: wreszcie mała rzecz.

12 Kwietnia 1842. Teraz jestem w nadziei wypadku, którego już nie spodziewałam się nigdy. Zobaczę ciotkę W. w Wrocławiu i może jeszcze kogo z rodziny. Pierwszych dni Maja chcę wyjechać.

7 Maja. Już tedy wszystko ułatwione, pozwolenie rządu pruskiego za staraniem kochanej ciotki w ośm dni otrzymane, paszport gotowy, wiza pruska dana i jutro mam wyjechać. Jużto blisko tydzień codziennie wyjeżdżam, ale mnie bałamucą moje towarzyszki. Trafiło się tak, że mi dano pod opiekę trzy wychowanki ś. p. pani Małachowskiej, którym trzeba jechać do Polski, podjęłam się odwiedzić je do Drezna, albo i do Wrocławia, a tam upatrzeć im znowu opiekunkę; w zamian moich starań pojedę już ich kosztem: bogatsze są odemnie.

15 Maja w Dreźnie. Otóż już użyłam prawdziwej pociechy, uściskałam najpierwszą, najlepszą, najdroższą przyjaciółkę moją Konstancją z Łuszczewskich Wodzińską. O godzinie pierwszej stanęliśmy w Lipsku i było dla mnie rzetelną radością, kiedy mi podał ktoś rękę wysiadającej z powozu i przemówił te słowa: „Pani mnie nie poznaje, ja jestem Bobrowicz.“ Wdzięczną mu jestem, od trzech dni na każde przybycie frankfurckiego delizansu czatował, żeby mnie pierwszy powitał. Zajął się zaraz po bratersku nami, osadził w dobrym hotelu, przewiózł nasze rzeczy, wynalazł mój wór, który był zaginął, wziął nam bilety na kolęj żelazną i wsiadł z nami

do Drezna. Po ósmój stanęliśmy w Dreźnie, i skorośmy wyszli z zabudowań drogi żelaznej, zaraz spostrzegłam moją ukochaną... czekała na nas z powozem i umieściła nas na przeciw siebie w Deutsches Haus...

17 Maja. Prawdziwie téż okoliczności trafiają się dziwne; szukałam osoby, któraby się podjęła odwieźć panienki moje do Warszawy i trafiła się zaraz pani B... osoba młoda jeszcze, ale powszechnie znana i pięknie ułożona. Już dziś wyjeżdżają. Po zrobieniu obrachunków pokazało się żeśmy wydały na podróż z Paryża do Drezna po 200 franków na osobę.

18 Maja. Moje panny już wyjechały, przeniosłam się zaraz do mojej drogięj; urządziła dla mnie osobny pokój, zdaje mi się jeszcze miłsza, doskonalsza jak była dawniej...

19 Maja... Obsypywana jestem względami, grzecznościami, hołdami nawet... rozczula mnie i ujmuje wdzięczność matek i pełne uszanowania obejście się córek. Sądziłby kto, że mnie każda uważa za wyrocznią i szczęśliwa kiedy mnie choć raz widzi, kiedy słówko do niej przemówię. Dwie nawet kobieciny L. i M. ujrzawszy mnie rzewnie płakały.

22 Maja. Słaba byłam przez pare dni, ani wiem co mi się zrobiło, ale po szczególném osłabieniu dostałam mocnej gorączki i krótkiego oddechu. Stało się to podobno ze zbytniego zmęczenia na spacerze. Bogu dzięki, dziś jużem zupełnie zdrowa i jutro wybieram się do Wrocławia; choć mi tu ze wszech względów przecudownie, serce bardzo do swoich dąży. Zapomniałam w miejscu swoim napisać, że tu już odebrała zachęcenia z Galicyi do założenia instytutu, który mam w myśli, ale do tego trzeba czegoś więcej niż życzeń.

23 Maja. Dziś tedy wyjeżdżam ze szczerym żalem, bo jeszcze więcej niż kiedy pokochała moją Kostunię... Z wielu miejsc w Poznańskim odbieram zaprosiny... nie mogę wyrazić jak mi jest miłą ta powszechna zyczliwość, żałuję tylko, że sama jestem jej świadkiem.

25 Maja. Przyjechałam tu dziś o wpół do szóstej rano, ciotka kochana czekała już na mnie na pocziecie... Co się działo zemną z wielkięj radości i zadziwienia całując, widząc i ciotkę i siostrę, wyrazić nie potrafię; ażem odurzała i osłabła. Zmęczyły też mnie mocno dwie noce niespane i podróż niemila, niewygodna, wśród fajek i Niemców. Ale jakże mi się te trudy nagrodziły!... Ciotka kochana nic a nic się nie zmieniła, przyjęła mnie jak matka. Siostra zawsze żywa, wesoła, żartobliwa, sama się śmieje i innych do śmiechu pobudza... ale tylko trzy dni jeszcze chce bawić, bo córki ślub na 18 Czerwca naznaczony; aleć przecież spodziewam się, że mi choć po dniu jednym za każdy rok rozstania użyczy.

30 Maja. Pocziwa siostra obiecuje zabawić z nami do Piątku, ślub córki odwleczony... Przyjechał i mój brat cioteczny Karol W. i znalazłam, że te 10 lat z wielką korzyścią dla niego spływały... Żona jego coraz mi się więcej podoba.. (Była to druga żona, którą po śmierci Johanny Goltz zaślubił).

3 Czerwca. Jeśli na tém życiu nie styję, to nie będzie ciotki wina, bo mnie tak pasą, że aż bronić się muszę; sprawiam się przecież rozsądnie i zupełnie jestem zdrowa. Kochana ciotka honory Wrocławia nam robi... jeździłam do Oświt... oglądałam Scheitnich, dawny dom i ogród wiejski Weiglów, gdzie umarła pierwsza żona pana Karola W., Johanna Goltz; zgoła trudnooby wypowiedzieć, ile mi są gospodarze radzi i jak mi tu dobrze. Wczoraj byliśmy w tutejszój kolei żelaznej, zrobili pięć mil drogi i zapał straszny w Wrocławianach. Siostra pierwszy raz to widzi i była w zdumieniu...

4 Czerwca. Wyjechała kochana siostra dziś w samo południe. Pół jedenasta dnia z nią byłam, właśnie dzień za rok niebytności, to bardzo mały procent...

13 Czerwca. Święty Antoni uprosił mi pociechę: za powrotem z kościoła oddano mi list od męża z Londynu;

zdrów i kontent z podróży... o jakże wszystko dziś inaczej na świecie.

19 Czerwca. Dzień wczorajszy był dobry, odebrałam obszerny i kochany list od męża z nowinami co do zdrowia i zatrudnień najpomyślniejszemi... Życzliwi rodacy nie wszyscy się zgadzają na jedno względem mego zakładu, wszyscy go pragną, ale jedni radzą w Poznaniu, drudzy w Paryżu... ja zawsze odpowiadam, że to nie zależy odemnie ale od okoliczności.

2 Lipca. Dziś ślub mojej siostrzenicy Helenki, której imie tyłu pismami memi rozgłosiłam.. ale żadnych szczegółów nie wiem... dziwna też to rzecz... tak ją uważałam długo za własną córkę..

14 Lipca w Pudliszkach. Już się od kilku dni rozstałam z drogą ciotką. Zakwaszone były ostatnie dni mego pobytu; zaraz w Piątek zasłabłam i o mało co zapalenia gardła nie dostałam; synapizmy, wizykatorye, lekarstwa przywróciły mnie do zdrowia i już wyjechałam. Prawdę rzekłszy sił nie mam wiele, zapewne to zrobił ów *joł*, który zażywałam lecząc się na pierś; choć jestem zupełnie zdrowa, wszystko mnie męczy mocno i łatwo słabnę; przyjechawszy tu, przez dwa dni ledwie się ruszyć mogłam, a nic mię nie bolało.

23 Lipca w Oporowie. Od dni jedenastu już jestem w Poznańskiem, gdzie mi nad wszelki wyraz radzi... mnóstwo osób widuję; niezmiernie mi tu miło: domy schludne, ogrody piękne, wioski porządne, drogi owocowemi drzewami zasadzone; w Jurkowie 400 talarów płaci za owoce drogowe dzierzawca...

25 Sierpnia w Berlinie. Rozczulona przyjęciem, jakiego przez cały ciąg pobytu mego doznawałam, opuściłam Poznań onegdaj... W téj chwili przyjechałam do Lipska. W Berlinie do drogi żelaznej odprowadził mnie pan Wiktor Ogiński a tu u drogi znowu Bobrowicz mój wydawca, uprzedzony

o moim wyjeździe; więc nie miałam żadnego kłopotu, ajechałam jak królowa... B. już mi wziął miejsce do Frankfurtu, pierwsze w środkowej karecie: pojedę jutro zwiedziwszy ciekawości Lipska.

27 Sierpnia. Objechałam trochę Lipsk z panem B.. W księgarni *cudzoziemskiej* pokazywano mi rękopism dzieła, które autorka chce mi przypisać: *Słów kilka do matek*. Poczet rozdziałów mi się podobał. Tęj samej autorki przeczytałam w tej chwili *słowa prawdy*, cokolwiek suche, a gromiące: sposób najgorszy. Już czas tych kazań zaprzestać, kościołowi je zostawić. Przekonałam się teraz w kraju, że to żadnego skutku nie robi; przekonałam się z rozkoszą, że na pobożności, na cnotach domowych nie zbywa. Gromić ich zatem nie trzeba, tylko oświecać, pobudzać, zachęcać, a nadewszystko nie nudzić...

29 Sierpnia. Otóż i przebyłam najprzykrzejszą, bo najdłuższą drogę i jestem od trzech godzin w Frankfurcie... w Lipsku bardzo było mi dobrze, bo mi ciągle towarzyszył B. i nie odstąpił póki pocztylion nie ruszył, ale w drodze i tu zupełnie sama. Dobrze przebyć i przez to, zwłaszcza po różnych rozkoszach serca i miłości własnej; przez tyle tygodni i miesięcy znaczyłam tyle, w sposób tak miły, nie zawadzi przez dni kilka mieć tylko wartość złotówki. Bo już to w drodze, łatwiej bez wszystkiego się obejść niż bez złotówki, leci też glaciuteńko, aż strach bierze... W Piątek będę u męża... Już wszystkie nieprzyjemności drogi samotnej i w upale, ofiaruję jak najpokorniej Bogu, byle go zastąć zdrowego...

11 Sierpnia 1843 roku. Tęskno mi bez męża, który znowu wyjechał na krótką przejażdżkę po Francji... robota na tém zyskuje, bo pracuję żwawo nad Pismem Śtem

mającem wyjść we Lwowie... Moje dziewczątka dobrze się sprawiają i usilnie pracują...

31 Sierpnia. Odebrałam dziś list od pewnej pani z kraju, która w wyrazach pełnych uwielbień dla mnie, pyta mi się między innymi: czy jest grzechem bywać na teatrze? Oświadczyłam jej iż sędzią być nie mogę w tej mierze i innej odpowiedzi dać nie potrafię nad tę, że od dzieciństwa aż do-
tąd bywam na teatrze... Wiem także, że i nasz wzorowy katolik Stefan Witwicki nie tylko bywa na teatrze, ale nawet wodewile piszc... Nie chcę jednak nikogo rozgrzeszać z jego skrupułów, bo powtarzam nie mam prawa, ani śmiałości narzucania komubądź przykładu mego i zdania...

25 Listopada. Dziś skończyłam Pismo Śte dla Milikowskiego we Lwowie. Praca ta, tym sposobem się tworzyła. Przed rokiem 1830 rozpoczął się druk tak nazwanych przezemnie „Powieści z Pisma Świętego“ obejmujących historią świętą od początku do N. C. Dzieło to było napisane więcej jeszcze dla klasy pracującej, jak dla dzieci. Zabierając się jednak do nowego zbioru, uznałam, że nie potrzebuję ukł-
dać Starego Zakonu, ale to co jest poprawić i tak zrobiłam. Tak miłej pracy jak ta, nie pamiętam. Miałam nawet chwile szczęścia, bo nieraz mi się zdawało, że jest jedną z tych pobożnych niewiast, które za Chrystusem chodziły i tak żywo się przejmowałam tem wszystkiem, jak gdybym żyła wtedy. Chanaanka nad wszystkie mnie rozrzewniała. A kiedy już doprowadziła pracę do Wniebowstąpienia Zbawiciela, jakaś dziwna tęsknota mnie ogarnęła, jak gdyby wistocie oddalił się odemnie i znikł mi z oczu, albo co prawdziwiej jakby zdjąwszy z siebie postać ludzką, dostępną dla mnie, został znowu Bogiem niepojętym, niedościgłym. Wciągu całej tej pracy nad Ewangelią, czytałam w wolnych chwilach Messyadę Klopstocka, i była to zupełnie, jakby przygrywająca mi muzyka, wtór harmonijny. Z zapasami jakie miałam koło siebie i w sobie, może byłabym ukończyła coś wymo-

wniejszego, gdyby krój przyjęty dzieła był inny. Mam jednak przekonanie, że żaden krój nie mógł być lepszy i użyteczniejszy dla czytelników, dla których to dzieło przeznaczone.

3 Czerwca 1844. Wybiéramy się w wielką podróż, tak wielką, że mi się to snem zdaje. Mamy jechać — i to nie ja sama, ale z mężem; mamy jechać do Belgii, Szwajcaryi i do Włoch na całą zimę. Jak ten projekt urosł i dojrzał, sama-bym nie umiała powiedzieć! było to od dawna naszym życzeniem, naszym zamkiem na lodzie i podobno, że się w prawdę zamieni. Przez czas mego milczenia w téj książce (*pamiętniku*) wiodło nam się niezgorzój... prace także szły nie źle. Mam już kanwę do *Historji Powszechnój*, którą do zamierzonego „zbioru nauk potrzebniejszych dla kobiet“ po swojemu przerobię, a posłałam już do druku całe *Pismo Ś-te* Stary i Nowy Zakon, skrócony i wybrany, przecież w dwóch wielkich tomach z uwagami. *Święte Niewiasty* zaś, dziełko w dwóch tomach, już blisko od roku wyszło z druku. Największe zmartwienia i przykrości miałam w przeciągu tych dwóch lat: były straty familijne. Czempiński Ignacy, wuj mój umarł w końcu r. 1842. Marcellj Tarczewski, ukochany mój szwagier, zakończył użyteczne życie 30 Sierpnia 1843. Ani wspominać tu będę o żalu moim nad śmiercią tych dwóch najbliższych mi mężkich krewnych i nawet już jedynych. Wychowanek przez ten czas miałam trzy, miałam mieć ośm, a mam jedną... widzę, że jeśli mam się już oddać kłopotom wychowania, wolę stanąć na czele wielkiego zakładu. Jest też jakieś podobieństwo założenia domu wychowania w Poznaniu.. Zewsząd mnie do tego zachęcają i już pytają o moje warunki. Podałam je, podobały się w Księstwie... powiadają, że przy cierpliwości w stosowniejszj porze rzecz pójdzie łatwiej... Spokojni na to wszystko wyjeżdżamy z Paryża za jakie dni ośm lub dziesięć,

nasza wychowanka Zofia T(aczanowska, dzisiejsza pani Morawska) która jest u nas od 26 Października 1842 roku, jedzie z nami.

15 Czerwca w Fain. Wyjechaliśmy wczoraj z Paryża.... żegnano nas z uczuciem jakby krewnych. Z umysłu nie powiadaliśmy nikomu o dniu naszego wyjazdu, przecież zeszło się do nas na pożegnanie onegdaj osób dwadzieścia dwie: odprowadzało nas wczoraj do dylizansu siedm.

30 Sierpnia w Medyolanie. Stąpiwszy na ziemię Piemontu, mimowolnie przyszło mi na myśl, że dzisiejszy jój władzca (Karol Albert, ojciec Wiktora Emanuela p. W.) jest wnukiem Polki; czy pamięta o tém? tego powiedzieć nie umiem. W Paryżu widywałam często w towarzystwie ową Marynię, dziś sędziwą księżnę Montleart, o którą to moja Krasieńska najwięcej się troskała. Gdyby to ktoś o jój matce powieść był napisał po francuzku, zapewneby o mnie i o mojej powieści przynajmniej z ust Polek wiedziała; ale jak za czasów Monteskiusza pytano: „*Peut-on être Persan?*“ tak i wiele pań naszych pyta się jeszcze: „*Peut-on lire en polonais?*“ więc w zupełnej była co do mnie i pamiętników Krasieńskiej niewiadość. Ja na nią nieraz patrzyłam z zajęciem, a pod tą grubą powłoką jaką ją wiek i tusza okryły, dojrzyć chciałam owę istotkę, którą z kolei królewicz Karol i piękna Franciszka pieścili, upatrzeć na jój twarzy, która bardzo przypomina rysy Świdzińskich, ślady nie jednego pocałunku, nie jednéj lzy matki..

29 Września we Florencyi. Smutna mnie rzecz spotkała w terażniejszej podróży. Oto przekonuję się, że się starzeję. Wszystko mnie męczy, kości bołą; jak łóżko niewygodne, spać nie mogę; wzrok mi słabieje. Nie martwi mnie to tak bardzo, boć to koléj konieczna rzeczy ludzkich i życia, ale mi się chce odpoczynku i pokoju. Chciałabym posiadać jaki pewny, miły, jakby własny kątek; chciałabym mieć swój pokoik do pracy, gdzieby mi nikt nie przeszkodził.

dził, chyba mąż czasem zastukał: chciałoby mi się już być na tém miejscu gdzie umrę...

14 Grudnia w Rzymie. Wyjechawszy 3 Grudnia z Florencyi do Rzymu, postanowiłam sobie koniecznie być na 8 Grudnia w kościele, i byłam w Santa Maria sopra Minerva, ale na bardzo krótko, bom przyjechała słaba *); w hotelu gdzie gościliśmy dwa dni, choć nie wyszłam za próg, wiedziałam, żem w Rzymie, bo ztamtąd doskonale widać Panteon.... Od czasu jakeśmy się przenieśli do mieszkania stałego, Via delle Vite Nr. 58, gdzie jesteśmy bardzo wygodnie, zapomniałam żem w Rzymie, ale bo téż już dwa dni, jak nie Rzymem, ale łóżkiem się bawię, a dziś chociaż niby wstałam, to po to, żeby leżeć na kanapie.

11 Stycznia 1845. Z mojem zdrowiem Bogu dzięki trochę lepiej... gdyby nie to żem jeszcze w Rzymie nic nie widziała i gdyby nie bóle boku i krzyża, tobym wcale przyjemne życie wiodła, choć w domu. Mało piszę ale czytam dużo, w wieczór codzien ktoś jest... wszyscy na mnie bardzo łaskawi.

19 Stycznia. Dziś była pierwsza moja przejażdżka po Rzymie.

6 Marca. Wczoraj miałam w domu miłą, choć przeplataną łzami rozrywkę. Życzliwi ludzie często zgromadzają się u nas i zapewne nie jednego wiedzie chęć przyniesienia jakiej takiej ulgi mnie biednej. Otóż wczoraj zebrało się do czternastu osób, a między niemi młody..... który tak

*) Ostatnia słabość autorki, z której już nie wyszła, zaczęła się była we Florencyi na parę tygodni przed jej wyjazdem do Rzymu.

ładnie śpiewa i śpiewał same polskie piosnki. Rzecz dziwna jak mało muzyki w Rzymie...

16 Marca. Pamiętny dzień dla mnie. Byłam w kościele Św. Piotra, widziałam Papieża; już przecie nie wyjadę z Rzymu jak ów dziwak. Papież nie odpowiedział oczekiwaniu mojemu, może dla tego jedynie że bardzo rumiany, ale co kościół, to prawie je przeszedł...

18 Marca. Byłam dziś u spowiedzi u Ojca Ryłły w kościele propagandy, który dla mnie otworzyć kazał, lubo tam kobietom nie wolno...

Wszystkie te trudy nie źle przeżyłam, chociaż bok mnie mocno bolał w kościele. Gdzie się to moje zdrowie podziało? Gdzie za rok wielkanocna spowiedź? a czy żyć będę?... Ach! gdyby nie mąż, oto dziś w tej chwili, z tego krzesła na którym wyciągnięta leżę, wypowiedawszy się i przyjąwszy Pańskie świętości, z największą radością rozstałabym się z tym światem....

7 Kwietnia. Ułożony w Imię Boże nasz wyjazd. W Piątek o godzinie 9-tój rano jedziemy, ja z panią Moszczyńską w wygodnej karecie, a mąż weturynem. Nocować mamy w Civita-Vechia, a nazajutrz puścić się na morze. O! miłośni Boże! uczyni ażebym ani mężowi ani nikomu kłopotu nie narobiła; ześlij cierpienie jeśli taka wola Twoja, ale niech je bez natręctwa drugim znieść potrafię! Zdrowie jednak moje znacznie lepsze....

12 Kwietnia. Walczy bardzo dęszcz ze słońcem, nie wiem kto zwycięży, a we Wtorek puszczamy się na morze!... popłyniemy Kastorem....

Jeśli Bóg da zdrowie, wróciwszy do Paryża, może natychmiast opiszę moją podróż. Piérwsza część obejmie podróż całą z Florencją, druga Rzym z powrotem do Paryża. Ta druga część będzie w zupełnie nowym sposobie, bo pisana z krzesła. Wszystko jak było przeplatane rozpamiętywaniem, złożone z ulotnych, ze słyszanych w rozmowie szcze-

gółów, a przecież mające w tym nieładzie pewną całość. Jednym z widoków moich w tym opisie, byłoby dać naukę naszym panom, jak mają użytkować z Rzymu jako Polacy. Biblioteki np. prywatne, publiczne, a mianowicie archiwum Watykanu, mieszczą w sobie rzetelne skarby co do dziejów naszych. Starać się więc powinni o ludzi rzecz znających, o pozwolenia, łożyć na przepisywanie...

Jeśli Bóg pozwoli, żebym ukończyła opis tój podróży, a naprzód, żebym dokończyła podróży samėj, to może nie będzie bez pewnej dramatyczności, opisać owe kilka miesięcy mego więzienia w Rzymie... ten przymusowy spoczynek wydałby się dobrze, prawdziwie cień do obrazu, cień do róży... A w tём smutném położeniu nie byłam przecież bez pociechy, i czas nawet, nie licząc nocy bezsennych, nie wydawał mi się długi; miałam wprawdzie Boga, męża, przyjaciółkę, Zosię i tyle istot życzliwych. I stopnie mojej własnej niecierpliwości nie będą bez zajęcia. Zrazu być w Rzymie i nie widzieć go, nieszczęściem mi się zdawało; potem oswoiłam się z tём zupełnie. Przyznam się nawet do dziecinności mojej; z początku płakałam jak dziecko, którego na spacer nie biorą. Uleczyłam się myśląc, ileby to mnie gorszych nieszczęść spotkać mogło, jak nie widzieć Rzymu....

16 Kwietnia. Czas piękny, mamy tedy wypłynąć o piątėj... moje zdrowie zupełnie takie jak w Rzymie, może jeszcze nawet trochę lepsze. Chciałam się kąpać w wodzie morskiej, ale żeby zaczerpnąć kubek w morzu, trzeba na to pozwolenia komendanta; nikomu tu nie wolno brać wody z morza, bo rząd ma monopol soli. Chociaż podobno taki zwyczaj w niejednym kraju, przecież jakoś mnie to zakorciło w państwie Ojca Świętego. Dwóch towarzyszków naszej żeglugi było u nas: pan Br. i jakaś majętna Maronitka, a zatem katoliczka... dowiaduję się, że to żona konsula neapolitańskiego w Tarsie, ojczyźnie Św. Pawła...

17 Kwietnia, na statku le Castor w porcie Livorny. Otóż dzięki Bogu i tu jesteśmy... Ja położyłam się nim statek ruszył i dla tego zapewne nie chorowałam; byłabym nawet dobrze jadła obiad, gdyby nie moje towarzyszki... Noc jednak miałam niewygodną na tych wązkich łódeczkach w kabinie, gdzieśmy trzy spały. Przy zamkniętych drzwiach duszno, przy otwartych zimno... Bardzo mamy dobrego słuę na statku, zowie się Antonio, bo kobiet tu niema. Tak nas doglądał téj nocy jak piastunka. Czas był ciągle piękny i gwiazdy widziałam z mojej kanapki.. Wszyscy moi pojechali do Livorny a ztamtąd, koleją żelazną do Pizzy, gdzie się w 25 minut zajeżdża; wszyscy podróżni z Rzymu jadący rębnią tę wycieczkę, a tymczasem okręt w porcie czeka. Ani już śniem mówić, że mi żal że z moimi nie jestem... W téj chwili mąż jest u Herm. Potockiego w Pizzie. Kiedym była we Florencyi, pani Herm. grzecznym listem zapraszała mnie do siebie. Dziś ona nie żyje, a ja chorobą złożona... Szkoda kobiety, większa może niżby mnie była, bo ona dwie córki i dwóch synów zostawiła.

18 Kwietnia na pokładzie w porcie Genui... choć mąż dla interesu wysiadł do Genui, weselój mi niż wczoraj, bo czas bardzo pogodny i Zosia ze mną została, bo zna już Genuę. Genua piękna, ale jak to wszystko na tym świecie i mnie za pierwszym razem piękniejszą się wydawała.

19 Kwietnia przy brzegach Francyi. Płyniemy ciągle od wczoraj i dopiero około południa będziemy w Marsylii, bo mamy wiatr przeciwny; ale żegluga doskonała, czas śliczny choć chłodny i mnie zupełnie morską podróż służy; lepij jém i wyglądam jak na lądzie. Wczoraj nawet użyłam w całym znaczeniu tego wyrazu, bo napatrzyłam się i morza i księżyca i słońca.

Pani Moszczyńska z siostrzenicą (Giżycką) coraz więcj mnie ujmują; ona nieoszacowana dla mnie, niech jój Bóg

placi. Posługacz Antonio także zawsze usłużny: Słowak rodem, nie zapomnę nigdy jak troskliwie koło mnie chodził. Choroba, aby na to się przyda, że człowiek życzliwych znajduje...

20 *Kwietnia*. Otóż i Marsylia, do której tak wdychałam... Pani M. wczoraj jeszcze ruszyła do Paryża na Avignon, my odpoczywamy do jutra... Ja zupełnie leżę jak bałwan... na mężu wszystkie kłopoty, cały myślonek. O! Pan Bóg musi go kochać za mnie.

21 *Kwietnia na statku na kanale du Bouc*. Po spoczynku w Marsyli, wyjechaliśmy dziś dylizanssem do Bouc, a ztąd płyniemy statkiem ciągnionym przez konie... Towarzysze prości ale uprzejmi... miło, że się już jest we Francyi.

22 *Kwietnia w Arles*. Po trzeciej przeprawie ze statku do gospody spałam wybornie i dziś jestem wcale dobrze.. Moi zwiedzili miasto... dziś ruszymy statkiem parowym do Lyonu i płynąć będziemy trzy dni..

23 *Kwietnia na Rodanie, na statku le comte de Paris*. Od wczoraj wieczór tu jesteśmy i wcale nam dobrze; mamy kabinę większą niż na okręcie, wcale ładna, nawet z kwiatkami. Mnie było spać dosyć wygodnie, ale moim nie tak; jak mi to przykro, to trudno wyrazić.

26 *Kwietnia w Gizors*. Wysiedliśmy tu wczoraj oszczędzając sobie trochę drogi; ztąd ruszyny o południu koleją żelazną do Roanne nad Loarą.

27 *Kwietnia w Rouanne*. Odbyliśmy wczoraj dziwną drogę, bo i para i konie, nareszcie coś niewidzialnego nas ciągnęło; na pochyłościach wóz szedł własnym popędem... Spodziewamy się stanąć w Paryżu za trzy dni. Jak też podziękuję Bogu, skoro dozwoli dowieźć mnie całą do Paryża! Jak jajko mnie pielęgnują, a to już jutro dwa tygodnie jak jesteśmy w drodze...

28 *Kwietnia w Digoin*. Przyjechaliśmy tu dylizanssem... da Bóg za trzy dni będziemy w Paryżu.

29 Kwietnia na Loarze. Znowu płyniemy; czas brzydki, ale statek dla mnie wygodny, bo choć pełno ludzi, mam osobny gabinet. Jutro jeśli Bóg pozwoli, będziemy w Orleanie, zkad jednym tchem koleją żelazną do Paryża...

1 Maja. Otóż Bogu dzięki jesteśmy w Paryżu. Niech będzie niebu cześć i chwała; kto ma Ojca w niebie, męża koło siebie, temu jeszcze jako tako na świecie. Może tu Bóg dobry zdrowie przywrócić mi raczy!

Na tém się kończą pamiętniki i notatki ś. p. Klementyny z Tańskich Hofmanowój. Po powrocie do Paryża w Maju 1845 r., zajęta ciągłą kuracją pisać już przestała. Czytelnicy nie wezmą nam za złe, iż w zastępstwie obrazu, którego już sama skreślić nie zdołała, zamieszczamy tu opis chwil jój ostatnich, udzielony przez naoczego ich świadka.

Do roku 1833 pani Hofmanowa używała doskonałego zdrowia, pomimo delikatnej budowy ciała, miała tuszę pełną, jędrną i sił dostatek. W roku 1833 dopiero utworzył jój się poraz pierwszy gruczoł w prawej piersi. Sam rodzaj słabości, przypominający śmierć matki, skłonił ją do wczesnego poradzenia się lekarzy, którzy uznawszy potrzebę operacyi, odbyli ją jak najszcześliwiej. Pani Hofmanowa zniosła to cierpienie z niepospolitým męstwem. Przebyta słabość nie zostawiła żadnego śladu, prócz blizny, i jeżeli odtąd nawiedzały nieboszkę smutne myśli, marzenia

o śmierci, pochodziło to raczej z moralnych niż fizycznych cierpień.

Czas co wszystko łagodzi oswoił powoli i naszą autorkę z przykrościami jęj położenia; prace też jęj literackie z usunięciem przeszkód, odzyskały dawną wziętość, ale nie tak poszło z jęj zdrowiem. W lat siedm po operacyi utworzył się na tém samém miejscu nowy gruczoł i w r. 1841 uznano potrzebę powtórnęj operacyi, która naturalnie już była trudniejszą. Odbył ją dosyć szczęśliwie jeden z pierwszych chirurgów paryzkiego fakultetu, doktor Row, oddając przy tęg okoliczności świadectwo bezprzykładnęj cierpliwości i odwadze męczeniicy. Wszakże następstwa tęg przeprawy nie były już tak pomyślne jak poprzednęj, bo jeszcze się nie była zagoiła blizna, kiedy w lewęg piersi utworzył się trzeci gruczoł. Na to złe sami już lekarze nie śmieli radzić operacyi, przepisali środki wewnętrzne, których użycie wnet sprawiło znaczną zmianę w ogólnym systemacie zdrowia cierpiącęj. Acz główne złe przestało grozić napozór niebezpieczeństwem, tusza pani H. straciła całą swą jędrność, zjawily się coraz częstsze bóle gardła, nawet coraz wyraźniejsze symptomata astmy. Ponieważ cierpienia znikaly w porze letnęg, a wracaly zwykle w porze zimowęg, lekarze radzili jęj zmianę klimatu i to było jednym z powodów, dla których w miesiacu Czerwcu 1844 roku przedsięwzięła podróż do Włoch. Przejazdkę przez Belgią, Ren, Szwajcaryą i północną część Włoch, odbyła w požądanym stanie zdrowia, kiedy niekiedy tylko doznając jakby bólów reumatycznych w krzyżach i ramionach. W Genui dopiero na przechadzce spotkał ją był gwałtowny ból boku, jakiego nigdy jeszcze nie doznawała; wszakże po kilkunastogodzinnym spoczynku minął zupełnie tak, że mogła się puścić w dalszą drogę do Florencyi.

Uciekające życie człowieka wyprzedzają zwykle przecucia, które dopiero znacznie późniejsza śmierć tłómaczy.

Zastanowienia godne są smutne myśli, które w dniu 24 Września 1844 r. nakreśliła autorka we Florencyi. Jeszcze nie chora, a już wyznaje, że się starzeje, że ją wszystko męczy, że radaby ujrzeć koniec podróży. W takim to stanie umysłu, spadło na nią w Listopadzie we Florencyi mocne cierpienie w krzyżach, boku i lewém biodrze i tym razem uporczywie się zagnieżdżyło... Nie godziny, nie dni, ale tygodnie całe musiała chora używać spoczynku, bo tylko leżenie na wznak przynosiło jęj ulgę. Z Florencyi pojechała do Rzymu dla rozpoczęcia radykalnej kuracyi. Przez cały swój pobyt w Rzymie zaledwie znalazła dni kilka na wyjście lub wyjechanie z domu, w celu przypatrzenia się uroczystościom lub główniejszym osobliwościom tęj ciekawęj stolicy... Do zwykłych dolegliwości przybył nowy złowieszczy symptomat, codzienny upadek sił i nikienie ciała, które wszakże miejscowi lekarze poczytywali za przemijający skutek osłabienia. Tyle cierpięń wymagało koniecznie dzielniejszego ratunku; dla tęj to przyczyny szanowna autorka po kilkomiesięcznej nadaremnej kuracyi w Rzymie, wróciła w miesiącu Maju 1845 roku do Paryża, odbywszy ten przejazd dość szczęśliwie, a przynajmniej w stanie nie gorszym od dawnego. Lekarze paryzcy nazwali jęj słabość *nevrulgie rhumatismale*, ręcząc za jęj wyleczenie i zwracając główną swą usilność do wyrugowania bólu z bioder, boku i krzyża. Jakoż po sześciomiesięcznych lekach, zdawało się, że choroba ustępuje sztuce; bóle zmniejszyły się do tego stopnia, że ucieszeni lekarze, uznali missyę swoję za skończoną, radząc jedynie wieś i świeże powietrze.

Dnia 25 Lipca przeniosła się pani H. na wieś do Passy, ani się spodziewając, że to miejsce w przeciągu niespełna dwóch miesięcy, będzie ostatecznym kresem jęj ziemskiej podróży. Owszem duch najśłodszej nadziei wstąpił w jęj piersi i przez pierwsze dni na nowęj posadzie tak się wszystko zanosilo na lepsze, iż acz nieskłonna do złu-

dzeń, sama zaczęła wyznawać z wesołym umysłem, iż teraz dopiero widzi, że będzie zupełnie zdrową. Wnet jednak przekonała się jak zwodnicze były jój nadzieje. Ile razy chciała użyć dłuższej przechadzki, nacieszyć się widokiem natury, która dla niej zawsze tyle miała powabu, zaraz nieposłuszne siły zwracały ją do domu i po kilku próbach nadaremnych poprzestać musiała na domowym ogródku. To doświadczenie powlokło znowu jój lica smętnym wyrazem i już podobno na zawsze.

„Nie pragnę ja już, mówiła nieraz z westchnieniem, zupełnego zdrowia: chcę cierpieć, bylebym tylko żyła.“ Co rano wnoszono jój pod drzewo krzesło, stoliczek, książek kilka, (najczęściej pobożnej treści), czasem robotkę i na tém miejscu jadła śniadanie, rozrywała się czytaniem, szyciem, przyjmowała wizyty. Kiedy niekiedy zmęczona długiém siedzeniem, wstawiała z krzesła, brała w rękę swój parasolik, który swym „przyjacielem“ nazywała i opierając się na nim przechadzała się minut kilka, próbując, czy nie przewycięży upartej słabości i sił ukrytych nie wywoła. Wieczorem wracała do pokoju, siadała przy okrągłym stole, bawiąc się z przyjaciółni bądź rozmową, bądź jaką grą towarzyską, oddając się tym niewinnym rozrywkom z takim samym upodobaniem, z taką pogodą, jak za najlepszych czasów zdrowia. Jeżeli kiedy zdarzyło jój się wśród zabawy wstać z miejsca, to tylko na chwilkę, żeby stanąć we drzwiach ogrodu, spojrzeć na księżyc i pokrzepić spragnione płuca powiewem świeżego powietrza.

Pióra nie brała już do ręki, chyba tylko żeby zanotaować jaki szczegół gospodarski, lub wypłacić dług serca, kreśląc słów kilka do krewnych lub przyjaciół. Na tém zeszło kilka tygodni, ale pomimo najściślej zachowywanych przepisów lekarskich, ogólne osłabienie postępowało swym torem, a za nié m astma coraz widoczniejsza; nocami ból głowy i gorączka, czasem kaszel, drętwienie nóg. „Nie

uwierzycie, mawiała do otaczających, jak to przykre to drętwienie nóg: zdaje mi się czasem, że już mi nogi umarły.“ Znosiła te wszystkie cierpienia z anielską powolnością, słodyczą i meztwem, jakby pieczętując własnym przykładem owe obowiązki wzorowej niewiasty, które przez cały żywot zalecała w pismach młodzieży płci swojej. Zastanawiała ją czasem osobliwa komplikacja jej cierpienie i spoglądając na swe zbolące członki, zdarzyło jej się wyrzec: „Trudno to podobno będzie tyle złego naprawić.“ Wszakże przez całą chorobę nie wyszedł z jej ust ani jeden wyraz niecierpliwości, chyba ten: „Musiałam ja dużo nagrzeszyć, kiedy mnie Pan Bóg tak ciężko karze.“ Ale zaraz, jakby wstydząc się buntu, dodała: „Trzeba to jednak wszystko zostawić Jego woli i miłosierdziu.“

Polegając z ufnością na Bogu nie bała się śmierci. „Nie ciesz mnie Pan daremnie — mówiła raz do lekarza, który ją nadzieją lepszego zdrowia pokrzepiał—ja się śmierci nie boję, w przyszłe życie wierzę, jedyne moje życzenie, żebym wiele nie cierpiała.“ Oswojona ze śmiercią jak wszystkie przykładne i pewne nieba chrześcianki, nigdy przecież nie spodziewała się umrzeć tak prędko; do ostatniego dnia życia, to jest do 20 Września wydawała dyspozycje względem powrotu do Paryża i urządzenia nowego mieszkania. Przenosiny te miały nastąpić 25 Września; przed wyjazdem chciała odbyć według zwyczaju miesięczną spowiedź, a jadąc do Paryża wstąpić za jednym zachodem do którego z kościołów, żeby przyjąć komunię świętą. Wierna nawet przyjętemu zwyczajowi rozkładania sobie godzin swoich zatrudnień, nakreśliła w swym pugilaresie następujący program na czas przyszłego pobytu w Paryżu:

„Rano obudziwszy się, oddać się Bogu i ułożyć dzień cały; leki, pacierze, wstanie, czytanie poważne przed śniadaniem, godzinka lekcji i pracy (z wycho-

wanką), ubranie się; reszta poranku jak Bóg da i pozwoli, gęste modlitwy, choć krótkie, a nad wieczorem króciuchna. N. B. Codzień ducha posłać do kościoła, jak mówi św. Franciszek, kiedy ciało iść nie może.“

Wszystkie te plany uprzedziła insza wola Opatrzności. Dzień 19 Września spędziła pani Hofmanowa wedle zwyczajnego trybu, ale nazajutrz obudziła się znacznie osłabiona; oczy jęj zdawały się pokryte bladą zasłoną i jakieś ciągle znużenie tłoczyło jęj powieki, choć zresztą nic nie zwiastowało bliskiego niebezpieczeństwa. Wstała z łóżka jak zwyczajnie, przepędziła cały dzień prawie w ogrodzie na świeżym powietrzu, przyjęła kilka wizyt i dnia tego ta tylko w jęj trybie zaszła odmiana, iż udała się na spoczynek wcześniej niż zwyczajnie. Tęj już jednak nocy ani chwili snu doczekać się nie mogła; dręczona jakąś nadzwyczajną niespokojnością, kazała ciągle to podnosić oparcie głowy, to otwierać okna; raz nawet wstała z łóżka i przy pomocy pilnujących ją osób przeszła się po pokoju, a gdy i to zmęczenie sprowadzić jęj snu nie mogło, rzekła z zadziwieniem: „Nie wiem co się dziś ze mną dzieje, jakiś szum czuję w głowie.“ Na zapytanie czy nie pozwoli posłać po miejscowego doktora? „Co on mi pomoże“ — zawołała z obojętnością. Te były ostatnie jęj słowa, zanim bowiem doktor nadszedł, wpadła w pewien rodzaj omdlenia, poruszyła lekko ustami jakby coś mówić chciała i zgasła niespodzianie na ramieniu swego małżonka, nie wydawszy najmniejszego znaku bólesci. Zdaje się że Bóg wysłuchał prósy swęj słuźebnicy; pozazdrościwszy jęj światu w samęj sile wieku, zabrał ją do siebie w sposób tak cichy, spokojny i błogi, jak ciche, spokojne i błogie było całe jęj życie.

Ciało s. p. Klementyny z Tańskich Hofmanowęj spoczywa dziś w Paryżu na cmentarzu La Chaise, naprzeciwno

grobowi Lafontaine'a i Moliera, gdzie wdzięczność ziomków wzniosła jej pomnik.

W Warszawie, stosownie do życzenia, które sama w notatkach swoich wyraziła, na ścianie krużganku po-Reformackiego kościoła, wmurowano czarną kamienną tablicę z napisem: „Matki i dzieci zmówcie Zdrowaś Marya za jej duszę.“

KONIEC TOMU SZÓSTEGO.

1. The first part of the document is a list of names and titles, including the names of the authors and the titles of their works. This list is organized in a structured manner, likely serving as a table of contents or a reference list.

2. The second part of the document contains a series of paragraphs, each beginning with a heading or a specific topic. These paragraphs appear to be a collection of essays or reports, possibly related to the subjects listed in the first part.

3. The third part of the document consists of several more paragraphs, continuing the series of essays or reports. The text is dense and appears to be a formal or academic document.

4. The fourth part of the document contains a few final paragraphs, which may represent a conclusion or a summary of the preceding sections.

5. The final part of the document is a short section, possibly a signature or a date, indicating the end of the document.

SPIS RZECZY

W TOMIE SZÓSTYM ZAWARTYCH.

ŻYCIORYSY PORZĄDKIEM CHRONOLOGICZNYM UŁOŻONE.

	<i>Str.</i>
Jan Gdańszczanin	7
Jan Tarnowski	17
Józef Struś	27
Wiadomość o życiu i pismach księdza Piotra Skargi	35
Kazanie miane na pogrzebie królowej polskiej Anny Jagiel- lonki dnia 12 Listopada 1596 r. w Krakowie	48
Kazanie przygodne na pogrzeb Anny z Rakuz, królowej polskiej, żony Zygmunta III-go; miane dnia 16 Pa- ździernika 1599 roku w Krakowie	58
Kilka krótkich wyjątków z dzieł ks. Piotra Skargi	70
Kilka zdań, wyroków i przysłów z dzieł ks. Piotra Skargi	76
Chwile niektóre z życia Jana Karola Chodkiewicza	84
Wiadomość o życiu Maryi z Leszczyńskich królowej francuzkiej	94
Wychowanie Wacława Rzewuskiego, wielkiego hetmana, kaszte- lana krakowskiego	129
Mikołaj Dzieduszycki	135
Kilka wierszy z tragedyi Śmierć Cezara	137
Adam Naruszewicz	146
Wzmianka o poezjach Adama Naruszewicza i z nich wyjątki	166

II

	<i>Str.</i>
Ignacy Krasicki	202
Grzegorz Piramowicz	210
O dziełach Grzegorza Piramowicza	225
Onufry Kopczyński	252
Stanisław Małachowski	260
Krótki rys życia Maryanny z Świdzińskich Lanckorońskiej, ka- sztelanowej Połonieckiej	269
Wypisy z testamentu ś. p. Maryanny z Świdzińskich Lan- ckorońskiej	294
Franciszek Karpiński	298
Józef Szymanowski	322
Franciszek Dyonizy Książnin	338
Niekóre wyjątki z pierwszego oddziału poezyi Książnina	345
Wiadomość o księdzu Mikołaju Żubrze, proboszczu Leśnieńskim	359
Tadeusz Czacki	371
Aloizy Feliński	382
Obraz życia i pism Ignacego Tańskiego	415
Życiorys Klementyny z Tańskich Hofmanowej	424

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
 00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 71
 Tel. 26-68-63



K. 1687
/6.